

CIEMNOŚĆ POWSTAJE, GDY UPADAJĄ HEROSI

PETERU.
BRETT

TRON
Z CZASZEK

I
Księga



PETER V. BRETT

Od dzieciństwa był fanem fantastyki, komiksów i gier fabularnych. W 1995 roku ukończył literaturę angielską i historię sztuki na Uniwersytecie Buffalo. Następnie spędził ponad dziesięć lat, pracując w przemyśle farmaceutycznym. Mieszka w Brooklynie z żoną i córką.

Autor najbardziej błyskotliwego fantastycznego debiutu ostatnich lat. Powieścią *Malowany człowiek* rozpoczął inwazję na księgarskie rynki całego świata. Ledwie się ukazała, a prawa do wydania książki mają już m.in. kraje Ameryki Północnej, Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Grecja, Japonia, Rosja, Polska, Czechy, Hiszpania, Węgry, Serbia, Włochy i Turcja.

Podkreśla, że jego pierwszą znaczącą lekturą – pozaszkolną i bez obrazków – był *Hobbit*. Po starszym bracie odziedziczył też komiksy *X-Man*. Pisarz uważa, że te dwa z pozoru mało znaczące fakty ukształtowały jego dorosłe życie.

Oficjalna strona: www.petervbrett.com

Spis treści

Karta tytułowa
Cykl demoniczny
Thesa – mapa
Bez zwycięzcy
Poszukiwania
Pustka
Ashia
Krew Sharum
Kajivah
Mężczyzna jest niczym
Jaja większe niż rozum
Prawdziwy wojownik
Słońce Anocha
Bunt chin
Dokowisko
Zatłoczony Zakątek
Cuchnące mięso
Więzień
Naznaczone dzieci
Dziecko demona
Drzewo genealogiczne Rodu Jardira
Słownik krasjański
Brian McClellan – Obietnica krwi
Karta redakcyjna
Okładka

PETER V.
BRETT

TRON
Z CZASZEK

KSIĘGA PIERWSZA

PRZEŁOŻYŁA

MAŁGORZATA KOCZAŃSKA

fabryka słów®

LUBLIN 2015



Cykl demoniczny

1. Malowany człowiek - księga 1
2. Malowany człowiek - księga 2
3. Wielki Bazar / Złoto Brayana
4. Pustynna Włócznia - księga 1
5. Pustynna Włócznia - księga 2
6. Wojna w Blasku Dnia - księga 1
7. Wojna w Blasku Dnia - księga 2
8. Tron z Czaszek - księga 1
9. Tron z Czaszek - księga 2



Dla Lauren



Prolog

Bez zwycięzcy

333 ROK PLAGI, JESIEŃ

Nie! – Inevera wyciągnęła rękę, ale złapała tylko powietrze, gdy Par’chin zwałił się wraz z jej mężem z urwiska. A wraz z nimi upadły wszelkie nadzieje ludzkiej rasy.

Po drugiej stronie kręgu walki Leesha również krzyknęła to samo.

Nagle zapomniano o surowym rytualnym prawie *Domin Sharum* – świadkowie po obu stronach popędzili do skraju przepaści i stłoczyli się, próbując wzrokiem przebić ciemność, która pochłonęła walczących.

Dzięki światłu Everama Inevera widziała w ciemności równie dobrze jak w słoneczny dzień, świat spowity był magicznym blaskiem. Ale to życie przyciągało magię, tymczasem w dole nie było niczego poza skałami i piaskiem. Obaj mężczyźni, jaśniejący jeszcze niedawno niczym dwa słońca, zniknęli w stłumionym mroku rozproszonej magii, która wysączała się na powierzchnię.

Inevera obróciła kolczyk z wprawioną *hora*, dostrojoną do drugiego klejnotu z pary, noszonego przez męża, ale nic nie usłyszała. Może kolczyk znajdował się za daleko albo uległ zniszczeniu przy upadku.

Albo nie ma już czego nasłuchiwać. Inevera opanowała dreszcz wywołany podmuchem zimnego wiatru od gór.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Spojrzała na ludzi zgromadzonych przy skraju przepaści. Szukała w ich twarzach cienia zdrady, jakichkolwiek oznak, że choć jeden z nich wiedział, co się stanie. Odczytywała również magię, którą emanowali. Noszony przez kobietę diadem z oznakowanych runami monet z elektrum nie pozwalał czytać dusz tak sprawnie, jak robił to jej mąż po założeniu Korony Kajiego, ale Inevera coraz lepiej radziła sobie z rozpoznawaniem uczuć. Zgromadzeni wyraźnie byli wstrząśnięci. Jedni okazywali to bardziej niż pozostali, ale takiego zakończenia nikt się nie spodziewał.

Nawet Abban, przebiegły oszust, który zawsze coś ukrywał, zamarł z przerażenia. On i Inevera rywalizowali ze sobą zajadle i próbowali się pokonać, ale ten *khaffit* bez honoru kochał Ahmanna naprawdę mocno i miał więcej do stracenia niż inni, gdyby okazało się, że władca nie żyje.

Powinnam była zatruć herbatę dla Par'china, pomyślała Inevera, gdy wspomniała szczerą twarz obcego z tamtej nocy, gdy przyszedł z pustyni, dzierżąc Włócznię Kajiego. Ukłuć go igłą z jadem. Wpuścić zmię na jego posłanie, gdy odpoczywał przed *alagai'sharak*. A nawet udać obrazę i zabić go własnymi rękoma. Byle tylko nie zostawić tego

Ahmannowi. Jego serce było zbyt szczerze na morderstwo i zdradę, nawet gdy chodziło o równowagę i losy Ala.

Było. Już myślała o mężu w czasie przeszłym, chociaż zniknął za ledwie przed chwilą.

– Musimy go odnaleźć – głos Jayana zdawał się dochodzić z daleka, choć najstarszy syn stał tuż obok Inevery.

– Tak – zgodziła się, choć w głowie nadal miała gonitwę myśli. – Ale w ciemności nie będzie to łatwe.

Znad urwiska zaczynały się już unosić krzyki wichrowych demonów, którym z dołu odpowiadały niskie pomruki skalnych.

– Rzuć *hora*, żeby nas poprowadziły.

– Na Otchłań, nie będę czekać – oznajmiła *Jiwah Ka* Par’china, po czym odepchnęła Rojera i Gareda, opadła na brzuch i przerzuciła nogi za krawędź przepaści.

– Renno! – Leesha chciała złapać ją za rękę, ale tamta szybko zsunęła się niżej, poza zasięg ramion drugiej kobiety. Obca *Jiwah Ka* świeciła od magii. Nie tak mocno jak Par’chin, lecz o wiele jaśniej niż ktokolwiek inny, kogo Inevera знаła. Palce dłoni i stóp młodej kobiety wbijały się w skalną ścianę jak szpony demona, krusząc skałę, by stworzyć oparcie.

Inevera spojrzała na Shanjata.

– Ruszaj za nią. Znacz swój szlak.

Trzeba przyznać, że Shanjat nie okazał strachu, jaki zamigotał w jego aurze, gdy mężczyzna spojrzał w przepaść.

– Tak, Damajah. – Uderzył się pięścią w pierś, a potem zawiesił sobie tarczę i włócznię na plecach, opadł na brzuch i zaczął ostrożnie schodzić śladem Renny.

Inevera zastanawiała się, czy zadanie go nie przerasta. Shanjat był silny jak każdy mężczyzna, ale tej nocy nie zabił żadnego demona i nie posiadał nieludzkiej mocy, która pozwoliła tak zręcznie schodzić po skałę Rennie am’Bales.

Jednak *kai’Sharum* zaskoczył Ineverę i zapewne także siebie, gdy wykorzystał wyłomy, które pozostawiła po swoim przejściu żona Par’china. Wkrótce on również zniknął w mroku.

– Jeżeli zamierzasz rzucić swoje kości, lepiej zrób to teraz, żebyśmy mogli zacząć poszukiwania – odezwała się Leesha.

Inevera zerknęła na dziwkę z zielonych krain i stłumiła warknięcie, które cisnęło jej się na surowo zaciśnięte usta. Zielarka oczywiście chciała zobaczyć, jak Damajah rzuca kości – bez wątpienia rozpaczliwie pragnęła nauczyć się sztuki przepowiadania. Jakby nie dość już ukradła Ineverze.

Nikt z reszty zgromadzonych nie wiedział, ale kości już zdradziły, że Leesha nosi dziecko Ahmanna, a to zagrażało wszystkiemu, co Inevera osiągnęła. *Jiwah Ka* zwalczyła ochotę, aby wyjąć nóż i wydobyć dziecko na świat już teraz. Pozbyłaby się w ten sposób kłopotów, zanim nadejdą. Nikt nie zdołałby jej powstrzymać. Ludzie z zielonych krain byli groźni, ale nie sprostałiby synom Inevery i mistrzom *Damaji sharusahk*.

Odetchnęła, szukając wewnętrznej równowagi. Pragnęła zrzucić na tę dziwkę z Północy cały swój gniew i strach, choć przecież ta kobieta nie ponosiła winy za to, że mężczyźni to dumni głupcy. Bez wątpienia Leesha próbowała odwieść Par’china od rzucenia wyzwania równie mocno, jak Inevera starała się namówić Ahmanna, aby wyzwania nie podjął.

Może ich walka była nieunikniona. Może Ala nie mogłaby znieść dwóch Wybawicieli. Jednak teraz nie było żadnego, a to wydawało się o wiele gorsze.

Bez Ahmanna krasjański sojusz się rozpadnie, a *Damaji* zmienia się z powrotem w skłóconych wodzów. Zabiją synów Ahmanna, po czym zaczną knuć przeciw sobie, a z nadejściem *Sharak Ka* skończą w pustce Nie.

Inevera spojrzała na *Damaji* Aleveraka z plemienia Majah, który okazał się największym przeciwnikiem wyniesienia Ahmanna na tron oraz jednym z jego najcenniejszych doradców. Lojalność tego mężczyzny wobec Shar’Dama Ka nie podlegała dyskusji, lecz nie powstrzymałoby to wodza od zamordowania Majiego, syna Ahmanna z plemienia Majah, ponieważ Maji nigdy nie ugiałby się przed Aleveranem, synem Aleveraka.

Następca Jardira zapewne utrzymałby zjednoczenie plemion, ale kto miałby nim zostać? Żaden z synów Inevery nie był gotowy do wypełnienia takiego zadania, jak powiedziały kości, chociaż oni z pewnością tak nie uważali. I na pewno nie oddaliby tymczasowej władzy, pragnęliby utrzymać ją na stałe. Jayan i Asome zawsze byli rywalami i do obu pośpieszą silni sojusznicy. Jeżeli *Damaji* nie rozedrą jedności plemion, zapewne synowie Inevery zrobią to za nich.

W milczeniu Damajah przeszła do kręgu, gdzie jeszcze niedawno walczyli dwaj Wybawiciele. Obaj pozostawili na ziemi krew, więc Inevera uklękła i przycisnęła dłonie tam, gdzie wsiąkła czerwień. Potem wyjęła kości i potrząsnęła nimi lekko. Krasjanie ustawili się wokół niej w krąg, zasłaniając przed wzrokiem cudzoziemców.

Grawerowane symbolami i obleczone elektrum kości demoniego księcia były najpotężniejsze z tych, których używały *dama’ting* od czasów pierwszej Damajah. Wibrowały od mocy, oślepiająco lśniły w ciemności. Inevera wykonała rzut i wróżebne runy zapłonęły, zatrzymując kości w ten nienaturalny sposób, aby utworzyć wzór, który

Inevera mogła odczytać. Dla większości był on niezrozumiały. Nawet *dama'ting* niekiedy spierały się o interpretację rzutów, ale Inevera potrafiła odczytywać kości równie łatwo jak słowa na pergaminie. Przepowiednie *hora* prowadziły ją przez dziesięciolecia zamętu i chaosu, jednak zdarzało się często, że to, co wróżyły rzuty, było niejasne i nie przynosiło ukojenia.

„Nie ma zwycięzcy”.

Co to miało znaczyć? Czy upadek w przepaść zabił obu walczących? Czy też pojedynek trwał nadal? Przez głowę Inevery przemknęło tysiące pytań. Rzuciła kości jeszcze raz, lecz wzór, jaki utworzyły, pozostał niezmieniony. Wiedziała, że tak będzie.

– No? – zniecierpliwiła się dziwka z Północy. – Co mówią kości?

Inevera powstrzymała się od ostrej riposty. Wiedziała, że jej odpowiedź będzie miała duże znaczenie. W ostateczności zdecydowała, że prawda – a przynajmniej część prawdy – wystarczy, aby przynajmniej na razie powstrzymać ambitnych ludzi wokół od spiskowania i knucia.

– Nie ma zwycięzcy – oznajmiła. – Walka trwa w dole i tylko Everam wie, jak się zakończy. Musimy ich znaleźć, i to jak najszybciej.

Zejście z góry ciągnęło się godzinami. Ciemność im nie przeszkadzała, wszyscy w tej grupie potrafili dostrzegać magiczną poświatę, lecz ataki skalnych i kamiennych demonów, tak doskonale kryjących się w otoczeniu, spowalniały wędrówkę. Wichrowe demony skrzeczały przenikliwie, krążąc ludziom nad głowami.

Rojer ujął swój instrument i dobył ze strun smutne akordy „Pieśni o Nowiu”, trzymające *alagai* na dystans. Amanvah przyłączyła się do męża śpiewem i ich muzyka wzmocniona magią *hora* wypełniła noc. Nawet wśród wycia wiatru rozpaczy, grożącego złamaniem palmy wewnętrznej równowagi Inevery, kobieta poczuła dumę z talentu córki.

Ludzie otoczeni ochronną barierą obcej magii syna Jessuma byli bezpieczni od *alagai*, ale poruszali się powoli. Ineverę świerzbiły dłonie, chciała zza pasa wyjąć różdżkę z elektrum i odpędzić demony z drogi jednym uderzeniem, a potem pobiec do boku męża. Woląta jednak nie ujawniać tej siły obcym z Północy. Zresztą użycie elektrum przyciągnęłoby tylko więcej *alagai*. Dlatego Inevera zmusiła się do utrzymania powolnego tempa narzuconego przez Rojera, mimo że w tej zapadłej i zapomnianej kotlinie Ahmann i Par'chin mogli właśnie wykrawiać się na śmierć.

Odepchnęła tę myśl. Ahmann był wybrańcem Everama. Inevera musiała zaufać, że On zapewni swojemu Shar'Dama Ka choć jeden cud w godzinie najważniejszej próby.

Ahmann żył. Musiał żyć.



Leesha jechała w milczeniu i nawet Thamos nie był na tyle głupi, żeby ją zagadywać. Hrabia może i dzielił z nią łożę częściej, niż sypiał sam, ale nie kochała go tak jak Arlena... i Ahmanna. Patrzenie, jak ze sobą walczyli, rozdzierało Leesha serce.

Wydawało się, że Arlen ma wyraźną przewagę, i gdyby Leesha miała decydować, też wołałaby, żeby tak właśnie było. Jednak stargana dusza tego mężczyzny dopiero ostatnio zaznała spokoju i Zielarka miała nadzieję, że przyjacielowi uda się jakoś zmusić Ahmanna do poddania się i żaden z nich nie zginie w tym pojedynku.

Krzyknęła, gdy Jardir przebił Arlena Włócznią Kajiego, zapewne jedyną bronią na świecie mogącą zranić Naznaczonego. Przebieg bitwy zmienił się wtedy i po raz pierwszy gniew Leeshy na Ahmanna omal nie przeobraził się w nienawiść.

Kiedy jednak okazało się, że Arlen woli spaść wraz ze swoim przeciwnikiem w przepaść, niż przegrać, serce jej zamarło. Nie chciała stracić Ahmanna. Dziecko, które nosiła w łonie, miało dopiero osiem tygodni, ale Leesha mogłaby przysiąc, że kopnęło, gdy Jardir spadł w ciemność.

Moce Arlena wzrosły od czasu, gdy się poznali. Niekiedy wydawało się, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, i nawet Leesha zaczęła się zastanawiać, czy to jednak nie Wybawiciel. Arlen mógł się rozproszyć i ochronić przed zderzeniem z ziemią. Ahmann nie.

Jednak nawet Naznaczony miał swoje ograniczenia, a Jardir sprawdzał granice mocy przeciwnika w sposób, jakiego nikt się nie spodziewał. Leesha dobrze pamiętała upadek sprzed zaledwie paru tygodni, po którym Arlen leżał ranny na bruku w Zakątku, z czaszką popękana jak skorupka rozbitego jajka.

Gdyby tylko Renna nie poszła za walczącymi! Ta kobieta znała w jakimś stopniu plany Arlena. Wiedziała więcej, niż mówiła.

Poszukiwacze pogonili wierzchowce, zanim jeszcze dotarli do podnóża góry. Unikali ścieżek strzeżonych przez

zwiadowców obu armii. Może wojna była nieuchronna, ale żadna ze stron nie chciała rozpoczynać jej dziś w nocy.

Górska ścieżka wiła się i rozdzielała na kolejne. Niejeden raz Inevera musiała radzić się kości, żeby wskazać kierunek. Kobieta klękała wtedy na ziemi, żeby wykonać rzut, podczas gdy reszta czekała niecierpliwie. Leesha chciałaby wiedzieć, co dostrzegła Inevera w rozrzuconych symbolach – jednak to, co widziała dotychczas, nauczyło ją, aby wierzyć w moc przepowiedni.



Świtało niemal, gdy znaleźli pierwszy ze znaków pozostawionych przez Shanjata. Inevera przyspieszyła kroku, a inni ruszyli wskazanym szlakiem, gdy różowy blask zabarwił horyzont.

Czekający u podnóża góry Wypatrywacze nie zauważyli poszukiwaczy, ale strażniczki Inevery, Ashia i Shanvah, podkraǳy się niezauważenie po zboczach i dołączyły do grupy. Książę z zielonej krainy zerknął na nie, ale tylko potrząsnął obojętnie głową, gdy zorientował się, że to kobiety.

Wreszcie dotarli do Renny i Shanjata. Tych dwoje stało naprzeciw siebie i mierzyło się nieufnym spojrzeniem. Shanjat szybko podszedł do Inevery, uderzył pięścią w pierś i skłonił głowę.

– Ślad urywa się tutaj, Damajah.

Poszukiwacze zsiadli z wierzchowców. Wojownik poprowadził ich do miejsca nieopodal, gdzie rysowało się wyraźne wgniecenie wielkości człowieka, a rozrzucona ziemia i spękana skała świadczyły o silnym uderzeniu. Widać też było krew i ślady stóp – oznaki toczzonej po upadku walki.

– Poszedłeś za śladem? – zapytała Inevera.

Shanjat skinął głową.

– Znika niedaleko stąd. Pomyślałem, że lepiej będzie poczekać na polecenia, niż się oddalić.

– Renno? – odezwała się Leesha.

Jiwah Ka Par china przyglądała się zakrwawionemu wgłębieniu, oczy miała szkliste, aurę potężną i nieczytelną. Przytaknęła sztywno.

– Godzinami krążyliśmy po okolicy. Wygląda to tak, jakby wyrosły im skrzydła.

– Może porwał ich wichrowy demon? – zasugerowała Wonda.

Renna wzruszyła ramionami.

– Zastanawiałam się nad tym, ale trudno mi uwierzyć.

– Żaden demon nie ośmieliłby się nawet tknąć mojego świętego męża bez jego zgody – wtrąciła Inevera.

– A co z włócznią? – zaniepokoił się Jayan.

Damajah popatrzyła na niego ze smutkiem. Nie zaskoczyło jej ani trochę, że najstarszego syna bardziej obchodziła wyjątkowa broń niż rodzony ojciec, ale żal pozostał. Asome miał przynajmniej dość przywoitości, aby takie myśli zatrzymać dla siebie.

Shanjat pokręcił głową.

– Nie było ani śladu świętej broni, Sharum Ka.

– Widzę świeżą krew. – Inevera spojrzała na horyzont. Świt był blisko, ale mogłaby wykonać jeszcze jeden rzut. Sięgnęła do sakiewki po *hora* i zacisnęła palce na kościach tak mocno, że niemal przebiły jej dłoń. Przyklękła przy wgłębieniu.

W normalnych warunkach nie ośmieliłaby się wystawić wrażliwych *hora* na światło dnia, nawet wczesnym świtem. Promienie słońca zniszczyłyby kości demona, a i słaby blask mógł wyrządzić nieodwracalne szkody. Ale elektrum, którym Inevera pokryła swoje *hora*, chroniło je nawet za dnia. Jak w przypadku Włóczni Kajiego, ich moc słabła gwałtownie w dzień, ale odzyskiwały ją, gdy tylko zapadała noc.

Ręka jej zadrżała. Musiała odetchnąć kilka razy, żeby odnaleźć w sobie równowagę, zanim zaczęła. Dotknęła krwi męża po raz drugi tej nocy i użyła jej do spojrzenia w jego przeznaczenie.

– Błogosławiony Everamie, Stwórco wszystkiego, pozwól mi poznać los walczących, Ahmanna asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji i Arlena asu Jeph am'Bales am'Potok. Zaklinam Cię, ukaż mi, co się z nimi stało, i pozwól poznać los, jaki ich czeka.

Moc pulsowała jej przez palce. Inevera rzuciła kości, a potem spojrzała na wzór, w jaki się ułożyły.

Kiedy pytało się o to, co jest albo już się zdarzyło, kości przemawiały z zimną – choć często niejasną – pewnością. Jednak przyszłość była zawsze zmienna, jej piaski rozwiewały wiatry zmian przy każdym dokonanym wyborze. *Hora* dawały wskazówki, niczym drogowskazy na pustyni, lecz im dalej się patrzyło, tym więcej rozgałęziało się ścieżek

i tym łatwiej można się było zgubić wśród wydm.

Przyszłość Ahmanna zawsze była wypełniona rozgałęzieniami. Rozchodziły się tam ścieżki, na których los ludzkości spoczywał na barkach męża Inevery, i takie, na których Ahmann umierał w hańbie. Śmierć od szponów demona pojawiała się najczęściej, ale mógł to być również nóż w plecach albo włócznia wymierzona w serce. Na wszystkich ścieżkach pojawiali się ludzie gotowi oddać za Ahmanna życie i tacy, którzy czekali tylko, aby go zdradzić.

Wiele z tych ścieżek było teraz zamkniętych. To, co się stało, sprawiło, że Ahmann szybko nie wróci, możliwe, że nigdy. Na tę myśl Inevera poczuła zimny ucisk w sercu.

Inni wstrzymywali oddech, czekając na to, co powie, a Damajah miała świadomość, że od tego zależy los jej ludzi. Przypomniała sobie słowa, jakie przekazały jej *hora* wiele lat temu: „Wybawiciel się nie rodzi. Wybawiciela się tworzy”.

Jeżeli Ahmann do niej nie wróci, będzie musiała stworzyć następnego.

Popatrzyła na tysiące rodzajów śmierci, jaka mogła spotkać jej ukochanego, i wybrała jedną. Jedyne los, który pozwalał zachować Ineverze władzę, dopóki nie znajdzie się odpowiedni następca.

– Wybawiciel znalazł się poza naszym zasięgiem – oznajmiła wreszcie Inevera. – Podąża za demonem na samo dno pustki Nie.

– Więc Par’chin to jednak demon – skwitował Ashan.

Kości nic takiego nie sugerowały, ale Inevera skinęła głową.

– Na to wygląda.

Gared splunął na ziemię.

– Powiedziały „Wybawiciel”, nie „Shar’Dama Ka”.

Damaji odwrócił się i zmierzył go spojrzeniem, jakim człowiek mógłby spoglądać na owada i zastanawiać się, czy chce mu się go rozdeptać.

– To jedno i to samo.

Tym razem splunęła Wonda.

– Akurat, niech to Otchłań.

Jayan wystąpił z zaciśniętymi pięściami, gotów ją uderzyć, ale Renna Tanner przyjęła postawę bojową. Runy na jej skórze błysnęły i nawet impulsywny syn Inevery szybko się rozmyślił. Wolał nie wyzywać *Jiwah Ka* Par’china na pojedynek. Źle by to wyglądało, gdyby Jayan został pobity przez kobietę na oczach mężczyzn, których będzie musiał przekonać, aby pozwolili mu zasiąść na tronie.

Następca odwrócił się do matki.

– A włócznia? – zapytał ponownie.

– Stracona – westchnęła Inevera. – Z woli Everama zostanie ponownie odnaleziona, gdy nadejdzie czas, ale nie wcześniej.

– Zatem mamy po prostu się poddać? – wtrącił Asume. – Pozostawić ojca własnemu losowi?

– Oczywiście, że nie. – Inevera spojrzała na Shanjata. – Znajdź ślad i ruszaj za tropem. Sprawdź każde złamane źdźbło trawy i poruszony kamyk. Nie wracaj bez Wybawiciela albo wieści o jego losie, nawet jeżeli miałyby to potrwać tysiąc lat.

– Tak, Damajah. – Shanjat przycisnął pięść do piersi.

Inevera odwróciła się do Shanvah.

– Ruszaj z ojcem. Bądź mu posłuszna i chroń go podczas wędrówki. Jego cel jest twoim celem.

Młoda kobieta skłoniła się w milczeniu. Ashia ścisnęła jej ramię i popatrzyła w oczy, a potem ojciec i córka odeszli.

Leesha podeszła do Wondy.

– Ty też się rozejrzyj, ale wróć za godzinę.

Wonda uśmiechnęła się szeroko, z pewnością siebie, która wzbudziła w Ineverze zazdrość.

– Nie zamierzam tropić, aż osiwieję. Wybawiciel przychodzi i odchodzi, ale zawsze wraca, zobaczycie.

I ona również się oddaliła.

– Też pójde – postanowiła Renna, ale Leesha chwyciła ją za ramię.

Żona Arlena spojrzała groźnie, Zielarka jednak cofnęła tylko rękę i nie odstąpiła.

– Proszę, zostań przez chwilę.

Nawet ci z Północy boją się Par’china i jego *Jiwah Ka*, zauważyła Inevera. Zapamiętała tę informację, podczas gdy Leesha i Renna oddaliły się, aby porozmawiać na osobności.

– Ashanie, przejdź się ze mną – zwróciła się do *Damaji*.

Odeszli, pozostała część grupy trwała nieruchomo, wciąż odrętwiała z zaskoczenia.

– Nie mogę uwierzyć, że przepadł – powiedział cicho Ashan. On i Ahmann byli jak bracia przez prawie dwadzieścia lat. Ashan jako pierwszy *dama* poparł wyniesienie Ahmanna na stanowisko Shar'Dama Ka i niezachwianie wierzył w jego boskość. – To jak zły sen.

Inevera nie podjęła tematu.

– Musisz przejąć Tron z Czaszek jako Andrah. Tylko ty możesz to zrobić bez wywołania zamieszek i utrzymać go, jeśli mój mąż nie powróci.

Ashan pokręcił głową.

– Mylisz się, jeśli tak myślisz, Damajah.

– Takie było życzenie Shar'Dama Ka – przypomniała mu Inevera. – Złożyłeś przysięgę jemu i mnie.

– Na wypadek gdyby zginął w Nowiu podczas bitwy – zaoponował Ashan. – Nie zabity przez jakiegoś mieszkańca zielonych krain gdzieś na zapomnianym przez Everama stoku. Tron powinien przejąć Jayan albo Asome.

– Mój mąż powiedział ci, że jego synowie nie są jeszcze gotowi na takie brzemię. Myślisz, że to się zmieniło przez ostatnie dwa tygodnie? Moi synowie są przebiegli, lecz nie nabyli jeszcze mądrości. Kości przepowiedziały, że rozedrą Lenno Everama w walce o tron, a nawet jeżeli uda się któremuś wspiąć na szczyt po skrwawionych stopniach, nie utrzyma się u władzy do powrotu ojca.

– O ile Wybawiciel powróci.

– Powróci – zapewniła Inevera. – Zapewne ścigany przez wszystkie zastępy Otchłani. A wtedy będzie potrzebował całej armii Ala na swoje rozkazy. Na pewno nie będzie miał czasu ani ochoty na zamordowanie syna, żeby odzyskać władzę.

– Nie podoba mi się to – stwierdził Ashan. – Nigdy nie pragnąłem władzy.

– Oto właśnie *inevera* – odparła twardo. – Twoje pragnienia są nieistotne, a twoja pokora wobec Everama świadczy, że właśnie ty musisz przejąć tron.



– Tylko krótko – rozkazała Renna, gdy Leesha odprowadziła ją na bok. – Zmarnowałam już dość czasu na czekanie, aż się pojawicie. Arlen gdzieś tam jest i muszę go znaleźć.

– Nie wciskaj mi tego demoniego łajna – syknęła Leesha. – Nie znam cię za dobrze, Renno Bales, ale wiem, że nie czekałabyś na mnie i resztę ani chwili, gdyby ważyły się losy twojego męża. Ty i Arlen zaplanowaliście to wszystko. Dokąd poszedł? Co zrobił z Ahmannem?

– Zarcucasz mi kłamstwo? – warknęła Renna. Zmarszczyła groźnie brwi, zacisnęła pięści.

Ten pokaz gniewu upewnił tylko Leeshę, że jej domysły są słuszne. Tak naprawdę nie obawiała się ataku ze strony Renny, jednak na wszelki wypadek ukryła w dłoni szczyptę osłepiającego proszku. Użyłaby go w razie konieczności.

– Proszę. – Zielarka starała się, aby jej głos pozostał spokojny. – Jeżeli coś wiesz, powiedz mi. Przysięgam na Stwórcę, że możesz mi zaufać.

Wydawało się, że Renna trochę się uspokoiła na te słowa. Rozluźniła palce, ale nie opuściła rąk.

– Przeszukaj mnie, niczego nie ukrywam.

– Renno... – Leesha starała się nie stracić panowania nad sobą. – Wiem, że nie zaczęliśmy dobrze naszej znajomości. Nie masz powodu, żeby mnie lubić, ale to nie gra. Przez ukrywanie sekretów narażasz innych.

Renna parsknęła śmiechem.

– Przyganiał kociół garnkowi. – Puknęła Leeshę w pierś na tyle mocno, że Zielarka musiała się cofnąć. – To ty nosisz dziecko demona pustyni w swoim brzuchu. I myślisz, że to ja narażam swoich?

Leeshę ogarnął chłód, ale postąpiła krok naprzód, chociaż milczeniem potwierdziła domysły Renny.

– Kto ci naopowiadał takich bzdur? – wyszeptwała ochryple.

– Ty – stwierdziła Renna. – Mogę usłyszeć szmer skrzydeł motyla lecącego nad polem kukurydzy. Arlen też. Oboje słyszeliśmy, co powiedziałaś Jardirowi. Nosisz jego dziecko, ale sypiasz z hrabią, żeby go zrobić.

To była prawda. Idiotyczny podstęp matki, tak lekkomyślnie wprowadzony przez Leeshę w życie. Wątpliwe, aby dało się utrzymać prawdę w tajemnicy, na pewno nie po narodzinach, ale nastąpi to dopiero za siedem miesięcy, więc Leesha miała dość czasu, żeby się przygotować – albo uciec i znaleźć kryjówkę – zanim Krasjanie spróbują odebrać jej dziecko.

– Tym bardziej chcę wiedzieć, co stało się z Ahmannem. – Skrzywiła się w duchu, bo do jej głosu wkradły się

błagalne nuty.

– Nie mam pojęcia. – Renna wzruszyła ramionami. – Marnuję czas, który mogłabym poświęcić na szukanie.

Leesha pokiwała głową. Wiedziała, kiedy zostaje pokonana.

– Nie mów, proszę, Thamosowi. Sama mu to wyznam w odpowiednim czasie, przyrzekam. Ale nie teraz, gdy połowa krasjańskiej armii czai się o parę mil stąd.

Renna prychnęła.

– Nie jestem głupia. A tak w ogóle, jak to się stało, że Zielarka zaszła w ciążę? Nawet głupi Tanner wiedział, kiedy przerwać.

Leesha spuściła oczy. Nie mogła znieść uważnego spojrzenia drugiej kobiety.

– Zadawałam sobie samo pytanie. – Skrzywiła się. – Historia pełna jest ludzi, których rodzice nie pomyśleli.

– Nie pytałam o historię. – Renna nie spuszczała z Leeshy wzroku. – Pytałam, dlaczego najmądrzejsza kobieta w Zakątku ma siano w głowie. Nikt ci nie powiedział, skąd się biorą dzieci?

Na te słowa Leesha odsłoniła zęby w gniewnym grymasie. Ta kobieta miała rację, ale nie dawało jej to prawa, by osądzać innych.

– Skoro ty nie zdradzasz mi swoich sekretów, nie mam powodu, żeby powierzać ci moje. – Machnięciem ręki wskazała dolinę. – Idź. Udawaj, że szukasz Arlena, dopóki jesteś na widoku, a potem spotkaj się z nim w jakimś ustroniu. Nie będę cię zatrzymywać.

Renna uśmiechnęła się wyzywająco.

– Nie zdołabyś. – Jej postać rozmyła się w ruchu i znikła.

Dlaczego pozwoliłam, żeby dotknęły mnie jej słowa? – zastanawiała się Leesha. Pogłaskała lekko swój brzuch i wtedy już wiedziała.

Ponieważ Renna miała rację.

Leesha była pijana couzi za pierwszym razem, gdy pocałowała Ahmanna. Nie planowała, że będzie się z nim kochać tamtego popołudnia, ale też nie stawiała oporu, gdy chciał ją posiąść. Lekko myślnie założyła, że nie wytryśnie w niej przed ślubem. A przecież Krasjanie uznawali marnowanie nasienia przez mężczyznę za grzech. Leesha czuła, że Ahmann zaczął poruszać się szybciej i jęczeć, ale ani myślał się wycofać. W głębi duszy dziewczyna też tego chciała. Chciała poczuć, jak ten mężczyzna pulsuje w niej do końca, ryzykuje poczęcie. Właśnie to ryzyko podnieciło ją wtedy najbardziej.

Zamierzała jeszcze tamtej nocy naparzyć sobie herbaty, która zapobiegłaby ciąży, ale nie spodziewała się, że zostanie porwana przez strażniczkę Inevery, a potem u boku Damajah stoczy bitwę z demonem umysłu. Następnego dnia Leesha zażyła podwójną dawkę, a potem codziennie piła herbatę, gdy spała z Ahmannem, ale jak kiedyś powiedziała jej mentorka Bruna: „Cokolwiek by się zrobiło, silnemu dziecku czasami udaje się przeżyć”.



Inevera przyjrzała się Thamosowi, książętku z zielonych krain, gdy stał przed Ashanem. Był to duży mężczyzna, wysoki, muskularny i niepozbowiony wdzięku. Poruszał się jak wojownik.

– Domyślam się, że chcecie przeszukać dolinę ze swoimi ludźmi – powiedział.

Ashan potwierdził skinieniem głowy.

– A wy ze swoimi.

Thamos również odpowiedział potaknięciem.

– Stu ludzi z każdej armii?

– Pięciuset – sprostował Ashan. – Zastosują się do rozejmu *Domin Sharum*.

Inevera dostrzegła, że hrabia zaciska zęby. Pięciuset ludzi było niczym dla Krasjan, stanowiło niewielki oddział w armii Wybawiciela. Ale było to więcej, niż Thamos by sobie życzył. Nie chciał uszczuplać tak bardzo swoich sił.

Nie miał jednak wyboru, musiał się zgodzić.

– Skąd mam wiedzieć, że wasi wojownicy utrzymają pokój? Nie chciałbym, żeby ta dolina zamieniła się w pole bitwy.

– Moi wojownicy będą nosić zasłony nawet w dzień – zapewnił Ashan. – Nie ośmielę się naruszyć rozejmu. Martwią mnie wasi ludzie. Nie zniósłbym, gdyby spotkała ich krzywda z powodu zwykłego nieporozumienia.

Książę skrzywił się gniewnie na te słowa.

– Sądzę, że wysłanie ich do doliny uznają za wystarczającą krzywdę. Ale jak ukrywanie twarzy ma zapewnić

pokój? Człowiek z zasłoniętą twarzą nie lęka się kary za swoje czyny.

Ashan pokręcił głową.

– To prawdziwy cud, że wam, dzikusom, udawało się tak długo przetrwać noc. Mężczyźni pamiętają twarze tych, którzy ich obrazili, a takie urazy trudno zapomnieć. Nosimy zasłony w nocy, dzięki czemu wszyscy mogą walczyć jak bracia i zapomnieć o waśniach. Jeżeli wasi ludzie zasłonią twarze, nie będzie żadnego przelewu krwi w tej zapomnianej przez Everama dolinie.

– Dobrze – zgodził się hrabia. – Tak się stanie. – Skłonił się lekko, ledwie okazując szacunek człowiekowi, który go po wielokroć przewyższał, po czym odwrócił się i odszedł. Pozostali cudzoziemcy poszli za swoim książątkiem.

– Obcy zapłacą za ten brak szacunku – stwierdził Jayan.

– Może – odparła Inevera. – Ale nie dzisiaj. Musimy jak najszybciej wrócić do Lenna Everama.



1

Poszukiwania

333 ROK PLAGI, JESIEŃ

Jardir obudził się o zmierzchu, w głowie mu szumiało. Leżał na posłaniu ludzi z Północy – z jedną ogromną poduszką zamiast wielu małych. Pościel okazała się szorstka, nie to, co jedwab, do którego przywykł. Znajdował się w okrągłym pomieszczeniu z oknami z runicznego szkła wokół. Chyba była to jakaś wieża. W promieniach zachodzącego słońca za oknami rozciągała się tętniąca życiem kraina, ale Jardir nie rozpoznawał tej okolicy.

W jakiej części Ala się znalazłem?

Poczuł ból, gdy się poruszył, ale ból był starym towarzyszem, poznanym i zapomnianym. Jardir dźwignął się do pozycji siedzącej, nie zważając na sztywne nogi. Odrzucił pled. Opatrunki i łupki sięgały od kostek po uda. Z gipsu wystawały opuchnięte palce stóp – czerwone, fioletowe i żółte. Prawie mógłby do nich sięgnąć. Prawie. Poruszył nimi na próbę, nie zważając na ból, i z zadowoleniem obserwował lekkie ruchy.

Wspomniał, jak w młodości złamał ramię i bezradny musiał tygodniami czekać na zrośnięcie.

Odruchowo wyciągnął rękę do szafki nocnej po koronę. Nawet w dzień było w niej dość magii, aby wystarczyło do uleczenia złamanych kości, zwłaszcza już nastawionych.

Natrafił na pustkę. Jardir odwrócił się i tylko patrzył, zanim zrozumiał sytuację. Od wielu lat zawsze miał koronę i włócznię w zasięgu ręki, ale teraz obu brakowało.

Zalała go fala wspomnień z walki na szczycie góry. Pojedynek z Par'chinem. Jardir upadł i uderzył w ziemię, ale syn Jepha rozwiął się w dym, a potem zmaterializował znowu, chwycił włócznię z nieludzką siłą i wyrwał ją z rąk przeciwnika.

A potem Par'chin odwrócił się i cisnął włócznię w przepaść jak ogryzioną skórkę arbuza.

Jardir oblizwał spękane wargi. Czuł suchość w ustach, pęcherz miał pełny, ale zadbano o obie potrzeby. Woda zostawiona przy posłaniu smakowała słodczą, a tuż pod łóżkiem wymacał nocnik, z którego udało mu się skorzystać.

Pierś miał starannie obandażowaną. Żebra zgrzytnęły, gdy Jardir zmienił pozycję. Ramiona okrywała mu cienka szata – brązowa, jak się okazało. Zapewne przejaw poczucia humoru Par'china.

W pomieszczeniu nie było drzwi, tylko schody wiodące na dół. W obecnym stanie stanowiły dla Jardira równie nieprzebytą barierę jak więzienne kraty.

Nie znalazł innych drzwi ani schodów. Należało sądzić, że uwięziono go na szczycie wieży. Pomieszczenie okazało się umeblowane skromnie – stolik przy posłaniu, tylko jedno proste krzesło.

Stopnie zaskrzybiały i Jardir zamarł, nasłuchując. Został co prawda pozbawiony korony i włóczni, ale lata wchłaniania magii uformowały jego śmiertelne ciało na obraz i podobieństwo Everama. Miał sokoli wzrok, węch jak wilk i słuch jak nietoperz.

– Na pewno sobie z nim poradzisz – rozległ się głos Pierwszej Żony Par’china. – Chociaż chciał cię zabić nad tą przepaścią.

– Nie martw się, Ren – odpowiedział Arlen. – Nie ma włóczni, więc nie może mnie zranić.

– Może w świetle dnia – zaproponowała Renna.

– Nie z obiema połamanymi nogami – stwierdził syn Jepha. – Wiem to, Ren. Słowo.

Jeszcze zobaczymy, Par’chin.

Potem rozległo się cmoknięcie przy pocałunku, którym Arlen uciszył protesty swojej *jiwah*, i kolejne słowa:

– Musisz zostać w Zakątku i mieć baczenie na wszystko. Idź, zanim ktoś nabierze podejrzeń.

– Leesha już nabrała podejrzeń – prychnęła Renna. – Jej domysły nie są dalekie od prawdy.

– Dopóki to tylko domysły, nie ma się czym przejmować. Udawaj głupią, niezależnie od tego, co zrobi lub powie Leesha.

Renna roześmiała się cicho.

– Ach, to żaden problem. I tak ma ochotę splunąć na mój widok.

– Nie trać na to za wiele czasu. Musisz przede wszystkim chronić Zakątek i pozostać niezauważona. Wzmacniaj ludzi, ale pozwól im działać samodzielnie. Prześlizgnę się tam, gdy będę mógł, ale tylko żeby cię zobaczyć. Nikt inny nie może wiedzieć, że przeżyłem.

– Nie podoba mi się to ani trochę. Mąż i żona nie powinni się tak rozdzielać.

Par’chin westchnął.

– Nic nie można na to poradzić, Ren. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Nie mogę przegrać. Zobaczymy się niedługo.

– Dobrze – zgodziła się Renna. – Kocham cię, Arlenie Bales.

– Kocham cię, Renno Bales – odpowiedział Par’chin. Znowu się pocałowali, a potem Jardir usłyszał pośpieszne kroki, gdy kobieta schodziła z wieży. Par’chin zaś zaczął się wspinać.

Ahmann zastanowił się, czy nie udać, że śpi – może coś by odkrył, zyskał element zaskoczenia.

Ale zaraz tylko pokręcił głową. Jestem Shar’Dama Ka. To poniżej mojej godności. Spojrzę Par’chinowi prosto w oczy i przekonam się, co zostało z mężczyzny, którego kiedyś znałem.

Podparł się na łokciu, opanowując ból przeszywający nogi. Na twarz przywołał wyraz spokoju i powagi. Par’chin wszedł do pomieszczenia. Syn Jepha nosił proste ubranie, podobne do tego, które miał przy ich pierwszym spotkaniu – wyblakłą bawełnianą koszulę i znoszone, wytarte spodnie. Nawet skórzana torba Posłańca na ramieniu wyglądała tak samo. Par’chin nie nosił obuwia, rękawy koszuli podwinął, aby odsłonić runy, które wytatuował sobie na skórze. Włosy barwy piasku ogolił, a twarz ze wspomnień Jardira była ledwie rozpoznawalna pod symbolami.

Nawet bez korony Jardir wyczuł moc tych symboli, ale za tę moc Par’chin zapłacił wysoką cenę. Ten mężczyzna przypominał kartę ze świętego zwoju o runach.

– Coś ty sobie uczynił, stary przyjacielu? – Jardir nie zamierzał wypowiadać tych słów na głos, ale coś mu kazało.

– Masz czelność nazywać mnie przyjacielem po tym, co zrobiłeś? – prychnął syn Jepha. – Nie uczyniłem sobie tego sam. To twoje dzieło.

– Moje? Nie ja wzięłem atrament i sprofanowałem nim swoje ciało.

Par’chin tylko pokręcił głową.

– Zostawiłeś mnie na pustyni, bez broni i wsparcia. Zostawiłeś mnie na pewną śmierć. Wiedziałaś, że nie pozwolę, żeby dopadły mnie *alagai*. Moje ciało było jedyną ochroną, jaka mi pozostała.

Te słowa wyjaśniły Jardirowi, jak Par’chin przeżył. Wyobraził sobie przyjaciela samego wśród diun, spragnionego i zakrwawionego... i walczącego z *alagai* gołymi rękami.

To było wspaniałe.

Evejah zakazywała tatuazu. Jak i wielu innych rzeczy. A Jardir na nie zezwolił ze względu na *Sharak Ka*. Chciałby potępić Par’china, ale prawda w słowach cudzoziemca zdławiła mu głos.

Ahmann zadrżał, gdy ogarnęły go wątpliwości. Wszystko działało się z woli Everama. Przeżycie Par’china i ponowne z nim spotkanie to przecież *inevera*. Kości twierdziły, że każdy z nich może być Wybawicielem. Jardir podporządkował swoje życie tylko jednemu celowi, chciał być wart tego tytułu. Odczuwał dumę z dotychczasowych osiągnięć, ale nie zdołałby zaprzeczyć, że jego *ajin’pal*, odważny cudzoziemiec, mógł w oczach Everama okazać się bardziej godny tego zaszczytu.

– Igrasz z rytuałem, którego nie rozumiesz, Par’chinie – stwierdził Jardir. – *Domin Sharum* jest na śmierć i życie.

Zwyciężyłeś. Dlaczego zatem nie zajmiesz należnego ci miejsca na czele i nie poprowadzisz Pierwszej Wojny?

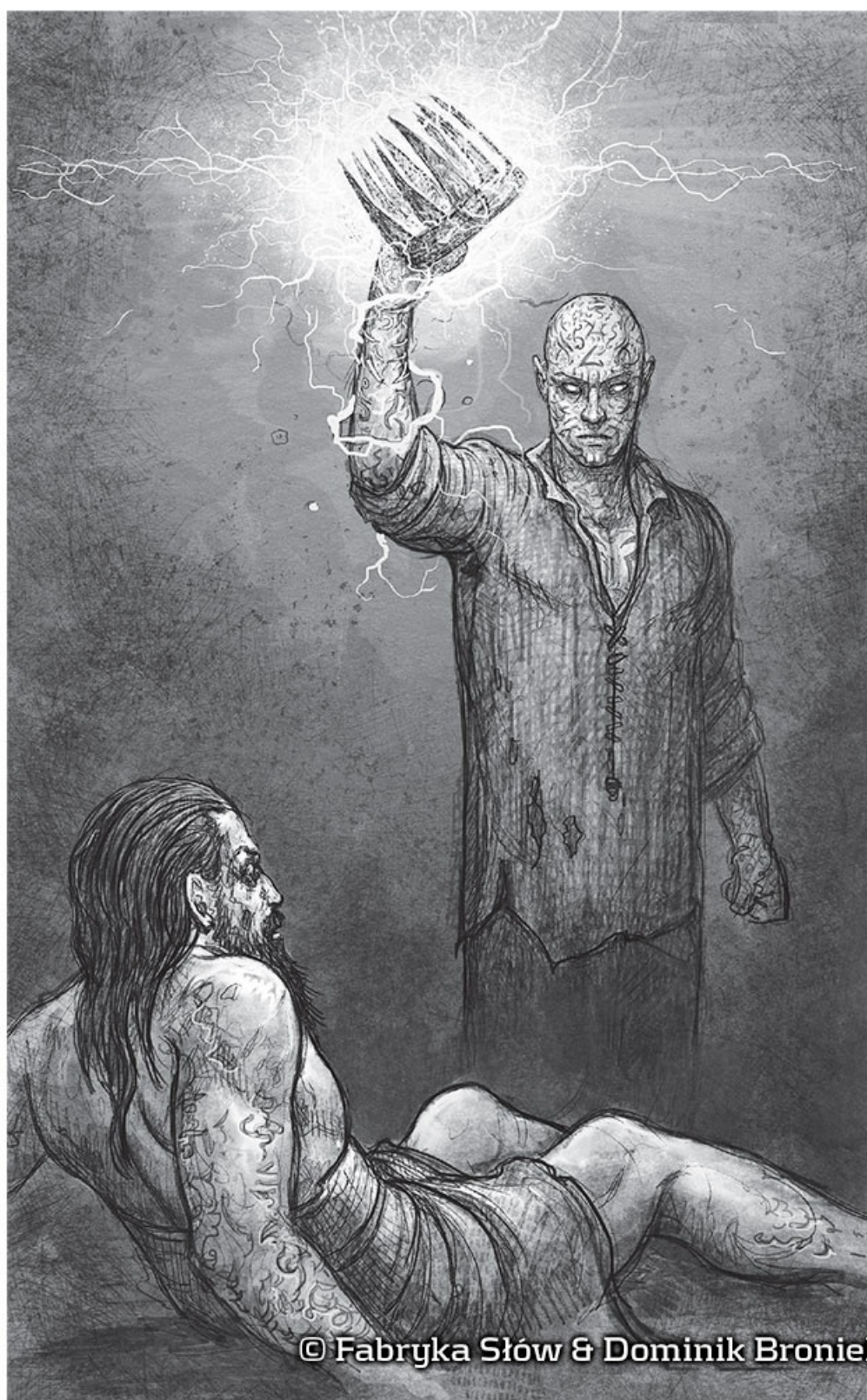
Par'chin westchnął.

– Twoja śmierć to żadne zwycięstwo, Ahmannie.

– Przyznajesz zatem, że jestem Wybawicielem? – upewnił się Jardir. – Jeżeli tak, zwróć mi włócznię i koronę, uderz przede mną czołem w podłogę, a zakończymy sprawę. Wszystko zostanie wybaczone i znowu będziemy mogli stawić czoła Nie ramię w ramię.

Par'chin tylko prychnął. Postawił na stoliku swoją torbę, sięgnął do środka. Korona Kajiego lśniła jasno w zapadającej ciemności, jej dziewięć klejnotów migotało. Jardir nie mógł ukryć pragnienia, aby ją założyć. Gdyby nogi mogły go utrzymać, rzuciłby się, żeby ją odebrać.

– Korona jest tutaj. – Par'chin zakręcił nią na palcu jak dziecinną zabawką. – Ale włócznia nie należała do ciebie. Mimo wszystko postanowiłem ci ją podarować. Na razie jednak ukryłem ją tam, gdzie nigdy nie znajdziesz, nawet gdy będziesz miał już sprawne nogi.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

– Święte przedmioty muszą być razem – zaprotestował Jardir.
Par’chin znowu westchnął.

– Nic nie jest święte, Ahmannie. Powiedziałem ci kiedyś: Niebiosa to kłamstwo. Zagroziłeś, że mnie zabijesz, jeśli to powtórzę, ale groźba nie sprawi, że te słowa przestaną być prawdziwe.

Jardir otworzył usta, aby wyrazić wzbierający gniew, ale Par’chin uciszył go, gdy złapał mocno i uniósł koronę. Wtedy runy na jego skórze zamigotały lekko, a znaki na koronie zaczęły świecić.

– To tylko cienka obręcz z czaszki i dziewięciu rogów demona umysłu. – Par’chin spojrzał na przedmiot w swoich dłoniach. – Pokryta runicznym stopem srebra i złota. Jej moc ogniskowana jest przez klejnoty. Majsterszyk twórcy runów, ale nic więcej. – Uśmiechnął się. – Prawie jak twój kolczyk.

Zaskoczony Jardir uniósł dłoń, aby dotknąć ucha, w którym nosił ślubny klejnot.

– Chcesz powiedzieć, że ukradłeś mi nie tylko tron, lecz także Pierwszą Żonę?

Par'chin parsknął śmiechem, szczerym i tubalnym, jakiego Ahmann nie słyszał od lat. Śmiechem, który świadczył, że riposta Jardira była całkowicie chybiona.

– Nie wiem, co byłoby dla mnie większym ciężarem. Nie chcę ani jednego, ani drugiego. Mam żonę, a mój lud uważa, że jedna zupełnie wystarczy.

Jardir czuł uśmiech cisnący mu się na usta i nie zamierzał tego ukrywać.

– Godna *Jiwah Ka* jest zarówno wsparciem, jak i ciężarem, Par'chinie. Takie kobiety to wyzwanie, żebyśmy stawali się lepszymi ludźmi, co nie zawsze jest łatwe.

– Szczera prawda – przytaknął Par'chin.

– Dlaczego zatem ukradłeś mój kolczyk? – zainteresował się Jardir.

– Tylko wziąłem go na przechowanie, dopóki znajdujesz się pod moim dachem. Nie mogłem pozwolić, żebyś wezwał pomoc.

– He?

Par'chin przekrzywił głowę, a Jardir poczuł, jak to spojrzenie przenika mu duszę. Zupełnie tak samo Ahmann wykorzystywał dar patrzenia w duszę dzięki koronie. Ale jak ten cudzoziemiec robił to bez niej?

– Nie wiesz – mruknął syn Jepha, a potem znowu parsknął śmiechem. – Udzielasz mi rad w sprawach małżeńskich, podczas gdy sam jesteś szpiegowany przez własną żonę!

Szyderstwo w jego głosie rozgniewało Jardira. Ahmann zmarszczył brwi, choć starał się zachować opanowany wyraz twarzy.

– Co to niby ma znaczyć?

Par'chin sięgnął do kieszeni i wyjął kolczyk. Było to proste kółko ze złota, z delikatnym runicznym wisiorkiem.

– W tym jest kawałek kości demona, drugi znajduje się w uchu twojej żony. Pozwala jej słyszeć to samo co ty.

Nieoczekiwanie Jardir poznał odpowiedzi na wiele pytań. Choćby to, skąd żona wiedziała o wszystkich jego planach i sekretach. Wiele ujawniały jej kości, ale *alagai hora* często przemawiały zagadkami. Powinien się już dawno domyślić, że przebiegła Inevera nie będzie polegać tylko na wróżbach.

– Zatem wie, że mnie porwał? – zapytał Par'china.

Mężczyzna pokręcił wytatuowaną głową.

– Zablokowałem moc tych kolczyków. Twoja żona nie zdoła cię odszukać, dopóki nie skończymy.

Jardir splótł ramiona na piersi.

– Co skończymy? Nie pójdziesz za mną ani ja za tobą. Mamy taki sam impas jak pięć lat temu w Labiryncie.

Par'chin przytaknął.

– Nie zdobyłeś się wtedy, żeby mnie zabić, ale mnie zmusiło to do zmiany mojego spojrzenia na świat. Ofiaruję ci to samo. – Rzucił Jardirowi koronę przez pokój.

Ahmann złapał ją odruchowo.

– Dlaczego mi ją zwracasz? Przecież to uzdrowi moje rany. Trudniej ci będzie zatrzymać mnie w tej wieży.

Par'chin wzruszył ramionami.

– Nie myśl, że uda ci się stąd wyjść. Nie masz włóczni. A z korony na wszelki wypadek wysłałem moc. Niewiele magii z Otchłani ulatuje tak wysoko. – Wskazał na okna wzdłuż obwodu ściany. – A słońce każdego ranka oczyszcza ten pokój. Dzięki koronie będziesz mógł widzieć więcej, ale nic poza tym, dopóki ponownie nie napełnisz jej magią.

– Dlaczego więc mi ją zwracasz?

– Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać. I chcę, żebyś podczas tej rozmowy widział moją aurę. Chcę, żebyś zobaczył prawdę moich słów, siłę moich przekonań, wszystko, co wypływa prosto z duszy. Może wtedy uda ci się pojąć.

– Co pojąć? Że Niebiosa to kłamstwo? Nic, co płynie z twojej duszy, nie zmusi mnie do porzucenia tego, w co wierzę, Par'chinie. – Mimo wszystko Jardir założył koronę.

Pomieszczenie pojaśniało, choć za oknami zapadała ciemność. Ahmann odetchnął z ulgą, jak ślepiec z Evejah, któremu Kaji przywrócił wzrok.

Za oknami krajobraz cieni i niewyraźnych kształtów zmienił się w ostry, wyraźny obraz, rozświetlony magią sączącą się z Ala. Wszystkie żywe stworzenia nosiły w swoim wnętrzu iskrę mocy, a Jardir widział teraz siłę emanującą z pni drzew, mech wczepiony w korę i każde zwierzę zamieszkujące konary. Magia migotała w trawiastej równinie, ale przede wszystkim w demonach przemykających po tej ziemi i unoszących się w podmuchach wiatru. *Alagai* płonęły jak latarnie i budziły w Ahmannie pierwotne pragnienie, aby ruszać na polowanie i zabić.

Pomieszczenie, jak uprzedził Par'chin, było ciemniejsze. Wątle smużki mocy unosiły się przy ścianie wieży. Przyciągały je runy wtopione w szyby. Znaki zamigotały – tarcza ochronna przed *alagai*.

Jednak w tej ciemnej komnacie Par'chin błyszczał jaśniej niż demony. Tak jasno, że powinien oślepieć. Lecz wcale

tak się nie działo. Wręcz przeciwnie, magia wyglądała wspaniale, bogata i kusząca. Jardir sięgnął po nią przez koronę, aby choć trochę uszczknąć dla siebie. Nie za wiele, bo syn Jepha mógłby wyczuć Pobieranie, najwyżej odrobinę, dość, by przyspieszyć zdrowienie. Pasma mocy przemknęło do Ahmanna jak smużka dymu.

Par'chin zgolił sobie brwi, ale znaki nad lewym okiem uniosły się znacząco. Jego aura się zmieniła, ujawniła jednak rozbawienie raczej niż urazę.

– A-ha. Zdobądź własną. – Nieoczekiwanie magia zawróciła i została Pobrana przez cudzoziemca.

Jardir utrzymał nieprzenikloną twarz, chociaż wątpił, czy robiło to jakąkolwiek różnicę. Syn Jepha miał rację. Mógł czytać aurę, widzieć każde uczucie, a jego adwersarz potrafił to samo. Par'chin był spokojny i skupiony, ale nie zamierzał wyrządzić Ahmannowi krzywdy. Nie było w nim fałszu, tylko znużenie i obawa, że Jardir okaże się zbyt uparty, sztywny i nie zechce przemyśleć tego, co usłyszy.

– Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego tu jestem, Par'chinie – zażądał Ahmann. – Jeżeli twoim celem naprawdę jest pozbycie się *alagai*, jak zawsze powtarzałeś, dlaczego stanąłeś przeciwko mnie? Jestem bliski spełnienia twoich marzeń.

– Nie tak bliski, jak ci się wydaje – zaprzeczył Par'chin. – A sposób, w jaki to robisz, budzi moją odrazę. Zniewoliłeś ludzi, zastraszyłeś ich i zmusiłeś do walki o ocalenie, nie obchodzi cię, za jaką cenę. Wy, Krasjanie, nosicie czerni i biel, ale świat nie jest taki prosty. Świat ma barwy, w tym całkiem sporo odcieni szarości.

– Nie jestem głupcem, Par'chinie.

– Czasami się zastanawiam – odgryzł się syn Jepha, a jego aura poświadczyła, że to prawda. Zabrzmiało to gorzko, że stary przyjaciel, którego Jardir tyle nauczył i zawsze darzył szacunkiem, ma o nim tak niskie mniemanie.

– Dlaczego zatem mnie nie zabiłeś i nie wzięłeś dla siebie włóczni i korony? Świadców naszego pojedynku wiązałeś honor. Moi ludzie uznaliby cię za Wybawiciela i ruszyli za tobą na *Sharak Ka*.

Przez spokojną aurę Par'china przetoczyła się fala irytacji.

– Nie rozumiesz – warknął. – Żaden ze mnie Wybawiciel! Z ciebie też! Wybawieniem są wszyscy ludzie jak jeden mąż, nie jeden mąż z całej ludzkości. Everam to tylko nazwa nadana idei, nie jakiś olbrzym w niebie, który walczy z mrokiem przestrzeni kosmosu.

Jardir zacisnął usta, choć zdawał sobie sprawę, że Par'chin dostrzeże w aurze rozbłysk gniewu rozpalonego bluźnierstwem. Wiele lat temu Ahmann przyrzekł, że zabije Par'china, jeśli ten jeszcze raz powie coś podobnego. W aurze przyjaciela Jardir odczytał wyzwanie.

Pokusa była, niestety, silna. Ahmann nie zdążył jeszcze sprawdzić mocy korony przeciwko Par'chinowi – z artefaktem nie był już tak bezradny, jak się mogło wydawać.

Jednak coś go powstrzymywało. W aurze *ajin'pal* dostrzegał coś jeszcze. Par'chin był gotów stanąć do walki, ale nad nim unosił się obraz *alagai* tańczących na zgliszczach świata.

Jardir bał się, że ta wizja się spełni, jeżeli obaj nie odnajdą porozumienia.

Zaczerpnął tchu, zebrał swój gniew i wypuścił go wraz z wydechem. Stojący naprzeciw Par'chin nie drgnął nawet, ale jego aura wygładziła się jak u *Sharum*, który opuścił włócznię.

– Jakie ma znaczenie, czy Everam to olbrzym w niebie, czy nazwa określająca honor i odwagę, które pozwalają nam stawić czoła nocy? – odezwał się wreszcie Jardir. – Jeżeli ludzkość ma działać jak jeden mąż, musi mieć przywódcę.

– Takiego demona umysłu do poprowadzenia swoich poddanych? – rzucił Par'chin, aby złapać Ahmanna w pułapkę logiczną.

– Właśnie – przytaknął Jardir. – Świat *alagai* zawsze był odbiciem naszego.

Par'chin skinął głową.

– Tak, w wojnie generałowie są niezbędni, ale powinni służyć swoim ludziom, nie odwrotnie.

Tym razem to Jardir uniósł brew.

– Uważasz, że nie służę swoim ludziom? Nie jestem Andrahem, który obżera się i tyje na tronie, podczas gdy jego ludzie wykrwawiają się i głodują. Na moich ziemiach nie ma głodu. Ani zbrodni. A ja osobiście wychodzę w noc, żeby zapewnić swoim poddanym bezpieczeństwo.

Par'chin roześmiał się, ochryple i drwiąco. Jardir obraziłby się, gdyby nie oburzenie widoczne w aurze starego przyjaciela.

– Właśnie dlatego to takie ważne – stwierdził Par'chin. – Ponieważ ty wierzysz w to demonie łajno! Przybyłeś na ziemię, które nie należą do ciebie, zamordowałeś tysiące mężczyzn, zgwałciłeś ich kobiety i zniewoliłeś dzieci, a jednak uważasz, że duszę masz czystą, ponieważ ich święta księga różni się odrobinę od twojej! Owszem, odganiaasz od nich demony, ale kury, którym obcina się głowy, nie wzywają Wybawiciela rzeźnika, aby chronił je przed lisem.

– *Sharak Ka* się zbliża, Par'chinie – zauważył Jardir. – Przemieniłem te kury w sokoły. Mężczyźni z Lenna

Everama chronią ich kobiety i dzieci.

– Podobnie jak mieszkańcy Zakątka – odparł Par'chin. – Ale żaden mężczyzna nie zabija innego. Żadna kobieta nie zostaje zgwałcona. Żadnego dziecka nie wyrwa się z ramion matki. Nie zmieniamy się w demony tylko po to, żeby z nimi walczyć.

– Tak właśnie o mnie myślisz? Uważasz mnie za demona?

Par'chin uśmiechnął się gorzko.

– Wiesz, jak nazywa cię mój lud?

„Demon pustyni”. Jardir słyszał to wiele razy, choć tylko mieszkańcy Zakątka ośmielali się używać tego przezwiska otwarcie. Skinął głową.

– Twój lud to głupcy, Par'chinie. Ty też, jeżeli bierzesz mnie za *alagai*. Może nie mordujecie i nie gwałcicie, ale też nikt z was nie dąży do zjednoczenia. Włodarze z Północy biją się o władzę i ulegają jej żądzy, podczas gdy Otchłań otwiera się przed nimi gotowa wypluć zastępy Nie. Pani demonów nie dba o waszą moralność. Nie obchodzi jej, kto jest niewinny, a kto się sprzedał. Nie obchodzą jej nawet własne *alagai*. Ma tylko jeden cel: zetrzeć życie z oblicza ziemi. Twój lud żyje pożyczonym czasem, Par'chinie. Pożyczonym pod zastaw dnia, w którym rozpocznie się *Sharak Ka*. Wtedy twoja słabość uczyni z nich pokarm Otchłani. A ty będziesz żałował, że nie masz u boku tysięcy morderców, tysiący tysięcy, jeżeli tyłu będzie potrzebnych do nadchodzącej walki.

Par'chin tylko kręcił głową ze smutkiem.

– Jesteś jak koń z przysłoniętymi oczami, Ahmannie. Dostrzegasz tylko to, co zgadza się z twoimi przekonaniem, a ignorujesz resztę. Pani demonów nie dba o nic, ponieważ ona po prostu NIE ISTNIEJE.

– Słowa nie sprawią, że to będzie rzeczywiste, Par'chinie. Słowa nie zabijają *alagai* ani nie sprawią, że Everam zniknie. Słowa nie zjednoczą nas na *Sharak Ka*, zanim będzie za późno.

– Mówisz o jedności, a nie rozumiesz znaczenia tego słowa – prychnął syn Jepha. – To, co nazywasz jednością, dla mnie jest wynaturzeniem. Niewolnictwem.

– Jedność celu, Par'chinie. Wszyscy dążący do tego samego celu. Pozbycie się demoniego rodzaju z oblicza Ala.

– Żadna to jedność, skoro jej utrzymanie zależy od jednego człowieka – zaproponował Naznaczony. – Wszyscy jesteśmy śmiertelni.

– Jedności, którą wprowadziłem, nie uda się tak łatwo odrzucić.

– Nie? – Arlen uśmiechnął się lekko. – Wiele się nauczyłem podczas mojej bytności w Lennie Everama, Ahmannie. Panowie Północy nie znaczą nic dla twoich ludzi. Ale twoi *dama* nie posłuchają rozkazów Jayana. Twoi *Sharum* nie pójda za Asome. Żaden z wojowników nie posłucha Inevery, a *Damaji* pozabijają się nawzajem, gdy tylko zasiądą przy tym samym stole. Nie ma nikogo, kto mógłby zdobyć tron bez wojny domowej. Twoja bezcenna jedność zawali się szybko jak zamek z piasku.

Jardir zacisnął zęby, aż zgrzytnęły. Par'chin się nie mylił, niestety. Inevera jest sprytna i przez jakiś czas zdoła utrzymać porządek, ale nie na długo. Jej mąż musi wrócić jak najszybciej, inaczej zebrana z takim trudem armia zwróci się przeciwko sobie tuż przed rozpoczęciem *Sharak Ka*.

– Jeszcze nie umarłem – zauważył Jardir.

– Nie, ale nieszybko powrócisz do swoich – odparł syn Jepha.

– Jeszcze zobaczymy, Par'chinie...

Bez ostrzeżenia Jardir sięgnął przez koronę i zaczął Pobierać magię Arlena. Aura przeciwnika eksplodowała zaskoczeniem, a potem rozproszyła się, gdy Ahmann wchłonął skradzioną moc.

Magia przepłynęła przez ciało Jardira, spoiła rozerwane mięśnie i zgruchotane kości, dodała sił. Mężczyzna zwinnie pozbył się opatrunków z torsu i usztywnień na nogach. Zerwał się z posłania i rzucił na przeciwnika.

Par'chin zdołał na czas odzyskać równowagę, ale zastosował tylko obronę *Sharum*, nie znał sztuki walki uczonej w Sharik Hora. Jardir z łatwością się wyslizgnął i zastosował chwyt obezwładniający. Twarz Arlena poczerwieniała, gdy walczył o oddech.

Zaraz jednak mężczyzna rozwiął się jak mgła. Tak samo zrobił podczas walki nad przepaścią. Jardir stracił równowagę, ale nie upadł – przeciwnik chwycił go za rękę i nogę, po czym cisnął przez całą szerokość komnaty. Ahmann uderzył w okno tak mocno, że jego kości, choć wzmocnione magią, trzasnęły jak patyki. Tylko na szkłe nie została choćby rysa.

Nad ziemią unosiła się wątpa smużka magii. Jardir Pobrał ją, aby uleczyć złamania, zanim jeszcze poczuł ból.

Par'chin zniknął spod ściany i pojawił się tuż obok, ale Ahmann tym razem nie dał się nabrać na tę sztuczkę. Gdy tylko mgła zaczynała się formować, zrobił unik i wyprowadził dwa ciosy, zanim przeciwnik znowu się rozwiął.

Szarpali się tak raz po raz – Par'chin pojawiał się i znikał, zanim Jardir zdążył wyrządzić mu krzywdę, ale sam nie mógł odpowiedzieć ciosem na cios.

– Daruj sobie, Ahmannie! – zawołał Naznaczony. – Nie mamy na to czasu!

– Z tym się zgadzam. – Jardir wyprostował się i przybrał poprawną pozycję bojową. Rzucił jedynym krzesłem w przeciwnika, który przewidywalnie rozwiął się w mgłę, chociaż mógł łatwo zrobić unik.

Twoja moc czyni cię niedbałym, Par’chinie, pomyślał Ahmann, gdy rzucił się do schodów.

– Nigdzie nie pójdziesz! – warknął Naznaczony, gdy wyrysował w powietrzu run.

Jardir dostrzegł wzbierającą magię. Pędziła na niego z siłą, jaka zwałiłaby wojownika z nóg jak gigantyczny młot. Nie miał czasu na unik, więc musiał przyjąć cios. Rozluźnił się, aby zamortyzować nieuchronny upadek.

Ale uderzenie nie przyszło. Korona Kajiego rozgrzała się i błysnęła, wciągając magię. Odruchowo Ahmann również nakreślił run, aby zmienić moc w czyste uderzenie gorąca, które mogłoby obrócić w popiół tuzin drzewnych demonów.

Par’chin tylko uniósł dłoń. Pobrał magię z powrotem dla siebie. Jardir, oszołomiony gwałtownym ubytkiem mocy, mógł tylko patrzeć.

– Będziemy się tak bawić całą noc? – Par’chin rozwiął się i ucieleśnił między Ahmannem i schodami. – Nie wypuszczę cię z tej wieży.

Jardir złożył ramiona na piersi.

– Nawet ty nie zdołasz mnie tu trzymać wiecznie. Wkrótce wszędzie słońce, a wtedy twoje demony sztuczki i magia *hora* przestaną działać.

Par’chin rozłożył ręce.

– Nie będę musiał. Gdy wszędzie słońce, zostaniesz tu z własnej woli.

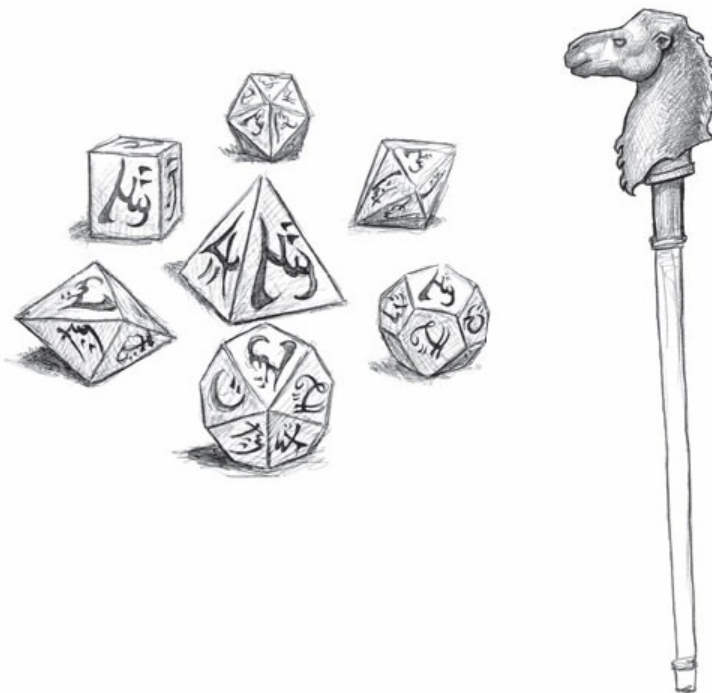
Ahmann już miał się roześmiać, ale to, co zobaczył w aurze Naznaczonego, powstrzymało wybuch wesołości. Ten człowiek w to wierzył. Wierzył, że jego słowa okazały się przekonujące jak nic innego na świecie.

– Dlaczego mnie tu zamknąłeś, Par’chinie? – zapytał Jardir po raz ostatni.

– Aby przypomnieć ci, kto jest prawdziwym wrogiem – odpowiedział Par’chin z powagą. – I prosić o pomoc.

– Dlaczego miałbym ci pomóc?

– Ponieważ trzeba złapać demona umysłu i zmusić go, żeby zabrał nas do Otchłani... Pora przenieść walkę na teren *alagai*.



2

Pustka

333 rok plagi, jesień

Powróciwszy do obozu, Inevera nie traciła czasu. Podczas gdy Ashan ze spokojem wybierał wojowników do poszukiwań, reszcie zaś nakazał zwinąć obóz, Pierwsza Żona Wybawiciela wezwała Abbana na prywatną audiencję w pawilonie Shar'Dama Ka.

Sharum zaczęli już się zastanawiać, dlaczego Wybawiciel nie powrócił. Nie pojawiło się także żadne oficjalne ogłoszenie dotyczące pojedynku i wyniku tego starcia. Wkrótce jednak rozniosą się pogłoski i co bardziej ambitni Krasjanie zaczną szukać okazji do wykorzystania nieobecności przywódcy. Co bardziej przebiegli już knuli intrygi i natychmiast wprowadzą swe plany w życie, gdy tylko okaże się, że poszukiwania nie dały rezultatu. Co bardziej pochwopni i niecierpliwi mogą w ogóle nie czekać na powrót wojowników.

Było oczywiste, że Abban zdaje sobie sprawę z sytuacji, gdy wszedł do pawilonu otoczony swoimi *kha'Sharum*. *Dal'Sharum* nadal krzywili się na zbrojnych w brązowych szatach, ale eunuchów, których Inevera posłała na przespiesi do oddziałów Abbana, znaleziono martwych, a to wiele mówiło o umiejętnościach wojowników *khaffit*. Inevera dostrzegła też lśnienie mocy na ostrzach broni i w ekwipunku, starannie ukrywanych pod wytartą skórą i malunkami. Nawet elitarne oddziały Włóczni Wybawiciela, z tarczami i włóczniami o ostrzach z runicznego szkła, nie były wyposażone lepiej.

Urosłeś w siłę, *khaffit*. Stajesz się coraz potężniejszy.

Ta myśl nie spodobała się Ineverze, ale też nie budziła takiego niepokoju jak kiedyś. Parę tygodni temu nie rozumiała, dlaczego kości przepowiedziały, że losy jej i Abbana się spleją, ale teraz stało się to oczywiste. Inevera i Abban byli najbliższymi podwładnymi Ahmanna, jego najbardziej zaufanymi doradcami, a jeszcze parę godzin temu pozostawali również nietykalni dzięki nadanym im rozległym uprawnieniom. Jednak bez wsparcia Ahmanna ta władza wkrótce zniknie. Inevera musiała działać szybko, choć ostrożnie, aby przekazać rządy w ręce Ashana, jednak kiedy to się uda, głos tego mężczyzny, nie jej, będzie prowadził lud pustyni. A Ashan nie był tak mądry – ani tak spolegliwy –

jak Ahmann.

Abban znajdował się w jeszcze gorszej sytuacji. Chociaż jego *kha'Sharum* należeli do wyśmienitych wojowników, kulawy kupiec będzie miał szczęście, jeśli przeżyje choć dzień, gdy tylko wrogowie przestaną się obawiać gniewu Ahmanna. Nie tak dawno temu Inevera cieszyłaby się ze śmierci grubego *khaffit*. Teraz jednak go potrzebowała. *Khaffit* znał skarbiec Wybawiciela do ostatniego draki, pamiętał wszystkie długi zaciągnięte przez tron, każde ziarno w spichlerzach. Co więcej, Ahmann ufał Abbanowi, powierzał mu swoje plany i tajemnice, jakimi nie dzielił się nawet z *Damaji*. Ruchy wojsk. Plany bitew. Cele.

Grubas wszedł do komnaty audiencyjnej z uśmiechem, co świadczyło, że rozumiał, jak bardzo jest potrzebny Ineverze. Niech go Nie pochłonie.

Za plecami kupca stanął wielki *kha'Sharum*, osobisty strażnik, który w ostatnich tygodniach stał się niemal cieniem swojego pana. Głuchy mężczyzna, który jako pierwszy odpowiedział na wezwanie Wybawiciela. Przy wejściu wojownik oddał broń, ale nie wydawał się przez to ani trochę bezbronny. Abban nie należał do ludzi niskich, nawet gdy pochylał się wsparty na lasce, jednak swojemu strażnikowi sięgał zaledwie do ramienia.

– Nakazałam, żebyśmy spotkali się prywatnie, *khaffit* – zauważyła Inevera na powitanie.

Abban skłonił się nisko, na ile pozwalała mu laska z ozdobną gałką w kształcie głowy wielbłąda.

– Proszę o wybaczenie, *Damajah*, ale nie ma już Ahmanna, żeby trzymał swoich *dal'Sharum* na smyczy. Z pewnością nie zabronisz mi zachowania choć podstawowych środków bezpieczeństwa? Bezuchy jest głuchy jak pień, nie usłyszy ani słowa z naszej rozmowy.

– Nawet głuchy może słyszeć – zaoponowała Inevera. – Jeśli tylko posiada oczy i patrzy na usta mówiącego.

Abban znowu skłonił się nisko.

– To oczywiście prawda, jednak zasłony *Damajah* temu zapobiegną, nawet gdyby mój pokorny sługa posiadał umiejętność czytania z ust, a przysięgam na Everama, że tak nie jest.

Inevera uwierzyła mu, co rzadko jej się zdarzało. Jej wykastrowani strażnicy poświęcili języki, aby strzec tajemnic swojej pani, dlatego wiedziała, że Abban ceniliby sługę, który nie może usłyszeć, a zatem też ujawnić intryg swojego pana. Lepiej jednak było zachować czujność.

– Niech zatem pilnuje drzwi – zdecydowała, po czym odwróciła się i kołysząc biodrami, podeszła do poduszek pod ścianą. Abban nigdy wcześniej nie ośmielił się przyglądać jawnie żonie najbliższego przyjaciela, ale może odważyłby się teraz, pod nieobecność Ahmanna? Inevera mogłaby to wykorzystać. Zerknęła przez ramię, ale Abban nie patrzył. Kilkoma gestami przekazał rozkaz, a olbrzymi sługa posłusznie podszedł do drzwi. Poruszał się z cichą gracją, zaskakującą przy jego ogromnych rozmiarach.

Abban pokuśtykał i ostrożnie usiadł na poduszkach przed Ineverą. Nadal uśmiechał się uprzejmie, ale zerknięcie na strażnika zdradziło, że kupiec się boi. *Khaffit* wiedział, że Inevera mogłaby go zabić, zanim głuchy wielkolud zdążyłby przebiec przez komnatę. Zresztą nawet Bezuchy lękał się *Damajah*. Potrafiłaby zabić też *kha'Sharum* na sto różnych sposobów, choćby tylko przez skinienie palcem, które przywołałoby z ukrycia jej strażniczki. *Ashia*, *Micha* i *Jarvah* tylko na to czekały.

Pomiędzy Abbanem i Ineverą stała zastawa do herbaty. Czajniczek wciąż parował. Inevera skinęła głową, a *khaffit* nalał naparu i obsłużył ich oboje.

– Zaszczycasz mnie swoim wezwaniem, *Damajah*. – Abban usiadł wygodniej z czarką w dłoni. – Mogę spytać o powód?

– Chcę ci zaoferować ochronę – odparła spokojnie Inevera.

Abban wyglądał na szczerze zaskoczonego, choć oczywiście była to tylko gra.

– Od kiedy to *Damajah* ceni tak bardzo biednego, pozbawionego honoru Abbana?

– Mój mąż cię ceni. I gdybyś zginął, rozgniewałby się po powrocie. Mądrze będzie, jeżeli przyjmiesz moją pomoc. Kości powiedziały mi, że bez niej twoje życie nie potrwa długo. Moi synowie nienawidzą cię nawet bardziej niż *Damaji*, czyli naprawdę mocno. I nie myśl, że *Hasik* zapomniał, kto go pozbawił męskości.

Inevera oczekiwała, że jej słowa poruszą kupca. Była świadkiem jego tchórzostwa w obliczu zagrożenia. Ale teraz prowadzili targi, a na targach ten *khaffit* znał się jak nikt.

„Abban ma serce tchórze – powiedział jej kiedyś Ahmann – ale gdy przychodzi do targów, w tym sercu rodzi się niezłomność, która zawstydziłaby niejednego *Sharum*”.

– Tak jest w istocie, *Damajah*. – Abban skinął głową, wciąż uśmiechnięty. – Ale sytuacja jest równie trudna dla ciebie. Jak długo *Damaji* będą pozwalać, żebyś zasiadała na szczycie siedmiu stopni, gdy na tronie nie ma twojego męża? Kobieta siedząca wyżej od nich to obelga, jakiej nigdy nie znosili dobrze.

Inevera poczuła, że zaciska zęby. Dawno już nikt oprócz męża nie odzywał się do niej z taką śmiałością. I to jeszcze *khaffit*. Miała ochotę złamać mu drugą nogę.

Ale pomimo śmiałości słowa kupca zawierały tylko prawdę, więc Damajah pozwoliła, aby przemknęły przez nią jak wiatr.

– Tym bardziej musimy się sprzymierzyć – przyznała. – Musimy znaleźć sposób, żeby sobie zaufać, jak nakazywał Ahmann, albo oboje wyruszmy niedługo na samotną ścieżkę.

– O co zatem prosisz? – zapytał Abban.

– Będziesz podlegał mnie jak mojemu mężowi. Zapoznaj mnie ze swoimi planami i zamiarami, zanim zostaną przekazane Radzie *Damaji*.

Abban uniósł brew.

– A w zamian?

Inevera uśmiechnęła się i ten uśmiech był widoczny nawet przez bogato haftowaną lawendową woalkę.

– Jak powiedziałam, ochrona.

Abban tylko zachichotał.

– Wybacz mi, Damajah, ale masz na swoje rozkazy mniej niż ja wojowników, za mało, żeby mnie ochronić, gdyby choć jeden z *Damaji* albo któryś z twoich synów postanowił wreszcie się mnie pozbyć.

– Ale mam strach – zauważyła Inevera. – Moi synowie czują przede mną strach. *Damaji* też się mnie boją.

– BALI SIĘ, o tak. Ale jak długo to potrwa, kiedy na Tronie z Czaszek zasiądzie ktoś inny? Władza absolutna potrafi wzbudzić odwagę w tym człowieku.

– Żadna władza nie trwa wiecznie, oprócz władzy Everama. – Inevera uniosła swoje kości. – Po odejściu Ahmanna jestem Jego głosem w Ala.

– Dołóż do tego trzy draki, a kupisz sobie koszyk – rzucił Abban.

W Krasji było to często powtarzane powiedzenie, a mimo to rozdrażniło Ineverę. Jej matka wyplatała kosze i prowadziła przynoszący zyski kram na bazarze. Bez wątpienia Abban, który kontrolował połowę handlu w Lennie Everama, zawarł z nią sporo umów. Inevera jednak starała się ze wszystkich sił, aby zapewnić najbliższym bezpieczną anonimowość z dala od polityki i intryg, które rządziły światem Damajah.

Czy to przysłowie było tylko przytykiem, czy też ukrytą groźbą? Nieważne, jak użyteczny okazałby się Abban, Inevera nie zawaha się go zabić, gdyby zagroził jej rodzinie.

Szkoda, że nie mogła zaglądać w serca i umysły ludzi, jak to robił Ahmann. Grube płócienne ściany pawilonu pozwalały dostrzec, choć niewyraźnie, aurę *khaffit*, lecz nieznaczne zmiany odcieni i układu barw, które jej mąż odczytywał równie łatwo jak karty ksiąg, dla Inevery pozostawały tajemnicą.

– Przekonasz się, że moje słowa są warte więcej, niż ci się wydaje – stwierdziła twardo.

– O ile uda ci się zachować swoją pozycję – zgodził się Abban. – Podyskutujmy o tym, dlaczego miałbym ci w tym pomóc. Nie każdy mężczyzna na dworze Wybawiciela to głupiec, Damajah. Może nigdy nie będę czerpał radości z wpływów, jakie miałem u boku Ahmanna, ale to nie znaczy, że nie znajdę ochrony i zysku, jeśli opowiem się za kimś innym.

– Zapewnię ci stałą pozycję na dworze – zaproponowała Inevera. – Żebyś na własne oczy zobaczył każdą umowę, z której możesz czerpać zyski i napełniać sobie kieszenie bez dna.

– Lepiej, ale mam szpiegów w świącie Wybawiciela. Zbyt wielu, żebyś mogła się pozbyć wszystkich.

– Nie bądź taki pewien – mruknęła Inevera. – Ale dobrze. Złożę ci propozycję, której nawet ty nie odmówisz.

– Och? – Abban wyglądał na rozbawionego tym stwierdzeniem. – Na bazarze takie słowa to groźba, a szybko się przekonasz, że nie tak łatwo mnie zastraszyć, jak może się wydawać.

– Żadnych gróźb. Żadnego zastraszania. – Uśmiechnęła się. – Nie po to, żeby cię przekonać. Jednak gdybyś złamał nasz pakt, wtedy się do nich ucieknę, pamiętaj.

Abban skinął głową.

– Nadstawiam uszu, Damajah. Myślisz, że czego moje serce pragnie ponad wszystko?

– Nogi – odpowiedziała Inevera.

– Hę? – zdumiał się Abban.

– Mogę uleczyć twoją nogę – zaproponowała Inevera. – W tej chwili, jeśli sobie życzysz. To proste. Mógłbyś wrzucić swoją laskę w ogień i wymaszerować stąd na dwóch zdrowych nogach. – Mrugnęła do kupca porozumiewawczo. – Chociaż jak znam przebiegłego Abbana, wyjdzie stąd tak, jak przybył, i nikomu nie zdradzi, że ma zdrowe nogi, chyba że przyniesie to wymierne korzyści.

Na twarzy *khaffit* odmalowały się wątpliwości.

– Skoro to takie proste, dlaczego *dama'ting* nie uleczyła mi nogi zaraz po złamaniu? Dlaczego pozbawiła plemię wojownika, pozwalając, żebym okulał?

– Ponieważ uzdrawianie pochłania najwięcej magii *hora* – wyjaśniła Inevera. – A w tamtym czasie nie mieliśmy

runicznej broni, która zapewnia nam niewyczerpane zapasy kości *alagai* do wzmacniania naszych zaklęć. Nawet teraz jednak kości trzeba starannie przygotować, a to niezwykle trudna sztuka... – Przesunęła palcem po brzegu czariki. – Przed laty rzuciłyśmy dla ciebie kośćmi, żeby sprawdzić, czy jesteś wart takiego wysiłku. Wiesz, co odpowiedziały?

Abban westchnął.

– Że żaden ze mnie wojownik i włożony wysiłek raczej się nie zwróci.

Inevera przytaknęła milcząco.

Abban pokręcił głową rozczarowany, ale bynajmniej nie zaskoczony.

– Prawdą jest, że odkryłaś to, czego pragnę. Nie zaprzeczę, że to coś, za czym tęskni moje serce.

– Przyjmujesz zatem?

Abban zaczerpnął głęboko tchu, jakby chciał przemówić, ale tylko zatrzymał powietrze w płucach. Po chwili wypuścił je powoli. Wydawało się, że oklapł, gdy to zrobił.

– Mój ojciec zwykł mawiać: „Żadnej rzeczy nie kochaj tak mocno, żebyś nie był gotów z niej zrezygnować”. Znam wystarczająco dużo pradawnych opowieści, aby wiedzieć, że magia zawsze ma swoją cenę, a cena ta jest o wiele wyższa, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Wspieram się na lasce od dwudziestu pięciu lat. Stała się częścią mnie. Dziękuję za twoją propozycję, ale obawiam się, że muszę odmówić.

Ineverę ogarnął gniew i nie widziała powodu, aby to ukrywać.

– Nadużywasz mojej cierpliwości, *khaffit*. Jeżeli czegoś chcesz, po prostu powiedz.

Triumfalny uśmiezek, który rozciągnął wargi Abbana, świadczył, że mężczyzna czekał właśnie na tę chwilę.

– Mam tylko trzy proste życzenia, Damajah.

Inevera zachichotała.

– Nauczyłam się już, że gdy chodzi o ciebie, nic nigdy nie jest proste.

– W twoich ustach wiele to znaczy. – Abban skłonił się lekko. – Po pierwsze ochrona, którą mi zaoferowałaś, musi obejmować również moich agentów.

– Oczywiście – zgodziła się Inevera. – Dopóki nie będą działać wbrew moim interesom ani nie zostaną przyłapani na niewybaczalnej zbrodni przeciw Everamowi.

– Chodzi również o ochronę przed tobą – zaznaczył Abban.

– Mam cię chronić przede mną samą? – upewniła się Inevera.

– Jeżeli mamy działać razem, muszę mieć swobodę wyrażania swoich myśli bez lęku o życie. Nawet gdy powiem coś, czego wolałabyś nie usłyszeć. Zwłaszcza wtedy.

Uwadze Inevery nie umknęło, że Abban nie wyraził chęci, aby pracować DLA NIEJ.

„Powie ci prawdę, której wolałabyś nie usłyszeć” – to właśnie przekazały Ineverze kości, gdy zapytała kiedyś o matkę. Taki doradca był wartościowy. Szczerze powiedziawszy, każdy inny był bezwartościowy.

– Zgoda – oznajmiła. – Ale jeżeli postanowię nie skorzystać z twojej rady, mimo wszystko będziesz wspierał moją decyzję.

– Damajah jest mądra – skłonił się Abban. – Ufam, że gdy poinformuję ją o kosztach, nie podejmie decyzji, które byłyby marnotrawstwem.

– Czy to wszystko? – zapytała Inevera, chociaż doskonale wiedziała, że to nie koniec.

Abban zaśmiał się, napełnił ponownie ich czariki. Zza pazuchy wyjął płaską flaszkę i dodał odrobinę *couzi* do naparu. Inevera wiedziała, że to próba, Evejah zakazywała bowiem picia *couzi*. Zignorowała ten zakaz. Nienawidziła *couzi*, trunek ten sprawiał, że mężczyźni stawali się słabi i lekkomyślni, mimo to tysiące poddanych przemycalo niewielkie buteleczki pod szatami.

Abban napił się wzmocnionej herbaty.

– Czasami mogę mieć pytanie. – Zerknął wymownie na sakiewkę *hora* przy pasie swojej rozmówczynie. – Pytanie, na jakie tylko twoje kości mogą udzielić odpowiedzi.

Inevera zacisnęła palce na mieszku.

– *Alagai hora* nie są przeznaczone do udzielania odpowiedzi na pytania mężczyzn, *khaffit*.

– Czyż Ahmann nie zadawał im pytań codziennie?

– Ahmann był Wybawicielem... – Inevera znowu przyłapała się na mówieniu o mężu w czasie przeszłym i szybko się poprawiła: – Jest Wybawicielem. Kości to nie zabawki, nie służą do napełniania ci mieszka złotem.

Abban pochylił głowę.

– Mam tego świadomość, Damajah, i zapewniam, że nie poproszę, żebyś rzuciła nimi dla moich kaprysów. Jeżeli jednak chcesz mojej lojalności, oto jej cena.

Inevera oparła się wygodniej na poduszkach i zamyśliła.

– Sam powiedziałeś, że magia zawsze ma swoją cenę. Kości również mogą ujawnić prawdę, jakiej wolelibyśmy

nie poznać.

- Nie ma nic cenniejszego od takiej prawdy.
- Jedno pytanie – zaproponowała Damajah.
- Przynajmniej dziesięć – odpowiedział na ofertę Abban.

Inevera pokręciła głową.

– Dziesięć to więcej, niż *Damaji* otrzymują przez rok, *khaffit*. Dwa pytania.

– Dwa to za mało, Damajah. Zapewne zdołam sobie poradzić, gdy będę miał sześć pytań...

– Cztery – ucięła Inevera. – Ale zważ na swoje słowa, żeby nie korzystać z tego daru lekkomyślnie. Jeżeli zmarnujesz mądrość Everama na małostkową chciwość i przepychanki, za każdą odpowiedź stracisz palec.

– Och, Damajah – westchnął Abban. – Moja chciwość nigdy nie była małostkowa.

– Czy to wszystko?

– Nie, Damajah. – Kupiec pokręcił głową. – Mam jeszcze ostatnią prośbę.

Inevera zmarszczyła brwi, aby wyglądać groźnie. Była to gra, ale dość łatwa. *Khaffit* mógł chcieć ją udobruchać.

– Ta umowa staje się coraz bardziej kosztowna. O wiele więcej, niż jesteś wart, Abbanie. Mów, czego chcesz, i kończmy.

Abban skłonił się z powagą.

– Chodzi o moich synów. Chcę, żeby pozbawiono ich czerni.



W krasjańskim obozie zapanowało poruszenie, gdy Abban, kulejąc, odchodził z pawilonu audiencyjnego. Inevera dostrzegła śpieszącego do niej Ashana.

– Co się stało? – zapytała.

Ashan skłonił się nisko.

– Twój syn, Damajah. Jayan powiedział wojownikom, że jego ojciec zniknął. Sharum Ka zachowuje się, jakby zostało już ustalone, że to on zasiądzie na Tronie z Czaszek po powrocie do stolicy.

Inevera zaczerpnęła tchu i poszukała wewnętrznej równowagi. Spodziewała się tego, chociaż liczyła na więcej czasu.

– Nakaz Sharum Ka, żeby osobiście poprowadził poszukiwania swojego zaginionego ojca, ale zostaw też grupę wojowników do ochrony obozu. Reszta z nas musi pilnie wyruszyć do Lenna Everama. Zostaw wszystko, co mogłoby nas spowalniać.



Wyciskali ze zwierząt ostatnie poty, byle jak najszybciej dotrzeć do domu. Inevera posłała *Sharum*, aby zabili *alagai*, gdy tylko zajdzie słońce. Użyła potem przesyconej magią posoki demonów do namalowania runów wytrzymałości na skórze koni i wielbłądów – miało to wzmocnić zwierzęta w podróży przez noc.

Wykorzystanie magii *hora* tak otwarcie stanowiło ryzyko. Bystry obserwatorzy mogliby się domyślić niektórych sekretów, jakich *dama'ting* strzegły przez stulecia. Kości jednak doradzały jak najszybszy powrót, ostrzegły też, że Krasjanie mogą nie zdążyć.

Pojawiło się wiele rozbieżności we wróżbach na nadchodzące dni, sprzeczności, które groziły rozbiciem kruchego pokoju między plemionami i powrotem chaosu. Jak wiele rodowych waśni zostało z rozkazu Wybawiciela przerwanych? Waśni nadal hołubionych w sercach rodzin, które kradły sobie studnie i szlachtowały się nawzajem przez pokolenia?

Pomimo podjętych przez Ineverę środków ostrożności Jayan i Włócznie Wybawiciela dotarli do Lenna Everama pierwsi. Głupi chłopak zapewne przerwał poszukiwania wcześniej i ruszył przez krainę wraz ze swoimi wojownikami, nie szczczędząc potężnych mustangów. Wojownicy, którzy zabijali *alagai* w nocy, mogli powtórzyć sztuczkę z malowaniem runów demonią posoką, symbole na ostrzach broni i podkowach wierzchowców absorbowały moc, dawały siłę demonów zarówno ludziom, jak i zwierzętom.

– Matko! – wykrzyknął zaskoczony Jayan, kiedy Inevera, Ashan, Aleverak i Asome wdarli się do sali tronowej,

w której najstarszy syn zgromadził pozostałych *Damaji* i swoich najbardziej zaufanych wodzów.

Za grupą *Inevery* szło dwanaście *Damaji'ting*, Qeva z plemienia Kaji i jedenaście żon Ahmanna z pozostałych plemion. Wszystkie były lojalne tylko wobec Pierwszej Żony. Za Ashanem kroczyli wierni i potężni dowódcy, Damas Halvan i Shevali, a wszyscy trzej szkolili się z Wybawicielem w Sharik Hora. Syn Ashana, Asukaji, przemawiający w imieniu plemienia Kaji pod nieobecność ojca, czekał z pozostałymi *Damaji*.

Abban wkuśtykał do sali tronowej na tyle szybko, na ile pozwalała mu laska. W zamieszaniu nikt go nie zauważył. Kupiec zniknął w ciemnej niszy wraz ze swoim strażnikiem i przycałił się, żeby obserwować.

Dobrze, że *Inevera* nie pojawiła się sama. Jayan na pewno spodziewał się, że będzie miał więcej czasu na przekonanie *Damaji* do siebie. Przebywał w Lennie Everama zaledwie parę godzin i jeszcze nie zdobył się na śmiałość, aby wspiąć się po siedmiu stopniach i zasiąść na Tronie z Czaszek.

Pod nieobecność wewnętrznego kręgu doradców Wybawiciela i najbardziej wpływowych *Damaji* nie zabezpieczyłby właściwie swego prawa do tronu, jednak pozbawienie go władzy byłoby wtedy trudniejsze i nie obeszłoby się bez jawnej przemocy. *Inevera* kochała swojego syna wraz ze wszystkimi wadami, ale nie zawahałaby się go zabić, gdyby tak bezczelnie sięgnął po władzę. Ahmann zasłonił ogromne okna sali tronowej, dzięki czemu także za dnia mógł używać mocy korony, a *Inevera* korzystać z magii *hora*. Obleczone elektrum przedramię demoniego władcy umysłu zwisało u pasa Damajah, ciepłe od nagromadzonej energii.

– Dziękuję za zwołanie dla mnie *Damaji*, synu mój. – *Inevera* minęła zaskoczonego Jayana i wspięła się po stopniach, aby zająć swoje miejsce na poduszkach przy Tronie z Czaszek.

Nawet z odległości paru stóp wielkie siedzisko wibrowało, zapewne było najpotężniejszym przedmiotem magicznym na świecie. Poniżej święci mężowie i kobiety zgromadzili się w odwiecznym, tradycyjnym porządku: *Damaji* po prawej stronie tronu, a *Damaji'ting* po lewej. *Inevera* skrycie odetchnęła z ulgą, że jednak zdążyli, chociaż wiedziała, że walka dopiero się rozpoczęła.

– Szlachetni *Damaji* – zaczęła, używszy odrobiny mocy z runicznego klejnotu, dzięki czemu jej głos niósł się po sali niczym słowo Everama. – Bez wątpienia mój syn powiedział już wam, że mój święty mąż, Shar'Dama Ka i Wybawiciel z woli Everama, zniknął.

Rozległy się szmery rozmów na to potwierdzenie opowieści Jayana. Ashan i Aleverak kiwali głowami, chociaż nie byli tak głupi, aby ujawniać jakiegokolwiek szczegóły, dopóki nie dowiedzą się, co dokładnie opowiedział Jayan.

– Rzuciłam *alagai hora*. – Wzmocniony głos *Inevery* zagłuszył rozmowy. Uniosła kości, sprawiwszy, że zajaśniały od magii. – Kości rzekły mi, że Wybawiciel ściga demona na sam kraniec pustki Nie, ale powróci, a jego powrót będzie zwiastował początek *Sharak Ka*.

Po tych słowach zabrzmiały znowu nerwowe rozmowy, a *Inevera* pozwoliła, aby przez chwilę narastały, zanim podjęła przemowę.

– Zgodnie z poleceniami Ahmanna jego szwagier Ashan zasiądzie na Tronie z Czaszek jako Andrah. Asukaji zostanie *Damaji* plemienia Kaji. Kiedy Shar'Dama Ka powróci, Ashan powita go u stóp podwyższenia, ale zatrzyma tytuł. Zostanie dla niego przygotowany nowy tron.

Słychać było poświst gwałtownych oddechów, ale tylko jedna osoba krzyknęła ze zdumienia.

– Co?! – Nawet bez talentu Ahmanna do czytania aury bez trudu dało się rozpoznać gniew bijący od Jayana.

Inevera zerknęła na Asome, stojącego w milczeniu u boku Ashana, i dostrzegła ten sam gniew z powodu niesprawiedliwości, chociaż jej drugi syn okazał przynajmniej dość rozwagi, żeby nie ujawniać swoich uczuć. Asome od zawsze był przygotowywany do stanowiska Andraha i był rozdrażniony, od chwili gdy jego brat przejął Tron Włóczni, nie raz próbował pozyskać dla siebie biały turban.

– To niedorzeczne! – wrzasnął Jayan. – Jestem najstarszym synem. Tron powinien przyspaść mnie!

Kilku *Damaji* wymamrotało swoje poparcie, ale najpotężniejsi zachowali rozważnie milczenie. Dobrze znana była niechęć Aleveraka do następcy Ahmanna, a *Damaji* Enkaji z plemienia Mehnding, trzeciego najpotężniejszego w Krasji, słynał z tego, że nigdy nie staje po żadnej stronie.

– Tron z Czaszek to nie błahostka, synu mój, żeby przekazywać go bezmyślnie – rzuciła *Inevera*. – To nadzieja i zbawienie naszego ludu, a ty masz zaledwie dziewiętnaście lat i musisz dopiero udowodnić, czy jesteś wart tego zaszczytu. I obawiam się, że nigdy nie będziesz, skoro nie potrafisz nawet panować nad własnym językiem.

– Skąd mamy wiedzieć, czy życzeniem Wybawiciela było pominięcie jego syna? – zapytał *Damaji* Ichach z plemienia Khanjin. Ichach zawsze był cierniem w boku Rady, ale na jego słowa wielu innych pokiwało głowami, w tym Aleverak.

– Słuszne pytanie – przyznał stary kapłan, a chociaż zwracał się do zgromadzonych, jego słowa bez wątpienia skierowane były do *Inevery*. Po wyznaczeniu Ashana do zasiadania na tronie jemu przypadło przewodniczenie Radzie *Damaji* i nikt nie ośmielił się zaprotestować, gdy szacowny Aleverak przejął należną mu władzę. – Shar'Dama Ka nie

wyraził takiego życzenia ani otwarcie, ani prywatnie, o ile wiemy.

– Powiedział mnie – oświadczył Ashan i wystąpił. – Pierwszej nocy Nowiu, gdy *Damaji* wchodzili do sali tronowej, mój brat nakazał mi zająć tron, gdyby poległ w walce przeciw Alagai Ka. Przysięgłem na Everama, że wypełnię jego rozkaz albo sam Wybawiciel ukarze mnie w zaświatach.

– Kłamstwo! – sprzeciwił się Jayan. – Mój ojciec nigdy by czegoś takiego nie powiedział. I nie masz dowodu. Zdradzasz jego pamięć dla własnych ambicji.

Oczy Ashana pociemniały. Znał tego chłopaka od urodzenia, ale nigdy wcześniej Jayan nie ośmielił się zwracać do niego z takim brakiem szacunku.

– Powtórz to, chłopcze, a zabiję cię gołymi rękami, nieważne, że jesteś z krwi Wybawiciela. Spierałem się ze względu na ciebie, gdy Ahmann wyraził swoje życzenie, ale widzę teraz, że miał rację. Do Tronu Włóczni prowadzą tylko cztery stopnie, a jednak nie nauczyłeś się jeszcze patrzeć z tej perspektywy. Na Tron z Czaszek wiedzie siedem stopni, widok z tej wysokości zawróciłby ci w głowie.

Jayan warknął i wymierzył włócznię w Ashana. W jego oczach czaił się mord. *Damaji* spoglądali na to z chłodną obojętnością, gotowi do działania, gdy młodzieniec się zbliży.

Inevera zakłęła pod nosem. Niezależnie od tego, kto zwycięży w tym starciu, przegrają obaj, a wraz nimi jej lud.

– Dość! – krzyknęła. Uniosła swoją różdżkę *hora* i zręcznymi palcami ustawiła runy, po czym posłała magiczną energię, której uderzenie strzaskało marmur pomiędzy przeciwnikami.

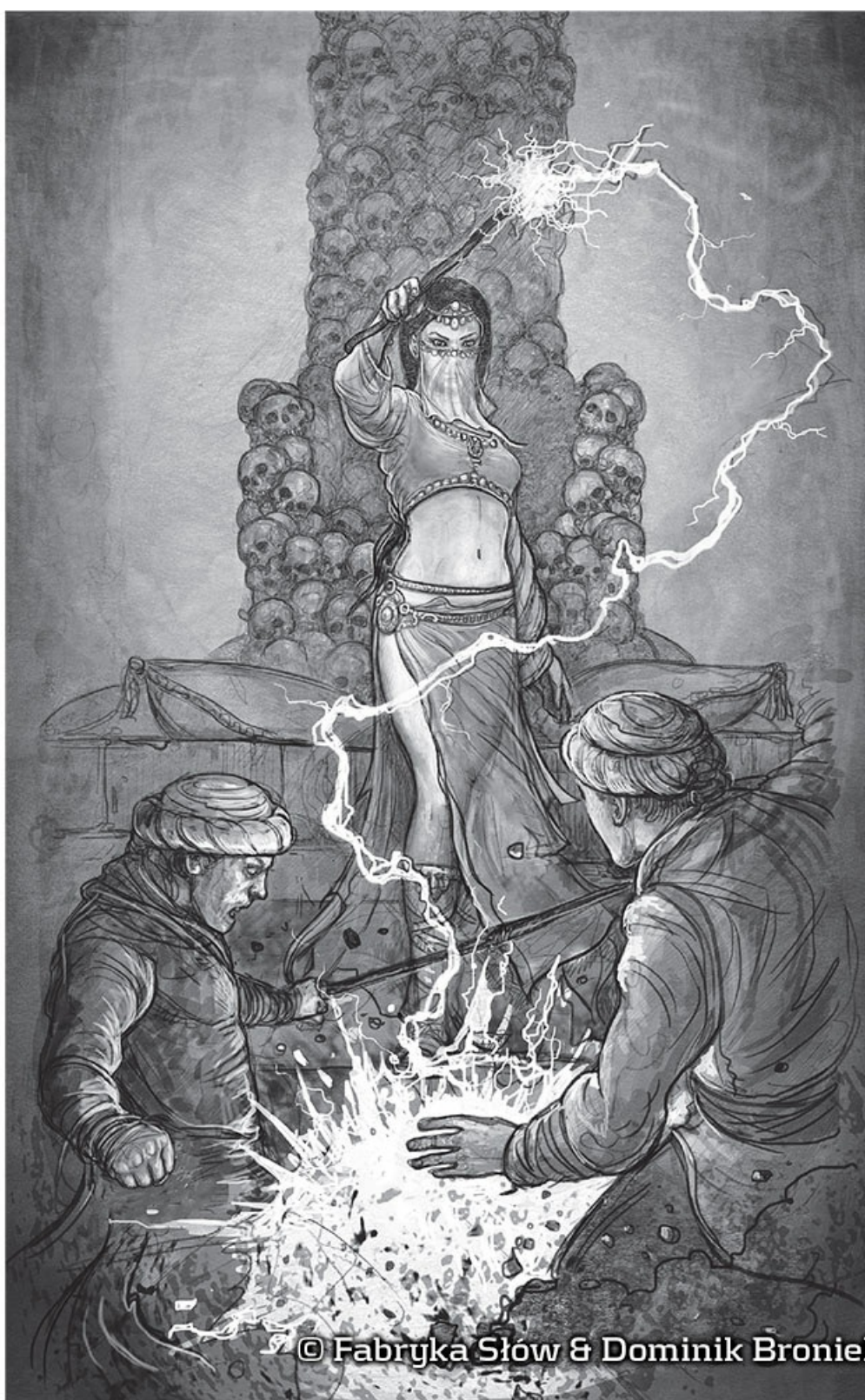
Fala uderzeniowa zwała z nóg zarówno Jayana, jak i Ashana oraz kilku stojących w pobliżu *Damaji*. Kiedy pył opadał, w sali tronowej zapanowała pełna podziwu cisza, zakłócana tylko chrzęstem gruzu toczącego się po posadzce.

Inevera wstała i wygładziła szatę z celowo głośnym szelestem. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. *Damaji'ting*, szkolone w tajemnicach magii *hora*, zachowały spokój, chociaż żadna nie zdołałaby poszczycić się podobnym pokazem siły. Wypalony na środku posadzki krater był na tyle duży, że mógłby pochłonąć człowieka.

Mężczyźni wytrzeszczyli oczy i rozdziawili usta. Tylko Ahmann jak dotąd demonstrował taką moc, sądzili zatem, że bez niego Inevera nie dysponuje żadną siłą.

Teraz będą musieli to przemyśleć. Jedyne Asome zachował zimną krew – widział na własne oczy, co potrafi matka, podczas walki w Nowiu. On także ją obserwował, oczy miał zimne, aurę nieprzeniklioną.

– Jestem Inevera – oznajmiła, a jej wzmocniony głos odbił się echem od ścian. To imię miało wiele znaczeń, dosłownie można je było tłumaczyć jako „wola Everama”. – Oblubienica Everama i *Jiwah Ka* Ahmanna asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji. Ja jestem *Damajah*, o czym chyba zapominacie pod nieobecność mojego małżonka. Ja także byłam świadkiem poleceń, które Ahmann wydał *Damaji* Ashanowi. – Uniosła wysoko różdżkę *hora*, ponownie ustawiła runy wygrawerowane w elektrum, tym razem tylko do wywołania nieszkodliwego blasku. – Jeżeli jest tu ktoś, kto zaprzeczy mojemu słowu, że Ashan ma zasiąść na tronie, niech wystąpi. Pozostałym zuchwalstwo zostanie wybaczone, jeżeli pochyłą czoła do ziemi.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Wszyscy zgromadzeni na sali mężczyźni opadli na kolana i rozważnie uderzyli czołami w podłogę. Bez wątplenia wciąż knuli, zwłaszcza że czuli upokorzenie, że musieli oddać hołd kobiecie, ale żaden, nawet Jayan, nie był na tyle głupi, aby wyzywać Ineverę po jej pokazie.

Nikt oprócz Aleveraka. Kiedy inni uklękli, stary *Damaji* przeszedł wyprostowany na środek sali. Inevera westchnęła w głębi duszy, ale zachowała kamienną twarz. Nie miała zamiaru zabijać tego *Damaji*, chociaż uważała, że Ahmann powinien się go pozbyć już dawno temu. Może nadszedł czas, aby naprawić ten błąd i usunąć zagrożenie dla najstarszego syna Beliny, Majiego.

Posłuszeństwo i poddaństwo innych plemion było całkowite. Tylko Aleverak sprzeciwiał się Ahmannowi, a jednak żył, by o tym opowiadać. Starzec zasłużył się tak bardzo w bitwie, że Ahmann lekkomyślnie zapewnił mu ustępstwa, jakich odmówił innym.

W godzinie śmierci następcą Aleveraka miał prawo wyzywać syna Ahmanna z plemienia Majah na pojedynek

o władzę nad ich ludem.

Ahmann bez wątpienia uważał, że Maji wyrośnie na wielkiego wojownika i zwycięży, ale chłopiec miał zaledwie piętnaście lat i każdy z synów Aleveraka mógł bez trudu go zabić.

Aleverak skłonił się tak nisko, że jego broda musnęła niemal posadzkę. Taka gracia u osiemdziesięciolatka robiła wrażenie. Mówiono, że ten starzec był najtrudniejszym przeciwnikiem, gdy walczył o władzę na stopniach Tronu z Czaszek. Ahmann wyrwał *Damaji* ramię, ale nie wzbudziło to lęku w sercu Aleveraka. Nic zatem dziwnego, że pokaz Inevery też nie zrobił na starcu wrażenia.

– Święta Damajah, przyjmij, proszę, moje przeprosiny za zwątpienie w słowa twoje i *Damaji* Ashana, który prowadził plemię Kaji i Radę *Damaji* z honorem i rozważą. – Aleverak zerknął na Ashana stojącego u stóp tronu. Ten skinął głową. – Jednak żaden Andrah nie był wyznaczany, odkąd powołano to stanowisko – ciągnął starzec. – To przeczy wszystkim naszym świętym prawom i tradycjom. Ci, którzy pragną nosić zdobny turban, muszą stawić czoła wyzwaniu innych *Damaji*, wszystkich, którzy mają prawa do tronu. Znałem dobrze syna Hoshkamina i nie wierzę, żeby o tym zapomniał.

Ashan skłonił się na te słowa.

– Szlachetny *Damaji* ma rację. Shar'Dama Ka polecił mi oznajmić moje prawa bez wahania i zabić każdego, kto stanie mi na drodze, zanim którykolwiek z *Damaji* ośmieli się zamordować jego synów *dama*.

Aleverak skinął głową i spojrzał na Ineverę. Nawet on stracił na chwilę opanowanie, gdy ta kobieta zademonstrowała swoją moc, ale teraz wrócił mu spokój, a jego aura pozostawała niezmienna.

– Nie podważam twoich słów, Damajah, ani też poleceń Wybawiciela, ale musimy respektować nasze tradycje, jeżeli plemiona mają się poddać władzy nowego Andraha.

Inevera już otwierała usta, aby odpowiedzieć, ale Ashan ją uprzedził:

– Oczywiście, *Damaji*.

Skłonił się i odwrócił do zgromadzonych mężczyzn. Tradycja nakazywała rzucanie wyzwań po kolei, zaczynając od przywódcy najmniejszego plemienia.

Inevera pragnęła to przerwać. Pragnęła wymusić swoją wolę na mężczyznach i sprawić, aby dostrzegli, że nie mogą jej lekceważyć. Jednak męska duma by tego nie zniosła. Ashan był najmłodszym *Damaji* i niekwestionowanym mistrzem *sharusahk*. Musiała mu zaufać, jak zrobił to Ahmann, i wierzyć, że wszystko się powiedzie.

Nie obchodzili jej *Damaji* – żaden z nich nie był wart wysiłku, do jakiego zmuszali Ineverę. Należało pozbyć się wszystkich jak najszybciej, żeby jej siostry-żony przejęły władzę nad plemionami przez synów Ahmanna.

Tylko Aleverak martwił Ineverę, ale magia *hora* mogła zapewnić Majiemu zwycięstwo przeciwko potomkom starego *Damaji*.

– *Damaji* Kevera z Sharach! – zawołał Ashan. – Czy chcesz wyzwąć mnie do walki o ozdobny turban?

Kevera, wciąż na kolanach i z dłońmi na podłodze, przysiadł na piętach i spojrzał Ashanowi w oczy. *Damaji* dobiegał sześćdziesiątki, ale nadal szczylił się sprawnością. Prawdziwy kapłan-wojownik.

– Nie, *Damaji* – odpowiedział. – Sharach są lojalni Wybawicielowi i jeżeli jego życzeniem było, żebyś przywdział zdobny turban, nie staniemy ci na drodze.

Ashan skinął głową i zwrócił się do następnego *Damaji*, lecz odpowiedź była ta sama. Niektórzy ze zgromadzonych po włożeniu czarnego turbanu stali się słabi, inni byli wierni Ahmannowi, a przynajmniej bali się jego powrotu. Każdy z mężczyzn miał własne powody, aby odmówić Ashanowi, i żadne plemię nie wyzwalo go do walki.

Dopóki nie nadeszła kolej Aleveraka. Jednoręki stary kapłan zastąpił Ashanowi drogę do stopni tronu i przyjął pozycję bojową *sharusahk* – ugięte kolana, jedna stopa zwrócona do Ashana, druga prostopadle, o krok z tyłu. Starzec wyciągnął jedyne ramię dłonią do góry, sztywne palce mierzyły w serce przeciwnika.

– Wybacz, *Damaji* – powiedział do Ashana. – Lecz jedynie najsilniejszy może zasiąść na Tronie z Czaszek.

Ashan skłonił się nisko i też przyjął własną pozycję do walki.

– Oczywiście, *Damaji*. Twoje wyzwanie to dla mnie zaszczyt. – A potem bez wahania zaatakował.

Ashan zwolnił, gdy znalazł się w zasięgu, żeby nie dać przeciwnikowi zbyt dużego impetu do wykorzystania przy kontrataku. Uderzał i kopał niewiarygodnie szybko, ale jedyna ręka Aleveraka poruszała się równie szybko, starczała za dwie i odpychała uderzenia. Starzec próbował zwarcia, aby wykorzystać energię uderzeń w rzut, ale Ashan sprytnie tego unikał i nie dawał się złapać.

Inevera nigdy nie poświęcała uwagi *dama sharusahk*, ponieważ wyszkolono ją w wyższej formie sztuki walki *dama'ting*, ale niechętnie musiała przyznać w duchu, że starcie mężczyzn było imponujące. Ich aury były tak obojętne, jakby brali właśnie gorącą kąpiel.

Aleverak poruszał się jak żmija, robił uniki i uchylał się przed atakami Ashana. Z obrotu wyprowadził kopnięcie w górę, które zrobiło wrażenie nawet na *dama'ting*. Ashan starał się wycofać z zasięgu, ale atak z zaskoczenia trafił

go w podbródek i wytrącił z rytmu i równowagi.

Inevera oddychała powoli, aby opanować napięcie. Stary *Damaji* ruszył, by wykorzystać przewagę – jego palce były jak ostrze włóczni, gdy wbił je Ashanowi w gardło.

Ashan w porę zrobił unik, chwycił Aleveraka i rzucił nim z taką siłą, że mógłby złamać starcowi ramię, gdyby ten stawiał opór.

Aleverak jednak nie stawiał oporu. Wręcz okazało się, że liczył na taki właśnie atak, ponieważ wykorzystał siłę Ashana do własnego wyskoku, po czym zacisnął nogi jak imadło na szyi przeciwnika. Obrócił się w locie, dodał ciężar swojego ciała do ruchu i Ashan nie miał wyjścia, musiał się rozluźnić i upaść bezwładnie, inaczej *Damaji* złamałby mu kark.

Ale Ashan wcale się nie poddał. Kiedy odbił się od podłogi z Aleverakiem nad sobą, wykorzystał impet do prostego ciosu. Nawet twardy Aleverak nie mógł nie odczuć takiego uderzenia. Wtedy Ashan podciągnął nogi, wypchnął się do pozycji stojącej, obrócił do starego *Damaji* i nawet zdążył wyprowadzić jeszcze kopnięcie.

Aleverak ewidentnie się rozgniewał. Inevera dostrzegła to, wyraźną czerwoną poświatę iskrzącą na powierzchni aury starca. Jednak *Damaji* nie ulegał emocjom. Energię miał skupioną, skierowaną na ruch, co dawało mu przerażającą siłę i szybkość. Posługiwał się swoją jedyną dłonią jak nożem, ujawniając zaskakującą wiedzę o punktach nacisku, które *dama'ting* wykorzystywały w swojej sztuce *sharusahk*. Ashan przyjął cios na prawe ramię – uderzenie poskutkowało chwilowym odrętwieniem. Okamgnienie dla Everama, ale całe życie, gdy się brało udział w walce.

Inevera zaczęła się zastanawiać, ile władzy uda jej się zachować, jeżeli Aleverak zasiądzie na tronie.

Jednak Ashan znowu ją zaskoczył. Przyjął podobną pozycję co Aleverak i skupił wysiłek na obronie. Jego stopy uderzały gwałtownie w marmurową posadzkę, gdy skakał do przodu i do tyłu, przez co zmuszał starca do tańca, ale zawsze zatrzymywał się tuż przed pełnym atakiem, który dałby staremu *Damaji* energię do wykorzystania przeciwko rywalowi. Raz po raz Aleverak uderzał w Ashana, ale ten unikał i odsuwał jego dłoń, nie przerywając tańca. Uchyłał się przed kopnięciami *Damaji* albo blokował je zręcznie udami, łydkami lub przedramionami.

Aura Ashana była spokojna, nie przestawał się tylko bronić, dopóki Aleverak nie zaczął się męczyć. Starzec wyczerpał już rezerwy energii i jego ruchy stawały się coraz wolniejsze.

Kiedy znowu zaatakował, nie był dość szybki, aby powstrzymać Ashana, który przygniótł mu stopę własną. Aleverak uderzył ręką jak włócznią, ale Ashan chwycił starego *Damaji* za nadgarstek i przytrzymał, po czym skręcił biodra, aby wzmocnić niszczycielski cios w pierś prawą ręką, wolną już od odrętwienia.

Aleverak zatoczył się, brakło mu tchu, ale Ashan unieruchomił mu ramię i dodał kilka równie mocnych ciosów, żeby przeciwnik nie zdążył odzyskać sił. Ostre kłykcie uderzyły w stawy jedyne ramienia starca. Wreszcie Ashan podciął Aleverakowi nogi i powalił go na plecy. Huk upadku poniósł się echem po komnacie.

Aleverak spojrział twardo na Ashana.

– Dobra walka, Andrahu. Zakończ ją z honorem i zajmij swoje miejsce na szczycie władzy.

Ashan ze smutkiem popatrzył na starca.

– Zaszczycem było z tobą walczyć, *Damaji*. Zasłużenie zdobyłeś sławę wśród mistrzów *sharusahk*. Jednak tradycja nie wymaga, żebym cię zabił, lecz jedynie usunął z drogi.

Już zaczął się odwracać, ale aura Aleveraka błysnęła – starzec niemal utracił panowanie nad sobą, Inevera była tego pewna. Drżącymi palcami chwycił Ashana za szatę.

– Maji wciąż nosi bido! – wycharczał. – Zabij mnie i pozwól, żeby Aleveran przywdział czarny turban. Żadna krzywda nie stanie się synowi Wybawiciela.

Ashan zerknął na Ineverę po tych słowach. Propozycja wydawała się kusząca. Maji nie musiałby ponosić konsekwencji przysięgi, którą tak lekkomyślnie złożył Ahmann, ale w zamian plemieniem Majah rządziłby młody *Damaji*, który swoje stanowisko mógłby sprawować przez wiele dziesięcioleci. Inevera pokręciła nieznacznie głową.

– Wybacz, *Damaji*. – Ashan uwolnił szatę z palców starca. – Wciąż jednak jesteś potrzebny Wybawicielowi na tym świecie. Nie nadeszła jeszcze pora, żebyś wyruszył na samotną ścieżkę. A jeżeli syna Wybawiciela z plemienia Majah spotka jakakolwiek krzywda oprócz otwartego starcia przed tronem w godzinie twojej naturalnej śmierci, szacunek do ciebie nie powstrzyma mnie od zabicia wszystkich twoich męskich potomków.

I po tych słowach odwrócił się, aby wejść na stopnie wiodące do Tronu z Czaszek.

Drogę zastąpił mu Asome.

– Wybacz, wuju. – Asome wykonał formalny ukłon *sharusahk*. – Ufam, że rozumiesz. To nic osobistego. Byłeś dla mnie jak ojciec, ale jako najstarszy syn *dama* Wybawiciela mam takie samo prawo, żeby rzucić ci wyzwanie, jak reszta tutaj zgromadzonych.

Ashan wyglądał na głęboko zaskoczonego, ale nie podważył wyzwania. Odpowiedział ukłonem na ukłon.

– Oczywiście, krewniaku. Twój honor jest bez skazy. Nie chciałbym jednak pozbawić mojej córki męża, a wnuka ojca. Proszę cię zatem, żebyś odstąpił.

Asome ze smutkiem pokręcił głową.

– Ani ja zostawić kuzyna i żony bez ojca, a ciotki bez męża. Odstąp od swoich praw i pozwól mi zająć tron.

Jayan zerwał się na równe nogi.

– Co to ma znaczyć? Żądam...!

– Cisza! – krzyknęła Inevera. Nie musiała tym razem wzmacniać swojego głosu, poniósł się echem po sali tronowej. – Asome, pozwól do mnie!

Asome odwrócił się, wspiął zręcznie po stopniach i stanął przed opartą o poduszki Ineverą. W jego aurze pojawił się rozbłysk, gdy młodzieniec minął tron. Czy to była pożądlivość? Inevera skrzętnie ukryła tę informację w pamięci, gdy przesuwała gładkie kamyki na niewielkiej podstawce, dzięki czemu mogła zmienić zaklęcia. Używała kamyków do kontrolowania zaklęć zasilanych przez *hora* ustawione w różnych miejscach sali tronowej. Kiedy syn podszedł, wzniosła wokół zasłonę ciszy, żeby nikt nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Musisz porzucić to głupie wyzwanie, synu mój – oznajmiła Inevera. – Ashan cię zabije.

Damajah wcale nie miała pewności, czy to prawda, znała przecież umiejętności Asome w *sharusahk*, ale z pewnością pora była nieodpowiednia na chwalenie młodzieńca.

– Miej wiarę, matko – odpowiedział Asome ze spokojem. – Całe życie czekałem na ten dzień. Zatriumfuję.

– Nie zatriumfujesz, synu, ponieważ nie podejmiesz tego wyzwania. Nie taka jest wola Everama. Ani twojego ojca. Albo moja.

– Jeżeli Everam nie życzy sobie, żebym zajął tron, nie zajmę. A jeżeli jest inaczej, powinno być to również pragnieniem ojca i twoim.

– Poczekaj, synu mój – westchnęła Inevera. – Błagam. Przeznaczaliśmy ci ozdobny turban, ale jest za wcześnie. Jayan podburzy *Sharum* do buntu, jeżeli przejmiesz teraz władzę.

– Zatem jego także zabiję – stwierdził Asome.

– I będziesz musiał poradzić sobie z wojną domową, gdy już nadciąga *Sharak Ka*? – prychnęła Inevera. – Nie, nie pozwolę ci zabić brata. A jeżeli będziesz się upierać, sama cię obezwładnię. Wyrzeknij się walki, a odziedziczysz tron po śmierci Ashana. Przysięgam.

– Ogłoś to teraz – odparł Asome. – Oznajmij to przed zgromadzonymi albo mnie obezwładnij, jak groziłaś. Tak czy inaczej, zachowam honor.

Inevera zaczerpnęła głęboko tchu, a potem powoli wypuściła powietrze wraz z uczuciami, które nią targały. Skinęła głową, po czym przesunęła kamienie na podstawce, by zasłona ciszy znikła.

– Po śmierci Ashana Asome będzie miał prawo do wyzwania *Damaji*, żeby zdobyć ozdobny turban.

W aurze Jayana wirowały emocje. Wciąż widoczny był gniew, ale chyba trochę się już zmniejszył. Trudno było przewidzieć, co zrobiłby młodzieniec, gdyby jego młodszy brat dostał szansę, by walczyć o tron wyższy niż pierworodnego. Jednak Jayanowi zawsze sprawiało radość, gdy brat był odsuwany. Ashan nie skończył jeszcze czterdziestu lat, więc będzie stał między Asome i tronem wystarczająco długo, aby Jayan mógł powalczyć o koronę swojego ojca.

Uderzył włócznią w podłogę, aż się echo poniosło, a potem bez pozwolenia odwrócił się do drzwi sali tronowej. Jego *kai'Sharum* ruszyli za nim posłusznie. Inevera dostrzegła w nich, jak i w wielu *Damaji* przekonanie, że najstarszy syn Wybawiciela został właśnie okradziony ze swoich przyrodzonych praw. A *Sharum* uwielbiali Jayana, na dodatek przewyższali liczebnie *dama*. Jayan stawał się rosnącym zagrożeniem.

Na razie jednak udało się go opanować. Inevera poczuła ulgę, gdy Ashan wreszcie wspiął się po siedmiu stopniach i zasiadł na Tronie z Czaszek. Wojownik popatrzył na zgromadzonych doradców i wypowiedział słowa, które przygotowała dla niego Inevera, chociaż i ona wyczuła, że miały posmak goryczy.

– To wielki zaszczyt sprawować władzę dla *Shar'Dama Ka*, błogosławione niech będzie jego imię. Zachowam dwór Wybawiciela tak, jak go zostawił. *Damaji* Aleverak będzie przemawiał w imieniu Rady, a *khaffit* Abban zachowa swoje stanowisko nadwornego skryby i mistrza logistyki. I jak wcześniej: ktokolwiek ośmieli się go skrzywdzić lub utrudniać mu interesy, niech nie oczekuje łaski od tronu.

Inevera skinęła palcem na Belinę i *Damaji'ting* z plemienia Majah wystąpiła z *hora*, aby uzdrowić Aleveraka. Wkrótce *Damaji* wstał niezdarnie z podłogi. Za chwilę przestanie czuć dezorientację i będzie nawet silniejszy niż przed walką. Gdy tylko się podniósł, złożył poddańczy ukłon przed Tronem z Czaszek.

Chociaż hołd ów był satysfakcjonujący, nie mógł się równać ze spojrzeniem Ashana, które ten rzucił Ineverze, jakby chciał zapytać, czy to przedstawienie dobiegło wreszcie końca. Inevera skinęła nieznacznie głową i Ashan odprawił *Damaji*, po czym podszedł do Asukajiego i Asome oraz swoich doradców, Halvana i Shevaliego.

– Młodsze siostry – powiedziała Inevera i *dama'ting* pozostały na sali, podczas gdy mężczyźni powoli wychodzili. Zebrały się u podnóża tronu, aby odbyć prywatne spotkanie z Pierwszą Żoną Wybawiciela.

– Nie powiedziałaś wszystkiego, Damajah. Moje kości przepowiedziały, że Ahmann może nigdy nie wrócić. – Belina mówiła z opanowaniem, ale jej aura przypominała otwartą ranę. Większość *Damaji'ting* odczuwała podobnie. Straciły nie tylko przywódcę, lecz także męża.

– Co się stało? Tak naprawdę? – zapytała Qasha. Mniej zdyscyplinowana niż Belina, *Damaji'ting* z plemienia Sharach nie zdołała ukryć emocji. Głos jej się załamał na ostatnich słowach i zabrzmiał jak jęk, skaza na szkłe.

– Ahmann w sekrecie oszczędził Par'china po przejściu włóczni – wyznała Inevera z nieskrywaną dezaprobatą. – Ten człowiek przeżył i wyzwiał naszego męża na *Domin Sharum*.

Kobiety zaczęły to komentować. *Domin Sharum* dosłownie znaczyło „dwóch wojowników” – nazwa rytualnego pojedynku wzięła się od pierwszej walki, jaką Kaji stoczył z pragnącym go zamordować przyrodnim bratem z plemienia Majah trzy tysiące lat temu. Podobno starcie to trwało siedem dni i siedem nocy i odbyło się na najwyższym południowym szczycie – na Piersi Nie.

– Z pewnością kryje się za tym o wiele więcej – zauważyła *Damaji'ting* Qeva. – Nie mogę uwierzyć, żeby jakikolwiek mężczyzna zdołał pokonać Shar'Dama Ka w uczciwej walce.

Pozostałe kobiety przytaknęły. Żaden człowiek ani demon nie zdołałby pokonać Ahmanna, zwłaszcza gdy Wybawiciel dzierżył Włóczęgię Kajiego – to się nie mieściło w głowie.

– Par'chin wypisał sobie na skórze runy – wyjaśniła Inevera. – Nie w pełni to rozumiem, ale symbole zapewniły mu przerażającą moc, bardzo podobną do mocy demonów. Ahmann dotrzymywał mu pola w starciu, jednak kiedy zaszło słońce, Par'chin zaczął się rozwiewać jak mgła, zupełnie jak *alagai* wydostający się z głębi Nie. Ciosy Shar'Dama Ka nie wyrządzały mu krzywdy, nie można go było dotknąć. Wreszcie Par'chin rzucił się wraz z Wybawicielem w przepaść. Ich ciało nie udało się odnaleźć.

Qasha zaniósła się na to szlochem, a Justya, *Damaji'ting* z plemienia Shunjin, podeszła, żeby ją pocieszyć, ale sama też zaczęła płakać. Wkrótce wszystkie kobiety stojące w półkolu przed Ineverą lamentowały.

– Cisza! – syknęła Inevera, a jej wzmocniony głos przeciął szlochy jak bicz. – Jesteście *Damaji'ting*, nie jakimiś żalonymi *dal'ting jiwah*, które wylewają wiadra łez nad zmarłym *Sharum*. Los Krasji zależy od nas. Musimy wierzyć, że Ahmann powróci, i utrzymać jego imperium, dopóki znowu nie przejmie władzy.

– A jeżeli nie wróci? – pytanie *Damaji'ting* Qevy było jak tchnienie lekkiego wiatru. Ona jedna spośród zgromadzonych kobiet nie straciła męża.

– Wtedy będziemy czuwać nad jednością naszego ludu, dopóki nie znajdzie się odpowiedni następca – stwierdziła Inevera twardo. – Nie wpłynie to na zadanie, które musimy wypełnić tu i teraz.

Popatrzyła na otaczające ją kobiety.

– Zniknięcie Ahmanna sprawi, że kapłani będą próbowali pozbawić nas wpływów. Widziałyście magię, jaką pokazałam *Damaji*. Każda z was posiada ukryte *hora* bojowe, których może użyć w razie konieczności. Wy i wasze najpotężniejsze podwładne *dama'ting* musicie znaleźć pretekst, żeby wykonać własny pokaz siły. Czas ukrywania naszej potęgi minął.

Spojrzała w oczy stojących przed nią w półkolu kobiet. Z niektórych twarzy zniknęły łzy, zastąpione wyrazem determinacji.

– Niech jak najwięcej *nie'dama'ting* zajmie się przygotowaniem nowych *hora* do zaklęć, każda też musi wyszyć na swoich szatach runy niewidzialności, jakich używają ludzie z Północy. W tym celu Abban prześle szpule złotych nici do pałacu każdej *dama'ting*. Jeżeli ktokolwiek spróbuje nam przeszkodzić w wychodzeniu nocą, należy go zlekceważyć. Jeżeli jednak mężczyzna ośmieli się któregoś z was tego zabronić, złamcie go. Publicznie. Zabijajcie *alagai*. Uzdrawiajcie wojowników na progu śmierci. Musimy pokazać mężczyznom Krasji, że stanowimy siłę, z którą muszą się liczyć zarówno ludzie, jak i demony. Nie bójmy się pobrudzić sobie rąk.



3

Ashia

333 rok plagi, jesień

Ashia zeszywniała, gdy mąż rzucił wyzwanie jej ojcu, aby zdobyć Tron z Czaszek. Nie do pomyslenia było, żeby się wtrąciła, ale nie miała wątpliwości, że wynik tego starcia, bez względu na to, kto okaże się zwycięzcą, wyrze na nią ogromny wpływ.

Westchnęła głęboko, żeby ponownie odzyskać wewnętrzną równowagę. Taka była *inevera*.

Przesunęła nieco ciężar ciała, rozluźniając część mięśni, napinając jednocześnie inne, aby utrzymać pozycję nad wnęką na lewo od podium Tronu z Czaszek. Przytrzymała się łukowatego sklepienia palcami rąk i nóg. Mogła się tak trzymać w nieskończoność – nawet gdyby zasnęła, nie rozluźniłaby uchwytu.

Po drugiej stronie pomieszczenia, w identycznej pozycji, znajdowała się druga siostra włóczni, Micha. W milczeniu patrzyła przez niewielką dziurkę w rzeźbionym zdobieniu nad łukiem.

Jarvah ukrywała się za filarem tuż za Tronem z Czaszek, gdzie bez pozwolenia Wybawiciela i Damajah nikomu nie wolno było zaglądać.

Wtopione w cienie *kai'Sharum'ting* były niezauważalne nawet dla tych, którzy stanęliby bezpośrednio pod nimi. Gdyby jednak Damajah znalazła się w niebezpieczeństwie, siostry włóczni mogły od razu wkroczyć do akcji i wymierzyć we wroga ostrza z runicznego szkła. Dwa oddechy później znalazłyby się pomiędzy Ineverą i zagrożeniem, gotowe do walki.

Kai'Sharum'ting otwarcie chroniły Damajah podczas podróży, ale Inevera wolała, aby w miarę możliwości pozostawały w ukryciu.

Wreszcie dwór opuścił salę i Damajah została z dwójką najbardziej zaufanych doradczyń – *Damaji'ting* Qevą i jej córką, *nie'Damaji'ting* Melan.

Damajah skinęła nieznacznie dłonią. Ashia i Micha zeskoczyły cicho ze swych stanowisk, a zza filaru wyszła Jarvah i we trójkę odprowadziły Ineverę do jej komnat.

Żony Wybawiciela, *dal'ting* Thalaja i Everalia, czekały już z lekkim posiłkiem. Szukały spojrzeń córek, ale wiedziały, że nie wolno rozmawiać z *kai'Sharum'ting*, gdy te chronią Damajah. Zresztą i tak niewiele miały sobie do powiedzenia.

– Kapiel gotowa, Damajah – oznajmiła Thalaja.

– Świeże jedwabie także – dodała Everalia.

Ashia wciąż nie mogła uwierzyć, że te potulne, służalcze kobiety były żonami Wybawiciela. Pamiętała jednak, że jej święty wuj poślubił je, zanim wiele lat później doszedł do władzy. Ashia kiedyś myślała, że Thalaja i Everalia ukrywają swoje umiejętności i wpływy, jak sama została nauczona, ale po kilku latach zrozumiała, jak jest naprawdę. Odkąd nie mogły już rodzić, obie kobiety tylko formalnie uchodziły za żony. W rzeczywistości stały się służącymi dla żon Wybawiciela noszących biel.

Ale gdyby taka była *inevera*, pomyślała Ashia, mnie spotkałby podobny los.

– Potrzebuję nowych szat – stwierdziła Inevera. – Wybawiciel... wędruje. Do jego powrotu będę nosić tylko nieprzejrzyste jedwabie.

Służące skłoniły się i poszły wypełnić polecenie.

– To jeszcze nie koniec wieści. – Inevera popatrzyła najpierw na Qevę i Melan, potem zwróciła spojrzenie na Ashię i jej siostry włóczni. – Enkido nie żyje.



Ashia wyobraziła sobie palmę uginającą się pod naporem wiatru, który w nią uderzył. Ukłoniła się przed Damajah. Stojące o krok z tyłu Micha i Jarvah uczyniły to samo.

– Dziękujemy, że nam powiedziałaś, Damajah – przemówiła z opanowaniem Ashia. Głowę miała spuszczoną, ale kątem oka obserwowała otoczenie. – Nie spytam, czy zginął z honorem, wiem bowiem, że nie mogło być inaczej.

Inevera przytaknęła.

– Zanim jeszcze Enkido odciął sobie język i przyrodzenie, żeby służyć mojej poprzedniczce i zgłębiać tajemnice *sharusahk dama'ting*, jego honor był bez skazy.

Melan zeszywniała na wzmiankę o swojej babce i matce Qevy, *Damaji'ting* Kenevah, która była poprzedniczką Inevery. Podobno Damajah udusiła starą kobietę, aby przejąć władzę nad *dama'ting*. Qeva nie dała nic po sobie poznać.

– Enkido został zabity przez zmiennokształtnego *alagai*, strażnika jednego z księząt Nie – wyjaśniła Inevera. – Takie demony potrafią przyjmować każdą postać, prawdziwą lub urojoną. Na własne oczy widziałam, jak Wybawiciel z jednym walczył. Enkido zginął, wypełniając swój obowiązek, chronił Amanvah, Sikvah i ich czcigodnego męża, syna Jessuma. Wasi krewni żyją dzięki jego poświęceniu.

Ashia skinęła głową, starając się utrzymać wewnętrzną równowagę, aby zaakceptować wieść o śmierci mistrza.

– Czy ten... zmiennokształtny wciąż żyje? – Jeśli tak, Ashia będzie musiała go odszukać i zabić, nawet jeżeli oznaczało to pościg w głąb samej pustki Nie.

Inevera potrząsnęła głową.

– Amanvah i syn Jessuma osłabili tego stwora, ale to *Jiwah Ka Par'china* zakończyła jego plugawe życie.

– Zaprawdę musi być wielką wojowniczką, skoro udało jej się zwyciężyć tam, gdzie nasz czcigodny mistrz zawiódł – stwierdziła Ashia.

– Strzeż się jej, jeżeli wasze ścieżki się kiedyś skrzyżują – przyznała Damajah. – Jest niemal tak potężna jak jej mąż, ale boję się, że wchłonęła zbyt wiele magii *alagai*, a szaleństwo, jakie się z tym wiąże, tętni jej we krwi.

Ashia złączyła dłonie ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę.

– Wraz z siostrami włóczni Everama błagam Damajah o pozwolenie, żebyśmy mogły udać się w noc i zabić siedem *alagai* w hołdzie Enkido, po jednym na każdy filar Niebios, aby prowadziły naszego utraconego mistrza po samotnej ścieżce.

Damajah skinęła dłonią.

– Oczywiście. Pomóście *Sharum*.



Ashia starannie wymalowała sobie runy na paznokciach. Od niedawna długie paznokcie cieszyły się popularnością wśród rozpieszczonych żon i niektórych *dama'ting*. Uczennice Enkido obcinały je bardzo krótko, ponieważ tak łatwiej było trzymać broń. Ashia nie musiała wczepiać się kurczowo w *alagai*, wystarczał jej nóż albo grot włóczni. Teraz

jednak miała inne zamiary. Kątem oka obserwowała siostry włóczni, które przygotowywały broń na zbliżającą się noc w ciszy przerywanej tylko skrzypieniem oliwionej, polerowanej i wiązanej skóry.

Damajah dała *kai'Sharum'ting* Ashii ekwipunek ze wzmocnionego runami szkła, podobny do broni używanej przez Włócznie Wybawiciela. Krawędzie grotów zawsze pozostawały ostre, ale owijki i uprząże wymagały sprawdzania i napraw. Enkido regularnie dokonywał inspekcji wyposażenia swoich podopiecznych i nigdy nie był zadowolony. Wystarczył jeden przekrzywiony szew na uchwycie tarczy, praktycznie niewidoczny i pozbawiony znaczenia w walce, aby mistrz rozerwał grubą skórę gołymi rękami, przez co właścicielka musiała wymienić broń na nową.

Inne wykroczenia Enkido karał już bez takiej pobłażliwości.

W Lennie Everama mieszkały trzy *kai'Sharum'ting*: Ashia, Micha i Jarvah. Micha i Jarvah były rodzonymi córkami Wybawiciela, które spłodził z żonami *dal'ting*, Thalają i Everalią. Im również odmówiono bieli.

Z racji urodzenia stały znacznie wyżej od siostrzenic Wybawiciela, ale Ashia była o cztery lata starsza od Michy i sześć od Jarvah. Wprawdzie magia, którą dziewczęta pochłaniały co noc, sprawiła, że miały ciała dojrzałych kobiet, ale wciąż polegały na starszej krewniaczce.

Z każdym dniem w szeregi *Sharum'ting* wstępowały kolejne kobiety, jednak tylko one trzy pochodziły z rodu Wybawiciela. Tylko one nosiły białe zasłony.

I tylko one zostały wyszkolone przez Enkido.

O zmierzchu otwierały się bramy miasta, aby wypuścić *Sharum* na rozległy teren, który nazwali Nowym Labiryntem. Dwie godziny później w zupełnych ciemnościach trzy *kai'Sharum'ting* i pół tuzina nowych sióstr włóczni przekradło się w ciszy za mur.

Wydany przez Damajah rozkaz, aby „pomóc” *Sharum*, był jednoznaczny. Siostry miały polować na skraju Nowego Labiryntu, gdzie demonów było najwięcej, i zwracać uwagę na nierozważnych *Sharum*, tak bardzo upojonych magią i żądzą krwi, że dali się otoczyć.

Ashia i jej siostry włóczni miały w takiej sytuacji ratować mężczyzn. Dzięki temu zacieśniłyby więź krwi z możliwie największą liczbą *Sharum*. Jednak ratunek ze strony kobiet stanowił cios dla dumy wojowników. To także należało do planu Damajah. Siostry włóczni Everama miały zachęcać mężczyzn do rzucania wyzwania, a potem zabić lub okaleczyć dostatecznie wielu, aby stanowiło to jasne i wyraźne przesłanie dla pozostałych.

Młode kobiety szybkim marszem pokonywały kolejne mile. Na ich czarnych szatach wyhaftowane zostały tajemne runy sprawiające, że wojowniczkami były niewidzialne dla *alagai*, znaki na zasłonach zaś pozwalały widzieć w nocy równie dobrze jak za dnia.

Odnalezienie czterech *dal'Sharum* z plemienia Majah, którzy zanadto oddalili się od swojego oddziału i zostali otoczeni przez demony, nie zabrało im wiele czasu. Na ziemi leżały truchła trzech *alagai*, a jeden z *Sharum* ścisnął zakrwawioną nogę. Towarzysze całkowicie go ignorowali – podobnie jak własne wyszkolenie – walczyli indywidualnie, chociaż trzymanie się w szyku mogło ich ocalić.

„Upojeni magią *alagai*” – szepnęła na migi Ashia do swych sióstr. Szaleństwo to nie było im obce, ale wojowniczką, która potrafiła zachować równowagę, bez trudu była w stanie ignorować magiczną euforię. „Musimy ich ocalić przed nimi samymi”.

Ashia przebiła włócznią demona, który szykował się do ataku na samotnego *Sharum*, podczas gdy Micha, Jarvah i tuzin innych zaatakowały pozostałe kilkanaście demonów.

Gdy tylko Ashia zabiła *alagai*, poczuła przypływ jego sił. W świetle Everama widziała w swojej aurze magię rozprzestrzeniającą się jak ogień wzdłuż linii mocy. Te same linie wyrysowano w księdze Evejah'ting oraz wytatuowano na ciele zmarłego mistrza Ashii. Zagadka Enkido.

Ashia czuła się silniejsza i szybsza. Rozumiała, jak łatwo można ulec upojeniu magią. Kobieta miała wrażenie, że jest niezwykła. W jej wnętrzu budził się gniew. Ugięła się w duchu niczym palma na wietrze i pozwoliła, aby wściekłość przetoczyła się i przeminęła.

Potem dopiero Ashia obejrzała dokładnie głęboką ranę na nodze *Sharum* – już się zasklepiła. Dzięki wchłoniętej magii *alagai* rozpoczęło się gojenie.

– Następnym razem zasłoń się tarczą – poradziła wojownikowi.

– A co kobieta może wiedzieć o walce? – prychnął ranny.

Ashia wstała.

– Ta kobieta ocaliła ci życie, *Sharum*.

Skoczył na nią demon, ale odrzuciła go uderzeniem tarczy. Upadł niedaleko innego *dal'Sharum*, który ugodził go potężnym ciosem włóczni. Uderzenie zadało demonowi śmierć, lecz mimo to mężczyzna wyswobodził broń i zadawał kolejne ciosy, rycząc z bezrozumnej furii. Kolejny demon próbował skoczyć wojownikowi na plecy. Ashia odepchnęła mężczyznę, aby wyprowadzić atak, jednak ustawiła włócznię pod złym kątem i grot ześlizgnął się

nieszkodliwie po demoniej skórze, a siła *alagai* wytrąciła kobiecie broń z ręki.



Ashia ustąpiła o dwa kroki, odbijając tarczą pazury demona. Stwór próbował ugryźć przeciwniczkę, ale wepchnęła mu do gardła krawędź tarczy i odsłoniła miękkie podbrzusze. Potężnym kopnięciem obaliła demona na plecy, po czym rzuciła się na niego z nożem i zanim zdołał się pozbierać, wbiła mu ostrze głęboko w gardło. Gdy wstawała, poczuła uderzenie w głowę. Wykonała szybki przewrót, a gdy się podniosła, zobaczyła *Sharum*, którego wcześniej uratowała. W jego oczach płonęła dzikość, z postawy bił gniew.

– Śmiałaś mnie tknąć, kobieto? – warknął.

Ashia rozejrzała się szybko po polu walki. Ostatni z demonów leżał martwy, jej *Sharum'ting* wyszły ze starcia bez jednego draśnięcia i czekały w ciasnym szyku. Patrzyły zimno na *Sharum*. Ranny wciąż leżał na ziemi, ale dwie z włóczniczek już po niego podchodziły.

„Nic nie róbcie” – zasygnalizowała palcami Ashia do swoich towarzyszek broni. „Poradzę sobie”.

– Poszukaj wewnętrznej równowagi! – krzyknęła, gdy mężczyzna na nią ruszył. – Zawdzięczasz mi życie!

Sharum splunął na ziemię.

– Zabiłbym tego *alagai* z równą łatwością, jak pokonałem tego pierwszego.

– Tego, którego ogłuszyłam i rzuciłam ci pod nogi? – zdziwiła się Ashia drwiąco. – Podczas gdy moje siostry wybiły hordę, która by was wszystkich zaszlachtowała?

Mężczyzna odpowiedział tylko ciosem włóczni wymierzonym w jej twarz. Ashia złapała drzewce i wykręciła tak, że złamała wojownikowi nadgarstek. Pozostali rzucili się do ataku. Przepływająca przez nich magia zwielokrotniła wrodzone skłonności do agresji i poczucie wyższości, zwłaszcza nad kobietami. Niepowodzenie w walce było dostatecznie wielkim wstydem, ale ratunek z ich rąk...

Ashia zawirowała i znalazła się za plecami nacierającego wojownika. Następnego kopnęła w twarz. Nie zdążył jeszcze upaść, a już zaatakowała trzeciego i ciosem otwartej dłoni wytrąciła mu włócznię, a podstawą drugiej uderzyła agresora w czoło. *Sharum* zatoczył się ogłuszony. Ashia rzuciła nim w dwóch pierwszych, którzy próbowali się właśnie pozbiierać. Gdy wreszcie zdołali wstać, napotkali groty włóczni stojących wokół wojowniczek.

– Żalotne. – Ashia uniosła zasłonę, aby splunąć mężczyznom pod nogi. – Wasza sztuka *sharusahk* jest równie słaba jak wasza wola. Upaja was magia *alagai*. Zabierzcie rannego i wracajcie do swoich, zanim stracę cierpliwość.

Nie czekała na odpowiedź. Rozpłynęła się w ciemnościach nocy, a siostry ruszyły za nią.

„Nasi bracia włóczni wolą nas atakować, niż przyjąć pomoc” – zasygnalizowała Jarvah w biegu.

„Na razie” – przytaknęła Ashia. „Nauczają się szacunku dla *Sharum’ting*. Jesteśmy z krwi Wybawiciela, który przemienił ten motłoch na chwałę *Sharak Ka*”.

„A jeśli mój święty ojciec nie wróci?” – zapytała w języku znaków Jarvah. „Czym bez niego będą Armie Everama?”

„Wróci” – zapewniła Ashia. „To Wybawiciel. Pod jego nieobecność musimy dawać przykład. Chodźmy. Nie zabiłyśmy jeszcze nawet połowy *alagai*, aby ułatwić naszemu mistrzowi wędrówkę samotną ścieżką do Niebios”.

Szły dalej, ale większość *Sharum* szanowała noc – i miała świadomość własnych ograniczeń. Nie znalazły już nic, co wymagałoby ich uwagi. Pozostawiły za sobą patrole *dal’Sharum*, a potem wyszły z Labiryntu w „czystą noc”, jak mawiali mieszkańcy Północy.

Ashia znalazła ślady dużej hordy. Zajęła się tropieniem, siostry zaś podążały za nią w całkowitej ciszy. Podkraśliły się do prawie trzydziestu niczego nieświadomych *alagai*, przebiły w sam środek hordy i utworzyły otoczony tarczami krąg. Ashia wiedziała, że stojące u boku siostry na pewno ją ochronią. One z kolei wiedziały, że mogą na Ashii polegać. Nie musiały się obawiać kontrataku i spokojnie przystąpiły do mordowania demonów, które padały jeden po drugim. Z każdym zabitym przez oddział włóczniczek przepływało wyładowanie magii i dodawało im sił. Moc próbowała przełamać ich panowanie nad sobą, ale dla wyszkolonych kobiet była niczym łagodny wietrzyk.

Połowa hordy demonów leżała martwa, zanim pozostałe *alagai* pomyślały w końcu o ucieczce. Wtedy jednak Ashia i jej siostry zepchnęły stwory do wąwozu ze stromymi zboczami, gdzie demony nie mogły wykorzystać przewagi szybkości. Na sygnał wojowniczeki rozproszyły się i przyparły demony do ścian.

Ashia pozwoliła, aby grupa *alagai* odcięła ją od sióstr. Zwiodła demony, aby ją otoczyły i zbliżyły się w zasięg włóczni. Widziała wyraźnie linie mocy przebiegające wzdłuż demonich kończyn. Zamknęła oczy i głęboko nabrała tchu.

To na twoją cześć, mistrzu.

Wypuściła włócznię i tarczę z bezwładnych palców, otworzyła oczy i przyjęła postawę *sharusahk*.

Demony wrzasnęły i rzuciły się do ataku, Ashia jednak widziała wyraźnie ciosy, które dopiero miały spaść, w liniach demonich aur. Ukradziona magia dawała jej szybkość. Wojowniczka tańczyła, unikając ataków albo je przekierowując wprost na inne demony. Uchyliła się i wbiła palce w brzuch *alagai*, obalając go na ziemię. Runy na paznokciach zamigotały od mocy, ponieważ bezpośredni kontakt magiczny był setki razy silniejszy niż to, co przepływało przez tarczę i drzewce włóczni. Demon upadł z wypalonym i spłaszczonym od impetu uderzenia torsem. Z trudem próbował się podnieść. Ashia zaczerpnęła mocy i obaliła innego demona kopnięciem w nogę, gdy szykował się do skoku, po czym kolejnego trzepnęła mocno w skroń i pozbawiła wzroku.

Jak ten mężczyzna śmiał ją zaatakować?! I to od tyłu?! Powinna była go zabić, żeby stanowił przykład dla innych.

Alagai atakował dziko, ale wystarczyły dwa proste bloki, aby odbić pazury. Ashia zbliżyła się do stwora i wraziła palce w jego gardło. Naciągnięta skóra pękła nie tyle od siły samego ciosu, co od towarzyszącej mu magii.

Wojowniczka wbiła przedramię w klatkę piersiową demona. Od środka stwory były tak samo wrażliwe jak każde zwierzę na Ala. Ashia zacisnęła palce na wnętrznościach i wyrwała pięść z zakrwawioną tkanką. Magia huczała teraz w jej duszy niczym grzmot.

Wybawiciel odszedł. Damajah stąpała po ostrzu noża. Enkido zginął. Bracia włóczyńcy woleli zabić Ashię, byle nie zasnęła, jaką stanowiła dla nich pomoc kobiet w walce. Tego było już za wiele.

Narastał w niej gniew. Wojownicza porzuciła neutralną postawę, aby ścigać uciekające demony, zamiast je wabić. Za to właśnie zganiła *dal'Sharum*, lecz przecież w jej żyłach płynęła krew Wybawiciela. Ashia w pełni nad sobą panowała.

Następnego demona, który na nią skoczył, złapała za głowę i zakreśliła, wykorzystując szybkość i siłę *alagai* do złamania mu karku.

Potem wykonała unik przed kolejnym stworem. Zaczęła kopać i bić pięściami. Ustawiała się dogodnie do zadawania śmiertelnych ciosów paznokciami w linie mocy *alagai*.

Na skraju jej pola widzenia pojawiła się czerwień. Ashia nie widziała już nic oprócz kolejnych atakujących ją stworów. Nie patrzyła nawet na ciała demonów, lecz na ich prawdziwą postać, na linie mocy w ich aurach. Widziała tylko to i tylko tam uderzała.

Nagle pociemniało jej w oczach i potknęła się przy zadawaniu ciosu. Pojawił się kolejny demon, więc Ashia zaatakowała z wysiłkiem, stwór został jednak w porę odepchnięty tarczą z runicznego szkła.

– Siostró! – krzyknęła Micha. – Odszukaj swoją równowagę!

Ashii wrócił zdrowy rozsądek. Była splamiona posoką, a wokół leżały truchła pokonanych *alagai*. Siedem. Polana była pusta, a Micha, Jarvah i reszta przyglądały się Ashii z niepokojem.

Micha ujęła ją za ramię.

– Co to było?

– Co? – ocknęła się Ashia. – Uonorowałam naszego mistrza przez *sharusahk*.

Micha zmarszczyła brwi, po czym ściszyła głos do ochryplego szeptu, którego reszta nie mogła usłyszeć:

– Wiesz co, siostró? Straciłaś nad sobą panowanie. Chciałaś uhonorować naszego mistrza, ale Enkido wstydziłby się za ciebie za ten pokaz, zwłaszcza na oczach naszych młodszych sióstr. Masz szczęście, że nie widzieli tego jeszcze *Sharum*.

Ashia przez lata otrzymała wiele ciosów, ale żaden nie uderzył tak boleśnie jak słowa, które właśnie usłyszała. Chciała zaprzeczyć, ale ponieważ odzyskała już zmysły, dostrzegła prawdę.

– Niech Everam mi wybaczy – wyszeptała.

Micha trąciła ją łokciem i uściśnęła pocieszająco.

– Rozumiem, siostró, czuję to samo, kiedy magia jest silna. Ale to z ciebie zawsze bierzemy przykład. Po śmierci naszego mistrza tylko ty nam pozostałaś.

Ashia ujęła dłonie Michy i uściśnęła mocno.

– Nie, ukochana siostró. Jesteśmy tylko my. Bez Shanvah *Sharum'ting* będą patrzeć także na ciebie i Jarvah. Przez wzgląd na nie musisz być tak silna, jak tej nocy byłaś dla mnie.



Szaty Ashii plamiła posoka i tkanki demona, gdy wracała do pałacowych komnat, które dzieliła z Asome i ich synem Kajim.

Zwykle przebierała się przed powrotem i zmieniała ubiór *Sharum* na czarne szaty odpowiednie dla żony, żeby nie drażnić bardziej swojego męża. Asome nigdy nie pogodził się z tym, że wzięła włóczyńnię, ale nie miał prawa zakazać tego żonie. Oboje prosili Wybawiciela o rozwód, gdy Ashia otrzymała tytuł *Sharum'ting*, ale wuj odmówił bez wyjaśniania powodów.

Ashia miała już dość ukrywania się, dość udawania bezbronnej *jiwah* w swoich komnatkach, podczas gdy naprawdę potrafiła pokonać mężczyzn i wykrwawić *alagai* w mroku nocy. Wszystko tylko po to, aby chronić honor mężczyzny, którego Ashia nie obchodziła ani trochę.

„Enkido wstydziłby się za ciebie” – przypomniała sobie słowa Michy. Jakie znaczenie miało niezadowolenie męża w porównaniu z rozczarowaniem mistrza?

Weszła cicho jak duch, ale nie zastała Asome, mąż zapewne znajdował się w nowym pałacu *Damaji* i spał w ramionach Asukajiego. Natknęła się tylko na swoją babkę Kajivah, śpiącą na sofie pod komnatą syna Ashii, Kajiego. Malec był pierwszym prawnukiem Kajivah i święta matka tak przywiązała się do niego, że niemal nie dopuszczała nianiek. „Kto pokocha tego chłopca bardziej niż jego prababka?” – powtarzała często. Oczywiście sugerowała, że w jej przekonaniu Ashia nie nadaje się do opieki nad synem, zwłaszcza teraz, gdy dzierżyła włóczyńnię.

Ashia przekradła się bezszelestnie obok starej kobiety i wślizgnęła do pokoju, po czym stanęła nad śpiącym synem. Nie chciała dziecka. Obawiała się, że ciąża zniszczy jej ciało wojowniczką, na dodatek między nią i Aso nie było przecież miłości. Brat Ashii potrzebował jej, aby urodziła dziecko jego kochanki. Ashia widziała w tym dziecku tylko wynaturzenie. Jednak Kaji okazał się tak doskonały i tak piękny, że nie mógł być wynaturzeniem. Po miesiącach spędzonych na karmieniu go piersią i usypianiu w ramionach, gdy malec wyciągał maleńkie rączki, aby dotknąć jej twarzy, Ashia nie potrafiła już nawet myśleć o tym, co by było, gdyby jej życie potoczyło się innym torem, w którym nie urodziłaby tego dziecka. Uznała, że jego przyjście na świat to *inevera*.

„Enkido wstydziliby się za ciebie”.

Rozległ się głośny trzask, gdy krawędź kołyski pękła jej pod palcami. Kaji otworzył oczy i krzyknął piskliwie.

Ashia odrzuciła wyłamany kawałek drewna i wzięła chłopca na rękę. Dotyk matki zawsze go uspokojał, ale tym razem malec wyrwał się z jej uścisku i szarpał. Ashia próbowała go unieruchomić, ale Kaji płakał i krzyczał tylko głośniej. Wtedy zobaczyła na jego skórze sińce – ślady swojego dotyku.

Wciąż miała w sobie siłę nocy.

Ashia pośpiesznie ułożyła syna w kołysce. Z przerażeniem spoglądała na jego gładką, miękką skórę poznaczoną teraz czerwonymi sińcami oraz smugami demoniej posoki, która pozostała jej na rękach. W powietrzu unosił się smród krwi *alagai*.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadła przez nie Kajivah.

– Co robisz?! Jak możesz budzić dziecko o tej porze?

A potem ujrzała chłopca, posiniaczonego i splamionego posoką. Jęknęła, po czym obróciła się do Ashii z gniewem.

– Precz! Wynoś się! Powinnaś się wstydzić!

Pchnęła młodą kobietę mocno, ta zaś w obawie przed własną siłą pozwoliła się wyrzucić z pomieszczenia. Kajivah wzięła dziecko w ramiona i kopnięciem zatrasnęła za sobą drzwi.

Po raz drugi tej nocy Ashia straciła wewnętrzną równowagę. Nogi się pod nią ugiwały, zatoczyła się do pokoju i osunęła w ciemności na podłogę.

Może to ja jestem wynaturzeniem, pomyślała.

Po raz pierwszy od lat ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Pragnęła tylko kojącej obecności swojego mistrza.

Jednak Enkido stąpił już samotną ścieżką, inaczej – podobnie jak babka – wstydziliby się za Ashię.



4

Krew Sharum

lata plagi 327–332

Usiądź prosto – warknęła Kajivah. – Jesteś księżniczką Kaji, nie jakąś nędzną *kha'ting*. Rozpaczliwie zastanawiam się, czy znajdzie się mąż godny twojej krwi, który zechce cię wziąć.

– Tak, *tikka*. – Ashia zadrżała, chociaż pałacowe łaźnie były gorące i pełne pary. Miała dopiero trzynaście lat i nie musiała się śpieszyć do zamęścia, ale Kajivah zorientowała się, że dziewczyna już krwawi, i nie przestawała naciskać. Ashia wyprostowała się, gdy matka, Imisandre, zaczęła szorować jej plecy.

– Bzdury, matko – powiedziała Imisandre. – Piękna trzynastolatka, najstarsza córka *Damaji* największego plemienia Krasji, do tego z rodu Wybawiciela? Ashia jest najbardziej pożądaną partią na świecie.

Dziewczynka znowu zadrżała. Matka chciała ją uspokoić, ale osiągnęła zupełnie odwrotny rezultat.

Kajivah łatwo było zdenerwować, zwłaszcza gdy córki się z nią nie zgadzały, ale tym razem tylko uśmiechnęła się cierpliwie i dała znak swojej synowej Thalaj, żeby dodała więcej gorących kamieni do wody. Zawsze pilnowała, aby niczego nie brakowało – i w komnatach dzieci, w kuchni, i w łaźni.

Przedmiotem troski Kajivah było jej pięć córek, *dal'ting* – Imisandre, Hoshvah, Hanya, Thalaja i Everalia – oraz wnuczki – Ashia, Shanvah, Sikvah, Micha i Jarvah.

– Zdaje się, że *dama* Baden też tak uważa – przyznała.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Chodzi o jego wnuka Rajiego? – zapytała Imisandre.

Usta Kajivah rozciągnął szeroki uśmiech, gdy tajemnica się wydała.

– Podobno żaden mąż nigdy nie zaoferował takiego bogactwa za jedną narzeczoną.

Ashii zaparło dech w piersi. Jeszcze przed chwilą była gotowa odłożyć tę kwestię na lata, ale... księżę Raji? Chłopak był przystojny i silny, następca bieli i dziedzic fortuny, przy której bladły nawet bogactwa Andraha. Czego więcej można pragnąć?

– On nie jest ciebie godny, sestro.

Wszystkie kobiety popatrzyły na brata Ashii. Asukaji stał w drzwiach plecami do kobiet. Nie był to widok niezwykły. Co prawda żadnemu mężczyźnie nie wolno było wchodzić do łaźni kobiet, ale Asukaji miał dopiero dwanaście lat i nadal nosił bido. Co więcej, był *push'ting*, o czym doskonale wiedziały – bardziej go interesowały plotki roznoszone przez kobiety niż to, co miały pod szatami.

Wszystkie kobiety z rodziny uwielbiały Asukajiego. Nawet Kajivah nie miała mu za złe, że wolał mężczyzn, o ile był gotów wypełnić swój obowiązek i weźmie sobie żony, aby rodziły jej wnuków.

– Ukochany krewniaku – uśmiechnęła się Kajivah – co cię tutaj sprowadza?

– Obawiam się, że to moje ostatnie odwiedziny w łaźni kobiet – stwierdził chłopiec, na co odpowiedziały mu westchnienia pełne rozczarowania. – Rano zostałem wezwany na *Hannu Pash*. Przywdziej biel.

Kajivah pierwsza wzniosła radosny okrzyk.

– To wspaniale! Oczywiście wiedzieliśmy wszystkie, że nie może stać się inaczej. Pochodzisz przecież z rodu Wybawiciela.

Asukaji wzruszył ramionami.

– A ty nie jesteś matką Wybawiciela? A wy nie jesteście jego żonami, siostrami i krewniaczkami? Dlaczego żadna z was nie przywdziej bieli, a ja powinienem?

– Jesteś mężczyzną – odpowiedziała Kajivah, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Jakie to ma znaczenie? – prychnął cicho Asukaji. – Zastanawiasz się, kto zechce wziąć Ashię, podczas gdy powinno się zapytać, jaki mężczyzna jest JEJ GODNY.

– Kto w plemienu Kaji ma wyższą pozycję niż następca *dama* Badena? – zapytała Ashia. – Ojciec nie wyda mnie za mąż za kogoś z innego plemienia... prawda?

– Nie bądź głupia – syknęła Kajivah. – Sam pomysł jest absurdalny.

Ale zaraz na jej twarzy pojawiło się z wątpienie, gdy spojrzała uważnie na swojego wnuka.

– A kto jest godny, twoim zdaniem?

– A some, oczywiście – stwierdził Asukaji. Obaj chłopcy byli nierozłączni.

– To nasz kuzyn! – oburzyła się Ashia.

Asukaji wzruszył ramionami.

– I co z tego? W *Evejah* opisano wiele podobnych związków z czasów Kajiego. A some jest synem Shar’Dama Ka, pięknym, bogatym i potężnym. Co więcej, dzięki niemu zacieśnimy więzy między moim ojcem i rodem *Jardira*.

– Ja jestem z rodu *Jardira* – głos Kajivah zabrzmiał twardo. – Twój ojciec jest jego szwagrem, a ja matką. Jakich jeszcze więzi nam potrzeba?

– Bezpośrednich – odparł spokojnie Asukaji. – Od Wybawiciela i ojca do jedyne go syna. – Ośmielił się obrócić i spojrzeć przez komnatę w oczy Ashii. – Twojego syna.

– Przecież masz bezpośrednią więź – zaoponowała Kajivah. – Jestem świętą matką. Wszyscy pochodzicie z krwi Wybawiciela.

Asukaji skłonił się, a potem znowu odwrócił plecami.

– Nie miałem zamiaru cię obrazić, *tikka*. Święta matka to zaszczytny tytuł, ale nie zmienił twoich czarnych szat w białe. Ani też szat mojej błogosławionej siostry.

Kajivah zamyśliła się nad tymi słowami, Ashia też zaczęła się zastanawiać. Zaślubiny z kuzynem pierwszej linii zdarzały się w potężnych rodach, a do tego A some naprawdę był piękny, jak to ujął Asukaji. Był podobny do matki, a piękność *Damajah* nie miała sobie równych. A some odziedziczył po niej rysy twarzy i smukłą sylwetkę, a do tego dobrze się prezentował.

– Dlaczego nie *Jayan*? – zapytała.

– Co? – zdziwił się Asukaji.

– Skoro doradzasz, żebym poślubiła kuzyna, dlaczego nie pierwородnego syna Wybawiciela? – wyjaśniła Ashia. – Chyba że *Jayan* poślubi swoją siostrę, która jest godniejsza ode mnie, najstarsza krewniaczka Shar’Dama Ka.

W przeciwieństwie do smukłego A some *Jayan* odziedziczył wygląd po Wybawicielu – szeroki w ramionach i muskularny. Nie był miły ani życzliwy, ale emanował taką siłą, że wywoływał rumieniec nawet u Ashii.

Asukaji splunął.

– Pies *Sharum*. Oni wszyscy są jak zwierzęta wyhodowane do Labiryntu, siostró. Prędzej pozwoliłbym ci poślubić szakala.

– Dość! – przerwała Kajivah. – Zapominasz się, chłopcze. Przecież sam Wybawiciel jest *Sharum*.

– Był *Sharum* – poprawił Asukaji. – Teraz nosi biel.

Jeszcze tego samego dnia Kajivah rozmówiła się z *Ashanem*, po czym zaciągnęła Ashię, *Shanvah* i *Sikvah* przed oblicze Shar’Dama Ka i zażądała, aby córki zostały *dama’ting*.

Nie każdy mógł stawiać żądania Wybawicielowi i *Damajah*. Kajivah i jej córki dostały białe zasłony. Ashia i jej siostry zostały posłane do pałacu *dama’ting*.



– To dobrze, siostró – stwierdził Asukaji, gdy dziewczęta były prowadzone do oczekującej Damajah. – Teraz nie będzie powodu, żeby nasz ojciec albo Wybawiciel odmówił połączenia cię z Asume.

Kajivah nie wydawała się zadowolona, ale Ashia nie rozumiała dlaczego. Wybawiciel uznał, że są z jego krwi, i obsypał je zaszczytami. Ashia co prawda nie marzyła, aby stać się *dama'ting*, ale kto wie jakie tajemnice pozna w ich pałacu?

Kai'ting. Dziewczynka lubiła brzmienie tego słowa. Wydawało się potężne. Królewskie. Shanvah i Sikvah wyraźnie się bały, ale Ashia szła chętnie.

Damajah wyprowadziła dziewczęta z wielkiej sali przez swoje prywatne komnaty. Wielki zaszczyt. Czekala tam Qeva, *Damaji'ting* plemienia Kaji, oraz jej córka i następczyni, Melan, a także jeden z wykastrowanych i niemych strażników Damajah.

– Przez cztery godziny każdego dnia dziewczęta będą uczone pisania, śpiewu i miłosnego tańca – zwróciła się Damajah do *Damaji'ting* Qevy. – Przez pozostałe dwadzieścia będą szkolone przez Enkido.

Skinęła na eunucha. Ashia zamarła. Shanvah ścisnęła ją mocno za ramię, Sikvah zaczęła płakać.

Damajah nie raczyła zwrócić na nie uwagi, popatrzyła na eunucha.

– Spraw, żeby stały się choć trochę przydatne.



Nie'Damaji'ting Melan poprowadziła je do Podpałacu *dama'ting*. Podobno *dama'ting* potrafiły uzdrowić każdą ranę dzięki magii *hora*, ale dłoni i przedramię tej kobiety były straszliwie pobliznione i wykręcone jak szpony podobne trochę do tych, które Ashia widziała na malowidłach przedstawiających *alagai*.

Sikvah wciąż płakała, Shanvah też miała oczy pełne łez i nie puszczała ramienia Ashii.

„Masz być wzorem dla każdej młodej kobiety z plemienia” – powiedział jej kiedyś ojciec. „Nie możesz przynieść rodzinie wstydu, dlatego będę dla ciebie bardziej surowy niż dla innych”.

Z tego właśnie powodu Ashia nauczyła się wcześniej ukrywać lęk i nie wylewać łez. Czula równie wielki strach jak siostry, ale była najstarsza i musiała być dla nich przykładem. Wyprostowała się więc, gdy zatrzymali się przed niewielkimi drzwiami. Enkido stanął pod ścianą obok przejścia, a Melan poprowadziła swoje podopieczne przez wielką komnatę wyłożoną mozaiką. Wisiały tu na kołkach białe szaty i długie pasma białego jedwabiu.

– Zdejmijcie szaty – rozkazała Melan, gdy tylko drzwi się zamknęły.

Siostry zawahały się, ale Ashia wiedziała, że nie należy spierać się z Oblubienicą Everama, było to nie tylko głupie, ale też bezsensowne. Z godnością zsunęła kaptur i zdjęła przez głowę jedwabną czarną szatę. Pod spodem szeroki pas jedwabiu spłaszczal jej rozkwitające piersi. Bido również nosiła czarne i jedwabne, owinięte luźno, by nie krępowało ruchów i zapewniało wygodę.

– Wszystko – ponagliła Melan. Zerknęła na wahające się wciąż Shanvah i Sikvah i jej głos zabrzmiał ostrzej: – Już!

Zaraz potem nagie dziewczęta zostały poprowadzone w głąb komnaty, gdzie w naturalnej skalnej kawernie rozświetlonej magicznymi lampami znajdował się głęboki basen. Dno wyłożono marmurem, a ozdobne fontanny sprawiały, że woda wciąż falowała. W gorącym powietrzu kłębiła się para. Łażnia babki nie umywała się do tej w najmniejszym stopniu.

W wodzie znajdowały się dziesiątki dziewcząt w różnym wieku, od dzieci jeszcze po takie tuż przed okresem dojrzewania. Siedziały w kamiennym zbiorniku lub na gładkich skalnych stopniach i pielęgnowały paznokcie oraz skórę. Równocześnie uniosły głowy, aby przyrzeć się nowym.

Ashia i jej towarzyszkę niejedną raz kąpały się razem, ale tamte kąpiele w skrzydle kobiecym pałacu ojca pod jednym względem zatrzważająco się różniły od tego, co dziewczęta zobaczyły w Podpałacu – tutaj każda miała gładko ogoloną głowę.

Ashia odruchowo dotknęła gęstych, naoliwionych włosów, które pielęgnowała od dziecka w nadziei, że spodoba się przyszłemu mężowi.

Melan podchwyciła jej spojrzenie.

– Ciesz się tym doznaniem, dziewczyno. Przez długi czas się nie powtórzy.

Kuzynki, zaskoczone, gwałtownie nabrały powietrza, a Shanvah osłoniła rękoma głowę.

Ashia zmusiła się do opuszczenia ręki i odetchnęła głęboko na uspokojenie.

– To tylko włosy. Odrosną.

Kątem oka dostrzegła, że krewniaczki też się uspokoiły.

– Amanvah!

Na wezwanie Melan wystąpiła dziewczyna w wieku Sikvah. Była za młoda na kobiece zaokrąglenia, ale z oczu i rysów twarzy była uderzająco podobna do Damajah.

Ashia poczuła falę ulgi. Święta Amanvah była ich kuzynką, pierworodną córką Wybawiciela i Damajah. Niegdyś przyjaźniły się z Ashią równie mocno jak Asome i Asukaji.

– Kuzynko! – Ashia powitała ją ciepło i wyciągnęła ręce. Były z jednej krwi, więc Amanvah powinna im pomóc w tym strasznym, nieznanym miejscu.

Jednak Amanvah zignorowała gest, nawet nie raczyła spojrzeć dziewczynie w oczy. Była parę lat młodsza i parę cali niższa niż Ashia, ale wyraźnie dała do zrozumienia, że nie uważa krewnej za równą sobie. Z płynną gracją ominęła kuzynkę i stanęła przed Melan. Odważnie spojrzała w oczy *nie’Damaji’ting*, jak na przyszłą Oblubienicę przystało.

– Przyprowadziłaś je na nauki miłosnego tańca? – Uśmiechnęła się złośliwie. Wśród biednych rodzin panował zwyczaj, aby młode kobiety, które miały trafić do pałacu, uczyły się tańca miłosnego przed sprzedaniem ich do wielkiego haremu. Niektóre wracały do swoich ojców jako panny na wydaniu, które w posagu mogły wnieść fortunę.

Melan skinęła głową.

– Będą się go uczyć codziennie przez godzinę. I przez godzinę śpiewu. Przez kolejną pisanie. A potem godzina kąpieli.

– A co z pozostałymi dwudziestoma? – zainteresowała się Amanvah. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że trafią do Komnaty Cieni?

Ashia dostała gęsiej skórki na samo brzmienie tej nazwy i musiała opanować dreszcz, który przeszedł jej po plecach pomimo gorącego powietrza.

Melan jednak pokręciła głową.

– Przez pozostały czas będą się uczyć *sharusahk*. Należą do Enkido.

Niektóre z dziewcząt w sadzawce nie zdołały ukryć zdumienia, nawet z twarzy Amanvah znikła złośliwość.

Ashia zdusiła warknięcie. W jej żyłach płynęła krew Wybawiciela. Enkido był ledwie półmężczyzną. Może i musiała wykonywać jego polecenia, ale prędzej Nie ją pochłonie, niż Ashia uzna się za jego własność.

– Ogol je i naucz wiązać bido – rozkazała Melan.

Amanvah skłoniła się.

– Rzekłś, *nie’Damaji’ting*.

– Dziękuję, kuz... – zaczęła Ashia, gdy tylko Melan odeszła, ale Amanvah odwróciła się do niej plecami. Pstryknęła palcami i wskazała trzy starsze dziewczyny, które natychmiast podeszły do Ashii i jej kuzynek, po czym poprowadziły je do basenu.

Amanvah wróciła do grupy dziewcząt i rozmowy, którą przerwała jej Melan. Zupełnie ignorowała Ashię, a także Shanvah i Sikvah, gdy *nie’dama’ting* ścięły im piękne włosy i ogoliły głowy. Ashia patrzyła przed siebie i starała się nie przejmować utratą długich, opadających na plecy i ramiona loków.

Potem podeszła *nie’dama’ting* z mydłem i brzytwą. Ashia zamarła, a dziewczyna namydliła jej głowę i z wprawą zaczęła golić.

Amanvah wróciła, gdy było po wszystkim. Patrzyła ponad głowami trzech dziewcząt i nie pozwalała, aby któraś podchwyciła jej spojrzenie.

– Wytrzyjcie się. – Wskazała stertę oślepiająco białych, świeżych ręczników. – A potem chodźcie ze mną.

Znowu się odwróciła, gdy wykonywały polecenie, po czym poprowadziła je do miejsca, gdzie wisiały szaty. Za trzema nowymi ruszyły te, które je ostrzygły i ogoliły.

Amanvah minęła zwoje białego jedwabiu i podeszła do lakierowanej skrzyni daleko pod ścianą komnaty.

– Nie jesteście *dama’ting*. – Rzuciła im po zwoju czarnego jedwabiu wyjętego ze skrzyni. – Niegodne noszenia bieli.

– Niegodne – powtórzyły za nią starsze dziewczyny.

Ashia przełknęła ślinę, gdy to usłyszała. W ich żyłach płynęła krew Wybawiciela, nie jakiejś zwykłej *dal’ting*.



Gdy wrócili z kąpeli w cienkich czarnych szarfach i szatach narzuconych na czarne bido, Enkido już czekał. Shanvah i Sikvah przestały szlochać, ale wciąż tuliły się do siebie i wbiły wzrok w podłogę.

Ashia odważnie uniosła głowę, aby spojrzeć eunuchowi w oczy. Pochodziła z rodu Wybawiciela. Gdyby ten mężczyzna ośmielił się ją tknąć choćby palcem, ojciec obetnie mu coś więcej niż męskość. Dziewczyna nie musiała się obawiać.

Nie obawiała się.

Eunuch w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Patrzył na Sikvah, która trzęsała się jak zając na widok wilka. Mężczyzna wykonał szybki, lekceważący gest. Sikvah tylko patrzyła. Nie rozumiała. Znowu zaczęła płakać.

Enkido uniósł palec wprost do twarzy Sikvah, co sprawiło, że dziewczyna się wyprostowała. Wytrzeszczyła oczy ze strachu, zezując na palec.

Eunuch po raz kolejny wykonał lekceważący gest. I jakby tylko jego palce ją podtrzymywały, Sikvah ponownie się przygarbiła i zaczęła szlochać, a jej zdenerwowanie udzieliło się Shanvah. Chwilę potem obie dziewczyny tuliły się do siebie i drżały.

– Ona nie rozumie, czego chcesz! – krzyknęła Ashia. Nie umiałyby powiedzieć, czy eunuch był tylko niemy, czy również głuchy, ponieważ nie drgnęła mu nawet powieka.

Zaraz jednak uniósł dłoń i uderzył Sikvah w policzek tak mocno, że zderzyły się z Shanvah głowami i obie zatoczyły na ścianę.

Ashia zerwała się do działania, zanim pomyślała – stanęła między dziewczętami i Enkido.

– Jak śmiesz?! Jesteśmy księżniczkami plemienia Kaji, pochodzimy z rodu Wybawiciela! Nie waz się traktować nas jak wielbłądy na bazarze! Shar’Dama Ka obetnie ci tę rękę.

Enkido przyjrzał jej się uważnie. A potem zdawało się, jakby jego dłoń się rozmyła, a Ashia cofnęła się pchnięta i poczuła mrowienie na policzku. Usłyszała raczej, niż poczuła, że uderzyła o skalną ścianę. Huk upadku odbił się echem w głowie Ashii i dziewczyna wiedziała, że wkrótce nadejdzie ból.

Ale Shanvah i Sikvah jej potrzebowały. Dlatego podciągnęła ręce pod siebie i zaczęła się podnosić. Była najstarsza. Miała obowiązek dbać...

Otoczenie rozplynęło jej się przed oczyma, potem zapadła ciemność.

Enkido, Shanvah i Sikvah znajdowali się w tej samej pozycji, gdy Ashia się ocknęła. Zdawało się, że straciła przytomność tylko na okamgnienie, ale zaschnięta na marmurowej posadzce krew świadczyła, że trwało to znacznie dłużej. Dziewczęta już nie płakały, stały prosto. I przyglądały się Ashii z przerażeniem.

Dziewczynie udało się podnieść na kolana, a potem niepewnie wstać. Twarz bolała ją jak nigdy w życiu. Jednak Ashii wcale to nie przerażyło, narastał w niej gniew. Może temu półmężczyźnie wolno było je uderzyć, ale nie ośmieliłyby się żadnej zabić. Po prostu próbował wzbudzić strach.

Wyprostowała się i raz jeszcze ośmieliła się spojrzeć Enkido w oczy. Nie pozwoli się łatwo przestraszyć.

Ale eunuch wcale na nią nie zważał, odwrócił się i ruszył korytarzem, gestem nakazawszy, aby szły za nim.

Bez słowa wszystkie trzy posłuchały.



Enkido stał przed trzema przestraszonymi dziewczętami w wielkiej okrągłej komnacie oświetlonej stłumionym blaskiem magicznych świateł. Jak wszystkie pomieszczenia w Podpałacu, i to miało podłogę i ściany magicznie wydrążone w skale i wygładzone przez używające tych pomieszczeń pokolenia. Zakłęcia na posadzce tworzyły koncentryczne kręgi jak na tarczy strzelniczej.

Nie było tu żadnych mebli, tylko miriady różnych rodzajów broni zawieszonych na ścianach. Włócznie i tarcze, łuki i strzały, sidła na *alagai* i krótkie noże do starć w zwarciu i do rzutów, pałki, łańcuchy oraz wiele innych. Ashia nie potrafiłaby nawet ich nazwać.

Znowu zostały zmuszone do zdjęcia szat, powiesiły je na kołkach przy drzwiach. Miały na sobie tylko bido i pasma jedwabiu na piersiach.

Eunuch również nosił tylko bido – niewielki skrawek jedwabiu. Nie miał czego nim zasłaniać, oczywiście. Jego

muskularne ciało było gładko wygolone i pokryte setkami wytatuowanych linii i kropek. Tatuaz wydawał się chaotyczny, ale Ashia wyczuwała wzór, którego nie potrafiła pojąć i rozpoznać.

Ten tatuaz skrywał zagadkę. Zagadkę Enkido. Ashia miała talent do zagadek. Od dzieciństwa dziewczynki uczone gier i szarad, aby umiały zabawiać swoich mężów.

Niemy *Sharum* przyjął pozę *sharusahk*. Dziewczeta przyglądały mu się bez zrozumienia, dopóki oczy eunucha nie pociemniały. Ashia zrozumiała, w czym rzecz, i przyjęła identyczną pozycję. *Sharusahk* było zakazane dla *dal'ting*, jednak dziewczeta uczone również tańca. *Sharusahk* niezbyt się od tego różniło.

– Naśladujcie go – przykazała pozostałym dwóm dziewczynkom.

Shanvah i Sikvah posłuchały, a Enkido obszedł je i sprawdził. Chwycił Ashię mocno za nadgarstek, szarpnięciem wyprostował jej rękę i brutalnym kopnięciem zmusił do szerszego rozkroku. Dziewczyna jeszcze długo czuła jego uścisk, podczas gdy eunuch już zajmował się Shanvah.

Shanvah krzyknęła i odskoczyła po mocnym klepięciu w udo, Enkido przyjął pozycję jeszcze raz. Dziewczynka nie była głupia, szybko zrobiła to samo. Tym razem wyszło jej lepiej, ale eunuch i tak podciął jej nogi. Gdy Shanvah upadła, Sikvah odskoczyła, a Ashia porzuciła pozycję i odwróciła się, żeby spojrzeć, co się dzieje.

Enkido tylko wskazał ją palcem – i ten prosty gest wystarczył, żeby serce Ashii zamarło. Wróciła do pozycji, podczas gdy Sikvah cofała się dalej. W końcu znalazła się pod ścianą i próbowała się w nią wtopić jak duch.

Ponownie Enkido przyjął pozycję, a Shanvah zerwała się na równe nogi i zrobiła to samo. Tym razem stopy ustawiła prawidłowo, ale plecy nie były proste. Enkido chwycił pasma jedwabiu łączące opaskę na ogolonej głowie dziewczynki ze splotami okrywającymi biodra, pociągnął mocno i wbił kciuk w kręgosłup. Shanvah krzyknęła z bólu, ale nic nie mogła poradzić, wyprostowała się odruchowo.

Wtedy Enkido ją puścił i ruszył do Sikvah. Dziewczynka przyciskała się z przerażeniem do ściany, dłońmi osłaniała usta i nos, oczy miała wytrzeszczone i pełne łez. Eunuch znowu z gracją przyjął pozycję.

– Przyjmij pozycję, głupia! – syknęła Ashia, kiedy tamta nie zareagowała. Jednak Sikvah tylko pokręciła głową i zaskamląła, wciskając się jeszcze mocniej w nieustępliwy kamień.

Enkido poruszał się szybciej, niż można to było sobie wyobrazić. Sikvah próbowała uciec, gdy się do niej zbliżał, ale eunuch błyskawicznie ją dogonił, chwycił za ramię i wykorzystał jej impet przy ucieczce do rzutu. Z krzykiem dziewczynka potoczyła się po podłodze na środek komnaty.

Enkido znalazł się tam w okamgnieniu. Kopnął Sikvah w brzuch. Dziewczynka przetoczyła się na plecy i uderzyła o podłogę. Na twarzy miała krew, kończyny wiotkie niczym palmowe liście.

– Wstawaj, na Everama! – krzyknęła Ashia, ale Sikvah nie chciała albo nie mogła posłuchać. Enkido kopnął ją ponownie. I jeszcze raz. Dziewczynka jęczała, ale równie dobrze mogłaby błagać o zmiłowanie kamienny posąg. Eunuch nie zwracał na nią uwagi. Może naprawdę był głuchy.

Nie próbował jej ani okaleczyć, ani zabić, ale nie zdradzał choćby śladu litości. Nie zanosilo się również na to, że bicie się skończy, chyba że dziewczynka wstałaby i przyjęła pozycję. Enkido po każdym uderzeniu czekał, dawał Sikvah szansę, aby się podniosła, ale dziewczynka nie była w stanie myśleć jasno, pogrążyła się w strachu.

Uderzenia padały raz za razem. Sikvah krwawiła z nosa i ust, ze skaleczenia na skroni. Jedno oko zaczynało zniknąć pod opuchlizną.

Ashia zaczęła myśleć, że eunuch naprawdę zabije jej kuzynkę. Zerknęła na Shanvah, ale ta stała jak wrośnięta w ziemię i tylko patrzyła bezradnie na to, co się działo.

Enkido był tak skupiony na Sikvah, że nie dostrzegł, jak Ashia porzuciła pozycję i bezszelestnie cofnęła się pod ścianę. Święte prawo zakazywało kobiecie dotykać włóczni, wzięła więc krótką, ciężką pałkę okutą stalą. Dobrze leżała Ashii w dłoni. Świetnie.

Lata tańca nauczyły dziewczynkę nie tylko gracji. Skradała się zręcznie i cicho, trzymając się za plecami Enkido. Kiedy znalazła się wystarczająco blisko, bez wahania zamachnęła się do ciosu, który mógłby strzaskać eunuchowi czaszkę.



Wydawało się, że Enkido nie zauważył ataku, ale w ostatniej chwili odwrócił się i dotknął najmniejszym palcem nadgarstka Ashii. Ledwie poczuła to muśnięcie, ale jej cios chybił i ominął głowę eunucha szerokim łukiem. Ich spojrzenia się spotkały i w spokojnych oczach Enkido Ashia dojrzała wyzwanie, jakby eunuch sprawdzał, czy dziewczynka odważy się bronić swojej krewniaczki.

Sikvah leżała zapomniana, drżąca, skulona, posiniaczona i pokrwawiona.

Zabiłby ją, pomyślała Ashia. Tylko po to, aby mnie wypróbować. Obnażyła zęby, odchyliła się i zamachnęła ponownie, żeby uderzyć pod innym kątem.

Była to zmyłka. Zanim Enkido zdążył odpowiedzieć, Ashia zamierzyła się na jego kolano.

Ale niemy wojownik nie dał się zaskoczyć, znowu odparł atak lekkim muśnięciem. Raz po raz Ashia uderzała pałką i za każdym razem Enkido bez wysiłku unikał ciosu. Narastał w niej strach, bała się, co zrobi eunuch, kiedy uzna, że czas skończyć lekcję, i odpowie na atak.

Wkrótce się dowiedziała, gdy eunuch chwycił jej nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki, a potem wykręcił. Uchwyt był lekki, ale ramię Ashii równie dobrze mogłoby tkwić w kamieniu – i tak nie zdołała się wyrwać. A potem Enkido wbił palec prawej ręki w jej staw barkowy.

Ramię Ashii zdrętwiało i opadło bezwładnie, gdy eunuch je puścił. Co on zrobił? Ashia nie czuła, gdy wypuściła z dłoni pałkę, usłyszała tylko, jak broń potoczyła się po podłodze. Spojrzała na dłoń, zmuszając się do zaciśnięcia palców i uniesienia ramienia, ale na próżno. Przeklęła swoją zdradziecką rękę.

Enkido stanął nad Ashią, więc instynktownie osłoniła się drugą ręką. Eunuch znowu wbił jej palec w staw i pozbawił władzy w drugim ramieniu. Dziewczynka próbowała się cofnąć, ale wtedy uderzył. Ledwie klepięcie sprawiło, że nogi się pod nią ugięły. Opadła bezwładnie i uderzyła głową w podłogę, aż zadzwoniło.

Z wysiłkiem Ashia przetoczyła się na plecy, wzrok jej się rozmywał. Enkido stanął nad nią. Wstrzymała oddech. Postanowiła za wszelką cenę nie krzyczeć, gdy spadnie ostatni cios.

Ale Enkido przyklęknął u jej boku i ostrożnie ujął twarz dziewczynki w dłonie, jak matka pocieszająca dziecko. Jego palce wymacały skronie Ashii. Eunuch nacisnął mocno. Ashia dotąd nawet nie wyobrażała sobie takiego bólu, mimo to zagryzła usta. Poczowała smak krwi, ale nie zamierzała dać Enkido satysfakcji i krzyknąć.

Ucisk stał się mocniejszy. Ashia prawie nic nie widziała, na skraju jej pola widzenia czaiła się ciemność. Potem dziewczynka straciła zupełnie wzrok. Przez chwilę przed oczyma wirowały jej kolory, a potem i one znikły wśród czerni.

Enkido puścił ją i wstał. Ruszył do sióstr.

Ashia nie wiedziała, jak długo leżała bezwładnie i słuchała ich krzyków. Wreszcie piski i wrzaski ucichły. Ashia zastanawiała się, czy to ona zemdląca, czy może jej towarzyszki. Nadstawiła uszu, wychwyciła ciche westchnienia, równy oddech i nieznaczny szmer.

W ciemności pojawiła się złota kolumna, niczym nadciągająca burza piaskowa, a potem Ashia zaczęła dostrzegać niewyraźne kształty. Eunuch nie oślepił jej na stałe.

Spróbowała zacisnąć odrętwiałe palce. Ramię drgnęło zaledwie, ale to i tak było więcej niż całkowicie martwe kończyny, których zupełnie nie czuła.

Zauważyła niewyraźną sylwetkę eunucha. Niósł jedną z jej krewniaczek. Druga leżała obok. Shanvah, rozpoznała Ashia, gdy wzrok jej się trochę wyostrzył. Eunuch wrócił i zabrał również Shanvah i Ashia została sama na środku komnaty. Podrygiwała i walczyła o odzyskanie władzy w odrętwiałym ciele. Każdy ruch był agonią, czuła się taka bezradna. A z tym uczuciem gotowa była zmagać się do śmierci.

Eunuch wrócił do niej – wielki rozmyty cień na złotym tle. Ashia poczuła jego rękę na swojej nagiej piersi i wstrzymała oddech.

Enkido przycisnął mocno i sprawił, że wypuściła powietrze z płuc. Kiedy Ashia próbowała zaczerpnąć znowu tchu, okazało się, że nie może. Eunuch przytrzymał ją tak długo, bardzo długo. Dziewczyna szarpała się i rzucała, próbując zmusić swoje kończyny do ciosu.

Jednak Enkido nie zwalniał ucisku i w końcu Ashii zabrakło siły i woli do dalszej walki. Zaczęła tracić odzyskany wzrok.

Znowu w sen, pomyślała niemal z ulgą.

Ale wtedy eunuch nieco zwolnił ucisk. Ashia próbowała zaczerpnąć tchu. Zakrztusiła się. Nie mogła całkiem napełnić płuc, ale udało jej się wziąć płytki wdech. Był to najwspanialszy oddech w jej życiu, jednak nie wystarczył, więc wzięła kolejny. I jeszcze jeden.

Nauczyła się równego rytmu krótkich wdechów i wydechów. Wzrok znowu zaczął jej powracać, czucie w ramionach również. Ale nie próbowała się szarpać, skupiła się wyłącznie na tych furkoczących, życiodajnych oddechach.

A wtedy Enkido zwolnił znowu ucisk. Ashia mogła teraz zaczerpnąć powietrza do połowy objętości płuc i przyjąć to z wdzięcznością. Znowu odnalazła równy rytm, aby nadrobić braki.

Eunuch uniósł ponownie rękę, tylko lekko dotykał jej piersi. Ashia nabrała tchu i wiedziała, że to dar. Żadna przyjemność na tym świecie nie mogłaby się równać z doskonałością tego jednego wdechu.

Wtedy Enkido przycisnął znowu. Ashia nie stawiała oporu, gdy wypchnął powietrze z jej płuc. Eunuch uniósł dłoń chwilę później i dziewczyna mogła zrobić wdech. Pozwoliła mu, aby ją prowadził. Po tak zacieklej walce o oddech mogła odpocząć i pozwolić, żeby Enkido oddychał za nią.

Było to tak kojące, że chyba mogłaby zapaść w sen. Ale eunuch cofnął rękę i zaczął masować Ashii skronie w miejscu, w którym wcześniej wywołał tak potworny ból.

Odzyskała wzrok w jednej chwili, cień wyostrzył się w muskularnego eunucha. Ashia nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny bez szat i zdawała sobie sprawę, że powinna spuścić oczy, ale tatuaże przyciągnęły znowu jej uwagę.

Zagadka Enkido.

Zręczne palce wojownika przesunęły się ze skroni Ashii na wciąż odrętwiałe ramię. Poczowała szarpnięcia, gdy Enkido masował jej rękę, ale nie dotyk na skórze. A potem było ukłucie, które sprawiło, że Ashia drgnęła. Uniosła i odwróciła głowę, żeby się przyjrzeć. Enkido rozmasowywał niewielkiego siniaka na jej ramieniu. Niemal doskonały krąg czerwieni w miejscu, gdzie wbił palec.

Ból zelżał, zmienił się w mrowienie i ukłucia tysiąca igieł, aż wreszcie Ashia odzyskała władzę nad swoim ramieniem.

Enkido obrócił się lekko i dziewczyna dostrzegła, że tatuaż na jego ramieniu wygląda identycznie jak jej siniak.

Podobne znajdowały się na skroniach eunucha, w tych samych miejscach, w których wcześniej ścisnął głowę Ashii, powodując ból. Przyglądała się coraz uważniej ciału Enkido, śledząc linie łączące poszczególne punkty. Wiele było równoległych lub zbieżnych, niektóre większe, inne mniejsze. Enkido przesunął się do sińca na krzyżu Ashii. Dziewczyna odchyliła się, żeby się przyjrzeć, ale to samo już widziała na plecach Enkido.

Zanim jeszcze eunuch zaczął rozmasowywać jej nogi, domyśliła się, że poczuje mrowienie i kłucie.

On uczy, uświadomiła sobie. Linie na jego ciele są świętym tekstem.

Przyglądała się Enkido i jego twarzy, gdy rozmasowywał ślady po uderzeniach. Wydawał się niemal życzliwy. Ashia wyciągnęła rękę i ostrożnie dotknęła punktu na plecach wojownika.

– Teraz widzę i rozumiem. Powiem innym... mistrzu.

Enkido pochylił się do niej. W pierwszej chwili Ashia myślała, że to złudzenie, ale nie – zbyt długo trwał w tej pozycji.

Wojownik skłonił się jej, jak kłania się nauczyciel swojemu uczniowi. A potem uniósł ją ostrożnie jak dziecko i położył na ciepłym posłaniu obok krewniaczek. Pochylił się znowu i musnięciem palców zamknął jej powieki.

Ashia nie stawiała oporu, otuliła ramionami swoje siostry i zapadła w głęboki sen.



Obudziły się przestraszone. Enkido może i był niemy, ale potrafił wydobyć piorunujący ryk z wypolerowanego baraniego rogu. Wydawało się, że ściany się zatrzęsły. Dziewczęta pisnęły i zasłoniły sobie uszy, ale ryk nie ucichł, dopóki nie zerwały się na równe nogi. Ashia nie miała pojęcia, jaka jest pora dnia czy nocy, ale musiały spać przez kilka godzin, bo czuła się wypoczęta, chociaż wciąż obolała.

Eunuch odwiesił róg na ścianę i wręczył każdej z dziewcząt ręcznik, po czym w milczeniu poprowadził je z komnaty ćwiczeń do łaźni. Poszły rzędem, ale Ashia zerknęła przez ramię na swoje krewniaczki. Shanvah patrzyła nieprzytomnie, myślami była daleko. Sikvah kulała, a oddech jej się rwał, gdy wchodziły na schody.

Jak poprzednio Enkido został pod drzwiami, kiedy dziewczęta weszły do przebieralni. Słyszały już plusk wody z fontann, gdy ściągały swoje bido, ale poza tym panowała tu cisza. I rzeczywiście łaźnia okazała się pusta.

Shanvah i Sikvah rozejrzały się nerwowo, przytłoczone wielkością komnaty. Ashia klasnęła, aby przyciągnąć ich uwagę.

– *Nie'Damaji'ting* Melan powiedziała, że godzinę dziennie mamy spędzić w kąpieli. Nie traćmy zatem czasu. – Weszła do basenu i poprowadziła swoje towarzyszki do największej fontanny otoczonej stopniami z gładkiego kamienia, na których mogły usiąść lub położyć się i poddać pieśszczocie gorącej wody.

Sikvah jęknęła, gdy położyła się pod strugami kaskady.

– Proszę, krewniaczko. – Ashia podeszła do niej, przyjrzała się siniakom na udach dziewczynki i zaczęła je delikatnie rozmasowywać, jak wcześniej zrobił to dla niej Enkido. – Siniak jest niewielki. Niech gorąca woda złagodzi ból, wtedy szybko się zagoi.

– Będzie takich więcej – stwierdziła beznamiętnie i bezwolnie Shanvah. – On nigdy nie przestanie.

Sikvah zadrzała, na jej ciele pojawiła się gęsia skórka pomimo panującego wokół ciepła.

– Przestanie – zapewniała Ashia. – Gdy tylko rozwiążemy zagadkę.

– Zagadkę? – zdziwiła się Shanvah.

Ashia wskazała siniaka na swoim ramieniu. Shanvah miała takiego samego. A także Sikvah.

– Na ciele mistrza jest znak taki jak ten. Kiedy się uderzy w ten punkt, ramię drętwieje i staje się martwe na jakiś czas.

Sikvah zaczęła znowu płakać.

– Ale co to znaczy? – zapytała Shanvah.

– Że to sekret *dama'ting* – wyjaśniła Ashia. – Melan powiedziała, że jesteśmy tutaj, żeby uczyć się *sharusahk*. Zagadka Enkido jest tego częścią, to pewne.

– To dlaczego dostałyśmy nauczyciela, który nie może mówić? – zdenerwowała się Sikvah. – I to takiego, który... – jej głos utonął w szlochu.

Ashia uściśnęła pokrzepiająco udo kuzynki.

– Nie lękaj się, siostrzo. Może tak się po prostu robi. Nasi bracia wracają z *sharaj* z siniakami *sharusahk*. Dlaczego miałybyśmy być inne?

– Bo nie jesteśmy chłopcami! – oburzyła się Shanvah.

Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i trzy dziewczyny znieruchomiały. Do łaźni weszła grupa zaprzysiężonych prowadzona przez Amanvah.

– Może nie – odpowiedziała Ashia, skupiając na sobie uwagę obu dziewcząt. – Ale w naszych żyłach płynie krew Wybawiciela i nic, co potrafią znieść zwykli chłopcy, nie może nas złamać.

– Używasz naszej fontanny – oznajmiła Amanvah, gdy stanęła wraz z innymi nad basenem. Wskazała najmniejszą fontannę w najdalszym kącie zbiornika. – Czarne bido myją się tam.

Pozostałe *nie'dama'ting* roześmiały się piskliwie na te słowa jak wyszkolone ptaki. Amanvah miała tylko jedenaście lat, ale nawet starsze akolitki, które wkrótce przywdzieją białe zasłony, skupiały się przy niej, chętne, aby wkupić się w łaski.

Noga Sikvah zeszywniała, Ashia wyczuła też napięcie Shanvah, gotowej odskoczyć jak zając.

– Nie przejmujcie się gadaniem, młodsze siostry – powiedziała spokojnie Ashia. – Ale chodźcie. – Ujęła je za ramiona i pociągnęła lekko, aby pomóc im wstać, po czym posłała gniewne spojrzenie Amanvah. – Mniejsza fontanna i śmiech dziewczyn to niewielka cena za godzinę spokoju.

– Tylko nie dziewczyn. – Amanvah chwyciła Ashię za ramię. – Jesteśmy *nie'dama'ting*, stoimy wyżej od was. Lepiej się tego szybko nauczcie.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Ashia. – Jesteśmy krewniaczkami. Twoja krew to nasza krew. Krew Wybawiciela.

Amanvah szarpnęła Ashię za ramię i podcięła jej nogi. Dziewczyna zatoczyła się na siostry, wszystkie trzy upadły w wodę z pluskiem.

– Jesteś nikim – stwierdziła Amanvah, gdy podnosiły się, kaszląc. – Wybawiciel rozkazał, żeby posłano was tutaj w czerni. Jesteście dziećmi jego bezużytecznych sióstr, *dal'ting*, które nadają się tylko do rodzenia wilków biegających po Labiryncie. Nie macie świętej krwi w żyłach ani nie jesteście dla mnie krewniaczkami.

Ashię opuścił spokój. Była dwa lata starsza od Amanvah, większa i silniejsza, dlaczego miałaby pozwolić się upokarzać młodszej krewniej?

Prysnęła wodą, przed którą Amanvah osłoniła się odruchowo, unosząc rękę. Szybka jak żmija Ashia rzuciła się naprzód i uderzyła sztywnymi palcami w punkt na ramieniu, w jakim Enkido miał wytatuowaną kropkę. W miejsce, które Ashia i jej towarzyszkę miały oznaczone sińcem.

Amanvah krzyknęła – sprawiła tym Ashii satysfakcję – i upadła na pośladki w wodę. Reszta dziewcząt zamarła, żadna nie wiedziała, co zrobić.

Amanvah wytrzeszczyła oczy, gdy popatrzyła na swoje bezwładne ramię. Zaraz jednak skrzywiła się i zaczęła masować miejsce uderzenia, dopóki odrętwienie nie zaczęło ustępować. Poruszyła na próbę ręką – udało się, ale bardzo powoli.

– Ach, Enkido zdołał nauczyć cię już czegoś o *sharusahk*. – Amanvah wstała i przyjęła tę samą pozycję, którą pokazywał poprzedniego dnia eunuch. Uśmiechnęła się. – No to chodź. Pokaż mi, czego się nauczyłaś.

Ashia wiedziała, co ją czeka, i napięła się w gotowości. Jeżeli *Sharum* może to wytrzymać, to ona także.

Myśl trochę ją uspokoiła, ale nie pomogła osłonić się przed bólem. Amanvah uchylała się przed atakami, jakby Ashia wcale się nie poruszała, za to jej ciosy były szybkie i precyzyjne – trafiały tam, gdzie wywoływały największy ból. Kiedy Amanvah się zmęczyła, bez wysiłku przycisnęła Ashię do dna basenu i wykręciła jej ramię tak mocno, że niemal je złamała. Ashia szarpała się, aby utrzymać głowę nad wodą, ale ze wstydem uświadomiła sobie, że gdyby przeciwniczka chciała ją utopić, mogła to zrobić bez przeszkód.

Amanvah poprzestała jednak na zadawaniu bólu. Wykręcała ramię Ashii, dopóki dziewczyna nie zaczęła krzyczeć.

Wreszcie puściła. Ashia z pluskiem osunęła się w wodę. Amanvah wskazała małą fontannę. Spojrzała na trzy dziewczyny.

– Precz do waszej zagrody, suki *nie'Sharum'ting*.



Zagrał róg i Ashia zerwała się, zanim się jeszcze obudziła. Ugięła nogi w pozycji obronnej i starała się być jak najmniejszym celem, jednocześnie rozglądając się w poszukiwaniu zagrożenia.

Żaden atak nie nastąpił. Enkido obojętnie odwiesił róg na ścianę, podczas gdy dziewczęta utrzymywały pozycję. Było ich już pięć, do Ashii i jej dwóch kuzynek dołączyły jeszcze Micha i Jarvah. Wydawało się, że choć o wiele młodsze, jednak przystosowują się do nauk Enkido szybciej. Może dlatego, że brały przykład z Ashii.

Przez wiele miesięcy sala treningowa Enkido stała się jedynym ich światem. Spały tutaj i jadły, a za każdy posiłek i odpoczynek płaciły bólem. Po lekcji zawsze przynajmniej jedna z dziewcząt rozcierała odrętwiałe członki lub zносиła gorsze dolegliwości. Czasami nie czuły zapachu, kiedy indziej na wiele godzin traciły słuch. Żadna z tych nieprzyjemności nie była jednak trwała.

Jeżeli Enkido był z nich zadowolony, rozmasowywał i rozciągał im mięśnie, aby zmniejszyć ból, przywrócić utracone zmysły i przyspieszyć gojenie.

Szybko nauczyły się, że jest zadowolony, gdy widzi ciężką pracę. I upór. Chęć do podejmowania walki lub wysiłku pomimo bólu i ran sprawiała mu satysfakcję. Narzekania, błagania i nieposłuszeństwo – nie.

Tylko pierwszej nocy mogły się wyspać, potem już nie było im to dane. Dwadzieścia minut tutaj, trzy godziny tam. Eunuch budził podopieczne o dziwnych porach i oczekiwał, że wykonają skomplikowane *sharusahk* lub nawet będą walczyć ze sobą nawzajem. Zdawało się, że nie ma w tym żadnego wzorca, więc dziewczęta nauczyły się spać, gdy tylko mogły. Nieustanne wyczerpanie sprawiło, że pierwsze tygodnie minęły im jak we śnie.

Lekcje z *dama'ting* przemijały jak miraż na pustyni. Dziewczęta posłusznie i bez wahania wykonywały polecenia Oblubienic Everama. Enkido zawsze wiedział, jeżeli któraś naraziła się jednej z kobiet w bieli, i bez słów dawał do zrozumienia, dlaczego błędów nigdy nie należy powtarzać.

„Zabiłabym za przespaną noc” – przekazała Shanvah ruchem palców.

Większość nauk udzielanych przez *dama'ting* nie budziła u dziewcząt szczególnego zainteresowania, ale błyskawicznie i z ochotą nauczyły się sekretnego kodu eunuchów, składającego się z gestów i języka ciała. W tym systemie znaków skomplikowana rozmowa mogła być prowadzona równie łatwo jak w mowie.

Enkido czasami wydawał rozkazy lub dzielił się mądrością za pomocą znaków, ale wolał uczyć w milczeniu i przykładem. Zmuszał podopieczne, aby domyślały się samodzielnie pełnego znaczenia zadań, jakie przed nimi stawiał. Czasami całe dni mijały bez słowa w sekretnym kodzie.

Chociaż język znaków nie ułatwiał porozumiewania się z mistrzem, jednak przydawał się do rozmów między dziewczętami. Enkido, jak się okazało, nie był głuchy. Wręcz przeciwnie, najcichszy szept uczennic mógł przynieść im ból lub upokorzenie, sprawiające, że zachowywały w jego obecności absolutną ciszę. Ashia miała pewność, że wiele razy przyłapał je na rozmowach w języku znaków, ale jak dotąd postanowił to ignorować.

„Ja też” – odpowiedziała Ashia ruchem palców. Wstrząsnęło ją, że mówiła to szczerze.

„Ja nie miałabym siły, żeby zabić” – zasygnalizowała Sikvah. „Bez snu chyba umrę”.

Jak zwykle Micha i Jarvah nie mówiły nic, ale uważnie obserwowały rozmowę.

„Nie umrzesz” – zapewniła Ashia. „Mistrz nauczył mnie, jak przeżyć na płytkim oddechu, zatem teraz musi nas uczyć płytkiego snu”.

Shanvah odwróciła się, aby spojrzeć jej w oczy.

„Skąd możesz to wiedzieć?” – zapytała ruchem palców.

„Wierzcie starszej siostrze, krewniaczki” – odpowiedziała Ashia i nawet Shanvah rozluźniła się na to zapewnienie. Ashia nie potrafiła wyjaśnić, ale nie miała wątpliwości co do intencji Enkido. Niestety, zrozumienie nie sprawiało, że łatwiej znosiło się szkolenie. Na to trzeba było zapracować.

Tym razem jednak mogły odetchnąć, ponieważ Enkido wykonał uwielbiany przez nie gest – wskazał na ręczniki. Dziewczęta chyba spały dłużej, niż się zdawało. Cała piątka raźniej stawiała kroki, gdy wzięły ręczniki i ustawiły się przy drzwiach. Enkido odprawił je machnięciem ręki.

Dwadzieścia godzin z Enkido, zgodnie z rozkazem Damajah. Trzy na nauki z *dama'ting*. I ta jedna błogosławiona godzina pomiędzy, kiedy dziewczęta brały kąpiel. W jedynym miejscu, do którego Enkido nie miał wstępu. Jedyna godzina, podczas której mogły rozmawiać bez skrępowania albo zamykać oczy bez pozwolenia. Okazywanie poddaństwa wobec *nie'dama'ting* stanowiło niewielką cenę za spokój.

Zaprzysiężone krzywiły się na obecność uczennic Enkido w łaźni i na korytarzach, drwiły z *nie'Sharum'ting*, jak przeżywała je Amanvah. Czarne bido na zawsze napiętnowało Ashię i jej towarzyszkę, oddzieliło od innych dziewcząt

w pałacu. Nawet młode *dal'ting*, wysłane tutaj, aby nauczyły się miłosego tańca, były traktowane lepiej. Pozwalano im zachować włosy i nie bito za pomyłki.

Ashia i jej młodsze kuzynki nauczyły się milczeć i trzymać razem, przemykać niezauważenie, o ile było to możliwe, i okazywać uległość w pozostałych sytuacjach.

Jak zwykle do łaźni weszły jako pierwsze. *Nie'dama'ting* miały przybyć dopiero za kwadrans, ale Ashia poprowadziła swoją grupkę prosto do małej fontanny na skraju basenu. Woda tutaj nie była tak gorąca pomimo zaklęć podgrzewających. Tam dziewczęta zmywały pot i pomagały sobie w rozmasowywaniu obolałych mięśni, odcisków od piasku oraz opatrywały pęcherze. W łaźni nauki Enkido o masażu i uzdrawianiu okazywały się bezcenne.

Drzwi otworzyły się i *nie'dama'ting* weszły gromadą. Wyraźnie trwała kłótnia i zanosilo się na konfrontację.

Ashia nie była na tyle głupia, żeby patrzeć otwarcie, ale obojętnie siadła pod strugą z fontanny, skąd miała lepszy widok kątem oka. Jej towarzyszki bez słowa zrobiły podobnie – udały, że pielęgnują się i myją nawzajem, podczas gdy uważnie obserwowały.

Nie pierwszy raz były świadkami starć między adeptkami. Zaprzysiężone nazywały siebie siostrami, lecz niewiele było między nimi miłości. Wszystkie walczyły o wpływy w grupie i łaski Amanvah. Na zewnątrz zachowywały się z rozwagą i logiką, ale w prywatności łaźni, do której Oblubienice Everama nie zaglądały, *nie'dama'ting* chętnie szafowały ostrymi słowami, a nawet uciekały się do *sharusahk*.

Kłóciły się dwie starsze dziewczyny, Jaia i Selthe. Wyglądały na gotowe do rękoczynów, ale obie najpierw spojrzęły na Amanvah, szukając poparcia.

Ta odwróciła się do nich plecami, tym samym dając im pozwolenie na walkę.

– Nic nie widzę.

Pozostałe zaprzysiężone uczyniły tak samo, powtórzyły słowa i odwróciły się plecami. Wkrótce tylko dwie skłócone adeptki stały ze sobą twarzą w twarz.

„Która wygra?” – zapytała Ashia palcami.

„Selthe” – odparła bez wahania Sikvah. „Podobno niedługo skończy swoje kości i założy biel”.

„Przegra, i to dotkliwie” – nie zgodziła się Ashia.

„Ma silne ciało” – zauważyła Shanvah.

Micha i Jarvah nie skomentowały, ale śledziły uważnie niemą rozmowę.

„Ale w oczach ma strach” – zaoponowała Ashia.

Selthe cofnęła się, kiedy jej przeciwniczka wykonała pierwszy krok. Zaraz potem Jaia przytrzymała głowę Selthe pod wodą. Trwało to, dopóki dziewczyna nie przestała się szarpać i nie uderzyła płasko dłonią w taflę wody na znak, że się poddaje. Jaia pchnęła pokonaną głębiej, zanim wreszcie puściła nieszczęśnicę i odstąpiła. Selthe wyrwała się na powierzchnię i łapczywie zaczerpnęła tchu.

„I słabe płuca” – dodała Ashia. „Była pod wodą najwyżej minutę”.

– Widzę, że rozmawiacie palcami, suki *nie'Sharum!* – krzyknęła Amanvah.

Dziewczyny uniosły głowy. Amanvah podeszła do nich gniewnie, kilka innych zaprzysiężonych stanęło za jej plecami.

– Cofnijcie się za mnie, kuzynki – powiedziała Ashia cicho, gdy Amanvah się zbliżała. – Spuśćcie oczy. To nie wasza walka.

Dziewczęta posłuchały, a Ashia uniosła wzrok i spojrzęła w twarz przyszłej Oblubienicy. Zdawało się, że tym spojrzeniem tylko wzmogła złość młodszej dziewczyny. Amanvah stanęła na tyle blisko, że Ashia miała ją na wyciągnięcie ręki.

„Zabójczy zasięg” – tak palce Enkido określały tę odległość.

– Nic nie widziałeś – stwierdziła z naciskiem Amanvah. – Powiedz to, *nie'Sharum'ting*.

Ashia pokręciła głową.

– Nie warto walczyć o największą fontannę, kuzynko, ale w żaden sposób nie zdołasz mnie zmusić do okłamania mojego mistrza, a tym bardziej *dama'ting*. Będę milczeć, o ile nikt nie zapyta. Jeżeli jednak zostanę zapytana, powiem prawdę.

Amanvah wydeła nozdrza.

– A jaka jest ta prawda?

– Że *nie'dama'ting* brakuje dyscypliny – stwierdziła Ashia. – Że nazywacie siebie siostrami, ale nie rozumiecie znaczenia tego słowa, ponieważ kłóćcie się i bijecie jak *khaffit*. – Splunęła w wodę, a obserwujące to dziewczyny zatchnęły się z oburzenia. – I że wasze umiejętności w *sharusahk* są żałosne.

Spojrzenie Amanvah pomknęło ku miejscu, które niemal natychmiast zaatakowała, ale dla Ashii było to wystarczająco dużo czasu, żeby nie tylko się uchylić, lecz także zaplanować trzy kolejne ciosy. Adeptki spędzały dwie

godziny dziennie na nauce *sharusahk*, Ashia i jej krewniaczki – dwadzieścia. I zaraz miało się okazać, że była to naprawdę znacząca różnica.

Ashia mogłaby wepchnąć Amanvah pod wodę i przytrzymać ją tam równie łatwo jak Jaia Selthe, ale chciała pobić młodszą kuzynkę, chciała odpłacić jej za to, co córka Wybawiciela zrobiła drugiego dnia po przybyciu kuzynek do Podpałacu.

Dwa kłykcie wbite pod pachę i Amanvah zawyła z bólu. Cios w gardło zduślił ten krzyk, a pozbawiona tchu Amanvah wytrzeszczyła oczy. Uderzenie grzbietem dłoni w czoło oszołomiło córkę Wybawiciela, a siła ciosu rzuciła ją na plecy w wodę.

Ashia mogłaby zadawać kolejne ciosy, ale znieruchomiała i tylko przyglądała się, jak Amanvah, kaszląc, podnosi się na kolana.

– Jeżeli teraz odejdiesz, nie będę musiała mówić *dama'ting*, że jesteście też głupie.

Oczywiście była to prowokacja – gdyby Amanvah odeszła, w oczach *nie'dama'ting* wyszłaby na słabą, a pozostanie oznaczało dobrowolne narażanie się na bicie.

Dziewczyny wstrzymały oddech, gdy Amanvah wstała. Woda spływała z jej ciała, w oczach czaiła się żądza mordu. Jednak to wściekłe spojrzenie zdradziło Ashii również, gdzie młodszą krewniaczkę zamierza uderzyć.

„Oczy mówią wszystko” – zapewniały palce Enkido. Ashia stała spokojnie, z opuszczonymi rękami i oddychała rytmicznie, jakby zachęcała do ataku.

Amanvah stała się ostrożniejsza, utrzymała pozycję obronną i użyła zwodów, aby zamaskować, gdzie zamierza naprawdę uderzyć.

Na próżno. Ashia знаła ruchy przeciwniczki, zanim Amanvah je wykonała, blokowała serie markowanych ciosów, ale nie odpowiadała, pokazywała po prostu, jak łatwo potrafi sobie radzić z atakami.

Stały w wodzie sięgającej po uda. Ashia trzymała stopy mocno na dnie, a przy unikach lub blokowaniu odchyłała jedynie górną część ciała, Amanvah natomiast musiała pomagać sobie pracą nóg. Nie tylko ją to spowalniało, lecz także męczyło – oddech jej się rwał.

Ashia pokręciła głową.

– Twoje zaprzysiężone są miękkie, krewniaczkę. Już za późno na tę lekcję.

Amanvah spojrzała na nią z nieskrywaną nienawiścią. Ashia w kokonie równego oddechu zachowała całkowity spokój, ale uśmiechnęła się nieznacznie, żeby bardziej sprowokować przeciwniczkę. Domyślała się już, co Amanvah planuje, chociaż chciała wierzyć, że dziewczyna nie jest tak głupia, żeby podjąć próbę.

Jednak w desperacji Amanvah chwyciła przynętę i po serii markowanych ciosów spróbowała kopnąć.

Nogi miała zmęczone i do tego pod wodą, więc kopnięcie wyszło żałośnie powoli. Amanvah liczyła na zaskoczenie, lecz nawet to nie wystarczyłoby do zdobycia przewagi w tym starciu. Ashia złapała przeciwniczkę za kostkę i szarpnęła w górę.

– Ktoś tak głupi, żeby kopać, gdy stoi w wodzie, nie zasługuje na przywilej używania nóg. – Wbiła mocno wyprostowane palce w określony punkt na udzie Amanvah. Córka Wybawiciela wrzasnęła z bólu, a potem jej noga stała się bezwładna.

Ashia odwróciła Amanvah i wepchnęła pod wodę, po czym przytrzymała ją tam bez wysiłku.

Jaia próbowała się wtrącić, ale Shanvah przesunęła się nieznacznie i obezwładniła dziewczynę uderzeniem w uda. Jaia wpadła do wody. Musiała machać rozpaczliwie ramionami, żeby utrzymać głowę nad powierzchnią. Selthe mogłaby ruszyć jej na ratunek, ale i ona, i pozostałe *nie'dama'ting* zamarły. Sikvah, Micha i Jarvah stanęły obok Shanvah i zastawiły zaprzysiężoną drogę do basenu, w którym starcie właśnie dobiegało końca.

Początkowo Amanvah się szarpała, ale potem znieruchomiała. Ashia czekała, żeby przeciwniczka uderzyła dłonią w wodę na znak poddania, ale się nie doczekała. Amanvah nie uległa – wiedziała, że jest córką Wybawiciela i nawet Ashia nie ośmieliłaby się jej zabić na oczach tylu świadków.

Ashia zatem szarpnięciem uniosła jej głowę i pozwoliła zaczerpnąć tchu.

– Krew *Sharum* Wybawiciela. Powiedz to.

Amanvah spojrzała wściekłe i splunęła dziewczynie w twarz.

Ashia nie pozwoliła jej zaczerpnąć kolejnego oddechu, wepchnęła Amanvah pod wodę i wykręciła boleśnie ramię.

– Krew *Sharum* – powtórzyła, gdy znowu wydzwignęła ją nad powierzchnię. – Siostry włóczyń Everama. Powiedz to.

Amanvah pokręciła głową i znowu próbowała się wyrwać, więc Ashia po raz kolejny ją przytopiła.

Tym razem czekała długo, jej ręce działały zgodnie z tym, co sygnalizowało mimowolnie ciało przeciwniczki. Mięśnie Amanvah napięły się ostatni raz, dziewczyna była na skraju utraty przytomności. Kiedy Ashia to poczuła, wyszarpnęła krewniaczkę z wody po raz trzeci, pozwoliła jej zaczerpnąć tchu, a potem pochyliła się blisko.

– Tutaj, w łaźni, nie ma magii *hora*, krewniaczko. Nie ma *dama'ting*, nie ma Enkido. Jest tylko *sharusahk*. Możemy to powtarzać dzień w dzień, jeśli sobie życzysz.

Amanvah patrzyła z zimną furią, ale w jej oczach czaiły się też strach i rezygnacja.

– Krew *Sharum* Wybawiciela. Siostry włóczni Everama – przyznała. – Kuzynko.

Ashia skinęła głową.

– Przyznanie tego nic by cię nie kosztowało, gdybyś zrobiła to, gdy zwróciłam się do ciebie w przyjaźni. – Puściła Amanvah i cofnęła się bez pośpiechu. – Myślę, że to zaprzysiężone powinny używać najmniejszej fontanny, gdzie woda już wystygła. Siostry włóczni Everama zajmą największą. – Popatrzyła po twarzach zebranych *nie'dama'ting* i z satysfakcją przekonała się, że cofnęły się pod tym spojrzeniem. – Chyba że któraś woli rzucić mi wyzwanie?

Shanvah i pozostałe rozstały się, jakby robiły przejście dla kolejnej przeciwniczki, która chciałaby stanąć do walki, ale żadna z akolitek nie była tak głupia. Cofnęły się, gdy Ashia poprowadziła swoje siostry do największej fontanny. Tam cała piątka podjęła mycie, jakby nic się nie stało. Zaprzysiężone pomogły Amanvah i Jai usiąść na stopniach basenu, rozmasowały im plecy i odrętwiałe kończyny. Obserwowały też Ashię i jej towarzyszkę z niedowierzaniem, zapominając o własnej kąpieli.

„To było niesamowite” – przekazała palcami Shanvah.

„Nie powinnaś była się wtrącać” – zwróciła jej uwagę Ashia. „Kazałam ci się nie mieszać”.

Shanvah spojrzała z urazą, pozostałe ze zdziwieniem.

„Przecież wygrałyśmy” – zasygnalizowała Micha.

„Dzisiaj tak” – przyznała Ashia. „Ale jutro, kiedy ruszą na nas razem, wszystkie będziemy musiały walczyć”.

W rzeczy samej *nie'dama'ting* zaatakowały już następnego dnia. Wkroczyły do łaźni grupą i okrążyły największą fontannę, w której kąpały się Ashia i jej siostry włóczni. Zaprzysiężone miały przewagę liczebną trzy na jedną.

Tego dnia sześć *nie'dama'ting* trzeba było wynieść z komnaty, ponieważ nie mogły utrzymać się na sparaliżowanych nogach. Inne kulały albo rozcierały czarne siniaki. Niektóre miały zawroty głowy od długiego braku powietrza, inne długo nie odzyskały wzroku.

Siostry włóczni poszły na lekcje z obawą, że zostaną ukarane, lecz nic się nie stało – jeżeli nawet *dama'ting* zadawały pytania, *nie'dama'ting* nic przecież nie widziały.

Kiedy uczennice wróciły do Enkido, zastały go klęczącego u szczytu niskiego stołu, na którym stało sześć parujących misek. Dziewczęta zawsze klęczały pod ścianą, gdy jadły posiłki składające się głównie z miseczki prostego kuskusu. W komnacie nigdy nie było żadnego wyposażenia poza tym do szkolenia się w walce.

Jednak jeszcze bardziej zaskoczył je zapach unoszący się z misek. Ashia dostrzegła ciemny kawałek mięsa na kaszy, soczysty i pełen przypraw. Do ust napłynęła jej ślina, w brzuchu zaburczało. Od pół roku nie miała w ustach takiego jedzenia.

Jak w transie dziewczęta skierowały się za zapachem do stołu. Wydawało im się, że unoszą się niemal nad ziemią.

„Mistrz u szczytu stołu” – zasygnalizował Enkido. „*Nie Ka* naprzeciw niego” – wskazał, żeby Ashia zajęła to miejsce. Potem zaprosił Shanvah i Sikvah, aby uklęknęły po jednej stronie, a Michę i Jarvah po drugiej.

Enkido przesunął dłońmi nad parującymi miskami.

„Mięso tego wieczoru na cześć krwi *Sharum*”.

Uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły naczynia.

„Stół zawsze dla sióstr włóczni Everama”.

Od tej pory zawsze jedli razem jak prawdziwa rodzina.

Enkido karał podstępnie za błędy, owszem, ale również nagradzał za uczynki, które pochwalał. Żadne mięso nie smakowało nigdy lepiej.



Mijały lata. Kiedy Ashia miała już szesnaście, a pozostałe były niewiele młodsze, nakazano im przestać golić głowy. Włosy wydawały im się teraz ciężkie, niewygodne. Ashia swoje mocno spinała.

Kiedy skończyła siedemnaście, posłał po nią ojciec. Wtedy po raz pierwszy od czterech lat opuściła siedzibę *dama'ting*. Świat poza murami wydał jej się obcy. Korytarze pałacu ojca uznała za zbyt jaskrawe i krzykliwe, ale odnalazła miejsca, gdzie można by się ukryć, o ile było się zręcznym i szybkim. Gdyby chciała, zniknęłaby w okamgnieniu – nauczono ją stawać się niewidzialną.

Lecz nie tym razem. Przyszła tutaj, aby ją obejrzano. Sam pomysł wydawał się dziwny i ledwie go pamiętała

z dawnego życia.

– Ukochana córko! – Imisandre podeszła i objęła Ashię, gdy tylko dziewczyna przekroczyła próg sali tronowej.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, czcigodna matko. – Ashia ucałowała Imisandre w oba policzki.

Brat stał po prawej stronie przy tronie, w białych szatach wyszkolonego *dama*. Skinął Ashii głową, ale nie ośmielił się odezwać przed ojcem.

Ashan nie wstał, przyglądał się tylko córce chłodno i uważnie, szukając niedoskonałości, za które mógłby ją skarcić. Jednak po szkoleniu u Enkido Ashia bez trudu umiała spełnić oczekiwania ojca – plecy proste, oczy spuszczone, każda fałda czarnych szat na miejscu. Podeszła w ciszy. W absolutnie odpowiedniej odległości od tronu stanęła i skłoniła się nisko, a potem czekała w milczeniu.

– Córko – odezwał się wreszcie Ashan – wyglądasz dobrze. Czy pałac *dama'ting* ci służył?

Ashia wyprostowała się, ale wzrok trzymała na wysokości ojcowskich sandałów. Ojciec miał dwóch *Sharum* na straży przy drzwiach, zbyt daleko, aby zdążyli mu w razie czego pomóc. Jeden z Wypatrywaczy Krevakh czał się za kolumnami z tyłu tronu. Ashia dawniej by go nie zauważyła, ale teraz równie dobrze mógłby nosić dzwonek. Żałośnie marna ochrona dla *Damaji* plemienia Kaji i jego dziedzica.

Oczywiście Ashan sam był mistrzem *sharusahk* i sprostałby większości przeciwników. Ashia zastanawiała się jednak, czy on i jej brat daliby sobie radę z nią.

– Dziękuję, czcigodny ojcze – odpowiedziała cicho. – Nauczyłam się wiele w pałacu *dama'ting*. Postąpiłeś bardzo mądrze, gdy wysłałeś mnie tam razem z krewniaczkami.

Ashan skinął głową.

– To dobrze, ale twój czas tam dobiegł końca. Masz już siedemnaście lat i pora ci wyjść za mąż.

Ashia miała wrażenie, że uderzono ją w brzuch, ale opanowała to uczucie i skłoniła się ponownie.

– Czy mój czcigodny ojciec wybrał mi już męża? – Dostrzegła, że brat się uśmiechnął, i już wiedziała, kto to będzie, zanim jeszcze Ashan przemówił.

– Zostało to ustalone pomiędzy ojcami – stwierdził. – Opuściłaś pałac *dama'ting*, aby poślubić Asome, syna Wybawiciela. W twoich komnatach nic się nie zmieniło. Pójdiesz tam z matką, żeby od razu rozpocząć przygotowania.

– Proszę...

Ashan, który już ją odprawił i odwrócił się do swojego doradcy Shevaliego, zamarł, gdy Ashia się odezwała.

– Hę?

Dziewczyna widziała, jak czoło ojca się chmurzy, jakby myślał, że córka chce zaprotestować i odmówić ślubu. Gdyby to zrobiła...

Ashia uklękła, przyłożyła dłonie do podłogi i oparła czoło pomiędzy nimi.

– Wybacz mi, czcigodny ojcze, że jeszcze ci przeszkadzam. Miałam tylko nadzieję, że pozwolisz mi po raz ostatni zobaczyć się z krewniaczkami, zanim z moją czcigodną matką zacznę przygotowania do wyruszenia ścieżką przeznaczoną mi przez Everama.

Twarz Ashana złagodniała na te słowa, był to najbardziej widomy objaw uczucia, jaki Ashia kiedykolwiek otrzymała od ojca.

– Oczywiście, oczywiście.



Wstrzymywała łzy, dopóki nie dotarła do komnaty, w której spędziła większość czasu przez ostatnie lata. Jej siostry włóczyły ćwiczyły *sharusahk*, ale na widok Ashii wyprostowały się i ukloniły. Enkido nie było w pobliżu.

„Wróciłaś, *Nie Ka*” – zamigała Shanvah. „Wszystko dobrze?”

Ashia pokręciła głową.

Już nie jestem *Nie Ka*, siostrze. Teraz ten tytuł, a wraz z nim troska o nasze młodsze siostry należy do ciebie. Mam wyjść za mąż.

„Gratulacje, siostrze” – zasygnalizowała Sikvah. „Kto będzie twoim mężem?”

„Asome” – odpowiedziała Ashia.

„To zaszczyt” – stwierdziła Micha.

„Co bez ciebie zrobimy?” – zapytały dłonie Jarvah.

„Będziecie miały siebie” – zamigała Ashia. „I Enkido. Dopóki nie nadejdzie pora, żebyśmy się znowu spotkały”.

Objęła każdą po kolei, nadal jednak nie pozwalała sobie na płacz.

Wtedy jednak drzwi się otworzyły i stanął w nich Enkido. Dziewczęta, odprawione jego gestem, wybiegły z komnaty.

Ashia popatrzyła na swojego mistrza i po raz pierwszy, odkąd przybyła do pałacu *dama'ting*, zapłakała.

Enkido otworzył ramiona, a dziewczyna opadła w nie bez wahania. Z szaty wojownik wyciągnął buteleczkę. Przytrzymał Ashię z kamienną twarzą, pogłaskał po włosach i zebrał jej łzy do naczynia.

– Przykro mi, mistrzu – szepnęła Ashia, gdy skończył. Po raz pierwszy od lat w komnacie ćwiczeń słowa zostały wypowiedziane, nie zasygnalizowane w języku gestów i znaków. Głos odbił się echem we wrażliwych uszach dziewczyny – wydawał się obcy, ale jakie to teraz miało znaczenie?

„Nawet palma płacze, gdy pada na nią ulewa” – zasygnalizował Enkido, po czym wręczył dziewczynie buteleczkę z łzami. „A łzy sióstr włóczy Everama są o wiele cenniejsze, ponieważ płyną tak rzadko.

Ashia uniosła dłonie, odsuwając buteleczkę.

– Zatem zachowaj je na zawsze. – Spuściła wzrok, niezdolna nawet po tylu latach spojrzeć w oczy mistrza. – Powinnam się cieszyć. Jaka kobieta nie marzyłaby o poślubieniu syna Wybawiciela? Myślałam, że ten los został mi odebrany, gdy posłano mnie do ciebie, ale teraz, kiedy przywrócono mi to przeznaczenie, wcale go nie pragnę. Po co tyle się uczyłam, skoro niezależnie od wszystkiego i tak zostanę oddana mężczyźnie? Po co zdobyłam tyle umiejętności, skoro nigdy ich nie wykorzystam? TY jesteś moim mistrzem i nie chcę żadnego innego.

Enkido popatrzył na nią ze smutkiem.

„Miałem wiele żon, zanim poświęciłem się *dama'ting*” – powiedziały jego palce. „Wielu synów. Wiele córek. Ale z żadnego syna i żadnej córki nie byłem tak dumny jak z ciebie. Twoja lojalność sprawia, że serce mi rośnie”.

Ashia przytuliła się do niego.

– A some zostanie moim mężem, ale ty zawsze będziesz moim mistrzem.

Eunuch pokręcił głową.

„Nie, dziecko. Rozkazom Wybawiciela się nie odmawia, ani mnie, ani tobie nie wolno podważać jego błogosławieństwa. Nie zhańbię syna Wybawiciela pożądaniem tego, co prawnie należy się jemu. Pójdiesz do A some jako wolna kobieta, niezwiązana ze mną”.

Ashia cofnęła się do drzwi. Enkido nie poszedł za nią.

– Skoro nie jesteś już moim mistrzem – powiedziała głośno – nie możesz rozkazywać mojemu sercu.



Zaślubiny były takie, o jakich marzyła jako dziewczynka, odpowiednie dla księcia i księżniczki Krasji. Jej siostry włóczy stały obok, gdy Ashia czekała na ojca, aby odprowadził ją do A some, który oczekiwał z Jayanem u stóp Tronu z Czaszek w Sharik Hora.

Enkido również był obecny, strzegł Damajah i obserwował ceremonię, chociaż nikt z gości nie zdawał sobie z tego sprawy. Jednak Ashia i jej siostry dostrzegały niemalże niewidoczne znaki, jakie zostawiał, aby dać podopiecznym o sobie znać.

Przysięgi i rytuały minęły szybko. Na ucztę ustawiono dla pana młodego i jego żony dwa trony, ale Ashia siedziała sama, czekając na męża, który przyjmował dary i rozmawiał z gośćmi. Asukaji nie opuszczał jego boku.

Na wesele nie oszczędzono wydatków, ale bogate, miodowe ciasta nie miały dla Ashii smaku. Tęskniła za bezpieczeństwem podziemi i prostym kuskusem spożywanym przy stole naprzeciw Enkido.

Dzień minął dziewczynie jak w transie, jednak dopiero w noc poślubną Ashia poznała prawdę o swoim losie.

Czekała w komnacie sypialnej na A some, który miał przyjść i wziąć ją jak mąż, lecz godziny mijały w ciszy. Ashia niejeden raz spoglądała w okno i marzyła o ucieczce.

Wreszcie usłyszała głosy w korytarzu, ale nie zbliżyły się do drzwi.

Przy suficie znajdował się otwór wentylacyjny. Ashia wdrapała się po ścianie bez wahania, wyszukiwała maleńkie szczeliny między kamieniami, aby znaleźć oparcie dla palców. Przyłożyła oko i ucho do otworu. Dostrzegła tył głowy A some i stojącego naprzeciw Asukajiego. Wyglądali, jakby się kłócili.

– Nie mogę tego zrobić – powiedział A some.

– Możesz i zrobisz. – Asukaji ujął jego twarz w dłonie. – Nie mogę dać ci syna, ale ona tak. Melan rzuciła kości. Jeżeli weźmiesz moją siostrę dzisiaj, tak się stanie. Jeden raz i będzie po wszystkim.

Zrozumienie było jak policzek.

Miłości mężczyzny do mężczyzny nie uznawano za grzech. W *sharaj* zdarzało się to często chłopcom, którzy nawiązywali przyjaźnie i łączyli się, aby przeczekać do czasu, aż staną się dojrzały i doświadczeni na tyle, by wziąć sobie pierwszą żonę. Ale Everam wymagał nowych pokoleń, dlatego wszyscy poza najbardziej upartymi *push'ting* w końcu musieli się ożenić i dzielić postanie z kobietą, choćby tylko do czasu spłodzenia syna. Everam jeden wiedział ile razy Kajivah powtarzała to Asukajiemu.

Ashia nigdy nie spodziewała się jednak, że sama zostanie żoną *push'ting*.

Młodzieńcy weszli do komnaty niedługo potem. Dziewczynie wystarczyło czasu, żeby wrócić na poduszki, ale w głowie miała mętlik. Asome i Asukaji byli kochankami *push'ting*. W Ashii widzieli tylko macicę do noszenia plugastwa, które chcieli sprowadzić na świat.

Zignorowali Ashię. Asukaji rozebrał jej męża i pieścił ustami, aż Asome był zdolny do wypełnienia zadania. Brat przyłączył się do obojga na postaniu, zachęcał ich do połączenia. Jego dotyk sprawił, że Ashia dostawała dreszczy z odrazy, ale oddychała płytko i jakoś to zniosła.

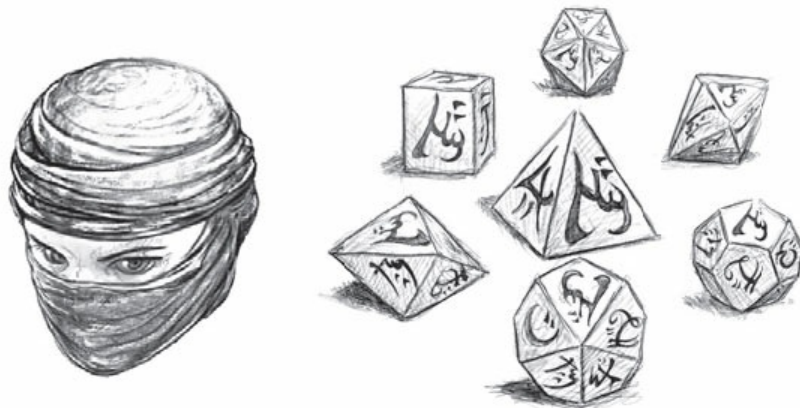
Pomimo zapewnień w oczach brata dostrzegła zazdrość, twarz mu pociemniała, kiedy Asome z westchnieniem ujrzał światło Everama i wypuścił w żonę swoje nasienie. Gdy tylko było po wszystkim, Asukaji rozdzielił ich i obaj mężczyźni padli sobie w ramiona. Chyba zapomnieli, że Ashia znajdowała się tuż obok.

Dziewczyna pomyślała, że mogłaby ich zabić. Nie miałyby z tym żadnych trudności. Tak bardzo pogrzyżyli się w namiętności, że nawet nie zauważyliby, co się dzieje, zanimby było za późno. Ashia mogłaby nawet upozorować wypadek, jakby serce nieszczęsnego Asome nie wytrzymało nocy poślubnej, na co brat Ashii w rozpaczy wbiłby sobie nóż w pierś, ponieważ nie wyobrażał sobie życia po śmierci swojego kochanka.

Enkido nauczył ją, jak zrobić to tak czysto, że nawet Wybawiciel we własnej osobie nie zdołałby odkryć, co naprawdę się stało.

Ashia zamknęła oczy i pogrzyżyła się całkowicie w marzeniach, nie ośmieliła się nawet drgnąć, a co dopiero zrealizować tę fantazję. Oddychała głęboko i w końcu powróciły jej spokój i równowaga. Podniosła się z poduszek, włożyła weselną szatę i wyszła.

Jej mąż i brat nawet tego nie zauważyli.



5

Kajivah

333 rok plagi, jesień

Ashia wstrząśnięta podniosła głowę, gdy do pokoju, w którym płakała, wdarło się magiczne światło. Na jak długo straciła czujność? Przecież każdy mógł się tutaj zakraść! Zapomniała wszystkiego, czego nauczyła się od swojego mistrza?

„Enkido by się za ciebie wstydził” – stwierdziła Micha i była to prawda. Jak Ashia miała prowadzić *Sharum'ting*, skoro nie potrafiła nawet zapanować nad sobą samą?

Odwróciła się do drzwi. Myślała, że w progu zobaczy Kajivah, ale rozczarowała się jeszcze bardziej na widok męża. Może taka była *inevera*, że Asome ujrzał ją zapłakaną i opuchniętą – kobietę, która poniosła porażkę zarówno jako matka, jak i wojowniczką. Zapewne teraz, jak wiele razy wcześniej, powie Ashii, że powinna odstawić włócznię. I może będzie miał rację.

– *Tikka* miała jeden ze swoich ataków. – Asome wyjął nieskazitelnie białą chusteczkę z rękawa i podał żonie, aby otarła oczy. – Ale zmęczyłem ją swoją cierpliwością, chociaż Everam wie, że góra nie miałaby dość tej cierpliwości.

Ashia roześmiała się, pociągając nosem.

– Wieść o twoich wyczynach w nocy już dotarła do pałacu, *jiwah* – dodał Asome.

Ashia spojrzała na niego ze znużeniem. Wiedział. Niech będzie przeklęty przez Everama, wiedział, że straciła nad sobą panowanie i wyszła z Labiryntu. Czy zamierzał pozbawić ją włóczni teraz, gdy nie było Wybawiciela, który by go powstrzymał? Asome i ojciec Ashii długo się sprzeciwiali wyjściu dziewczyny na *alagai'sharak*. I wreszcie mogli osiągnąć swój cel, przecież Ashan zasiadał na tronie. Nawet Damajah nie mogłaby się temu przeciwstawić.

– Ci mężczyźni wykazali się głupotą, skoro oddalili się od oddziału – stwierdził Asome. – Tylko dzięki nieskończonemu miłosierdziu Everama byłeś tam i mogłeś ich ocalić przed ich własną bezmyślnością. Dobrze się spisałeś, *jiwah*.

Ashię ogarnęła ulga, choć pomieszana z przytłaczającym poczuciem winy. Czyż nie była równie głupia jak tamci mężczyźni?

Najbardziej jednak zmieszało ją to, że pochwała wyszła z ust męża. Czy Asome choć raz pochwalił Ashię? Zabrakło jej słów, więc tylko patrzyła i czekała na cios.

Asome podszedł do łoża używanego przez mieszkańców zielonych krain. Usiadł na pościeli i zapadł się w puchowy materac, po czym zerwał się zaskoczony.

– Na brodę Everama! – Pokręcił głową. – Śpisz na tym?

Ashia uświadomiła sobie, że mąż nigdy wcześniej nie widział jej sypialni.

– Boję się, że mnie połknie. Śpię na podłodze.

Asome pokiwał głową.

– Zwyczajnie mieszkańców zielonych krain mogą uczynić z nas ludzi równie miękkich jak oni.

– Zapewne niektórych – zgodziła się Ashia. – Tych o słabej woli. Ale to do nas, w których płynie krew Wybawiciela, należy dawanie lepszego przykładu.

Asome popatrzył na nią uważnie, po czym zaczął spacerować po pokoju. Ręce splótł za plecami i schował w rękawach.

– Zawiodłem cię jako mąż – przyznał. – Wiem, że nigdy nie byłem w tym dobry, ale nie zdawałem sobie sprawy, do czego cię to popchnie.

– Moja droga została mi przeznaczona przez Everama, zanim wziąłeś mnie za żonę – odpowiedziała Ashia. – Jestem tym, kim uczyniła mnie Damajah, siostrą włóczni Everama. Damajah wiedziała o tym i odradzała nasze małżeństwo, ale nasi ojcowie nie słuchali.

Asome skinął głową.

– Asukaji też nie, naciskał przy każdej okazji, żebyśmy zostali poślubieni. Ale może taka była *inevera*. Matka powiedziała mi podczas Nowiu, że wielki człowiek nie obawia się, że żona odbierze mu chwałę, lecz wykorzystuje ją jako wsparcie, aby osiągnąć więcej.

Podszedł do Ashii i wyciągnął rękę, aby pomóc jej wstać, nie zwracając uwagi na tłustą czarną posokę na dłoniach żony.

– Zdaje się, że nie okazałem się wielkim człowiekiem, ale może z twoją pomocą nie jest dla mnie jeszcze za późno.

Ashia zmrużyła oczy. Nie przyjęła pomocy Asome, podciągnęła nogi i podniosła się szybko.

– O czym mówisz, mężu? Zechciej wybaczyć, ale musisz mówić do mnie prostymi słowami, ponieważ wielokrotnie zachodziły między nami nieporozumienia. Jakiego wsparcia ode mnie oczekujesz?

Asome skłonił się. Nie był to ani długi, ani głęboki ukłon, jednak wyrażał szacunek, a to Ashię zaskoczyło. Jej mąż nie ukłonił się jej ani razu od dnia ślubu.

– Dzisiejszej nocy? Żadnego poza pokojem między nami i odrodzoną nadzieją uratowania naszego małżeństwa, jak rozkazał Wybawiciel. Jutro... – Wzruszył ramionami. – Zobaczymy, co przyniesie świt.

Ashia pokręciła głową.

– Jeżeli przez „uratowanie naszego małżeństwa” rozumiesz poddanie się twoim awansom i urodzenie następnego syna...

Asome uniósł rękę.

– Mam jedenastu braci *nie'dama* i tuziny *nie'Sharum*. Wkrótce doczekam się bratanków liczonych w setkach. Ród Jardirów, który pokolenie temu wymierał, znowu się rozwija. Wypełniłem swój obowiązek, splodziłem syna i dziedzica. Nie potrzebuję więcej dzieci. Jakie dziecko mogłoby przewyższyć naszego Kajiego? – Spuścił wzrok. – Oboje wiemy, że jestem *push'ting*, *jiwah*. Nie pragnę pieścić kobiety. Tamta noc była... – Pokręcił głową, jakby chciał się pozbyć wspomnienia. A potem spojrzał Ashii prosto w oczy. – Ale jestem z ciebie dumny, moja *Jiwah Ka*. I wciąż mogę cię kochać na swój własny sposób, o ile pozwolisz.

Ashia przyjrzała mu się z namysłem. Asome i jej brat umarli w jej sercu w noc poślubną. Czy istniała możliwość powrotu z samotnej drogi?

– Dlaczego jesteś ze mnie dumny? – zapytała.

– Hę?

– Powiedziałeś, że jesteś ze mnie dumny. – Ashia splótła ramiona na piersi. – Dlaczego? Dwa tygodnie temu stałeś przed Shar'Dama Ka, krzyczałeś, że to hańba, i żądałeś rozwodu.

Tym razem nadeszła kolej Asome na rozważenie swoich uczuć. Patrzył na Ashię, gdy roztropnie dobierał słowa.

– A ty stałaś tam przede mną, nieokiełznana, pewna swojego miejsca w planach Everama. Zazdroścę ci tego, kuzynko. Mnie nazywają „dziedzicem niczego”. Kiedy i ja poznam swoje miejsce w Jego planach? – Wskazał na Ashię. – Ty jednak je znasz. Pierwsza z *Sharum'ting*, która przynosi sławę Everamowi w świętej *alagai'sharak*. – Westchnął cicho. – Myliłem się, gdy próbowałem odmówić twoim życzeniom, *jiwah*. Byłem zazdrosny i zgrzeszyłem przeciw Everamowi. Przed Stwórcą odpokutowałem, ale grzech był przeciw tobie, dlatego błagam, żebyś przyjęła moje przeprosiny.

Ashia zamarła ze zdumienia. Przeprosiny? Od Asome syna Ahmanna? Zaczęła się zastanawiać, czy to jakiś szalony sen.

– Zazdrosny? – powtórzyła.

- Ja także pragnę prawa do walki nocą – przyznał Asome. – Zaszczytu, którego nie odbiera mi płeć, lecz kolor moich szat. Ogarnęła mnie... gorycz, że kobiecie wolno robić to, co dla mnie zakazane.
- Tradycja zmienia się codziennie, im bardziej zbliżamy się do *Sharak Ka* – zauważyła Ashia. – Wybawiciel był rozdrażniony, gdy zabronił ci walczyć. Może gdy wróci...
- A jeżeli nie wróci? Na tronie zasiada teraz twój ojciec, lecz w jego piersi nie bije serce wojownika. Nigdy nie pozwoli, żeby *dama* walczył.
- To samo mówiono o siostrach włóczni – wytknęła Ashia. – Jeżeli tego właśnie pragniesz, powinieneś zawrzeć pokój z *Damajah*, nie ze mną.
- Asome skinął głową.
- Możliwe. Ale nie wiem, jak zacząć. Zawsze zdawałem sobie sprawę, że *Jayan* nie jest wart dziedzictwa mojego ojca, ale do dziś nie uświadamiałem sobie, że i ja zawiodłem rodziców.
- *Damajah* przyrzekała, że zasiądziesz na Tronie z *Czaszek*. To niemało.
- Asome tylko machnął ręką.
- Obietnica bez znaczenia. *Ashan* jest młody. *Sharak Ka* zapewne nadejdzie i minie, zanim *Everam* wezwie go do Nieba, a ja będę na to patrzył z minaretów.
- Ashia położyła mu rękę na ramieniu. Asome zeszywniał pod tym dotknięciem, ale się nie cofnął.
- Nie zdajesz sobie sprawy, pod jaką presją jest *Damajah*. Idź do niej. Pokaże ci drogę honoru.
- Asome wyciągnął ręce i splótł je z rękoma żony, ujmując ją za ramiona. Ashia zeszywniała, podobnie jak wcześniej mąż pod jej dotykiem. Zrobił coś, co wśród adeptów *sharusahk* stanowiło gest zaufania – w takiej pozycji wystawiali się na atak.
- Zrobię, co mogę – zadeklarował Asome. – Ale *Damajah* nakazała mi, żebym najpierw pogodził się z tobą.
- Ashia uściśnęła mu ramiona.
- Nie zламаłam ci ręki, mężu. Ani ty nie uczyniłeś tego mnie. Od tego możemy zacząć.



Inevera rozparła się w swoich nowych szatach na poduszkach obok Tronu z *Czaszek*. Skandaliczne według standardów *Krasji* jasne, kolorowe jedwabie szokowały w kulturze, w której każda szanująca się kobieta nosiła czerń, biel lub brąz.

Jednak teraz szaty były nieprzejrzyste. Mężczyźni nie mogli już dostrzec ani odrobiny ciała, zawsze gotowego do dawania rozkoszy Wybawicielowi. Inevera nie zasłaniała włosów, jednak teraz spinała je ciasno złotem i klejnotami, zamiast nosić rozpuszczone, aby Wybawiciel mógł ich dotykać.

Zerknęła na aury mężczyzn w sali. Wszyscy, nawet *Ashan*, bali się *Damajah*. *Ashan* zeszywniał na tronie pod jej spojrzaniem.

I dobrze.

– *Sharum Ka!* – zaanonsował strażnik przy drzwiach. *Jayan* wszedł do sali, minął *Damaji* i wspiął się na czwarty stopień podwyższenia, aby stanąć obok tronu. Po drugiej stronie stał już Asome, również na czwartym stopniu.

Uzgodniono to po wielogodzinnych negocjacjach między stronami. Czwarty stopień znajdował się wystarczająco wysoko, aby synowie Wybawiciela mogli cicho doradzać, ale na tyle nisko, że ich oczy znajdowały się poniżej siedzącego *Ashana*. Kości przepowiedziały, że ulice spłyną krwią, jeżeli któryś z braci stanie wyżej od drugiego.

Orszak *Jayana* pozostał na dole. *Hasik*, zhańbiony eunuch i szwagier *Ahmanna*, trzymał się *Jayana* jak pies i zawsze był gotów do ataku. Towarzyszili mu także *kai'Sharum*, *Jurim*, który dowodził Włóczniami Wybawiciela pod nieobecność *Shanjata*, oraz przyrodni młodsi bracia, *Icha* i *Sharu*, najstarsi synowie *Thalai* i *Everalii*. Obaj mieli po siedemnaście lat i otrzymali prawo do czerni zaledwie parę miesięcy temu, ale jako synowie *Ahmanna* dowodzili sporymi oddziałami *Sharum*.

– *Sharum Ka.* – *Ashan* powitał *Jayana* skinieniem głowy na znak szacunku. *Andraha* nigdy nie obchodził pierworodny *Inevery*, ale nie był na tyle głupi, aby pogłębiać przepaść między nimi. – Jak obrona *Lenna Everama*?

Jayan skłonił się, choć była to tylko pusta uprzejmość, bez śladu hołdu należnego *Andrahowi* od jego *Sharum Ka*.

– Jest silna... *Andrahu.* – Inevera niemal słyszała zgrzyt zębów, gdy jej syn wymawiał tytuł wuja. – Od *Nowiu* nie zauważono ani jednego demona w promieniu wielu mil od tronu. *Sharum* muszą wyprawiać się daleko, żeby choć zwilżyć włócznie posoką *alagai*. Zbudowaliśmy nowe umocnienia i powołaliśmy dodatkowe brygady ogniowe w wioskach *chin* wartych ocalenia po spaleniu pól przez demony, zmieniliśmy też część terenów w *Labirynty*, aby

łapać i ściagać *alagai* w nocy, dzięki czemu osłabiamy ich siły, po tym jak pokonaliśmy je w Nowiu.

„Pokonali”. Wielce polityczny dobór słów. Jayan wiedział przecież doskonale, że tak naprawdę *alagai* podczas Nowiu zostały pokonane tylko przez słońce. I powrócą silne jak zawsze.

Ashan skinął głową.

– Dobrze się spisałeś, Sharum Ka. Twój ojciec będzie z ciebie dumny po powrocie.

Jayan zignorował pochwałę.

– Mam sprawę, którą chciałbym przedłożyć Radzie pod rozwagę.

Inevera zmarszczyła brwi, chociaż kości uprzedziły ją, na co się zanosi.

Jayan klasnął i czterestu muskularnych młodzieńców w czarnych bido wkroczyło do sali, po czym opadło na jedno kolano w równym szeregu za Sharum Ka przed tronem. Wszyscy nosili tarcze na plecach i dzierżyli włócznie. Inevera przyjrzała im się uważnie. Dostrzegła w każdej szesnastoletniej twarzy podobieństwo do swojego męża. Rozpoznała swojego trzeciego syna, Hoshkamina, a także kolejnych synów Everalii i Thalai oraz pierworodnych innych *Damaji'ting*.

– Andrah bez wątpienia rozpoznaje moich braci, synów Shar'Dama Ka. Ich starsi bracia – Jayan wskazał na Iche i Sharu – i nawet ja przywdzialiśmy czerń w wieku siedemnastu lat. Ale choć młodzi, moi bracia mają serca *Sharum* jak ich ojciec. Kiedy dowiedzieli się o jego nieobecności, wszyscy zażądali prawa do walki nocą. Ich szkolenie zarówno w *sharaj*, jak i w *Sharak* Hora przebiegło bez skazy, nie widzę zatem powodu, żeby odmówić temu życzeniu. Osobiście byłem im *ajin'pal*, patrzyłem, jak przelali krew w Nowym Labiryncie. Każdy osobiście odesłał do pustki Nie więcej niż jednego demona. Proszę, żeby uczyniono z nich *kai'Sharum* zgodnie z prawem zapisanym w *Evejah*.

Ashan zerknął na Ineverę. Powołanie nowych wojowników i przyznanie im prawa do czerni mogło się odbyć tylko za zgodą *dama'ting*, która rzuciła dla nich kości, a dla synów Wybawiciela mogła to zrobić tylko *Damajah* albo jej *Jiwah Sen*.

Jayan okazał się bardziej przebiegły, niż Inevera przypuszczała. Kości powiedziały jej, że to on żądał, by chłopcy walczyli nocą, aczkolwiek każdy z młodzików palił się do tego zadania. Gdy tylko przywdzieją czarne szaty z białą zasłoną, każdy z synów Ahmanna zacznie dowodzić sporą liczbą wojowników ze swojego plemienia. A wszyscy będą to zawdzięczać Jayanowi. Mianowanie młodzieńców do czerni bardzo zwiększy wpływy Jayana, może nawet ułatwić mu próbę sięgnięcia po Tron z Czaszek.

Jednak nie można było po prostu odrzucić prośby Sharum Ka. Inevera miała wielką władzę nad swoimi siostrami-żonami, ale wykazałaby się bezgraniczną głupotą, gdyby obraziła je, odmawiając żądaniom Jayana. Sama rzuciła kości dla każdego z tych chłopców, używając krwi narodzin, a według prawa wszyscy, którzy walczyli nocą i powalili *alagai*, mieli prawo do czerni.

Inevera z nieprzeniknionym wyrazem twarzy skinęła przyzwalająco głową.

– Stało się – oznajmił Ashan z ulgą. – Powstańcie, *kai'Sharum*. Everam z dumą spogląda dziś na synów Wybawiciela.

Młodzieńcy wstali równo, ale nie wzniesli okrzyków radości, lecz ze zdyscyplinowaniem skłonili się przed tronem i wyprężyli. Jayan jednak nie zdołał ukryć przebiegłego uśmiechu.

– Dla Krasji nastały ciężkie czasy, gdy Wybawiciel przebywa daleko – wtrącił Asome. – Może nadeszła też pora, aby jego synowie *dama* przywdziali biel.

Było to jak wiadro wielbłądziego moczu wylane na głowy *Damaji*. Zamarli wstrząśnięci, potem zaczęło narastać w nich oburzenie, podczas gdy Inevera delektowała się tą chwilą. Dzięki mianowaniu synów *dama* Ahmanna zyskiwała porównywalne wpływy do Jayana. Im wcześniej chłopcy założą biel, tym szybciej przejmą władzę nad plemionami i oszczędzą Ineverze nieustannego marudzenia staruchów.

– To absurd! – warknął Aleverak. – Żaden piętnastolatek nie został nigdy mianowany do bieli.

Jeżeli porażka z poprzedniego dnia przejęła jego serce strachem, nie dał tego po sobie poznać. Uzdrawiony przez magię Beliny, stary *Damaji* wyglądał lepiej niż przez ostatnie lata. Jednak nawet jeśli Aleverak czuł wdzięczność wobec żony Ahmanna z plemienia Majah, nie zamierzał zgodzić się na to, aby jej syna wyniesiono do godności *dama*. W wyniku tej nominacji starzec miał więcej do stracenia niż pozostali przywódcy.

Damaji chórem wyrazili swoje poparcie dla jego słów. Inevera oddychała powoli, aby nie stracić panowania nad sobą. Niech Everam pozwoli, aby jak najszybciej uwolniła się od tych złośliwych mężczyzn, bardziej zainteresowanych utrzymaniem swoich wpływów niż troską o swój lud.

– W obliczu nadciągającej *Sharak Ka* niejedną rzecz przyjdzie nam zrobić po raz pierwszy – oznajmił Asome. – Nie powinniśmy pozbawiać naszych ludzi przywódców, a brakuje ich ostatnio, gdy tak wielu *dama* musi pilnować pokoju w wioskach *chin*.

Ashan zamyślił się, powiódł spojrzeniem po sali. Jako *Damaji* był silnym przywódcą plemienia Kaji, ale wydawał

się bardziej dyplomatyczny niż na stanowisku Andraha, chętniej gotów, aby zadowolić wszystkich i zachować swoją pozycję.

Jednak Ahmann rozkazał mu przejść tron i chronić jego synów, a nie trzeba było geniuszu, aby rozumieć, że będzie to łatwiejsze zadanie, jeżeli młodzieńcy przywdzieją biel.

– Zrób to – szepnęła Inevera. Zaklęcia poniosły jej słowa tylko do uszu Ashana.

– Wiek nie ma znaczenia – stwierdził wreszcie. – Aby zasłużyć na biel, trzeba przejść próby. I tak się stanie również w tym przypadku. Synowie Wybawiciela będą musieli im sprostać. A some będzie osobiście nadzorował próby i o wszystkim mi opowie.

Inevera dostrzegła falę przyjemności w aurach *Damaji'ting* na to nieoczekiwane obwieszczenie i równie silną gorycz *Damaji*. Odczytywanie aury wymagało nawet większego wyczucia niż zrozumienie przepowiedni *hora*, ale z każdym dniem Inevera nabierała wprawę.

Potem przed tron wniesiono sprawę o mianowanie nowych *Sharum'ting*. Odkąd Ahmann ustanowił istnienie *Sharum'ting* – niewątpliwie dla uznania praw kobiet *chin* – kobiety jego ludu coraz częściej wychodziły w noc, by zabić *alagai* i dzięki temu uzyskać, tak samo jak mężczyźni, prawo do posiadania majątku, dawania świadectwa i odmowy mężczyźnie. Kobiety codziennie przychodziły do pałacu *dama'ting*, niejednokrotnie w sekrecie, błagając o szkolenie. Inevera powierzała je Ashii i nie żałowała tej decyzji.

Kobiety *chin*, które nie przywykły jeszcze do praw Ewejah, przychodziły licznie, często zachęcane przez mężów. Krasjanek tylko garstka. Trzy tysiące lat poddaństwa, do którego przyuczano je pięścią i kijem, zrobiło swoje, a chociaż ruch przybierał na sile, tłumiał go zaciekle i niemal jednomyślny sprzeciw krasjańskich mężczyzn, mężów, ojców, braci, nawet synów, którzy jeszcze nosili brąz. Wielu kobietom zabraniano opuszczania domów bez eskorty i brutalnie bito, kiedy próbowały się wymknąć.

I nawet te, które otrzymały czerń, nie były bezpieczne. Za pomocą runicznej broni kobiety zabijały *alagai*, jednak miały za sobą tylko kilkutygodniowe szkolenie, podczas gdy mężczyźni *Sharum* ćwiczyli niemal od dziecka. Wiele z tych kobiet zostało pobitych, zgwałconych, a nawet zabitych.

Ale nie brakowało krwi dla *alagai hora*, więc Inevera łatwo wykrywała sprawców, a Ashia i siostry włóczni wkrótce potem składały im wizytę. Odpłacały za zbrodnię po dziesięciokroć, a zwłoki zbrodniarzy pozostawiały w widocznym miejscu, aby inni zapamiętali dobrze nauczkę.

Jakby wezwana myślą Inevery, Ashia weszła do sali tronowej, prowadząc dwie grupy kobiet do podwyższenia. Większa grupa – dwadzieścia kobiet wyszkolonych w pałacu *dama'ting* – przyklękła w równych szeregach jak w oczekiwaniu na wyrok. Niektóre nosiły czerń *dal'ting*, inne bardziej zróżnicowane szaty *chin*.

Ashia spoglądała na kobiety surowo, ale Inevera dostrzegła dumę w aurze synowej. Poszerzona wiedza o liniach siły i punktach zbieżności pozwoliła Ashii ulepszyć *sharukin*, polegające bardziej na dźwigniach i precyzji niż sile ramion. Nazwała ten styl walki Celnym Uderzeniem Everama i dobrze szkoliła kobiety.

Druga grupa wydawała się bardziej intrygująca. Siedem zwykłych *dal'ting* ścisnęło się i uklękło, a w ich wspólnej aurze dominowały strach i determinacja. Kobiety nosiły zakrwawione opatrunki z widocznymi plamami czerni, charakterystycznej dla ran zadanych przez *alagai*. Jedna miała całe ramię i część twarzy w białych bandażach, przez które przesiąkały brązowawe smugi. Ogniste splunięcie. Inevera widziała głębokie oparzenia w aurze rannej. Nie można ich było całkiem wyleczyć bez użycia magii.

Inna kobieta natomiast miała podbite oczy i chyba złamany nos, choć ukrywała to zasłona. Inevera nie potrzebowała dowodów, żeby rozpoznać rany, których z pewnością nie zadał demon.

– Cóрко. – Ashan przywitał Ashię skinieniem głowy. Nie popierał jej nowego statusu, ale nie był na tyle głupi, aby poniżyć córkę publicznie. – Kogo przywiodłaś przed Tron z Czaszek?

– Kandydatki do włóczni, czcigodny Andrahu. – Ashia wskazała na adeptki, które wyszkoliła. – Te kobiety przeszły szkolenie w pałacu *dama'ting* i powaliły demona w *alagai'sharak*. Proszę, aby uznano je za *Sharum'ting*.

Ashan pokiwał głową. Nie był zachwycony tym, że kobietom pozwalano dzierżyć włócznie, ale widział wielokrotnie mianowanie wojowniczek przez Ahmanna, więc nie mógł odmówić. Popatrzył na *Damaji'ting* Qevę.

– Czy kości zostały rzucone?

Qeva potwierdziła.

– Wszystkie są godne.

Ashan skinął ręką na klęczące kobiety.

– Powstańcie, *Sharum'ting*.

Wojowniczkę wstały i skłoniły się nisko, po czym Ashia je odprawiła.



Ashan skierował wzrok na grupę przerażonych *dal'ting* u stóp tronu.

– A te?

– To nieprzeszkolone *dal'ting* z wioski Khanjin – wyjaśniła Ashia. *Damaji* Ichach zeszywniał. – Ich honor jest bez skazy. Postanowiły odpowiedzieć na wezwanie Wybawiciela, więc wyszły w noc i zabiły demona. Proszą o prawo przyrzeczone im przez Wybawiciela.

– To jednostronne przedstawienie sprawy – zauważył Jayan.

Ashia skinęła mu głową.

– Mój krewniak się nie zgadza.

Aura Ashana pociemniała.

– Będziesz się zwracać do Sharum Ka z należnym szacunkiem, córko – zagrzmiał. Jego głos poniósł się groźnie po sali, tak niepodobny do spokojnego tonu, którego Andrah używał wcześniej. – Słyszysz *Damajah*, ale Jayan nadal stoi

wyżej od ciebie. – Po czym zwrócił się do Jayana: – Przepraszam za grubiaństwo mojej córki, Sharum Ka. Zapewniam, że zostanie za to ukarana.

Jayan machnął ręką.

– Nie trzeba, wuju. Może i moja krewniczka jest wojowniczką, ale też kobietą, więc nie należy oczekiwać, że będzie panowała nad swoimi uczuciami.

– W rzeczy samej – zgodził się Ashan. – Co Sharum Ka ma do powiedzenia w tej sprawie?

– Te kobiety złamały prawo – stwierdził Jayan. – Swoim bezmyślnym uczynkiem przyniosły wstyd swoim rodzinom, rozgniewały sąsiadów i spowodowały śmierć niewinnej kobiety.

– Poważne oskarżenie – zauważył Ashan.

Jayan potwierdził.

– Zaplanowały to i uknuły, złamały zakaz wychodzenia po zmierzchu, ustanowiony przez miejscowego *dama*, sprzeciwiły się rozkazom swoich mężów *Sharum*, po czym nocą wymknęły się z domów i przeszły poza runy wioski. Zwabiły samotnego ognistego demona w pułapkę, okrążyły go i przy użyciu prowizorycznej broni i tarcz z marnie wymalowanymi runami skopionymi z ekwipunku ich czcigodnych mężów zaatakowały. Ponieważ nie miały szkolenia, jedna kobieta zginęła, a pozostałe odniosły rany. Pożar wzniecony podczas tego starcia omal nie spalił całej wioski.

– To nie...! – próbowała krzyknąć jedna z kobiet, ale druga zakryła jej usta dłonią. Kobietom nie wolno było się odzywać w obecności Andraha, chyba że on zwrócił się do nich pierwszy, a zgodnie z prawem Ewejah nie mogły dawać świadectwa w żadnej sprawie. W ich imieniu przemawiali jedynie mężowie.

Jayan zerknął na zgromadzone, ale nie rzekł słowa. Przecież to były tylko kobiety.

Ashia skłoniła się nisko, dając artystyczny pokaz poważania, wystarczający, aby wydrwić, ale nie obrazić mężczyzn.

– Słowa czcigodnego Sharum Ka Krasji, pierworodnego syna Wybawiciela, mojego krewniaka, szacownego Jayana *asu Ahmann am’Jardir am’Kaji*, oby żył wiecznie, są prawdziwe, ojcze, choć nieco przesadzone w szczegółach.

Jayan złożył ramiona na piersi, w kącikach jego ust zamajaczył złośliwy uśmiech.

– Są również nieistotne – dokończyła Ashia.

– Hę? – zdziwił się Ashan.

– Ja również złamałam zakaz wychodzenia po zmroku i wbrew woli męża wymknęłam się w noc – wyjaśniła Ashia. – Zakaz ten wprowadzono wyłącznie po to, żeby żadna kobieta legalnie nie mogła opuścić nocą domu. – Spojrzała ojcu w twarz. – Sam dyskutowałeś o tym właśnie zakazie z Wybawicielem tamtego dnia, gdy mianował mnie *Sharum*, nie bacząc na owo prawo. Nie powinno zatem powstrzymać i ciebie. Zgodnie ze słowami samego Shar’Dama Ka każda kobieta, która zabiła demona, powinna być mianowana *Sharum’ting*.

Ashan zmarszczył brwi, ale Jayan jeszcze nie skończył.

– W rzeczy samej – przyznał. – Lecz doliczyłem się siedmiu kobiet i tylko jednego zabitego demona. Która zadała ostateczny cios? Czy może wszystkie naraz go dobiły?

– To również jest bez znaczenia – odparła Ashia, choć Jayan posłał jej groźne spojrzenie. – Wszyscy wojownicy zabijają wspólnie, zwłaszcza podczas pierwszych starć z demonami jeszcze jako *nie’Sharum*. Wedle tej miary nie ma wojownika w Krasji, który nie przypisywałby sobie więcej zwycięstw, niż zasłużył. Nawet Wybawiciel we własnej osobie był jednym wśród ponad tuzina włóczy podczas swojej pierwszej nocnej służby w Labiryncie.

– Wybawiciel miał wtedy dwanaście lat, córko – wtrącił Ashan. – I został posłany do Sharik Hora na kolejne pięć lat, zanim zasłużył na noszenie czerni.

Ashia wzruszyła ramionami.

– Pomimo to jeżeli wspólne zabicie demona miało się nie liczyć, musiałbyś pozbawić czerni każdego wojownika mianowanego, zanim Wybawiciel przywrócił nam runy bojowe, i ponad połowę z pozostałych. Celem pierwszego starcia nie jest samodzielne zabicie demona. To próba odwagi, żeby przekonać się, czy wojownik potrafi stawić czoła *alagai*. Te kobiety tak właśnie uczyniły. Szczerze mówiąc, ich próba była jeszcze trudniejsza, ponieważ nie miały wyszkolenia ani odpowiedniej broni. Czyż nie takiej woli walki i odwagi potrzebujemy nocą w *Sharak Ka*?

– Może – zgodził się Ashan.

– A może nie – wtrącił *Damaji* Ichach. – Andrahu, z pewnością nie zamierzasz mianować tych kobiet? Pochodzą z Khanjin. Pozwól mi zająć się tą sprawą osobiście.

– Nie wydaje mi się, żebym miał wybór, *Damaji* – odparł Ashan. – Nie należę do żadnego plemienia i muszę wypełniać rozkazy Wybawiciela.

– Jesteś Andrahem – warknął Aleverak. – Oczywiście, że masz wybór. Twoja córka przekreśla słowa

Wybawiciela, żeby złapać cię w pułapkę, ale nie mówi całej prawdy. Wybawiciel powiedział: „Każda kobieta, która powali demona w *alagai'sharak*, powinna być *Sharum'ting*”. Nie wydaje mi się, że to się kwalifikuje. Pierwsza bitwa *Sharum* nie rozpoczyna się bez zgody mistrza szkolenia. *Alagai'sharak* to święty rytuał, nie głupie wymykanie się nocą dla kaprysu.

Pozostali *Damaji* przyznali mu rację, a Inevera zacisnęła zęby. Znowu ochrypli chór starców cytował pisma, przytaczał nieistotne anegdoty i uparcie sprzeciwiał się wolności i praw *Sharum* dla kobiet. Pogłaskała różdżkę przy pasie i wyobraziła sobie, jak by to było wspaniale, gdyby posłać ich wszystkich do Nie.

– Czy jakiś mężczyzna był świadkiem zdarzenia? – zapytał Ashan, gdy zamieszanie przycichło. W ogóle nie zapytał o nic kobiet i z pewnością nie zamierzał tego robić.

Jayan skłonił się ponownie.

– Andrahu, mężowie tych kobiet czekają za drzwiami i błagają o posłuchanie, zanim podejmiesz decyzję.

Ashan skinął głową i wpuszczono mężczyzn. Wszyscy nosili czerń, chociaż sądząc po wyglądzie i broni, należeli do wojowników pierwszego sortu. W ich aurach dominowały gniew, wstyd i zdumienie wspaniałością tronu. Jeden wydawał się wyjątkowo wściekły, ledwie panował nad pragnieniem przemocy, niosącym się od niego jak smród.

Wdowiec. Inevera zeszywniała na swoim posłaniu z poduszek.

„Obserwuj tego” – powiedziały jej palce.

„Widzę go, Damajah”. Dłonie Ashii zwisały luźno, ledwie zauważalna odpowiedź zręcznych palców przypominała szept.

– Te kobiety zabiły mi żonę, święty Andrahu – rzucił wściekły wojownik i wskazał na grupę pod tronem. – Moja Chabbavah nie sprzeciwiłaby się moim rozkazom i nie postąpiłaby tak głupio bez ich złego wpływu. Żądam ich życia za to życie jako zadośćuczynienia.

– Kłamstwo! – krzyknął inny mężczyzna. Wskazał na *dal'ting*, tę ze śladami pobicia. – Moja żona przybiegła do mnie po tej katastrofie i wyraziła się jasno, że to Chabbavah była jedną z prowodyrek i sama zachęcała pozostałe. Przykro mi z powodu straty, jaką poniósł mój brat, ale nie ma prawa żądać odwetu za swoją porażkę jako męża.

Wdowiec odwrócił się i uderzył, a potem obaj wojownicy zaczęli wymieniać ciosy. Ahmann nie tolerował przemocy w sali tronowej, ale nikt z mężczyzn, nawet Ashan, nie wydawał się chętny do przerwania bijatyki, dopóki przeciwnik nie przydusił wdowca w bolesnym chwycie.

Ashan klasnął głośno.

– Argument pozostaje w mocy. Everam nie przyznałby zwycięstwa kłamcy.

Inevera oddychała powoli. To nie kłamca. Tylko wojownik, który bił swoją żonę.

Drugi mężczyzna skłonił się nisko.

– Proszę świętego Andraha, żeby zwrócił kobiety nam, ich prawowitym mężom. Ukarzemy je. Przysięgam na Everama, że nie przyniosą więcej wstydu swoim rodzinom, plemieniu ani tronowi.

Ashan usiadł, splótł dłonie i przyjrzał się kobietom. Ashia podniosła trudną sprawę, ale Inevera widziała w oczach nowego Andraha, że nadal chce przystać na żądanie mężczyzn. Gdyby tylko miał sposobność, odebrałby włócznie każdej *Sharum'ting*. Włącznie z Ashią.

Powinna była najpierw przyprowadzić te kobiety do mnie, pomyślała Inevera. Ale może i to było wolą Everama.

Osiadliwszy się na Północy, gdzie kobiety miały te same prawa co mężczyźni, Krasjanki przekonały się nieoczekiwanie, że istnieje inna droga niż życie pod sandałem męża. Ludzie z zielonych krain nie byli w stanie oprzeć się włóczniom Krasjan, jednak podczas Wojny w Blasku Dnia zadali cios w samo serce swego wroga. Coraz więcej kobiet zaczynało domagać się swoich praw i kapłani wkrótce będą musieli się z tym zmierzyć.

Inevera nie chciała psuć wizerunku Ashana publicznie w pierwszy dzień jego panowania, jeżeli jednak Andrah nie wykaże się rozsądkiem, niech tak się stanie.

Już otworzyła usta, aby przemówić, ale uprzedził ją Asome, który głośno odchrząknął, po czym równie donośnie zaczął mówić:

– Moja czcigodna żona ma rację.

Ashan z zaskoczenia niemal rozdziawił usta. Nawet Inevera znieruchomiała bezmyślnie, gdy jej syn zszedł z podwyższenia i stanął u stóp Tronu z Czaszek. Chłopak przecież żarliwie sprzeciwiał się istnieniu *Sharum'ting* i mianowaniu wojowniczką swojej żony i krewniaczki.

– Mój szlachetny ojciec powiedział, że demony trzeba zabijać w *alagai'sharak*, to prawda – oznajmił Asome. – Ale czym naprawdę jest *alagai'sharak*? Dosłownie znaczy to „wojna z demonami”, a wojna to nie rytuał. *Alagai* uczyniły sobie wrogów z całej ludzkości, z mężczyzn i kobiet. Każde starcie z nimi to *alagai'sharak*.

Jayan prychnął.

– Jak widać, mój brat *dama* wcale nie rozumie wojny.

Było to najgorsze, co mógł powiedzieć na dworze zdominowanym przez kapłanów, kolejny dowód, że nie umiał się powstrzymać od lekkomyślnego mówienia, co mu ślina na język przynosi. Ashan i *Damaji* posłali mu groźne i niechętne spojrzenia.

Nareszcie Ashan jednak wykazał, że posiada kręgosłup, i tym samym głębokim, donośnym tonem, którego użył przeciwko córce, zwrócił się do Jayana:

– Zapominasz się, Sharum Ka. Służysz wszak woli tych, co noszą biel.

Jayan pobladł, a w jego aurze zakwitł gniew. Sharum Ka zacisnął dłoń na włócznie i gdyby był choć odrobinę głupszy, zapewne by jej użył, nie bacząc, że pograżyłyby to Krasję w otchłani wojny domowej.

Asome zachował rozsądek i kamienną twarz, ale nie oszczędziło mu to ponurego spojrzenia Ashana.

– A co z tobą, *nie’Andrah*? Przecież protestowałeś od dawna przeciwko kobietom dzierżącym włócznie. Ostatnio nie dalej niż dwa tygodnie temu przed tym tronem.

Asome skłonił się nisko.

– W rzeczy samej tak było, wuju. Przemawiała przeze mnie pasja i wiara. Ale myliłem się, a mój szlachetny ojciec postąpił słusznie, ignorując moje życzenia.

Odwrócił się i powiódł spojrzeniem po sali.

– *Sharak Ka* nadchodzi! – zawołał. – I Wybawiciel, i *Damajah* powtarzają to od dawna. A jednak wciąż pozostajemy podzieleni i wymyślamy podstępne wymówki, byle nie pozwolić niektórym walczyć, podczas gdy inni stoją obok i nie robią nic. Ale ja powiadam, że kiedy Wybawiciel powróci z całą armią Nie depczącą mu po piętach, sławy i chwały wystarczy dla wszystkich, którzy staną do tej wielkiej bitwy. Musimy być gotowi, wszyscy co do jednego. – Wskazał na Ashię. – To prawda, że sprzeciwiałem się, aby moja żona wzięła włócznie. Lecz przyniosła nam tylko zaszczyt, honor i sławę. Setki zawdzięczają jej i innym siostronom włócznie życie. To one na polu walki przynoszą honor *Damajah*, ufając jej ochronie. One czynią nas wszystkich lepszymi. Kobiety dają nam siłę. Wybawiciel wyraził się jasno w tej sprawie: „Wszyscy, którzy chcą stanąć w *Sharak Ka*, mają do tego prawo”.

Urwał, a wtedy podszedł do niego *Asukaji*, tak płynnie i w doskonałym momencie, jakby to przećwiczyli. Tych dwóch zawsze się wspierało.

Ashan pokręcił głową.

– Na *Everama*, jeszcze tylko ciebie tu brakowało.

Asukaji wskazał na mężów *Sharum*.

– Co takiego mają do ukrycia ci mężczyźni, że obawiają się świadectwa swoich żon, gdy te zostaną mianowane wojowniczkami? Może świadomość takiego zagrożenia nauczy tych mężów odrobinę mądrości. Ich kobiety walczyły z *alagai*. Gdyby nasze mury padły, one będą ostatnią linią obrony dla naszych dzieci. Skoro tak wiele spoczywa na nich obowiązków, dlaczego nie powinny mieć także praw?

– W rzeczy samej, dlaczego nie? – zapytała *Inevera*, zanim któryś ze starców zdążył wymyślić ripostę. Uśmiechnęła się. – Wy, mężczyźni, kłóćcie się, jakby wybór zależał od was, ale Wybawiciel powierzył *Sharum’ting* mnie i to JA zdecyduję, która z nich zostanie wojowniczką, a która nie.

Ashan zmarszczył brwi, ale w jego aurze pojawiła się wyraźna ulga, że nie musi ponosić odpowiedzialności za dekret, który przysporzyłby mu tylko wrogów. Choćby rządy *Andraha* były jak najlepsze, mężczyźni by mu nie wybaczili.

– Umshalo – *Inevera* skinęła na swoją siostrę-żonę, *Damaji’ting Khanjin* – powróz im.

Zebrani wytrzeszczyli oczy. Przepowiednie były sprawą prywatną. *Dama’ting* trzymały swoją magię w tajemnicy, i nie bez powodu. Ale mężczyznom należało przypomnieć, że chodzi tutaj nie tylko o politykę. Powinna ich prowadzić wola *Everama*, nie egoistyczne potrzeby.

Kobiety uklęknęły w półkolu przed szmatką rozłożoną przez *Umshalę*. Wszystkie miały bandaże przesiąknięte krwią, więc *Damaji’ting* wystarczyło dotknąć ran kośćmi, aby rzucić prorocтво.

Inevera przygasiła światła w komnacie. Nie po to, aby wspomóc wróżbę, ponieważ magiczny blask nie działał na kości, lecz raczej po to, by wszyscy ujrzeni, jak jarzą się *hora*, jak pulsują czerwienią, gdy *Umshala* się modliła. Mężczyźni cofali się nieco za każdym razem, gdy przy kolejnych rzutach kości rozbłyskiwały oślepiająco.

W końcu *Umshala* wyprostowała plecy. Zignorowała *Ashana* i zwróciła się wprost do *Inevery*:

– Wykonane, *Damajah*.

– I co zobaczyłaś? – zapytała *Inevera*. – Czy te kobiety stawiały czoła demonom w nocy? Czy są godne?

– Tak, *Damajah*. – *Umshala* wskazała pobitą kobietę. – Oprócz niej. *Illijah vah Fahstu* zawahała się przy uderzeniu i uciekła przed demonem, co spowodowało śmierć *Chabbavah* i rany u pozostałych. Jej nie należy się chwała z zabicia demona.

Aura Illijah zrobiła się biała ze zgrozy, ale towarzyszki broni przysunęły się i wyciągnęły ramiona, aby wesprzeć odrzuconą, nawet ta ciężko poparzona. Inevera dała im chwilę na współczucie, ale nic więcej nie mogła zrobić. Kości były obosieczną bronią.

– Sześć zostaje wojowniczkami – oznajmiła. – Powstańcie, *Sharum'ting*. Illijah vah Fahstu powróci do swojego męża.

Było to okrucieństwo, ale i tak mniejsze, niż gdyby oddać sprawę w ręce *Damaji* Ichacha, który zapewne kazałby nieszczęsną zabić publicznie za fałszywe zeznania w obliczu władcy.

Illijah krzyczała, gdy Fahstu podszedł i chwycił ją za włosy, po czym szarpnięciem podniósł z kolan. Zatoczyła się i upadła, a Fahstu pociągnął ją po podłodze. Krzyki i jęki kobiety odbijały się od ścian, podczas gdy *Damaji* patrzyli na to z zimną satysfakcją.

„Przynies mi rękę, której użył, żeby ją wlec, przed zachodem słońca” – powiedziały palce Inevery do Ashii.

Synowa odpowiedziała jak zwykle skrywanym szeptem własnych palców:

„Słyszę i jestem posłuszna, *Damajah*”.

– Czekajcie! – zawołała jedna z właśnie mianowanych wojowniczek, czym przyciągnęła uwagę zgromadzonych. – Jako *Sharum'ting* pragnę zaświadczyć o zbrodniach Fahstu asu Fahstu am'Ichan am'Khanjin.

Inevera skinęła dłonią i strażnicy pochyliili włócznie, aby Fahstu nie mógł opuścić sali tronowej. Illijah została uwolniona i oboje doprowadzono ponownie przed tron.

Damaji Ichach uniósł ręce w dramatycznym geście.

– Czy właśnie w to zamienił się dwór Andraha? W miejsce, gdzie niewdzięczne kobiety skarżą się na mężów jak plotkujące łaziebne?

Paru *Damaji* pokiwało głowami, ale *Damaji* Qezan z plemienia Jama, największy rywal Ichacha, uśmiechnął się szeroko.

– Na pewno nie – stwierdził. – Ale twoje plemię urządziło na dworze takie przedstawienie, że musimy obejrzeć je do końca.

Ichach posłał mu groźne spojrzenie, ale pozostali *Damaji*, nawet ci, którzy niedawno poparli Ichacha, teraz potaknęli przychylnie jego przeciwnikowi. Nie byli łaziebny, lecz jak one uwielbiali plotki.

– Mów – rozkazał Ashan.

– Jestem Uvona vah Hadda am'Ichan am'Khanjin – przedstawiła się kobieta, po raz pierwszy w życiu używając męskiego pełnego imienia. – Illijah to moja kuzynka. To prawda, że uciekła przed *alagai* i nie jest godna, żeby walczyć nocą. Ale jej mąż, Fahstu asu Fahstu am'Ichan am'Khanjin, od lat zmuszał ją do prostytucji, aby zarabiała pieniądze na jego couzi i kości. Illijah to szlachetna córka Everama, dlatego odmawiała żądaniom męża, ale wtedy Fahstu bił ją tak bardzo, że leżała nieprzytomna całymi dniami. Na własne oczy widziałam jej hańbę.

– Kłamstwa! – wykrzyknął Fahstu, choć Inevera widziała w jego aurze, jaka była prawda. – Nie słuchajcie fałszywych słów tej niewdzięcznicy! Jakie ma dowody? Żadne! To słowo kobiety przeciwko mojemu!

Sharum'ting z zabandażowanymi poparzeniami na twarzy i ramieniu stanęła obok Uvony. Jej aurę przeszywał ból, lecz kobieta stała wyprostowana, a jej głos brzmiał pewnie:

– Słowo dwóch kobiet.

Pozostałe cztery również stanęły obok towarzyszki jak jeden mąż.

– Sześć kobiet zaświadczy o twoich występkach, Fahstu – powiedziała Uvona. – Sześć *Sharum'ting*. Wyszłyśmy w noc nie po to, aby zyskać dla siebie prawa, ale ze względu na Illijah. Chciałyśmy, żeby była od ciebie wolna.

Fahstu odwrócił się do Ashana.

– Andrahu, z pewnością nie postawisz słowa kobiet wyżej niż słowo lojalnego *Sharum*?

Umshala także popatrzyła na Ashana.

– Mogę poradzić się kości, jeżeli sobie zażyczysz, święty Andrahu.

Ashan zmarszczył brwi, ale znał odpowiedź kości równie dobrze jak wszyscy.

– Pragniesz wyznać prawdę, synu Fahstu, czy mam oczyścić twoje imię za pomocą *hora*?

Fahstu pobladł, a potem rozejrzał się, szukając poparcia tam, gdzie nie mógł go otrzymać. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Co za różnica, co robię ze swoją żoną? Jest moją własnością, nie została *Sharum'ting*. Nie popełniłem żadnej zbrodni.

Ashan spojrział na Ichacha.

– Ten człowiek pochodzi z twojego plemienia, *Damaji*. Co na to powiesz?

– Skłaniam się do racji męża – przyznał Ichach bez wahania. – Obowiązkiem żony jest pracować i wspierać swojego mężczyznę. Jeżeli nie może spłacić jego długów, ponosi winę i powinna liczyć się z konsekwencjami, nawet

jeżeli oznacza to, że musi zarabiać, rozkładając nogi.

– Albo klęcząc – dodał *Damaji* Qezan, a pozostali mężczyźni wybuchli śmiechem.

– *Damaji* Khanjin wyraził swoje zdanie – stwierdziła Inevera, a zgromadzeni popatrzyli na nią ze zdziwieniem. – Za zmuszanie żony do prostytucji Fahstu nie powinien być ukarany.

Fahstu uśmiechnął się szeroko na te słowa, podczas gdy nowe *Sharum'ting* spuściły oczy. Illijah zaczęła znowu szlochać, a Uvona objęła ją pocieszająco.

– Jednak skłamał przed Tronem z Czaszek – podjęła Inevera. – I za tę zbrodnię winien ponieść karę. A karą jest śmierć.

Fahstu wytrzeszczył oczy.

– Co?

– Umshalo – nakazała Inevera.

Damaji'ting sięgnęła do swojej sakwy i wyjęła czarny odłamek – kawałek kości demona błyskawic. Inne *Damaji'ting* wiedziały, że należy zamknąć oczy, jednak pozostałych zgromadzonych oślepił rozbłysk wraz z ogłuszającym grzmotem.

Kiedy wszyscy odzyskali wzrok, ujrzeli Fahstu syna Fahstu leżącego w połowie drogi do drzwi. Jego tors był spalony, z rany unosił się dym. Komnatę wypełnił odór przypalonego ciała.



– Naciskasz zbyt mocno, *Damajah* – stwierdziła Qeva. – *Damaji* się zbuntują.

– Niech się buntują, jeśli są takimi głupcami – odparła Belina. – Ahmann nie będzie płakał, gdy wróci i zostanie zamiast Rady tylko popiół na posadzce sali tronowej, a swoich synów władających plemionami.

– A jeżeli Ahmann nie wróci? – zapytała Melan.

– Tym więcej powodów, żeby zastraszyć *Damaji* i werbować jak najwięcej *Sharum'ting* – zauważyła Inevera. – Nawet *Abban, khaffit*, ma więcej żołnierzy niż ja.

– *Kha'Sharum* – prychnęła Qeva z odrazą. – To nie są prawdziwi wojownicy.

– Powiedz to Hasikowi – zaproponowała Inevera. – Strażnik Wybawiciela, pokonany i upokorzony przez *khaffit*. To samo mówią o *Sharum'ting*, ale wybrałabym każdą z córek włóczni Enkido nad tuzin Włóczni Wybawiciela.

Doszły do prywatnych ogrodów Inevery, botanicznego labiryntu wypełnionego precyzyjnie przyciętymi roślinami, niejednokrotnie wyhodowanymi z nasion sprowadzonych z najdalszych zakątków Krasji. Rosły tutaj zarówno uzdrawiające zioła, jak i te śmiertelnie trujące, świeże owoce, orzechy i warzywa, a także trawy, krzewy, kwiaty i drzewa spełniające funkcję wyłącznie ozdobną.

W ogrodach Ineverze łatwiej było odzyskać spokój i równowagę, wystarczyło stanąć w słońcu wśród bujnej roślinności. Nawet w krasjańskim pałacu Wybawiciela nie udałooby się utrzymać takich ogrodów. Ziemia była zbyt surowa. W Lennie Everama wystarczyło tylko rozrzucić nasiona, a rośliny wyrastały z nich bez pielęgnacji.

Inevera odetchnęła głęboko, zaraz jednak straciła równowagę wewnętrzną – wyczuła słabą woń perfum, zwiastującą zawsze koniec spokoju.

– Uciekajcie, jak możecie, młodsze siostry – szepnęła. – Święta matka oczekuje między altanami.

Tyle wystarczyło, aby siostry-żony umknęły z ogrodu tak szybko, jak tylko godność im pozwalała. Na Ineverze, jako *Jiwah Ka*, spoczywała odpowiedzialność za matkę Ahmanna, z czego pozostałe żony cieszyły się stanowczo za bardzo.

Inevera im zazdrościła. Sama też by uciekła, gdyby mogła. Everam musi być niezadowolony, skoro kości w porę mnie nie ostrzegły, pomyślała.

Tylko Qeva, Melan i Asavi ośmieliły się pozostać. Ashia znikła wśród liści, jednak Inevera wiedziała, że synowa obserwuje i zawsze jest w pobliżu.

Damajah odetchnęła, ugięła się pod wiatrem.

– Lepiej mieć to już za sobą – mruknęła i ruszyła tam, gdzie czekała święta matka.

Usłyszała *Kajivah*, zanim ją zobaczyła.

– Na Everama, trzymaj plecy prosto, *Thalajo* – warknęła święta matka. – Jesteś żoną Wybawiciela, nie jakąś *dal'ting* kupczącą na bazarze.

Inevera ujrzała, jak *Kajivah* zabiera przekąskę drugiej synowej.

– Znowu przybierasz na wadze, *Everalio*. – Popatrzyła na służących. – Gdzie nektar, o który prosiłam? I niech tym

razem będzie zimny. – Zmarszczyła brwi na służkę trzymającą nedorzeczny wachlarz. – Nie pozwoliłam ci przestać, dziewczyno. – Powachlowała się, jej dłoń zatańczyła jak koliber. – Wiesz przecież, jak źle się tutaj czuję. Everam zaświadczy, że te zielone krainy są wilgotne jak łąnie. Jak można to wytrzymać? Ach, gdybym miała choć połowę rozumu...

Starsza kobieta na szczęście przerwała, gdy Inevera weszła do altany. Inne kobiety wyglądały, jakby właśnie uratowano je przed pustką Nie. Kajivah mogła traktować wszystkie jak służące, ale miała dość rozsądku, aby szanować *dama'ting*, zwłaszcza Ineverę.

Zazwyczaj.

– Gdzie mój syn?! – napadła na Damajah. Nosila czarną szatę i białą zasłonę *kai'ting*, ale dodała biały szal, podobny do tego, który nosił Ahmann. – Pałac trzęsie się od plotek, mój szwagier zasiada na Tronie z Czaszek, a mnie pozostawiono w niewiedzy niczym głupca!

Prawdziwszego świadectwa nie słyszałam, pomyślała Inevera.

Głos Kajivah stał się bardziej piskliwy.

– Żądam, żebyś mi powiedziała, co się stało!

Żąda. Inevera poczuła narastający gniew. Czy ta kobieta zapomniała, z kim rozmawia? Nawet Ahmann niczego od Inevery nie żądał. Wyobraziła sobie, że trafia Kajivah błyskawicą jak Fahstu w sali tronowej.

Och, mogłaby tego dokonać bez trudu. O ile jednak Ahmann wybaczyłby jej, gdyby tak widowiskowo pozbyła się Rady *Damaji*, krzywdzicielkę matki ścigałby po krańce Ala, a póki miał na swych skroniach świętą koronę, Inevera nie zdołałaby się przed nim ukryć.

– Ahmann ściga demona na granicy pustki Nie – powiedziała. – Kości przepowiadają, że może powrócić, ale to niebezpieczna ścieżka. Musimy się za niego modlić.

– Mój syn udał się w głąb Nie? – zaskrzeczała Kajivah. – Sam?! Dlaczego Włócznie Wybawiciela nie poszły wraz z nim?

Inevera chwyciła Kajivah za podbródek. Pozornie po to, aby zmusić ją do spojrzenia sobie w oczy, ale i przycisnęła punkt zbieżności, żeby zmniejszyć nieco energię starszej kobiety.

– Twój syn to Wybawiciel – przypomniła jej zimno. – Wkracza tam, gdzie nikt nie może iść za nim, i nie musi się tłumaczyć ani tobie, ani nawet mnie.

Puściła Kajivah, a ta zatoczyła się z osłabienia. Thalaja podtrzymała teściową i próbowała podprowadzić do jednej z kamiennych ław, ale święta matka wyprostowała się, wyrwała z uścisku i spojrzała znowu w oczy Damajah.

Uparta, uznała Inevera.

– Dlaczego Jayan został pominięty? – zapytała ostro Kajivah. – To najstarszy syn Ahmanna i godny następcy. Ludzie go uwielbiają.

– Jayan jest za młody i zbyt uparty, żeby rządzić za Ahmanna.

– To twój syn! Jak możesz...

– DOŚĆ! – warknęła Inevera. Wszyscy aż podskoczyli, w tym również Kajivah. Inevera rzadko podnosiła głos, zwłaszcza przy innych, ale teściowa ze wszystkich ludzi na świecie najczęściej nadużywała jej cierpliwości. – Zapominasz się, kobieto, jeśli ci się wydaje, że możesz ze mną dyskutować o moich dzieciach. Wybaczę ci tym razem, ponieważ wiem, że martwisz się o własnego syna, ale nie rób tego więcej. Krasja mnie potrzebuje i nie mam czasu uspokajać cię przy każdej okazji. Ashan zasiada na Tronie z Czaszek z polecenia Ahmanna. Nic więcej nie musisz wiedzieć.

Kajivah zamrugała. Ile lat minęło, odkąd ktoś ośmielił się do niej mówić w ten sposób? Przecież była świętą matką, nie jakąś zwykłą *dal'ting*.

Jednak wszystkie posiadane przez nią wpływy i przywileje nie wynikały z prawdziwej władzy, takiej przecież nie miała. Nie była nawet *dama'ting*, a tym bardziej Damajah. Bogactwo i służki zawdzięczała synowi zasiadającemu na tronie, a pod nieobecność Ahmanna Inevera mogła bez trudu wszystko odebrać teściowej, choć na pewno znaleźliby się inni, którzy zapragnęliby wkraść się w łaski Kajivah za pomocą podarków i złota.

– Matko.

Inevera i inne kobiety odwróciły się, gdy Asome wszedł do altany. Poruszał się cicho jak Enkido. Skłonił się nisko.

– Babko. Dobrze was obie widzieć.

Kajivah od razu się rozpromieniła i otworzyła ramiona na powitanie wnuka. Asome dał się uściskać i przyjął pocałunki przez zasłonę z godnością, chociaż takie traktowanie uwłaczało jego pozycji.

– *Tikka!* – użył pieszczotliwego krasjańskiego określenia na „babkę”, które Kajivah wpoila wszystkim swoim wnukom, chyba jeszcze zanim zaczęły mówić. Na dźwięk tego słowa z ust Asome nastrój Kajivah zmienił się jak po narkotykach. – Proszę, bądź wyrozumiała dla mojej szlachetnej matki. Wiem, że martwisz się o ojca, ale ona jest jego

Jiwah Ka. Bez wątpienia niepokoi się równie mocno jak ty.

Kajivah skinęła jak oszołomiona i spojrzała na Ineverę, po czym skłoniła lekko głowę.

– Wybacz, Damajah.

Inevera miała ochotę wyciąłować syna.

– Ale dlaczego ty i twój brat zostaliście pominięci? – Babka odzyskała nieco ze swojej stanowczości.

– Pominięci? – zdziwił się Asome. – *Tikka*, Jayan zasiada na Tronie Włóczni, a ja jestem następny w kolejce do Tronu z Czaszek. Asukaji został *Damaji* plemienia Kaji. Twój pierworodni wnukowie wszyscy zostali *kai'Sharum*, a następni zajmą stanowiska jako *nie'Damaji*. Dzięki tobie ród Jardirów, któremu jeszcze dwadzieścia lat temu groziło wymarcie, przez wiele pokoleń będzie władał całą Krasją.

Kajivah zdawała się tym ułagodzona, ale i tak naciskała.

– Ale twój wuj...

Asome ujął ją za podbródek jak wcześniej Inevera, ale nie po to, by nacisnąć punkt słabości, lecz w pieśszczocie. Delikatnie jak piórkiem musnął kciukiem usta babki, co uciszyło ją równie skutecznie jak nieco bardziej brutalna metoda Inevery.

– Evejah uczy nas, że wszystkie *dama'ting* mają dar widzenia przyszłości, zwłaszcza Damajah. Skoro pozwoliła mojemu szlachetnemu wujowi zasiąść na tronie, zapewne ujrzała niedaleki powrót ojca, chociaż, rzecz jasna, nie może o tym mówić otwarcie.

Kajivah zerknęła na Ineverę z lekką obawą. W Krasji dar widzenia był bardzo szanowany, stanowił źródło władzy *dama'ting*. Inevera włączyła się do gry – spojrzała na Kajivah znacząco i niemal niezauważalnie skinęła głową.

Kajivah popatrzyła znowu na Asome.

– Mówienie o losie przynosi zły los.

Asome skłonił się z przekonującym szacunkiem, choć Kajivah przekreśliła stare przysłowie.

– Mądrze powiedziane, *tikka*. – Zerknął na Ineverę. – Zapewne czcigodna babka może zrobić coś, co uraduje Everama i pomoże w modlitwach o bezpieczny powrót ojca?

Inevera zamarła zaskoczona. Słowa Asome przypomniały jej radę matki, Manvah, dotyczącą Kajivah. Skinęła głową.

– Za mniej niż dwa tygodnie nadejdzie Nów, a bez Wybawiciela morale spadnie, zwłaszcza że siły Nie znowu się zgromadzą. Wielka uczta, która pocieszyłaby serca naszych wojowników i połączyła głosy wielu w jeden chór proszący Everama o zwycięstwo dla Ahmanna w najcięższej próbie...

– Wspaniały pomysł, Damajah – podchwyciła Melan i podeszła bliżej. Inevera z wdzięcznością spojrzała na swoją dawną rywalkę.

– W rzeczy samej – zgodził się Asome. – Może święta matka pobłogosławiłaby jedzenie i picie?

– Miałam zamiar sama się tym zająć... – skłamała Inevera.

Jak przewidziałyby Manvah, Kajivah złapała przynętę.

– Nawet o tym nie myśl, szlachetna Damajah. Spoczywa na tobie wiele obowiązków. Pozwól ująć ci ten jeden, błagam.

W rzeczy samej Inevera poczuła, jakby zdjęto jej z barków wielki ciężar.

– Obawiam się, że jedna uczta nie wystarczy. Zapewne będą potrzebne kolejne, dopóki nie zwyciężymy w *Sharak Ka*.

Kajivah skłoniła się niżej, niż Inevera widziała od lat.

– Zajęcie się tym będzie dla mnie zaszczytem, Damajah.

– Poproszę Andraha, żeby wyasygnował hojne fundusze ze skarbcza na uczy – zapewniła Inevera. Doskonale wiedziała, że Ashan będzie zadowolony tak samo jak ona, gdy Kajivah znajdzie się jak najdalej od spraw tronu. Zgodzi się na wszystko i uzna to za wspaniałe rozwiązanie. – Oczywiście będziesz potrzebowała pomocy. Kucharzy i florystek, skrybów do przygotowania zaproszeń...

Ludzi, którzy potrafią czytać i liczyć, dokończyła w duchu nie bez pogardy, ponieważ Kajivah nie posiadała tych umiejętności nawet po dwudziestu latach w pałacu.

– Pomoc świętej matce będzie dla mnie zaszczytem – zgłosiła się Melan.

– I dla mnie, na ile pozwolą mi obowiązki – dodał Asome i spojrzał znacząco na Ineverę. Matka nie miała wątpliwości, że pewnego dnia syn upomni się o dług, ale z radością zamierzała go spłacić. Ta przysługa była bezcenna.

– A zatem postanowione. – Inevera skinęła głową. – Cała Krasja będzie ci wdzięczna za to, co robisz, święta matko.



6

Mężczyzna jest niczym

333 rok plagi, jesień

Abban ciężko oparł się na lasce, gdy schodził po pałacowych stopniach. Wykrzywiona łydka bolała, otyły *khaffit* zaciskał zęby przy każdym kroku. Na dworze Wybawiciela niejeden ostrzył nóż, by wbić go w plecy kupca, ale Abban zaczynał się zastanawiać, czy to nie pałacowe schody stanowią dla niego największe zagrożenie. Dla zysku potrafił znieść niemal wszystko, lecz wytrzymywanie bólu nigdy nie należało do umiejętności, które kupiec dobrze opanował.

Nie po raz pierwszy żałował swojego uporu i odmowy, gdy Damajah zaproponowała mu uzdrowienie. Mądrze było przypomnieć jej, że nie mogła Abbana przekupić, zwłaszcza udogodnieniem, jakie równie łatwo potrafiłaby odebrać, ale czasami *khaffit* miał wrażenie, że bez wahania zabiłby za bezbolesne przejście po schodach. Istniało jednak coś, czego pragnął o wiele bardziej. I wkrótce miał to otrzymać.

Mistrz Ćwiczeń Qeran szedł obok, o wiele lepiej radził sobie na schodach. Nie miał lewej nogi od kolana, zastępowała ją proteza ze sprężystej stali. Metal uginał się lekko przy każdym kroku, ale bez trudu wspierał ciężar wielkiego mężczyzny. Qeran już niemal powrócił do formy, jaką szczylił się przed utratą nogi, i wciąż się rozwijał.

Kha'Sharum Abbana nie mieli wstępu na dwór, ale Mistrz Ćwiczeń szkolił samego Wybawiciela, a jego honor był niepodważalny. Nawet po tym jak podjął się pracy u kupca, wszędzie witano Qerana z otwartymi ramionami, również w pałacu. Przydatna cecha osobistego strażnika. Przynajmniej nikt nie był na tyle głupi, aby zaczepiać Abbana.

Bezuchy czekał u stóp schodów i przytrzymywał drzwi powozu kupca. Dwaj *kha'Sharum* siedzieli na koźle, z włóczniami w zasięgu ręki, kolejni dwaj zajmowali wysoką ławkę z tyłu i mieli łuki wzorowane na broni z zielonych krain. Qeran wskoczył bez wysiłku do powozu i wziął laskę pracodawcy, gdy Bezuchy podniósł Abbana i pomógł mu wejść. Zrobił to bez wysiłku, jakby przenosił dziecko nad przeszkodą.

Bezuchy był za wielki, żeby wygodnie zmieścić się w powozie, więc zamknął drzwi i stanął na stopniu, przytrzymawszy się uchwyty na zewnątrz. Uderzył w burtę i woźnice trzasnęły lejcami.

– Czy *Damaji* zaakceptowali Ashana jako Andraha? – zapytał Qeran.

Abban wzruszył ramionami.

– Gdy Damajah ujawniła swoją moc, nie dała im wyboru. Ashan to jej marionetka, a nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmielił się wyzwać Damajah.

Qeran skinął głową. Znał dobrze Ineverę.

– *Sharum* się to nie spodoba. Są przekonani, że *Sharum Ka* powinien zająć miejsce ojca. Obawiają się, że *dama* na tronie nie będzie skupiał się, jak należy, na *alagai'sharak*.

– I cóż to będzie za tragedia – mruknął *Abban*.

Qeran spojrział na niego zimno, bynajmniej nie rozbawiony.

– Na wezwanie *Jayana* chwycą za broń. Łatwo mu będzie nabić głowy *Ashana* i *Damaji* na włącznie i przejąć tron. *Abban* potaknął z namysłem.

– A jeszcze łatwiej będzie *Damajah* spalić go na popiół. Tracimy czas, Mistrzu *Ćwiczeń*, rozważając zmiany na stanowiskach, których nie sięgamy. Mamy własne obowiązki.

Dotarli do wysokich, grubych, obsadzonych uzbrojonymi po zęby *kha'Sharum* murów, które otaczały siedzibę *Abbana*. Bramy otwarły się na umówiony sygnał, a za nimi ukazały się proste, niskie budynki.

Siedziba była warowna i bezpieczna, ale *Abban* zachował ostrożność i przynajmniej z zewnątrz zabudowania nie przyciągały uwagi. W architekturze nie było żadnych ozdobników, na placach brakowało fontann i ogrodów. Powietrze wypełniał gęsty dym z kuźni, wokół niesły się dźwięczne uderzenia młotów. Ludzie pracowali w pocie czoła, nikt się nie obijał.

Abban odetchnął głęboko śmierdzącym powietrzem i uśmiechnął się lekko. Oto zapach przemysłu. Zapach władzy. Wspanialszy niż jakikolwiek aromat kwiatów lub pachnideł.

Gdy tylko *Bezuchy* postawił *Abbana* na ziemi, podbiegł do nich chudy chłopak. Skłonił się nisko.

– Mistrz *Akas* powiedział mi, żebym przekazał wam, że próbki są gotowe.

Abban skinął głową i rzucił chłopcu małą monetę. Był to zaledwie grosz, ale oczy młodego posłańca rozblęły na jego widok.

– Za chyże stopy. Przekaż mistrzowi *Akasowi*, że zaraz do niego przyjdziemy.

Akas zarządzał kuźnią, była to jedna z najważniejszych funkcji wśród ludzi *Abbana*. Należał też do rodziny przez małżeństwo i otrzymywał zapłatę, o jakiej większość *dama* nie mogłaby nawet marzyć. Jeden z najlepszych zwiadowców *kha'Sharum* *Abbana* chodził za kowalem krok w krok, oficjalnie dla ochrony, ale zadaniem wojownika było też pilnowanie kowala, by temu nie przyszło do głowy zdradzić swego pracodawcy.

– Ach, Mistrzu, Mistrzu *Ćwiczeń*, witajcie! – *Akas* przekroczył pięćdziesiątkę, miał szerokie, umięśnione ramiona typowe dla tych, którzy pracowali przy kowadle. Pomimo wieku i potężnej sylwetki poruszał się z nerwowym podnieceniem młodzieńca. Jak każdy *khaffit* nie nosił brody, ale policzki i podbródek znaczył mu szorstki, kilkudniowy zarost. Śmierdział potem i siarką.

– Jak produkcja? – zapytał *Abban*.

– Broń i zbroje dla *Włóczni Wybawiciela* zgodnie z planem. – *Akas* wskazał na skrzynie wypełnione włóczniami, tarczami i napierśnikami. – Szkło runiczne, niezniszczalne, o ile można stwierdzić.

Abban pokiwał głową.

– A dla mojej *Setki*? – użył nazwy dla stu *kha'Sharum*, których podarował mu *Ahmann*, ale tak naprawdę było ich stu dwunastu, nie licząc blisko tysiąca *chi'Sharum* stanowiących uzupełnienie ich oddziału. *Abban* chciał, aby wszyscy oni posiadali najlepszą broń i wyposażenie, jakie można kupić.

Akas podrapał się po niedogolonym policzku.

– Z tym jest... opóźnienie.

Qeran z groźną miną splótł ramiona na piersi, nie potrzebował nawet znaku od *Abbana*. *Akas* był dużym mężczyzną, ale nie na tyle głupim, aby wziąć tę postawę za dobrą monetę. Rozłożył pokornie ręce.

– Ale zrobiliśmy postępy! Chodźcie i przekonajcie się sami! – Pognał do stosu skrzyń, w których tarcze i groty włóczni lśniły jak lustra. Wyjął ostrze i położył je na prostym, ciężkim kowadle. – Szkło runiczne – wyjaśnił, wskazując na grot włóczni. – Posrebrzone, jak kazałeś, żeby ukryć prawdziwą naturę tej broni przed postronnymi obserwatorami.

Abban niecierpliwie skinął głową, to nie była żadna nowość.

– Więc skąd to opóźnienie?

– Posrebrzanie osłabia szkło – wyjaśnił *Akas*. – Patrzcie.

Ustawił grot na kowadle, przytwierdził klamrami na pasach. A potem uniósł długi, ciężki młot – z trzonkiem na trzy stopy i obuchem wazącym co najmniej trzydzieści funtów. Kowal uderzył młotem z wprawą, pozwalając, aby ciężar i pęd wykonały więcej pracy niż jego niemałe mięśnie. Uderzenie zawibrowało w kuźni, ale *Akas* nie przerwał i z całej siły machnął młotem jeszcze dwa razy.

– Co za strata, że z takiego mężczyzny uczyniono *khaffit* – zauważył *Qeran*. – Zrobiłbym z niego wielkiego wojownika.

Abban pokiwał głową.

– I nie miałbyś dla niego ani broni, ani zbroi. W sagach można znaleźć bajki o kalekach pracujących w kuźniach, ale to praca dla silnych ludzi. Praca przynosząca im zaszczyt.

Po trzecim uderzeniu Akas wypiął grot i przyniósł do sprawdzenia. Abban i Qeran przytrzymali ostrze włóczni przy świetle i kilka razy obrócili.

– Tutaj – wskazał Qeran.

– Widzę – przyznał Abban. Na nieskazitelnym szkle pojawiło się małe uszkodzenie.

– Jeszcze dziesięć podobnych uderzeń i pojawi się wyraźna rysa – dodał Akas. – Tuzin i szkło pęknie.

– Jednak nadal jest mocniejsze niż zwykła stal – stwierdził Qeran. – Każdy wojownik byłby szczęśliwy, gdyby miał taką broń.

– Może – zgodził się Abban. – Ale moja Setka to nie są zwyczajni wojownicy. Mają największego żyjącego Mistrza Ćwiczeń i najbogatszego patrona, więc muszą mieć do kompletu najlepszy ekwipunek.

– Nie zamierzam się spierać – mruknął Qeran. – Chociaż lustrzane tarcze zapewniają przewagę, jakiej nie daje szkło. Używaliśmy luster, żeby zapędzić *alagai* do Labiryntu. Łatwo je nabrać odbiciem.

– To już coś – westchnął Abban, a potem spojrzał na Akasa. – Ale wspomniałeś o postępach?

Kował wyszczerzył się w szerokim, porozumiewawczym uśmiechu.

– Pozwoliłem sobie wykonać komplet broni z nowego stopu.

Stopem było elektrum, naturalna mieszanka srebra i złota, tak rzadka, że jej wartość wykraczała poza wszelkie wyobrażenie. Wybawiciel skonfiskował już wszystkie znane zasoby tego metalu do wyłącznego użytku Damajah. Abban zabezpieczył sobie własne źródło i wysłał zwiadowców na poszukiwania większych ilości, ale groziły mu nieprzyjemne konsekwencje, gdyby Damajah przyłapała go na gromadzeniu świętego stopu.

– I? – zainteresował się Abban.

Akas wyciągnął spod szmaty grot włóczni i tarczę. Zaśniły jasno jak wypolerowane lustro.

– Są równie mocne jak szkło runiczne. Nie można ich stopić ani złamać. Ale nowy stop wykazał... inne właściwości.

Abban powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiezek.

– Proszę, mów dalej.

– Kiedy poddaliśmy broń i tarczę próbom, wojownicy dokonali zaskakujących odkryć – podjął z podnieceniem Akas. – Tarcza nie tylko blokuje ciosy *alagai*. Wojownik przyjął na nią uderzenie ogonem skalnego demona i nawet nie drgnęły mu stopy.

Na ostatnie słowa Qeran uniósł głowę i popatrzył bacznie na broń.

– Po jednym ataku *alagai* nie mógł nawet zbliżyć się do tarczy na długość włóczni. Wojownik musiał opuścić osłonę, żeby zadać cios.

– To równie duża słabość, jak przewaga – zauważył Qeran. – Skoro trzeba rezygnować z obrony, żeby uderzyć.

– Może – zgodził się Akas. – Ale co za siła! Grot włóczni przebił łuski skalnego demona równie łatwo jak tafelę wody. Popatrzcie tylko.

Zabrał grot do kowadła, użył innych zamocowań, aby umieścić go pionowo czubkiem w dół. Ponownie uniósł ciężki młot i uderzył z całych sił. Rozległ się głośny brzęk i Abban z Qeranem rozdziawili usta, gdy zobaczyli, że ostrze wbiło się na cal w kowadło. Akas uderzył jeszcze kilka razy i wbił grot jak gwóźdź. Po czwartym uderzeniu kowadło pękło na pół.

Qeran podszedł i z szacunkiem dotknął rozłamanego kowadła.

– Andrah musi się o tym dowiedzieć. Każdy wojownik musi mieć tę broń. Zwycięzimy w *Sharak Ka!*

– Andrah już wie – skłamał Abban. – Tak samo Wybawiciel i Damajah. Na twoje życie i nadzieję na Niebiosa, Qeranie, nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć. Srebro używane w szkło jest warte więcej niż pałac *Damaji*, a tego metalu nie ma nawet tyle, żeby wyposażyć jeden oddział naszych sił. – Usta Abbana rozciągnęły się w uśmiechu, podczas gdy Qeran skrzywił się ponuro. – Ale to nie znaczy, że mój Mistrz Ćwiczeń i jego najbardziej zaufani adiutanci nie dostaną takiej broni.

Qeran otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk.

– Chodźmy, Mistrzu – powiedział Abban z zadowoleniem. – Jeżeli będziesz tak stał i tylko się gapił, spóźnimy się na spotkanie.



Mistrz Ćwiczeń Qeran szedł obok Abbana przez Nowy Bazar, ogromną dzielnicę Lenna Everama, mającą przewyższyć sławą Wielki Bazar w Krasji.

Pojawiły się już jednak spore różnice. Choć mieszkańcy Północy nie przyjęli prawa Evejah ze zrozumieniem, to na szczęście handel rozumieli doskonale, dlatego gromadziło się tutaj tyle samo *chin* jak *dal'ting* albo *khaffit*, którzy sprzedawali i kupowali towary z setek kramów i stoisk ciągnących się wzdłuż zaułków. Abban czuł się tutaj jak w domu, tyle że bez wszędobylskiego pyłu i upału.

Prawo Evejah niewiele znaczyło na bazarze. Na każdego kupca zachwalającego głośno swój towar przypadał inny, który szeptem oferował przedmioty i usługi zabronione przez księgę albo zakazane przez *dama*. Hazard. Mięso świń. Couzi. Broń. Książki. Artefakty sprzed Powrotu. Na bazarze można było znaleźć wszystko, o ile miało się pieniądze i wiedzę, kogo i o co pytać.

W większości przypadków przymykano na to oko. W rzeczy samej największą grupę klientów dóbr nielegalnych stanowili *dama* i *Sharum*, których nikt nie ośmieliłby się aresztować. Kobiety i *khaffit* mieli mniej szczęścia; gdy zostali przyłapani, dostawali od razu wyrok, a karę wykonywano publicznie – dla przykładu. Chociaż Qeran był wysoki na ponad sześć stóp i uzbrojony we włócznię i tarczę oraz Everam raczy wiedzieć ile jeszcze innej ukrytej broni, wyglądał jednak na zaniepokojonego. Zerkał podejrzliwie we wszystkie strony, jakby lada chwila spodziewał się zasadzki.

– Wydajesz się zdenerwowany, Mistrzu Ćwiczeń – zauważył Abban. – Jak to możliwe, że mężczyzna, który walczy w ciemności z *alagai*, boi się przejść ulicą w świetle dnia?

Qeran splunął na ziemię.

– Ten bazar jest chyba lepszym labiryntem niż ten, do którego zaganiamy *alagai*.

Abban zachichotał.

– To prawda, Mistrzu Ćwiczeń. Bazar powstał jako pułapka na sakiewki, nie na demony, ale zasada jest podobna. Klientom łatwo tutaj wejść, ale o wiele trudniej wyjść. Uliczki meandrują i kończą się ślepych zaułkami, a armie kupców tylko czekają na nieprzygotowanych.

– Ale w Labiryncie wiadomo, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Mężczyźni w nocy stają się braćmi, a *alagai* nie przychodzą z darami i kłamstwami. – Qeran rozejrzał się czujnie, po czym wymacał swoją sakiewkę, aby upewnić się, że wciąż ją ma. – Tutaj każdy jest wrogiem.

– Nie kiedy jesteś ze mną – zapewnił Abban. – Tutaj pełnię rolę Andraha i Sharum Ka w jednym. Nawet teraz ludzie widzą, że przyszedłeś ze mną. Wróc jutro, a przybiegną, żeby wkraść się w twoje łaski w nadziei, że szepniesz mi o tym dobre słowo.

Qeran splunął ponownie.

– Od tego mam żony, żeby robiły zakupy na bazarze. Załatwmy, co musimy, i wynieśmy się stąd jak najszybciej.

– Już niedługo – uspokoił go Abban. – Wiesz, co masz zrobić?

Qeran tylko prychnął.

– Łamałem chłopców i składałem mężczyzn kawałek po kawałku, zanim się urodziłeś, *khaffit*. Zostaw to mnie.

– I nie usłyszę wykładu o świętej czerni?

Qeran wzruszył ramionami.

– Widziałem tych chłopców. Są leniwi. Słabi. Jurim i Shanjat rozpieszczali ich, aby zwrócić przeciw tobie, i teraz potrzeba będzie silnej ręki, żeby to zmienić. Muszą się znowu poczuć jak *nie'Sharum*.

Abban pokiwał głową.

– Uczyń to dla mnie, Mistrzu Ćwiczeń, a wynagrodzę cię ponad wszelkie wyobrażenie.

Qeran z odrazą machnął ręką na tę ofertę.

– Pf! Przywróciłeś mi *sharak*, synu Chabina. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić w zamian. Mężczyzna jest niczym bez szacunku swoich synów.

– Jesteśmy na miejscu. – Abban wskazał kram z jedzeniem. Od frontu przy niskich stolikach siedzieli tłumnie klienci, którzy przyszli tu na południowy posiłek albo żeby zapalić lub napić się gorzkiej krasjańskiej kawy. Kobiety krzątały się między nimi, przynosiły ze środka parujące miski z daniami i czarki napoju, wynosiły puste naczynia oraz brzęczące mieszki pełne monet draki.

Abban poprowadził towarzysza w zaułek między kramami i zastukał laską w boczne drzwi jadłodajni. Otworzył chłopiec w brązowej szacie, z ręcznie chwycił rzuconą przez kupca monetę, po czym powiódł gości na zaplecze, gdzie znajdowały się schody do piwnicy.

Klekot kości i wykrzykiwane zakłady niosły się po sali, słodki zapach fajek wypełniał powietrze. Abban i Qeran zatrzymali się za zasłoną i przyjrzeni grupie *Sharum* pijących couzi nad stołem do gry. Na blacie piętrzyły się stosy monet.

– *Dama'ting* powinna... ach. – Abban urwał, gdy dostrzegł Asavi na głównych schodach. Biel jej szat odcinała się w półmroku piwnicy, ale mężczyźni, zainteresowani tylko runami wyrytymi na ściankach kości, nie zauważyli przybycia kobiety, dopóki przed nimi nie stanęła.

– Co to jest?! – krzyknęła Asavi, a *Sharum* zerwali się jak na komendę. Jeden z graczy – Shusten syn Abbana – odwrócił się z pełną czarką. *Dama'ting* udała, że się cofa, ale mistrzowskim ruchem rękawa złapała kilka rozchlapanych kropel w biały jedwab.

Zapadła napięta cisza, gdy Asavi oglądała rękaw swojej szaty. Żaden z wojowników nie odważył się nawet oddychać.

Dama'ting dotknęła wilgotnej plamki i uniosła palce do nosa.

– Czy to... COUZI? – ostatnie słowo wykrzyknęła piskliwie, a mężczyźni niemal zmoczyli swoje bido. Nawet Abban poczuł strach, chociaż sam zaaranżował to przedstawienie. Jednak rozgrywająca się właśnie scena przypominała wypadek sprzed trzydziestu lat, gdy Chabin, ojciec Abbana, przypadkowo zachlapał atramentem szatę *dama* i na miejscu został zabity. Kupiec przełknął ślinę, bo na to wspomnienie zaschło mu w gardle. Może dobrze, jeśli jego synowie otrzymają podobną lekcję.

– Wybacz mi, *dama'ting*! – Shusten chwycił szmatę wątpliwej czystości, złapał za rękaw i zaczął osuszać plamę. – Wyczyszczę...

– Jak śmiesz?! – Asavi wyrwała szatę z jego rąk. Złapała chłopaka za nadgarstek, wyprostowała mu ramię i z półobrotu uderzyła płasko dłonią w tył łokcia. Ramię Shustena złamało się z głośnym trzaskiem, podobnie jak kiedyś kark Chabina.

Shusten wrzasnął, ale został uciszony kolejnym ciosem *dama'ting*, tym razem w gardło.

– Wyczyścisz to swoją krwią, głupcze! – Pochyliła się, wyprowadzając jednocześnie kopnięcie w tył, które trafiło chłopaka w twarz.

– Piękne – szepnął Qeran, przyglądając się sztuce walki kobiety.

Abban zerknął na towarzysza. Nigdy nie zrozumie wojowników, pomyślał.

Shusten zatoczył się, z nosa pociekła mu krew i upadł na stół do gry. Monety i czarki couzi rozsypały się na wszystkie strony. *Sharum* odskoczyli, nie przejmując się swoimi pieniędzmi, lecz gniewem *dama'ting*.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Asavi nie zatrzymała się ani nie przestała wymierzać ciosów. Shusten próbował odpełznąć, ale kopnięcie w udo unieruchomiło mu nogę. Kolejne kopnięcie trafiło w jądra i nawet Qeran skrzywił się, słysząc jęk chłopaka i widząc krwawą pianę, która trysnęła przy tym ze złamanego nosa.

Odrobina piany splamiła szatę Asavi i *dama'ting* z warknięciem wyciągnęła zza pasa zakrzywiony nóż.

– Nie, *dama'ting*! – krzyknął starszy brat Shustena, Fahki, i skoczył między *dama'ting* i brata. – Litości, w imię Everama!

Fahki był nieuzbrojony, błagalnie rozłożył ramiona. Starał się bardzo, aby nie dotknąć *dama'ting*, lecz Asavi poruszała się jak tancerka i wysunęła nogę prosto pod niego. Jej krzyk zabrzmiał wcale przekonująco, gdy Fahki potknął się i razem z *dama'ting* upadł na brudną drewnianą podłogę.

– Pora na ciebie, Mistrzu Ćwiczeń – mruknął Abban, ale Qeran już ruszył. Odsunął zasłonę ostrożnie, żeby nie zdradzić obecności Abbana, i wmaszerował do sali.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął, a jego głos w nisko sklepionej piwnicy dudnił niczym grzmot. Mistrz Ćwiczeń złapał Fahkiego za kołnierz szaty i szarpnięciem zrzucił chłopaka z powalanej *dama'ting*.

Asavi zmierzyła Mistrza groźnym spojrzeniem.

– Czy te opoje to twoi ludzie, Mistrzu Ćwiczeń? – zapytała surowo.

Qeran skłonił się nisko, przy okazji uderzając głową Fahkiego o deski podłogi.

– Nie, *dama'ting*. Jadłem posiłek na górze i usłyszałem zamieszanie. – Nie puszczając Fahkiego, który krztusił się i dławił od wrzynającego się w szyję kołnierza, Qeran wyciągnął rękę do Asavi.

Dama'ting przyjęła pomocną dłoń i podniosła się zwinnie, a Mistrz potoczył beznamiętnym spojrzeniem po twarzach mężczyzn kulących się pod ścianami.

– Mam ich dla ciebie zabić?

Pytanie wydawało się absurdalne, jeden wojownik grożący śmiercią niemal tuzinowi mężczyznom, ale zebrani potraktowali je poważnie. Czerwonej zasłony Mistrza Ćwiczeń nie dostawało się na piękne oczy, a Qeran znany był wszystkim wojownikom plemienia Kaji – stał się żywą legendą zarówno z *alagai'sharak*, jak i placu ćwiczeń.

Asavi również popatrzyła na skulonych mężczyzn. Wpatrywała się tak przez długie, pełne napięcia sekundy. Wreszcie pokręciła głową.

– Mężczyźni – prychnęła na przerażonych wojowników. – Zedrzeć czerń z tych dwóch.

– Nie! – wrzasnęła Fahki, ale mężczyźni, jego bracia włóczy, jeszcze przed chwilą towarzysze broni, byli głusi na jego krzyki. Qeran rzucił swojego jeńca wojownikom, a wtedy jeden przysunął Fahkiemu grot włóczy pod brodę, czym stłumił wszelki opór młodzieńca, podczas gdy reszta gorliwie zrywała czarne szaty. Shusten nie mógł nawet marzyć o walce – tylko jęczał, gdy wojownicy pozbawiali go szat.

Jak szybko znika sławetna lojalność *Sharum*, gdy poddać ją próbie, pomyślał Abban. Zrobiliby wszystko, byle odzyskać łaskę *dama'ting*.

– Jesteście teraz *khaffit* – oznajmiła Asavi nagim młodzieńcom. Zerknęła na skurczoną męskość Fahkiego i parsknęła. – Może zawsze powinniście nimi pozostać. Powróćcie w hańbie do swoich ojców.

Jeden z wojowników klęknął przed Asavi, po czym przyłożył ręce i czoło do podłogi w wyrazie całkowitego poddaństwa.

– To bracia, *dama'ting* – powiedział. – Ich ojciec jest *khaffit*.

– Stosownie – odparła Asavi. – Niedaleko pada figa od figowca. – Odwróciła się do pozostałych wojowników. – A wy pójdzicie do Sharik Hora i odpokutujecie. Za karę nie będziecie jeść ani pić przez trzy dni, a jeżeli się dowiem, że jeszcze raz choć dotknęliście czarki *couzi* lub kości, podzielicie los tych dwóch.

Wojownicy patrzyli tylko, dopóki Asavi nie klasnęła. Podskoczyli jak na trzask bicia.

– Precz!

Niemal mocząc swoje bido, wojownicy pośpiesznie opuszczali piwnicę. Każdy kłaniał się wielokrotnie Asavi i powtarzał:

– Dziękuję, *dama'ting*.

Potykali się i tłoczyli na schodach, byle szybciej uciec, ile tylko sił w nogach.

Asavi rzuciła pogardliwe spojrzenie na nagich młodzieńców.

– Mistrzu Ćwiczeń, pozbądź się tych żalosnych *khaffit*.

Qeran skłonił się nisko.

– Tak, *dama'ting*.



Fahki i Shusten zamrugali w słabym świetle lampy, gdy zdjęto im z głów kaptury. Byli przywiązani do krzeseł w podziemnej komnacie. Obaj zostali „zmiękczeni”, jak ujął to Qeran, a czerwone, podpuchnięte sińce nie zaczęły jeszcze ciemnieć. Ramię Shustena usztywniono, a nos opatrzone. Obaj młodzieńcy mieli na sobie stare koszule i spodnie w brązowym kolorze *khaffit*.

– Wrócili moi utalentowani synowie – stwierdził Abban. – Choć zapewne już nie tak dumni jak przy naszym poprzednim spotkaniu.

Chłopcy zmrużyli oczy, żeby przystosować wzrok do słabego światła. Qeran stanął za Abbanem z założonymi na piersi rękoma, a Fahki nie opanował zdziwienia na jego widok. Abban natomiast dostrzegł, że syn chyba zaczyna się domyślać, co naprawdę się stało.

Może nie są całkowitymi głupcami, pomyślał z zadowoleniem kupiec. Synowie wojowników byli wystarczająco beznadziejni. Gdyby i jego potomkowie okazali się równie głupi, Abban zabiłby ich bez wahania i miał to z głowy. Spłodził innych synów, choć żadnego więcej z Shamavah, jedyną żoną, która naprawdę się dla niego liczyła. Ze względu na nią musiał tych dwóch doprowadzić do porządku.

– Dlaczego są związani? – zapytał. – Moi synowie na pewno nie stanowią dla mnie zagrożenia. Nie ma potrzeby traktować ich tak poniżająco.

Qeran mruknął, wyjął nóż, podszedł i przeciął więzy. Chłopcy jęknęli, po czym zaczęli rozcierać sobie kostki i nadgarstki, żeby przywrócić w nich krążenie. Shusten wydawał się słaby i spokorniały, ale Fahki nadal spoglądał wyzywająco.

– Abban. – Splunął na podłogę. Ślinę miał zaróżowioną od krwi. Popatrzył na brata. – Nasz ojciec odczuwa gorycz, bo dowiedliśmy, że jesteśmy od niego lepsi, i przewyższyliśmy go pozycją. Udało mu się znaleźć sposób, żeby przekupić *dama'ting* i ściągnąć nas z powrotem do swojego świata handlu i *khaffit*.

– Teraz i ty jesteś *khaffit* – przypomniał mu Abban.

– Odebrałeś nam czerń podstępem – warknął Fahki. – W oczach Everama nadal jesteśmy *Sharum*, lepsi niż wszyscy nędzni *khaffit* z Lenna Everama razem wzięci.

Abban przyłożył dłoń do piersi.

– Ja odebrałem wam czerń? Czy to ja włożyłem wam w ręce czarki *couzi* albo kości? Czy to ja zerwałem wam szaty z grzbietów? Wasi bracia uczynili to bez wahania i byli szczęśliwi, że mogą w ten sposób uratować siebie. Utratę pozycji zawdzięczacie własnej głupocie. Ostrzegałem, że tak się stanie, jeżeli będziecie pić i grać. Czerń nie sprawia, że znajdziecie się ponad prawem Everama.

Fahki przewrócił oczyma.

– Od kiedy to obchodzi cię prawo Everama, ojcze? Połowa twojej fortuny pochodzi z handlu *couzi*.

Abban zachichotał.

– Nie zaprzeczę, ale jestem na tyle mądry, żeby nie przegrywać swoich zysków w kości ani nie pić publicznie. – Pokuśtykał do trzeciego krzesła w komnacie, usiadł i popatrzył na synów z wielbłądziej głowy swojej laski. – A co do udowodnienia, że jesteście lepsi niż *khaffit*, wkrótce to sprawdzimy. Zostaniecie nakarmieni i prześpicie noc. Rano dostaniecie włócznię i tarczę i staniecie przeciwko jednemu z moich strażników *kha'Sharum*. Któremukolwiek. Będziecie mogli wybrać.

Fahki prychnął.

– Zabiję go w krótszym czasie, niż tobie zajmuje przewleczenie swojego tłustego cielska przez tę komnatę, starcze.

Qeran ryknął śmiechem, gdy to usłyszał.

– Jeżeli wytrzymasz pięć minut, oddam ci własną szatę i moje dobre imię.

Przebiegły uśmiezek znikł z twarzy Fahkiego na te słowa.

– Dlaczego służysz temu *khaffit*, Mistrz Ćwiczeń? Szkoliłeś przecież samego Wybawiciela. Kalasz swoje dobre imię przy każdym rozkazie, który przyjmujesz od tego nędznika. Za jaką cenę sprzedałeś swój honor wieprzjadowi?

Qeran podszedł bliżej i pochylił się, jakby chciał wyszeptać chłopcu odpowiedź na ucho. Fahki, głupi chłopak, przysunął się, aby usłyszeć.

Pięść Qerana zwała go z krzesła. Fahki zakasłał, splunął krwią i kawałkami złamanego zęba na kamienną podłogę.

– Może twój ojciec pozwala ci zwracać się do siebie z takim brakiem szacunku – zaczął Qeran.

– Na razie – wtrącił Abban.

– Na razie – powtórzył Qeran. – Ale jak powiedziałeś, chłopcze, jestem Mistrzem Ćwiczeń. Wyszkoliłem niezliczonych wojowników i ich zwycięstwa mogę uznać za własne. Milionom *alagai* pokazałem słońce, więc nie muszę ci się tłumaczyć, chłopcze. Za każde obraźliwe słowo, jakie rzucisz pod moim adresem, złamię ci kość. – Uśmiechnął się, gdy Fahki posłał mu ponure spojrzenie. – Tak, zaatakuj mnie. Widzę to w twoich oczach. Chodź i sprawdź swoją zuchwałość. Abban ma dwóch synów. Może jednego nie będzie mu brakowało.

– Śmiem twierdzić, że nie będzie mi brakowało żadnego, jeżeli okażą się tak głupi, żeby zaatakować ciebie, Mistrzu Ćwiczeń – zapewnił Abban.

Fahki odetchnął głęboko. Mięśnie miał napięte, ale ani drgnął.

Abban pokiwał głową.

– Początek mądrości. Może jest jeszcze dla ciebie nadzieja.



Następnego dnia do próby na placu Fahki wybrał najmniejszego i najsłabszego spośród *kha'Sharum*. Mężczyzna był chudy i nosił okulary – wydawało się, że nie będzie żadnym wyzwaniem dla Fahkiego, postawnego jak jego ojciec.

Cały klan Haman został zwołany, żeby mógł obejrzeć wydarzenie. Abban wpuścił do kręgu utworzonego przez bojowników również kobiety, siostry Fahkiego, jego kuzynki, ciotki i macochy. *Kha'Sharum* i *chi'Sharum* przyglądali się podekscytowani, podobnie jak zatrudniani przez Abbana rzemieślnicy, którym dano czas wolny tylko po to, aby pogłębić upokorzenie chłopaka.

Fahki okrążał czujnie przeciwnika, obracając włócznią w imponującym – choć bezcelowym – pokazie. Okularnik *kha'Sharum* przyglądał się temu chłodno. Nie wysilił się na okrążanie rywala. Był z plemienia Sharach i nosił chwytak na *alagai* zamiast włóczni. Długa, pusta w środku tyczka kończyła się plecioną pętlą, którą wojownik mógł zacisnąć za pomocą dźwigni na rękojeści.

Przez tłum przeciskał się sprzedawca z lukrowanymi orzeszkami.

Wreszcie napięcie Fahkiego sięgnęło zenitu i chłopak zaatakował z opuszczoną włócznią. Przeciwnik odtrącił grot i zarzucił pętlę na szyję młodzieńca, po czym uniósł tyczkę i wykorzystał pęd przeciwnika przeciwko niemu. Fahki musiał wykonać przewrót i upaść na plecy, inaczej skończyłby ze złamanym karkiem.

Wystarczył lekki skręt tyczki, aby Fahki znalazł się na brzuchu. Abban skinieniem głowy wezwał swoją córkę Cielvah, a dziewczyna wkroczyła do kręgu z krótkim skórzanym rzemieniem.

– Wybacz, bracie – powiedziała, a potem ściągnęła młodzieńcowi szerokie spodnie i bido. Fahki zaczął się szarpać, ale *kha'Sharum* zacieśnił pętlę, czym skutecznie chłopaka unieruchomił.

Abban spojrzał na Shustena, który stał u jego boku. Syn nie podnosił wzroku, niezdolny nawet patrzeć, ale wzdragał się na każdy trzask bicia i szlochał nad upokorzeniem brata.

– Ufam, synu mój, że nie zapomnisz tej lekcji – stwierdził Abban.

– Nie, ojciec – zapewnił Shusten.

Kupiec skinął głową.

– Dobrze. Mam nadzieję, że twój brat okaże się równie mądry. Jeżeli okażecie się godni, Qeran wyszkoli porządnie ciebie i Fahkiego i zostaniecie mianowani na *kha'Sharum*.

Wojownik z plemienia Sharach podprowadził Fahkiego do Abbana na końcu swojej tyczki. Twarz chłopca była czerwona od wstydu, łzy wyłobiły ścieżki na brudnych od pyłu dzielnikach policzkach. Gruby kupiec skinął wojownikowi, a ten uwolnił chłopaka i stanął w gotowości.

– To jest Lifan. – Abban wskazał na Sharach. – Będzie waszym nauczycielem.

Shusten wreszcie podniósł wzrok.

– Powiedziałeś, że Mistrz Ćwiczeń Qeran...

– ...nauczy was walki, owszem. O ILE okażecie się godni. Lifan nauczy was czytać, pisać i rachować. Wszystkiego, czego zaczęła uczyć was matka i co musieliście zarzucić, gdy zostaliście wezwani na *Hannu Pash*. Będziecie wypełniać wszystkie jego rozkazy. Kiedy nauczycie się czytać bez poruszania ustami i dodawać bez używania palców, podyskutujemy, czy będzie wam wolno znowu dzierżyć włócznie.



7

Jaja większe niż rozum

333 rok plagi, jesień

Jardir wytrzeszczył oczy na Par'china, szukając oznak oszustwa – lub szaleństwa – w aurze mężczyzny. Jednak ten był spokojny, skupiony i bardzo poważny.

Ahmann otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Par'chin parsknął śmiechem.

– Jeżeli to jakiś żart, Par'chinie, to wyczerpał moją cierpliwość...

Syn Jepha pozostał rozluźniony, powstrzymał Ahmanna machnięciem ręki. Zaraz też okazał zaufanie – cofnął się pod okno i usiadł na podłodze, opierając się o ścianę wśród kawałków połamanego krzesła.

– To nie żart. Wiem, że musisz to przemyśleć. Mnóstwo pytań, co? Nie śpiesz się, zadaj wszystkie, kiedy będziesz gotów.

Jardir zeszywniał, przepełniony niepewnością. Gorączka bitwy już w nim opadała, ale mięśnie pozostały napięte, wiedział, że Par'chinowi wystarczyłoby mgnienie oka, by dopaść przeciwnika.

Jednak w głębi duszy nie wierzył, że dawny przyjaciel chciałby go zaatakować. Wiele można było zarzucić synowi Jepha, ale na pewno nie kłamstwo. Jego spokojne zachowanie przypomniało Jardirovi niezliczone godziny, które spędzili na poznawaniu się nawzajem, rozmowach o wszystkim i staraniach, aby zrozumieć wzajemnie swoje kultury i języki. Niedbała postawa Par'china sprawiała, że Ahmann także się rozluźniał, co mu się nie zdarzało wśród swoich ludzi.

Zerknął na łóżko, ale podobnie jak z krzesła, z posłania też pozostały tylko szczątki. Złamało się pod siłą skoku Jardira. Dlatego cofnął się do okna naprzeciw Par'china i zajął tę samą pozycję na podłodze. Pozostał czujny, ale syn Jepha miał rację – walka nie przyniesie żadnemu z nich korzyści, dopóki nie zajdzie słońce i noc nie wyrówna sił.

„Kiedy zapada noc, trzeba zapomnieć o rywalizacji” – głosiła Evejah.

– Jak dotrzemy do Nie? – Jardir wybrał pierwsze lepsze pytanie z setki tych, które kłębiły mu się w głowie. – Ty możesz się zamienić w mgłę jak *alagai*, ale ja nie.

– I nie musisz. Istnieją ścieżki w ziemi. Demony umysłu prowadzą tamtędy ludzkich niewolników i trzymają żywych w Otchłani. – Par'chin splunął na podłogę. – Żeby zachować świeżość mózgow.

– Musimy dotrzeć do podziemnego świata, żeby ocalić tych nieszczęśników – domyślił się Jardir. – Z woli Everama...

Par'chin westchnął głośno i przewrócił oczami.

– Jeżeli za każdym razem, gdy powiem ci coś nowego, będziesz próbował odgadnąć „plan Everama”, spędzimy tutaj bardzo długi czas, Ahmannie.

Jardir zmarszczył brwi, ale Par'chin miał rację. Skinął głową.

– Mów dalej, proszę.

– Nie wiem, czy w ogóle jest tam ktokolwiek wart ocalenia. – Naznaczony ze smutkiem wpatrzył się w dal. – Demony umysłu uważają puste mózgi za przysmak. Wyobraź sobie tych niewolników, którzy od pokoleń żyją i umierają w ciemności, jedząc tylko mchy i porosty. Bydło hodowane na rzeź. Nie mają ubrań, ani nawet własnego języka. To już nie są ludzie. Stali się inni, mroczni, spaczeni i dzicy.

Jardir opanował drżenie.

– Rzecz w tym – podjął Arlen – że istnieje wiele szlaków, którymi możemy dotrzeć do Otchłani, jednak będzie to trudna i niebezpieczna wędrówka. Droga ma mnóstwo rozwidleń, ślepych zaułków i groźnych zakrętów. Nie poradzimy sobie z tym sami. Potrzebny jest przewodnik.

– A ty chcesz, żeby tym przewodnikiem został jeden z książąt, Alagai Ka – domyślił się Jardir, a jego towarzysz potwierdził skinieniem głowy. – Jak zmusimy go, aby zdradził swój rodzaj i poprowadził nas?

– Torturami – wzruszył ramionami Par'chin. – Bólem. Demony nie znają lojalności i pragną tylko wyrwać się z niewoli. Można to wykorzystać.

– Nie masz pewności – zauważył Jardir. – Jak moglibyśmy w ogóle zaufać księciu kłamstw?

– To akurat słaby punkt tego planu – przyznał Arlen. Wzruszył ramionami. – Ale najpierw trzeba złapać jednego z książąt.

– I jak niby zamierzasz tego dokonać? Zabiłem takich dwóch. Jednego przez zaskoczenie, drugiego z pomocą Leeshy i mojej *Jiwah Ka*. Oni są potężni, Par'chinie. Wystarczy chwila, żeby mogli...

– Co? – uśmiechnął się Arlen. – Rozwiąć się jak mgła? Wyrysować runy w powietrzu? Uleczyć swoje rany? My także potrafimy to robić, Ahmannie. I umiemy zastawić pułapkę, z której nawet Alagai Ka nie zdoła uciec.

– Gdzie mielibyśmy znaleźć demona umysłu? Kiedy zabiłem jednego w pierwszą noc Nowiu, jego bracia uciekli. Przez następne noce trzymali się na dystans i poruszali zbyt szybko, żebyśmy mogli ich wytropić.

– Boją się ciebie – stwierdził Par'chin. – Pamiętają Kajiego, łowcę umysłów, który dzięki swojej koronie, włóczni i pelerynie zabił tak wielu z nich. Żaden z własnej woli nie zbliżył się do ciebie nawet na milę.

– Przyznajesz zatem, że Kaji był Wybawicielem, a ja jestem jego następcą – wyprężył się Jardir.

– Przyznaję, że Kaji był wodzem, którego bały się demony umysłu – odparł stanowczo Par'chin. – A gdybyś stanął przed nimi w swojej koronie i z włócznią, zaczęłyby się bać również ciebie. Nie czyni cię to niczym następcą. Gdyby Abban włożył koronę i trzymał włócznię, otchłańce posikałyby się z przerażenia i uciekły przed nim.

Jardir zmarszczył brwi, ale spieranie się o to nie miało sensu. Pomimo swoich wątpliwości i braku szacunku Par'china w piersi zakiełkowała mu nadzieja. Ten człowiek z zielonych krain stworzył plan. Był to plan szalony, ale jakże WSPANIALE szalony. Takie szaleństwo godne było samego Kajiego. Ahmann chwycił przynętę i zaczął drążyć dokładniej.

– Skąd będziemy wiedzieć, gdzie zastawić pułapkę, żeby złapać księcia demonów?

Par'chin mrugnął do niego porozumiewawczo.

– To jest właśnie najlepsze. Wiem, dokąd demony umysłu wybierają się w Nowiu. Wszystkie. – Spoważniał. – Przybędą do Słońca Anocha.

Jardirowi krew ścięła się w żyłach. Zagubione miasto Kajiego, skąd Par'chin ukradł włócznię i rozpoczął to wszystko.

– Skąd wiesz?

– Nie tylko ty walczyłeś z myślozercami, Ahmannie. Kiedy szarpałeś się z jednym w sypialni, ja ścierałem się z jego bratem na północnym skraju Zakątka. Dopadłby mnie, gdyby nie Rennna.

Jardir skinął głową.

– Twoja *jiwah* jest niesamowita.

Par'chin przyjął komplement z zadowoleniem, ale zaraz westchnął głęboko.

– Może gdybym jej posłuchał, w zeszłym miesiącu nie zostałbym przyłapany z opuszczonym bido przez trzech myślozerców. – Spuścił oczy, a jego aurę zabarwił wstyd. – Wdarły mi się w myśli, Ahmannie. Nie mogłem ich powstrzymać. Grzebały mi w pamięci jak w kufrze. Przede wszystkim chciały się dowiedzieć, gdzie znalazłem runy...

– Podnieś oczy, synu Jepha – nakazał mu Jardir. – Nigdy nie spotkałem człowieka, który zajadłej od ciebie zwalczały *alagai*. Skoro nie mogłeś ich powstrzymać, to znaczy, że nikt by nie zdołał.

Par'chin wyprostował się i wdzięczność wypełniła jego aurę.

– Nie było tak źle. Kiedy one przeglądały mój umysł, mnie udało się zerknąć w ich myśli. Naprawdę zamierzają

powrócić do zaginionego miasta i dokończyć to, czego przez trzy tysiące lat nie zdołali zrobić burze piaskowe. Nie wiem, czy obawiają się, że miasto skrywa tajemnice, jakie nie powinny ujrzeć światła dziennego, czy tylko chcą nasrać na swoich dawnych przeciwników, ale zamierzają otworzyć sarkofag i zniszczyć wszystkie budowle.

– Musimy je powstrzymać za wszelką cenę – powiedział twardo Jardir. – Nie pozwolę sprofanować grobów moich przodków.

– Nie bądź głupi – prychnął Arlen. – Chcesz odrzucić wszystkie strategiczne przewagi dla zakurzonych zwłok?

– To bohaterowie Pierwszej Wojny, niewierny! – warknął Jardir. – Przynoszą honor ludzkości. Nie zniosę, żeby *alagai* ich zbrukały.

Par'chin splunął na podłogę.

– Nawet Kaji rozkazałby ich porzucić.

Jardir parsknął śmiechem.

– Och, próbujesz teraz przemawiać w imieniu Kajiego, Par'chinie?

– Ja także czytałem jego traktat o wojnie, Ahmannie. „Nic nie jest cenniejsze od zwycięstwa”. To słowa Kajiego, nie moje.

Jardir zacisnął pięści.

– Cytujesz święte pisma, kiedy ci to odpowiada, synu Jepha, ale nazywasz je wytworem fantazji, kiedy nie pasują do twoich tez. – Korona zabłysła mu mocno. – Kaji rozkazał także, abyśmy najbardziej szanowali kości tych, którzy oddali życie w *alagai'sharak*, i nie pozwalali ich profanować.

Par'chin splótł ramiona na piersi, runy na jego ciele błysnęły równie jasno jak korona.

– Popraw mnie, jeśli się mylę. Twierdzisz, że wolisz odrzucić szansę na podjęcie walki z demonami, byle uchronić przed zbezczeszczeniem puste skorupy, z których duchy już dawno odeszły na samotną ścieżkę?

„Nasze kultury stanowią obelgę dla siebie nawzajem, Par'chinie” – powiedział kiedyś Jardir. „Musimy opierać się naszemu poczuciu, że jeden został obrażony przez drugiego, jeżeli mamy się od siebie uczyć”.

Aura syna Jepha pozostała jednolita. Par'chin wierzył, że ma rację, ale nie zamierzał się spierać w tej sprawie.

– Nie mylisz się – przyznał Jardir. – Ale jesteś głupcem, jeżeli uważasz, że będę tylko stał i patrzył, jak demon plugawi kości Kajiego.

Arlen skinął głową.

– I wcale cię o to nie proszę. Proszę natomiast, jeśli dojdzie do takiej sytuacji, żebyś patrzył, jak demony plugawią Isaka, Majiego, Mehndinga. Nawet Jardira, o ile go znajdą.

– Nie znajdą – odparł Ahmann z ulgą. – Mój święty przodek został pogrzebany w Pustynnej Włóczni. Możemy przenieść tam również kości Kajiego.

Jednak myśl, że miałyby pozwolić *alagai* profanować szczątki największych przywódców z księgi Evejah, budziła w Jardirze grozę. Nawet jeżeli stawką było istnienie Ala, nie wiedział, czy umiałby po prostu patrzeć i nie zrobić nic, aby to powstrzymać.

– A jaką przewagę zyskamy dzięki tej... ofierze? – zapytał z goryczą.

– Nie wykradniemy Kajiego – stwierdził syn Jepha. – Pierwszy Shar'Dama Ka przysłuży się raz jeszcze swojemu ludowi, będzie przynętą w pułapce, którą zastawimy w jego grobowcu. Słońce Anocha jest ogromne. Nie zdołamy dokładnie przewidzieć, gdzie pojawią się demony umysłu, ale ta jedna krypta jest pewna, widziałem ją wyraźnie w swojej pamięci. One tam przybędą, Ahmannie. Przybędą z armią. A my będziemy tam czekać, ukryci pod płaszczem niewidzialności. Kiedy demony umysłu wejdą do krypty, złapiemy jednego, zabijemy, ile zdołamy dzięki zaskoczeniu, i umkniemy.

Jardir splótł ramiona i skrzywił się sceptycznie.

– A niby jak tego dokonamy?

– Użyjemy korony – wyjaśnił Par'chin.

Jardir uniósł brew.

– Bariera stworzona przez runy Korony Kajiego może odepchnąć każdego demona, nawet ich armię w promieniu pół mili – dodał Par'chin.

– Wiem o tym – mruknął Ahmann. – To moja korona.

– A wiesz też, że możesz rozciągnąć tę barierę? Jak bańkę, żeby trzymać demony z dala albo jak w Labiryncie...

– ...uwięzić je w środku – dokończył Jardir. – Jeżeli dotrzemy wystarczająco blisko...

– ...będziesz mógł uwięzić demony w pułapce razem z nami.

Jardir uniósł pięść.

– Możemy zniszczyć generałów Nie, zanim jeszcze rozpoczną się pierwsze starcia *Sharak Ka*.

Par'chin potwierdził skinieniem głowy.

- Na niewiele się to jednak zda, jeżeli ich królowa wyda na świat więcej.
Jardir popatrzył mu w oczy.
- Alagai’ting Ka. Matka Demonów.
- Właśnie. Zabijmy ją, a zyskamy szansę na wygraną wojny. Jeżeli nie, otchłānce wrócą znowu, nawet jeżeli zajmie to następne trzy tysiące lat. Wcześniej czy później uda im się nas wykończyć.
- A jeżeli nie zgodzę się na twój plan, Par’chinie? Ukradniesz mi koronę i spróbujesz sam?
- I tak, i nie – przyznał Arlen. – Myślōżercy przyjdą w Nowiu do Słōńca Anocha, a ja tam będę, z tobą lub bez ciebie. Jeżeli nie dostrzegasz w tym wartości, nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważałem. Zabierz swoją koronę, zasiądź na swoim błyszczącym tronie, a *Sharak Ka* zostaw mnie.
- Jardir zacisnął zęby.
- A co z włōcznią?
- Włōcznia jest moja – odparł Arlen. – Ale jeżeli przysięgniesz na światło słōńca, że zrobisz to ze mną, oddam ci tę włōcznię dobrowolnie i bez oporu i uznam nasze rachunki za wyrównane. Jeżeli nie, zabiorę ją do Otchłāni i osobiście przebiję nią serce demoniej krōlowej.
- Jardir patrzył na niego przez długi czas.
- To nie będzie konieczne, Par’chinie. Złōści mnie, że oddasz mi to, co juź należy do mnie, ale jakim byłbym *ajin’pal*, gdybym pozwolił ci ruszyć w tę drogę samotnie? Może ci się wydawać, że Everam to kłāmstwo, ale On musi cię naprawdę kochać, skoro obdarzył cię tak wielką odwagą.
- Par’chin uśmiechnął się.
- Ojciec zawsze mi powtarzał, że mam jaja wiēksze niź rozum.



Arlen zakrzętnął się przy kuchni, ruch jego dłoni był tak szybki, że rozmazywały się kontury. Nigdy nie był dobrym kucharzem, ale przez lata spędzone na szlaku nabrał dość wprawy, aby ugotować ziemniaki i usmażyć mięso z warzywami. Nie używał ognia, runy ciepła wyryte na garnkach i patelniach wystarczyły, gdy dotykem dostarczył im mocy.

- Mogę pomóc? – zapytał Jardir.
- Ty? – zdziwił się Arlen. – Samozwańczy władca świata dotykał kiedyś nieugotowanego jedzenia?
- Znasz mnie dobrze, Par’chinie, ale chyba nie tak dobrze, jak ci się wydaje. Czyż nie byłem kiedyś *nie’Sharum*? Wykonywałem chyba wszystkie żmudne prace.
- Wiēc wykonaj jeszcze jedną i nakryj do stołu.

Przekomarzanie się przywoływało wspomnienia. Arlen nie zdawał sobie sprawy, jak mu tego brakowało przez minione lata. Łatwo powracały dawne zwyczaje, gdy byli braćmi we wszystkim poza nazwiskiem. Jardir stał u boku Arlena podczas pierwszej nocy w Labiryncie, a w Krasji wiązało to równie mocno jak krew. Mocniej.

Jednak Jardir chciał go zabić dla władzy. Nie uczynił tego z gniewu czy zazdrości, ale mimo wszystko uczynił, dlatego nawet teraz Arlen zastanawiał się, czy ten mężczyzna zrobiłby to ponownie, gdyby miał okazję... albo gdyby okazja pojawiła się znowu w przyszłości. Przejrzał aurę Ahmanna w poszukiwaniu wskazówek, ale niewiele mógł się domyślić bez Pobrania magii przez Jardira i Poznania go w pełni. Stanowiłoby to jednak ingerencję, jaką bez wątpienia Krasjanin by wyczuł i miałby pełne prawo uznać za obrazę.

- Pytaj, Par’chinie – powiedział Jardir.
- Hę? – zdziwił się Arlen.
- Potrafię dostrzec pytanie, które dręczy twoją duszę. Pytaj i miejmy to juź za sobą.
- Naznaczony skinął głową.
- Niedługo. Niektóre sprawy najlepiej załatwiać z pełnym brzuchem.

Skończył przygotowywanie posiłku, poczekał cierpliwie, aż Jardir odmówi modlitwę, a potem zabrali się do jedzenia. Arlenowi wystarczyła jedna porcja, ale Ahmann odniōsł poważne rany w starciu nad przepaścią, a chociaż magia mogła uleczyć je od razu, nie stwarzała tkanki ani krwi z niczego. Jardir oprōżnił trzy miski, po czym sięgnął po półmisek z owocami, podczas gdy Arlen sprzątnął ze stołu.

- Kiedy wrōcił, usiadł spokojnie i przyjrzał się, jak Ahmann przeżuwał ostatni owoc wraz z nasionami i ogryzkiem.
- Pytaj, Par’chinie – powtōrzył.
- Czy tamtej nocy w Labiryncie, gdy postanowiłś mnie zabić, podjąłś tę decyzję w bitewnej gorączce, czy też

nasza przyjaźń od początku była tylko kłamstwem?

Arlen obserwował uważnie aurę swego więźnia i odczuł odrobinę przyjemności, gdy na chwilę zabarwiły ją wstyd i uraza. Jardir szybko się jednak opanował, spojrzawszy Par'chinowi w oczy i odetchnął głęboko, rozdymając nozdrza.

– I jedno, i drugie – przyznał. – I żadne. Kiedy tamtej pierwszej nocy Inevera rzuciła dla ciebie kości, kazała mi przyjąć cię jak brata i trzymać blisko, ponieważ jeśli mam zdobyć władzę, pewnego dnia będę musiał cię zabić.

Arlena ścisnęło w środku, a rozproszona wokół przypadkowa magia pomknęła do niego i sprawiła, że runy na jego skórze zapłonęły.

– Nie wydaje mi się, żeby chodziło o jedno i drugie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ani żadne.

Jardir nie mógł nie zauważyć lśnienia runów, ale nie dał po sobie niczego poznać. Nie spuszczał oczu z Arlena.

– Nic o tobie wtedy nie wiedziałem, Par'chinie, oprócz tego, że *Sharum* i *dama* omal nie skoczyli sobie do oczu na twoje życzenie, żeby walczyć w Labiryncie. Wydawałeś się człowiekiem honoru, ale kiedy skalny demon przebił mur, nie wiedziałem, co myśleć.

– Mówisz tak, jakby ten jednoręki otchłaniec był częścią inwentarza, który chciałem przemycić przez bramę miasta – skrzywił się Arlen.

Jardir zignorował tę uwagę.

– Ale potem, gdy *alagai* przedarły się przez wyłom, a najodważniejszych wojowników ogarnęła rozpacz, ty stanąłeś do walki i przelałeś krew u mojego boku. Byłeś gotów poświęcić życie, byle uwięzić skalnego demona i przywrócić wszystko do porządku... – westchnął. – Nie kłamałem, gdy nazwałem cię bratem, Par'chinie. Oddałbym za ciebie życie.

– Tamtej nocy kilka razy śmierć była blisko – przytaknął Arlen. – I Stwórca raczy wiedzieć ile razy potem się o nią otarłem. Ale ty tylko udawałeś, co? Wiedziałaś, że dożyjesz dnia, w którym mnie zdradzisz.

Ahmann wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć, Par'chinie? Przepowiedzenie przyszłości daje nam szansę, aby zmienić to, co zostało wywrózone. To tylko przebłyski tego, co mogłoby się stać, nie tego, co będzie. Inaczej jaki byłby z tego pożytek? Gdybym uważał się za nieśmiertelnego i zaczął podejmować głupie ryzyko, którego zwykle bym unikał...

Arlen chciał się spierać, ale niewiele miał do powiedzenia. Dawny przyjaciel uczciwie postawił sprawę.

– Przepowiednie Inevery są niejasne i często nie takie, jak się wydaje – podjął Jardir. – Przez lata zastanawiałem się na jej słowami. „Zabij”, powiedziała, ale symbol na jej kości miał też inne znaczenie. Śmierć, odrodzenie, przemiana. Próbowałem nawrócić cię na Evejah albo znaleźć ci żonę i związać cię z Krasją w nadziei, że jeżeli przestaniesz być *chin* i odrodzisz się w Evejah, wystarczy to, żeby wypełnić przepowiednię i w ten sposób cię oszczędzić.

Niemal każdy mężczyzna poznany w Krasji wcześniej czy później próbował znaleźć Par'chinowi żonę, ale żaden nie starał się tak bardzo jak Jardir. Arlenowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że to dla ocalenia mu życia, ale w aurze Ahmanna nie było śladu kłamstwa.

– Możemy uznać, że w pewnym sensie przepowiednia się spełniła – przyznał Arlen. – Część mnie umarła tamtej nocy i odrodziłem się wśród wydm. To pewne jak wschód słońca.

– Kiedy po raz pierwszy pokazałeś mi włócznię, rozpoznałem, czym ona jest – podjął Jardir. – Wyczułem jej moc i musiałem zdusić w sobie pragnienie, żeby odebrać ci ją od razu.

Arlen rozchylił lekko wargi i odsłonił nieznacznie zęby.

– Ale okazałeś się zbyt wielkim tchórzem. Dlatego uknułeś spisek i zwabiłeś mnie w pułapkę, żeby twoi ludzie i demony wykonali za ciebie brudną robotę.

W aurze Jardira błysnęło poczucie winy zmieszane z gniewem.

– Inevera także kazała mi cię zabić i odebrać włócznię. Zaproponowała, że doda ci trucizny do herbaty, jeżeli nie chcę sobie brudzić rąk. Odmówiłaby ci śmierci wojownika.

Naznaczony splunął.

– Jakby mnie to obchodziło. Zdrada to zdrada, Ahmannie.

– Obchodziło cię – zaproponował Jardir. – Może uważasz, że Niebiosy nie istnieją, ale gdybyś mógł wybrać swoją śmierć, wolałbyś stawić jej czoła z włócznią w dłoni.

– Nie miałem włóczni, gdy przyszła po mnie śmierć, Ahmannie. Odebrałeś ją. Wszystko, co mi pozostało, to igły i atrament.

– Walczyłem dla ciebie. – Jardir nie dał się sprowokować. – Kości Inevery rządziły moim życiem, odkąd skończyłem dwanaście lat. Nigdy wcześniej ani później tak im się nie sprzeciwiałem. Ani jej. Nawet gdy chodziło o Leeszę. Gdyby Inevera nie była tak... niesamowita, skrzywdziłbym ją, gdyby mi zabrakło argumentów. Poszedłem do Labiryntu z postanowieniem, że nie zabiję brata i nie obrabuję go jak złodziej.

Arlen próbował odczytać emocje w aurze Ahmanna, ale były zbyt skomplikowane, nawet dla niego. Odzwierciedlały to, z czym Jardir musiał się zmagać przez lata i nadal nie znalazł ukojenia. Nie stłumiło to gorczy zdrady, ale kryło się w tym coś więcej i Naznaczony chciał usłyszeć co.

– Co się zmieniło?

– Przypomniałem sobie twoje słowa – odparł Jardir. – Patrzyłem z muru, jak prowadziłeś *Sharum*, żeby oczyścić Labirynt. Włócznia Kajiego błyszczała jasno jak słońce w twoich rękach. Wykrzykiwali twoje imię i wiedziałem, że za tobą pójdą. Wojownicy mogli uczynić cię Shar’Dama Ka i na twoją prośbę ruszyć do otchłani Nie.

– Obawiałeś się, że przejmę twoją pozycję? – prychnął Arlen. – Nigdy jej nie pragnąłem.

Jardir pokręcił głową.

– Nie obchodziła mnie pozycja, Par’chinie. Obchodzili mnie ludzie. Moi ludzie. I twoi. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na Ala. Ponieważ wszyscy oni poszliby za tobą, gdy tylko ujrzeliby krwawiące *alagai*. Zobaczyłem to przed oczyma mojej duszy i to był wspaniały widok.

– I wtedy co, Ahmannie? – Arlen zaczął tracić cierpliwość. – Co, na Otchłań, się stało?

– Powiedziałem ci już, Par’chinie. Przypomniałem sobie twoje słowa. „Niebo nie istnieje”, mówiłeś. I zacząłem się zastanawiać. Bez nadziei na Niebiosy dlaczego miałbyś pozostać prawy, gdy świat złożyłby ci hołd? Skoro nie musiałbyś stanąć pokornie przed Stwórcą, jaki człowiek mógłby ci powierzyć tak wielką władzę? Nie wypacza to, czego nie może zniszczyć, a my tylko dzięki posłuszeństwu wobec Everama możemy oprzeć się podszeptom i kłamstwom.

Arlen patrzył na niego zdumiony. Prawda tych słów wypisana była w aurze Jardira, ale umysł Par’china nie potrafił przyjąć tego do wiadomości.

– Szanowałem wszystko, co uważałeś za bliskie, gotów byłem walczyć i umrzeć w Pierwszej Wojnie, ale ty mnie zdradziłeś, ponieważ chciałem to zrobić dla ludzkości, nie dla jakiegoś złudzenia na niebie?

Jardir uniósł pięści.

– Ostrzegam cię, Par’chinie...

– Niech Otchłań pochłonie twoje ostrzeżenia! – Arlen spuścił pięść, ręka wciąż drżała mu od mocy. Stół roztrzaskał się od uderzenia, we wszystkie strony poleciały drzazgi. Jardir uchylił się przed kawałkami desek, opadł do pozycji *sharusahk*.

Naznaczony zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma sensu rozpoczynać starcia. Jardir przewyższał go w sztuce walki wręcz. Syn Jepha walczył już z *dama* i miał szczęście, że uszedł z życiem. Jardir uczył się przez lata od kapłanów, poznał ich sekrety. Nawet teraz, gdy Par’chin stał się szybszy i silniejszy od innych ludzi, Ahmann mógł go rozłożyć na łopatki jak słabego chłopca. Chociaż Arlen chciałby zmierzyć się z Jardirem jak równy z równym, jednak wiedział, że nic by tym nie zyskał, za to wszystko stracił.

Lepsze opanowanie *sharusahk* przez Ahmanna nie miało zresztą znaczenia. Jego zrozumienie i władanie magią było w najlepszym razie prymitywne i niewyćwiczone, jak to u samouka. Minie trochę czasu, zanim zdobędzie pełną kontrolę nad swoimi umiejętnościami, ale nawet wtedy może się okazać za słaby wobec artefaktów *hora*. Arlen mógł sobie z nimi poradzić, ponieważ uczynił magię częścią siebie. Gdyby pragnął zabić Jardira, już by to zrobił.

I pogroził całą ludzkość. Może zdołałby zmusić do działania koronę, ale bez pomocy nie było szans na ucieczkę ze Słońca Anocha ani na dotarcie samotnie do siedziby książąt umysłu. Otchłań będzie przyzywać Arlena, a im bliżej dna Otchłani, tym jej pieśń zabrzmi bardziej nagłoco.

„Nie wypacza to, czego nie może zniszczyć”. Słowa wiary, lecz niepozbawione mądrości. Każde dziecko słyszało przysłowie z Kanonu, że władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie. Otchłań oferowała władzę absolutną, ale Arlen nie ośmieliłby się jej dotknąć. Zatraciliby się, dałby się pochłonać i wypalił jak drzazga rzucona w ognisko podczas równonocy.

Odetchnął głęboko, żeby odzyskać spokój i nie działać pośpiesznie. Jardir pozostał czujny, ale jego aura zdradzała, że nie ma ochoty walczyć. Obaj znali stawkę.

– Złożyłem ci obietnicę tamtej nocy, gdy zostawiłem cię wśród wydm, Par’chinie. Rzuciłem ci bukłak i dałem słowo, że odnajdę cię w zaświatach, a jeżeli go nie dotrzymam i nie uda mi się uczynić Ala lepszą, odpokutuję za to przed tobą.

– Cóż, chyba doszło do tego wcześniej, niż się spodziewałeś – stwierdził Arlen. – Mam nadzieję, że jesteś na to gotowy.



Jardir popatrzył w niebo, gdy opuścili wieżę. Po pozycjach gwiazd próbował się zorientować, gdzie się znajduje. Na południe i na zachód od Lenna Everama, ale niewiele mu to mówiło. Wielkie miasto dzieliły od równin pustyni miliony nieuprawnej dziczy. Jardir może zdołałby znaleźć sam drogę powrotną, ale Everam raczy wiedzieć ile by to zajęło czasu.

Nie musiał pytać Par'china, w jakim celu wyszli z wieży. Dawny przyjaciel miał to wypisane w aurze, podobnie jak Jardir. Nadzieję, że walka ramię w ramię przeciw *alagai*, jak czynili to już wiele razy wcześniej, załagodzi gniew i nieufność, jakie obaj wciąż skrywali na dnie duszy.

„Jedność jest warta każdej ceny” – powiadała Evejah. Kaji podkreślał, że to klucz do *Sharak Ka*. Jeżeli Ahmann i Par'chin odnajdą jedność dzięki wspólnemu celowi, wtedy będą mieli szansę.

Jeżeli nie...

Jardir odetchnął głęboko nocnym powietrzem. Jakże stosownie. „Wszyscy mężczyźni nocą są braćmi”. Tak rzekł Kaji. Jeżeli nie zdołają osiągnąć jedności w obliczu *alagai*, z pewnością nie znajdą jej nigdzie.

– Niedługo wyczują nasz zapach – Par'chin odczytał myśli towarzysza. – Najpierw trzeba naładować twoją koronę.

Jardir pokręcił głową.

– Najpierw musisz mi oddać włócznie, Par'chinie. Zgodziłem się na twoje warunki.

Tym razem to Arlen pokręcił głową.

– Zacznijmy powoli. Włócznie ci nie uciekną, Ahmannie.

Jardir spojrział na niego twardo, ale nic nie mógł zrobić. W aurze widział, że Par'chin się nie ugnie, nie było zatem sensu powtarzać żądania. Uniósł pięść z kłykcami, na których Inevera wycięła mu runy.

– Korona zacznie się ładować, gdy tylko uderzę pięścią w *alagai*.

Par'chin skinął głową.

– Ale po co czekać?

Jardir uniósł brew.

– Chcesz powiedzieć, że mógłbym wziąć więcej od ciebie?

Arlen posłał mu miażdżące spojrzenie.

– Udało ci się mnie zaskoczyć tylko raz, Ahmannie. Spróbuj tej sztuczki po raz drugi, a pożałujesz.

– Więc jak? Kiedy nie ma *alagai*, żeby Pobrać...

Par'chin przerwał mu machnięciem ręki, po czym wskazał na okolicę.

– Magia jest wszędzie wokół nas, Ahmannie.

Miał rację. Dzięki koronie Jardir widział w nocy tak wyraźnie jak za dnia, świat wokół niego spowity był magicznym blaskiem. Magia wirowała pod nogami niczym lśniąca mgła, wiła się na ścieżce, ale niewiele w niej było mocy, nie więcej niż w dymie ciepła płomieni.

– Nie rozumiem – przyznał.

– Oddychaj – nakazał Par'chin. – Zamknij oczy.

Jardir zerknął na niego, ale posłuchał. Zaczął oddychać równo i powoli. Wprowadził się w trans bojowy, którego nauczono go w Sharik Hora – duch spokojny, ale gotowy do działania.

– Sięgnij przez koronę – polecił Arlen. – Poczuj magię wokoło. Jest jak szept lekkiego wiatru.

Jardir wykonał polecenie i rzeczywiście wyczuł magię, rozprzestrzeniała się i kurczyła na przemian w rytm jego oddechu. Opływała Ala, lecz przyciągało ją życie.

– Delikatnie. Pobierz ją – rozkazał Par'chin. – Jak przy wdechu.

Ahmann wciągnął powietrze i napłynęła w niego moc. Nie przypominała ognia, jak to się działo po uderzeniu *alagai*, raczej ciepły dotyk promieni słońca na skórze.

– Nie przestawaj – odezwał się znowu Arlen. – Spokojnie. Nie przerywaj przy wydechu. Po prostu Pobieraj w równym tempie.

Jardir skinął głową. Czuł napływ magii. Otworzył oczy, gdy wyczuł stały prąd mocy, niczym rzeka zmierzająca do wodospadu. Był to powolny proces, ale pustka zaczęła się wypełniać. Ahmann poczuł się silniejszy.

A potem z podniecenia stracił wewnętrzny spokój i prąd przestał płynąć.

Jardir popatrzył na Par'china.

– Wspaniale.

Towarzysz uśmiechnął się lekko.

– To dopiero początek, Ahmannie. Musisz nadrobić spore zaległości, zanim będziemy gotowi stanąć na dworze demonów umysłu.

– Nie powierysz mi Włóchni Kajiego, ale ujawnisz sekrety swojej magii?

– *Sharak Ka* jest najważniejsza – odparł Arlen. – Nauczyłeś mnie wojny. Uczciwie zatem będzie, jeśli nauczę cię

magii. Przynajmniej podstaw. Włócznie to kula, na której podparłeś się zbyt długo. – Mrugnął z rozbawieniem. – Nie myśl tylko, że nauczę cię wszystkich moich sztuczek.

Spędzili jeszcze kilka minut na powtarzaniu ćwiczenia. Par'chin ostrożnie szkolił Jardira w Pobieraniu mocy.

– Ujarmij moc. W sobie. – Wyjął z kieszeni niewielki składany nóż. Otworzył go, ujął za ostrze i podał rękojęścią do przodu towarzyszowi.

Ahmann przyjrzał się nożykowi z zaciekawieniem. Nie było nawet jednego runu.

– Co mam z tym zrobić?

– Skalecz się – odpowiedział Par'chin.

Jardir zerknął z ciekawością, a potem wzruszył ramionami i posłuchał. Nóż był ostry i z łatwością przeciął skórę. Pojawiła się krew, ale wciągnięta magia już zaczynała działać. Skóra się zwarła, zanim jeszcze pojawił się strup.

Arlen pokręcił głową.

– Jeszcze raz. Ale bardziej kontroluj magię. Tak bardzo, żeby rana pozostała otwarta.

Jardir mruknął, przeciął sobie skórę na przedramieniu jeszcze raz. Rana zaczęła się zamykać jak poprzednio, ale mężczyzna Pobrał magię z ciała i skierował do korony, i gojenie się zatrzymało.

– Uzdrawianie jest wspaniałe, gdy kości znajdują się we właściwym ułożeniu i ma się zmagazynowaną moc – wyjaśnił Par'chin. – Ale jeżeli nie zachowa się ostrożności, urazy zagoją się źle albo straci się moc potrzebną do czegoś innego. A teraz poślij do rany tylko tyle mocy, ile potrzeba.

Jardir wypuścił tylko odrobinę magii i patrzył, jak skaleczenie znika.

– Dobrze – pochwalił Arlen. – Choć wystarczyłoby mniej. Teraz dwa skaleczenia. Ulecz tylko jedno.

Kontrolując moc, Ahmann przeciął sobie najpierw jedno przedramię, potem drugie. Zamknął oczy i odetchnął głęboko, po czym uwolnił równie niewiele mocy jak wcześniej i skierował ją siłą woli tylko do lewej ręki. Poczul mrowienie w ramieniu i otworzył oczy. Skaleczenie na lewej ręce goiło się powoli, podczas gdy to na prawej nadal krwawiło.

Rozległo się niedalekie wycie polnego demona. Jardir zerknął w tamtą stronę, lecz *alagai* wciąż pozostawał poza zasięgiem wzroku.

– Pobierz moc z tamtego kierunku – podpowiedział Par'chin. – Pobierz, przeprowadzając ją przez oczy.

Ahmann wypełnił polecenie i przekonał się, że dostrzegał stworzenia w oddali walczące o swoją pozycję, choć dzieliło go od nich wiele przeszkód.

– Jak? – spytał.

– Wszystkie żywe stworzenia zostawiają ślad w otaczającej nas magii – wyjaśnił Arlen. – Ślad, który rozplywa się jak kropla farby w wodzie. Możesz dostrzec prąd i spojrzeć dalej, poza zasięg swojego wzroku.

Jardir zmrużył oczy i przyjrzał się podchodzącym bliżej potworom. Cała horda, więcej niż dwadzieścia demonów. Ich długie, umięśnione kończyny i szerokie torsy jaśniały mocą.

– Jest ich wiele, Par'chinie. Nie wolałbyś jednak oddać mi włócznie?

Ahmann spojrzał w niebo. Krążyły tam stada demonów, przyciągnięte blaskiem magii obu mężczyzn. Jardir odruchowo sięgnął po płaszcz niewidzialności, aby się pod nim skryć, ale Par'chin oczywiście i to mu zabrał.

Arlen pokręcił głową.

– Nie możemy ich pokonać, używając jedynie *gaisahk*, potem nie będziemy mieli nic do roboty w Słońcu Anocha.

Jardir spojrzał na niego podejrzliwie. Znaczenie słowa było dość oczywiste, połączenie krasjańskiego *gai* – demon z *sahk* – nieuzbrojony. Nigdy jednak nie słyszał takiego złożenia.

– *Sharusahk* zostało stworzone dla ludzi, żeby zabijali się nawzajem. – Par'chin uniósł poznaną runami pięść. – Musiałem je trochę zmienić, żeby zaklęcia działały jak należy.

Jardir skrzyżował pięści przed sercem i skłonił się lekko. Był to tradycyjny w *sharusahk* ukłon ucznia przed mistrzem. Ahmann wykonał go bezbłędnie, lecz Arlen niewątpliwie odczytał ironię w aurze towarzysza.

– Z niecierpliwością oczekuję swojej pierwszej lekcji, Par'chinie. – Jardir zatoczył ramieniem, aby wskazać zbliżające się szybko demony polne.

Par'chin zmrużył oczy, ale w kącikach ust czaił mu się uśmiech. Jego twarz się rozmasała, a ubranie opadło. Nie pozbył się tylko brązowego bido. Po raz pierwszy Jardir ujrzał na własne oczy, czym stał się jego przyjaciel. Malowany Człowiek, jak nazywali go mieszkańcy Północy.

Łatwo można było się też przekonać, dlaczego uważano go za Wybawiciela. Każdy cal widocznej skóry pokrywały runy. Niektóre duże i potężne – runy uderzeń, zakazu, nacisku. Żaden demon nie mógł dotknąć Par'china bez jego zgody, a ciosy pięścią i łokciem albo kopnięcia trafiały *alagai* nieuchronnie niczym atak skorpciona.

Inne runy, jak te wokół oczu, uszu i ust, tak małe, że ledwie czytelne, niosły bardziej subtelne moce. Znaki średniej wielkości ciągnęły się przez kończyny. Było ich tysiące.

Widok ten budził zachwyt i zdumienie, ale przecież Par'chin był artystą, gdy chodziło o runy. Jego wzory, proste i skuteczne, zostały wykonane tak pięknie, że zawstydzilyby iluminatorów Evejah, *dama*, latami kopiujących i ozdabiających święte teksty za pomocą atramentu wykonanego z krwi bohaterów.

W porównaniu z jego pracą runy, które Inevera wycięła Jardirowi na skórze, wydawały się prymitywne. Musiałaby chyba oskórować Par'china żywcem, żeby nauczyć się i skopiować to, co osiągnął ten mężczyzna z Północy.

Magia, która przepływała przez te symbole, iskrzyła jak wyładowania statyczne na grubym dywanie, pulsowała i wibrowała, rozjaśniała i przyciemniała znaki w hipnotyzującym rytmie. Można to było zobaczyć nawet bez pomocy runów wzmacniających wzrok. Par'chin nie wyglądał już jak człowiek. Bardziej przypominał serafina z zastępów Everama.

Polne demony zbliżały się szybko, dostrzegły już potencjalną ofiarę i spieszyły ją dopaść. Wyciągnęły się w długi rząd, kilka odskoczyło na boki. Jeżeli Arlen zbyt długo będzie walczyć z jednym, doskoczy do niego następny i kolejne, a potem zaatakują cała sfera. Jardir napiął się, gotów biec przyjacielowi z odsieczą.

Par'chin wyzywająco wyszedł demonom na spotkanie. Z odwagą prawdziwego wojownika. Żaden człowiek jednak nie mógł pokonać takiej sfory sam.

Lecz przyjaciel zaskoczył Ahmanna. Wślizgnął się w stado, chwycił przywódcę i wykorzystał pęd demona w doskonałym rzucie z obrotem *sharusahk*. Stworowi trzasnął kark, zaraz potem Par'chin go puścił. Ramiona mężczyzny uderzały precyzyjnie, miażdżył *alagai* i rzucał ścierwa na kolejne nacierające demony, posyłając wszystkie na ziemię.

Arlen świecił. Wyssał sporo magii z pierwszego demona, a teraz nacierał i stąpał po żyjących jeszcze, lecz powalonych stworach. Na stopach miał runy wzmacniające uderzenia. Błysnęła magia, Par'chin obrócił się na pięcie do następnego atakującego *alagai*, a wtedy Jardir dostrzegł, że przyjaciel przy okazji skruszył stopą czaszkę leżącego stwora.

Uderzenie i skrzek rozproszyły Ahmanna. Kiedy przyglądał się wyczynom przyjaciela, wichrowy demon zanurkował na niego i zderzył się z polem runicznym wytworzonym przez koronę i otaczającym Jardira w promieniu kilku kroków.

Everamie, co za głupiec ze mnie, skarcił się w duchu. Za młodu nigdy nie był tak lekkomyślny, żeby zapomnieć o całym świecie. Par'chin obawiał się, że włócznia uczyniła Ahmanna leniwym – i może tak się stało – ale korona okazała się bardziej podstępna. Jardir tracił czujność. A to mogło doprowadzić do utraty Słońca Anocha. Księżę demonów pokazał w czasie Nowiu, że Jardira również może osiągnąć cios.

Ahmann zmniejszył zasięg pola i wietrzny demon upadł ciężko. Szarpał się, aby wstać, oszołomiony raczej niż ranny, ale jak wiele lat temu powtarzał Mistrz Ćwiczeń Qeran, na ziemi wichrowe demony były powolne i niezdarne. Cienkie kości napinające membrany skrzydeł ugiwały się, ponieważ nie mogły utrzymać ciężaru ciała, a tylne nogi, podkulone podczas lotu, nigdy nie prostowały się do końca.

Zanim stwór zdążył się pozbierać, Jardir zaatakował – kopnięciem podciął nogi demona, po czym przygniół go i znowu pozbawił tchu. Runy wycięte na dłoniach Jardira nie były tak precyzyjne i skomplikowane jak te Par'china, ale za to silne. Ahmann usiadł demonowi na torsie tak, aby pozostać poza zasięgiem pazurów na tylnych nogach, i unieruchomił mu skrzydła kolanami. Lewą ręką chwycił stwora za gardło, a runy nacisku na dłoni załśniły, czerpiąc moc, gdy Jardir uderzał raz po raz we wrażliwą kość oczodołową tuż nad zębatym dziobem. Runy wzmacniające impet ciosu na kłykciach błysnęły i Ahmann poczuł, jak kość pęka.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

A potem, jak pokazał mu Par'chin, Pobrał magię *alagai*. Poczł, jak moc zaczerpnięta z głębi Ala wpływa w jego ciało i wypełnia je potęgą.

Kolejny demon zanurkował na wietrze, gdy walka z pierwszym jeszcze trwała, ale Jardir był gotów. Dawno temu nauczył się, że wichrowe demony atakują przednimi szponami. Mogły w ten sposób nawet ściąć człowiekowi głowę, a potem wyhamować z rozpostartymi skrzydłami, chwycić zdobycz pazurami i odlecieć.

W błysku magii Ahmann poruszał się niewyobrażalnie szybko. Złapał kość skrzydła stwora tuż pod największym szponem. Pochylił się i skoczył w przód, uniemożliwiając w ten sposób bestii rozłożenie skrzydeł, po czym cisnął stworem o ziemię, wykorzystując jego pęd. Kości popękały jak patyki, a demon zaskrzeczał, wijąc się w agonii. Jardir szybko z nim skończył.

Kiedy podniósł głowę, ujrzał Par'china w szale walki. Mężczyzna zabił już pięć polnych demonów, ale otaczało go trzy razy więcej.

Nic jednak nie wskazywało na to, żeby Arlen znalazł się w niebezpieczeństwie. Gdy demon go dopadł, mężczyzna rozwiął się jak mgła. *Alagai* przetoczył się przez nią i wpadł na kolejnego, po czym oba poturlały się w kłębowisku zębów i szponów.

Par'chin zmaterializował się za plecami kolejnej bestii, złapał ją pod przednimi łapami i splótł dłonie na karku stwora w uścisku *sharusahk*. Rozległ się wyraźny trzask. Wtedy na Arlena rzucił się następny demon. Mężczyzna znowu zamienił się w mgłę, wrócił do własnego kształtu parę stóp dalej, akurat w miejscu, skąd bez trudu mógł kopnąć stwora w brzuch. Runy wzmacniające impet na podeszwie stopy zabłyśły, a *alagai* poleciał daleko w mrok.

Jardir był największym z żyjących mistrzów *sharusahk*, ale nawet on ledwie mógł dotrzymać pola Par'chinowi z jego umiejętnościami „mgielnej walki”. Przeciw *alagai*, które miały potężne ciała i niewielkie mózgi, sztuka ta okazała się niszczycielska.

– Oszukujesz, Par'chinie! – zawołał Jardir. – Twoje nowe umiejętności czynią cię leniwym!

Syn Jepha właśnie zajęty był rozwieraniem szczęk demonowi. Stwór skamlał piskliwie i szarpał się dziko, ale nie mógł się wyrwać. Par'chin spojrzał na Jardira, jego aurę zabarwiło rozbawienie.

– I kto to mówi? Sam chowasz się za polem ochronnym korony. Chodź tutaj i pokaż, jak to się robi, skoro już wypocząłeś.

Jardir roześmiał się i rozpiął szatę. Ciało Par'china było szczupłe i żylaste, w przeciwieństwie do potężnie umięśnionego Ahmanna – wielkiego płótka wymalowanego nożem Inevery. Jardir zmniejszył pole ochronne korony i dołączył do walki. Polny demon natarł na niego, ale mężczyzna złapał go za przednią nogę, wykręcił i złamał bez wysiłku, po czym rzucił przeciwnikiem o ziemię i wyprowadził kopnięcie, które kolejnemu stworowi złamało kark. Runy na stopie wystarczyły, aby cios złamał kręgosłup *alagai* i zadał natychmiastową śmierć.

Inne demony opanowały nieco swój głód i stały się ostrożniejsze. Otoczyły Jardira, warcząc groźnie i szukając okazji do skutecznego ataku. Ahmann spojrzał na towarzysza, który odsunął się, żeby popatrzeć. Runy zakazu świeciły ostro, można było dostrzec granicę tworzonego przez nie pola ochronnego. Miało zasięg kilku stóp wokół Naznaczonego, niczym niewidzialna bańka nieprzenikliwego szkła.

Tamtej nocy w Labiryncie krasjańscy wojownicy gotowi byli okrzyknąć Par'china Wybawicielem. Jardir sądził wtedy, że to dzięki Włóczni Kajiego, ale wyglądało na to, że temu mężczyźnie z Północy przeznaczona była potęga. Taka była *inevera*.

Ale to, że przeznaczona mu była wielkość, nie oznaczało jeszcze, że był Shar'Dama Ka. Gdy przyszło do ostatecznej ceny, Par'chin wycofał się i nie chciał władzy, którą powierzyli mu ludzie. Wciąż musiał się jeszcze wiele nauczyć.

– Patrz uważnie, Par'chinie. – Jardir demonstracyjnie powoli ustawił stopy, po czym przyjął jedną z podstawowych pozycji *dama sharusahk*. Wziął głęboki wdech, zamknął w nim otoczenie, swoje myśli i emocje, wciągnął je i pozwolił opaść. Popatrzył na demony ze spokojem i rozluźnieniem, ale zarazem ze skupieniem, gotów zareagować w każdej chwili.

Opuścił gardę, udając brak uwagi, a *alagai* dały się nabrać. Pierścień wokół Ahmanna ruszył do natarcia z drapieżną precyzją.

Jardir ani razu nie oderwał stóp od ziemi, uchylał się i uderzał, poruszając się od pasa w górę, giętki niczym pień palmy. Rzadko musiał robić coś więcej, niż uderzyć płaską dłonią, aby odepchnąć szpon lub kieł, łapę lub paszczę demona. Tyle wystarczyło, żadnemu z *alagai* nie udało się nawet go tknąć. Demony upadały zaskoczone i oszołomione. Nie działa im się krzywda.

– Walczysz z nimi czy się bawisz? – zapytał Par'chin z lekką drwiną.

– Uczę, Par'chinie – odparł Jardir ze spokojem. – A ty zrobiłbyś mądrze, gdybyś zajął się lekcją. Może radzisz sobie z magią, ale twoją *sharusahk* wyśmiałyby byle *dama*. W katakumbach Sharik Hora uczy się nie tylko dogmatów. *Gaisahk* ma niewątpliwe zalety, ale wiele jeszcze musisz się nauczyć. – Posłał impuls mocy przez koronę i powalił *alagai* pchnięciem pola ochronnego jak tarczą. Inne stwory warknęły i zaczęły okrążyć człowieka jeszcze raz. – Chodź – przywołał towarzysza, po czym raz jeszcze demonstracyjnie ustawił stopy. – Stań w pozycji i zacznijmy naukę.

Par'chin rozwiął się i pojawił u jego boku w doskonałej imitacji pozy Jardira. Ten mruknął z aprobatą.

– Będiesz walczył bez mgły. *Sharusahk* to wieczna walka o życie, Par'chinie. Nie nauczysz się jej dobrze, jeżeli nie będziesz się bał o swoje.

Arlen spojrzał mu w oczy i skinął głową.

– Uczciwie.

Kiedy demony znowu ruszyły do natarcia, Ahmann mrugnął do przyjaciela porozumiewawczo.

– Tylko nie myśl, że nauczę cię WSZYSTKICH moich sztuczek.



Jardir obserwował, jak promienie słońca podpalają ciała *alagai* wykorzystanych do ćwiczeń *sharusahk*. Później w nocy, zwabione odgłosami walki, pojawiły się stwory silniejsze niż demony wichrowe i polne. W końcu Jardir i Par'chin zostali zmuszeni do porzucenia ćwiczeń – udało im się pokonać hordę tylko dzięki *gaisahk*.

Ale teraz przeciwnicy leżeli pokonani, a mężczyźni czekali tylko, aby pokazać ich słońcu.

Nawet gdyby dożył tysiąca lat, Jardir nigdy nie byłby zdruzony tym widokiem. Skóra demonów zaczynała się żarzyć jak gorące węgle, a potem ze zwłok buchał jasny płomień, a w twarze ludzi uderzała fala gorąca. Ten widok przypominał mu o tym, że nawet po najciemniejszej nocy Everam zawsze powróci silny. Codziennie o poranku Ahmann czuł nadzieję i zapominał, jak trudne czekało go zadanie. Chciał przecież uwolnić swój lud od *alagai*. I właśnie o poranku stanowił jedność z Everamem i Kajim.

Zerknął na Par'china. Ciekawe, co jego niewierzący *ajin'pal* widział w płomieniach. Moc korony słabła, gdy znikła ciemność, ale udało mu się jeszcze w aurze towarzysza dostrzec nadzieję i niezłomne dążenie do celu.

– Ach, Par'chinie. Tak łatwo nam pamiętać o tym, co nas dzieli, że czasami zapominamy o tym, co łączy.

Par'chin ze smutkiem skinął głową.

– Szczera prawda.

– Jak znalazłeś zaginione miasto, Par'chinie? – zapytał Jardir.



Arlen nie mógł odczytać aury Ahmanna w dzień, ale przenikliwe, badawcze spojrzenie wskazywało, że pytanie nie było przypadkowe. Jardir czekał z tym na odpowiednią chwilę, gdy Par'chin będzie rozluźniony i mniej czujny.

I to się udało. Arlen domyślił się od razu, że wyraz jego twarzy ujawnił więcej, niż powinien. Wyobraźnia podsunęła mu tuzin kłamstw, ale Par'chin je odrzucił. Jeżeli on i Jardir mieli razem wyruszyć w drogę, musieli być jak bracia – ufać sobie i mówić prawdę, inaczej ich misja byłaby skazana na porażkę, jeszcze zanim się zaczęła.

– Miałem mapę – wyznał, choć wiedział, że na tym się nie skończy.

– A skąd wzięłeś tę mapę? – pytał dalej Ahmann. – Przecież nie znalazłeś jej w piasku. Tak krucha rzecz dawno rozpadłaby się w pył.

Arlen nabrał głęboko tchu, wyprostował się i spojrzał Jardirowi w oczy.

– Ukradłem ją z Sharik Hora.

Ahmann skinął głową ze spokojem, niczym rozzarowany rodzic, który już wiedział, co zrobiło jego dziecko.

Ale Arlen wyczuwał gniew narastający w towarzyszcu. Gniew, którego żaden rozsądny człowiek nie ośmieliłby się zlekceważyć. Naznaczony spał się w gotowości do walki, ale zastanawiał się, czy zdoła pokonać Jardira za dnia.

Wystarczy, że odbiorę mu koronę, pomyślał, choć wiedział, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Wolałby raczej wspinać się po górach bez liny.

– Jak tego dokonałeś? – zapytał Ahmann tym samym znużonym tonem. – Nie mógłbyś wejść do Sharik Hora sam.

Arlen skinął głową.

– Miałem pomoc.

– Kogo? – naciskał Jardir, ale Par'chin tylko przekrzywił głowę. – A... – westchnął Ahmann. – Abbana. Wiele razy przekupywał *dama*, ale nie sądziłem, że potrafiłby się zdobyć na taką odwagę. Nie do wiary, że tak długo nie wyczułem, że mnie okłamuje.

– Abban nie jest głupi, Ahmannie – zauważył Arlen. – Zabiłbyś go albo co gorsza, wyciąłbyś mu język lub zrobiłbyś inne barbarzyńskie gówna. Nie zaprzeczaj. Zresztą to nie była jego wina. Miał wobec mnie dług krwi i jako zapłatę zażądałem mapy.

– To nie czyni go mniej winnym – uparł się Jardir.

Arlen wzruszył ramionami.

– Co się stało, to się nie odstanie, zresztą Abban wyświadczył ludzkości przysługę.

– Doprawdy? – Ahmann porzucił maskę spokoju, spojrzał na Arlena groźnie, po czym podszedł doń, aż niemal dotknęli się nosami. – A jeżeli włócznia nie miała być znaleziona tak wcześnie, Par'chinie? Może nie byliśmy na nią gotowi, a ty sprzeciwiłeś się woli Everama, kiedy przyniosłeś ją przed czasem? A jeżeli przegramy *Sharak Ka* przez

twoją arogancją i pychę Abbana, Par'chinie? Co wtedy?

Jego głos nabierał mocy z każdym słowem i Arlen skulił się pod naporem tego gniewu. Nigdy nie utrzymywał, że kradzież zwoju była dobrym uczynkiem, ale nawet teraz postąpiłby tak samo.

– No może – zgodził się. – Ale to spadnie na mnie i Abbana, jeżeli przegramy. – Wyprostował się i spojrzał w oczy Jardira równie twardo. – Ale może szansę na zwycięstwo w *Sharak Ka* mieliśmy trzysta lat temu, gdy ludzkość liczyła sobie miliony? Właśnie wtedy twoi *dama* z powodu przesądów ukryli te mapy i w ten sposób odebrali ludziom runy bojowe. Kto zatem popełnił grzech arogancji? A jeżeli właśnie tak zepsuto wspaniały plan Everama?

Jardir zawahał się w swym gniewie, zastanowił nad słowami dawnego przyjaciela. Arlen natychmiast zauważył tę zmianę, więc wycofał się szybko. Stał z opuszczonymi rękoma, nie okazując ani agresji, ani poddaństwa.

– Jeżeli Everam miał plan, nie podzielił się nim z nami.

– Kości... – zaczął Jardir.

– ...są magiczne, bez wątplenia – przerwał mu Arlen. – Co nie oznacza jednak, że są boskie. *Hora* nie powiedziały, żeby Inevera powstrzymała mnie przed wyprawą do Słońca Anocha. Kazały tylko wykorzystać mnie, gdy wrócę.

Z Ahmanna opadły resztki gniewu, gdy mężczyzna rozważał tę nową możliwość. Par'chin mógł być głupcem w sprawach wiary, ale przynajmniej uczciwym. Wierzył w to, co mówił, wykazując hipokryzję Ewejah, chociaż nieustannie denerwował tym Jardira.

Arlen rozłożył ręce.

– Mamy dwie możliwości, Ahmannie. Albo dalej będziemy się spierać o abstrakcje, albo ruszymy na *Sharak Ka* i będziemy walczyć najlepiej, jak możemy, tym, czym możemy, a nasze spory ideologiczne rozwiążemy po zwycięstwie.

Jardir skinął głową.

– Wybór może być tylko jeden, synu Jepha.



Ich ostrożne porozumienie wytrzymało kolejne dni. Jardir miał wrażenie, że nigdy tak dobrze nie panował nad swoją magią. Zaskakujące, jak wiele możliwości miał na wyciągnięcie ręki i nie zdawał sobie z nich wcześniej sprawy.

Ale chociaż robili postępy, Nów zbliżał się z każdą godziną. Wprawdzie Jardir i Par'chin mogli podróżować bardzo szybko dzięki magii, jednak Słońce Anocha znajdowało się daleko, na dodatek potrzebowali czasu na zastawienie pułapki.

– Kiedy wyruszymy do zaginionego miasta? – zapytał Ahmann pewnego ranka, gdy czekali, aż słońce spali ich nocne trofea.

– Dziś wieczorem – odparł Par'chin. – Czas nauki dobiegł końca.

I z tymi słowami zamienił się w mgłę. Jardir obserwował uważnie dzięki koronie, jak mężczyzna wślizguje się na jeden z wielu szlaków, którymi magia wydostawała się na powierzchnię Ala. Siła życia Everama skażona przez Nie.

Par'china nie było tylko chwilę, ale kiedy wynurzył się ze szlaku, prąd magii zdradzał, że mężczyzna odbył naprawdę długą drogę.

W dłoniach ścisnął dwa przedmioty: włócznię i pelerynę.



Jardir sięgnął po włócznię, zanim Par'chin w pełni się zmaterializował. Ręka przeszła przez drzewce, ale Ahmann ponowił próbę i wreszcie zacisnął palce na broni. Niemal wyrwał ją Arlenowi.

Uniósł nieco włócznię, poczuł drzenie jej mocy i wiedział, że to autentyczna Włócznia Kajiego. Bez niej czuł się pusty. Jak skorupa. Ale teraz, gdy wreszcie odzyskał broń, zrobiło mu się lżej na sercu.

Nie pozwolę, aby znowu mi ją odebrano, obiecał sobie w duchu.

– Tego też będziesz potrzebował.

Gdy Jardir podniósł głowę, Par'chin rzucił mu Płaszcz Ślepoty wykonany przez Leeszę. Ahmann chwycił okrycie, zanim choć rąbek dotknął ziemi, i posłał towarzyszowi gniewne spojrzenie.

– Nie traktuj tego cudownego płaszcza z takim brakiem szacunku, obrażasz tym mistrzynię Leeshę.

Dar Leeshy nie miał takiego wpływu na przeznaczenie jak włócznia, ale Ahmann nie mógł zaprzeczyć, że dotyk tkaniny i niewidzialność, jaką zapewniała nawet w obliczu najpotężniejszych *alagai*, dawały nadzieję, że ich szalony plan ma jednak szansę powodzenia.

– Jak się ukryjesz, gdy *alagai* przyjdą do grobowca Kajiego? – zapytał Jardir, gdy Par’chin nie odpowiedział na jego wcześniejsze słowa. – Masz inny płaszcz niewidzialności?

– Nie potrzebuję żadnego. – Arlen tylko machnął ręką. – Mógłbym wyrysować runy niewidzialności w powietrzu, ale to za dużo zachodu.

Wyciągnął ręce. Na jego przedramionach znajdowały się wytatuowane runy niewidzialności.

Znaki rozjarzyły się, choć inne pozostały ciemne. Zaświeciły tak jasno, że Jardir przestał odróżniać pojedyncze symbole, a postać Par’china zaczęła się rozmywać podobnie jak wtedy, gdy zamieniał się w mgłę, wydawała się coraz bardziej przezroczysta i niewyraźna. Jardir miał zawroty głowy od samego patrzenia. Czuł, że powinien odwrócić wzrok, ale w głębi duszy wiedział, że jeżeli to uczyni, nie uda mu się odnaleźć towarzysza, nawet gdyby ten nie ruszył się z miejsca.

Chwilę później Par’chin powrócił. Poświata runów przygasła, znaki znowu stały się czytelne. Jardir przesunął po nich wzrokiem i serce mu zamarło. Każdy patron runów kreślił symbole na swój własny charakterystyczny sposób, a te na przedramionach Arlena wyróżniały się płynnymi pętlami Leeshy, takimi, jakie zostały wyhaftowane na pelerynie.

Zwykle widok prac ukochanej sprawiał Jardirowi radość, ale nie w tym przypadku.

– Czy to mistrzyni Leesha wypisała te runy na twoim ciele? – Nie planował, aby pytanie zabrzmiało jak warknięcie, ale tak właśnie wyszło. Myśl, że narzeczona dotykała skóry innego mężczyzny, była dla Ahmanna nie do zniesienia.

Ku jego uldze Par’chin pokręcił głową.

– Sam je wypisałem, ale to wzór Leeshy. Skopiowałem jej styl. – Poglaskał znaki niemal z uczuciem. – Zatrzymałem jej cząstkę dla siebie.

Nie mówił wszystkiego. Jego aura ujawniała to wyraźnie. Jardir sięgnął głębiej, wykorzystując moc korony, i wychwycił obraz, który niemal wypalił mu oczy. Leesha z Par’chinem nago w błocie oddawali się zwierzęcej żądzy.

Ahmannowi serce załomotało, krew zaszumiała w uszach. Leesha i Par’chin? Czy to była rzeczywistość, czy tylko niespełniona fantazja?

– Miałeś ją na poduszkach – rzucił oskarżycielsko. Obserwował uważnie aurę Arlena, aby wyczytać z niej odpowiedź.

Ale aura towarzysza przygasła. Jardir próbował sięgnąć w głąb niej, ale nawet moc korony nie pozwoliła mu przebić niewidzialnej ściany wokół Par’china.

– To, że pozwalam ci od czasu do czasu spojrzeć na wierzch mojej aury, nie daje ci prawa do zaglądania mi do głowy – odpowiedział Arlen. – Sprawdźmy, jak tobie się to spodoba.

Ahmann wyczuł prąd, gdy Par’chin Pobrał przez niego magię i wchłonął ją, po czym Poznał swego *ajin’pal* równie intymnie jak kochanek. Jardir próbował powstrzymać tę ingerencję, ale Par’chin go zaskoczył – nie wystarczyło czasu na obronę, ponieważ w okamgnieniu było po wszystkim.

Ahmann wycelował w towarzysza włócznią.

– Zabijałem ludzi za mniejsze obelgi, Par’chinie.

– Zatem masz szczęście, że jestem bardziej cywilizowany – odgryzł się Arlen. – Przecież to ty zacząłeś.

Jardir zacisnął usta i zmilczał.

– Miałem prawo wiedzieć, czy spałeś z moją narzeczoną.

– Ona nie jest twoją narzeczoną, Ahmannie. Słyszałem, jak sama ci to powiedziała nad przepaścią. Wolałaby raczej oddać się demonowi, niż zostać twoją pięćdziesiątą żoną. Albo nawet pierwszą – zadrwił Par’chin.

– Skoro słyszałeś, o czym rozmawialiśmy prywatnie, wiesz także, że Leesha nosi moje dziecko. Jeżeli wydaje ci się, że masz do niej jakieś prawa...

Arlen wzruszył ramionami.

– To wspaniała kobieta i trochę się w niej podkochiwałem. Parę razy ją pocałowałem, raz wydarzyło się nieco więcej. – Jardir zacisnął mocniej dłoń na włóczni, ale towarzysz mówił dalej: – Ale nie jest moja. Nigdy nie była. Twoja również nie, Ahmannie. Z dzieckiem czy bez. Jeżeli nie potrafisz tego zrozumieć, nie masz u niej szans.

– Nie pożądasz jej? – zdziwił się Jardir. – Niemożliwe. Ona świeci jak słońce.

Rozległ się tętent kopyt i Par’chin uśmiechnął się, a potem odwrócił w stronę, skąd w blasku jutrzeńki nadjeżdżała galopem jego *Jiwah Ka*. Dosiadała na oklep ogromnej klaczy i prowadziła cztery rumaki podobnych rozmiarów. Na

lśniących od magii podkowach pędziły dwa razy szybciej niż krasjańskie wierzchowce.

– Mam własne słońce, Ahmannie. Dwa grożą pożogą – zauważył, po czym ruszył na spotkanie swojej żony. – Masz już dość słońc, żeby zamienić zielone krainy w kolejną pustynię. Pomyśl o tym.



Renna zeskoczyła z siodła. Arlen chwycił ją w ramiona i odwzajemnił pocałunek. Skupił się, rozpałił runy ciszy na swoich ramionach. Jardir na pewno dostrzeże magię i domyśli się, że maskują rozmowę, ale wątpliwe, aby się obraził. Mąż ma przecież prawo porozmawiać prywatnie z żoną.

– W Zakątku wszystko dobrze? – zapytał.

Renna również zauważyła działanie runów i wtuliła głowę w tors Arlena, aby ukryć ruch swoich ust.

– Na ile można się było spodziewać. Obyś miał rację, że to będzie spokojny miesiąc. Mieszkańcy nie są gotowi na zbyt wiele, zwłaszcza bez nas.

– Zaufaj mi, Ren.

Renna wbiła mu podbródek w pierś, ale Arlen domyślił się, że wskazywała na Jardira za jego plecami.

– Powiedziałeś mu już?

Mąż pokręcił głową.

– Czekałem na twój powrót. Powiem mu, gdy tylko wzejdzie słońce.

– Możesz pożałować, że oddałeś mu włócznię – zauważyła Renna.

Arlen z uśmiechem wzruszył ramionami.

– To nie *Domin Sharum* z długą listą zasad uczciwej walki. Przecież mam u boku Rennę Bales, gdyby sprawy nie potoczyły się po mojej myśli, prawda?

Renna pocałowała go mocno.

– Zawsze.



Jardir odwrócił wzrok, żeby dać Par'chinowi i jego *jiwah* trochę prywatności przy powitaniu. Kobieta przyprowadziła konie, co znaczyło, że ruszali na spotkanie księcia *alagai*. Jardir był gotów i chętny do tej misji, lecz czuł się też odrobinę rozczarowany. Nareszcie, gdy byli sami, zaczęli z Par'chinem nawiązywać nic porozumienia. Obecność nieprzewidywalnej *Jiwah Ka* mogła zniszczyć tę chwiejną równowagę.

Słońce w końcu wynurzyło się zza widnokręgu i Jardir odetchnął głęboko. Pogрузzył się w porannej medytacji, podczas gdy ciała *alagai* zaczęły płonąć i dymić. Everam zawsze przywracał równowagę. Wystarczyło wierzyć, że to *inevera*.

Kiedy płomienie przygaśły, zaprowadzili konie do stajni ukrytej za wieżą. Z bliska wierzchowce okazały się naprawdę wielkie, dorównywały rozmiarami wielbłądom. Mustangi zamieszkujące zielone krainy stały się potężne dzięki nocnym zmaganiom z *alagai*. *Sharum* Jardira złapali i oswoili setki tych dzikich wierzchowców, jednak pięć rumaków Par'china było nadzwyczajnych.

Kary ogier skubiący dłoń Arlena miał grzbiet okryty runiczną zbroją, a na ogłowie metalowe rogi, które mogły przebić pancerz skalnego demona. Bez wątplenia był to słynny Nocny Tancerz. Srokata klacz *jiwah* Par'china dorównywała ogierowi wielkością i miała runy wymalowane na sierści oraz wyryte na kopytach. Kobieta używała tylko prostego skórzanego popręgu, żeby utrzymać się na grzbiecie swojej bestii.

Dwa pozostałe ogiery i klacz nosiły runiczne siodła i podkowy. Zdumiewające, że Nocnemu Tancerzowi udawało się zapanować nad tymi potężnymi rumakami. Wszystkie wierzgały i drobiły kopytami, ale posłusznie szły za przywódcą do stajni.

– Dlaczego mamy pięć koni, skoro jest nas tylko troje? – zapytał Jardir. – Kogo jeszcze zaprosiłeś do wzięcia udziału w tej świętej podróży, Par'chinie? Twierdzisz, że potrzebujesz mojej pomocy, jednak skrywasz przede mną swoje plany.

– W planie było tylko nas troje, Ahmannie, ale nie wszystko poszło po mojej myśli. Mam nadzieję, że pomożesz mi to jakoś naprawić.

Jardir zerknął na niego zaintrygowany. Par'chin westchnął i skinieniem głowy wskazał na tył stajni.

– Chodź ze mną.

Podniósł stary dywan i strzepnął maskujący go pył i siano. Pod spodem znajdowała się kłapa z uchwytem. Arlen podniósł ją i zszedł w ciemność. Jardir ruszył za nim, czujny, ponieważ za jego plecami szła *Jiwah Ka* dawnego przyjaciela. Ahmann nie bał się tej kobiety, ale jej aura wskazywała, że jest potężna. Wystarczająco, aby zapewnić Par'chinowi znaczącą przewagę w ewentualnym starciu.

Jardir w mroku odzyskał wzmocniony koroną wzrok, ale runy Par'china rozjarzyły się i rozproszyły cienie. Arlen stanął przed ciężkimi okutymi drzwiami pod ochroną silnych runów.

Otworzył. Magiczna poświata padła na uwięzionych w piwnicy mężczyznę i kobietę odzianych tylko w bido.

Shanjat i Shanvah, spleceni w uścisku, unieśli głowy i zmrużyli oczy od światła.



8

Prawdziwy wojownik

333 rok plagi, jesień

Wybawicielu!

Shanjat i Shanvah zerwali się na równe nogi i odsunęli od siebie. Bez zasłon i szat nic nie skrywało ich rumieńca i poczucia winy wypisanego na twarzach. Ich aury odzwierciedlały to, co wyrażały miny – wstyd i wyraźne skrępowanie.

Jardir ocenił sytuację i spojrzał ponuro. Nawet jeżeli Shanvah uległa dobrowolnie, to przecież była córką Shanjata i siostrzenicą Jardira. Ahmann nie miał wyboru, musiał skazać starego przyjaciela na śmierć – choćby chciał, nie mógł okazać miłosierdzia.

Ta myśl zachmurzyła go jeszcze bardziej. Shanjat zawsze okazywał mu lojalność, już od dziecka, gdy jako chłopcy znaleźli się w *sharaj*, był też dobrym mężem dla Hoshvah, siostry Ahmanna. Co więcej, Jardir potrzebował Shanjata i jego *Sharum*, skoro nadchodziła Pierwsza Wojna. Może udałoby się opóźnić wyrok do zakończenia *Sharak Ka*. Przyjaciel zginąłby przynajmniej od szponów *alagai* i ocalił honor na samotnej ścieżce, którą podążyliby na sąd przed obliczem Everama.

– Przebaczone, Wybawicielu, zawiedliśmy cię! – wykrzyknął Shanjat, zanim Jardir zdolał wydusić choć słowo. Opadli z Shanvah na kolana, przycisnęli dłonie i czoła do brudnej podłogi. – Przysięgam na Everama, że próbowaliśmy każdego znanego nam sposobu, żeby stąd uciec i podjąć poszukiwania, ale Par’chin...

– ...użył magii *hora*, żeby wzmocnić naszą celę – dokończyła Shanvah. Paznokcie miała brudne i zdarte do krwi. W blasku runów Jardir dostrzegł zadrapania w miejscach, gdzie dziewczyna i jej ojciec sprawdzali wytrzymałość ścian.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie było tu żadnej szaty ani zasłony. Oczywiście Par’chin pozbawił ich odzienia i dokładnie przeszukał, zanim uwięził w tej celi. Nie był na tyle głupi, żeby przeoczyć cokolwiek, co pomogłoby w ucieczce. Zostawił im tylko przykryty nocnik, zbyt mały i kruchy, aby mógł posłużyć za skuteczną broń.

I wtedy to Jardira ogarnął wstyd. Jak mógł posądzić rodzica i dziecko zamkniętych w piwnicy bez światła o zbrodnię? Założył najgorsze, chciał od razu skazać wiernego przyjaciela na śmierć, tymczasem strach w aurze Shanjata brał się ze wstydu, że wojownik nie wypełnił swoich obowiązków wobec władcy.

– Zawsze łatwo zwracałeś się przeciw przyjaciołom, co? – mruknął Par’chin, a Jardir zacisnął zęby.

– Wstańcie z honorem, bracie, siostrzenico – przemówił wreszcie. – Nie dorównujecie Par’chinowi. Ulec mu

w walce nie przynosi wstydu.

Oboje pozostali na kolanach. Kiedy Shanjat się zawahał, Shanvah wyjaśniła za niego:

– To nie Par'chin nas złapał, Wybawicielu.

Większość ojców wpadłaby w gniew podsycany wstydem z powodu bezczelności córki, która odezwała się niepytana w obliczu Wybawiciela, ale Shanjat popatrzył na Shanvah z wdzięcznością, a także nie bez dumy, jakiej nigdy nie okazał żadnemu ze swoich synów.

– To ja – stwierdziła *jiwah* Par'china.

Jardir spojrział na nią z powątpiewaniem. Wiedział, że ta kobieta jest nadzwyczajna, ale Shanjat i jego córka należeli do *kai'Sharum*, elity krasjańskich wojowników.

Shanvah spojrzała na *jiwah* z nieskrywanym podziwem.

– Jej *sharusahk* jest żalosna, Wybawicielu, dziecko by pokonało tę kobietę. Ale magię ma silną. Nawet z naszą siłą nocy pokonała nas bez trudu. Zniszczyła nasze tarcze i włócznie.

Wyznanie zabarwiło aurę Shanvah bólem. Jardir Pobrał z niej tak, jak nauczył go Par'chin, i ogarnęło go wspomnienie dziewczyny. Inevera poleciła Shanvah szukać Wybawiciela. Było to pierwsze zadanie dziewczyny, do tego ogromnie zaszczytne. Shanvah nie posiadała się z dumy – nareszcie miała okazję, żeby pokazać Wybawicielowi i Damajah, ile jest warta.

I zawiodła. Zupełnie.

Kolejne wspomnienie ujawniło, jak została pokonana przez *jiwah* Par'china.

– Par'chin pokonał mnie w ten sam sposób, siostrzenico – przyznał Jardir. – Zostałaś dobrze wykształona, ale starcie z jego *Jiwah Ka* byłoby nierozważne... – spojrział Rennie w oczy – w mroku nocy. Za dnia będzie bardziej podatna na *sharusahk* i nie zdoła cię pokonać.

Jiwah Par'china posłała mu ponure spojrzenie. Ahmann wyczuł zmiany w aurach, gdy więźniowie odzyskiwali wewnętrzną równowagę. Shanvah spojrzała na Rennie z nowej perspektywy. Jak drapieżnik.

Jardir machnięciem ręki nakazał swoim wojownikom wstać, po czym z gniewem odwrócił się do Par'china.

– Jeżeli mój szwagier i siostrzenica byli źle traktowani...

– Nie byli. – Par'chin wzruszył ramionami. – Sam ich spytaj.

– Nie byliśmy, Wybawicielu – potwierdził Shanjat, gdy Ahmann na niego spojrział. – Dostaliśmy jedzenie, wodę i odpoczynek po długich i bezskutecznych poszukiwaniach. Par'chin opatrzył rany, jakie zadała nam jego *Jiwah Ka*, gdy nas pokonała. – Spojrział na córkę, a w jego aurze rozbliżyła miłość. – I nie żałuję, że miałem czas, aby lepiej poznać swoją córkę.

Jardir potrafił to zrozumieć. Sam prawie nie znał swoich córek, które jeszcze jako dzieci trafiały do pałacu *dama'ting*. Kiedy Shanjat i Shanvah zostali zamknięci w ciemnej piwnicy, byli dla siebie jak obcy, ale w samotności celi odnaleźli się ponownie jako ojciec i córka.

– Tak sądziłem, że parę dni na rozmyślenia bardzo im się przyda – stwierdził Par'chin.

– A teraz? – warknął Ahmann. – Nie pozwolę ci hańbić ich dalej i trzymać w zamknięciu.

– Nie przyprowadziłbym cię tutaj, gdybym chciał nadal ich więzić – zapewnił Par'chin. – Wyruszamy o zmierzchu, więc nie będzie nikogo, kto przyniósłby im jedzenie i opróżnił nocnik. Pojadą z nami.

Jardir zaprotestował.

– Nie są gotowi do drogi, w którą musimy wyruszyć, Par'chinie. Puść ich wolno. Tak czy inaczej, zakończymy naszą misję, zanim tym dwojgu uda się powrócić do Lenna Everama.

Par'chin pokręcił głową.

Ahmann spojrział na niego groźnie.

– A jeżeli i tak ich uwolnię? Co wtedy zrobisz?

– Przeszanę ci ufać i wierzyć, że najważniejsza jest dla ciebie *Sharak Ka* – odparł spokojnie mężczyzna z Północy. – Demony umysłu jedzą wspomnienia jak ciastka. Mogą przejrzeć zawartość czyjejś głowy, a ten człowiek nawet nie będzie wiedział, że to się stało. Potrafią też wszczepiać w umysł rozkazy, które zachowują siłę nawet w świetle dnia. Szpiegzy mogą być wszędzie, Ahmannie, a mamy tylko jedną szansę. Im mniej ludzi wie, że żyjemy, tym lepiej.

– Shar'Dama Ka! – okrzyk zaskoczył Jardira. Kiedy ostatnio Shanjat odezwał się bez pozwolenia? Ahmann odwrócił się do przyjaciela pochylonego w głębokim ukłonie. – Jeżeli wybierasz się w niebezpieczną drogę, Wybawicielu, naszym obowiązkiem jest chronić cię do ostatniej kropli krwi.

Shanvah przytaknęła.

– Damajah nakazała nam nie wracać bez ciebie. Nie wybaczy, jeżeli opuścimy cię w godzinie próby.

– Mogą nam się przydać w Słońcu Anocha, o ile mają dość odwagi – dodał Par'chin. – Książąt umysłu nie wolno lekceważyć. Twoja moc będzie słabsza podczas podtrzymywania pola ochronnego. W obliczu przewagi wroga

wsparcie Renny może nie wystarczyć.

– Skoro dwoje wojowników może wpłynąć na układ sił, czemu nie sprowadzić armii? – zdziwił się Jardir.

– I gdzie ją ukryjesz? – prychnął Par'chin. – Mogę wyrysować runy niewidzialności wokół dwojga, ale większa liczba wzbudziłaby podejrzenia myślożerców i zdradziła naszą obecność, a wtedy cały nasz wysiłek poszedłby na marne.

Jardir westchnął. Nie mógł zaprzeczyć, że pojawienie się krewniaków przyniosło mu zadowolenie i wyrównało układ sił po przyjeździe *Jiwah Ka* Par'china.

– Niech będzie.



– Dotrzemy do zaginionego miasta w pięć dni, jeżeli będziemy tratować demony, żeby dodać wierzchowcom szybkości – powiedział Par'chin, gdy pakowali zaopatrzenie w wodę i żywność na przejście przez pustynię, bo tam nie będzie jak uzupełnić zapasów. – W cztery dni, jeżeli naprawdę się pośpieszymy.

– Nie zostanie nam wiele czasu na przygotowania do Nowiu – zauważył Jardir.

Arlen wzruszył ramionami.

– Wolę, żeby nie zostały tam ślady naszego pobytu, więc im krócej, tym lepiej. Zresztą niewiele będziemy musieli robić, gdy już tam dotrzemy. Pozostanie nam tylko czekać w ukryciu. Lepiej przygotować się wcześniej niż w grobowcu.

– Shanjat i Shanvah będą potrzebowali nowych włócznie i tarcz – przypomniał Ahmann.

– Mam skrytkę z bronią, zajrzemy tam w drodze na pustynię. Mogę im wymalować na skórze runy i wszyscy będziemy się uczyć *gaisahk*.

– Rozważnie – zgodził się Jardir. – Znam umiejętności swoich wojowników, ale nie widziałem, jak walczy twoja *jiwah*.

– Zacząłem ją uczyć parę miesięcy temu. Łapie wszystko w lot – zapewnił Par'chin.

Ahmann skinął głową, po czym wezwał wszystkich do ćwiczeń, póki słońce stało wysoko. Par'chin i jego kobieta znaleźli pędzelki i wymalowali runy wzmacniające ciosy na pięściach, łokciach i kolanach Shanjata i Shanvah. Obcięli im też rękawy szat, aby symbole były dobrze widoczne.

Jak należało się spodziewać, wojownicy szybko pojęli *gaisahk*, ale *jiwah* Par'china miała trudności z postawami, jakie opanowałyby bez trudu nawet dziecko. Shanvah uczciwie oszacowała umiejętności Renny. Można by nawet powiedzieć, że była w tej ocenie bardzo uprzejma.

– Wciąż źle ustawiasz stopy – powiedział Jardir, gdy Renna skończyła *sharukin*. Poprawiał jej postawę już z tuzin razy, ale bez rezultatu. Kobieta nie poświęcała temu dość uwagi.

– Co za różnica? – zapytała. – I tak przebiłabym demona pięścią.

– Ale straciłabyś równowagę, głupia, gdyby za tym pierwszym demonem skoczył drugi. Na tym polega różnica – warknął Ahmann. – *Alagai sharak* to nie zabawa, a przegrany nie zacznie po raz drugi następnego dnia.

– Wiem o tym – prychnęła Renna ponuro, ale Jardir wiedział, że jest szczerą. Próbowała ustawić stopy, jak należało, ale po prostu nie potrafiła. Nie powinien był oczekiwać od Renny, że opanuje w parę dni to, czego jego wojownicy uczyli się przez całe życie, ale nie miał czasu, żeby się z nią cackać.

– Shanvah będzie cię uczyć codziennie, gdy tylko zatrzymamy się, żeby odpocząć i napić konie – rozkazał.

– Co?! – oburzyły się obie kobiety.

Jardir spojrzał na swoją siostrzenicę.

– Masz jej nie skrzywdzić. Musisz zapomnieć o urazie i innych emocjach, jakie obudziła w tobie niewola.

Shanvah opanowała uczucia i skrzyżowała pięści, po czym skłoniła się posłusznie.

– Twoja wola, Wybawicielu.

– Tym bardziej odnosi się to do ciebie, Ren – przykazał Par'chin. – Potrzebujesz tych lekcji. I nie zapominaj, że jesteś silniejsza od niej, ale potrzebujemy was obu w pełnej sprawności, gdy nadejdzie Nów. Macie się uczyć, nie walczyć.

Renna splunęła w pył.

– Nie złamię jej niczego, czego nie mogę uzdrowić.

Obie odeszły, żeby rozpocząć ćwiczenia. Par'chin pokręcił głową.

– Pożałuje tego, co powiedziała, prawda?

– Bardziej, niż myślisz, Par’ chinie – przytaknął Jardir. – Ale widziałem dumę w jej aurze. Każdy wojownik musi poznać swoje słabości, jeżeli ma je pokonać. – Popatrzył za odchodzącymi kobietami. – Shanvah da jej nauczki. I za uwięzienie odpłaci twojej *jiwah* pięknym za nadobne. Wybawi ją od pychy.

Par’ chin roześmiał się głośno.

– Czy to nie czyni z Shanvah Wybawicielki?



Parę godzin później Arlen nerwowo spacerował po stajni i przyglądał się słońcu chyłacemu się nad horyzontem. Niedługo wyruszą i zaczynał odczuwać niepokój. Zamierzali igrać z losem i szafować życiem każdego człowieka na świecie.

A jeśli się mylę? Może głupi Bales z Potoku Tibbeta chce po prostu wbić kij w mrowisko, bo mu się wydaje, że jest tak strasznie mądrzejszy od mrówek?

W głębi duszy jednak wiedział, że to jedyne wyjście. Ludzie, których pozostawił, byli już silni. Wytrzymają. Muszą. Ukrywanie się za runami podczas każdego Nowiu było strategią prowadzącą do klęski. Demony miały przewagę liczebną, a ludzie nie mogli osłonić runami całego świata. Miasta budowane na planie wielkich runów pewnego dnia przekroczą masę krytyczną, a będzie to dopiero początek.

Rozmyślenia przerwało mu skrzywienie podłogi. Przyszła Renna. Arlena ogarnęła ulga, dopóki nie zobaczył, w jakim stanie jest żona. Miała siniaki i zadrapania oraz podbite oko. Łzy wyłobiły ścieżki na zakrwawionych policzkach, a lewą ręką podtrzymywała złamane prawe ramię.

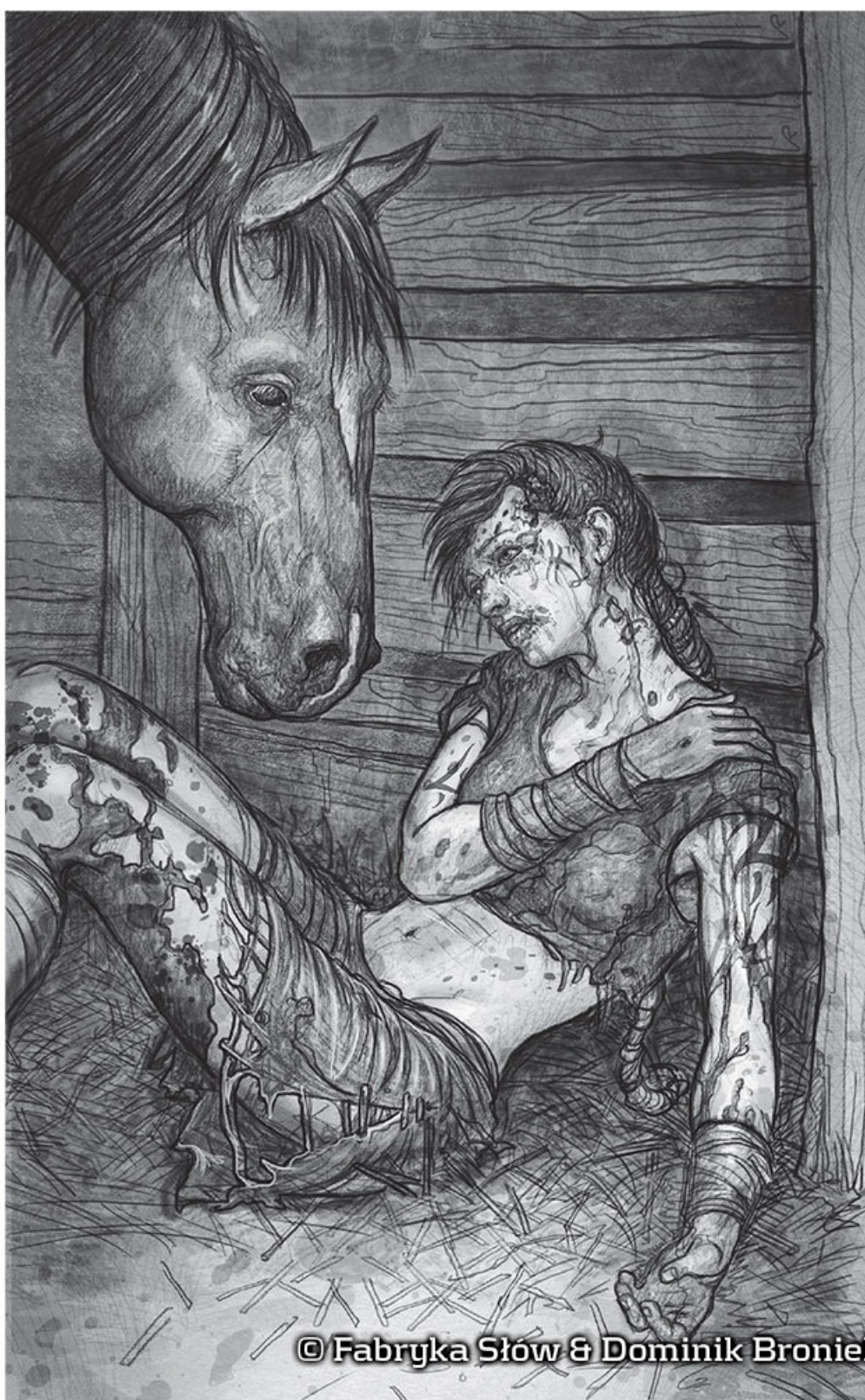
– Wszystko w porządku, Renno?

Dziewczyna zatrzymała się zaskoczona obecnością Arlena. Bez wątpienia przyszła do stajni, bo chciała być sama. Wzruszyła ramionami ze znużeniem i minęła Arlena w drodze do boksu Obietnicy. Oparła się o ogrodzenie i osunęła na podłogę. Obietnica trąciła ją chrapami, gdy kobieta z sykiem nastawiała sobie ramię, a potem czekała nieruchomo, aż magia w jej krwi zwiąże kości.

Arlen pokiwał głową i zostawił żonę samą. W wieży ujrzał roześmianą Shanvah przygotowującą z ojcem kolację. Dziewczyna była siedem lat młodsza od Renny i brakowało jej zdolności uzdrawiania, ale nie miała żadnego śladu na ciele. Wyglądała świeżo jak poranek.

Och, Ren. Naznaczony potrząsnął głową. Jardir miał rację. Ren dostała porządną nauczki. Potrzebowała tego. Arlen próbował jej to wytłumaczyć – bezskutecznie. Nie potrafił sam jej nauczyć. Renna lubiła być silna na tyle, by pomiatać otoczeniem, lubiła trochę za bardzo, by mogło jej to wyjść na dobre. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, co przeszła, ale...

„Problemy wojowników nie interesują Nie” – przypomniał sobie słowa Jardira.



Istniała jednak różnica między zrozumieniem, że Renna powinna poznać upokorzenie, a przyglądaniem się, jak ukochana żona wraca zakrwawiona i pobita. Jedyne, co powstrzymało go od dobitnego wytłumaczenia Shanvah, że uczenie nie polega na biciu, było przekonanie, że Renna nie życzyłaby sobie, aby Arlen się wtrącał.

Co gorsza, nigdy by tego nie wybaczyła.

Wcale nie byłem lepszy, gdy po raz pierwszy przybyłem do Krasji, przypomniał sobie Naznaczony. Ragen nauczył go walczyć, wtedy Arlen był przekonany, że żaden człowiek nie walczyłby lepiej. A potem poznał krasjańskich Mistrzów Ćwiczeń.

I też nie chciał pomocy. Krasjanie nigdy nie obdarziliby go szacunkiem, gdyby o nią poprosił. Z Renną rzecz się miała podobnie. Z czasem zdobędzie szacunek Shanvah.

Tej nocy, gdy cwałowali przez stado polnych demonów, *sharusahk* Renny wyraźnie się poprawiło. Po paru godzinach odpoczynku rany zagoiły się bez śladu, ale kobieta wkraczała do walki ostrożniej. Nie straciła swojej

dzikości, gdy dochodziło do wymiany ciosów, ale czekała teraz na okazję i planowała z wyprzedzeniem swoje posunięcia.

Arlen obawiał się, że dojdzie do kolejnej konfrontacji z Shanvah, gdy w żyłach Ren krążyła znowu magia nocy, ale kobiety trzymały się z dala od siebie.

Tylko raz ich ścieżki się skrzyżowały. Shanvah przygotowywała się do starcia z trzema demonami polnymi, a wtedy Renna uniosła dłoń i wyrysowała w powietrzu run. Demony buchnęły ogniem i spłonęły na popiół, zanim dosięgły *Sharum'ting*.

W aurze Renny zabłysła satysfakcja, gdy kobieta odwróciła się, nie czekając na reakcję. Shanvah zapewne pokonałaby demony sama, ale pokaz Renny przypominał jasno, że każda z nich miała tylko czasową przewagę. W nocy Renna Bales dysponowała mocą, jakiej *Sharum'ting* nie zdołałaby sprostać.

Następnego popołudnia Renna znowu wróciła po lekcji posiniaczona i zakrwawiona, ale za to z uśmiechem satysfakcji.

Był to przynajmniej początek.



Par'chin poprowadził towarzyszy po zimnych kamiennych stopniach z dala od żaru pustyni. Upał stanowił znajome doznanie, za którym jednak Jardir ani trochę nie tęsknił. Rozumiał teraz lepiej, dlaczego Everam zesłał jego lud właśnie tutaj. Stworzył pustynię, by hartować wiernych. Już teraz łagodniejszy klimat i bujna roślinność zielonych krain wywierały niezaprzeczalny wpływ na twarde wojowników.

Niech lepiej *Sharak Ka* nadejdzie jak najszybciej, pomyślał, choć wiedział, że to głupie życzenie. Władcy z Północy nie ugną się przed Jardirem bez walki. Choćby wstępne zjednoczenie zielonych krain wymagać będzie przynajmniej dekady. A bez zjednoczenia nie można było nawet pomarzyć o zwycięstwie w *Sharak Ka*.

– Wybierzcie, co wam najlepiej odpowiada – powiedział Par'chin do Shanjata i Shanvah, kiedy znaleźli się na dole. – Ale nie obciążajcie się za bardzo. Nie będziemy mogli stać i walczyć, gdy tylko dostaniemy to, po co przyszliśmy. Wtedy trzeba będzie uciekać, jakby cała Otchłań deptała nam po piętach.

Słowa zabrzmiały obojętnie, ale gdy wślizgnęli się w mrok i Par'chin wyrysował w powietrzu runy światła, para wojowników zamarła w zachwycie na widok arsenału. Przenośne kręgi ochronne, łuki różnego rodzaju, tuziny włóczni i tarcz, setki strzał i bełtów. A także sterty innej broni – młotów, toporów, pik i noży. Chyba wszystko, co Par'chinowi udało się znaleźć. I każda sztuka ulepszona niezrównanymi runami wyrysowanymi jego utalentowaną ręką.

Jardir spodziewał się, że wojownicy rzucają się do broni, lecz ci zawahali się niczym *khaffit* wprowadzeni do skarbcza *Damaji*, żeby sobie wybrali wymarzoną nagrodę. Lecz co wybrać z takich bogactw? Oboje *kai'Sharum* zerknęli na Par'china podejrzliwie, jakby pytali, czy nie kryje się w tym podstęp.

– Idźcie – ponaglił ich Jardir. – Rozejrzyjcie się. Znajdźcie broń, która najlepiej leży wam w dłoni. Nie wyruszamy przed zmierzchem, więc macie kilka godzin. Wykorzystajcie dobrze ten czas. Los ludzkości może zależeć od waszego wyboru.

Wojownicy skinęli głowami i z rewerencją weszli do podziemnej sali. Początkowo z wahaniem, potem coraz śmielej zaczęli sprawdzać broń, jej ciężar i wyważenie. Shanjat zakręcił włócznią w skomplikowanym układzie *sharukin*, podczas gdy Shanvah wykonywała podobne ćwiczenia z tarczami, dopóki nie znalazła odpowiedniej dla siebie.

– Są tutaj inne pomieszczenia? – zapytał Jardir Par'china. – Odpocząłbym, zanim znowu wyruszymy w drogę.

Arlen wzruszył ramionami.

– Tylko to jedno. Kiedy częściej odwiedzałem tę kryjówkę, niewiele sypiałem. Obawiam się, że brakuje tutaj sypialni dla Waszej Wysokości. – Wskazał na ławę, przy której leżał zwój szmat. Minęło wiele lat od pobytu Jardira w *sharaj*, ale od razu rozpoznał derkę.

Przypomniał sobie, jak sypiał na brudnej ziemi, przytulony do Abbana. Dzielili wtedy pled, który nie wystarczał na dwóch. Ahmann pamiętał dobrze gorzkie wybory między zmarzniętymi ramionami lub stopami. I tak miał szczęście, że spotkał Abbana. Obaj starali się wzajemnie ogrzać i utrzymać ciepło. Inni chłopcy musieli spać sami albo zapłacić cenę, jakiej za wspólne posłanie żądali starsi *nie'Sharum*. Jardir zasypiał, drząc z zimna przy akompaniamencie ich stłumionych pomruków.

Ile czasu minęło, odkąd spoczywał na tak nędznym łożu? Par'chin sypiał tak przez lata, gdy żył w izolacji, skupiony jedynie na swojej świętej misji – przygotowaniu broni za dnia, aby zabijać *alagai* nocą.

Nie wszyscy mieszkańcy zielonych krain zmiękli, napomniał się Jardir w duchu.

– Mogę zapolować na jakiegoś ptaka, jeżeli potrzebna ci puchowa poduszka – zaproponowała Renna, gdy Ahmann długo się nie odzywał, tylko patrzył na posłanie. Arlen się roześmiał.

Nieznośni, pomyślał Jardir, przyjmując obelgę i powstrzymując się od ciętej riposty. Zignorował słowa kobiety i zwrócił się do Par'china.

– Mieszkam w pałacach, bo taki mam obowiązek. – Spojrzał towarzyszowi w oczy. – Ale jak uczy nas Kaji w Evejah, prawdziwy wojownik...

– ...potrzebuje tylko chleba, wody i włóczni – dokończył Par'chin, po czym wzruszył ramionami. – Ja chyba nie jestem prawdziwym wojownikiem. Zawsze wolałem mieć pled.

Jardir parsknął śmiechem. Napięcie w podziemiu trochę zelżało. Inni wyraźnie się rozluźnili.

– Ja też, Par'chinie. Jeżeli dożyję, aby dokończyć Ahmanjah, dodam do tego przysłowia pled.

Podszedł do zimnych stopni, oparł się o ścianę i usiadł wygodnie. Jechali trzy dni, odpoczywając tylko wtedy, gdy wierzchowcom brakowało już sił. Magia wspomagała cwał nocą, ale w świetle dnia rumaki stawały się równie śmiertelne jak wszystkie inne stworzenia pod słońcem. Nawet Jardir musiał się zdrzemnąć przez godzinę lub dwie.

Jednak sen nie nadchodził. W głowie kłębiły mu się myśli o tym, czego się podjęli. Plan Par'china był odważny i wielki, ale brakowało w nim dopracowanych szczegółów. Jak w bitwie, można było zaplanować pierwsze uderzenie i przygotować się do odwrotu, ale poza tym... *inevera*.

Inevera. Jej rady bardzo by się przydały. Jardir przyjąłby nawet przepowiednię tych przeklętych kości. Czy żonie nic się nie stało? Udało jej się posadzić na tronie Ashana jako Andraha, jak się umówili na wypadek przegranej w pojedynku? Czy też *Damaji* zamordowali *Damajah* i wszystkich synów nieobecnego Wybawiciela? A może *Jayan* zabił tylko *Asome* i sięgnął po władzę? Czy wśród ludu *Jardira* rozpętała się już wojna domowa?

Ahmann obserwował dwoje wojowników i rozmyślał o losie wszystkich swoich bliskich. Może jednak *Shanjat* i *Shanvah* byli bezpieczniejsi u jego boku.

Ojciec i córka wybrali już włócznie, tarcze i noże – znajomą broń, która stanowiła przedłużenie ich ramion. A teraz z ciekawością sprawdzali łuki.

Broni dalekiego zasięgu właściwie nie uznawano w *Krasji* za niehonorową, jednak zastrzelenie *alagai* przynosiło mniejszą chwałę niż stawienie mu czoła z włócznią. Zresztą zanim przywrócono runy bojowe, łuki nie wyrządzały demonom żadnych szkód. Dlatego wyszły z użytku, a szkolenie wojowników obejmowało jedynie podstawy łucznictwa. Tylko jedno plemię, *Mehnding*, wykorzystywało jeszcze łuki – konstruowało skorpiony i proce na murach *Pustynnej Włóczni*, a niedawno wyspecjalizowało się także w zabijaniu na odległość, strzelaniu z krótkich łuków z końskiego grzbietu.

Lecz *Shanjat* i *Shanvah* pochodzili z *Kaji*, nie *Mehnding*, a długie łuki z Północy niewiele miały wspólnego z tymi używanymi na pustyni. Oboje trzymali broń niewprawnie. Na tyle, że nawet Par'chin to zauważył. Wziął kołczan i rzucił go *Shanjatowi*.

– Zastrzel mnie – rozkazał i stanął pod ścianą.

Shanjat naciągnął strzałę, lecz zerknął na *Jardira*.

– Rób, co każe. – Ahmann poparł rozkaz skinieniem dłoni. Wątpliwe, aby strzała wyrządziła Par'chinowi krzywdę, nawet gdyby trafiła, do czego raczej nie dojdzie, bo wojownik zbyt kurczowo ścisnął broń.

Shanjat spuścił łuk chyba więcej niż o stopę.

– Stoję nieruchomo, wojowniku – napomniał Par'chin. – *Alagai* nie będą równie uprzejme.

Shanjat wyciągnął rękę, a córka włożyła mu w dłoń następny pocisk.

– Przestań zwlekać i zastrzel mnie wreszcie! – Arlen uderzył się w wielki run na piersi.

Wojownik *Kaji* znowu spuścił łuk, ale tym razem tylko o kilka cali.

– No, śmiało! Wieprzrojady *khaffit* strzelają lepiej!

Shanjat warknął, naciągnął kolejną strzałę. Wyczuł już broń i trzeci strzał trafiłby Par'china w ramię, gdyby mężczyzna nie złapał strzały w locie jak natrętnej muchy.

– Żałosne – stwierdził Par'chin i rzucił strzałę na ziemię. Spojrzał na *Shanvah*. – Twoja kolej.

Ledwie to powiedział, dziewczyna uniosła łuk i strzeliła. *Jardir* nie zauważył nawet, że trzymała broń w gotowości.

Strzał był celny i Par'chin w ostatniej chwili rozwiązał się jak mgła, aby uniknąć trafienia. Strzała utkwiała w ścianie za jego plecami.

Na *Jardirze* ten pokaz zrobił wrażenie. Nawet dla niego łuki stanowiły nowość, jednak *Shanvah* i jej siostry włóczni wyszkolił sam *Enkido*, którego imię okryło się chwałą w *Labiryncie*, zanim jeszcze Ahmann przyszedł na świat.

– Lepiej – przyznał Par'chin, gdy się zmateriałizował. – Ale strzeliłaś prosto, jakbyś używała krótkiego łuku. Dobry na bliskie odległości, ale zyskasz większy zasięg i siłę strzału, jeżeli będziesz celować po krzywej.

– Nauczę ją – wtrąciła *jiwah* Par'china. Jardir spodziewał się, że Shanvah odmówi, ale dziewczyna skinęła głową.

– Zajmijmy się zatem tobą... – Arlen wrócił do Shanjata.

Wojownik rzucił łuk na kamienną podłogę.

– Nie potrzebuję tej broni tchórzy. Wystarczy mi włócznia.

– Zwłaszcza że pod koniec starcie i tak będzie tylko na włócznie i pięści – zgodził się Par'chin. – Ale nie chodzi tylko o twoją osobistą chwałę, Shanjacie. Jeżeli masz chronić swojego pana, musisz również strzelać.

– I mam opanować tę broń w jeden dzień? – zdziwił się Shanjat. – Jestem dumny ze swoich umiejętności, ale nie aż tak, Par'chinie.

– Wcale nie musisz opanować tej broni. – Arlen wybrał jedną z kusz, które ceniły sobie kobiety z Północy. Miała drewniane łączysko wzmocnione metalowymi okuciami jak łuk oraz mechanizm do naciągania cięciwy ze splecionego cienkiego drutu.

Shanjat także rozpoznał kuszę.

– Broń dla kobiet? Czy mam też zatańczyć dla *alagai* wśród zastów?

Par'chin zignorował prowokację. Wybrał ciężką tarczę z runicznego metalu rozpiętego na drewnianej ramie i oparł ją o ścianę, po czym stanął obok Shanjata. Dwoma palcami naciągnął cięciwę i włożył bełt.

– W ten sposób – oznajmił. Przyłożył sobie kuszę do ramienia, przyklęknął i zademonstrował, jak wymierzyć, a potem podał broń Shanjatowi, który wycelował zgodnie z poleceniem. – Nie naciskaj spustu, dopóki nie będziesz gotowy do strzału – poradził Par'chin. – Wymierz w cel na styku ramion kuszy, stań nieruchomo i strzel.

KA-CZANG! Odrzut przy strzale zaskoczył Shanjata. Wojownik cofnął się o krok.

– Pudło – stwierdził. W jego aurze pojawił się wstyd, ale zachował ponury wyraz twarzy, gdy chciał zwrócić broń.

– Na pewno? – Par'chin przekrzywił głowę.

Shanvah przemknęła w okamgnieniu przez salę i uniosła tarczę, aby sprawdzić. Wszyscy ujrzeli jej palec wystający z otworu po przebiciu bełtem.

– Czyste trafienie. – Obejrzała się i odsunęła, żeby wszyscy mogli zobaczyć tkwiący w kamiennej ścianie pocisk.

– Na brodę Everama – westchnął Shanjat i spojrział na broń z respektem. Spróbował palcami naciągnąć cięciwę jak poprzednio Par'chin, ale nie zdołał.

– Naciągnij korbą. – Arlen wskazał mechanizm.

Shanjat zakręcił korbą z nieskrywanym zniecierpliwieniem. Wreszcie cięciwa z brzękiem znalazła się na miejscu.

– W tym czasie mógłbym rzucić trzy włócznie, Par'chinie – zauważył.

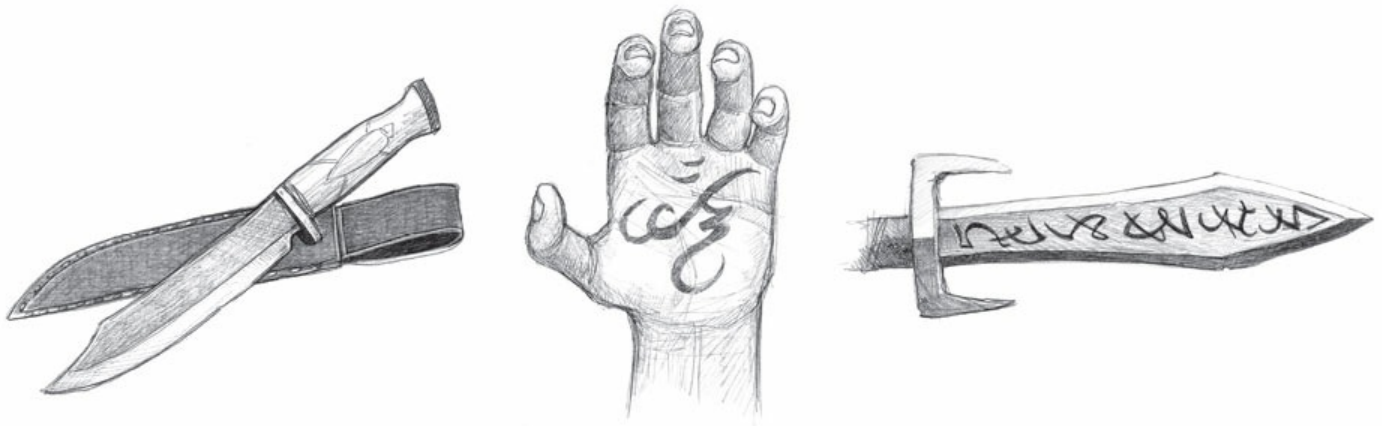
Arlen przytaknął.

– A potem zostałbyś bez włóczni. Nie przejmuj się naciąganiem. W nocy korbą nie będzie ci potrzebna.

Shanjat pokiwał głową, ale na wszelki wypadek wybrał jeszcze trzy lekkie włócznie do swojego uzbrojenia.

– Wyśpijcie się, póki można – nakazał Jardir. – Dotrzemy do Słońca Anocha przed świtem i zostaną nam tylko dwa dni na przygotowania.

Shanjat i Shanvah od razu znaleźli sobie kąt przy ścianie i skulili się blisko siebie. Jardir zamknął oczy.



9

Słońce Anocha

333 rok plagi, jesień

Kiedy wzeszło słońce, Arlen z ciężkim sercem popatrzył na zaginione miasto Słońce Anocha. W swych poszukiwaniach Krasjanie wykazali się bezmyślnością i lekceważeniem. Kiedy Arlen mieszkał w tych ruinach i próbował odkryć tajemnice skutecznej walki przeciw demonom, starał się zachować ostrożność i chronić budowle – kopał rozważnie, nie pozostawiał śladów. Zabierał tylko broń i pancerze, żeby zbadać ich runy, jednak większość artefaktów odłożył na miejsce, gdy odkrył ich tajemnice.

Krasjanie nie wykazali się taką rozważnością przy ochronie świadectw swojej przeszłości. Miasto przypominało teraz pole pszenicy, po którym przeszła szarańcza i hordy kretów. Ogromne sterty śmieci i piachu piętrzyły się wszędzie, kamienne filary, które wytrzymały tysiące lat, leżały strzaskane. W ziemi wykopano dziury i zniszczono dachy, aby ułatwić sobie dostęp do podziemnych komnat, niektóre z lochów wystawiono na działanie żywiołów po raz pierwszy od mileniów.

Tylko wielka krypta pozostała nietknięta. Krasjanie zabrali wszystko, co miało wartość, ale nawet oni nie odważyli się tknąć sarkofagów i zakłócić spoczynku wiecznego swoich świętych przodków.

– A ty byłeś gotów mnie zabić za jedną zabraną włócznię – mruknął Arlen.

– Nie należała do ciebie, Par’chinie – odparł Jardir. – To miejsce mojego ludu. Krasjan, nie ludzi z zielonych krain.

Arlen splunął z siodła.

– Nie przejmowałeś się prawami kulturowymi, gdy podbiłeś Fort Rizon.

– Bo to był podbój, nie grabież grobów.

– Więc ograbienie żywych, których potem pobijesz i zamordujesz, jest większym zaszczytem niż tych, co umarli przed tysiącami lat?

– Zmarli nie mogą się bronić, Par’chinie.

– A jednak zniszczyłeś miejsce spoczynku swoich przodków. Mam wrażenie, że twoja logika tańczy równie pokrętnie jak pustylny tuman, co?

– Miałem tutaj setki tysięcy ludzi do wykarmienia i niewiele wody oraz żywności – odparł Jardir, ale choć zachowywał zewnętrzny spokój, w tonie jego głosu pojawiły się nuty napięcia. – Musieliśmy pracować szybko. Nie było czasu na odkrywanie warstw miasta za pomocą pędzli i delikatnych narzędzi. – Zerknął podejrzliwie na Arlena.

– Jak tobie się to udało, Par’chinie? Nie ma tu nic do jedzenia, a bez sakw niewiele mogłeś przynieść z Oazy Świtu.

Arlen był wdzięczny, że poranny blask słońca skrywa jego aurę. Pytanie dotyczyło jednej z paru tajemnic, którymi nie zamierzał jeszcze dzielić się z Jardirem. Zapewne nigdy nie powie mu, że jadł mięso demonów, żeby przetrwać tygodnie spędzone w Słońcu Anocha. Wiedział, że tego Krasjanie nie rozumieją, nie przekona ich nawet moc, jaką dawało to mięso.

– Wyszedłem i przyniosłem zaopatrzenie. – Nie było to kłamstwo, w każdym razie nie całkiem.

Arlen potrząsnął głową, aby odzyskać jasność myśli. Nic mu nie przyjdzie z dalszej sprzeczki. Musieli współpracować, zwłaszcza teraz. Zerknął na Shanjata i Shanvah. Przyglądali się Arlenowi i Rennie drapieżnie, jakby tylko czekali, aż Jardir wyda rozkaz zabicia pary z Północy teraz, póki światło dnia osłabiało magię cudzoziemców.

Jardir jednak nie wydał takiego rozkazu. Na dobre i na złe byli sojusznikami.

– Może i dobrze, że zabrałeś wszystko, co cenne – stwierdził Arlen pojednawczo. – Zwłaszcza że demony już wiedzą o tym mieście. Przyznaję, to moja wina. Pozwoliłem im wdrzeć mi się w umysł.

– *Inevera* – westchnął Jardir. – Ale twoja porażka może nas ocalić. Dzięki temu udało nam się dowiedzieć, gdzie uderzy wróg. I dzięki temu mamy przewagę. MUSIMY ją wykorzystać.

– Przede wszystkim musimy znaleźć miejsce obok grobowca, gdzie ukryjemy konie – zauważył Par’chin. – Wymalujemy wokół nich runy niewidzialności. Zapewne będziemy musieli uciekać w pośpiechu.

– A co potem?

– Wejdziemy do grobowca Kajiego i wykopimy sekretne przejście. Potem znajdziemy sobie kryjówki i przyczaimy się.

– A potem?

Arlen westchnął ciężko. Na Otchłań, nie mam pojęcia.



– Odrobinę w lewo – poradziła Renna, spoglądając wzdłuż brzeszczotu strzały wymierzonej przez Shanvah w niebo. – Na wyżynach wiatr jest silniejszy. Trzeba to uwzględnić.

Stała za plecami młodszej kobiety na palcach, żeby jej oczy znajdowały się na tej samej wysokości co oczy Shanvah. Renna nigdy nie uważała się za niską, jednak nawet przeciętna Krasjanka przewyższała wzrostem mieszkanki Potoku Tibbeta. Renna unosiła pięty tylko trochę nad ziemię, ale to wystarczyło, by poczuła urazę.

Shanvah przyjęła poprawkę skinieniem głowy i zwolniła cięciwę. Strzała pomknęła wysokim łukiem nad diunami, a potem wbiła się głęboko w sakwę z piaskiem, służącą za cel. Trafienie nie było czyste, ale z takiej odległości i tak robiło wrażenie.

– Jak się tego nauczyłaś? – zaciekała się Shanvah i opuściła łuk. W jej głosie zabrzmiał większy szacunek, chociaż Renna nie dała się oszukać, nie były przyjaciółkami. – Jak sama powiedziałaś, dopiero niedawno stałaś się wojowniczką, ale z tą bronią radzisz sobie zbyt dobrze, żeby Par’chin był twoim jedynym nauczycielem.

Renna pokiwała głową.

– Ojciec mnie uczył. Nie zawsze w domu było dość jedzenia. Każdy, kto chciał jeść, musiał iść na polowanie.

– Wśród mojego ludu do niedawna kobiety nie mogły nawet dotykać broni – odparła Shanvah. – Miałaś szczęście, że twój ojciec taki nie był. Jak mu na imię?

– Harl – skrzywiła się Renna. – I bynajmniej nie było żadnym szczęściem mieć go za ojca.

– W Krasji doceniamy naszych ojców, córko Harla – pouczyła ją Shanvah. – Ich zwycięstwa przynoszą nam zaszczyt, a porażki nas poniżają.

– No to mam wiele do nadrobienia – mruknęła Renna.

– Jeżeli dziś w nocy nam się uda, twój ojciec będzie czysty jak łąza, nawet gdyby okazał się samym Alagai Ka.

– Jeżeli chodzi o mnie i siostry, niewiele się od niego różnił. – Renna poczuła pulsowanie w skroniach. Wspomnienie ojca i tego przekłętą gospodarstwa zawsze budziło w niej gniew. Nie tyle samo wspomnienie, lecz to, co przynosiło. Poczucie dawnej słabości. Strachu. Beznadziei. Czasami Ren żałowała, że ta część jej pamięci nie jest kończącą, którą mogłaby odciąć i pozbyć się jej na zawsze.

Shanvah przyglądała się dziewczynie uważnie. Właściwie dłaczego Renna się zwierza, jakby były sobie bliskie? Może czekała je walka po tej samej stronie, ale bynajmniej nie musiały darzyć się zaufaniem, a Renna nie widziała powodu, aby to się miało zmienić.

– Podobno walczyłaś z jednym – powiedziała Shanvah. – Z księciem *alagai*.

Jakby rozmowa o Harlu nie była wystarczająco osobista. Renna przypomniała sobie przerażenie i gwałt zadany jej przez demona. Otchłaniec wdarł się głęboko w jej myśli i zagnieździł tam jak robak w owocu. Wolałaby nigdy więcej o tym nie rozmawiać, jednak Shanvah musiała się dowiedzieć jak najwięcej. Wkrótce przecież ona także stanie twarzą w twarz z demonami umysłu.

– Tak – przyznała Renna. – Zadbaj, żeby runy chroniące umysł były wyraźne dzisiejszej nocy. Wymaluj je sobie na czole. Nie ufaj opaskom. Demon wedrze ci się w umysł, pożre wszystko, co czyni cię... tobą. Połknie, a potem wypłuje tylko to, co zrani tych, których kochasz.

Shanvah skinęła głową.

– Ale ty zabiłaś księcia *alagai*.

Renna wyszczerzyła zęby, magia zawrzała w jej krwi na wspomnienie tamtej walki.

– Arlen go zabił. Wbiłam nóż w plecy tego otchłanca, ale nie przestał walczyć.

– Jak łuk ma pomóc w starciu z takim stworem?

Renna wzruszyła ramionami.

– Szczerze? Zapewne nie pomoże. Demona umysłu trzeba zabić jednym śmiertelnym ciosem albo nic z tego. W takim przypadku nie polegałabym na łuku. – Spojrzała na Shanvah. – Ale demony umysłu to zmartwienie Arlena i Jardira.

Shanvah zeszywniała, słysząc tak bezceremonialne określenie wuja, ale zmilczała.

– Naszym zadaniem będzie powstrzymanie strażników podczas starcia – podjęła Renna. – Demony umysłu potrafią wezwać inne demony z odległości wielu mil, a do tego sprawić, żeby walczyły przebiegle.

Shanvah ponownie skinęła głową.

– Tak mi powiedziano.

– Słyszałaś o strażnikach myślożerców? – zdziwiła się Renna. – O naśladownikach?

– Tylko pogłoski.

– Są mądrzejsze od innych otchłanców. Potrafią poprowadzić i wezwać pomniejszych demony, ale nie to jest najgorsze.

– To zmiennokształtni – szepnęła Shanvah. Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

Ren potwierdziła.

– Zmieniają się, w co tylko zechcą. Walczysz z największym przeklętym skalniakiem, jakiego w życiu widziałas, a po chwili ten wyciąga macki albo rozpościera skrzydła. Już ci się zdaje, że go złapałaś, a tu nagle okazuje się, że to wąż. Myślisz, że nadchodzi pomoc, ale w okamgnieniu demon zamienia się w ciebie i przyjaciele nie wiedzą, do kogo strzelać.

Twarz młodszej dziewczyny nie zdradziła strachu, ale lęk pojawił się w jej zapachu. I dobrze. Musiała wiedzieć, co się szykuje, i szanować przeciwnika, jeżeli miała przeżyć.

– Ten, z którym ostatnio walczyłam, zabił ponad dwa tuziny ludzi, zanim go pokonaliśmy – opowiadała Renna. – Wbił się w oddział *dal'Sharum* jak nocny wilk do kurnika. Zabił pół tuzina, w tym Mistrza Ćwiczeń Kawała i Enkido. I zarznął więcej Rębaczy, niż pamiętam. Gdyby nie Rojer i... – urwała na widok miny Shanvah.

Krasjanka przestała słuchać, tylko patrzyła na Rennę z otwartymi ustami. Jej zapach zmienił się całkowicie, wypełniła go narastająca zgroza i żal. Do oczu dziewczyny napłynęły łzy. Renna nigdy nie widziała, by Shanvah tak otwarcie okazywała uczucia.

– Co takiego powiedziałam? – zaniepokoiła się.

Shanvah patrzyła na nią w milczeniu przez długi czas. Powoli poruszała ustami, jakby potrzebowała rozgrzewki przed wypowiedzeniem słów.

– Mistrz Enkido nie żyje? – wydusiła wreszcie.

Renna potwierdziła skinieniem głowy, a Shanvah załkała. Zawyla, aż zabrakło jej tchu, a wtedy jęk zamienił się w szloch. Sięgnęła do sakiewki przy pasie i wyjęła niewielką buteleczkę. Naczynie wyślizgnęło jej się z drżących palców.

Renna złapała fiolkę tuż nad ziemią i podała dziewczynie, ale Shanvah nie zrobiła nic, aby wziąć naczynie.

– Proszę – wykrztusiła. – Zbierz je, zanim przepadną.

Renna spojrzała na nią bez zrozumienia.

– Co mam zebrać?

– Moje łzy! – wyszlochała Shanvah.

Prośba wydawała się szalona, ale Renna widywała już Krasjanki, które robiły to, gdy przychodziły po zmarłych na początku nowego miesiąca. Otworzyła buteleczkę, przyjrzała się szerokiej szyjce z ostrą krawędzią, doskonałą do ściągnięcia kropli z policzków. Podeszła bliżej i złapała do fiolki łzę, zanim kropla spadła, a potem przeciągnęła

krawędzią po wilgotnym śladzie pod okiem.

Shanvah zaczęła tylko mocniej lamentować, jakby pogrążyła się w żałobie tylko po to, aby wylać jak najwięcej łez. Renna, choć szybka, ledwie mogła nadążyć. Napełniła dwie fiolki i dopiero wtedy Shanvah przestała płakać.

– Co się stało z demonem? – zapytała, gdy trochę się uspokoiła.

– Zabiliśmy go – odparła Renna.

– Na pewno? – Krasjanka chwyciła swoją towarzyszkę za ramię.

– Własnoręcznie odciąłem mu głowę.

Shanvah cofnęła się powoli. Wyglądała na przybitą i pokonaną. Renna nigdy jej takiej nie widziała, chociaż sama pobiła ją do krwi zaledwie parę tygodni temu.

– Dziękuję – szepnęła Shanvah.

Renna skinęła tylko głową. Wolała nie wspominać, że musiała też walczyć z Enkido, gdy spotkali się po raz pierwszy.



Dotarli do Słońca Anocha przed rankiem pierwszego dnia w Nowiu. Arlen poprowadził grupę do grobowca Kajiego i wszyscy zabrali się do pracy w krypcie.

W ciemnościach pod piaskiem Słońce Anocha tętniło od magii, starodawnej i głębokiej. Osadzone w każdej, najmniejszej drobinie piasku, zasysało moc z dna Otchłani przez tysiące lat. Arlen wypuścił pasma własnej magii, aby połączyć się ze starożytnym miastem, i od razu poczuł, jak Słońce Anocha budzi się do życia. Wydawało się przedłużeniem ciała Naznaczonego. Wibrowało mocą, użyczając mu sił do sprostania nadchodzącej próbie.

Jardir wznosił modlitwę do Everama, a Arlen ukrył swój cynizm i z uprzejmości pochylił głowę. Widział w aurach Krasjan szczerłość, wyczuwał też siłę, jaką czerpali z wiary.

Nawet w Rennie jaśniała wiara, pomimo wszystkiego, co uczyniono jej w imię Kanonu.

Szkoda, że nie mogę się przyłączyć, pomyślał Naznaczony. Pozostali ludzie w krypcie byli przekonani, że wypełniają wielki plan Stwórcy. Tylko Arlen miał świadomość, że wmawiają to sobie z każdym słowem modlitwy.

– Wystarczy – przerwał wreszcie śpiewne modły, bo miał wrażenie, że nigdy się nie skończą, a więcej nie mógł już znieść. – Noc się zbliża. Zajmijcie miejsca i żadnych hałasów.

Jardir posłał mu spojrzenie pełne irytacji. Słońce nawet jeszcze nie zaczęło zachodzić. Jednak skinął głową. To nie była odpowiednia pora na spory.

– Par' chin mądrze mówi.

Shanjat i Shanvah zajęli miejsca w zasadzce w niszy wykutej w skalnej ścianie. Arlen otoczył ją runami maskującymi. Dla oczu demonów ściana będzie wyglądała na nietkniętą.

Renna okryła się Płaszczem Ślepoty i przycisnęła przy małych drzwiach do krypty. Arlen zajął pozycję naprzeciw niej i odciął się od magii Słońca Anocha, inaczej książę otchłańców mógłby wyczuć jego obecność.

Następna godzina upłynęła w bezruchu i ciszy. Była to chyba najdłuższa godzina w życiu Arlena. Z każdą ciągnącą się minutą coraz bardziej żałował, że przerwał modły tak wcześnie.



Zapadła noc, ale atak nie nadszedł. Arlen zdawał sobie sprawę z ryzyka, ale po następnej godzinie nie mógł już znieść oczekiwania. Otworzył się na magię Słońca Anocha i wyteżył zmysły w poszukiwaniu wrogów.

Byli tam. Co więcej, było ich tysiące.

Demony umysłu przejrzały jego myśli. Znały dokładnie plan miasta i wiedziały, gdzie znajduje się grobowiec Kajiego.

Ale wcale się nie śpieszyły. Miały trzy noce na sprofanowanie i zniszczenie miasta i najwyraźniej postanowiły delektować się tym zajęciem. Ziemia zadrżała, gdy otchłańce zaczęły rozszarpywać Słońce Anocha.

Przez całą noc Arlen i pozostali czekali w ciszy i bezruchu, słuchając głębokich łomotów i wstrząsów demoniego najazdu na miasto. Do świtu żaden stwór nie pojawił się nawet w pobliżu krypty.

Książęta Otchłani zachowały sobie grobowiec Kajiego na koniec.



O świcie wszyscy byli zeszywniali i wyczerpani. Masowali bolące mięśnie i spoglądali pytająco na Arlena.

– Mówiłeś, że przyjdą, Par’chinie – warknął Jardir. – Tutaj. Dokładnie w to miejsce. Przysięgłeś na honor! Obrażam Kajiego, ukrywając się, zamiast...

– Przyjdą! – zapewnił Arlen. – Nie wyczułeś tego? Dzisiejsza noc to dopiero początek.

– Skąd możesz to wiedzieć? – burknął Ahmann.

– Miasto mi powiedziało.

Na twarzy Jardira grymas gniewu ustąpił niepewności.

– Miasto? Oszalałeś, Par’chinie?

Arlen wzruszył ramionami.

– Zapewne bardziej, niż mi się zdaje, ale nie w tej kwestii. Wyczuwam tu starą magię. Magię, która była w sercu tego miasta za życia twoich przodków. Otwórz się na nie, a miasto przemówi.

Jardir stanął w rozkroku i zamknął oczy. Arlen zobaczył napływającą magię, ale Ahmann wkrótce pokręcił głową. Uniósł powieki i spojrzał na towarzysza.

– Jest tutaj moc, jak mówiłeś, Par’chinie, ale Słońce Anocha milczy.

Arlen popatrzył na Rennę, która już zamknęła oczy i Pobrała jak wcześniej Jardir. Po chwili jednak tylko wzruszyła ramionami.

– Jest tutaj – upierał się Arlen. Odrzucił całkiem realną możliwość, że naprawdę oszalał. – Tyle że słuchanie wymaga ćwiczeń.

– Więc co się stało? – zainteresowała się Renna.

– Demony ustawiły się w krąg wokół miasta – wyjaśnił Naznaczony. – Z grobowcem Kajiego w środku. Wypalają sobie drogę. Wkrótce do nas dotrą. Gdy skończy się Nów, nie zostanie kamień na kamieniu.

– Chyba oszaleję, jeżeli spędzę tak kolejną noc, nie mówiąc o dwóch. – Renna ruszyła do wyjścia. – Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Arlen zastawił jej drogę.

– Zły pomysł. Nie wolno dopuścić, żeby demony wyczuły nasz zapach.

– Więc co? Mamy spędzić trzy dni pogrzebani w tym grobowcu? – oburzyła się Renna.

– Jeżeli tak właśnie trzeba – zgodził się Jardir. – Umrzemy tutaj w razie konieczności.

Arlen kiwnął głową, lecz Ahmann jeszcze nie skończył.

– Ale nie mam pewności, czy to jest konieczne. Chciałbym na własne oczy zobaczyć zniszczenia, aby przekonać się, że głos, który do Ciebie przemówił, to nie majaki szaleńca. Jeżeli *alagai* atakują w takim zapamiętaniu, że chcą zrównać z ziemią miasto w ciągu jednego Nowiu, nie będą węszyć za ludźmi.

Podszedł do wyjścia na tyle powoli, żeby Arlen miał szansę go powstrzymać. Albo przynajmniej spróbować. Jednak aura Jardira ujawniała, że podjęcie takiej próby byłoby bardzo nierozważne. Arlen wycofał się bez słowa.

Ostrożnie przesunęli ciężki, pokryty runami kamień, który zasłaniał przejście, i wydostali się na powierzchnię. Zastali tam ponury widok.



Jardir spoglądał z ciężkim sercem na zrujnowane miasto. Par’chin oskarżył Krasjan o zniszczenie Słońca Anocha – nie bezpodstawnie zresztą – ale ludzie Ahmanna ledwie je drasnęli w porównaniu z furią książąt *alagai*.

Demony umysłu pozwoliły swoim poddanym się zabawić, wykopywać rzeźby i budowle z piaskowca tylko po to, aby je rozetrzeć na piach, stopić w szkło. Jak powiedział Par’chin, pierścień zniszczenia o promieniu paru mil otaczał miasto niczym fosa. Głęboki krater wypełniły strzaskane resztki tętniącej niegdyś życiem metropolii. Żaden z odłamków nie był większy od drobnej piąstki Shanvah.

Oprócz ciała.

Na granicy kręgu demony ustawiły sarkofagi największych przywódców Słońca Anocha, wywleczone

z podziemnych grobowców. Jardir uniósł wieko jednej z trumien, lecz zaraz odwrócił się ze zgrozą. Opuścił pokrywę i pochylił się, gdy targnęły nim mdłości.

Sarkofag po brzegi wypełniała ciemna, oleista maź, jej odór przyprawiał o ból głowy. Ahmann przełknął z trudem ślinę, osłonił usta i nos jedwabiem.

Niewiele to pomogło. Oczy go piekły od przenikliwych oparów, jednak zmusił się do ponownego podejścia. Dostrzegł strzęp całunu, którym owinięto ciało przodka, teraz unoszące się w ohydnej brei. Khanjin, dalszy krewniak Kajiego i jeden z dwunastu świętych, leżał zbezczeszczony i splugawiony.

Renna zbliżyła się ostrożnie i, jak wcześniej Jardir, cofnęła pośpiesznie.

– Na noc! Co to jest?

– Odchody demona umysłu. – Nawet Par’chin pozieleniał. – Jedzą tylko mózgi, żeby było jeszcze bardziej obrzydliwe. Dzięki temu uzyskują tę oleistą, śliską konsystencję. Przywiera do wszystkiego, z czym się zetknie.

– Jest palna? – zainteresował się Jardir.

– Tak – przyznał Arlen. – Ale...

– Nie zostawię swoich przodków w takim stanie, Par’chinie.

– Owszem, zostawisz. Może masz rację i otchłānce nie wyczują naszego zapachu, ale na pewno po zachodzie słońca zauważą, jeżeli spalimy ich śliczną wystawę. Wrócimy tutaj. Ale teraz musimy poczekać, aż przyjdą prosto do nas, i wtedy odpłacimy im osobiście.

Jardir chciał się spierać. Każda cząstka jego duszy krzyczała, aby zemścić się za splugawienie szczątków świętych przodków. Ale Par’chin miał rację – równowagę można było przywrócić tylko w jeden sposób, należało się upewnić, że *alagai* drogo zapłacą za tę obelgę.



Arlen czuł ucisk w klatce piersiowej. Musiał przypominać sobie, że ma oddychać. Nie ośmielił się tknąć mocy Słońca Anocha, aby dowiedzieć się czegoś o przeciwniku. Była to trzecia noc Nowiu. Odgłosy zniszczenia zbliżały się coraz bardziej, zdawało się, że krypta zaraz się zapadnie. A potem kakofonia urwała się, słychać było tylko szmer opadającego wokół pyłu.

Nawet bez pomocy swojej magii Naznaczony wyczuł nadchodzące demony umysłu. Wiele demonów umysłu. Zbyt wiele. Towarzysze Arlena będą musieli wykorzystać każdą przewagę i zaskoczenie, ale i to mogło nie wystarczyć.

Stwórco, pomyślał, choć czuł się jak głupiec. Jeżeli jesteś gdzieś tam, to dobry moment, aby się przyłączyć.

Oczywiście nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Wcale na nią nie liczył, ale chyba tym razem ucieszyłby się, gdyby się okazało, że nie miał racji.

Renna wytarła spocone dłonie o ciasno zasnurowaną kamizelkę i rozprostowała palce. Odruchowo pogłaskała rękę swojego noża.

Po przeciwnej stronie krypty Shanjat przestąpił z nogi na nogę i mocniej ujął włócznię. Tylko Shanvah nie okazywała zmęczenia. Nie poruszyła się od wielu godzin, a jej aura wydawała się płaska i równa – można by sądzić, że dziewczyna śpi, gdyby nie miała otwartych oczu.

Za ścian dochodziło syczenie i drapanie, gdy demony niszczyły runy broniące dostępu do krypty. Arlen spojrzał na symbole niewidzialności, które wyrysował wokół niszy. Zaniepokoił się, czy wytrzymają. Aktywował znaki na swojej skórze, zauważywszy, że Renna ciasniej otula się płaszczem.

Wielki głaz zastawiający wejście rozpadł się z hukiem. Odłamki pomknęły we wszystkie strony. Renna krzyknęła zaskoczona, ale stała bezpiecznie z boku, żaden jej nie dosięgnął. Pozostali nie mieli tyle szczęścia. Shanvah w porę uniosła tarczę, ale siła uderzenia zwała dziewczynę z nóg. Duży kawał skały uderzył Shanjata w głowę. Zanim wojownik się osunął, córka przytrzymała go, aby nie wypadł poza bezpieczną granicę wyznaczoną przez runy, jednak było jasne, że dla niego walka się skończyła.

Pył jeszcze nie opadł, a demon naśladowca już wdarł się do krypty. Był bezkształtny, przelewał się po podłożu jak ciecz. W dziennym świetle wyglądałby zapewne jak roztopiona smoła, ale w blasku runów jaśniał magią otchłāni. Ludzie trwali czujni i spięci, zaraz miało się okazać, czy zostali zauważeni.

Gdy używało się runów do tworzenia barier ochronnych, zawsze pojawiała się obawa, że tym razem otchłānce się przebiją. Arlena ścisnęło w piersi i znowu zmusił się do nabrania tchu.

Jeżeli jednak zmiennokształtny ich dostrzegł, nie dał tego po sobie poznać. Nieśpiesznie przemieścił się wokół grobowca, opłynął wielki, chroniony runami sarkofag, po czym wrócił pod wejście. Przypominał teraz kałużę. Ale

zaraz, niczym człowiek wynurzający się z kotła melasy, otchłaniec zaczął przybierać kształt. Podnosił się, aż barkami niemal sięgnął niskiego sufitu, rozciągnął, a wreszcie uformował w postać o mocarnych nogach i sięgających ziemi ramionach z długimi, czarnymi jak obsydian szponami.

Demon umysłu wkroczył do krypty. Arlen uśmiechnął się, po czym uniesieniem ręki nakazał reszcie czekać na odpowiedni moment. Otchłaniec był mniejszy od tych, z którymi Naznaczony walczył poprzednim razem, o drobnych kończynach i jeszcze mizerniejszych szponach. Szczątkowe rogi wieńczyły wielką gruszkowatą głowę, a gigantyczne ciemne oczy przypominały studnie bez dna.

Uśmiech jednak spełził mężczyźnie z twarzy, gdy ujrzał kolejnego demona umysłu wchodzącego do krypty. I następnego... Razem było ich sześć.

Od razu zbliżyły się do sarkofagu, który zaczął coraz mocniej świecić – runy trzymały otchłańce na dystans. Arlen dostrzegł symbole zakazu, nieprzenikalną barierę otaczającą kamień jak bańka. Demony mogły podejść blisko, ale nie dotknąć. Runy Kajiego były zbyt potężne.

Myślaki stanęły w ciszy i przyjrzały się znakom. Ich wysklepione czoła pulsowały w niesłyszalnej rozmowie. Arlen wyczuwał te wibracje w powietrzu – aktywne runy chroniące umysł sprawiały, że docierał do niego tylko niewyraźny szum, nic więcej.

Potem jak jeden mąż otchłańce odwróciły się tyłem i ugięły kolana. Uniosły wyrostki, niegdyś zapewne ogony, i z obrzydliwym mlaśnięciem wypuściły strumienie czarnych, oleistych fekaliów.

Odór, który wypełnił kryptę, mógł pozbawić człowieka przytomności. Arlenowi napłynęły łzy do piekących oczu, płuca zapłonęły bólem. Męczyzna pozazdrościł Krasjanom zasłon na twarzach, chociaż wątpił, aby na wiele się zdały. Zasłona niewidzialności zadrżała nieco, gdy Renna uniosła dłoń do ust i nosa, aby powstrzymać mdłości, na szczęście otchłańce, zajęte sarkofagiem, nic nie zauważyły.

Demony umysłu świeciły jasno od magii, o wiele jaśniej niż zmiennokształtny, który utrzymywał więcej mocy niż jakikolwiek inny otchłaniec. Tyle że księżęta *alagai* całkowicie władali swoją mocą i nie tracili ani odrobiny, gdy z niej korzystali. Ich fekalia okazały się dla magii śmiertelne, blokowały działanie runów. Znaki ciemniały i znikwały pod oleistą mazią, która na powietrzu szybko wysychała w twardą warstwę niczym zaprawa murarska.

Arlen zebrał się w sobie. Już prawie nadeszła pora. Opanował drżenie ręki, zanim dał nią znak do działania. Druga taka szansa nigdy się nie powtórzy.

Powstrzymał go jednak chrzęst pazurów w korytarzu wiodącym do krypty. Nieoczekiwanie myślożercy wyprostowali się i odsunęli od sarkofagu. Ustawili się pod ścianami i uklękli ze szponami na podłodze i odsłoniętymi karkami. Jeden stwór znalazł się tak blisko, że Renna mogłaby go dotknąć, gdyby chciała, inny był w zasięgu włóczni Shanvah, przyczajonej w pozycji obronnej nad nieprzytomnym ojcem.

Demon, który wszedł do krypty, niewiele różnił się od pozostałych – mały i drobny, z zębami jak igły i szponami, które wydawały się niemal kruche, niczym pomalowane paznokcie angieriańskiej arystokratki. Jednak moc, jaką władał ten otchłaniec, okazała się przytłaczająca. Arlen nigdy nie wyczuł takiego natężenia u jednej istoty. Nawet wielki run Zakątka nie utrzymałby takiej magii. Może ten przybysz nie dorównywał pozostałym sześciu myślożercom razem, ale niewiele im ustępował. Arlen wiedział, że księżęta otchłańców miały hierarchię opartą na wieku i sile, ale dotychczas widział jej przejaw tylko jako niechętnie okazywanie respektu, nie jawne poddaństwo. Ten księżę Otchłani musiał być bardzo stary i naprawdę silny, skoro jego pobratymcy płaszczyli się pod ścianami i zginali karki.

Czy jednak był na tyle silny, aby dostrzec ich przez zasłonę z runów? Arlen napiął mięśnie w gotowości do ataku na najdrobniejszą oznakę, że on i jego towarzysze zostali odkryci. Znowu poczuł palenie w piersi, ale nie odważył się nawet odetchnąć, dopóki demon go nie minął i nie stanął przed sarkofagiem.

Czaszka starego demona zapulsowała, a wtedy zmiennokształtny zerwał się, wyciągnął ramiona i uniósł ciężkie kamienne wieko, po czym odrzucił je bez wysiłku. Myślożerca skoczył z zaskakującą gracją i siłą, po czym stanął w rozkroku na obrzeżu trumny i balansując lekko, spojrzął na zmumifikowane ciało swojego największego przeciwnika. Potem demon przykucnął, a jego szczątkowy ogon uniósł się, aby odsłonić odbył.

I właśnie wtedy Jardir, ukryty w sarkofagu pod Płaszczem Ślepoty, uderzył.

Zanim demon pojął, co się dzieje, Jardir wbił grot włóczni Kajiego między nogi otchłańca i cofnął. W tej samej chwili aktywowała się korona i uwięziła księcia demonów w nieprzeniknionej bańce energii, a Jardir uderzył ponownie.

– Teraz! – krzyknął Arlen i rzucił się na najbliższego myślaka.

Renna i Shanvah zaatakowały równocześnie. Renna odcięła głowę najbliższego demona, nóż jej ojca przeciął chudą szyję jak rzeźniczy tasak łeb kurczaka.

Atak Shanvah również był śmiertelny – jej włócznia przebiła serce demona, a obrócona rozdarła na strzępy witalne organy wewnętrzne. Demony umysłu potrafiły uzdrowić większość swoich ran w przerażająco krótkim czasie,

ale nawet one nie były odporne na takie ciosy.



Jeden z myślożerców odwrócił się, aby uciec, gdy Arlen złapał go za rogi i z siłą wzmocnioną impetem swojego skoku skręcił stworowi kark. Nie zamierzał jednak na tym poprzestać; wiedząc, że bestia była w stanie uleczyć nawet taką ranę, postawił powalonemu stworowi nogę na torsie i wykręcał mu głowę, dopóki łuskowata skóra na szyi i mięśnie nie zaczęły pękać. Z rykiem Arlen oderwał myślakowi głowę.

Nieme wrzaski agonii trzech demonów umysłu rozeszły się wokół jak kręgi na wodzie. Doświadczenie pokazało, że śmierć myślożercy może zabić lub doprowadzić do szaleństwa każdego pomniejszego otchłanca w promieniu mili. Nawet Arlen, choć chroniony runami, słyszał zew umierających stworów – zdawało się, że nawet powietrze krzyczy. Pozostałe demony umysłu i zmiennokształtny zniosły to jeszcze gorzej. Uniosły szpony do głów i zawyły.

Arlen nie dał im czasu na dojdzie do siebie. Zacerpnął starej magii Słońca Anocha. Moc odpowiedziała

natychmiast, jakby tylko czekała na zemstę za zrujnowanie miasta. Mężczyzna przywołał runy gorąca i uderzenia, które powaliły i oszołomiły demony. Kamienie zadrżały od wstrząsu, na filarach podtrzymujących sklepienie pojawiły się pęknięcia. Arlen nie ośmielił się przywołać takiej mocy po raz drugi. Gdyby celem tego przedsięwzięcia było po prostu zabicie demonów, mężczyzna nie zawahałby się ryzykować życia ich wszystkich, ale mieli przed sobą inne zadanie.

Dogonił jednego z demonów i kopnął go w gardło. Renna i Shanvah już śpieszyły na pomoc. Jednak myślozerca spojrzawszy na Naznaczonemu w oczy, nim trafił go wzmocniony runami cios. Stwór rozwiął się jak mgła – opuścił kryptę i znalazł swoją ścieżkę do Otchłani. Kopnięcie Arlena strzaskało tylko kilka gładów w ścianie, a z nadwyrężonego sufitu posypało się więcej pyłu.

Pozostałe myślaki uczyniły to samo – uciekły bez zastanowienia. Arlen tego właśnie się po nich spodziewał. Demony umysłu okazywały uległość silniejszemu, ale lojalność była dla nich pojęciem obcym. Bez wahania pozwoliły pobratymcom ginąć i stracić szansę na rozmnażanie. W krypcie pozostał tylko uwięziony przez Ahmanna księżę Otchłani oraz zmiennokształtny.

Jardir powalił otchłańca, ale stwór okazał się silniejszy, niż się mogło wydawać. Chociaż Korona Kajiego uniemożliwiała demonowi ucieczkę lub wezwanie pomocy, Ahmann nie mógł wykorzystać jej wszystkich mocy, jeżeli chciał utrzymać pułapkę.

Księżę demonów zaskrzeczał, a w odpowiedzi zmiennokształtny ruszył mu z odsieczą. Arlen wyrysował run zimna i zamroził napastnika, a Renna wyprowadziła kopnięcie, które oderwało mu nogę. Kończyna uderzyła o ziemię i roztrzaskała się w drobny mak. Renna już się obracała do ostatecznego ciosu.

Naśladownik roztopił się w kałużę, zanim uderzenie go dosięgło. Kobieta straciła równowagę. Z galaretowatej kałuży wystrzeliły macki. Runy na skórze Renny i tarcza Shanvah nie pozwoliły demonowi dotknąć wojowniczek, ale odrzuciły go z taką siłą, że obie kobiety, odepchnięte, upadły.

Obie jednak nie walczyły po raz pierwszy. Shanvah nie straciła ani na chwilę kontroli – przetoczyła się i wstała na ugiętych nogach, po czym natarła ponownie. Renna miała mniej gracji, ale dzięki sile nocy zerwała się jeszcze szybciej i była gotowa do ataku, zanim demon zdążył zmienić kształt.

Naśladownika nie wolno było lekceważyć. Jego rodzaj nie tylko strzegł księżąt Otchłani, lecz także przewodził armii otchłańców i przewyższał inteligencją swoich prostych pobratymców. Arlen wyczuł, jak zmiennokształtny wzywa posiłki. Wszystkie stwory w pobliżu były albo martwe, albo szalone, ale wezwanie na pewno poniesie się dalej, poza zasięg mentalnego krzyku myślaków. Otchłańce nie dostaną się do chronionego runami grobowca, ale niedługo tunel wypełnią łuski i szpony.

Arlen popatrzył na Jardira, zwartego w walce z demonem umysłu. Wiedział, o co przede wszystkim musiał się zatroszczyć.

– Zabijcie zmiennokształtnego! – krzyknął do Renny i Shanvah. – Wzywa pomoc!

Po czym odwrócił się od kobiet i dołączył do bitwy z księciem *alagai*.



Kobiety uderzyły równocześnie. Renna wymierzyła nóż w tors naśladownika, podczas gdy Shanvah pchnęła włócznią w plecy.

Oba ataki chybiły. Ciało demona roztopiło się przed runiczną bronią jak wosk w ogniu. Grot Shanvah o włos minął twarz jej towarzyszki.

– Pilnuj tunelu! – zawołała Renna. – Poradzę sobie!

Demon uderzył, ale runy na jej ciele rozblęły i potężne szpony demona zbiły Rennę z nóg, zamiast rozerwać na dwoje.

Shanvah spojrzała z powątpiewaniem, ale zaraz skinęła głową i ruszyła do przejścia, szykując łuk.

Renna wyrysowała run ochronny przed zmiennokształtnym, jak nauczył ją Arlen, czerpiąc hojnie z mocy Słońca Anocha, aby uaktywnić symbol. Demon został ciśnięty na ścianę, a sufit po raz kolejny niebezpiecznie zadrżał. Renna próbowała wyrysować w powietrzu inne znaki, aby uwięzić demona, ale naśladownik wbił szpony w kamień, wyrwał wielki odłamek piaskowca i rzucił w napastniczkę. Dziewczyna skoczyła w bok, lecz nie była wystarczająco szybka. Gład uderzył ją w ramię i powalił. Potoczyła się bezwładnie i uderzyła głową o twarde podłoże, aż przed oczyma zawirowały jej gwiazdy.

Potrzebowała zaledwie kilku sekund, by dojść do siebie. Pobrała moc, aby uleczyć rany i odzyskać jasność myśli,

ale naśladownik zdążył wyrwać kolejny odłamek. Nie obchodziło go, że w ten sposób przyśpiesza tylko zawalenie się sufitu. Głaz zmiażdżyłby Rennę, gdyby nie Shanvah. Jej pierwsza strzała trafiła stwora w ramię, wytrącając mu głaz. Następna utkwiała w twarzy i posłała strumienie zabójczej magii w ciało zmiennokształtnego. Demon zaskrzeczał, po czym zaczął się rozpyliwać. Strzała zawisała w powietrzu i upadła, gdy stwór znowu zmieniał postać.

Chwycił trzeci odłamek, aby cisnąć nim w Shanvah, ale Renna rzuciła nożem i spudłował. Głaz rozprysnął się przy wejściu do tunelu, Krasjanka w porę osłoniła się tarczą. Zanim naśladownik zdołał się znowu wcielić w nową postać, Renna dopadła go i zaczęła bić i kopać. Niektóre ciosy trafiały i kobieta czuła, jak wpływa w nią magia demona, lecz inne napotykały tylko mgłę, a chociaż otchłaniec nie mógł dotknąć skóry Renny, impet jego ataków i odrzut runów utrudniały utrzymanie równowagi.

Dziewczyna rozejrzała się szybko. Shanvah wróciła do walki – strzelała w głąb tunelu wiodącego do krypty, skąd dochodziło skrzeczenie piaskowych demonów, które przybyły na wezwanie zmiennokształtnego.



Arlen obserwował, jak Jardir i demon umysłu walczyli w odchodach na podłodze wokół sarkofagu. Ahmann znalazł się za demonem i założył mu Włócznię Kajiego wokół szyi. Stwór odchylił wielką głowę, syczał i prychał. Jego skóra skwierczała pod dotykiem drzewca, z rany unosił się dym.

Widząc, że Jardir trzyma demona z całych sił, Arlen wykorzystał chwilę, aby Poznać przeciwnika przed atakiem. Dotknął magii księcia otchłańców i spróbował wciągnąć jej choć trochę, aby poszukać słabości.

Ale myślożerca przejrzał podstęp i choć wciąż walczył z Krasjaninem, to w tym samym czasie wyłapał strużkę mocy, którą chciał Pobrać Arlen, przyciągnął ją na powrót i nie ujawnił nic.

A potem demon umysłu zaczął puchnąć, cienka skóra napięła się i utwardziła, wyrosły z niej ostre kolce. Myślożercy nie mogli zmieniać kształtu jak naśladowniki, ale nie byli całkowicie bezradni.

Stwór mierzył sobie teraz prawie siedem stóp. Wstał, unosząc przy tym Jardira, nie mógł uciec ani wezwać pomocy, dopóki Ahmann utrzymywał barierę runiczną korony, ale oznaczało to, że mężczyzna nie mógł wykorzystać jej pozostałych mocy, ani też nie mógł po prostu zabić przeciwnika, wtedy wszystko poszłoby bowiem na marne.

Arlen przyłączył się szybko, zanim Jardir stracił przewagę. Raz po raz zadawał pięścią ciosy w tors i głowę demona. Miał wrażenie, że uderza w mur. Czuł, że kości otchłańca pękają, ale goiły się szybciej, niż nadążał z atakami.

Demon odskoczył, pchnął Jardira na ścianę i wbił mu głęboko kolce wyrastające ze skóry. Ahmann jęknął, ale wytrzymał, gdy otchłaniec cofnął się o krok, aby uderzyć ponownie.

Arlen nie dał mu szansy – kopnięciem podciął stworowi kolano. Demon ukląkł, próbując odciągnąć dławiącą go włócznię, ale runy na drzewcu nie pozwalały mu zacisnąć na niej dłoni. Mężczyzna okładał bulwiastą głowę demona, byle nie dać mu szansy na kontratak.

I wtedy demon nagle zaczął się zmniejszać, stał się jeszcze drobniejszy niż na początku. Wyślizgnął się z uścisku przeciwnika i narysował szybko run, który sprawił, że kamienie wybuchły pod stopami ludzi, zwalając ich z nóg.

Korona Kajiego ześlizgnęła się z czoła Ahmanna i potoczyła po podłodze. Księżę otchłańców natychmiast spróbował uciec.

Jednak Arlen zbyt długo czekał na tę chwilę, zbyt wiele poświęcił, żeby teraz pozwolić na tę ucieczkę. Rozproszył się i ruszył w pogoń. Stawiał już czoła demonom w niematerialnej, przejściowej postaci i wiedział, że to walka zależna bardziej od siły woli niż mocy. Trzy demony umysłu okazały się od niego silniejsze, ale mężczyzna był pewien, że z jednym sobie poradzi. Kiedy chodziło o los ludzkości, żaden demon nie mógł pokonać woli Arlena.

Kryptę chroniły runy i pomiędzy przyciętymi kamiennymi blokami nie było żadnej ścieżki wiodącej do Otchłani. Demon pomknął do Shanvah przy wejściu do tunelu, dziewczyna strzałami z łuku desperacko starała się powstrzymać natarcie demonów wezwanych przez naśladownika, którego zew wibrował w powietrzu.

Arlen złapał księcia otchłańców, zanim ten zdążył wybiec z grobowca, zmieszał swoją esencję z jego, zamknął przeciwnika i próbował siłą woli zmusić go do uległości.

Lecz ten demon umysłu nie przypominał żadnego, z jakim Naznaczony miał dotychczas do czynienia. Nawet połączone siły trzech, z którymi Arlen walczył wcześniej, nie przełamały tak łatwo jego obrony jak ten księżę otchłańców. Demon wślizgnął się do umysłu Arlena bez wysiłku, jakby wkładał dobrze rozchodzone buty. Mężczyzna mógł zrobić w tej sytuacji tylko jedno. Jak podczas poprzedniego starcia z myślożercami, porzucił bezużyteczną już obronę i zaatakował ostro myśli demona w nadziei, że odkryje słabość. Równie dobrze jednak mógłby próbować

przebić głową mur otaczający Fort Krasja. Umysł księcia demonów był nieprzenikniony, mimo że otchłaniec przeglądał myśli Arlena – jego istotę – bez wysiłku.

Gdyby mógł, Naznaczony wrzeszczałby z wściekłości i rozpacz.

Ocalił go Jardir. Kiedy Par'chin opóźnił ucieczkę demona, Ahmann ponownie wznosił barierę i posłał błyskawicę z Włóczni Kajiego w kłęb mgły, w który zamienili się walczący. Nie wiadomo, czy wyczuł, że Arlen traci przewagę, i postanowił zabić i towarzysza, i otchłańca – czy wcale o to nie dbał – ale ból, który odczuli obaj spleceni przeciwnicy, sprawił, że księżę otchłańców zerwał więz z umysłem swojej ofiary. Arlen szybko się zmaterializował. Upadł ciężko, a jego pamięć znowu znalazła się pod ochroną runów.

Odetchnął z ulgą. Nie pierwszy raz nadmierna pewność siebie omal nie doprowadziła go do klęski. Byłby głupcem, gdyby spróbował znowu starcia woli z tym księciem demonów. Musiał wymyślić inny sposób.

Jardir stanął u jego boku, ale nie pomógł Arlenowi się podnieść. Obaj nie spuszczała oka ze świecącej mgły, w którą zamienił się demon umysłu, unoszącej się tuż przy barierze. W swoim niematerialnym stanie demon nie mógł rysować runów ani wyrządzić im innej krzywdy. Polatywał wzdłuż krawędzi pola ochronnego i szukał szczeliny, którą mógłby wykorzystać do ucieczki. Po drugiej stronie krypty Renna i Shanvah walczyły o życie, jednak żaden z mężczyzn nie ośmielił się odwrócić wzroku od myślaka.

– Co robimy, Par'chinie? – zapytał Jardir. – Nie możemy tak czekać przez wieczność.

– Nie – zgodził się Arlen. – Ale możemy czekać dłużej niż on.

Podszedł do ściany i odsunął ciężki głaz, którym zamaskowali ukryty tunel wiodący na powierzchnię.

– Wciągnij go z nami na górę. Wkrótce wzejdzie słońce.

Jednak na te słowa demon zmaterializował się i zaatakował.



Renna znowu uderzyła w ścianę i straciła dech w piersi. Odepchnęła się mocno i zaraz opadła na czworaka, gdy pokrywa sarkofagu Kajiego, setki funtów kamienia, roztrzaskała się tuż za nią.

W okamgnieniu kobieta zerwała się ponownie do ataku. Uderzała stopami i pięściami, łokciami i kolanami. Dostrzegając, że zmiennokształtny traci odrobinę magii przy każdym uzdrowieniu po otrzymanym ciosie, ale nie robiło to znaczącej różnicy. Jedno z nich w końcu straci swoją moc szybciej od drugiego i łatwo było przewidzieć, kto to będzie.

Zmiennokształtny zachował materialną postać. Wyrwał wielki kawał zniszczonej pokrywy sarkofagu i ciął nim jak ostrzem. Renna zrobiła unik, ale atak jej dosięgnął, złamał szczękę i wybił zęby.

Potoczyła się, ignorując ból. Wiedziała, że utrata koncentracji to pewna śmierć. Rysowała runy gorąca i uderzenia nawet wtedy, gdy padła na podłogę, a odłamek w szponach naśladownika rozprysnął mu się w twarz, zanim demon zdążył zaatakować ponownie.

Zakręciło jej się w głowie od wydatku magii, ale szybko Pobrała więcej, aby zwiększyć swoją moc. Tak wiele, że magia zdawała się palić kobietę od wewnątrz, wysuszać gardło i mięśnie. Renna pchnęła tę moc w zmiennokształtnego, cisnęła nim o ścianę z taką siłą, że strzaskał filar i zwałił na siebie część sufitu. Posoka z odłamkami wypłynęła spod rumowiska, ale Renna wiedziała, że ciecz porusza się celowo i otchłaniec zaraz się zmaterializuje. Zakrztusiła się pyłem, zapiekły ją przesuszone oczy. Na noc, czy nie ma sposobu, żeby zabić tego demona?

Zerknęła na Arlena i Jardira, nadal zajętych walką z księciem otchłańców, potem na Shanvah z tarczą i włócznią, broniącą przejścia do krypty. Renna wiedziała, że tylko od niej zależy wynik tej bitwy. Zmiennokształtny mógł zapewnić demonom przewagę, jeżeli tylko znajdzie okazję. Dziewczyna nie zamierzała pozwolić, aby ten stwór pokrzyżował plany ludzi.

Wyrysowała run magnezu i nóż leżący w rumowisku pomknął ku jej dłoni. Renna chwyciła mackę, która uformowała się z kałuży czarnej mazi na podłodze, po czym odcięła ją bez wahania. Odcięta kończyzna zaczęła się rozplýwać, gdy kobieta odrzuciła ją daleko. Demon mógł się uzdrawiać, ale nie mógł odtworzyć utraconej części ciała.

Jeśli trzeba będzie, Renna była gotowa zniszczyć demona kawałek po kawałku.

Zmiennokształtny też to zrozumiał. Czarna, oleista kałuża uciekła na ścianę i zebrała się na suficie. Renna skoczyła gotowa zadać cios nożem, ale nie była w stanie dosięgnąć żadnego ważnego organu potwora. Galaretowata maź cofnęła się przed ostrzem, po czym wyciągnęła mackę, która uderzyła kobietę od tyłu.

Renna otrząsnęła się niemal natychmiast, ale demon już zdążył przybrać nowy kształt i skoczyć. Runy wymalowane tuszem na plecach były słabe, skórę pokrywał starożytny pył zmieszany z gęstą krwią i potem. Stwór zamachnął się długimi, pazurzastymi łapami. Złapała go za nadgarstki i próbowała się wyrwać, ale pazury zacisnęły się na jej gardle.

Kopnęła w tył, ale naśladownik już ją trzymał, więc przyjął cios i tylko mocniej zacisnął pazury na gardle. Próbowwała rozpaczliwie zaczerpnąć tchu, twarz jej nabrzmiała, krew zaczęła łomotać w skroniach. Ujrzała, jak demon rozwiera wielką paszczę z rzędami ostrych zębów. Wykręciła się i kopnęła jeszcze raz. Chociaż rozdarła sobie stopę, strzaskała kilka kłów. Jednak zmiennokształtnemu zęby odrosły szybko, a Rennie pociemniało przed oczami.

Musiała się wyrwać, uciec. Bezskutecznie szarpnęła ramionami demona. Były twarde jak stal. Chciała wyrysować run, ale zmiennokształtny wypuścił macki, które odtrącały jej dłonie i uniemożliwiały uzyskanie precyzyjnego symbolu. Renna próbowała wytrącić naśladownika z równowagi, ale stwór wyhodował sobie pazury, które wbił w podłogę.

Straciła wzrok, gdy zmiennokształtny wbił w nią zęby. Nie mogła nawet krzyknąć.



Jardir nie stracił czujności i trzymał włócznię w gotowości na atak, gdy tylko demon wróci do cielesnej postaci, ale księżę *alagai* zawisł nad nim, jakby stał na twardym gruncie. Wyciągnął pazur i wyrysował skomplikowaną serię runów równie łatwo jak Jardir swoje imię na setkach dokumentów, które musiał podpisać.

Efekt był natychmiastowy. Ahmann czekał na zabójcze uderzenie magii, ale nie spodziewał się, że kamienna podłoga krypty zamieni się w bagno, które zaczęło go wciągać.

Zacisnął wargi, żeby nie wciągnąć błota do ust. Zamachał rękami, próbując znaleźć oparcie. Grot włóczni zazgrzytał na kamieniu, czyli runy księcia *alagai* miały ograniczony zasięg, ale Jardirowi nie udało się dotrzeć do krawędzi bagna. Jak większość Krasjan, nigdy nie nauczył się pływać. Nie wiedział, co dzieje się nad nim, ale wiedział, że życie Par'china i całej ludzkości na Ala zależy od utrzymania bariery. Opanował strach i skupił się na tworzoną przez koronę polu, aby nie wypuścić uwięzionego w pułapce demona.

Bolały go płuca, a każdy gwałtowny ruch zdawał się tylko wciągać głębiej. Wreszcie poddał się, wyprostował ramiona i palce, aby opaść niżej, i dotknął dna.

Rozluźnił się, rozstawił pewniej nogi i użył włóczni, aby Pobrać magię i wzmocnić kończyny przed rozpaczliwym skokiem ku wolności.

Wtedy jednak wokół zrobiło się lodowato – tak zimno, że zimowe noce w Krasji wydawały się upalnym latem. Błoto zamarzło i Jardir znalazł się w pułapce.



Arlen już miał wyciągnąć Jardira z pułapki księcia otchłańców, gdy pojął, że demon właśnie tego chciał. Zaklęcie nie miało zasięgu, aby złapać ich obu.

Ugiął nogi i skoczył, ale myślozerca okazał się iluzją. Prawdziwy demon musiał znajdować się blisko – i to w materialnej postaci, skoro rysował runy – ale najwyraźniej potrafił zamaskować się równie dobrze jak Arlen.

Mężczyzna mocno uderzył w sufit. Posypały się odłamki i pył, a Par'chin przy lądowaniu omal nie wpadł do bagna, w którym utknął Jardir. Zanim się cofnął, demon wyrysował kolejne znaki – błoto zamarzło i uwięziło nogę Arlena.

Mężczyzna chwycił największy głaz, jakiego zdołał dosięgnąć, podrzucił go i wyrysował run uderzenia. Piaskowiec rozsypał się w drobny pył i opadając, ujawnił zarys postaci demona osłaniającego się przed uderzeniem. Arlen z całych sił cisnął runicznym nożem, a potem podparł się rękami i wyrwał stopę z błota. Na zmarzlinie pojawiła się sieć pęknięć. Rosła coraz szybciej, a zaraz potem wystrzelił spod niej głaz.

Jardir wciągnął walczył.

Demon upadł ciężko, stracił osłonę niewidzialności. Sięgnął do rękojeści, aby wyrwać broń, ale z pazurów uniósł mu się dym, gdy tylko spróbował. Arlen uśmiechnął się szeroko. Wyrysował tę samą sekwencję runów, którą zastosował wcześniej *alagai*, ale demonowi udało się uniknąć pułapki – uniósł się nad błotem jak nad twardą ziemią.

A potem rozwiął się w mgłę i nóż Arlena wpadł w bagno, stracony na zawsze.

Ponieważ bariera wciąż trzymała, myślożerca nie mógł się za bardzo oddalić, a w swoim eterycznym stanie nie mógł również tworzyć runów ani pobierać magii. Arlen wyrysował kilka symboli, które posłały wyładowania magii i zmusiły demona umysłu do powrotu w cielesną postać.

Pod podłogą przebiegł wstrząs, po czym grot Włóczni Kajiego przebił kamienną powierzchnię. Par'chin wykorzystał ten moment nieuwagi księcia i w okamgnieniu znalazł się przy demonie. Złapał go za rogi, wykręcił, po czym uderzył czołem z wytatuowanym runem uderzenia w bulwiastą głowę, prosto między oczy myślożercy.

Arlen poczuł kolejne wstrząsy, gdy Jardir wydostawał się z zamrożonego bagna, ale nie zamierzał rozpraszać się podczas starcia. Raz po raz uderzał w przerośniętą czaszkę demona. Księżę otchłańców znowu urósł – zrobił się wielki jak demon drzewny, był przy tym o wiele silniejszy. Arlen musiał pozbawić magii runy ochronne, aby z tak bliska uderzać skutecznie, co oznaczało, że demon mógł zrobić to samo. Kontratak otchłańca posłał ich obu na ziemię.

– Nawet stworzenia Nie muszą oddychać, Par'chinie! – zawołał Jardir.

Arlen zacisnął zęby i przyjął smagnięcie szponów oraz cięcie kolców, byle tylko zacisnąć dłonie na szyi demona umysłu.

Usłyszał krzyk – swój krzyk – ale nie puścił.



Renna chciała stracić przytomność, ale nawet gdy demon zaczął ją pożerać, nie potrafiła się poddać. Sięgnęła do magii Słońca Anocha z nadzieją na pomoc, ale nie mogła skupić mocy na runach ani użyć jej do wytworzenia powietrza w płonących bólem płucach.

Wtedy jednak jakby z oddali usłyszała to.

Zew Otchłani.

Przez pęknięcia w kamieniach z głębi Ala niosła się echem pieśń. Tak jak opisywał to dawno temu Arlen. Przyciągała Rennę jak magnes lub jak ciepłe objęcia matki. Tam nie będzie bólu. Nie będzie walki. Tylko ciepły blask mocy Stwórcy.

Renna sięgnęła ku pieśni i ból znikł. Szpony demona pochwyciły powietrze, a ona zanurzyła się pod powierzchnię, pomknęła, aby dotknąć wiecznej mocy i zostawić cierpienie jak najdalej za sobą. Nigdy więcej demonów. Nigdy więcej ludzi, zdolnych zarówno do pomocy, jak i do ranienia.

Nigdy więcej wschodów słońca, boleśnie wypalających magię, którą Renna wchłonęła nocą.

Nigdy więcej Arlena, jego ramion i szeptanych wyznań miłości.

Zatrzymała się szybko. Jak daleko odeszła? Otchłań była bliżej, jej pieśń grzmiała głośno, powierzchnia zdawała się odległa. Renna wyteżyła zmysły, skupiła się na ścieżce, którą pokonała. Wciąż mogła usłyszeć słabe odgłosy bitwy.

Słyszała Arlena walczącego w imię ludzkości u boku swojego wroga.

I Shanvah, która nie bacząc na to, że jej ojciec wykrwawia się na śmierć, broniła hordom demonów dostępu do krypty.

A ona, Renna, uciekła w ciepłe objęcia.

Zawróciła, pomknęła do pęknięcia w podłodze. Ujrzała, jak zmiennokształtny tłucze w barierę otaczającą Arlena, Jardira i demona umysłu. Bariera więziła jednego demona wewnątrz, drugiego zaś trzymała na zewnątrz. W końcu naśladownik odpuścił i zwrócił uwagę na Shanvah. Ruszył w stronę jej odsłoniętych pleców.

Renna sięgnęła, aby go powstrzymać, ale nie miała rąk, jej ciało pozostawało nadal niematerialne. Zmusiła się do przybrania fizycznej postaci, ale – jak ostrzegwał Arlen – nie było to wcale takie proste. Czuła, że ciało jej się zwiera, ale nie reagowało wystarczająco szybko. Renna skupiła się, przypomniała sobie kończyny i zmusiła je, aby przybrały materialną formę. Wiedziała jednak, że nie zdąży na czas. Z uniesionymi pazurami zmiennokształtny uderzył w Shanvah.

KA-CZANG!

Bełt kuszy przebił demonowi gardło w rozprysku ciemnej posoki. Naśladownik odwrócił się, ohydna rana już zaczęła się zamykać. Shanjat opuścił kuszę i natarł na demona włócznią.

– Prędeż mnie Nie pochłonie, niż pozwolę ci tknąć moją córkę! – Atakowi Shanjata brakło pewności, uderzenie w głowę i utrata krwi pozbawiły wojownika siły i równowagi, ale nie chybił. Włócznia wbiła się głęboko, a zmiennokształtny zawył, gdy jego magia została wyszana i obróciła się przeciw niemu zabójczą falą. Zaledwie część

tej mocy popłynęła po broni, a Renna ujrzała, jak magia przywraca równowagę w aurze Shanjata. Wojownik był znowu w pełni gotowy do walki.

Demon spłynął z włóczni, zmieniając kształt, ale Renna również odzyskała swoją materialną postać, całkowicie uzdrowioną i silną jak nigdy. Pięść kobiety zmiażdżyła paszczę otchłāńca i posłała go przez kryptę.

– Pilnuj tunelu! – krzyknęła Renna do Shanvah, a potem przemknęła przez komnatę grobowca. Niczym błyskawica raz po raz uderzała demona, wytrąciła go z równowagi i nie pozwoliła się skupić. Zmiennokształtny rozwiął się w mgłę, ale tym razem Renna doń dołączyła, pamiętając to, co opowiedział jej Arlen o swoim pojedynku z myśłożercą na ścieżce do Otchłāni. Zmieszała swoją esencję z esencją demona, przyssała się i dosięgła jego umysłu.

Według ludzkich norm zmiennokształtny nie był inteligentny, zaledwie mądry jak dziecko, jednak znacznie przewyższał inteligencją bezmyślne stwory dominujące wśród demoniego rodzaju.

Lecz chociaż nie grzeszył inteligencją, wolę miał silną. Chciał tylko chronić swojego myślaka i robi wszystko, byle tylko osiągnąć ten cel. Renna stanęła mu na drodze, dlatego zmiennokształtny desperacko stawiał jej czoła.

Jednak chociaż wola demona była silna i skoncentrowana na obronie swojego pana, Renna walczyła o losy ludzkości. Całej ludzkości i Arlena przede wszystkim. Jeżeli nie uda jej się powstrzymać naśladownika, wszystko będzie stracone. Równie dobrze mogłaby uciec na dno Otchłāni. Równie dobrze mogłaby poddać się i pozwolić, aby ojciec robił, co chciał, jak to zrobiła Lainie. Bo na co zdałoby się to bezwartościowe życie Renny, skoro nie mogła sprostać temu zadaniu?

Złapała umysł naśladownika w swój i skruszyła jego wolę, zmiażdżyła jego istotę. Zmiennokształtny rozpadł się w rozbryzgu magii i znikł.



Jardir ponownie uderzył tępym końcem Włóczni Kajiego i ostatni kawał zamrożonego na kamień błota wreszcie ustąpił. Par'chin wył w agonii, spleciony w walce z księciem *alagai*, ale jego duch *Sharum* nie poddawał się ani trochę. Arlen dusił demona.

Jeden rzut włócznią zakończyłby życie obu walczących – największego rywala i najpotężniejszego demona, jakiego Jardir w życiu napotkał. Ahmann mógłby zabić ich obu, a potem triumfalnie powrócić do Lenna Everama i położyć kres chaosowi, jaki na pewno wywołało jego zniknięcie. Bez Par'china załamałby się opór mieszkańców zielonych krain, Nie też by ustąpiła. Jej słudzy drzeliby ze strachu przed potęgą wojowników Everama.

Jedno pchnięcie. Jardir jakoś przeżyłby swoją drugą zdradę. Wysoka cena, zapewne, ale czyż nie warto jej zapłacić i uzyskać w ten sposób przewagi w *Sharak Ka*?

„Nie wolno nam zmienić się w demony, żeby z nimi walczyć” – przypomniał sobie słowa Par'china.

Prędej mnie Nie pochłonie, niż zdradę po raz drugi prawdziwego przyjaciela, pomyślał.

Jardir wsunął włócznię w uprząż na plecach, wciągnął kaptur swojego płaszcza niewidzialności, a potem sięgnął do mieszka przy pasie.



Demon umysłu słał, Arlen to wyczuwał. Sam mógł Pobierać z mocy Słońca Anocha, podczas gdy bariera uniemożliwiała uzupełnianie mocy myśłożercy, a jego zapasy wyczerpywały się coraz bardziej. Pomimo to otchłāniec pozostawał niebezpiecznym przeciwnikiem. Par'chin musiał zgasić runy zakazu, dzięki którym demony nie mogły go dotknąć, w przeciwnym wypadku nie zdołałby zacisnąć dłoni na szyi *alagai*. Kości i łuski otchłāńca stwardniały na diament. Arlen cierpiał równie dotkliwie jak jego przeciwnik.

Ale ja mogę oddychać, pomyślał. A on nie.

Demon otworzył pysk w niemym krzyku, obnażając czarne dziąsła i dziesiątki igłokształtnych kłów. Szczęki rozciągnęły się nieprawdopodobnie i zęby z każdą chwilą zbliżały się do twarzy Naznaczonego. Arlen czuł odrażający odór zepsutego oddechu. Nieco śliny kapnęło mu na policzek i szarpnęły nim mdłości.

I wtedy pięść zgruchotała demonie szczęki, odsuwając je zarazem od twarzy Arlena. Podniósł wzrok, niemal pewien, że zobaczy Jardira, ale to Renna przyszła mu z pomocą. Renna jaśniejąca magią jak nigdy dotąd. Rysy miała ściągnięte w wyrazie determinacji, a jej aura płonęła siłą.

Do oczu napłynęły mu łzy. Chciał się odezwać, ale mógł tylko zaciskać palce na chudej szyi otchłańca, podczas gdy jej pięści raz po raz uderzały księcia *alagai*.

Wtedy za plecami demona pojawił się Jardir. Zarzucił na szyję księcia otchłańców srebrny łańcuch. Nad runami wrytymi w ogniwach Arlen spędził długie godziny. Zanim demon zdążył nabrać tchu, mężczyzna puścił, a Jardir zacisnął mocniej łańcuch. Runy rozbłysły.

Demon szarpnął się wściekle. Próbował rozwiać się w mgłę, lecz moc ta została mu odebrana. Otchłaniec wrócił zatem do poprzednich rozmiarów, zapewne w nadziei, że w ten sposób uwolni się z więzów, ale Jardir trzymał mocno. I kiedy wojownicy zyskali pewność, że ich przeciwnik nie zmaleje bardziej, Arlen zapiął łańcuch oznaczoną runami kłódką.

Wszyscy trzej zwarli się znowu w walce. Ahmann wykręcił kończyny demona z gracją i precyzją *sharukin*, po czym związał je kolejnym srebrnym łańcuchem jak wieprza na Święto Równonocy. Demon opadł na kolana, a potem uderzył twarzą w ziemię. Po chwili przestał się szarpać, a jego aura stała się płaska. Arlen zapiął łańcuch na szyi księcia o dwa ogniwa luźniej i zdjął poprzednią kłódkę, teraz nieprzytomny stwór mógł złapać płytki oddech.

Zbyt ciężko walczyli, aby pozwolić demonowi umrzeć.

Dopiero wtedy Arlen rozejrzał się po zniszczonej krypcie. Wokół leżały kamienne odłamki z roztrzaskanych ścian i częściowo zawalonego sufitu. Poza kilkoma czerniejącymi smugami na głazach nigdzie nie dostrzegł śladu zmiennokształtnego.

Przy wejściu do tunelu wciąż trwała bitwa. Shanvah z pustym kołczanem i złamaną włócznią powstrzymywała demony tylko tarczami – własną i ojca. Stopy dziewczyny zostawiły rysy w podłodze z piaskowca, gdy powstrzymywała napór otchłańców.

Shanjat stał tuż za córką z wymierzoną kuszą. Kiedy Shanvah zrobiła szparę między tarczami, ojciec wystrzelił. Gdy tylko śmignął bełt, dziewczyna zawarła tarcze, a Shanjat dwoma palcami naciągnął cięciwę i nałożył nowy pocisk, a potem córka znowu zrobiła szparę w innym miejscu, aby mógł oddać strzał.

Zanim Arlen lub Jardir zdołali ruszyć z odsieczą, Renna rozwiąła się w mgłę i przemknęła przez kryptę. Mężczyźni z rozdziawionymi ustami patrzyli, jak kobieta niczym podmuch wiatru mija dwoje wojowników broniących przejścia, a potem w tunelu rozległy się odgłosy walki. Napór otchłańców zelżał, Shanvah i Shanjat mogli wreszcie złapać oddech.

A potem komnata grobowa zadrżała, gdy Renna zawaliła tunel. Ciężkie głazy zaczęły odpadać z sufitu, ze szpar coraz szybciej osypywał się piach. Przez kryptę przetoczył się łomot.

– Czas uciekać – stwierdził Arlen.

– Kaji... – zaczął protestować Jardir.

– ...spocznie na wieki w miejscu, gdzie jego następcy pokonali najpotężniejszego *alagai*, jakiego powierzchnia nie widziała od tysiącleci – dokończył Arlen stanowczo.

Ahmann skinął głową.

– Shanjat! Shanvah! Ruszajcie przodem i oczyśćcie drogę ucieczki!

Oboje wojowników odsunęło się od przejścia. Shanvah rzuciła ojcu jego tarczę, po czym pobiegła pierwsza do ukrytego tunelu.

Renna zmaterializowała się u boku męża. Robiła to nieco wolniej niż on, ale i tak szybciej, niż Arlenowi wychodziło to przez pierwsze miesiące, gdy dopiero uczył się tej zdolności.

Chciał zapytać ją o nową umiejętność, powiedzieć żonie, jak bardzo jest z niej dumny, wyrazić swoją miłość, ale nie było czasu. Miał nadzieję, że wszystko to Renna zobaczyła w jego aurze.

– Ruszaj pierwsza i przygotuj konie – rozkazał. – Musimy znaleźć się jak najdalej stąd, zanim wzejdzie słońce.

Renna uśmiechnęła się, mrugnęła porozumiewawczo i raz jeszcze zamieniła się w mgłę.



10

Bunt chin

333 rok plagi, jesień

Inevera obudziła się z brzęczeniem w uszach. Zawsze miała lekki sen i nawet w lepszych czasach wracała do świata jawy bardzo szybko.

Wibracje dochodziły z jednego z wielu kolczyków, jakimi obdzieliła najbardziej zaufane sługi i doradców, by mogli się z nią skontaktować. Sama przy tym zyskiwała możliwość szpiegowania swoich podwładnych. Kolczyk Ahmanna milczał od upadku w przepaść, zresztą miejsce, gdzie walczył z Par'chinem, znajdowało się poza zasięgiem magii *hora*. Mimo to Inevera nosiła kolczyk i modliła się co rano do Everama z prośbą, aby usłyszeć męża, który oznajmia swój powrót.

Ale to nie ten ją obudził. Przesunęła palcem po małżowinie ucha, licząc, póki nie wyczuła wibracji. Ósmy. To nie święta liczba, w sam raz dla *khaffit*.

Przekręciła kulkę na złotym kółku, aby zmienić układ runów na dwóch półkulach kryjących odłamki demonich kości. Kiedy nawiązała połączenie, odezwała się, wiedząc, że ten, kto posiadał kolczyk od pary, usłyszy słowa.

– Nie ma jeszcze świtu, *khaffit* – rzuciła cicho. – Lepiej niech to będzie coś ważnego albo sprawię, że...

– Chociaż naprawdę uwielbiam artyzm twoich gróźb, Damajah, obawiam się, że nie mamy na nie czasu, jeżeli chcesz poznać nowiny, zanim dotrą do uszu *Damaji*.

Słowa Abbana były lekkie jak zawsze, ale ton, jakim zostały wypowiedziane, nie pozostawiał wątpliwości, że informacja, jaką posiadał, może zachwiać kruchymi rządami Inevery. A Krasja nie mogła sobie pozwolić na zawirowania władzy.

– O co chodzi? – zapytała Damajah.

– Otaczają mnie twoi śliczni strażnicy, więc nie mogę mówić swobodnie. A wieść, jaką przynoszę, najlepiej omówić w cztery oczy. Wpuść mnie, proszę.

Wpuścić go. Do prywatnej komnaty sypialnej. Tej, którą Inevera dzieliła z Wybawicielem. Tymi słowy *khaffit*

prosił się o śmierć. Jeśli przekroczyłby choćby próg tego skrzydła pałacu, naraziłby się na niezliczone kary, jeszcze gorsze, gdyby ktoś go tu przyłapał. Czy ten człowiek oszalał?

Nie. Abbanowi można by zarzucić wiele, ale na pewno nie szaleństwo. Skoro tu przyszedł, wiedział, że informacja musi dotrzeć bez zwłoki i że jest cenniejsza niż jego życie. Palce Inevery wykonały szybki taniec i komnata pogrążyła się w półmroku. Zaraz potem Ashia wróciła z *khaffit*.

– Mów – rozkazała Inevera.

Abban zerknął na Ashię u boku, spoglądając na niego z dezaprobatą. Potem popatrzył na Damajah i nieznacznym skinieniem głowy wskazał drzwi.

– Skazałeś się na śmierć, gdy tylko przeszedłeś przez te drzwi, *khaffit* – stwierdziła Inevera. – Jeżeli zaraz nie wypłacisz się czymś wartościowym, Ashia wykona wyrok.

Abban pobladł. Przebiegły uśmiezek spełzył mu z twarzy. Inevera dostrzegła strach zalewający jego aurę. To nie była maska.

– Mów – powtórzyła. – Ashia strzeże mojego snu. Ufam jej bezwarunkowo.

– *Chin* podnieśli bunt – oznajmił Abban.

Nie od razu zrozumiała, co powiedział. Bunt? Mieszkańców zielonych krain?

– Niemożliwe – zaoponowała. – Nie do pomyślenia. *Chin* z Fortu Rizon rozpadli się jak gliniana płytką pod uderzeniem młota, kiedy nadeszły nasze armie, a wioski poddawały się bez walki. Nie ośmieliliby się nam sprzeciwiać.

– Glinianą tabliczkę łatwo stłuc – przyznał Abban. – Ale zostają tysiące odłamków, które skaleczą każdego, kto nie będzie uważał.

Inevera poczuła ucisk w żołądku. Odetchnęła głęboko, żeby odzyskać wewnętrzny spokój.

– Co się stało?

– Podpalono *sharaji* w siedmiu wioskach *chin*. Wszystkie w tym samym czasie, na dźwięk rogów kończących *alagai'sharak*, gdy wszyscy wojownicy i starsi *nie'Sharum* byli jeszcze na polu walki.

– A dzieci? – zaniepokoiła się Inevera. Starsi *nie'Sharum*, chłopcy w wieku dwunastu lat i więcej, pełnili rolę obserwatorów i gońców dla Wypatrywaczy w *alagai'sharak*, ale młodsi, w wieku około siedmiu do jedenastu lat, powinni byli spać w namiotach.

– Zabrano je, zanim podłożono ogień. I krasjańskie dzieci, i *chin*. Ale *dama*, którzy się nimi opiekowali, zostali brutalnie zamordowani.

Inevera zacisnęła zęby. Wszystko sprowadzało się do dzieci. Zabieranie ich na *Hannu Pash* było najtrudniejszym warunkiem, jakiego zażądali Krasjanie, po tym jak *chin* się poddali i pochyliłi czoła do ziemi przed *dama*.

Chin walczyli o swoje dzieci, to zrozumiała. Inevera zastanawiała się, od jak dawna spotykali się potajemnie i planowali ów akt nieposłuszeństwa. Czynem o wiele bardziej zdradzieckim było uprowadzenie dzieci Krasjan, na tyle małych, że łatwo złamać ich wolę. Jeżeli zostaną wychowane przez *chin*, mogą stać się cennymi szpiegami dla mieszkańców zielonych krain.

Siedem pożarów. Siedem wiosek. Niezauważalnie mało wśród setek osad na terenach Lenna Everama, jednak liczba była znacząca. Święta liczba. To nie mógł być przypadek.

– Które plemiona ucierpiały? – zapytała, choć domyślała się odpowiedzi.

– Shunjin, Halvas, Khanjin, Jama, Anjha, Bajin i Sharach – wymienił Abban z pamięci. – Siedem najmniejszych. Tych, dla których utrata *sharaj* i *nie'Sharum* będzie najbardziej dotkliwa.

Inevery to nie zaskoczyło. Wróg dobrze poznał Krasjan.

– Złapałeś sprawców?

Abban pokręcił głową.

– Nie do mnie to należy, Damajah. A *Sharum* nadal walczą z pożarami, żeby ogień się nie rozprzestrzenił. Sprawcy rozplynęli się w ciemności.

W ciemności, której się bali, zanim przybyły nasze armie, pomyślała Inevera. Nauczyliśmy ich walczyć w nocy, a oni wykorzystali to przeciwko nam.

– Powiedziałaś, że ogień wciąż płonie. Jak ci się udało tak szybko uzyskać wieści? Jeszcze przed *Damaji*, którzy rządzą w tych wioskach, a nawet przed samym Andrahem?

Abban uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

– Mam kontakty w każdej wiosce na terenach Lenna Everama, Damajah, i dobrze płacę za informacje, które mogą mi przynieść zyski.

– Zyski? – powtórzyła Inevera.

– W chaosie zawsze można znaleźć zysk, Damajah. – Abban zerknął na Ashię. – Nawet jeśli wcześniej trzeba

wykupić swoje życie.

Inevera skinęła dłonią i Ashia wycofała się w cień. Nie opuściła komnaty, lecz zniknęła z oczu i nawet Ineverze nie udałooby się jej odnaleźć.

– Ile minie czasu, zanim *Damaji* się o tym dowiedzą?

Abban znowu wzruszył ramionami.

– Godzina. Może mniej. Poleje się krew, *Damajah*. Rzeki krwi, kiedy nie uda się znaleźć sprawców tych pożarów.

– Skąd pewność, że nie uda się ich znaleźć? – zapytała Inevera, choć nie zaprzeczyła.

– Minęło ponad pół roku, odkąd podbiliśmy tutejszy lud. Jednak żaden miejscowy *dama* nie nauczył się języka *chin* ani też nie próbował poznać ich obyczajów. Zmusiliśmy miejscowych, żeby uczyli się naszego języka i przyjęli nasze obyczaje.

– Obyczaje, które nakazuje nam *Evejah* – stwierdziła Inevera. – I *Everam*.

– Obyczaje *Kajiego* – zaproponował Abban. – Interpretowane od stuleci przez skorumpowanych *Damaji*, dbających tylko o własne korzyści.

Inevera zacisnęła usta. Słyszała wielokrotnie, jak Abban szeptał bluźnierstwa do uszu jej małżonka, i szczerze mówiąc, często się zgadzała ze słowami tego *khaffit*. Jednak teraz nie chodziło o ignorowanie wypowiedzi, której nie miała usłyszeć, lecz słów rzuconych prosto w twarz.

– Uważaj na swoje bluźnierstwa, *khaffit* – ostrzegła. – Znam twoją wartość, ale nie jestem tak tolerancyjna jak mój mąż.

Abban skłonił się lekko.

– Przyjmij moje przeprosiny, *Damajah*. – Tym razem nie odczuł nawet śladu obawy, jaka wcześniej zabarwiała jego aurę. Inevera rzeczywiście wiele tolerowała u Abbana. Coraz lepiej dostrzegała podstępłą naturę tego *khaffit*. Dopóki jednak był lojalny, mogła mu wybaczyć niemal wszystko.

A Abban o tym wiedział.

– Kiedy byliśmy jeszcze *nie'Sharum*, *Damajah*, wraz z twoim mężem poszliśmy do wioski *Baha kad'Everam*.

Inevera słyszała o tej osadzie *khaffit*. Mieszkał tam mistrz garncarstwa *Dravazi*, którego dzieła zdobiły pałac.

– *Misa Everama* została rozdzielona z *Włócznią Kajiego* wiele lat temu. Zabrały ją demony, o ile pamiętam.

Abban skinął głową.

– Dokładnie: demony gliny. Zakaziły tamto miejsce. Zabiłyby mnie, gdyby nie *Ahmann*. Wiele lat później omal nie zabiły *Par'china*, kiedy posłałem go do tej wioski.

– Dlaczego mi to mówisz, *khaffit*? – Inevera zachowywała surowy wyraz twarzy, ale słuchała uważnie. Abban nie wiedział, co o *Par'chinie* powiedziały jej kości: że ten człowiek, podobnie jak *Jardir*, może być *Wybawicielem*. Inevera zwierzyła się z tego tylko matce, ale *Ahmann* domyślił się dzięki mocom korony.

Nie mógł to być przypadek, że obaj potencjalni *Wybawiciele* odwiedzili tę samą odległą osadę, a Abban miał w tym udział. Nie należało lekceważyć takiego zbiegu okoliczności. *Everam* musiał się do tego przyczynić. A Inevera postanowiła dowiedzieć się wszystkiego o tej nędznej wiosce.

Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jaki plan przygotował *Everam* dla Abbana. Kości bardzo niejasno się o tym wypowiadały.

– Demony gliniane to fascynujące stworzenia. – Przez aurę Abbana przemknął cień strachu. – Wtapiają się w otoczenie. Ich pancerz ma tę samą barwę i strukturę co tło *Baha*. Można patrzeć wprost na jednego z nich, na schodach, przyczajonego pod ścianą, wyglądającego z dachu, i nic nie zobaczyć, dopóki gliniak się nie poruszy.

– *Hora* widzą to, czego gołym okiem się nie dostrzeże – przypomniła Inevera.

Abban przytaknął.

– Taka oto *inevera*, jak sądzę. Liczba mieszkańców zielonych krain w *Lennie Everama* sześciokrotnie przewyższa *Krasjan*. Oni stanowią tło, a *chin*, którzy chcą zasiać strach w naszych sercach tymi pożarami, to właśnie demony gliny. *Dama* nie dostrzegą żadnego, dopóki się nie ruszy, a wstyd zmusi ich do szukania innych, których będzie można ukarać i dzięki temu zachować twarz.

– A to tylko utwierdzi i pogłębi opór *chin* – zamyśliła się Inevera.

– Jeżeli nie będziemy postępować ostrożnie, ataki się nasilą. Należy znaleźć i ukarać rzeczywistych sprawców, ale każdy inny mieszkaniec zielonych krain, którego skrzywdzimy niesłusznie, stanie się męczennikiem dla buntowników.



„Otrzymują pomoc z północy”.

Inevera usiadła prosto na poduszkach obok Andraha, gdy gniewni *Damaji* wkroczyli do sali tronowej. Synowie Wybawiciela i siostrzeniec już czekali, gdy inni mężczyźni gromadzili się na swoich miejscach.

Inevera spędziła prawie godzinę na rzucaniu kości, po tym jak odprawiła Abbana i wysłała gońców, ale otrzymała tylko jedną użyteczną informację o buntownikach.

„Otrzymują pomoc z północy”.

Łatwo było założyć, że chodzi o plemię z Zakątką. Tamtejsi ludzie mogli najwięcej zyskać na tych atakach, zwłaszcza jeśli Par'chin przeżył. Rzadko jednak opłacało się zakładać więcej, niż powiedziały kości. Bunt równie dobrze mógł wspierać któryś z książąt Północy. Euchor z Miln albo Rhinebeck z Angiers. Nawet Lakton, choć leżało raczej na wschodzie, jednak na północ od Lenna Everama, a Leesha na pewno już ostrzegła wszystkich, że właśnie Lakton będzie kolejnym celem najazdu Krasjan. Czy książę Reeherd i jego podwładni byli na tyle głupi, by prowokować atak?

Nie, to na pewno Zakątek. To musiał być Zakątek, prawda? A może na osąd Inevery wpływała nienawiść do Leeshy? Jednak takie postępowanie pasowałoby do dziwki z Północy – uśmiechała się do Krasjan, a za ich plecami wzniesła pożary. Inevera z przyjemnością wykorzystałaby każdy pretekst, który pozwoliłby jej zabić tę wiedźmę wraz z dzieckiem spłodzonym przez Ahmanna.

Był czas, gdy Inevera nienawidziła kości. Chociaż od trzech tysięcy lat żadna *dama'ting* nie dorównywała jej talentem do odczytywania przepowiedni, jednak nawet dla niej kości pozostawały niejasne, dawały tylko wskazówki lub zagadki. Im ważniejsze było pytanie, im bardziej odpowiedź mogła zmienić przyszłość, tym bardziej nieokreślone stawały się przepowiednie. Inevera wykonywała rzuty trzy razy dziennie, aby poznać przeznaczenie swojego męża, ale kości nie powiedziały jej więcej niż na dzień przepaści po upadku Ahmanna, a i tak było to więcej, niż ujawniły o buntownikach.

Może plan Everama wymagał buntu *chin* albo wojny domowej w Krasji, a na barkach Inevery spoczywał ciężar decyzji, jak tym pokierować, aż nadejdzie właściwa pora? Albo może rozczarowała Go i Everam wybrał kogoś innego do przekazywania swojej woli?

Może dziecko dziwki z Północy to też *inevera*... Sama myśl wywołała mdłości. Ineverę ogarnęła niemal wdzięczność, kiedy *Damaji* zaczęli się przekrzykiwać i przyciągnęli jej uwagę do bieżących problemów.

– Mówiłem od początku, że zbyt łagodnie traktowaliśmy pokonanych *chin*! – oburzał się *Damaji* Qezan. – Pozwoliliśmy im się tylko ugiąć, zamiast ich złamać.

– Zgadza się. – Słowa *Damaji* Ichacha uświadomiły Ineverze, że naprawdę źle się dzieje. Skoro Qezan i Ichach się zgadzali, słońce pewnie zacznie wschodzić na zachodzie.

W sprawie dworu Andraha kości były bardziej otwarte. Na razie Inevera nie miała kłopotów z kontrolowaniem Ashana. Jej synowie w buncie widzieli nie kryzys, lecz okazję, aby zdobyć chwałę, jaką dawało zduszenie rebelii. *Damaji* jednak byli staruchami, którzy już przywykli do wygodnego życia w Lennie Everama, a zagrożenie utratą zdobytych niedawno bogactw przerażało ich bardziej niż dzieci Nie.

– Spalimy na popiół wioski, w których nastąpiły ataki – zaproponował *Damaji* Enkaji. – Powiesimy na drzewie każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, niech *alagai* pożrą ich nocą.

– Łatwo ci mówić, *Damaji*, gdy to nie twoje ziemie zostały zaatakowane – zaproponował *Damaji* Chusen. Atak nastąpił na nową stolicę jego plemienia, Shunjin.

– *Chin* nie ośmielą się zaatakować ziem Mehnding – zapewnił Enkaji, a Inevera zastanowiła się nad jego słowami. Buntownicy nie podjęli działań na terenach pięciu najsilniejszych plemion: Kaji, Majah, Mehnding, Krevakh i Nanji, jeżeli jednak dostawali wsparcie z północy, dzisiejsze ataki były tylko początkiem.

– *Alagai* spaliły pola podczas Nowiu i żywności jest niewiele – zauważył Ashan. – Nie możemy sobie pozwolić na zniszczenie innych pól ani zabijanie tych, którzy je uprawiają, jeżeli chcemy doczekać wiosny.

– A co powstrzyma *chin* przed spaleniem upraw? – zapytał Semmel z plemienia Anjha. – Nawet najliczniejsze plemiona nie mają dość ludzi do ochrony ziemi przed tubylcami.

– Nie można pozwolić, żeby te ataki pozostały bezkarne, Andrahu – dodał Aleverak. – *Chin* zaatakowali nas nocą, gdy wszyscy mężczyźni są braćmi, zabili *dama* i spalili świętą ziemię. Musimy odpowiedzieć jak najszybciej, inaczej wróg stanie się bardziej śmiały.

– I odpowiemy – zgodził się Ashan. – Macie rację, nie można tego tolerować. Musimy znaleźć odpowiedzialnych za te morderstwa i publicznie ich ukarać, ale jeżeli obarczymy wszystkich *chin* winą za czyny kilku buntowników, zasilimy tylko szeregi rebelii.

Inevera ukryła uśmiech. Ashan powiedział dokładnie to, co mu podsunęła, choć jego pierwsza reakcja na wieść o buncie niewiele odbiegała od zachowania Enkajiego.

– Wybacz, Andrahu, ale wszyscy *chin* są winni – zauważył *Damaji* Rejji z plemienia Bajin. – Ukrywają buntowników i dzieci. Co za różnica, czy podłożyli ogień, czy użyczyli piwnicy na kryjówkę?

– Musimy pokazać, że opór ma swoją cenę. – Jayan uderzył włócznią, aby przyciągnąć uwagę. – Wysoką cenę, którą płacą wszyscy. Jeżeli ludzie będą się bać naszego gniewu, zwrócą się przeciwko buntownikom pochodzącym z ich ludu.

Wielu *Damaji* gorliwie przytaknęło tym słowom, po czym spojrzęło sceptycznie na Ashana.

– Mój brat ma rację – odezwał się głośno *Asome*, aby przyciągnąć uwagę do siebie. – Ale trop jest wciąż świeży i bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nim nie ruszyli. Możemy zdecydować, jak ukarać tych, którzy pomagali buntownikom, kiedy już schwytamy i ukarzymy sprawców oraz ocalimy porwane dzieci.

Jayan spojrzęł na brata z nieskrywaną nieufnością, ale połknął przynętę.

– Właśnie dlatego pošę wojowników z Włóczni Wybawiciela, żeby wyważyli każde drzwi, przeszukali każdą piwnicę i przesłuchali krewnych chłopców. Znajdziemy buntowników.

Damaji znowu potakiwali gorliwie, ale *Asome* zasyczał głośno i pokręcił głową.

– Mój brat pragnie ściąć drzewo, żeby zebrać z niego owoce.

Jayan pošęł mu wściekłe spojrzenie.

– A co proponuje mój mądry brat *dama*?

– Wyślemy Wypatrywaczy. – *Asome* skinęł głową *Damaji* w zasłonach na twarzach. Pochodzili z *Krevakh* i *Nanji*. Nigdy nie odzywali się w Radzie, podlegali większym plemionom. *Krevakh* służyli *Kaji*, a *Nanji* wypełniali rozkazy *Majah*.

Wypatrywaczy szkolono w używaniu specjalnej broni i innej sztuce walki, zarządzali także siatką szpiegowską *Krasjan*. Wielu z ich agentów mówiło językiem *chin* i miało kontakty w całym *Lennie Everama*. Nawet ich pomniejszych *Sharum* potrafili poruszać się niezauważenie i pokonywać bariery równie łatwo jak *alagai* wychodzący z podziemi.

– Odszukajmy dzieci, a znajdziemy buntowników i ich sympatyków – stwierdził *Asome*.

– A potem? – zapytał Jayan.

– A potem ukarzymy ich wszystkich – odparł *Ashan*. – Buntowników, sympatyków i nawet dzieci *chin*, aby przypomnieć mieszkańcom zielonych krain, że opór nie ma sensu, a konsekwencje buntu są surowe. Z innych *nie'Sharum* wśród *chin* stworzymy straż i następnym razem sami chłopcy będą walczyć z tymi, którzy będą chcieli ich ratować.

Inevera starała się zachować wewnętrzną równowagę, chociaż *Ashan* zmienił nieco jej decyzje. Zabicie grupki dzieci stanowiło akt miłosierdzia w porównaniu z rzezią, jaką proponował Jayan, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby na to pozwolić, gdy nadejdzie pora.

– Dobrze – zgodził się Jayan. – Na twój rozkaz wyśle Wypatrywaczy.

Mówienie w pierwszej osobie było niebezpieczne. Jayan założył, że będzie zarządzał poszukiwaniami. Jako *Sharum Ka* miał taki obowiązek i prawo, ale *Inevera* wołała, aby Wypatrywacze składali meldunki przed tronem, czyli przed nią, by uniknąć niepotrzebnej przemocy i brutalności.

Odetchnęła, aby nie stracić panowania nad sobą. Poświęcenie było konieczne. Miała dość szpiegów na dworze *Sharum Ka*, a jej siostry-żony ostrzegą swoje *dama'ting*, aby przekazywały wszystko, co usłyszą.

Ashan odczekał jej siedem oddechów, zanim uderzeniem urzędowego berła o posadzkę oficjalnie zamknęł sprawę.

– A zatem postanowione. Poślij Wypatrywaczy, *Sharum Ka*. Oczekujemy regularnych meldunków o twoich postępkach.

Jayan pošęł przebiegłe spojrzenie *Asome* i odwrócił się na pięcie, po czym pomaszerował do drzwi, gdzie czekał *Hasik*, jego nowy strażnik.



Minęły trzy dni bez wieści o buntownikach i porwanych *nie'Sharum*. *Abban* wyczuwał ponure nastroje na ulicach. Na bazarze były jeszcze gorsze.

Dal'ting, *khaffit* i *chin* zaczęli już czuć się coraz swobodniej w swojej obecności na targu, jednak wszystko to się zmieniło po atakach na *sharaji* i porwaniach. *Krasjanie* trzymali się teraz na dystans i spoglądali na *chin* podejrzliwie. *Mieszki* też trzymali przy sobie, przez co handel z *chin* bardzo ucierpiał.

Dama o wiele częściej patrolowali targowisko i nawet nie raczyli wieszac u pasa ogonów *alagai* ani polegać na swoich urzędowych laskach. Broń była często w użyciu, choćby po to, by usunąć z drogi *chin* albo przyciągnąć uwagę

tego, którego zamierzano przesłuchać.

A przesłuchania, których obawiali się wszyscy – od najbiedniejszego *chin* po Abbana we własnej osobie, odbywały się coraz częściej. *Sharum* nie wolno było wyważać drzwi i wkraczać do domów, lecz *dama* wykorzystywali każdy pretekst, aby przeszukać wszystkie zakamarki. Zwłaszcza że uprawnienia mieli spore.

Abban przyglądał się zza kłapy swojego pawilonu, jak para *dama* z plemienia Kaji zdiera suknię z kobiety *chin* na środku targu i bije ją różgami, ponieważ nieszczęsna nie zasłoniła twarzy, jak należy.

Zasłona opadła jej na szyję, ponieważ po prostu zsunęła się podczas krzątania i nie została wystarczająco szybko podciągnięta.

Abban opuścił kłapę, aby nie słyszeć krzyków bitej kobiety.

– Modlę się do Everama, żebyśmy jak najszybciej znaleźli buntowników – westchnął. – To wszystko źle wpływa na interesy.

– Jeżeli to możliwe, ludzie z Krevakh tego dokonają – zapewnił Qeran. – Miałem zaszczyt służyć z wieloma wojownikami tego plemienia w *alagai'sharak*. Lepszych tropicieli nie znajdzie się na Ala.

Mistrz Ćwiczeń nadal nie czuł się dobrze na targowisku, ale Abban nie mógł już sobie pozwolić na luksus pozostawiania Qerana w siedzibie, gdzie szkolił rekrutów. Ponieważ kupiec coraz bardziej lękał się o swoje życie, chciał mieć doświadczonego i poważanego Mistrza zawsze u swego boku.

Usiedli w prywatnym gabinecie Abbana. *Khaffit* otworzył ukryty schowek w swoim biurku, wyciągnął arkusze pergaminu i podał je Qeranowi.

– Mam kilka planów, które powinieneś przejrzeć, zanim przedstawię je na dworze.

Qeran uniósł brew. W przeciwieństwie do większości *Sharum* Mistrz umiał czytać i pisać, ponieważ musiał przygotowywać spisy i zestawienia dla *sharaji*, musiał też umieć obliczyć wytrzymałość i sprężystość budowanych fortyfikacji. Jednak w porównaniu z najmłodszymi żonami lub córkami Abbana Qeran wypadł co najwyżej jak dobrze wytresowany pies. Kupiec nie powierzyłby mu nawet najprostszyc zadań wymagających tego rodzaju umiejętności i obaj doskonale o tym wiedzieli.

Nieoczekiwana prośba rozbudziła ciekawość Mistrza. Mężczyzna rozłożył arkusze na biurku i zaczął je przeglądać. Rozwinął mapę, przyjrzał się uważnie opisowi, a potem wytrzeszczył oczy.

– Czy to jest to, co myśle? – zapytał.

– Tak, ale nikomu nie piśniesz o tym ani słowa – odpowiedział spokojnie Abban.

– Dlaczego masz to ty, nie Sharum Ka?

– Ponieważ Sharum Ka jeszcze dwa tygodnie temu był tylko figurantem. – Kupiec wzruszył ramionami. – Ale nic się nie martw. Wkrótce będzie uważał, że to był jego pomysł.



Następnego ranka Abban udał się do pałacu. Najlepsi *kha'Sharum* dla ochrony otaczali muskularnych niewolników *chin* niosących lektykę kupca. Wnętrze chroniły opuszczone ciężkie zasłony wzmocnione metalowymi płytkami, które mogły powstrzymać nawet cios włócznią. Abban siedział sam, pogrążony w myślach.

Damajah zawsze budziła w nim niepokój, chociaż pilnował się, aby tego nie okazać. Ta kobieta potrafiła Abbana zaskoczyć i sprawiała wrażenie, jakby umiała zajrzeć mu w duszę i dostrzec podstępny równie łatwo jak brud na twarzy.

Jak przyjmie plany kupca bez aprobaty Ahmanna? I czy je wdroży?

BUM!

Huk był straszny, choć stłumiły go ciężkie kotary. Abban uderzył w lakierowany sufit, gdy lektyka zatrzęsa się gwałtownie. Usłyszał krzyki swoich ludzi, a gdy palankin zatrzymał się i przechylił, kupiec znalazł się twarzą w twarz ze swoim tragarzem, którego przygniotła belka, gdy inni puścili swój ciężar. Mężczyzna jęknął, oczy mu się zaszklily.

Abban nie zwracał uwagi na niewolnika. Sięgnął po swoją laskę, dźwignął się niepewnie i wyjrzał.

– Panie! – zawołał jeden ze strażników. – Nic ci nie jest?

– Nic, nic! – skrzywił się Abban i rozsunął szerzej kotary, żeby się rozejrzeć. – Pomóżcie mi wyjść z...

Urwał, gdy to zobaczył.

Sharik Hora płonęła.

Wybuch zwałił z nóg wszystkich, nawet tych, którzy znajdowali się dość daleko. Przechodnie, którzy mieli nieszczęście być bliżej, tam gdzie teraz szalał pożar, leżeli zakrwawieni na ulicy lub pod gruzami wysokich ścian

i barwnych witraży największej świątyni Everama w zielonych krainach.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Qeran pierwszy odzyskał gotowość bojową. Rozkazał reszcie obstawy podnieść się, po czym ruszył do Abbana. Zahartowany w wielu bitwach Mistrz Ćwiczeń umiał opanować uczucia i utrzymać łańcuch dowodzenia, ale nawet na jego twarzy malowała się zgroza, gdy spoglądał na płonąca świątynię.

– Jak tego dokonano? – zapytał. – Tuzin ognistych demonów nie zdołałby wykrześć takich płomieni.

– Fajerwerki *chin* – mruknął Abban. Kolejna tajemnica, którą chciał poznać. – Zbierz ludzi, musimy jak najszybciej dotrzeć do pałacu. Wyślij Wypatrywaczy, niech sprawdzą, co się stało, i od razu meldują, czego się dowiedzieli.



Inevera przyglądała się *khaffit*, gdy kupiec pił zimną wodę i odpoczywał na poduszkach w komnacie audiencyjnej. Abban był blady, ubrudzony popiołem i cuchnął dymem. Jedno z jego oczu podbiegło krwią, a ubranie miał podarte i zakrwawione. Gońcy już potwierdzili wieść o pożarze Sharik Hora.

– Co się stało? – zapytała Inevera, kiedy cisza zaczęła ją denerwować.

– Okazało się, że *chin* są bardziej śmiali, niż nam się zdawało – wyjaśnił Abban. – Spalenie *sharaji* było tylko sposobem na odwrócenie uwagi i odciągnięcie nas do odległych wiosek. Dzięki temu mogli nas uderzyć prosto w serce.

– Zdumiewający zbieg okoliczności, że na własne oczy zobaczyłeś to zdarzenie – zauważyła Inevera. – Zwłaszcza że pierwszy przyniosłeś mi wieści o buncie.

Abban popatrzył na nią beznamiętnie.

– Pochlebia mi, że Damajah uważa mnie za zdolnego do uknięcia tak skomplikowanego podstępu, ale nie jestem aż takim męczennikiem, żeby znaleźć się w zasięgu wybuchu tylko po to, by uwiarygodnić jakiś tajemniczy spiszek. Boli mnie wszystko, w uszach wciąż dzwoni i nie mogę jasno myśleć.

Ten ostatni objaw zaniepokoił Ineverę. Potrzebowała Abbana, zwłaszcza teraz. Jego ciało miało dla niej niewielką wartość, ale umysł...

Kiedy przysunęła się, aby zbadać *khaffit*, kupiec cofnął się i opadł na poduszki, jakby była zmiętą tunelową. Pisnął jak kobieta.

– Leż i nie ruszaj się – syknęła. – Jestem nie tylko Damajah, ale też *dama'ting*.

Chociaż Inevera rzadko leczyła kogoś innego niż Ahmanna, nie zapomniała nic ze swoich umiejętności uzdrowicielskich po dekadach w pawilonie *dama'ting*. Nierówne źrenice *khaffit*, powolne śledzenie ruchu jej palca, długie pauzy między słowami, gdy mówił – wszystko to wskazywało na uraz głowy.

Sięgnęła do mieszka z *hora* po uzdrawiające kości, zestaw paliczków demona umysłu z wrytymi runami. Kości zostały pokryte cienką warstwą elektrum, aby skupiać moc i chronić je przed słońcem. Inevera zręcznie ustawiła symbole w odpowiednią konfigurację, a potem je aktywowała.

Krew odpłynęła z oka, mniejsze zadrapania na twarzy kupca zagoiły się od razu. Inevera jednak utrzymywała przepływ mocy, aby się upewnić, że znikną wszystkie obrzęki i uszkodzenia mózgu.

Wreszcie Abban wciągnął powietrze i podniósł się do pozycji siedzącej. W jego oczach pojawiły się znajome iskierki.

Roześmiał się głośno.

– *Sharum* mówią, że magia jest mocniejsza niż *couzi*. Nie dziwię im się. Nie czułem się tak silny i rzeński od dwudziestu lat.

Spojrzał z zaciekawieniem na swoją nogę, a potem wstał i odłożył laskę na poduszkę. Wydawało się, że stoi pewnie, ale kiedy ugiął kolana, aby podskoczyć z radości, noga się pod nim załamała. Tylko dzięki temu, że od młodości zmagął się z kalectwem, zdołał upaść na poduszki, nie na podłogę.

Inevera posłała mu uśmiech.

– Odrzuciłeś moją propozycję, żebym wyleczyła ci nogę, *khaffit*. Może pewnego dnia zaoferuję ci to ponownie, ale nie za darmo.

Abban skinął głową i uśmiechnął się szeroko na jej słowa.

– Damajah poradziłaby sobie wspaniale na bazarze.

W rzeczy samej Inevera wychowała się na bazarze, ale bynajmniej nie zamierzała się do tego przyznawać Abbanowi – ani nikomu innemu. Anonimowość zapewniała bezpieczeństwo jej rodzinie. I tak zbyt wielu miało okazję poznać tę tajemnicę.

– Mam uznać za komplement, że przyrównujesz mnie do jakiejś córki kupca *khaffit*? – warknęła.

Abban skłonił się lekko.

– To największy komplement, na jaki mnie stać, Damajah.

Z mruknięciem udała, że ją udobruchał.

– Nie traćmy więcej czasu. Opowiedz mi dokładnie, co pamiętasz z ataku.

– Siedemnastu zabitych w wybuchu, wśród nich *dama*. Kolejnych czterdziestu trzech rannych. Konstrukcja budowli została mocno uszkodzona, wiele ze zdobiących ściany kości bohaterów przepadło.

– Jak to w ogóle było możliwe? – zdziwiła się Inevera. – Wybuch nastąpił w świetle dnia, nie mogła go wywołać

magia hora.

– Sądzę, że *chin* użyli materiałów wybuchowych – wyjaśnił Abban.

– Materiałów wybuchowych?

– Fajerwerków. My używamy cieczy i oleju, ale *chin* mają proch. Wykorzystują go głównie do robienia huków i świateł podczas uroczystości, ale jeżeli tę substancję zawinie się w papier i zrobi małe rolki, okazuje się bardzo przydatna w pracach wydobywczych i budowlanych. Widziałem, jak mistrzyni Leesha używa tego przeciw *alagai*. Znakomicie się nadawało.

Inevera zmarszczyła brwi. Zapomniała się na chwilę. Szybko przybrała obojętny wyraz twarzy, ale bez wątplenia *khaffit* użył tego imienia specjalnie i bacznie przyglądał się, jak Damajah zareaguje.

– Używanie tego imienia w mojej obecności jest bardziej ryzykowne niż zakradanie się do mojej sypialni bez zapowiedzi – ostrzegła. – Nie myśl, że jestem głupia i nie wiem, że maczałeś palce w ukrywaniu występków mojego męża z tą dziwką.

Abban nawet nie próbował zaprzeczyć, tylko wzruszył ramionami.

– Pani Leesha jest teraz najmniejszym zmartwieniem Damajah.

Gdyby tylko, pomyślała Inevera.

– Chcę dokładny opis i notatki o tej fajerwerkowej broni.

Abban westchnął ciężko.

– Z tym będzie kłopot, Damajah. Mam kilka takich rolek, które udało mi się skonfiskować w zdobytych kopalniach, gdy Wybawiciel podbił Lenno Everama, ale ich wytwarzanie pozostaje tajemnicą. Według tradycji *chin* Zielarki przekazują swoją wiedzę tylko swoim uczennicom i tylko ustnie, i niczego nie zapisują.

– A twoi szpiedzy lub łapówki nie skłonili żadnej do ujawnienia metody wytwarzania tych rolek? – zdziwiła się Inevera. – Rozczarowałeś mnie.

Abban skrzywił się lekko.

– To rzadka umiejętność nawet wśród Zielarek. Wszystkie ukrywają swoją wiedzę. Nie są tak głupie, żeby zdradzić nam tę tajemnicę. Wiedzą, że wykorzystamy to przeciwko nim.

– Dam ci nakazy aresztowania – zaproponowała Inevera. – Jeżeli tych kobiet nie skusi łapówka, przepytaj je bardziej. I przynieś mi próbki tego prochu. To zbyt potężna broń, nie można pozwolić, żeby *chin* ją przed nami ukrywali.

Abban skinął głową.

– Traktuj te próbki z najwyższą ostrożnością, Damajah. Dwóch moich ludzi zginęło w wybuchu, gdy próbowali wynieść skrzynię, która zbyt długo leżała w magazynie.

– Czy są już jacyś podejrzani o dokonanie tej zbrodni? – Inevera zmieniła temat.

Abban zaprzeczył.

– Fajerwerki mają krótki zapłon, a nie widziano nikogo, kto uciekałby ze świątyni tuż przed wybuchem. Wśród ofiar śmiertelnych byli też *chin*. Jeden z nich zapewne poświęcił życie, żeby podpalić proch.

– *Chin* mają w sobie jednak trochę stali – mruknęła Inevera. – Szkoda, że marnują się na Wojnę w Blasku Dnia zamiast na *alagai'sharak*.

– *Damaji* nie przyjmą tego dobrze – zauważył Abban. – Lenno Everama spłynie krwią.

Inevera nie mogła zaprzeczyć.

– Więcej *Sharum* dołączy do Jayana. Nie zdołamy powstrzymać wojowników przed przejęciem władzy nad miastem.

– Dla jego bezpieczeństwa, bez wątplenia – zgodził się Abban. Sarkazm pojawił się raczej w jego aurze niż w słowach.

– Właśnie.

– Jeszcze jeden powód, żeby go jak najszybciej odesłać – rzucił Abban.

Inevera spojrzała na niego z ciekawością. Niczego innego nie pragnęła bardziej, ale jak mogłaby...? Właśnie. Dostrzegła to w jego aurze. Spryt. Abban miał plan. A przynajmniej tak mu się wydawało.

– Wyrzuc to z siebie, *khaffit* – warknęła.

– Lakton – wyjaśnił z uśmiechem kupiec.

To był jego plan? Może Inevera przeceniała jednak tego *khaffit*.

– Chyba nie myślisz, że Lakton nadal stanowi priorytet? Ahmann zniknął, a za murami pałacu rozpoczął się bunt.

– Tym bardziej. Mieszkańcy Lakton złożą daninę najpóźniej za dwa tygodnie. Potrzebujemy tych zbiorów, Damajah. Nie mogę wyrazić tego dobitniej. Jeżeli *alagai* będą niszczyć nasze zapasy, tylko dzięki zbiorom z Lakton nasze armie mają szansę przetrwać zimę. Wszystko jest już przygotowane.

– I jak mam przekonać Sharum Ka i *Damaji*, żeby posłali wojowników na trudny, tygodniowy marsz, kiedy Sharik Hora wciąż jeszcze stoi w płomieniach?

– Phi! – Abban wskazał na mieszek z *hora* Inevery. – Pomachaj kośćmi i powiedz, że za atakiem stoją dokerzy. Zażądaj, żeby twój syn udał się tam i skruszył winnych jak młot Everama, a potem zajął miasto.

Inevera uniosła brew.

– Sugerujesz, żebym skłamała o tym, co ujrzałam w świętych kościach, i oszukała Radę *Damaji*?

Abban uśmiechnął się szerzej.

– Błagam, *Damajah*. Nie obrażaj nas obojga.

Inevera musiała się na to roześmiać. Musiała przyznać, że zaczynała lubić tego *khaffit*. A jego pomysł miał swoje zalety.

Sięgnęła lewą ręką do mieszka z kośćmi, prawą wyjęła zakrzywiony sztylet.

– Wyciągnij rękę.

Khaffit pobladł wyraźnie, ale nie ośmielił się odmówić. Kiedy *hora* były już wilgotne od jego krwi, popatrzył ze zgrozą i fascynacją, jak zaczynają lśnić, gdy Inevera nimi potrząsnęła.

– Everamie, Stworzycielu Nieba i Ala, Dawco Życia i Światła, twoje dzieci potrzebują przewodnictwa. Czy powinniśmy postąpić zgodnie z planem *khaffit* i zaatakować miasto na jeziorze?

Kości rozbłysły, gdy je rzuciła, zawirowały i skrzyły nienaturalnie, gdy pokierowała nimi magia. Dla Inevery był to codzienny widok, ale Abban patrzył w zdumieniu na symbole, jakby liczył, że odczyta odpowiedź.

„Jeżeli *Sharum* nie ruszą do walki, rozerwą się na strzępy”.

Zaskakująco jasna odpowiedź, zwłaszcza że ostatnio kości mówiły tajemniczym językiem, ale też pokrętna. *Hora* zatrzymały się zaraz po rzucie.

Inevera potrząsnęła nimi ponownie.

– Everamie, Stworzycielu Nieba i Ala, Dawco Życia i Światła, twoje dzieci potrzebują przewodnictwa. Czy atak na Lakton się powiedzie?

„Miasto na jeziorze nie podda się łatwo i bez rozwagi”.

Inevera przyjrzała się symbolom. W armii Wybawiciela niełatwo było o rozwagę.

– Co ci powiedziały kości? – zapytał Abban.

Inevera zignorowała go i zebrała *hora*.

– Nadal pozostanie nam bunt, z którym trzeba będzie sobie poradzić, oraz ryzyko, że *Jayan* powróci w chwale i z jeszcze większym pragnieniem przejęcia tronu.

Przez aurę Abbana przetoczyła się ulga. Wierzył w pewność Inevery.

– Łatwiej ci będzie zdusić bunt, gdy *Jayan* znajdzie się daleko. Zyskasz szansę umocnienia swojej władzy. – Uśmiechnął się promiennie. – Może nawet będziemy mieli szczęście i trafi go zbłąkana strzała.

Inevera uderzyła go w twarz, paznokcie zadrapały policzek *khaffit* do krwi. Kupiec przewrócił się na poduszki. Odruchowo przytknął dłoń do bolesnego śladu i wytrzeszczył oczy ze strachu.

Damajah wymierzyła w niego palec i sprawiła, by moc dramatycznie, choć nieszkodliwie rozbłysła w jednym z pierścieni.

– Chociaż mój najstarszy syn potrafi mnie rozgniewać, uważaj na słowa, gdy o nim mówisz, *khaffit*.

Abban skinął głową, z grymasem przetoczył się na kolana i przyłożył czoło do ziemi.

– Wybacz mi, *Damajah*. Nie chciałem cię obrazić.

– Jeżeli pożałuję tej decyzji choć odrobinę, *khaffit*, ty będziesz żałować jej po tysiącokroć. A teraz odejdz. Rada wkrótce się zbierze i lepiej, żeby nie widziała, jak wymykasz się z moich komnat.

Kiedy za kupcem zamknęły się drzwi, Inevera znowu pochyliła się nad kośćmi. Nie próbowała poznać losu męża prawie przez cały dzień i nadal będzie musiała z tym poczekać. Po niedawnym ataku i szalonym planie Abbana łatwo było zapomnieć, że właśnie zaczął się Nów. Jeżeli będzie podobny do poprzedniego, jej lud będzie miał szczęście, jeśli przeżyje bez Ahmanna.

– Everamie, Stworzycielu Nieba i Ala, Dawco Życia i Światła, twoje dzieci potrzebują przewodnictwa. Co stanie się w pierwszą noc Nowiu w Lennie Everama i jak możemy się przygotować?

Potrząsnęła *hora* i rzuciła, po czym odczytała znaczenie zawarte w symbolach z równą łatwością jak litery w księdze.

„Alagai Ka i jego książęta nie przybędą do Lenna Everama w ten Nów”.

Ciekawe. Przesunęła wzrokiem po pozostałych znakach i zamarła. Po raz pierwszy od tygodni, w dzień, kiedy nie próbowała wywróżyć losu Ahmanna, kości dały jej wskazówkę.

I świat Inevery się zawalił.



Abban obserwował najbliższych doradców Andraha – Asome, Asukajiego, Aleveraka i Jayana – z bezpiecznego krzesła za małym biurkiem w cieniu Tronu z Czaszek. Szerszy krąg obejmował dwunastu *Damaji*, ale nie zostanie wezwany, dopóki Inevera nie zajmie swojego miejsca i wewnętrzne obrady nie dobiegną końca. Abban słyszał, jak reszta Rady przekomarza się w korytarzu.

Wszyscy w Radzie zwykle ignorowali Abbana, chyba że się odezwał, a niektórzy nawet wtedy. Kupiec mądrze zachęcał do takiej postawy i odzywał się tylko zapytany, a to po zniknięciu Ahmanna zdarzało się bardzo rzadko.

Inevera długo nie opuszczała komnaty. Na Nie, co ją zatrzymało? Na ulicach wybuchły zamieszki, a *Damaji* zaczęli tracić nad sobą panowanie.

– Najpierw uderzają na nas nocą – krzyczał Aleverak. – A w pierwszym dniu Nowiu profanują kości naszych bohaterów i niszczą świątynię Everama! To hańba!

– Nic nie dzieje się wbrew woli Everama. – Przedramiona *Damaji* Asukajiego skrywały się w szerokich rękawach szaty. Zaciskał dłonie na łokciach, jak zwykł to robić, odkąd on i Asome musieli stać osobno. Był przywódcą największego plemienia Krasji, ale jego gładka twarz zdradzała, że to tylko osiemnastoletni najwyżej chłopak. – To znak, którego nie wolno nam zlekceważyć. Stwórca jest rozgniewany.

– Właśnie tym się kończy łagodne traktowanie *chin*. Byliśmy zbyt łaskawi po ich tchórzliwym ataku na *sharaji*! – stwierdził Jayan zapalczywie. – Okazaliśmy słabość, a to tylko ośmieliło buntowników do większej zjadliwości.

– Tym razem muszę się zgodzić z moim bratem – przyznał Asome. – Atak na Sharik Hora nie może pozostać bez odpowiedzi. Everam domaga się krwi.

Everamie, pomodlił się Abban, gdy zapisywał słowa obradujących, postaw przede mną czarę couzi, a oddam jedną ze swoich żon do *dama'ting*.

Lecz Stwórca jak zwykle nie słuchał Abbana. Wszyscy oni, Jayan, Asome, Asukaji, byli tylko dziećmi zmuszonymi do pełnienia funkcji wykraczających poza zdobyte przez tych chłopców doświadczenie. W nadchodzących dekadach potrzebne im będzie przewodnictwo Ahmanna. Jednak może się okazać, że los świata spocznie na ich barkach.

Opanował dreszcz na tę myśl.

– Everam dostanie jej całe jezioro.

Nikt nie zauważył przybycia Damajah z prywatnych komnat. Nawet Abban, chociaż stała zaledwie o stopę od niego. Kupiec zerknął na nią tylko raz, lecz mimo to dostrzegł świeżo nałożony makijaż, który nie całkiem ukrywał podpuchnięte oczy.

Damajah płakała.

Na brodę Everama, westchnął w duchu Abban. Na Niebiosa i Nie! Co mogło doprowadzić tę kobietę do płaczu?

Gdyby to była zwykła kobieta, Abban spróbowałby zapewne ją pocieszyć, ale Damajah darzył zbyt wielkim respektem, dlatego pochylił głowę i wrócił do pergaminów, udając, że niczego nie zauważył.

Pozostali naprawdę nic nie zauważyli, więc nie musieli udawać.

– Znalazłaś wreszcie buntowników, matko? – zapytał Jayan.

Abban nie posiadał umiejętności Ahmanna i nie potrafił czytać w ludzkich sercach, ale wcale nie musiał – błysk w oku młodego Sharum Ka zdradzał wszystko. Jayan zwyciężył tego dnia trzykrotnie. Najpierw okazało się, że to on miał rację, a jego rywale się mylili, potem miał prawo ruszyć na buntowników i zdobyć chwałę, gdy ich zniszczy, i jeszcze pojawiła się perspektywa, że będzie mógł zaspokoić swoją brutalną naturę przez zadawanie *chin* bólu i cierpienia.

– Buntownicy to marionetki. – Inevera potoczyła w dłoni kości. – Robactwo wrzucone do naszych składów przez prawdziwego wroga.

– Kogo, matko? – Jayan nie zdołał ukryć niecierpliwości w swoim głosie. – Kto jest winien tych tchórzliwych ataków?

Inevera zaczerpnęła nieco magii i sprawiła, że kości zaświeciły. Złowroga poświata, jaką rzucały na twarz Damajah, dodawała jej słowom powagi i mocy woli Everama.

– Lakton.

– Poławiacze ryb? – zdumiał się Ashan. – Ośmielili się na nas napaść?

– Zostali ostrzeżeni przez Leeshę z Północy. – Inevera nawet nie próbowała ukrywać jadu, gdy wymówiła to imię.

– Uprzedziła ich, że możemy ich najechać już wczesną wiosną. Bez wątpienia dokerzy starali się zasiał wśród nas ziarno niezgody, aby zatrzymać nasze armie w Lennie Everama.

Było to absolutnie wiarygodne, choć całkowicie nieprawdziwe, przynajmniej o ile Abban wiedział. Opanował uśmiech, gdy doradcy przyjęli oskarżenie bez żadnych pytań.

– Zmiażdżę ich! – Jayan uniósł pięść. – Zabiję każdego mężczyznę, kobietę i dziecko! Spalę...

Inevera obróciła kości w dłoni, manipulując układem znaków tak, aby runy zapłonęły światłem. Błysk sprawił, że Jayan urwał w pół słowa, a pozostali odwrócili głowy i zamrugali, aby pozbyć się powidoków.

– *Sharak Ka* nadchodzi, synu mój – stwierdziła Inevera. – Będziemy potrzebować każdego człowieka zdolnego do noszenia włóczni, będziemy też musieli zdobyć dla nich żywność. Nie możemy sobie pozwolić na ukaranie wszystkich ziem za uczynki głupiego księżątka Lakton. Będziesz się trzymał planu Wybawiciela.

Jayan splótł ręce na piersi.

– A jakiz to plan, matko? Ojciec wspomniał nam, że chce wyruszyć na Lakton za jakiś miesiąc od dziś, ale o żadnym planie nie było mowy.

Inevera skinęła na Abbana.

– Powiedz im, *khaffit*.

Jayan i pozostali z niedowierzaniem popatrzyli na kupca.

– *Khaffit*? – powtórzył Jayan. – To ja jestem Sharum Ka! Dlaczego ten *khaffit* wie o planach bitwy, a mnie nikt nie poinformował? To ja powinienem doradzać ojcu, nie jakiś wieprzjad.

– Nie doradzałeś, ponieważ ojciec rozmawiał z Everamem. Nie potrzebował twoich rad. – Asome zerknął na Abbana. – Potrzebował tylko zestawień.

Chłodne wyrachowanie w oczach Asome przestraszyło kupca, choć agresywność Jayana nie wzbudziła w nim żadnych emocji. Abban wsparł się na lasce, żeby wstać, po czym zostawił ją opartą o biurko. Mężczyźni poświęcąc więcej uwagi jego słowom, jeżeli wypowiadający je stanie na własnych nogach. Odchrząknął i uformował glinę swojej twarzy w wyraz nerwowej uległości, aby „lepsi od niego” poczuli się swobodnie.

– Szlachetny Sharum Ka – przemówił – straty w naszych zapasach żywności po poprzednim Nowiu są większe, niż zyczyłyby sobie Wybawiciel. Bez nowych dostaw Lenno Everama zacnie głodować, zanim nadejdzie wiosna.

To przyciągnęło uwagę Rady. Nawet Ashan pochylił się do Abbana w skupieniu.

– Za szesnaście dni od dziś nadejdzie dzień, w którym mieszkańcy Lakton będą obchodzić Święto Pierwszego Śniegu.

– Co to takiego? – warknął Jayan.

– To także dzień, w którym *chin* dostarczą dziesięcinę władcom doków Lakton – wyjaśnił Abban. – Daninę, która wyżywi naszą armię do lata. Wybawiciel wymyślił śmiały plan, żeby zdobyć daninę i ziemię *chin* za jednym zamachem.

Abban zamilkł, ponieważ spodziewał się, że po tych słowach i tak ktoś mu przerwie, ale doradcy milczeli. Nawet Jayan czekał na ciąg dalszy.

Kupiec skinął na Qerana, który przyniósł kobierzec, starannie utkany przez żony Abbana. Dywan przedstawiał mapę ziem *chin* na wschodzie. Qeran rozwinął go kopnięciem, a *khaffit* podszedł, kulejąc. Reszta otoczyła kobierzec w milczeniu.

– Zamiarem Wybawiciela było wysłanie na te ziemie Shar’Dama Ka i Włóczni Wybawiciela wraz z dwoma tysiącami *dal’Sharum* w tajemnicy. – Abban wskazał końcem laski drogę przez dzikie terytoria, omijając szlak Posłańców i wioski *chin*. – Mieli dotrzeć do Dokowiska, które znajduje się tutaj, i zająć je o poranku w Święto Pierwszego Śniegu. – Stuknął końcem laski w duże miasto na brzegu jeziora.

Jayan zmarszczył brwi.

– Jak zdobycie jednej nadbrzeżnej osady pomoże nam w zdobyciu miasta na jeziorze?

– To nie jest zwykła osada – wyjaśnił Abban. – Znajduje się najbliżej miasta, a siedemdziesiąt procent doków Lakton to właśnie Dokowisko. W dniu składania daniny będą tam kotwiczyły statki oczekujące na załadunek zapasów, gdy tylko zostaną one przeliczone przez rachmistrzów. Wystarczy podbić Dokowisko w Dniu Pierwszego Śniegu, a przejmie się zapasy, flotę i miasto położone najbliżej Lakton. Bez zapasów i statków, które można wysłać na poszukiwanie żywności, rybacy chętnie przyniosą ci głowę swojego księcia i jego zarządców w zamian za kromkę chleba.

Jayan zacisnął pięść i zamyślił się, ale nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Dwa tysiące *Sharum* wystarczy, aby zdobyć każdą osadę *chin*, ale to nie dość, żeby utrzymać linię wybrzeża przez zimowe miesiące. Zostaniemy otoczeni przez przeważające siły wroga.

Abban skinął głową.

– I właśnie dlatego Wybawiciel w swojej mądrości zaplanował wysłanie drugiej, pięcioletniej armii *dal'Sharum* główną drogą tydzień później. I właśnie te siły miałyby zdobywać osady wokół Lakton jedną po drugiej i przygotowywać je na *Sharak Ka*. Armia ta będzie jak grot włóczni, oczyści drogę dla czterdziestu *dama* i ich uczniów, dziesięciu tysięcy *kha'Sharum* i dwudziestu tysięcy *chi'Sharum*, którzy osiadą na tych ziemiach, sprowadzą swoje rodziny i pomogą *dama* krzewić prawo Ewejah. Zanim spadnie prawdziwy śnieg, będziesz miał do dyspozycji siedem tysięcy najlepszych *dal'Sharum*.

– Wystarczająco dużą armię, żeby zmiażdżyć każdego głupca, który ośmieli się wystąpić przeciwko nam – warknął Jayan.

Asukaji wysunął ręce z rękawów i podszedł do Asome. Obaj zaczęli rozmawiać w swoim prywatnym języku znaków. Zwykle kod był tak subtelny, że łatwo go było przeoczyć, nawet gdy się na nich patrzyło, ale teraz mieli sobie za dużo do powiedzenia i za mało czasu. Na szczęście coś innego przyciągało uwagę pozostałych mężczyzn zgromadzonych w sali tronowej.

Abban nawet nie próbował śledzić tej rozmowy, chociaż łatwo domyślił się jej treści. Ci dwaj dyskutowali o wadach i zaletach nieobecności Jayana w Lennie Everama. Zastanawiali się, czy mają to powstrzymać – spodziewano się właśnie po nich, że będą przeciwnikami tego planu.

Najwyraźniej jednak uznali, że nie będą protestować, ponieważ milczeli.

Aleverak zwrócił się do Ashana:

– Co Andrah ma do powiedzenia o tym planie? Czy to rozsądnie wysłać tak wielu wojowników do zdobywania innego miasta, gdy za murami naszego pałacu narasta bunt?

Ashan zerknął na Ineverę. Oni także porozumiewali się w milczącym języku, ale Abban dostrzegł lekkie poruszenie ust Damajah i domyślił się, że dała kolczyk *hora* również Andrahowi.

– Kości przemówiły, *Damaji* – stwierdził Ashan. – Zarządcy doków opłacali ataki, żeby powstrzymać nas od obłąkania Lakton. Musimy pokazać, że taka strategia jest nieskuteczna.

– A tymczasem nadszedł Nów – wtrąciła Inevera. – Alagai Ka i jego książęta dziś w nocy będą kroczyć po Ala. Nawet *chin* wiedzą, co to znaczy. Trzeba zarządzić ciszę nocną i zebrać wszystkich wojowników zdolnych do walki, również *Sharum'ting*. Kości zapewniły mnie, że Pierwszy Demon zwróci oczy gdzie indziej w tym cyklu, jednak nie możemy zaniedbać obrony. Nawet najmniejszy z jego książąt może zmienić bezmyślne hordy *alagai* w przebiegłą armię.

W ukłonie Jayana nie było zwykłej arogancji, nawet po rozkazie, aby do walki z demonami włączyć kobiety. Najstarszy syn Wybawiciela miał dość rozważli, by trzymać język za zębami, gdy sprawy toczyły się lepiej, niż mógł sobie wyobrazić.

– Oczywiście, matko. Tak się stanie.

– Skoro potrzebny jest każdy, proponuję, żeby *dama* też mogli się przyłączyć do walki – wtrącił Asukaji.

– Popieram – dodał szybko Asome. Dla Abbana było oczywiste, że tę sytuację przygotowano wcześniej.

– Nie do pomyślenia! – oburzył się Aleverak.

– To nie podlega dyskusji – przyznał Ashan.

– Jesteśmy w potrzebie, a wy wolicie, żeby do walki przystąpiły kobiety zamiast adeptów wyszkolonych w Sharik Hora? – zdziwił się Asome.

– Wybawiciel zakazał – przypomniał Ashan. – *Dama* są zbyt ważni, żeby ryzykować życie.

– Mój ojciec zakazał tego podczas poprzedniego Nowiu – poprawił go Asome. – I tylko w tym cyklu. Wtedy zabronił też walczyć *Sharum'ting*, a jednak kobiety biorą się dzisiaj na wezwanie Rogu *Sharak*. Dlaczego nie *dama*?

– Nie wszyscy *dama* są młodzi i silni jak ty, mój krewniaku – zauważył Ashan.

– Nikogo nie wolno zmuszać do walki – przytaknął Asukaji. – Jednak ci, którzy pragną w niej uczestniczyć, nie powinni tracić szansy na zdobycie chwały Everama nocą. Nadchodzi *Sharak Ka*.

– Może – zamyślił się Ashan. Tym razem tylko zerknął na Ineverę. – Ale jeszcze nie nadeszła. *Dama* pozostaną pod osłoną runów.

Asome zacisnęła usta i Abban znowu przypomniał sobie, jak młody jest ten chłopak. Jayan posłał bratu lekki uśmiezek, ale Asome wyprostował się dumnie i udał, że niczego nie widział.

– Postanowione – oznajmiła Inevera. – O świcie po pierwszej nocy Nowiu Jayan i jego wojownicy wyruszą, żeby zadać wrogom miażdżący cios w imię Everama.

Jayan ponownie się skłonił.

– Dokowisko będzie nasze, a Lakton w pułapce, zanim ktokolwiek zauważy, jak jesteśmy blisko.

Inevera skinęła głową.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Będą nam też potrzebne rachunki na wszystkie twoje wydatki oraz

oszacowanie przejętej dziesiątej.

– He? – Jayan spojrział zmieszany. – Czy jestem *khaffit*, żeby marnować czas na księgi i rachunki, kiedy moi ludzie przelewają krew?

– Oczywiście, że nie – zapewniła Inevera. – Właśnie dlatego Abban będzie ci towarzyszył.

– Co? – Abban zaskoczony uniósł głowę. Serce podeszło mu do gardła.



11

Dokowisko

333 rok plagi, zima

Damajah, to na pewno pomyłka – zaczął Abban. – Moje obowiązki tutaj...

– Mogą poczekać – ostry głos Inevery tuż przy uchu uciął jego protesty. Choćby to, że nie spojrziała na Abbana, lecz raczyła jedynie przemówić przez kolczyk *hora*, wskazywało wyraźnie, że podjęła ostateczną decyzję. – Przedobrzyłeś w przedstawianiu swojej sprawy, *khaffit* – podjęła. – Musimy mieć żywność z Lakton, aby wyżywić naszą armię, a oboje wiemy, że Jayan gotów nasrać do laktońskiego ziarna, żeby zgadzały się rachunki, i przesłać je do Lenna Everama. Dlatego ty musisz o to zadbać.

– Twój syn mnie nienawidzi, Damajah – zaprotestował Abban. – Z dala od twoich wpływów...

– To ty możesz zostać trafiony zbłąkaną strzałą? – prychnęła Inevera. – Owszem, może się tak stać. Będziesz musiał zachować czujność, ale mój syn na pewno doceni, że będziesz się zajmował aspektami wojny, którymi nie raczy sobie zwracać głowy, i pozwoli ci żyć.

– A jego strażnik Hasik? Moi ludzie go wykastrowali.

– Sam wypuściłeś tego dzina z butelki, *khaffit*, więc teraz sam musisz znaleźć sposób, żeby go w niej zamknąć – stwierdziła Inevera. – Ani jedna łąza nie wypełni flakonów po odejściu Hasika.

Abban westchnął. Jeżeli Qeran i Bezuchy będą mu towarzyszyli przez cały czas, Hasikowi raczej nie uda się go dopaść. Na dodatek kupiec mógłby się przynajmniej na jakiś czas wkraść w łaski Jayana. Bez wątplenia również w Lakton czekała na zdobycie fortuna. Wiele fortun dla tych, którzy mieli odrobinę pomysłu.

– Zatem będę mógł powrócić z daniną? – upewnił się. Na pewno nie przeżyje tam dłużej niż kilka tygodni.

– Możesz powrócić, gdy nad Lakton załopocze krasjańska flaga, nie wcześniej – poprawiła go Inevera. – Kości powiedziały, że do zdobycia miasta potrzebna będzie rozważa, a tej na dworze mojego syna brakuje. Musisz go poprowadzić.

– Ja? – zatchnął się Abban ze zdumienia. – Poprowadzić wojnę i wydawać rozkazy synowi Wybawiciela? To znacznie przekracza możliwości mojej kasty, Damajah.

– Błagam, *khaffit* – roześmiała się Inevera. – Nie obrażaj nas obojga.



Jak przewidziała Inevera, w Nowiu nie zdarzyły się żadne niezwykle ataki *alagai*. Nawet *chin* nie byli tak głupi, aby osłabiać obronę na czas najciemniejszych nocy. Jednak świt po trzeciej nocy przyszedł o wiele za wcześnie.

– Gdy tylko wyruszę w drogę, chcę być codziennie informowany o waszych działaniach – powiedział Abban do Jamere.

Jamere przewrócił oczyma.

– Powtórzyłeś mi to już siedem razy, wuju.

– *Dama* powinien wiedzieć, że siedem to święta liczba. A jeszcze bardziej święta jest siedem razy siedemdziesiąt i jeżeli zajdzie potrzeba, tyle razy właśnie będę powtarzał ci swoje polecenia, żeby dotarły do twojej pustej czaszki.

Niewielu było *dama* na świecie, do których *khaffit* mógł zwracać się takim tonem – o ile nie chciał natychmiast rozpocząć wędrówki po samotnej ścieżce – ale Jamere należał do rodziny. Stał się arogancki i nieznośny, odkąd otrzymał biel, lecz Abban nigdy nie wtajemniczałby krewniaka w swoje sprawy, gdyby chłopak nie był też sprytny. Sprytny i rozsądny, ponieważ rozumiał, że jego wygodne życie zależało całkowicie od zadowolenia wuja. Jamere miał zostawić interesy w rękach kobiet, żon oraz sióstr Abbana i odgrywać tylko rolę głowy rodziny – podpisywać dokumenty oraz odstraszać każdego, kto ośmieliłby się wkroczyć na terytorium Abbana pod jego nieobecność.

– Przysięgam na Everama i wszystkie świętości, że będę ci codziennie przysyłał wieści. – Jamere skłonił się bezczelnie.

– Na jaja Everama, chłopcze – zachichotał Abban. – Takim przysięgom ufam najmniej!

Uściskał młodzieńca, który był mu bliski jak syn, i ucałował go w oba policzki.

– Dość już wylewania łez do flakonów jak żony o zmierzchu – warknął Qeran. – Twoje mury są mocne, Abbanie, ale mogą nie wytrzymać, jeżeli Sharum Ka będzie musiał tutaj przyjść i osobiście cię zabrać.

Mistrz Ćwiczeń dosiadał jednego z ogromnych rumaków zielonych krain. W mężczyźnie nie pozostał nawet ślad pijanego kaleki, którego kupiec znalazł w kałuży moczu zaledwie parę miesięcy temu. Prawe strzemię było dopasowane do jego nowej protezy i wojownik prowadził swojego wierzchowca z wprawą i zdecydowaniem.

– Codziennie. Pamiętaj – szepnął jeszcze raz Abban do Jamere.

Młodzieniec roześmiał się serdecznie.

– Jedź, wuju. – Pchnął kupca lekko w stronę czekającego wielbłąda i naciągnął liny przypiętej drabinki ciężarem własnego ciała, gdy Abban zaczął się wspinać. – Mam rozkazać, żeby przyprowadzono wyciągarkę? – zapytał.

Przy wspinaniu się na kolejny stopień Abban postawił koniec laski na palcach młodego kleryka. Jamere wciągnął powietrze i schował dłoń, gdy tylko nacisk zniknął, ale nie przestał się uśmiechać.

Abban usiadł wreszcie na grzbiecie wielbłąda i przypiął się do siodła. W przeciwieństwie do Qerana kupiec nie mógł jeździć konno, cierpiał wtedy ponad wszelkie wyobrażenie. Lepiej było wygodnie podróżować w zadaszonym siodle na ulubionym wielbłądzie. Zwierzę przejawiało czasami upór i gryzło, zamiast słuchać jeźdźcy, ale pod batem dorównywało szybkością krasjańskim wierzchowcom, a w tym marszu na Lakton najbardziej liczyła się właśnie szybkość.

Abban patrzył przed siebie, dopóki jego grupa nie minęła wrót. Potem zatrzymał się i rzucił tęskne spojrzenie na grube mury swojej siedziby. Po tym jak Ahmann wyprowadził swój lud z Pustynnej Włóczni, było to pierwsze miejsce, w którym Abban czuł się bezpiecznie. Zaprawa murarska jeszcze nie wyschła, gwardia kupca ledwie przyzwyczała się do swych obowiązków, a już musiał stąd wyjechać.

– Nie dorówna pięknością pałacowi *Damaji* – odezwał się Qeran u jego boku. – Ale jest mocna jak Pustynna Włócznia.

– Spraw, żebym powrócił tutaj żywy, Mistrzu Ćwiczeń, a uczynię cię bogatszym niż jakikolwiek *Damaji*.

– Co mi po bogactwie? – Qeran wzruszył ramionami. – Mam swój honor, włócznię i *sharak*. Wojownikowi więcej nie potrzeba. – Roześmiał się na zmartwione spojrzenie Abbana. – Nie bój się, *khaffit*. Przysięgłem ci na dobre i na złe. Honor wymaga, żebym przyprowadził cię tutaj bezpiecznie albo zginął, próbując.

Abban uśmiechnął się z ulgą.

– Lepiej to pierwsze, Mistrzu. Oba tylko w razie potrzeby.

Qeran skinął głową, uderzył konia piętami i poprowadził orszak. Za nim jechała Setka Abbana, *kha'Sharum* wybrani i wyszkoleni przez Mistrza Ćwiczeń. Dekret Wybawiciela pozwalał Abbanowi na wzięcie stu wojowników i ani jednego więcej, ale kupiec wybrał stu dwudziestu, na wypadek gdyby część odpadła podczas ćwiczeń.

Jak dotąd wszyscy sprawowali się doskonale, ale szkolenie dopiero się zaczynało. Na żądanie władcy na Tronie

z Czaszek Abban miał ich zwrócić, ale ani dnia wcześniej. Szkoda, że nie mógł ich zabrać do Lakton wraz ze swoimi pięciuset *chi'Sharum*, jednak Jamere i kobiety w siedzibie kupca potrzebowali ochrony. Lepiej było również nie pokazywać Jayanowi i jego świcie, jaką siłą dysponuje znieawidzony *khaffit*. Przynajmniej kilku ludzi Sharum Ka z pewnością umiało liczyć więcej niż do stu.

Sharum Ka wydawał ostatnie polecenia swojemu młodszemu bratu Hoshkaminowi. Abban i jego ludzie zastali obu na placu ćwiczeń. Jayan zdumiał cały dwór Andraha, gdy oświadczył, że Hoshkamin, który właśnie otrzymał czerń, zasiądzie na Tronie Włóczni.

Było to odważne posunięcie, które świadczyło, że Jayan nie jest ślepy na zagrożenia związane z opuszczeniem swojego stanowiska. Hoshkamin nie miał jeszcze wystarczającego doświadczenia, aby naprawdę dowodzić, ale podobnie jak Jamere, trzeci syn Wybawiciela i jego jedenastu przyrodnych braci byli groźną siłą.

Możliwe, że Jayan jednak przejmie Tron z Czaszek, pomyślał Abban. Powiniennem wkraść się w jego łaski, dopóki jeszcze mogę.

– Powiedziałem: konie, *khaffit* – warknął wyniośle Jayan na widok wielbłąda Abbana. – *Chin* usłyszą twoje zwierzę na wiele mil!

Inni wojownicy roześmiali się głośno. Wszyscy oprócz Hasika, który patrzył na Abbana z nieskrywaną nienawiścią. Krążyły pogłoski, że Hasik stał się nawet większym sadystą po kastracji. Pozbawiony możliwości rozładowania napięcia przez brutalny, choć prostacki gwałt, mężczyzna stał się... kreatywny. Do czego podobno Jayan go zachęcał.

– *Khaffit* wśród nas to zły omen, Sharum Ka – stwierdził Khevat. – Zwłaszcza ten.

Dama Khevat twarz miał beznamiętną i sztywno dosiadał swojego siwka. Ten mężczyzna nienawidził Abbana niemal równie mocno jak Hasik, ale kapłan miał doświadczenie i nie ujawniał swoich uczuć. Nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki, a nadal cieszył się doskonałą kondycją. Khevat, który szkolił Ahmanna i Abbana w *sharaj*, należał obecnie do najwyżej postawionych *dama* w Krasji – był ojcem Andraha i dziadkiem *Damaji* plemienia Kaji. Zapewne był też jedynym człowiekiem na tyle potężnym, aby zapanować nad Jayanem.

Może.

Obok Khevata na mniejszym, choć równie śnieżnobiałym koniu siedziała Asavi. Inne *dama'ting* miały jechać w powozie w kolumnie wozów z zaopatrzeniem, ale Inevera chyba niczego w tej wyprawie nie zostawiła przypadkowi. Bez wątplenia widok kobiety, nawet *dama'ting*, jadącej w siodle jak mężczyzna gniewał świtę Sharum Ka, lecz Oblubienicy Everama nikt nie śmiał pouczać.

Wyraz twarzy Asavi był jeszcze bardziej nieprzenikniony niż Khevata. Nie dała po sobie nawet poznać, że kiedykolwiek spotkała Abbana. Kupiec ucieszył się, że Inevera umieściła innego agenta tak blisko dowództwa, jednak nie oszukiwał się, że *dama'ting* stanęłyby w obronie *khaffit*, gdyby ten naraził się Jayanowi.

– Nie mogę dosiadać konia, Sharum Ka – odpowiedział Abban. – I oczywiście będę się trzymał z tyłu, gdy będziesz zdobywał miasto. Mój hałaśliwy wielbłąd i ja zbliżymy się do Dokowiska dopiero wtedy, gdy ogłosisz zwycięstwo i nadejdzie pora, żeby porachować łupy.

– *Khaffit* spowolni nasze przejście przez ziemie *chin*, Sharum Ka – wtrącił Hasik. Wyszczerył się, pokazując złoty ząb, który zastąpił ten wybity przez Qerana jeszcze w *sharaj* prawie ćwierć wieku temu. Wtedy właśnie Hasika zaczęto przezywać Świstaczem. – Nie pierwszy raz Abban stanowi zbędne obciążenie. Pozwól mi go zabić teraz i mieć to z głowy.

Qeran trącił konia i podjechał bliżej. Mistrz Ćwiczeń osobiście szkolił Wybawiciela i nawet Jayan okazywał mu szacunek.

– Będziesz musiał najpierw zabić mnie, Hasiku. – Uśmiechnął się ze spokojem. – A nikt nie zna twoich braków wojownika lepiej niż ja, który cię uczyłem.

Hasik wytrzeszczył oczy, ale zaskoczenie szybko zamaskował grymasem gniewu.

– Nie jestem już twoim uczniem, starcze, i zachowałem wszystkie kończyny.

– Nie wszystkie, jak słyszałem! – parsknął Qeran. – Chodź do mnie, Świstaczu. Tym razem wybiję ci nie tylko ząb.

– Świstacz! – Śmiech Jayana rozładował napięcie. – Muszę to zapamiętać! Cofnij się, Hasiku.

Eunuch zamknął oczy i przez chwilę Abban myślał, że to podstęp poprzedzający atak. Qeran wydawał się rozluźniony, ale kupiec wiedział, że Mistrz w okamgnieniu ruszyłby do walki, gdyby Hasik wykonał pierwszy ruch.

Jednak Hasik nie był na tyle głupi, aby okazać nieposłuszeństwo Sharum Ka. Nisko upadł, po tym jak Abban kazał go wykastrować za zgwałcenie swojej córki, i tylko Jayan dał mu szansę na odzyskanie honoru.

– Jeszcze się spotkamy, wieprzoadzie – warknął eunuch i zawrócił swojego ciężkiego mustanga.

Jayan spojrział na Abbana.

– Mimo wszystko on ma rację. Będziesz nas spowalniał, *khaffit*.

Abban skłonił się w siodle najniżej jak mógł.

– Nie ma potrzeby, żebym spowalniał szybki marsz twoich wojowników, Sharum Ka. Będę podróżował za dnia pod ochroną mojej Setki za wozami z zaopatrzeniem. Spotkamy się w obozie na dzień przed atakiem i dołączymy do ciebie w Dokowisku po południu w Dzień Pierwszego Śniegu.

Jayan pokręcił głową.

– Za wcześnie. Za dnia mogą wciąż jeszcze trwać walki. Najlepiej będzie, jeżeli pojawisz się następnego dnia o świcie.

Chcesz powiedzieć, że potrzebny ci dzień, abyś mógł ze swoimi ludźmi dokładnie ograbić miasto, pomyślał Abban, po czym skłonił się ponownie.

– Proszę o wybaczenie, Sharum Ka, ale od tego zależy powodzenie wyprawy. Nie wolno zwlekać. Jak powiedziałaś Radzie, musisz podbić osadę i przejąć daninę, zanim ktokolwiek zauważy, co się stało. Uderz mocno i szybko, inaczej rybacy uciekną na swoich statkach albo spalą plony, byle ich nam nie oddawać. – Ściszył głos, aby tylko Jayan mógł go usłyszeć, ponieważ twarz młodego Sharum Ka pociemniała: – Oczywiście moim pierwszym obowiązkiem będzie zadbanie, żeby Sharum Ka otrzymał stosowną część łupu przed odesłaniem zdobyczy do Lenna Everama. Tron z Czaszek upoważnił mnie do oddania dziesięciu procent, ale w tej kwestii istnieje pewna... hm... elastyczność. Mogę zapewnić piętnaście...

Oczy Jayana zabłysły chciwością.

– Dwadzieścia procent albo wypruję ci flaki jak świni, którą jesteś.

Ach, *Sharum*, pomyślał Abban, tłumiąc uśmiech. Wszyscy tacy sami. Żaden z was nie umie się targować.

Odetchnął i przybrał na twarz grymas zmartwienia, choć ilość nie miała oczywiście znaczenia. Abban mógł stworzyć taką sieć spisów i zestawień, że Jayanowi nigdy nie udałoby się jej przejrzeć ani zorientować, że z ksiąg rachunkowych znikły całe składy i tysiące akrów ziemi. Kupiec umiał sprawić, aby Sharum Ka dostał mniej niż pięć procent i myślał, że to piętnaście.

Wreszcie skłonił się pokornie.

– Jak Sharum Ka rozkaże.

Może jednak nie będzie tak źle.



Abban siedział w wygodnym krześle, które kazał sobie ustawić na szczycie niewielkiego wzniesienia, i przez lunetę obserwował atak na Dokowisko. Qeran, Bezuchy i Asavi woleli stać, ale kupiec nie miał im tego za złe. Wojownicy i święte kasty zawsze byli masochistami.

Kupiec wybrał ten pagórek, ponieważ rozciągał się stąd dobry widok na miasto i doki, było też mało prawdopodobne, że uchodźcy podążą w tę właśnie stronę. Dzień był dość słoneczny, Abban gołym okiem widział miasto na jeziorze – rozmazany cień na horyzoncie. Przez soczewki powiększające widać było wyraźnie, choć niewiele – tylko statki i przystań. Biorąc pod uwagę odległość, doki Lakton okazały się większe, niż Abban się spodziewał.

Gdy zwrócił lunetę na Dokowisko i dostosował ostrość, mógł widzieć wyraźnie robotników i pomosty. Ludzie poruszali się swobodnie, nie przeczuwali, co zaraz się wydarzy.

Nawet z daleka Abban usłyszał grzmiący tętent krasjańskiej szarzy. Pierwsi dokerzy, którzy unieśli głowy na ten odgłos, nie zdążyli nawet krzyknąć, nim przebiły ich lekkie włócznie ciśnięte z grzbietów cwałujących rumaków. *Dal'Sharum* byli brutalni i nieokrzesani jak zwierzęta, ale w sztuce zabijania nie mieli sobie równych.

Jeźdźcy rozproszyli się, gdy dotarli do miasta. Część wdarła się na ulice, aby wprowadzić zamieszanie i powstrzymać opór mieszkańców, podczas gdy reszta oflankowała miasto z obu stron i przyspieszyła – rozpoczęła szarżę na doki, zanim pracujący tam dokerzy zrozumieli, co się dzieje.

Wtedy rozległy się krzyki ofiar, szybko jednak zduszone bronią, a potem pierwsze lamenty tych, którzy zostali w tyle. Abbanowi nie sprawiało żadnej przyjemności słuchanie tych odgłosów, ale nie odczuwał również wyrzutów sumienia. To nie była beznamiętna rzeź. Jeżeli miasto szybko się podda, przyniesie to więcej korzyści niż długie oblężenie. Niech *Sharum* mają zabawę, o ile zajmą doki, statki i dziesięciny.

Nad domami pojawił się dym i płomień, gdy wojownicy starali się zasiać strach i zrobić jak najwięcej zamieszania w drodze do celu. Z zasady Abban nienawidził wykorzystywania ognia na wojnie. Ogień był nieprzewidywalny i kosztowny – niszczył wartościowe przedmioty. Życie *Sharum* było mniej warte.

Zagrzmiały rogi i wielki dzwon na przystani. Abban obserwował, jak żeglarze upuszczają ładunki, które wnosili na pokłady, i pędzą do swoich statków.

W powietrzu przy dokach zaświstały strzały Mehding i włócznie ciśnięte przez *Sharum*. Najpierw zabiły ludzi na pokładach – rozpaczliwie próbujących rzucić cumy i wciągnąć żagle – a potem uciekających tragarzy.

Abban uśmiechnął się i zwrócił lunetę na wodę. Kilka nadpływających statków zawróciło, ale jeden znalazł pusty pomost, przybił i wyrzucił trapy dla kobiet i dzieci uchodzących przed atakiem.

Trapy ugiwały się pod ciężarem tłumu, niejednen uchodźca wpadł do wody. Do gromadki dołączyli silniejsi mężczyźni, którzy zaczęli się przepychać. Zdawało się, że wielu z nich spadło z desek. Nikt nawet nie próbował pomagać topielcom – wszyscy starali się w panice dotrzeć na pokład.

Wreszcie okręt nie mógł przyjąć więcej pasażerów. Wyraźnie głębiej zanurzył się w wodzie. Kapitan krzyknął przez swój róg, ale uchodźcy ani myśleli odstąpić. Żeglarze zepchnęli trapy, żeby ich statek nie zatonął pod ciężarem przerażonego tłumu, a potem obrócili żagle na wiatr i wycofali się płynnie wśród chlupotu wody i wrzasków uciekinierów.

Abban westchnął. Nie odczuwał wyrzutów sumienia, ale też nie chciał patrzeć, jak toną ludzie. Zwrócił lunetę na miasto, gdzie *Sharum*, jak się okazało, przejęli już pełną władzę. Kupiec miał nadzieję, że szybko zduszą pożary, na ulicach kłębiło się już za dużo dymu.

Znowu popatrzył na doki.

– Na jaja Everama, tylko nie to – jęknął i spojrzał na Qerana. – Szykuj ludzi. Wchodzimy.

– Do południa zostało kilka godzin – ostrzegł Mistrz Ćwiczeń. – *Sharum Ka*...

– ...przegra tę wojnę, jeżeli nie opanuje swoich bezmózgich wojowników – warknął Abban. – Podpalają statki.



– A jaka to różnica? – prychnął Jayan. – Powiedziałeś: przejmij daninę. Powiedziałeś: nie pozwól statkom odpłynąć. Tak zrobiliśmy, a jednak ośmielasz się do mnie przychodzić i krzyczyć?

Abban wziął głęboki wdech. Krew w nim wrzała jak u Jayana, a to nie wróżyło dobrze. Do Ahmanna mógł zwracać się jak do głupca, ale Jayan, syn przyjaciela, nie będzie tolerował takiego zachowania u *khaffit*.

Skłonił się nisko.

– Z całym szacunkiem, *Sharum Ka*, jak przeniesiemy twoich wojowników do miasta na jeziorze? Żeby je podbić, potrzebujemy łodzi.

– Zbudujemy własne. To nie może być tak... – Jayan urwał, gdy jego wzrok padł na duże jednostki transportowe ze skomplikowanym olinowaniem. – Zgasić to! – krzyknął. – Icha! *Sharu*! Zgasić ogień. Wycofać pozostałe statki jak najdalej od płomieni!

Lecz, rzecz jasna, *Sharum* nie mieli pojęcia o żeglowaniu, a statki – niech to Everam przeklnie – zdawały się zapalać od najmniejszej iskry jak naoliwione. Abban ze zgrozą patrzył, jak flota prawie czterdziestu dużych oraz ponad stu mniejszych łodzi wraz z większością doków zmniejszyła się do dziesięciu przypalonych statków i rozproszonych mniejszych jednostek.



Jayan spojrzał groźnie, jakby zachęcał Abbana do powiedzenia choć słowa o straconej flocie, ale kupiec rozważnie trzymał język za zębami. Statki będą problemem dopiero na wiosnę, a ledwo zaczęła się zima. Krasjanie zdobyli zapasy żywności. Bez statków nie mogli wyruszyć na Lakton, ale oznaczało to również, że miasto na jeziorze straciło połączenie z lądem.

– Gratuluję pięknego zwycięstwa, *Sharum Ka* – powiedział Abban, nie przerywając sprawdzania meldunków od swoich ludzi, którzy katalogowali łupy zabrane z Dokowiska. Ziarno w większości zostanie przesłane do Lenna Everama, ale było tu także mnóstwo baryłek mocnych trunków, które Abban mógł niepostrzeżenie zabrać i zamienić w zyski, jak również inne cenne przedmioty i nieruchomości. – *Damajah* będzie bardzo zadowolona z tego, czego dokonałeś.

- Wkrótce sam się przekonasz, *khaffit* – odparł Jayan. – Moja matka nigdy nie jest zadowolona. Ani dumna. Abban wzruszył ramionami.
- Skarb jest wielki. Możesz zatrudnić tysiąc matek, żeby szły za tobą i obsypywały cię komplementami. Jayan zerknął na niego z zainteresowaniem.
- Jak wielki?
- Wystarczająco, żeby podarować ziemię, gospodarstwa i dziesięć tysięcy draki każdemu z twoich najbardziej zaufanych poruczników – zapewnił Abban. Roczny żołąd większości *Sharum*. Suma z pozoru wydawała się spora, ale tak naprawdę stanowiła zaledwie drobne, gdyby ją podzielić między kilka tuzinów wojowników.
- Nie śpiesz się tak z rozdawaniem mojej fortuny, *khaffit* – warknął Jayan.
- Twojej fortuny? – Abban udał zranionego. – Nie ośmieliłbym się na taką arogancję. Mam tu przewidywane koszty wojny, które muszą odprowadzić do budżetu Andraha przed wyjazdem. Z reszty będziesz mógł pokryć spłatę swoich rosnących długów wobec Gildii Budowniczych. Mogę załatwić bezpośrednią płatność, jeżeli sobie zażyczysz.
- Jak wszyscy mężczyźni, Jayan nie miał wiele do powiedzenia, gdy krew mu wrzała. Zaciśnął pięści, aż trzasnęły kłykcie, a Abban wiedział, że trafił w czuły punkt.
- Słabością Jayana był jego pałac. *Sharum Ka* postanowił, że budowla przewyższy wszystkie inne, jak przystało na siedzibę prawdziwego następcy Tronu z Czaszek. A ponieważ pierworodny książę ledwie umiał liczyć na palcach, koszty przedsięwzięcia wyczerpały do cna jego skarbiec, odsetki rosnące z każdym dniem przewyższały zaś kwoty, jakie ktokolwiek mógłby zapłacić. Niejeden raz Jayan przychodził do Rady błagać o pieniądze na „działania wojenne”, a potem przekazywał te sumy wierzycielom, żeby trzymać ich z daleka. Budowa pałacu *Sharum Ka* została przerwana w połowie, co nieustannie napawało Jayana wstydem.
- Jeżeli rozwiąże się tę sprawę, można będzie zyskać wpływ na tego chłopaka.
- Dlaczego miałbym płacić tym psom? – zapytał Jayan. – Zbyt długo już na mnie żerują! I dlaczego? Kopuła mojego pałacu wygląda jak stłuczone jajko! Nie. Teraz gdy odniosłem zwycięstwo, Gildia będzie musiała dokończyć pracę albo zabiję wszystkich jej członków.
- Abban skinął głową.
- Oczywiście masz takie prawo, *Sharum Ka*. Ale wtedy zabraknie ci utalentowanych rzemieślników, a ci, którzy pozostaną, nie będą mieli materiałów do pracy. A może zabijesz także kamieniarzy? I tych, którzy zakładają rury? Czy groźby utrzymają stado zwierząt przy życiu bez pieniędzy na pożywienie?
- Jayan milczał długo, a Abban pozwolił, żeby znaczenie słów dotarło do młodego dowódcy wojowników.
- Co ważniejsze, *Sharum Ka* – odezwał się wreszcie kupiec. – Gdybyś już miał kogoś zabić, powinieneś skierować włócznie do tych, którzy pożyczili ci pieniądze z tak absurdalnie wysokimi odsetkami.
- Jayan zaciśnął pięści. Powszechnie było wiadomo, że młody następca stracił zdolność kredytową u każdego pożyczkodawcy w Krasji. Młodzieniec otworzył usta, aby rozpocząć tyradę, która z pewnością skończyłaby się na rozkazach, krwawych i głupich rozkazach.
- Abban w porę odchrząknął.
- Jeżeli pozwolisz, poprowadzę negocjacje w twoim imieniu, *Sharum Ka*. Jestem pewien, że zdołam znacząco zmniejszyć twoje długi i rozpocząć spłaty, które pozwolą dokończyć budowę pałacu i nie opróżnią twojej sakiewki. – Pochylił się nieco i ściszył głos, aby słyszał go tylko Jayan. – Twoja władza i wpływy wzrosną, gdy będziesz miał reputację człowieka, który płaci swoje długi, *Sharum Ka*. Jak twój ojciec.
- Nie ufaj *khaffit*, *Sharum Ka* – ostrzegł Hasik. – Jego szept jest jak wlewana ci w ucho trucizna.
- Zrób tak. – Abban skinieniem głowy wskazał na Hasika. – A będziesz mógł dać swojemu psu złotego kutasa do kompletu z jego zębem.
- Jayan ryknął śmiechem, a reszta jego świty zaśmiała się do wtóru. Hasik poczerwieniał i sięgnął po włócznie.
- Sharum Ka* wsunął dwa palce do ust i zagwizdał przenikliwie.
- Świstacz! Do nogi!
- Hasik popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale zimne spojrzenie Jayana nie pozostawiało wątpliwości, czym grozi nieposłuszeństwo. Wykastrowany wojownik opuścił głowę i stanął za dowódcą.
- Dobrze się spisałeś, *khaffit* – stwierdził Jayan. – Może jednak nie będę musiał cię zabijać.



Abban bardzo się starał zachować nieprzenikniony wyraz twarzy i spokojną postawę, gdy patrzył, jak wojownicy

otaczają skład. Mimowolnie jednak zacisnął zęby. Błagał Jayana, aby to nie *dal'Sharum*, lecz Setka Abbana zajęła się tym delikatnym zadaniem, ale młody Sharum Ka odmówił bez namysłu. Nie chciał stracić chwały, jaką przyniosłby mu sukces w tej misji.

Wielki portowy magazyn miał duże okna wychodzące na trzy długie pomosty przystani tworzące trójząb. Miejscowy książę kupców, Dokmistrz Isa, jak donosiły raporty, zabarykadował się w tym budynku wraz ze swoją gwardią.

Według szpiegów Abbana Dokmistrzowie stanowili prawdziwą władzę w Lakton. Książę Reecherd był wśród nich najpotężniejszy, ale gdy nie chodziło o wewnętrzne umowy, jego głos nie liczył się bardziej niż innych.

– Hańbisz go tym zadaniem – zauważył Qeran.

Abban odwrócił się do nadchodzącego Mistrza Ćwiczeń. Qeran gestem przywołał Bezuchego. Reszta Setki rozproszyła się wokół miasta, żeby zrobić spisy i przygotować raporty.

– Bezuchy jest jednym z najlepszych wojowników, jakich widziałem – ciągnął Mistrz Ćwiczeń. Nie stronił od pochwał, ponieważ Bezuchy nie mógł go usłyszeć. – Powinien walczyć w polu z *alagai*, a nie osłaniać grubego *khaffit*, który boi się odrobiny słońca.

Kupiec w duchu musiał przyznać, że obwieszony lśniąca bronią *kha'Sharum*, wysoki na siedem stóp i prężący żylaste muskuły, wyglądał trochę głupio z delikatnym papierowym parasolem, który unosił nad swoim panem. Był niemy, więc nie mógł wyrazić sprzeciwu, zresztą Abbana to nie obchodziło. Kupiec sądził, że dobrze zna słońce, wszak urodził się i dorósł na krasjańskiej pustyni, ale słońce odbijające się od tafli jeziora bardzo go zaskoczyło.

– Płacę moim *kha'Sharum* bardzo dobrze, Mistrzu Ćwiczeń – zapewnił Abban. – Jeżeli zechcę, żeby założyli kolorowe kobiece fatałaszki i wykonali taniec miłosny, byłoby mądrze, gdyby zrobili to z uśmiechem.

Po czym odwrócił się, aby popatrzeć na *Sharum*, którzy kopali w drzwi i próbowali wdrzeć się do składu. Zza drugiego i trzeciego okna świsnęły strzały. Większość pocisków odbiła się od okrągłych tarcz runicznych, ale tu i ówdzie wojownik krzyknął lub upadł.

Mimo to *Sharum* nacierali. Z góry rzucono im na głowy kociołek z naftą, a zaraz potem pochodnię – tuzin mężczyzn stanęło w płomieniach. Połowa była na tyle mądra, że rzuciła się na pomosty i skoczyła do wody, jednak pozostali krzyczeli i zataczali się, podpalając innych. Wojownicy musieli zwrócić włącznie na swoich braci.

– Jeżeli Bezuchy ma choć odrobinę rozumu – stwierdził Abban – na pewno woli parasol.

Był to pierwszy zorganizowany i śmiały opór, na jaki natknęli się ludzie Jayana. Obrońcy składu zabili i poranili więcej wojowników niż cała reszta mieszkańców Dokowiska. Ale *Sharum* było kilkuset, a gwardzistów Isy zaledwie garstka – wojownicy szybko zdławili opór i pożar rozniecony, aby zniszczyć wielki budynek, który Jayan od razu ogłosił swoim pałacem w Dokowisku.

– Everamie – westchnął Abban – choć raz wysłuchaj moich prośb i spraw, aby wojownicy wzięli Dokmistrza żywcem.

– Rozmawiałem z wojownikami przed atakiem – powiedział Qeran. – To Włącznie Wybawiciela. Nie złamię rozkazów tylko dlatego, że kilku zostało posłanych na samotną ścieżkę. Tamci zginęli z honorem i wkrótce staną przed obliczem Everama, aby poddać się Jego osądowi.

– Nawet najlepiej wytresowany pies ugryzie, gdy nie przestanie się go prowokować – zaproponował Abban.

Qeran mruknął, co stanowiło zwykle oznakę, że przełknął obrazę. Abban pokręcił głową. *Sharum* zawsze wzniosło mówili o honorze, ale żyli tylko namiętnością i rzadko wybiegali myślami poza chwilę obecną. Czy w ogóle odróżnią Dokmistrza od gwardzisty?

Kiedy jeńcy zostali wyprowadzeni, Sharum Ka skinął na Abbana. Kupiec podszedł wraz z Qeranem i Bezuchym.

Najpierw wyprowadzono grupkę kobiet. Większość nosiła długie suknie z dobrych tkanin, typowy strój kobiet z zielonych krain. Lubieżne według standardów krasjańskich, choć jak na miejscowe obyczaje – dość skromne. Abban na podstawie fryzur i klejnotów domyślił się, że były to kobiety z dobrych domów albo z dobrze sytuowanych małżeństw, nawykłe do luksusu. Na razie były jeszcze nietknięte, ale nie oznaczało to, że doczekają się litości od wojowników. Jayanowi przypadną najmłodsze, reszta zostanie rozdzielona pomiędzy jego oficerów.

Kilka kobiet nosiło spodnie jak mężczyźni. Miały też siniaki, ale ubrań z nich nie zdarto. Obnażono natomiast mężczyzn, aby ich zhańbić, skępowano im też ramiona na plecach i unieruchomiono drzewcem włącznie. *Dal'Sharum* wywlekli ich z budynku, ciągnąc za rzemienie, kopiąc i szturchając.

Wszyscy jednak pozostali przy życiu. W sercu Abbana zakiełkowała nadzieja, że ten jeden raz *Sharum* udało się przewyższyć jego niskie oczekiwania.

Niektóre z ujętych kobiet przyglądały się temu ze zgrozą, jednak większość odwracała wzrok i szlochała. Jedna, silna kobieta w średnim wieku, patrzyła niezłomnie. Nosiła męski strój, ale skrojony i uszyty na miarę. Inne kobiety przysuwały się do niej, jakby szukały wsparcia.

Wojownicy kopnięciami podcięli kolana *chin* i pchnęli obutymi stopami nagie plecy jeńców, aby przygiąć ich karki do ziemi w hołdzie dla nadchodzącego Sharum Ka.

– Gdzie jest Dokmistrz? – zapytał Jayan po thesańsku, chociaż z silnym obcym akcentem.

Hasik ukląkł przed nim.

– Przeszukaliśmy cały budynek, Sharum Ka. Nie ma śladu po Dokmistrzu. Musiał się ukryć wśród walczących mężczyzn.

– Albo uciec – dodał Abban. Hasik posłał mu groźne spojrzenie, ale nie mógł odrzucić takiej możliwości.

Jayan podszedł do przypadkowego jeńca i kopnął go tak mocno, że mężczyzna przewrócił się na plecy. Skrzywił się, nagi i bezbronny, ale spojrzał wyzywająco, gdy Sharum Ka przyłożył mu grot włóczni do piersi.

– Gdzie jest Dokmistrz? – powtórzył Jayan.

Gwardzista splunął na niego, a przynajmniej próbował – z pozycji leżącej osiągnął tylko tyle, że płwocina spadła mu na brzuch.

– Możesz mi obciągnąć, pustynny szczurze!

Jayan skinął na Hasika, który radośnie zaczął kopać jeńca między nogi, dopóki nie pozostało nic do obciągnięcia, a sandały eunucha pokryły się krwią.

– Gdzie jest Dokmistrz? – zapytał ponownie Jayan, kiedy wrzaski jeńca zmieniły się w pojękiwania.

– Niech cię Otchłań pochłonie! – wycharczał gwardzista.

Jayan westchnął, po czym przebił jeńca włócznią. Podszedł do kolejnego, a Hasik i tego kopnięciem obrócił na plecy. Związany mężczyzna szlochał otwarcie, gdy Sharum Ka nad nim stanął.

– Gdzie jest Dokmistrz?

Mężczyzna jęknął, po policzkach popłynęły mu łzy. Na deski pomostu wylała się kałuża. Jayan odskoczył z mieszaniną przerażenia i obrzydzenia.

– Żałosny psie! – warknął i uniósł włócznię do kolejnego pchnięcia.

– DOŚĆ!

Wszystkie oczy zwróciły się na osobę, która krzyknęła. Kobieta w męskim stroju strąciła dłonie towarzyszek i wystąpiła odważnie.

– Jestem Dokmistrzynie Isadore.

– Pani, nie! – jęknął któryś z jeńców. Próbował się podnieść, ale powaliło go mocne kopnięcie.

Isadore, powtórzył w duchu Abban.

Jayan parsknął śmiechem.

– Ty? KOBIEITA? – Podszedł i chwycił ją za gardło. – Powiesz mi, gdzie jest Dokmistrz, albo wycisnę z ciebie życie.

Kobieta nie wyglądała na przestraszoną, bez wahania spojrzała w jego dzikie oczy.

– Powiedziała ci, to ja jestem Dokmistrzynie, przeklęty dzikusie.

Jayan warknął i zacisnął palce. Kobieta patrzyła wyzywająco jeszcze przez chwilę, ale potem poczerwieniała i zaczęła niezdarnie odpychać ramię wojownika.

– Sharum Ka! – zawołał Abban.

Natychmiast wbiły się w niego wszystkie oczy. Jayan nie puścił, podtrzymywał kobietę chwytem za gardło, gdy nogi się pod nią ugięły. Khevat i Hasik przyglądali się kupcowi ze szczególną uwagą, gotowi uderzyć, gdy tylko Sharum Ka okaże choć cień niezadowolenia.

Abban nie wahał się klękać, gdy wymagała tego sytuacja, więc teraz szybko opadł na kolana i przyłożył czoło do desek pomostu.

– Obyczaje mieszkańców zielonych krain są dziwne, najszlachetniejszy Sharum Ka. Słyszałem, że Dokmistrz ma na imię Isa. Ta kobieta, Isadore, może mówić prawdę.

Nie powtórzył publicznie tego, co wbijał młodzieńcowi, gdy byli sami. Dokmistrz był wart o wiele więcej żywy niż martwy.

Jayan przyjrzał się kobiecie dokładniej, nim wreszcie ją puścił. Upadła, dysząc i z trudem łapiąc oddech. Twarz miała siną. Młody dowódca wymierzył w nią włócznię.

– Ty jesteś Dokmistrz Isa? – zapytał. – Jeżeli okaże się, że skłamałaś, wiedz, że każę nadziać na włócznię każdego mężczyznę, kobietę i dziecko w tej wiosce *chin*.

– Isa był moim ojcem – odpowiedziała kobieta. – Umarł sześć zim temu. Jestem Isadore i przejęłam jego stanowisko, gdy dopaliła się jego łódź pogrzebowa.

Jayan spoglądał na nią z powątpiewaniem, ale Abban, który obserwował też innych jeńców, już uwierzył.

– Sharum Ka – odezwał się pokornie – zdobyłeś Dokowisko dla Tronu z Czaszek. Czy nie czas wywiesić flagę?

Zadęto w rogi, a *Sharum* przyprowadzili ujętych *chin* do doków, aby patrzyli, jak Dokmistrzynie Isadore podchodzi do masztu i opuszcza laktońską flagę – z wielkim trójmasztcowcem na niebieskim tle, i wciąga krasjańską – z prostym rysunkiem skrzyżowanych włóczni na tle zachodzącego słońca.

Był to czysto symboliczny rytuał, jednak bardzo ważny. Jayan mógł teraz oszczędzić świętę Isadore i uznać jej status księżniczki *chin*, nie tracąc twarzy.

– Kobieta – powiedział znowu Jayan. – To wszystko zmienia.

– Wszystko i nic, *Sharum Ka* – zapewnił *Abban*. – Nieważne, czy to mężczyzna, czy kobieta. Dokmistrzynie posiada wiedzę i koneksje, a to, jak zostanie potraktowana, wpłynie na sprawujących władzę w mieście nad jeziorem. Niech moiżni myślą, że zachowają tytuły i majątki, a dostarczą nam swoich ludzi na tacy.

– Po co mam zdobywać miasto, jeżeli potem pozwolę *chin* je zatrzymać? – zdziwił się Jayan.

– Podatki – odparł *Khevat*.

Abban skłonił się na potwierdzenie.

– Niech *chin* zatrzymają swoje łodzie i zginają karki przy sieciach. Kiedy jednak przypłyną do twojego doku, trzy z każdej dziesiątki ryb będą należały do ciebie.

Jayan pokręcił głową.

– Ta Dokmistrzynie może zatrzymać tytuł, ale ryby będą moje. Wezmę ją na *Jiwah Sen*.

– *Sharum Ka*, przecież to dzikusy! – oburzył się *Khevat*. – Chyba nie chcesz kalać swojej boskiej krwi sikami wielbłąda, które płyną w żyłach *chin*.

Jayan wzruszył ramionami.

– Mam syna z *Kaji* i *Jiwah Ka*, która przekaze moją krew. Mój ojciec wiedział, jak sobie radzić z *chin*. Zrobił to samo z plemionami *Krasji*. Stał się członkiem każdego z nich. Popełnił tylko jeden błąd, pozwolił, żeby mistrzyni *Leesha* zachowała tytuł, zanim przyjęła oświadczyzny, dzięki czemu mogła odmówić. Nie zamierzam powtórzyć tego błędu.

Abban zakasłał nerwowo.

– *Sharum Ka*, muszę się zgodzić z wielkim *dama Khevatem*, którego mądrość sławi cała *Krasja*. Twój ojciec uznał tytuł mistrzyni *Leeshy* i dał jej wolność wyboru, ponieważ tylko wtedy jej dziecko może legalnie odziedziczyć tę władzę. Jeżeli ta kobieta posiadałaby tylko tytuł, który sam jej dałeś, to by znaczyło, że nie ma ci nic do zaoferowania.

Jayan przewrócił oczami.

– Gadanie i zamartwianie się, zamartwianie się i gadanie. Wy, starcy, potraficie się zajmować wyłącznie tym. W *Sharak Ka* zwycięża się tylko czynem.

Abban powstrzymał się od przewrócenia oczami, ponieważ *Khevat* podjął dyskusję.

– Tak czy inaczej, ta kobieta jest zbyt stara. – Mówił tak, jakby każde słowo skręcało mu język. – Dwa razy starsza od ciebie, jeśli się nie mylę.

Jayan wzruszył ramionami.

– Widziałem starsze kobiety w ciąży. – Zerknął na *Asavi*. – Da się to zrobić. Prawda, *dama'ting*?

Abban zerknął również na *Asavi* w nadziei, że *dama'ting* zaraz położy kres tym głupstwom.

Ale *Asavi* skinęła głową.

– Oczywiście. *Sharum Ka* jest mądry. Nie ma większej władzy niż krew. Dziecko z twojej krwi spłodzone z Dokmistrznią sprawi, że miasto będzie twoje.

Abban opanował swoje zdumienie. Była to straszna rada, która przedłuży oblężenie *Lakton* o wiele miesięcy. W co grała *dama'ting*? Czy specjalnie pobłażała Jayanowi? Lekceważyła go? *Abban* nie mógłby jej za to winić. Na *Everama*, pomógłby z chęcią, gdyby tylko znał plany *dama'ting*. Przywykł, że jest graczem, nie pionkiem.

– Przynajmniej pozwól mi negocjować warunki – poprosił. – Krótka zwłoka dla zachowania pozorów. Najwyżej miesiąc i mogę dostarczyć...

– Nie trzeba żadnych negocjacji ani zwłoki – przerwał mu stanowczo Jayan. – Dokmistrzynie i jej majątek będą moją własnością. Kontrakt podpiszemy dziś wieczorem albo ani ona, ani jej ludzie nie doczekają świtu.

– To tylko rozgniewa *chin* – zauważył *Abban*.

Jayan parsknął śmiechem.

– I co z tego? To *chin*, *Abbanie*. Oni nie walczą.



– Przrzekam. – Dokmistrzynie Isadore płakała, gdy wymawiała słowa przysięgi zaślubinowej.

Szpiedzy Abbana pracowali w nerwowym pośpiechu, aby przed ceremonią dowiedzieć się wszystkiego, co można, o tej kobiecie. Mąż Dokmistrzynie był jednym z tych, którzy zginęli w jej obronie. Abban powiedział o tym Jayanowi w nadziei, że nierozważny młodzieniec pozwoli przynajmniej na siedem dni żałoby zgodnie z nakazami Evejah.

Jednak Sharum Ka nie chciał o niczym słyszeć. Patrzył na kobietę jak nocny wilk obserwujący najstarszą owcę w stadzie. Przywiązał się już do pomysłu, że posiadzie Isadore jeszcze tej nocy, i nie dał się przekonać. Kiedy myślał, że nikt nie patrzy, dotykał się pod szatą.

Ach, mieć znowu dziewiętnaście lat i sztywnieć na samą myśl o kobiecie, lamentował w duchu Abban. Nie pamiętam nawet, jakie to uczucie.

Isadore miała dzieci. Dwóch synów, kapitanów statków, które odpłynęły do Lakton, gdy uderzyły siły Jayana. Zapewne obaj potomkowie Dokmistrzynie będą się trzymać z dala od Krasjan, wiedząc, że Jayan będzie musiał ich zabić, żeby tytuł matki przeszedł na jego syna – o ile czary Asavi pomogą i Sharum Ka uda się takiego spłodzić z niemłoda oblubienicą.

Para podeszła do żalosnej podróbki kontraktu. Krasjańskie umowy małżeńskie zwykle wypełniały długi zwój. Te podpisane przez córki Abbana miały objętość kilku zwojów, a każdy paragraf został poświadczony.



Kontrakt Jayana i Isadore miał zaledwie jeden akapit. Jayan, jak powiedział, nie zamierzał niczego negocjować, zabrał wszystko oprócz tytułu, a w zamian darował życie jej ludziom.

Isadore pochyliła się, żeby umoczyć pióro w inkauscie. Jayan także się pochylił, aby podziwiać jej plecy. Znowu ścisnął się pod szatą, a wszyscy, włącznie z Khevatem, spuścili wzrok i udali, że nic nie widzieli.

I właśnie wtedy Isadore uderzyła. Krople atramentu rozprysły się po pergaminie jak posoka *alagai*, a niedoszła żona obróciła się i wbiła naostrzone pióro w oko Jayana.



– Przystań się wiercić, jeżeli chcesz zachować wzrok – warknęła Asavi. Niewielu ośmielało się używać takiego tonu wobec Sharum Ka, ale matka zaszczepiła Jayanowi głęboki strach przed *dama'ting*, a Asavi była dla niego ciotką, choć nie z krwi.

Jayan skinął głową, zacisnął zęby, a Asavi za pomocą filigranowych srebrnych szczypczyków wyciągnęła resztki pióra z jego oka.

Sharum Ka był zakrwawiony, ale nie od własnej krwi. Kiedy odwrócił się od ołtarza, dysząc i warcząc jak zwierzę, przebite piórem oko prawie nie krwawiło.

Tego samego nie można było powiedzieć o Dokmistrzynie Isadore. Abbana nigdy nie przestało zdumiewać, że w ludzkim ciele mieści się tyle krwi. Minie wiele dni, zanim *nie'dama* wyczyszczą świątynię Everama i Khevat będzie mógł oficjalnie dokonać ponownej konsekracji i rozpocząć indoktrynację *chin*.

– Wyłupię oko tysiącom *chin*, jeżeli stracę swoje – odgrażał się Jayan. Syknął, gdy Asavi wsunęła szczypce głębiej. – Albo nawet jak je zachowam. Kiedy skończę, wszyscy poławiacze ryb w Dokowisku będą jednoocy.

Spojrzał wściekle na Abbana, Qerana i Khevata, jakby tylko czekał, żeby zaczęli oponować albo choć zasugerowali, że to jego wina, bo nie słuchał ich rad. Był jak pies, który szuka okazji, by ugryźć, a wszyscy zgromadzeni mieli tego świadomość. Dlatego pochylili głowy i trzymali usta zamknięte, gdy Asavi zajmowała się młodzieńcem.

To próba tylko dla ciebie, Sharum Ka, pomyślał Abban. Albo cię nauczy opanowania, albo rozjątrzy jeszcze bardziej.

Kupiec nie miał jednak wątpliwości, czym się to skończy. Gdyby się zakładał, postawiłby całą swoją fortunę na to, że wiosną wody jeziora spłyną krwią.

– Byłoby lepiej, gdybyś wypił eliksir nasenny – mruknęła Asavi. – Mogłabym ci podać...

– NIE! – wykrzyknął Jayan, ale skulił się zaraz pod groźnym spojrzeniem *dama'ting*. – Nie – powtórzył spokojniej, odzyskując panowanie nad sobą. – Przyjmę ból, żeby nigdy o tym nie zapomnieć.

Asavi zerknęła na niego sceptycznie. Większość pacjentów *dama'ting* nie miała wyboru, gdy trzeba było użyć magii *hora*, byli usypiani i nic nie pamiętali ani też nie przeszkadzali w zabiegach wymagających precyzji i ostrożności.

Ale Jayan dorósł w pałacu, gdzie magii *hora* używano codziennie, na dodatek miał ojca, który sływał z tego, że odmawiał uśpienia, gdy trzeba mu było opatrzeć rany.

– Jak sobie życzysz – odparła beznamiętnie Asavi. – Ale zbliża się świt. Jeżeli przed wschodem słońca nie zdąży użyć magii, stracisz oko.

Odłożyła szczypce i ostrożnie oczyściła ranę. Jayan naprężył ramiona i nogi, ale ani drgnął, a jego oddech pozostał równy. Asavi zbliżyła brzytwę do jego brwi i oczyściła miejsce do umieszczenia runów.

– O poranku powieście to, co zostało z ciała tej dziwki *chin*, pod nową flagą – rozkazał Jayan, kiedy *dama'ting* odwróciła się, aby przygotować pędzelek i tusz.

Qeran skłonił się sztywno. Jayan uczynił nauczyciela ojca jednym ze swoich doradców, ponieważ wiedział, że przyniesie mu to większy posłuch wśród wojowników.

– Stanie się, Sharum Ka. – Mistrz Ćwiczeń zawahał się, gdy Asavi rozpoczęła pracę. – Przygotuję ludzi, na wypadek gdyby *chin* znaleźli w sobie odwagę i spróbowali zaatakować. Była to stara sztuczka Mistrza Ćwiczeń – wydawanie poleceń niedoświadczonym *kai*, jakby sam wypełniał rozkazy.

– Co tu trzeba przygotowywać – prychnął Jayan. – Dostrzeżemy ich żagle z daleka, a minie sporo czasu, zanim zbliżą się na tyle, żeby nam zagrozić. Doki i płycizny zabarwią się na czerwono.

Asavi uszczypnęła Jayana w policzek.

– Za każdym razem, gdy mówisz, osłabiasz runy, a nie ma czasu malować ich po raz drugi.

Qeran skłonił się znowu.

– Będzie, jak rozkazał Sharum Ka. Wyślę posłańców do twoich braci w drodze i poproszę o przysłanie wsparcia.

– Moi bracia dotrą tutaj w mniej niż miesiąc – stwierdził Jayan. – Mierząc według *chin*. Niech mnie Nie pochłonie, jeżeli nie zdołam utrzymać tej nędznej wioski do przybycia braci.

– Mogę przynajmniej zamontować skorpiony w dokach? – zapytał Qeran.

– Niech będą gotowe wybić mnóstwo dziur w statkach *chin* – przytaknął Jayan.

– Na czarne serce Nie! – krzyknęła Asavi, bo gdy jej pacjent skinął głową, rozmazała run. – Wszyscy, którzy mają parę oczu, precz!

Qeran, pochylony w ukłonie, użył metalowej protezy, aby szybko zerwać się na równe nogi. Abban i Khevat już śpieszyli do drzwi, ale stary Mistrz Ćwiczeń zdążył je dla nich przytrzymać.



Jayan nie zgodził się na uspienie. O wschodzie słońca spacerował pod wysokim oknem, a doradcy śledzili nerwowo każdy krok młodego Sharum Ka. Nawet Jurim i Hasik trzymali się w bezpiecznej odległości.

Oko młodzieńca przesłaniała mętna biel. Widział przez nie rozmyte kształty jak przez brudną szybę, ale niewiele więcej.

Za oknem dwadzieścia wielkich laktońskich statków rzuciło kotwice i zatrzymało się na horyzoncie. Załogi obserwowały miasto zalane jasnymi promieniami budzącego się dnia.

Bez wątpienia kapitanowie używali lunet i już dostrzegli owinięte w barwy kupieckiego rodu szczątki Dokmistrzyni, wiszące na maszcie pod skrzyżowanymi włóczniami krasjańskiej flagi. Zadęto w rogi i żaglowce ruszyły do Dokowiska. Przy przystani wyznaczeni przez Qerana wojownicy z plemienia Mehnding pośpiesznie ustawiali skorpiony.

– Nareszcie! – Jayan zacisnął pięść i sięgnął po swoją włócznię.

– Nie powinieneś walczyć – ostrzegła Asavi. – Wzrok będzie cię łudził, przecież masz tylko jedno oko. Będziesz musiał się do tego przyzwyczaić.

– Nie musiałbym, gdybyś mnie wyleczyła, jak należy – syknął zjadliwie Jayan.

Zasłona Asavi zafalowała, gdy kobieta wciągnęła gwałtownie powietrze, ale ze spokojem przyjęła ripostę.

– Miałbyś parę doskonałych oczu, gdybyś mi pozwolił się uspić. Tak czy inaczej, ocalałam ci oko. Może Damajah będzie mogła uzdrowić je całkowicie.

Abban ponownie zaczął się zastanawiać, jakie motywy kierowały *dama'ting*. Czy naprawdę nie poradziła sobie z leczeniem, czy był to jeszcze jeden sposób Inevery, aby uzyskać większy wpływ na swojego nieopanowanego syna?

Jayan machnął ręką z niechęcią i z włócznią w dłoni skierował się do drzwi. Jego strażnicy, Włócznie Wybawiciela, dołączali do niego, gdy przechodził przez korytarz.

Mieli mnóstwo czasu, jak przewidział młody Sharum Ka, na zebranie zdyscyplinowanych *Sharum* w dokach i na plaży przed miastem, zanim łodzie zbliżyły się do brzegu. Wojownicy stanęli w ciasnym szyku, gotowi połączyć tarcze i chronić skorpiony przed spodziewaną nawałą płonących strzał, niewątpliwie załogi większych statków będą chciały w ten sposób oczyścić sobie drogę, zanim wielkie statki przybiją do przystani. Mniejsze łodzie popłyną od razu na plażę.

Abban przez lunetę popatrzył na wodę, policzył łodzie i oszacował ich względny rozmiar oraz udźwig w porównaniu z przejętymi przez Krasjan jednostkami. Obliczenia nie wydały mu się zbyt pokrzepiające.

– Jeżeli te statki są w pełni wyposażone, to Laktończycy wysłali prawie dziesięć tysięcy ludzi. Pięć razy więcej, niż mamy *Sharum* – stwierdził.

– To *chin, khaffit*, nie *Sharum*. Nie wojownicy – prychnął Qeran. – Dziesięć tysięcy słabych mężczyzn wybiegających na wąskie pomosty albo brnących przez płyciznę. Zmiażdżymy ich. Tuzin ich zginie na każdą deskę doku, którą przejdą.

– Zatem miejmy nadzieję, że złamią się, zanim ruszą do ataku – odparł Abban. – Może już pora, żeby wezwać posiłki.

– Sharum Ka zabronił. Za bardzo się martwisz, panie. To najlepsi wojownicy Krasji. Liczę, że jeden *dal'Sharum* posieka na kawałki dziesięciu poławiaczy ryb nawet w szczerym polu.

– Oczywiście, że tak. *Sharum* są nauczeni liczyć tylko przez dodawanie zer do liczby swoich palców u rąk i nóg.

Qeran spojrział na niego groźnie, ale Abban odpowiedział równie groźnym spojrzeniem.

– Nie zapominaj, kto jest twoim panem, tylko dlatego, że Sharum Ka darzy cię przychylnością, Qeranie. Znalazłem cię w kałuży szczyń po *couzi* i nadal byś w niej leżał, gdybym nie wydał cennej wody na zmycie z ciebie brudu.

Qeran odetchnął głęboko i skłonił się nisko.

– Nie zapomniałem swojej przysięgi, *khaffit*.

– Zaatakowaliśmy Dokowisko, żeby zabrać daninę – podjął Abban takim tonem, jakby zwracał się do małego dziecka. – Wszystko inne jest drugorzędne. Bez tej żywności nasz lud umrze z głodu podczas nadchodzącej zimy. A dopiero zaczęliśmy spisywać i szacować naszą zdobycz. Wciąż nie wysłaliśmy jej do chronionych składów. Ten głupi chłopak naraża nasz wkład, wybac mi zatem, że nie jestem w nastroju do słuchania pochwał o *Sharum*. Jayan niepotrzebnie sprowokował przeciwnika przewyższającego liczebnie nasze siły, chociaż czas był po naszej stronie, wystarczyło tylko pozwolić, żeby poławiacze ryb przesiedzieli zimę w odciętym mieście.

Qeran westchnął.

– Jayan pragnie wielkiego zwycięstwa, żeby uwiarygodnić swoje prawa do tronu ojca.
– Cała Krasja też tego pragnie – zapewnił Abban. – Przez całe życie Jayan nikomu nie zaimponował. Gdyby było inaczej, dawno już zasiadałby na Tronie z Czaszek.

– Nie usprawiedliwia to jednak jego lekkomyślnego dowodzenia. – Qeran mrugnął. – Nie posłałem po wsparcie, ale za to przekazałem wieści przyrodnim braciom Jayana, że wkrótce będziemy walczyć z wrogiem. Synowie Wybawiciela ponad wszystko pragną chwały. Przybędą nawet bez rozkazów.

Abban przypomniał sobie, jak Qeran zwykł beznamytnie bić go w dzieciństwie, aby przemocą ukształtować w wzór *Sharum*. Kupiec nienawidził wtedy Mistrza Ćwiczeń, a jeszcze bardziej się go bał. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przyszłoby mu wtedy do głowy, że pewnego dnia będzie rozkazywał temu mężczyźnie, a co więcej – nawet go polubi.

Zbliżył się do okna, gdy statki wpłynęły w zasięg ostrzału ze skorpionów. Jayan dał znak, a drużyny Mehnding zaczęły ustawiać maszyny, wykrzykując liczby i dostosowując naciąg. Potem dwadzieścia pocisków, większych i cięższych niż włócznie *Sharum*, pomknęło w niebo jak strzały z łuku. Poszybowały wysoko, ciemne i potężne, aż sięgnęły szczytu i zaczęły spadać po łuku. Abban wyregulował lunetę, żeby zobaczyć wynik ostrzału.

Nie robił wrażenia.

Skorpiony Mehnding mogły zamienić piaskowego demona w poduszczkę do igieł z czterystu jardów, czyli z dwa razy większej odległości, niż zdołałby tego dokonać łucznik. Drużyny pracowały szybko, nowe pociski zostały nałożone, zanim jeszcze poprzednie trafiły w cel.

Albo chybiły.

Sześć bełtów spadło do wody. Jeden otarł się o reling jednego ze statków. Inny przebił żagiel i zrobił niewielkie rozdarcie, które ani trochę nie spowolniło wrogiej jednostki. Dwa pociski odbiły się bezsilnie od kadłubów.

Drużyny wymierzyły i strzeliły ponownie. Z podobnym wynikiem.

– Na Nie, co się stało tym głupcom? – rozżościł się Abban. – Całe ich plemię posiada tylko jedną umiejętność! Mehnding, który nie potrafi wycelować, wart jest mniej niż gówno na moim sandale!

Qeran zmrużył oczy, starając się odczytać gesty i znaki ludzi nad dokami.

– To przez tę przekłętą pogodę. W Pustynnej Włóczni nigdy nie stanowiło to problemu, jednak po przybyciu do zielonych krain odkryliśmy, że naciąg cięciw skorpionów źle znosi wilgoć i chłód.

Abban spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Proszę, powiedz mi, że żartujesz.

Qeran tylko pokręcił głową z ponurym grymasem.

Kiedy Mehnding na próżno zmagali się ze skorpionami, laktońskie statki zbliżały się coraz bardziej. Wypatrywacze zadęli w rogi, gdy wróg znalazł się w zasięgu łuków, a *Sharum* natychmiast wrócili do szyku i unieśli złączone tarcze. Wyglądało to jak węzowe łuski.

Strzały posypały się na tarcze ulewnym deszczem. Większość złamała się lub odbiła, ale niektóre trafiły. Tu i ówdzie poniosły się krzyki bólu wojowników, którym z przedramion wystawały lotki.

Każdy *Sharum* w drugiej ręce dzierzył włócznię. Łodzie miały przybić do pomostów już za chwilę. Wojownicy przeczekaliby ostrzał, a potem opuściliby tarcze i zmiażdżyli schodzących z pokładów przeciwników.

Ale na szeregi *Sharum* spadały kolejne salwy i coraz więcej strzał przebijało osłonę, trafiały między tarcze, w szczeliny powstałe po poprzedniej salwie. Abban przyjrzał się uważniej. Statki zatrzymały się w zasięgu ostrzału i ani myślały zbliżyć się do doków.

– Tchórze! – Qeran splunął. – Boją się walczyć z nami jak mężczyźni.

– Co tylko świadczy, że są od nas mądrzejsi – odparł kupiec. – Będziemy musieli się przystosować, jeżeli mamy przeżyć do przybycia braci *Sharum* Ka z odsieczą.

Na pokładach laktońskich statków znajdowały się katapulty o długich ramionach. Na sygnał rogu wszystkie uwolniły swój ładunek i niewielkie naczynia spadły w szeregi *Sharum*.

Pociski rozbiły się i spryskały żrącą cieczą zasłonę z tarcz. Abbana ścisnęło w brzuchu ze strachu, gdy kolejna katapulta wyrzuciła płonące zawiniątko.

Ognista kula trafiła w tylko jedną grupę *Sharum*, ale jak płynny demoni ogień – kolejny sekret Zielarek tych ziem – rozbłysła oślepiającą bielą. Płomienie przeskoczyły na doki, najmniejsza iskra zapalała tarcze spryskane przeklętym płynem. Mężczyźni wrzeszczeli, gdy ogień spływał na nich z krawędzi tarcz. Złamali szyk. Ci, którzy już płonęli, odpychali – i zapalali – swoich towarzyszy, uciekając do wody.

Prosto pod kolejną salwę z wrogiego statku. Bez osłony tarcz setki wojowników odniosło rany.

– Ta walka szybko zmierza do hańby, nie do zwycięstwa Jayana – zauważył Abban.

Qeran przytaknął skinieniem głowy. Abban zaś już przeliczał, ile zdobytej żywności będzie można zabrać, jeżeli

miasto nie wytrzyma ataku.

Wielu wojowników zginęło na pomostach, gdy katapulty wyrzuciły kolejne naczynia z demonim płomieniem. Pożar rozprzestrzenił się szybko, zdawało się, że cały dok płonie, a ogień mknie ku miejscu, skąd Abban obserwował starcie.

Strzała przebiła szkło i minęła kupca o włos. Abban z trzaskiem złożył swoją lunetę.

– Czas się wycofać. Daj znak Setce, żeby zabrała jak najwięcej wozów z ziarnem. Ruszemy drogą Posłańców na spotkanie ze wsparciem.

Qeran uniósł tarczę, aby osłonić swojego pana.

– Sharum Ka nie będzie zadowolony.

– Sharum Ka i tak uważa, że każdy *khaffit* to tchórz. – Abban już kuśtykał do drzwi, na ile pozwalała mu laska. – To nie zmieni jego opinii.

Na twarzy Qerana pojawił się bolesny grymas. Stary Mistrz ciężko pracował, aby zrobić z Setki prawdziwych wojowników, którzy dorównywaliby *Sharum*. I rzeczywiście jego ludzie byli bliscy osiągnięcia tego celu. Niestety, wycofanie się nie wpłynie dobrze na ich reputację, ale dla Abbana ważne było, żeby uciekli i przeżyli. Mógłby z radością przyglądać się śmierci tysiąca *Sharum*, ale nie zaryzykuje utraty choć jednego człowieka ze swojej Setki w bezsensownej bitwie.

Kiedy dotarli na ulicę, rozprzestrzenił się tam ogień, ale Jayan nie został jeszcze pokonany. Setki mieszkańców Dokowiska, tulących się do siebie w przerażeniu, spętano i prowadzono pod grotami włóczni w stronę portu.

– Chłopak przynajmniej nie jest zupełnym głupcem – mruknął Abban. – Jeżeli wróg zobaczy...

Najwyraźniej zobaczył, ponieważ przestał strzelać, choć Mehnding wreszcie zaczęli odpowiadać na atak łuczników. Drużyny wciąż zmagaly się ze skorpionami, jednak szło im coraz lepiej. Miotacze kamieni zrobiły już wyłom i niszczyły żagle, gdy łucznicy *Sharum* brali odwet.

– Już uciekasz, *khaffit*? – Jayan podszedł do Abbana i Qerana ze swoim strażnikiem i adiutantami.

– Jestem zaskoczony, że widzę cię tutaj, Sharum Ka – odparł Abban pośpiesznie. – Sądziłem, że stoisz na czele oddziałów w dokach, gotów odepchnąć wroga.

– Zabiję stu z nich, gdy tylko ci tchórze zejda ze statków – zapewnił Jayan. – A do tego czasu Mehnding wystarczą.

Abban zerknął na laktońskie jednostki, lecz te zdawały się zadowolone ze swoich pozycji na granicy zasięgu skorpionów. Załogi za pomocą katapult nieprzerwanie rozniecały ogień na wszystkich otwartych przestrzeniach przy porcie.

– Statki! – wykrzyknął Abban i zaczął pośpiesznie szukać swojej lunety. Zwrócił ją na doki, gdzie przycumowano przejęte jednostki. Przez chwilę sądził, że zdążył odpowiednio wcześniej wypatrzeć zagrożenie. Laktończycy nie zaatakowali cennych statków, a na pokładach trwała krzątanina. – Szybko! – kupiec zwrócił się do Qerana. – Musimy je zmoczyć, zanim...

Ale wtedy wreszcie udało mu się ustawić soczewki i Abban ujrzał, że to wcale nie była krzątanina – nie było tam Krasjan z wiadrami, aby polewać okręty wodą, lecz gromada laktońskich żeglarzy, wielu mokrych i bez koszul, którzy pośpiesznie odwiązywali cumy i wciągali żagle.

Byli tam też łucznicy – zaczęli strzelać, gdy tylko *Sharum* ich dostrzegli. Dzięki temu żeglarze zyskali czas, aby rzucić cumy.

Pierwszy odebrany statek był największy i najbogatszy z przejętych jednostek. Na jego galionie prężyła się rzeźbiona sylwetka kobiety wpatrzonych w dal, a za nią mężczyzna ze zwieszoną głową trzymał kwiat.

Z Dokowiska podniosły się okrzyki radości.

– Kapitan Dehlia wróciła po „Lament Szlachcica” – wykrzyknął jeden z mężczyzn. – Wiadomo, że nie mogła go zostawić w rękach pustynnych szczerów! – A potem wsunął palce do ust i zagwizdał przenikliwie. – Ahoj, kapitanie! Pomyślnych wiatrów!

Jayan osobiście przebił zuchwalca włócznią, a strażnicy Sharum Ka pobili drzewcami każdego, kto ośmielił się wiwatować, ale zło już się stało. Jeszcze dwie z przejętych jednostek odpłynęły, a żeglarze pohukiwali i na pożegnanie wypinali *Sharum* obnażone pośladki.

Wojownicy skoczyli na pozostałe statki, aby i tych nie stracić. Żeglarze nie próbowali nawet walczyć, rozbili naczynia z naftą i podpalili, po czym wyskoczyli do wody przez burty i podpłynęli do mniejszych łodzi, które czekały w pobliżu. *Sharum*, z których żaden nie umiał pływać, rzucali w nich włóczniami, ale na próżno. W oddali inne laktońskie jednostki przerwały ogień i przyłączyły się do wiwatów, po czym zawróciły. Sześć zatrzymało się nieco dalej i rzuciło kotwice, podczas gdy reszta pożeglowała do miasta na jeziorze.

Jayan popatrzył na stracone statki, poranionych *Sharum* i zniszczone doki. Abban wolał nie czekać, żeby sprawdzić, na kim Sharum Ka wyładuje swoją wściekłość. Odwrócił się i szybko zszedł młodemu wodzowi z oczu.

– To katastrofa – podsumował Qeran.

– Wciąż mamy dziesięcinę – odparł Abban. – I dopóki nie uda nam się wbić do głowy Sharum Ka choć odrobiny rozwagi, zdobyta żywność będzie musiała wystarczyć. – Westchnął. – Niech nasi ludzie zajmą skład, który będzie można ufortyfikować i użyć go jako bazy – dodał ponuro. – Zostaniemy tu na długo.



12

Zatłoczony Zakątek

333 rok plagi, jesień

Powinnam iść na polowanie, a nie odpowiadać wciąż na te same przekłete pytania noc w noc i podnosić ciężarki jak któryś z twoich pacjentów próbujący odzyskać siły – warczała Wonda.

– Tylko w ten sposób można osiągnąć rzetelny rezultat, moja droga – odpowiedziała Leesha, po czym zanotowała coś w swojej księdze. – Dodaj, proszę, większe obciążenie do sztangi.

Przez runiczne okulary Leesha obserwowała, jak jej młoda strażniczka rozpala się od magii i przesuwa pięćset funtów tak, jak zwykła kobieta otwierałaby ciężkie drzwi. Leesha malowała czarnym tuszem runy na skórze Wondy już od tygodnia i starannie zapisywała rezultaty.

Arlen wymógł na niej przyrzeczenie, że nie będzie malowała runów na ludziach, ale potem najzwyczajniej w świecie pozwolił na to Rennie Tanner. Skoro było to takie niebezpieczne, ryzykowałyby życie lub zdrowie swojej żony?

Leesha zamierzała go o to zapytać, zanim złamie obietnicę, ale Arlena nie było od miesiąca i nie zdradził swoich planów. Nawet Renna skłamała Leeshy w żywe oczy. Kiedy żadne z nich nie pojawiło się w Nowiu, nadeszła pora, aby wziąć sprawę w swoje ręce.

„Wszyscy jesteście Wybawicielami” – powiedział Arlen mieszkańcom Zakątka, ale czy naprawdę tak uważał? Naprawdę? Mówił o zjednoczonej ludzkości, walczącej ramię w ramię, ale nie zamierzał ujawniać tajemnicy swojej mocy.

Dlatego Leesha spędziła tydzień na badaniu Wondy – wszelkich zmian zachodzących w jej ciele, siły, szybkości, dokładności i wytrzymałości. Ile średnio spała w dzień, ile jadła. Wszystkich informacji, jakie tylko Leesha była w stanie odnotować.

A potem zaczęło się malowanie runów. Najpierw tylko trochę. Runy nacisku na dłoniach. Runy impetu na kłykciach. Nadeszły chłody, więc za dnia Wondzie łatwo było ukryć namalowane czarnym tuszem znaki pod rękawiczkami.

A nocą polowały z Leeshą samotnie, podchodząc pojedyncze otchłańce, aby stopniowo sprawdzać wyniki. Wonda najpierw walczyła z długim nożem w dominującej prawej ręce, a lewą zadawała runiczne uderzenia i ciosy, żeby przekonać się o ich skuteczności.

Wkrótce nabrała takiej pewności siebie, że walczyła bez broni, a każdej nocy stawała się silniejsza i szybsza. Tego

wieczoru dokonała swojego najbardziej spektakularnego zabójstwa – powoli zmiażdżyła czaszkę drzewnego otchłanca gołymi rękami.

Wonda opuściła poprzeczkę z ciężarkami, a potem podeszła do równo ustawionych stalowych ciężarów. Każdy ważył dokładnie pięćdziesiąt funtów, ale dziewczyna podniosła po jednym w każdej ręce z równą łatwością jak Leesha filiżanki do herbaty.

– Pojedynczo, moja droga – napomniała Leesha.

– Mogę podnieść o wiele więcej – prychnęła Wonda z nieskrywaną irytacją. – Dlaczego tracimy całą noc na podnoszenie tych ciężarków pojedynczo? Mogłabym wyjść i zabijać demony.

Leesha zrobiła kolejną notatkę. Po raz jedenasty w ciągu minionej godziny Wonda wspomniała o zabijaniu. W krótkim czasie przyjęła więcej magii niż patrol Rębaczy przez całą noc, ale zamiast czuć przesyt lub oszołomienie, jak przewidywała Zielarka, dziewczyna rozpaczliwie pragnęła wciągnąć jeszcze trochę mocy.

Arlen przed tym ostrzegwał. Napływ magii uzależniał. Leesha widziała to na własne oczy u Rębaczy. Ci wojownicy przyjmowali magię przez swoją runiczną broń. Przekształciło ich to w doskonałe wersje siebie, pozwalało leczyć rany, zapewniało nawet tymczasowo nieludzką siłę i szybkość.

Ale runy wymalowane na skórze okazały się zupełnie inne w działaniu. Ciało Wondy wchłaniało moc bezpośrednio, bez żadnych strat, co czyniło z dziewczyny lwicę wśród kotów domowych. Jednak objawy uzależnienia budziły strach.

– Dość się już nazabijałaś tej nocy, Wondo – powiedziała pojednawczo Leesha.

– Ale jeszcze nawet nie minęła północ! – oburzyła się Wonda. – Mogłabym ratować życie! Czy to nie jest ważniejsze od zapisków? Ale ciebie to nawet nie obchodzi...

– Wondo! – Leesha klasnęła tak głośno, że dziewczyna drgnęła zaskoczona. A potem spuściła oczy i cofnęła się o krok. Dłonie jej drżały.

– Pani! Tak mi... – słowa zmieniły się w szloch.

Leesha podeszła, wyciągnęła ramiona, żeby objąć młodszą kobietę.

Wonda zeszywniała jeszcze bardziej i cofnęła się znowu.

– Proszę, pani! Nie jestem opanowana. Wiem, jak się odezwałam. Upiłam się magią. Mogłam cię zabić!

– Nigdy byś mnie nie skrzywdziła, Wondo z Rębaczy – zapewniła Leesha i uściśniła ramię dziewczyny. Na noc, Wonda trzęsała się jak przerażony zając. – Właśnie dlatego tylko tobie ufam i tylko z tobą wypróbuję tę moc.

Wonda pozostała sztywna, przyglądała się dłoni Leeshy z powątpiewaniem.

– Zdenerwowałam się. Naprawdę się zdenerwowałam. Nawet nie wiem czemu. – Z obawą zerknęła na Zielarkę. Pomimo rozmiaru, siły i odwagi Wonda miała przecież tylko szesnaście lat. – Nigdy bym cię nie uderzyła, mistrzyni Leesho – zapewniła. – Ale mogłabym... no nie wiem, potrząsnąć tobą, przewrócić czy coś. Nawet nie znam teraz swojej siły. Mogłabym ci wyrwać ramię...

– Wyssałabym z ciebie magię, zanimby do tego doszło, Wondo – uspokoiła ją Leesha.

Dziewczyna spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Mogłabyś tak?

– Oczywiście. – A przynajmniej Leeshy tak się wydawało. Miała przygotowane na wszelki wypadek igły z narkotykiem i oślepiający pył. – Ale tylko od ciebie zależy, żebym nigdy nie musiała się do tego posunąć. Magia będzie próbowała cię zmienić, dlatego musisz ją szacować, jak wtedy, gdy celujesz z łuku na wietrze. Potrafisz to robić?

Zdawało się, że Wonda pojaśniała po tym porównaniu.

– Jasne, mistrzyni. Jak przy mierzeniu z łuku.

– Nigdy w to nie wątpiłam – uśmiechnęła się Leesha i wróciła do książki. – A teraz dodaj, proszę, ciężar do sztangi.

Wonda wyglądała na zaskoczoną, gdy uświadomiła sobie, że wciąż trzyma pięćdziesięciofuntowe ciężary w dłoniach. Wsunęła jeden na poprzeczkę, ustawiła ponownie pozostałe, po czym dodała kolejny.

Leesha chciała unieść pióro, ale palce miała sztywne ze zdenerwowania. Zaciśniła dłoń, aż pobiełały jej knykcie, potem rozprostowała i wzięła się do pisania. Kobieta poczuła pulsowanie w skroni i wiedziała, że zbliża się migrena.

Och, Arlenie, pomyślała. A jak było z tobą, skoro musiałeś to przechodzić sam?

Powiedział jej o tym trochę podczas nocy spędzonych w chacie Leeshy, gdy uczyli się nawzajem o runach i demonologii. Między lekcjami dzielili się nadziejami i opowieściami jak kochankowie, chociaż nigdy nie doszło do niczego więcej. Arlen miał własne siedzisko, Leesha własne, a pomiędzy nimi pozostawał stół.

Jednak zawsze odprowadzała tego mężczyznę do drzwi i obejmowała na pożegnanie. Czasami – tylko czasami – pochylał się i wciągał zapach jej włosów. Wtedy wiedziała, że Arlen przyjmie lekki pocałunek, i cieszyła się chwilą.

Po jego wyjściu Leesha leżała bezsennie w łóżku. Czowała dotyk jego ust i wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby

leżał obok. Jednak pozostawało to poza wszelką dyskusją. Arlen miał te same lęki i zmienne nastroje co Wonda, bał się, że skrzywdzi Leeszę albo spłodzi z nią splamione magią dziecko. Propozycja, że będzie piła herbatę poronną, nie wystarczyła, aby go przekonać.

Lecz jak runy na skórze wszystko to się zmieniło z pojawieniem się Renny Tanner. Była niemal tak silna jak Arlen i gotowa znieść skutki, jakich ten obawiał się, gdyby uległ namiętności z Leeszą. Całe miasto wiedziało, że pasja Arlena i Renny jest głośna.

Na Stwórcę, dokąd poszedłeś, Arlenie? – zastanawiała się Leesha. Miała mnóstwo pytań, na które odpowiedzi znali tylko on i Renna.

Nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedyś się pocałujemy, ale wróć do domu.



– Spójrz na to – powiedział Thamos. Nie miał koszuli i Leesha nie od razu zrozumiała, o co mu chodziło. W wyciągniętej dłoni trzymał monetę. Rzucił ją leżącej w łóżku Leeshy.

Był to lakierowany drewniany pieniądz używany w Angiers. Jednak zamiast pieczęci Bluszczowego Tronu na rewersie wybito podstawowy run kręgu ochronnego – linie były wyraźne i czyste.

– To cudowne! – stwierdziła Leesha. – Nikt nie zostanie już bez ochrony runicznej w nocy, skoro każda moneta w kieszeni może stworzyć barierę.

Thamos skinął głową.

– Twój ojciec wykonał podstawową formę. Mam pół miliona gotowe do wprowadzenia, a prasy pracują dzień i noc.

Leesha obróciła monetę i parsknęła śmiechem. Na rewersie znajdowała się podobizna Thamosa, surowego i wyniosłego.

– Tak wyglądasz, gdy ktoś z mieszkańców Zakątka zapomni ci się uklonąć.

Hrabia ukrył twarz w dłoniach.

– To pomysł mojej matki.

– Myślałam, że chciała twarz księcia.

Thamos zaprzeczył.

– Za szybko wytwarzamy te monety. Gildia Kupców obawiała się, że wartość pieniędzy księcia spadnie, jeżeli zostaną powiązane z Zakątkiem.

– Więc w Angiers będą bez wartości – stwierdziła Leesha.

Jej kochanek wzruszył ramionami.

– Na razie, ale zamierzam nadać im taką wartość, jak ma krasjańskie złoto.

– A skoro jesteśmy przy Krasjanach... – Zielarka uniosła się na posłaniu. – Smitt zamierza się dzisiaj poskarżyć, że Shamawah znowu psuje mu interesy.

Thamos usiadł na łóżku, objął Leeszę i przyciągnął bliżej.

– Nalegał, żeby Arther dodał to do porządku obrad. Nie mogę powiedzieć, że nie ma racji. Handel z Krasjanami jest ryzykowny.

– Podobnie jak wycofywanie się z niego – przyznała Leesha. – Nie musimy sypiać z Krasjanami, żeby wypracować cywilizowane kontakty i umowy w Lennie Everama, a te tworzą się właśnie podczas handlu.

Thamos spojrzał na nią uważnie i Leesha pożałowała doboru słów.

„Sypiać z Krasjanami”. Ale jestem głupia. Równie dobrze mogłabym rzucić mu tym w twarz jak jego matka.

– Zresztą – podjęła szybko – motywy Smitta wcale nie są takie uczciwe. Mało go interesuje polityka i bezpieczeństwo, chce się po prostu pozbyć konkurencji.

Rozległo się pukanie do drzwi sypialni. Na początku związku z hrabią Leesha zrywała się szybko, gdy tylko pojawiali się służący, zwłaszcza gdy nie była całkiem ubrana. Jednak z czasem przyzwyczaiła się do nieustannej dyskretnej obecności służby Thamosa. Większość od pokoleń pracowała dla rodu hrabiiego, ich lojalność pozostawała poza wszelką dyskusją.

– Pozwól, że ja się tym zajmę. – Leesha włożyła pończochy i wsunęła się w suknię, a potem zadzwoniła. Najbliższy doradca i pomocnik Thamosa, Arther, wszedł bezszelestnie ze starszą pokojówką, która wcześniej była niańką hrabiiego. Hrabia był jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie, a jednak wciąż prostował się odruchowo, gdy Tarisa syknęła, żeby się nie garbił.

– Wasza Wysokość, pani. – Arther przeszedł przez komnatę ze spuszczoneymi oczami i nie ośmielił się nawet zerknąć na nagie plecy Leeshy. Tarisa podeszła i pomogła jej zasznurować szatę.

– Jak się czujesz o poranku, pani? – zapytała pokojowa życzliwym tonem. Nigdy nie dała po sobie poznać, co myśli o niezamężnej kobiecie w sypialni hrabiego. Zresztą wzięwszy pod uwagę reputację Thamosa, zapewne widywała o wiele gorsze rzeczy.

– Bardzo dobrze, Tariso. A ty? – odpowiedziała Leesha.

– Poczłabym się lepiej, gdybyś mi pozwoliła zająć się twoimi włosami – stwierdziła starsza kobieta, po czym zabrała się do czesania ciemnych loków Leeshy. – Moje życie zrobiło się bardzo nudne, odkąd Jego Wysokość nauczył się liczyć bez używania palców i podcierać się samodzielnie.

– Nianiu, proszę – jęknął Thamos, ukrywając twarz w dłoni. Arther udał, że nic nie słyszy, a Leesha parsknęła śmiechem.

– Tak, nianiu, proszę, mów dalej – zachęciła. – Rób, co chcesz, o ile przy tym ujawnisz każdy szczegół prywatnych nauk udzielanych Jego Wysokości.

Przyjrzała się odbiciu starej kobiety w lustrze. Zmarszczki, jakie zostawiły na twarzy pokojowej uśmiechy, pogłębiły się teraz, gdy kobieta zaczęła sprawnie rozdzielać i upinać włosy Leeshy. Tarisa wprost uwielbiała opowiadać o swoim panu, gdy był jeszcze dzieckiem.

– Nazywałam go małym strażakiem – zaczęła Tarisa. – Ponieważ moczył wszystko w...



Tarisa знаła wiele opowieści, a jej zręczne ręce nie przerywały pracy, gdy mówiła. Włosy Leeshy zostały kunsztownie ułożone, twarz przypudrowana, usta przyciemnione. Pokojowa namówiła nawet Leeshę do włożenia nowej sukni, jednej z wielu wśród podarunków od Thamosa.

Strojenie się i dbanie o wizerunek na dworze byłoby kiedyś dla Leeshy przekleństwem, ale związek z Thamosem, który zawsze dbał o swój wizerunek, powoli zmieniał jej przyzwyczajenia. Była przywódczynią, ludzie wzorowali się na niej. Nic złego w tym, że chciała prezentować się przed nimi od najlepszej strony.

Wonda czekała, aż Leesha opuści prywatne komnaty Thamosa, i bez słowa stanęła za plecami swojej pani i mentorki. Dziewczyna wyglądała już na spokojniejszą – Leesha wysłała ją na spacer w słońcu, aby wypaliło nadmiar mocy, a sama poszła do hrabiego. Wonda nie miała złudzeń, co jej pani i hrabia robią razem, ale podobnie jak Arther i Tarisa, nigdy o tym nie mówiła i nie osądzała.

Thamos pozostał w sypialni, wybierając strój i poprawiając każdy włos w brodzie. Leesha domyślała się, że chciał po prostu przyjść nieco później, gdy wszyscy doradcy się już zbiorą i chwilę odczekają. Chciał też dać jej czas na potajemne wyjście i odpowiednie przybycie.

Leesha wymknęła się przez boczne drzwi do swojego prywatnego ogrodu z ziołami, który założyła w murach siedziby hrabiego. Jako nadworna Zielarka była odpowiedzialna za zdrowie Jego Wysokości, zatem jej wyjście z herbarium nikogo nie dziwiło.

Udawanie byłoby zupełnie niepotrzebne, skoro i tak wszyscy znali ich tajemnicę, ale co zaskakujące, właśnie Thamos nalegał na zachowanie pozorów, choćby po to, aby matka nie miała powodów się wtrącać. Araine chyba aprobowała ich związek i – z tego, co Leesha wiedziała o starej damie – zapewne nie obchodziło jej, co hrabia z kochanką robią w sypialni, ale na dworze liczyło się zachowanie pozorów.

Leesha dotknęła podbrzusza. Wkrótce pojawi się zaokrąglenie i ciąża wyjdzie na jaw. Wszyscy założą, że to dziecko hrabiego, i zaczną się naciski z każdej strony, aby Thamos i Leesha się pobrali. A kiedy to nastąpi, będzie musiała dokonać wyboru między złem a złem.

Thamos był dobrym człowiekiem. Niezbyt bystrym, ale silnym i honorowym. Był też dumny i próżny, domagał się od poddanych posłuszeństwa, ale oddałby życie za najędźniejszego z nich. Leesha odkryła, że chciałaby bardzo spędzić resztę życia, dzieląc jego łożę i tron. Mogliby rządzić razem Zakątkiem. Ale kiedy narodzi się dziecko Ahmanna o oliwkowej skórze, wszystko się rozpadnie. Leesha nie po raz pierwszy miała się stać bohaterką skandalu w Zakątku, lecz to... Tego jej nie wybaczą.

Jednak ujawnienie pochodzenia dziecka, gdy nadal było bezbronne w macicy, mogło się okazać jeszcze bardziej niebezpieczne. Inevera i Araine pragnęłyby je zabić, najchętniej razem z Leeshą.

Kobieta poczuła ucisk w skroniach. Poranne mdłości już minęły, ale migreny stawały się coraz silniejsze i do ich wywołania wystarczało bardzo niewiele.

– Pani Leesho! – Darsy czekała przy filarach głównych drzwi do posiadłości, poprawiając plik dokumentów, który wysłizgiwał jej się z rąk, gdy wykonała niezdarne dyg. Leeshy prawie udało się wyleczyć Darsy i inne Zielarki z tych niepotrzebnych formalności, kiedy hrabia zjawił się w Zakątku, ale Thamos, nawykły do pałacowego życia, oczekiwał zachowania manier. Dlatego teraz Leeshy towarzyszyły dygi i ukłony, gdziekolwiek się obróciła. – Zaglądałam do ogrodu – powiedziała Darsy. – Chyba się minęłyśmy.

Leesha odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się ciepło.

– Dzień dobry, Darsy. Dobrze zajmujesz się moim szpitalem?

– Staram się, jak mogę, pani. Ale potrzebuję twoich rad w tuzinie spraw.

Podawała Leeshy kartkę po kartce, gdy szły, i tuzin zmienił się w dwa, zanim doszły do sali obrad. Leesha dołożyła notki do kart pacjentów, zatwierdziła rotację zmian i przeniesienie leków, podpisała korespondencję i wszystko, co Darsy jej podsunęła.

– Nie mogę się doczekać powrotu Viki z Angiers – mruknęła Darsy. – Nie ma jej już od miesiący! Nie nadaję się do tego. Lepiej sobie radzę ze składaniem kości i rozdzielaniem bijących się czeladników niż z planowaniem zmian w pracy i namawianiem ochotników do oddawania krwi albo pomocy przy rannych.

– Nonsens – zapewniła Leesha. – Nie ma nikogo, kto lepiej nastawiałby kości, to prawda, ale nie możesz myśleć, że tylko tyle potrafisz. Bez ciebie nie poradziłabym sobie w zeszłym roku, Darsy. Ufam ci, bo ty nie boisz się mówić mi tego, czego inni się obawiają.

Darsy zakasłała, policzki jej poczerwieniały. Leesha udała, że tego nie widzi, pozwalając, by jej towarzyszka wzięła się w garść. Ta reakcja była widowym znakiem, że Leesha za rzadko chwaliła Darsy. Owszem, potężna Zielarka bywała irytująca, ale każde słowo, jakie powiedziała, było szczere. I zasłużyła, aby to wiedzieć.

Kiedy dotarły do sali obrad, Leesha popatrzyła na Darsy jeszcze raz.

– Zgromadzenie przygotowane?

Darsy skinęła głową.

– W każdym szpitalu za dnia będą uczennice. Prawie wszystkie Zielarki zamierzają się pojawić.

Leesha uśmiechnęła się lekko.

– Ani słowa o tym w środku.

– Sprawa Zielarek – skinęła głową Darsy.

Członkowie rady byli już obecni, kiedy weszły do sali. Wstawali i składali im ukłon, potem czekali, aż Leesha zajmie miejsce, zanim sami usiedli. Takie formalności wydawały się nie na miejscu w Zakątku, ale Thamos wymagał tego w swoich progach, a Arther zmusił nawet najbardziej upartych, aby się ugięli.

W Angiers mówiono, że to, w jakich stosunkach się jest z gospodarzem, można poznać po przydzielonym krześle. Wokół wielkiego stołu znajdowało się dwanaście krzeseł. Rojer, lord Arther, kapitan Gamon, Hary Roller, Smitt, Darsy i Erny zajmowali te bez podłokietników, o nogach i oparciach rzeźbionych w złotodrewnie w motyw pnącego się bluszczu, symbolu rodu panującego w Angiers, wyściełanych zielonym jedwabiem haftowanym złotą i brązową nicią.

Inkwizytor Hayes i baron Gared siedzieli naprzeciw siebie pośrodku stołu, obaj na wąskich siedziskach z wysokimi oparciami wskazującymi na ich pozycję. Opiekun spoczywał z milczącą godnością na swojej aksamitnej poduszce. Dziecię Franq na prostym zydłu zachowywał idealnie wyprostowane plecy. Gared wydawał się wciśnięty w swoje krzesło niczym dorosły w fotel przeznaczony dla dziecka. Musiał podciągnąć nogi, a istniało ogromne niebezpieczeństwo, że jeśli któraś z rąk Gareda poruszy się gwałtowniej, nie obędzie się bez zniszczeń.

Krzesło Leeshy u dołu stołu nie było może tronem, ale należało do o wiele bardziej wykwintnych, niż przysługiwały nadwornym Zielarkom. Szersze od tych przeznaczonych dla Gareda i Inkwizytora, miękko wyściełane i bogato zdobione, z szerokimi podłokietnikami i siedziskiem na tyle dużym, by można było na nim podkulić nogi, gdyby się chciało.

Jednak ostentacyjne siedzisko Leeshy bladło w porównaniu ze złoto-aksamitnym, koszmarnym tronem Thamosa u szczytu stołu. Górowało nad innymi miejscami jak Gared nad resztą mężczyzn. Nawet puste przypominało o władzy hrabiego.

Kilka minut później do sali wszedł chłopiec, by zasygnalizować Artherowi przybycie Thamosa. Arther jak zwykle wstał pierwszy, potem pozostali. Wszyscy kłaniali się, gdy hrabia szedł na swoje miejsce. Leesha posłała mu drwiący uśmiech, gdy opadła w dworskim dygu.

– Przepraszam, że musieliście czekać – powiedział Thamos, choć wcale nie było mu przykro. Bez wątplenia spacerował po komnacie i liczył do tysiąca, dopóki paź nie powiadomił go, że wszyscy członkowie rady już się zebrali. – Co mamy w planie obrad, Artherze?

Arther na pokaz sprawdził swoją tabliczkę z notatkami, chociaż doskonale znał porządek obrad.

– To samo co zawsze, Wasza Wysokość. Elekcja, ziemie i uprawnienia. – Artherowi prawie udało się ukryć niechęć przy ostatnim słowie, ale usta wciąż mu się krzywiły, jakby połknął coś gorzkiego. – Zaproszenie pani Leeshy dla Laktończyków podnosi popularność ziem Zakątka w alarmującym tempie.

„Uprawnienia” – Leesha także nienawidziła tego słowa, lecz nie z tych samych powodów co Arther. Był to zimny termin, używany przez ludzi z pełnymi brzuchami wobec tych, którzy cierpieli z głodu.

– Zakątek jest silny, panie – uśmiechnęła się Zielarka. – Nie tylko dzięki przywódcom albo naszej magii. To ludzie dają nam siłę i musimy przywitać wszystkich, którzy zechcą tu przybyć, z otwartymi ramionami. Zakątek Drwali i trzy inne baronie odprowadzają znaczące podatki dochodowe dla hrabstwa.

– Cztery z blisko dwudziestu, pani – zauważył Arther. – Trzy nadal są w odbudowie, z tuzin dopiero stawia fundamenty. Koszty przewyższają dochody, i to znacznie.

– Dość – przerwał Thamos. – Zostałem tutaj przysłany, żeby rozwijać hrabstwo, a nie można tego osiągnąć z pustymi brzuchami.

– Ani też nie będzie trzeba – dodała Leesha. – Nawozy i techniki upraw przygotowane przez Darsy i przeze mnie tego lata ponad trzykrotnie zwiększyły wydajność. Zostaną wprowadzone w każdej baronii przed wiosną. – W duchu podziękowała swojej mentorce Brunie za książki o nauce starego świata, dzięki którym udało im się większość z tego osiągnąć. Zerknęła na Smitta. – Jak idzie hodowla królików?

– Jak przewidziałas – roześmiał się Smitt. – Kurczą i pszczoł również. Dostawy dochodzą jak w zegarku. Mamy ule, nory i kurniki we wszystkich baroniach. Nawet w tych, w których stoją tylko namioty.

Thamos popatrzył na Gareda.

– Baronie, jak Rębacze radzą sobie z wycinką wielkich runów?

– Powinniśmy skończyć kolejny w tym tygodniu – odpowiedział Gared. – Ziemia jest wykarczowana, trzeba tylko wykopać fundamenty i przyciąć krzaki. „Przyciąć krzaki” było określeniem Rębaczy na wyznaczenie obwodu na granicy drzew, który spełniałby dokładnie wymagania przedstawione przez rysowników runów. Skinął głową na Erny’ego, który został mistrzem Gildii Runicznej Zakątka.

Różnice między mężczyznami podkreślały jeszcze ich krzesła. Ojciec Leeshy wyglądał przy Garedzie jak mysz przy wilku.

Zielarka znowu przypomniała sobie tamtą noc, gdy przyłapała Gareda i swoją matkę na gorącym uczynku. Potrząsnęła głową, aby pozbyć się tych myśli. Tylko Thamos zauważył to i uniósł brew. Leesha zmusiła się do uśmiechu i filuternego mrugnięcia.

– Run zaczniesz działać za dzień lub dwa – powiedział Erny. – Ale teren już teraz jest dobrze patrolowany. Nów minął, więc ludzie będą mogli rozpocząć budowę domów. Nie osiągniemy pełnej mocy runu, dopóki nie zostaną postawione budynki, mury i ogrodzenia, które wzmocnią jego kształt.

Arther podał Thamosowi listę.

– To propozycje nazw nowych baronii oraz imiona wybranych baronów i baroness do zatwierdzenia przez Waszą Wysokość. Wszyscy są gotowi złożyć przysięgę wierności tobie i Bluszczowemu Tronowi.

Thamos przejrzał listę z pomrukiem. Nadal nie był zadowolony, że uchodźcy sami wybierali swoich przywódców, ale tak on, jak i Drewniani Żołnierze, których przywiódł ze sobą, należeli do ludzi walki, nie polityki. Lepiej pozwolić, aby różne grupy rządziły się samodzielnie, na ile to możliwe, o ile zachowują pokój i płacą podatki hrabstwu Zakątka.

– A co z rekrutacją? – zapytał Thamos.

– Mam ludzi, którzy odwiedzają wszystkie baronie i powiadają miejscowych, że można odbyć szkolenie, żeby lepiej chronić swoich. Wystarczy zgłosić się w tym celu do Rębaczy. Świeże drewno przychodzi codziennie i co noc przybywa ludzi, którzy potrafią walczyć z demonami.

Thamos zerknął na Smitta.

– A jak wyposażymy świeże drewno? Nadal mamy niedobory broni?

– Wytwórcy strzał z trudem dotrzymują zamówień, Wasza Wysokość, ale włócznie mamy pod dostatkiem. – Smitt zerknął na Erny’ego. – Opóźnienie mamy w oznaczaniu broni runami.

Erny zacisnął usta, gdy wszystkie oczy zwróciły się na niego. Może nie potrafił się przeciwstawić swojej żonie, ale przy stole obrad nie dawał się zastraszyć.

– Pozostawię decyzję Waszej Wysokości, co zabiera więcej czasu: wytworzenie kija czy umieszczenie na nim odpowiednich runów. Moi ludzie pracują najszybciej, jak potrafią, ale nie ma nas wystarczająco wielu, żeby wykonać zamówienia na czas.

Thamos też się nie ugiął.

– Wyszkolcie więcej.

– Tak robimy. Setki, ale to nie trwa tydzień. Zawierzylibyście, panie, swoje życie runom wyrysowanym przez pierwszoklasistę?

Smitt zakasłał, aby przyciągnąć uwagę do siebie.

– Taka nauka wymaga czasu, to oczywiste. Ale za to będzie więcej koni.

Hrabia wyprostował się na te słowa z zainteresowaniem. Stracił swojego ulubionego wierzchowca i większość kawalerii sześć tygodni temu podczas Nowiu. Kupił więc angierskiego mustanga i tak często wspominał o tym koniu, że Leesha stwierdziła kiedyś, że chyba wolałby towarzystwo kłaczy niż swojej kochanki.

Gared skinął głową.

– Jon od Ogierów zatrudnił wielu stajennych z Zakątka na swoim ranczu. Teraz jest ono wielkie jak miasto, z setkami ludzi łąpiących i układających mustangi. Mówił, że możecie mieć w siodle wszystkich Drewnianych Żołnierzy do wiosny. Koszta są trochę większe, niż zakładaliśmy...

Arther przewrócił oczami.

– Oczywiście.

– Zapłacimy – stwierdził Thamos. – Potrzebuję kawalerii i nie mam czasu się targować o każdy klat.

Arther zacisnął usta i skłonił się sztywno ze swojego krzesła.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Może Darsy mogłaby opowiedzieć jeszcze o rehabilitacji? – zapytała Leesha. Oprócz utraty kawalerii tysiące mieszkańców Zakątka zostało rannych w atakach demonów. Leesha użyła magii *hora* do leczenia tych z najcięższymi urazami lub na ważnych stanowiskach, jednak większość pacjentów musiała zdrowieć w naturalny sposób. Zielarki opatrywały ich i opiekowały się, ale wielu dopiero zaczynało używać ponownie połamanych kończyn i wymagało odpowiednich ćwiczeń, aby powrócić do sprawności.

Darsy wykonała niezdamny dyg, który zdaniem Leeshy miał być chyba dworskim ukłonem.

– Miejscowe Zielarki obchodzą całe hrabstwo. Ochotnicy zbierają się na placach w osadach, żeby pomóc rannym odzyskać siły dzięki chodzeniu, rozciąganiu i podnoszeniu ciężarów. – Skinieniem głowy wskazała na Rojera i Hary'ego. – Grajkowie też robią obchody, podnoszą morale u miejscowych, którzy zajmują się odbudową.

Rojer przytaknął.

– Nie chodzimy wyłącznie na występy. Uczymy. Place w osadach służą nie tylko jako miejsca rehabilitacji dla rannych. Trzeba uczyć dzieci grać, gdy tylko potrafią unieść łuk lub naciągnąć cięciwę.

Minstrel wyjął powoli arkusz pergaminu ze swojej skórzanej sakwy.

– Posłaliśmy po instrumenty do rzemieślników z Angiers. Koszty...

– Zajmę się tym, mistrzu Bezpalcu. – Arther sięgnął po dokument. Wiadomość, że Gildia Minstreli mianowała Rojera mistrzem, przyniósł dopiero niedawno Posłaniec i Leesha jeszcze do tego nowego tytułu nie przywykła. Doradca przejrzał treść i ze zmarszczonymi brwiami przekazał pergamin hrabiemu.

Nawet Thamos westchnął znacząco, gdy zobaczył sumy.

– Łatwo uznajecie grajków za swoich podwładnych i twierdzicie, że nie podlegają moim rozkazom, mistrzu Bezpalcu, dopóki nie potrzebujecie pieniędzy. Jeżeli rozważycie stanowisko nadwornego herolda w Zakątku, łatwiej mi będzie pozyskać dla was fundusze.

Rojer wydał usta. Odmówił, gdy hrabia po raz pierwszy zaproponował mu to stanowisko. Było to jednak wiele miesięcy temu i Leesha czuła, że opór Minstrela słabnie, gdy stawało się coraz bardziej jasne, że ona zostanie hrabiną. Rojer był jednak uparty i twardy, nie lubił nikomu podlegać. Kiedy więc Thamos naciskał w ten sposób, tylko wzmagął opór Minstrela.

– Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, nie proszę o żadne luksusy – zaproponował Rojer. – Te instrumenty ocalą życie równie wielu ludzi jak wasze konie i włócznie.

Thamosowi zadrżały nozdrza, Leesha poczuła ukłucie bólu w skroniach. Zastanawiała się, czy Rojer w ogóle nadawał się na herolda. Miał prawdziwy dar mówienia tego, czego nie należy, w najbardziej nieodpowiednim momencie.

– Jak wielu z waszych grajków zginęło w Nowiu, mistrzu Bezpalcu? – zapytał spokojnie Thamos. Obaj znali odpowiedź. Żaden. Nie było to sprawiedliwe postawienie sprawy, ale Thamos nie zawsze był sprawiedliwy.

Hary odchrząknął.

– Póki co pracujemy z tym, co mamy, Wasza Wysokość. Każdy ma głos i większość można nauczyć melodii. Nie każda baronia ma już Święty Dom, ale w każdej jest chór. Mistrz Rojer i jego... khem, żony zadbali o to. Na Siedmiodzień „Pieśń o Nowiu” niesie się na wiele mil wokół wielkich runów. Wystarczy, żeby trzymać hordy drzewnych demonów z dala. – Spojrzał na hrabiego. – Mistrz Rojer skomponował nawet kołysankę na podstawie „Pieśni o Nowiu”. Taką, która ochroni rodziców i dziecko, gdy będą starali się je uspić i uciszyć jego płacz.

Thamos wydawał się nieprzekonany, ale nie próbował dyskutować.

– Amanvah i Sikvah ucą też *sharusahk* – dodał Rojer. – Prostych *sharukin*, które pomagają w gojeniu naciągniętych mięśni i uzyskaniu pełnej elastyczności w przypadku blizn.

Mieszkańcy Zakątka wciąż patrzyli nieufnie na Krasjan, ale wszyscy przykładali się do *sharusahk*. Arlen zaczął uczyć Rębaczy, ale teraz popularność sztuki walki wręcz rosła jak szalona w całym hrabstwie.

– Krasjańskie pieśni w Świętych Domach – wycedził Inkwizytor Hayes. – Krasjańskie ćwiczenia na placach w osadach. Nie dość, że pogańskie kapłanki ucą śpiewu chóry Stwórcy, to jeszcze pozwalamy, aby kalali naszych ludzi nauką mordowania na modłę pustynnych szczurów.

– Ej! – oburzył się Gared. – Wielu Rębaczy już by nie żyło, gdyby nie muzyka Rojera i krasjańska sztuka walki. Nie przepadam za pustynnymi szczurami, ale zanim zacniemy kręcić nosem na to, co pozwala skutecznie walczyć w nocy, pamiętajmy, kim jest nasz prawdziwy wróg.

Leesha zamruwała z niedowierzaniem. Mądrość z ust barona. Cudom nie ma końca.

– Nie tylko o to chodzi – uparł się Hayes. – Co z jedwabiem, który sprzedaje ta Shamavah? Kobiety zaczynają się ubierać jak nierządnicę, zapominają o przyzwoitości i nakłaniają swoim wyglądem mężczyzn do grzechu.

– Proszę wybaczyć – wtrąciła się Leesha z oburzeniem, po czym uniosła chusteczkę, którą kupiła w zeszłym tygodniu. Pierwsza Żona Abbana, Shamavah, założyła karczmę, w której zawsze brakowało miejsc przy stolikach. Kobieta ustawiła tam też kram i sprzedawała krasjańskie towary po zdumiewająco niskich cenach, a z Lenna Everama zaczęły nieustannie przyjeżdżać wozy z dostawami. Handel okazał się bardzo potrzebny. – Jeżeli do namieszania mężczyźnie w głowie wystarczy, aby kobieta machnęła kawałkiem jedwabiu, to może problem stanowią wasze kazania, Inkwizytorze, nie Krasjanie?

– A jednak w tym rzecz – przerwał jej Smitt. – Shamavah sprzedaje tanio, żeby zepsuć mi interes, ale co gorsza, mami pracowników złotem, a płaci im w lakierowanych drewnianych monetach. Nasi robotnicy polegają na towarach wrogów, choć bez tych rzeczy możemy się obejść lub wykonać je tutaj, w Zakątku.

– Myślę, że za bardzo przywykliście do tego, że prowadzicie jedyną gospodę w mieście, panie Smitt – zauważyła Leesha. W istocie Mówca Zakątka miał wiele koneksji z Gildią Kupców w Angiers i powiększał swoje bogactwa, pomimo że ludzie w ostatnim roku wiele stracili wskutek grabieży. – Widziałam, jaką cenę wyznaczyliście dla głodnych ludzi za kromkę chleba. Trochę konkurencji dobrze wam zrobi.

– Dość – uciął Thamos. – Nie możemy sobie pozwolić na przerwanie handlu, zwłaszcza teraz, ale od dzisiaj wprowadzony zostanie podatek od importu na wszystkie towary z Krasji. Smitt i Hayes wyszczerzyli się w uśmiechu na te słowa, ale hrabia pogroził im palcem. – Ale obaj będziecie musieli się przyzwyczaić do jedwabiu i konkurencji w zamian. I niech wam nie wejdzie w nawyk zwracanie się do mnie z takimi nieistotnymi skargami.

Leesha opanowała uśmiech, gdy zobaczyła, jak radość znika z twarzy kupca i Opiekuna.

– Ufam jednak, że nowa katedra nie jest sprawą nieistotną? – zapytał zgryźliwie Hayes.

– Ani trochę, Inkwizytorze. – Thamos zachował niewzruszony spokój. – Co więcej, przyprawia Arthera o palpitację, podczas przygotowywania zestawień finansowych popada w zdenerwowanie. Ledwie naruszyliście ziemię, a już przekroczyliście roczny budżet i nadwyrężyliście każdy dostępny kredyt.

– Nie ma w Thesie odważniejszych mężczyzn i kobiet niż mieszkańcy Zakątka, Wasza Wysokość, ale to tylko drwale – odrzekł Hayes z prawie niesłyszalną pogardą w głosie. – Lecz Kanon, a także rozwaga wymagają, żeby Święty Dom został wybudowany w kamieniu. W Angiers, gdzie nie brakuje kamieniarzy, zapłacilibyśmy jedną trzecią.

Smitt zakasłał. Był jednym z wielu kredytodawców, którzy czekali na spłatę długu Inkwizytora.

– Chcielibyście coś dodać, Mówco? – zapytał Thamos.

– Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość, nie chcę też obrazić Inkwizytora – zapewnił Smitt – ale to nieprawda. Po Nowiu demony wykonują za nas całą kamieniarską robotę. Kamień jest równie tani w Zakątku jak siła robocza. Nie było naszym pomysłem, żeby to był pierwszy budynek w historii mający kształt wielkiego runu.

– Przecież cała baronia jest wielkim runem – zdziwił się Gared.

– Nawet baron przyznaje, że to marnotrawstwo – podchwycił Smitt.

Gared skrzywił się jak zawsze, gdy usłyszał coś, czego nie rozumiał.

– Co?

Dziecię Franq zignorował go i posłał Smittowi wściekle spojrzenie.

– Jak śmiesz kwestionować działania Inkwizytora?! Katedra Zakątka będzie ostatnim schronieniem, jeżeli otchłaniec przejmą hrabstwo, co niemal się stało w Nowiu.

– Miną dekady, zanim uda się ją całkowicie skończyć – zauważył Erny. – A i tak pozostaną pomieszczenia o nieregularnych kształtach i ogromne straty powierzchni. Podstawowe runy na ścianach byłyby tańsze i o wiele bardziej skuteczne.

– Demony wdzierają się w środek Zakątko ze wszystkich stron – dodał Gared. – Żadne ściany ani runy ich nie powstrzymają. Lepiej wykorzystać to miejsce, żeby modlić się o powrót Wybawiciela.

– Pan Bales jasno powiedział, że nie jest Wybawicielem – przypomniał mu Hayes. – To jego słowa, nie moje. Musimy wciąż błagać Stwórcę o prawdziwą pomoc.

Gared zacisnął pięści na tę odpowiedź. Stał się ostatnio bardziej pobożny, a przyczyną tego było jego przekonanie – dzielone zresztą przez tysiące ludzi w Thesie – że Arlen Bales to Wybawiciel przysłany przez Stwórcę, żeby poprowadził ludzkość przeciwko otchłanom.

Inkwizytor został wysłany do Zakątko przez Opiekunów z Angiers, aby zapoznać się z tutejszymi przekonaniem i najlepiej je odrzucić, a Arlena uznać za samozwańczego uzurpatora. Ale Inkwizytor nie był też głupcem. Gdyby ośmielił się publicznie dyskredytować Arlena, miałby przeciw sobie cały Zakątek.

– Z całym szacunkiem, Inkwizytorze – powiedziała Leesha. – Arlen Bales nigdy czegoś podobnego nie twierdził. Zaprzeczył, że jest Wybawicielem, owszem, ale kazał nam troszczyć się o siebie nawzajem.

Gared uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły czary i dokumenty. Wszystkie oczy w sali wbiły się w jego wykrzywioną ponuro twarz.

– On jest Wybawicielem. Nie rozumiem, dlaczego wciąż mówimy, że nie jest.

Inkwizytor Hayes pokręcił głową.

– Nie ma dowodu...

– DOWODU?! – huknął Gared. – Ocalił nas, gdy wszyscy byliśmy w opałach. Zwrócił nam moc, żebyśmy mogli się bronić sami. Nikt nie może temu zaprzeczyć. Widzieliście na własne oczy, jak leciał i ciskał błyskawice z rąk, a jednak wciąż domagacie się dowodu? A co z odparciem ataku demona umysłu w poprzednim Nowiu? – Popatrzył na hrabiego. – Słyszeliście go podczas walki. „Pozbycie się siebie to ostatnia sprawa, którą muszę załatwić, zanim przeniosę wojnę do samej Otchłani”, tak powiedział Jardirowi.

– Demony wciąż pojawiają się co noc, baronie – zauważył Thamos. – Domy płoną. Wojownicy krwawią. Niewinni ludzie giną. Nie zaprzeczę temu, co uczynił pan Bales, ale też nie czuję się „wybawiony”.

Gared wzruszył ramionami.

– Może on zajął się najtrudniejszą częścią, a my musimy zadbać sami o resztę. Może znowu będzie gorzej, a Arlen Bales pozwolił nam tylko zyskać na czasie, żebyśmy urosli w siłę. Nie jestem Opiekunem. Nie udaję, że znam cały plan Stwórcy. Ale jedno wiem, i to tak pewne jak wschód słońca: Stwórca przysłał Arlena Balesa, żeby przywrócił nam runy bojowe i pokazał, jak mamy walczyć. – Przeniósł spojrzenie na Inkwizytora. – O reszcie przekonamy się, gdy dojdziemy dalej. Może okażemy się godni, żeby odzyskać noc, a może nasze grzechy zaciążą nad nami i przegramy.

Hayes zamrugnął, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Leesha dostrzegła bez trudu, że Opiekun próbuje pogodzić jakoś „cuda” Arlena z pragnieniem, by to jego zakon zachował władzę i autorytet.

– Mamy zatem pokłonić się Arlenowi Balesowi? – zapytał ze znużeniem Thamos. – Wszyscy Opiekunowie i Pasterze, w tym ja, mój brat i Euchor z Miln? Wszyscy mamy abdykować i oddać władzę jemu?

– Abdy...co? – zdziwił się Gared. – Oczywiście, że nie. Spotkaliście go. Pan Bales nie dba o trony i dokumenty. Wątpię, żeby Wybawiciela obchodziło cokolwiek oprócz zapewnienia ludziom bezpieczeństwa w nocy. Więc co w tym złego, żeby mu przyznać zasługi za to, co zrobił, zwłaszcza teraz, gdy dla nas zstąpił do Otchłani?

– Mamy na to tylko jego słowo, baronie – wtrącił Dziecię Franq.

Gared zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Nazywasz go kłamcą?

Franq zgarbił się i odchrząknął.

– Oczywiście, że nie, ja tylko, ach...

Hayes położył mu dłoń na ramieniu.

– Dziecię zamilknie.

Na twarzy Franqa pojawiła się ulga, gdy przymknął oczy i wycofał się z debaty.

– Nie pojmuję, co za różnica – odezwała się Leesha. Gared spojrzał na nią groźnie, ale odpowiedziała mu chłodnym grymasem. – Jeżeli Arlen chciałby, żeby nazywano go Wybawicielem, nie marnowałby czasu na zaprzeczanie. Nie ma znaczenia, czy nim jest, czy nie. Uważa jednak, że ludzie nie powinni odwracać się od walki i siedzieć beczynnym w oczekiwaniu na wybawienie.

Inkwizytor skinął głową, zapewne aż nazbyt gorliwie. Leesha zwróciła się do niego.

– A jeżeli chodzi o wasze plany, Inkwizytorze, obawiam się, że muszę przyznać rację mojemu ojcu, Mówcy Smittowi i baronowi. To bezsensowne marnotrawstwo.

– Decyzja nie należy do ciebie, Zielarko – warknął Hayes.

– Nie, ale to ja decyduję, za co zapłać. – Thamos użył spokojnego tonu głosu, który wskazywał, że cierpliwość hrabiego się wyczerpała i lepiej, żeby wszyscy bacznie słuchali.

Uwaga zebranych skupiła się na Thamosie.

– Jeżeli nalegacie na dalszą budowę katedry w wybranym projekcie, niech koszty poniosą Opiekunowie. Nie będzie więcej żadnych dyskusji o funduszach z królewskiego skarbcza, dopóki nie zmienicie planów na bardziej rozsądne.

Hayes popatrzył na hrabiego zimno, ale skłonił się niechętnie.

– Jak sobie życzycie, Wasza Wysokość.

– A jeżeli chodzi o Arlena Balesa – podjął Thamos. – Mogę was zapewnić, baronie, że będzie to temat dyskusji podczas waszej wizyty na dworze. Będziecie mieli okazję, żeby osobiście bronić swojej sprawy przed Pasterzem Petherem i księciem.

Zawziętość zniknęła z oblicza Gareda.

– Nie jestem Mówcą, Wasza Wysokość. Mnóstwo innych znajdzie lepsze słowa w tej sprawie. Opiekun Jona...

– Został już w tej sprawie dokładnie przesłuchany – zapewnił Thamos. – Ale moi bracia nie byli przekonani. A wy, baronie, na własne oczy widzieliście dokonania Arlena Balesa. Jeżeli naprawdę wierzycie, że to Wybawiciel, przemówicie za nim. Jeżeli brak wam odwagi, będzie to nawet bardziej wymowne niż słowa.

Gared zacisnął zęby, ale skinął głową.

– Wybawiciel powiedział mi, że życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Jeżeli brzemię spoczywa na mnie, poniosę je i jeszcze więcej.



Spotkanie ciągnęło się, każdy z radnych po kolei przedstawiał hrabiemu prośbę o fundusze lub zapłatę za taki czy inny projekt. Leesha pocierała skronie. Próbowała śledzić prezentacje kolejnych petentów i oszacować rzeczywiste sumy, jakie chcieli zdobyć. Nawet gdy nie zgadzała się z decyzjami Thamosa, zazdrościła mu, że może takich wyborów dokonywać. Żałowała, że siedzi po przeciwnej stronie stołu, a nie u boku hrabiego, żeby go dotknąć i szepnąć radę przeznaczoną tylko dla jego uszu.

Zaskoczyło ją, jak mocno władza do niej przemawia. Im więcej o tym myślała, tym bardziej chciała zostać hrabiną.

Bez pośpiechu zebrała dokumenty, kiedy obrady dobiegły końca i członkowie rady zaczęli wychodzić. Miała nadzieję, że uda jej się spędzić jeszcze chwilę z Thamosem przed wyjściem do szpitala, ale do hrabiego podszedł Inkwizytor i zajął jego uwagę.

Leesha powoli ruszyła do wyjścia. Minęła ich jak najbliżej, nadstawivszy uszu.

– Wasza matka i brat dowiedzą się o tym – ostrzegł Hayes.

– Sam im powiem – odwarknął Thamos. – Również to, że jesteś przeklętym głupcem.

– Jak śmiesz, chłopcze – wycedził Inkwizytor.

Hrabia uniósł palec.

– Nie jesteś już moim opiekunem. Jeżeli jeszcze raz spróbujesz to wykorzystać przeciwko mnie, odeślę cię na kolejne nauki z powrotem do Angier.

Leesha przycisnęła dokumenty do piersi i uśmiechnęła się, zanim wyszła.

Pod salą czekał Smitt. Rozmawiał ze swoją żoną Stefny i najmłodszym synem, Keetem. Na widok Leeshy Mówca skłonił się nisko.

– Wybaczcie, jeżeli wcześniej was obraziłem, pani.

– Sala obrad służy do dyskusji i rozmów – zapewniła Leesha. – Mam nadzieję, że wiecie, ile zawdzięcza wam Zakątek za pełnienie roli Mówcy w tak trudnych czasach.

Smitt skinął głową i klepnął Keeta w ramię.

– Właśnie mówiłem swojemu chłopakowi, żeby sprawdził, czy możemy obniżyć ceny chleba, jak prosiliście. Jeżeli istnieje sposób, Keet go znajdzie. Ma głowę do liczb, zupełnie jak ojciec.

Za jego plecami Stefny przewróciła oczyma i skrzywiła się do Leeshy porozumiewawczo. Obie wiedziały, że chłopak nie był rodzonym synem Smitta, lecz dzieckiem z nieprawego łoża, poczętym z ostatnim Opiekunem Zakątką, Michelelem.

Obie, i Leesha, i Bruna, używały tej wiedzy jak bata przeciwko Stefny, kiedy kobieta się im przeciwstawiała, ale teraz, gdy Zielarka sama nosiła nieślubne dziecko, rozumiała, że postępowała wtedy źle.

- Na słowo – poprosiła Leesha, gdy mężczyźni odeszli dalej.
- Tak? – Stefny uniosła brwi. Nigdy nie próbowały się nawet odrobinę zaprzyjaźnić, ale obie stawiały czoła otchłancom w obronie rannych mieszkańców Zakątka i nauczyły się wzajemnego szacunku.
- Jestem ci winna przeprosiny – wyznała Leesha. – Groziłam ci, że ujawnię pochodzenie Keeta, ale chcę, żebyś wiedziała, że nigdy bym tego nie uczyniła. Ani Smittowi, ani chłopcu.
- Bruna również nie, pomimo wszystkiego, co mówiła, jęcza jedna – odparła Stefny. – Nie zawsze zgadzam się z tym, co robisz, ale dotrzymujesz przysięgi Zielarki. Nie musisz mnie przeproszać.
- Skinieniem głowy wskazała na swojego męża i syna.
- Zresztą nawet gdybyś powiedziała, Smitt nigdy by ci nie uwierzył. – Uśmiechnęła się z lekką ironią. – Zabawna sprawa, gdy chodzi o dzieci. Ludzie widzą w nich to, co chcą zobaczyć.



Rojer uśmiechnął się na widok powozu Amanvah czekającego na dziedzińcu twierdzy Thamosa. Dzięki ochronie mocnych runów i magii *hora* wóz księżniczki był równie bezpieczny jak każdy dom w Zakątku.

Ciągnęły go cztery śnieżnobiałe kłaczki ze złożonym ogłowiem, dlatego pomalowany został na białą. Złoto i biel stanowiły typowe zestawienie u surowych krasjańskich rzemieślników, ale na Północy, gdzie zwyczajowo Minstrele ubierali się lub malowali wozy we wszystkie kolory tęczy, a każdy wart choć dwa kłaty Posłaniec również miał własne barwy, prosta biel wyróżniała się bardziej nawet niż powóz hrabiego Thamosa.

Wewnątrz krył się raj Minstrele – kolorowe jedwabie i aksamit niemal na każdej powierzchni. Rojer nazywał go pstrokatym wozem i uwielbiał w nim przebywać.

Wóźnicą został Coliv, Wypatrywacz Krevakh, posłany przez Jardira do eskortowania Leeshy, gdy wracała do Zakątka. Mężczyzna był opanowanym i skutecznym zabójcą. Na Rojera patrzył początkowo jak każdy *Sharum* – jak na robaka, i tylko czekał na rozkaz, żeby go rozgnieść.

Ale przelewali razem krew w Nowiu i chyba właśnie to zmieniło ich wzajemne relacje. Nie zostali przyjaciółmi – Wypatrywacz nadał pojęciu „małomówność” nowej głębi – ale Rojer przynajmniej był witany skinieniem głowy wyrażającym szacunek, a to robiło wielką różnicę.

– Są w środku? – zapytał wojownika.

Wypatrywacz pokręcił głową.

– *Sharusahk* na Cmentarzysku Alagai. – Słowa brzmiały obojętnie, ale Rojer wyczuł w nich napięcie. Od śmierci Enkido, osobistego strażnika Amanvah, Coliv przejął to zadanie i nigdy nie pozwalał, aby podopieczna oddaliła się od niego poza zasięg głosu, chyba że wydała mu taki rozkaz. Rojer zastanawiał się nawet, czy ten człowiek kiedykolwiek sypia albo się załatwia.

Może w tych obszernych spodniach nosi owczy pęcherz. Minstrel postarał się zachować maskę obojętności, żeby nie ujawnić swojego rozbawienia.

– No to chodźmy zobaczyć, jak sobie radzi.

Wyczuł od razu ulgę Coliva. Wojownik strzelił lejcami, zanim jeszcze Rojer zdążył zatrzaskać drzwi powozu. Szarpnięcie przy ruszaniu rzuciło go na poduszki. Minstrel odetchnął aromatem perfum swoich żon i westchnął. Już za nimi tęsknił.

Gdyby znajdowali się gdzie indziej, to przynajmniej Sikvah czekałaby w wozie ubrana w kolorowe jedwabie, żeby go powitać. Jednak z jakiegoś powodu związanego z honorem Krasjanie nie zbliżali się na milę do twierdzy hrabiego, chyba że dostali zaproszenie – co zdarzało się zbyt rzadko w odczuciu Amanvah. Przecież ona i Sikvah pochodziły z rodu Shar’Dama Ka.

Gdy powóz wjechał na Cmentarzysko Otchłanów, Rojer zobaczył żony i uczennice w muszli akustycznej. Żony wyciągały się w miękkich, ale wymagających pozycjach *sharusahk*. Na placu niemal tysiąc kobiet, mężczyzn i dzieci ćwiczyło wraz z nimi.

Właśnie zrobiły Skorpiona, pozycję, z którą nawet Rojer, zawodowy akrobata, miał trudności. Minstrel dostrzegł, jak drżą kończyny tych, którzy próbowali przybrać tę pozycję – albo przynajmniej podobną do tej absolutnie niemożliwej – nie krzywili się jednak, na wszystkich twarzach malowała się powaga, oddychali równo i spokojnie. Musieli wytrzymać, ile zdołają, a każdego dnia będą silniejsi.

Coraz więcej upadało. Najpierw mężczyźni, potem dzieci. Wkrótce również kobiety. A potem zostało tylko kilka, włącznie z Kendall, ulubioną czeladniczką Rojera. A potem i ona się poddała i zostały tylko Amanvah i Sikvah, które

bez wyraźnego wysiłku stały jak marmurowe posągi.

Rojer nazywał je *Jiwah Ka* i *Jiwah Sen*. Obie bardzo kochał. Arrick wpoił mu strach przed małżeństwem i radził go unikać jak zarazy, jednak to, co udało im się we troje stworzyć, było niepodobne do niczego, co Minstrel sobie wyobrażał.

Sikvah zdawała się wyczuwać, kiedy chciał być sam, wtedy znikwała, aby pojawić się jakby za sprawą magii, gdy czegoś potrzebował. Było to niespotykane i cudowne. Miała w sobie ciepło i otwartość, pieściła Rojera i każdemu jego słowu lub życzeniu – nie wspominając o najdrobniejszym ruchu w pstrokatych spodniach – poświęcała całkowitą uwagę. Rojer zwierzał jej się, gdy leżeli wśród poduszek, doskonale przy tym wiedząc, że dotrze to również do uszu Amanvah.

Sikvah stanowiła serce ich małej rodziny, a Amanvah oczywiście była głową. Zawsze poważna, zawsze opanowana, nawet gdy się kochali. I zazwyczaj, jak Rojer zdążył się przekonać, lepiej było jej na to pozwolić.

Chyba że chodziło o skrzypce. Od tamtej nocy, gdy po raz pierwszy wykorzystali muzykę i śpiew do zabijania otchłańców, żony nauczyły się, że w tym przypadku przewodzi mąż. Amanvah stała się głową, a Sikvah sercem, ale to Rojer tworzył sztukę, a sztuka musiała być wolna.

Żony skończyły lekcję w pozycji wypoczynkowej na plecach, po czym skokiem wstały. Ich uczniowie leżeli nadal. Rojer szedł do sceny przy wtórze ich jęków i ciężkiego sapania. Pocałował żony, gdy zeszły z podwyższenia. Obie oddychały bez wysiłku.

Kendall jako pierwsza z mieszkańców Zakątka podniosła się i podeszła. Amanvah i Sikvah traktowały innych czeladników Rojera jak służbę, ale Kendall przyjęły jak równą. Dziewczyna była najbardziej utalentowana i ich muzyczne trio zmieniła w kwartet, a do tego okazała się na tyle giętka, że udawały jej się nawet najtrudniejsze pozycje *sharusahk*. Oddychała głęboko i równo, ale nieco szybciej niż zwykle.

– Dobrze sobie dzisiaj poradziłaś, Kendall am’Zakątek – powiedziała Amanvah po krasjańsku i skinęła głową. Rzadko to robiła, dlatego to skinienie znaczyło więcej niż najgłośniejsza pochwała. Kendall pozwolono dołączyć do lekcji udzielanych Rojerowi, co bardzo mu pomogło, ponieważ ćwiczył z partnerką, która musiała się również starać tak samo jak on.

Kendall rozpromieniła się w uśmiechu, po czym chwyciwszy aksamitne szerokie spodnie, wykonała niski dyg.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

Jej strój do ćwiczeń rozchylił się nieco, gdy wstawiała. Rojer mimochodem zajrzał jej w dekolt, gdzie widniała szeroka blizna ciągnąca się przez pierś skrzypaczki.

Kendall przyłapała go na tym spojrzeniu. Najpierw się uśmiechnęła, dopóki nie uświadomiła sobie, że Minstrel patrzy na bliznę. Wtedy dziewczyna zaczerwieniła się i poprawiła szatę, aby się zasłonić. Rojer szybko odwrócił oczy. Zawstydzenie Kendall sprawiło, że zapragnął zapaść się w Otchłań.

Amanvah od razu wyczuła napięcie. Przechyliła nieznacznie głowę, wskazując na czeladniczkę, a Sikvah od razu ujęła dziewczynę za ramię.

– Jesteś gotowa na bardziej zaawansowane *sharukin* – powiedziała *Jiwah Sen* Rojera. – Zwłaszcza gdy dopracujesz swoją pozycję Skorpiona.

– Myślałam, że już mi się udało – zdziwiła się Kendall.

– Może wypadłaś lepiej od wszystkich *chin*, ale musisz spełnić większe wymagania, jeżeli masz się nauczyć wyższych form. Chodź.

Kendall zerknęła na Rojera, ale pozwoliła się odprowadzić dalej, żeby poćwiczyć. Amanvah poczekała, aż kobiety się oddały, a gdy znalazły się poza zasięgiem głosu, odwróciła się do Rojera.

– Wyjaśnij, mężu. Często narzekasz na zachowanie ludzi, gdy widzą twoje blizny po walce z *alagai*, a jednak robisz to samo swojej uczennicy.

Rojer przełknął nerwowo ślinę. Amanvah umiała trafić w samo sedno. Czasami się jej bał.

– Kendall ma tę bliznę przeze mnie – wyznał. – Chciałem pokazać, jaka jest dobra w zaklinaniu demonów muzyką. Pozwoliłem jej grać solo, zanim była gotowa, a potem odszedłem za daleko. Popęłniła błąd, a mnie nie było w pobliżu, żeby ją osłonić przed otchłańcami. – Do oczu napłynęły mu łzy. – To Gared ją ocalił. Wdarł się prosto w hordę demonów i wyniósł ranną Kendall. Niemal umarła, gdy Leesha ją operowała. Oddałem jej tyle krwi, że prawie zemdlałem, a i tak ledwie wystarczyło.

Amanvah spojrzała na niego przenikliwie.

– Oddałeś jej krew?

Ton głosu żony wyrwał Rojera z zamyślenia jak wiadro zimnej wody. Krasjanie mieli tysiące praw i obyczajów związanych z krwią, ale Minstrel poznał tylko ogólne podstawy. Oddanie krwi mogło oznaczać, że Kendall stała się jego siostrą, albo może musiała z Sikvah stoczyć walkę na noże. Stwórca raczył wiedzieć.

Amanvah skinieniem palca przywołała Sikvah. *Jiwah Sen* i Kendall ledwie zaczęły ćwiczyć, ale Sikvah od razu zasypała czeladniczkę pochwałami. Wkrótce obie dołączyły do Rojera i Amanvah. Kendall wydawała się zmieszana, ale jak Rojer nauczyła się, że kiedy jego żony zaczynają się zachowywać dziwnie, najlepiej pozwolić, aby sprawy potoczyły się swoim torem.

– Musisz zjeść z nami południowy posiłek. – Zaproszenie Amanvah zabrzmiało bardziej jak rozkaz, ale i tak oznaczało wyróżnienie, którego nie można było odrzucić.

Kendall wykonała swój ukłon.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość.

Wszyscy wsiedli do pstrokatego powozu i pojechali do restauracji Shamavah. Co prawda hrabia zakazał sprzedaży i przekazywania ziemi Krasjanom, ale Shamavah wcale to nie przeszkodziło, gdy znalazła duży gospodarski dom niedaleko od centrum miasta. Pierwsza Żona Abbana wypełniła złotem odpowiednie kieszenie i po bardzo krótkich targach z właścicielem wprowadziła się na najbliższe sto lat z umową wynajmu, której nie podważyłby żaden sąd na świecie. Rzemieślnicy pracowali dzień i noc, aby dodać przybudówki i piętra. Trudno byłoby rozpoznać, że kiedyś był to niczym niewyróżniający się dom.

Najpierw zostały ukończone luksusowe komnaty dla odwiedzających miasto dygnitarzy z Krasji. Żony Rojera, według których pokoje w gospodzie Smitta były absolutnie nie do przyjęcia, bez zwłoki przeniosły się do nowej gospody Shamavah. Nie zapytały o zdanie męża, ale Minstrel raczej nie mógł narzekać. Shamavah zapewniła im luksusy, gdy czekali na wzniesienie posiadłości Rojera.

Posiadłość. Na samą myśl z niedowierzaniem potrząsał głową. Właściwie to nigdy nie miał prawdziwego domu, a od śmierci Arricka czasem trudno mu było zdobyć choćby i dach nad głową. Wkrótce jednak będzie miał dom, w którym zmieści się cała trupa i zostanie jeszcze miejsca.

Wokół gospody Shamavah tłoczyło się sporo ludzi czekających na wolny stolik w popularnym lokalu. Wielu mieszkańców Zakątka polubiło mocno przyprawianą kuchnię krasjańską i gdy tylko jakiś klient zwolnił poduszkę, już jego miejsce zajmował kolejny.

Amanvah pochodziła jednak z krasjańskiego rodu panującego i Shamavah nigdy nie zapomniała, by powitać księżniczkę osobiście. Wychodziła nawet do Rojera.

– Stolik jak zwykle, Wasza Wysokość?

– *Inevera* – odpowiedziała Amanvah, co znaczyło: „jeżeli taka wola Everama”, ale jak wcześniej w przypadku zaproszenia Kendall, nikt nie wątpił, że był to rozkaz. – Ale najpierw kąpiel, żeby zmyć pot po *sharusahk*.

Rojer nigdy nie widział, aby jego żony się pociły, nigdy też nie wyczuł od nich zapachu potu, ale tylko wzruszył ramionami. Obie Krasjanki myły się częściej niż jakikolwiek z możnych w Angiers. Zresztą Minstrel miał sporo dokumentów do przejrzenia, więc nie przeszkadzała mu zwłoka.

Odprowadził kobiety do wielkiej komnaty kąpielowej, do której służba Shamavah już wносиła wiadra gorącej wody.

– Będę w...

– ...łażni razem z nami – dokończyła Amanvah. Jej głos brzmiał łagodnie i z zadowoleniem, jakby odmowa męża nie przyszła mu nawet do głowy.

Rojer i Kendall wymienili skrepowane spojrzenia.

– Kąpałem się rano...

– Czyste ciało to świątynia Everama. – Amanvah zacisnęła dłoń na ramieniu Rojera i pociągnęła go w głąb zaparowanego, wyłożonego drewnem pomieszczenia. Sikvah podobnie zaciągnęła Kendall. Obie żony napotkały na opór, gdy zaczęły rozbierać męża i jego uczennicę.

Amanvah cmoknęła z dezaprobatą.

– Nigdy nie zrozumieję ludu z zielonych krain. Na ulicy odsłaniacie tyle ciała, że kochanki wojowników się rumienią, ale cofacie się na myśl, że moglibyście się zobaczyć w kąpeli.

– Mężczyźni nie powinni widzieć nagiej kobiety, chyba że są zaślubieni – wyjaśniła Kendall.

Amanvah machnęła ręką.

– Nie masz jeszcze narzeczonego, Kendall am' Zakątek. Jak znajdziesz męża, skoro żaden mężczyzna nie może ci się przyjrzeć?

Sikvah zaczęła rozpinać guziki kamizelki dziewczyny.

– *Dama'ting* zadba, żeby twoja cnota pozostała nietknięta, siostrze.

Kendall odprężyła się i pozwoliła rozebrać, ale Rojera ogarnęła panika, gdy Amanvah zaczęła ściągać mu ubranie. W jej spokojnym głosie zabrzmiało łagodne napomnienie.

– Otaczasz swoją uczennicę intymnością swojej muzyki, ale odmawiasz jej gorącej kąpeli?

– Może mieć tyle gorącej wody, ile zechce – odparł cicho Rojer. – Nie muszę do tego oglądać jej gołych pośladków.

– Nie pośladków się obawiasz – zauważyła Amanvah. – A tak być nie może. Spojrzysz na jej blizny i pogodzisz się z nimi, synu Jessuma, albo, na Everama, sama cię...

– Dobrze, dobrze. – Rojer nie chciał nawet usłyszeć jej groźby. – Rozumiem.

Pozwolił żonie się rozebrać i podszedł do balii. Żony zawsze zajmowały się nim podczas kąpieli i zwykle był już podniecony. Nie chce, żeby pomyślała, że chce ją przelecieć, zaniepokoił się.

„Nigdy nie tykaj uczennic” – powtarzał często Arrick. „Nic dobrego z tego nie przychodzi”.

Na szczęście Rojer był tak spięty, że o erekcji nie mogło być mowy. Kendall jednak obrzuciła go oceniającym spojrzeniem i Minstrel natychmiast przejął się, że nie stanął na wysokości zadania.

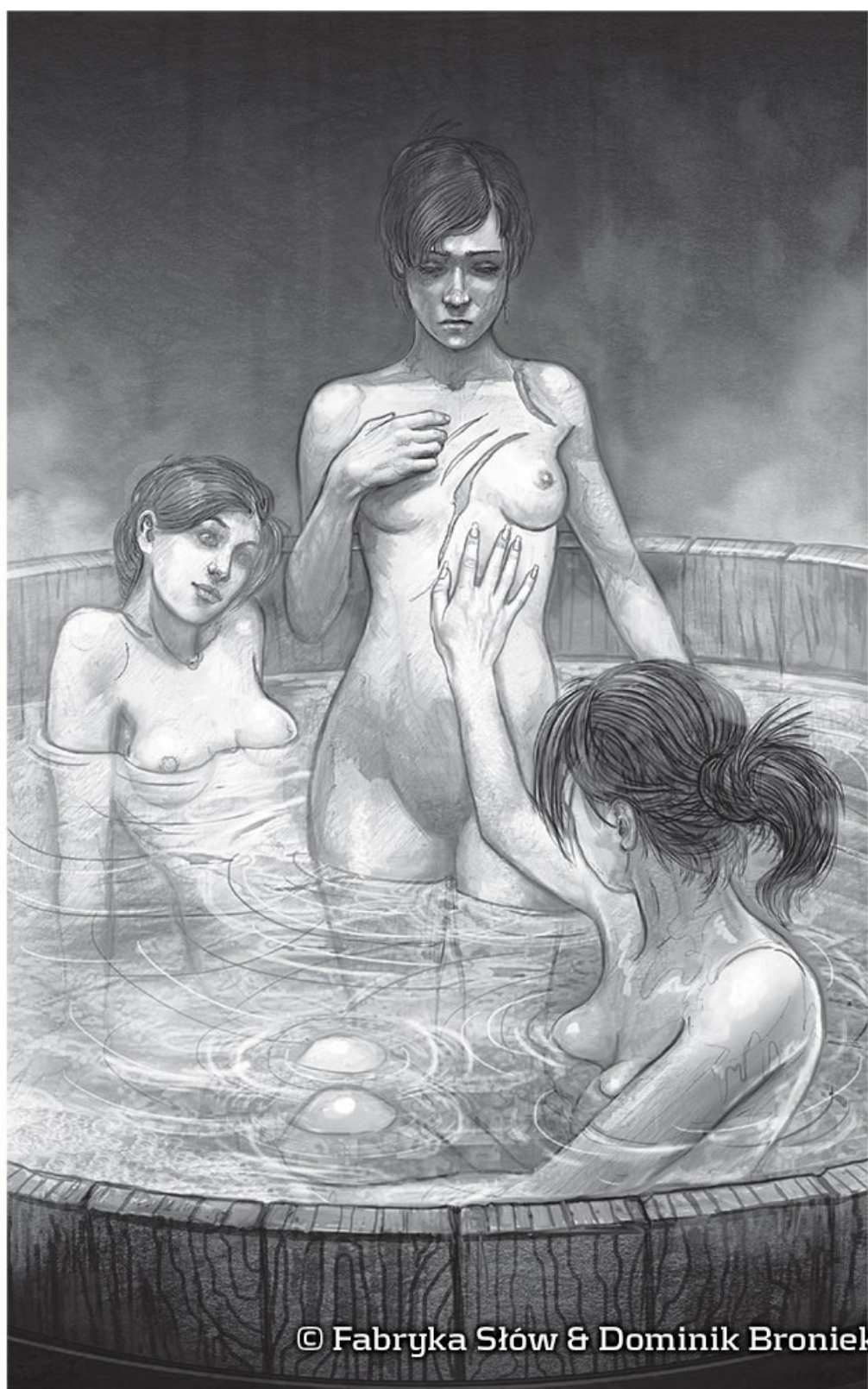
„Kobieta wybaczy małego kutasa, ale obwisłego – nigdy” – pouczał Arrick. Rojer odwrócił się, aby zasłonić przyrodzenie, i szybko usiadł w wodzie. Jego żony wsunęły się do balii zaraz po nim, a Kendall na końcu.

Minstrel spędził tyle czasu na odwracaniu wzroku od swojej czeladniczki, że nigdy tak naprawdę się jej dobrze nie przyjrzał. Była młoda, owszem, ale już nie dziewczynka, za jaką ją uważał.

A jej blizny...

– Są piękne. – Nie zamierzał tego powiedzieć na głos, a jednak...

Kendall spuściła wzrok. Rojer pojął, że znowu nie jest pewna, na co patrzył. Specjalnie wbił spojrzenie niżej, a potem podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko.



- One też są piękne, ale chodziło mi o blizny.
- To dlaczego zwykle szybko odwracałeś ode mnie wzrok, odkąd je mam? – zapytała Kendall. – Nagle wzniosłeś pomiędzy nami mur.
- Rojer spuścił głowę.
- To przeze mnie masz te blizny.
- Kendall spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- To ja sfalszowałam. To ja tak bardzo chciałam zrobić na tobie wrażenie, że nie poświęcałam uwagi strunom.
- Nie powinienem był pozwolić ci grać solo.
- Nigdy nie powinnam była udawać, że jestem gotowa, skoro wiedziałam, że nie byłam – zaproponowała Kendall. Amanvah syknęła.
- Woda wystygnie, zanim skończycie ten spór. Jakie to ma znaczenie? Taka była *inevera*.

Sikvah skinęła głową.

– To Nie wysłała *alagai*, mężu, nie ty. I Kendall żyje, a one zostały wystawione na słońce.

Rojer uniósł swoją trójpalczystą dłoń, okaleczenie, od którego dostał przydomek Bezpalcy.

– Lud moich żon pojmuje piękno blizn, Kendall. Te brakujące palce zostały tam, gdzie moja matka poświęciła dla mnie życie. Cenię te blizny równie wysoko jak swój kciuk. – Skinieniem głowy wskazał na długie szramy po pazurach demona ciągnące się przez jej piersi i wypukły półksiężycowy ślad na ramieniu po ugryzieniu przez otchłańca. – Widziałem wielu ludzi zaatakowanych przez otchłańce, Kendall. Setki. Tysiące. Widziałem tych, którzy przeżyli, żeby mogli o tym opowiedzieć, i takich, którym się to nie udało. Ale niewielu przeżyło to, co ty, i wyszło z tego bez szwanku. Te blizny to oznaka twojej siły i woli życia. Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego.

Usta Kendall zadrżały. Po jej twarzy spływały krople wilgoci, nie wszystkie wywołane gorącym i parą. Sikvah przysunęła się i objęła dziewczynę.

– On ma rację, siostrze. Powinnaś być dumna.

– Siostrze? – powtórzyła Kendall.

– Nasz mąż oddał ci swoją krew w noc, gdy zdobyłaś te blizny. – Amanvah przesunęła palcem wzdłuż szram. – Jesteśmy teraz rodziną. Jeżeli tego pragniesz, przyjmę cię jako *Jiwah Sen* Sikvah.

– E, co?! – Rojer zdążył się już rozluźnić w gorącej wodzie, ale gdy to usłyszał, usiadł prosto.

Sikvah skłoniła się Kendall, a jej piersi zanurzyły się w wodzie.

– Będę zaszczycona, Kendall am'Zakątek, i przyjmę cię z radością jako siostrę-żonę.

– Czekać, zaraz! – próbował się wtrącić Rojer.

Kendall skrzywiła się, wyraźnie skrępowana.

– Wątpliwe, żebyśmy znaleźli Opiekuna, który zgodziłby się przeprowadzić ODPOWIEDNIĄ ceremonię.

– Inkwizytor Hayes nie przyjmuje do wiadomości mojego ślubu z Sikvah – dodał Rojer.

Amanvah wzruszyła ramionami, nie odwracając oczu od Kendall.

– Pogańscy Święci Mężowie nie mają znaczenia. Jestem Oblubienicą Everama i córką Wybawiciela. Jeżeli złożysz przysięgę małżeńską przede mną, staniesz się żoną.

Jakby mnie tu wcale nie było, pomyślał Rojer, podczas gdy kąpiące się kobiety omawiały jego TRZECIE zaślubiny. Wiedział, że powinien jeszcze protestować, ale zabrakło mu słów. Nigdy nie wszedł do Świętego Domu, jeżeli nie było to absolutnie konieczne, a kazania Opiekunów nic dla Rojera nie znaczyły. Tylko Stwórca oraz mentor młodego grajka wiedzieli, ile żon Minstrel skłonił do zapomnienia o przysiędze ślubnej. Przynajmniej na kilka godzin. Jednak tego rodzaju postępowanie zawsze prowadziło do kłopotów. Stwórcy zapewne to nie obchodziło, ale może Opiekunowie mieli trochę racji w swoich dogmatach.

– Dobra – stwierdziła Kendall, patrząc w wodę, a Rojer poczuł dreszcz. Dziewczyna uniosła oczy na Amanvah. – Dobrze, niech będzie. Zgadzam się. Przysięgnę.

Amanvah skinęła głową z uśmiechem, ale Kendall uniosła dłoń.

– Ale nie będę przysięgać w balii. I chcę wiedzieć więcej, co to znaczy *Jiwah Sen*. I muszę powiedzieć mamie.

– Oczywiście – zgodziła się Amanvah. – Bez wątplenia twoja matka będzie sobie życzyła negocjacji posagu. I zapewne błogosławieństwa ojca.

Rojer odetchnął, Kendall też się trochę rozluźniła.

– Nie mam ojca – wyznała. – Otchłańce zabiły wszystkich oprócz mamy.

– Teraz gdy zostałaś przyrzeczona, ona również będzie miała mężczynę, który się o nią zatroszczy – obiecała Amanvah. – Komnaty dla was obu zostaną dodane do nowej posiadłości naszego męża.

– Hej, zaraz – wtrącił się Rojer. – Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia? Nagle mam narzeczoną i muszę zamieszkać ze swoją nową teściową?

– Coś nie tak z moją mamą? – najeżyła się Kendall.

– Nie – zapewnił Rojer pośpiesznie.

– Przeklęta racja – warknęła dziewczyna.

– Dziadkowie okazują się wielką pomocą, gdy na świat przychodzą dzieci, mężu – napomniała Amanvah.

– A co się stało z moim pragnieniem wolności? – zapytał Rojer. Słowa zabrzmiały jak pisk myszy i wszystkie kobiety, włącznie z Kendall, parsknęły śmiechem.

– Mogę coś wyznać, siostrze? – zapytała Sikvah.

– Oczywiście – odparła Kendall.

Skromny uśmiech Sikvah stał się nieco bardziej radosny.

– Uległam mojemu mężowi w kąpieli przed ślubem.

Rojer spodziewał się, że Kendall będzie oburzona, ale dziewczyna uśmiechnęła się przebiegle, po czym spojrzała

Minstrelowi prosto w oczy.

– Naprawdę? Szczerze?



Leesha zerknęła na zegar wodny i ze zdumieniem dostrzegła, że jest prawie zmierzch. Pracowała wiele godzin, a zdawało się, że minęło tylko kilka chwil od wejścia do piwnicy, w której znajdowała się pracownia. Magia *hora* przynosiła podobny efekt jak to, co działo się z wojownikami, którzy walczyli z otchłaniami runiczną bronią. Leesha czuła napływ energii i siły, chociaż tyle czasu spędziła zgarbiona nad stołem roboczym.

W zeszłym roku używała piwnicy niemal wyłącznie do przygotowywania materiałów wybuchowych i łatwopalnych oraz krojenia demonów, ale od powrotu z Lenna Everama pomieszczenie zostało otoczone runami. Leesha wiele się nauczyła podczas podróży, ale nic nie okazało się większym wyzwaniem niż magia *hora*. Kiedyś Leesha mogła tworzyć runy w słońcu, a ciemność i demony potrzebne jej były tylko do wzmocnienia działania. Teraz dzięki Arlenowi i Ineverze rozumiała o wiele więcej.

Ciemna, przewiewna chata stanęła na ziemi Zielarki na tyle daleko od domu, aby nie dochodził tam odór rozkładających się powoli i nabrzmiątych od magii zwłok zabitych demonów. Posoka przechowywana była w specjalnych nieprzejrzystych butelkach – służyła do wzmacniania symboli. Wypolerowane kości i z mumifikowane szczątki pokrywano runami, srebrem lub złotem – w ten sposób powstawało stałe, odnawialne źródło mocy dla broni i innych przedmiotów. Niektóre działały nawet w słońcu.

Był to niesamowity postęp, który mógł zmienić przebieg wojny z demonami. Leesha mogła leczyć rany, które wcześniej okazywały się nieodwracalne, mogła też uderzyć w demona z daleka i bez ryzykowania życia. Do fartucha musiała dodać kieszenie, żeby pomieściły rosnący asortyment zaklęć runicznych. Niektórzy z mieszkańców Zakątka nazywali ją runiczną wiedźmą, choć nigdy nie odważyli się powiedzieć tego Leeshy w twarz.

Jednak zaklinalanie i magia *hora* stanowiły zbyt wielkie odkrycie, aby Zielarka mogła sobie poradzić sama z rozwijaniem wiedzy. Potrzebowała sojuszników. Więcej runicznych wiedźm. Które pomogłyby w tworzeniu runów i rozpowszechniały odkrycia i wiedzę, aby ta moc nigdy więcej nie została zapomniana lub stracona.

Leesha weszła po schodach i starannie zasunęła grubą kotarę, zanim uniosła klapę i ruszyła do domu. Zza okien dochodziło jeszcze trochę światła, ale Wonda już zapaliła lampy.

Zielarce zostało dość czasu, żeby się umyć i przebrać w czystą suknię, zanim na Zgromadzenie zaczęły przybywać kobiety. Nerwy napięły jej się jak postronki w tym krótkim czasie. Miała wrażenie, że się załamie, zanim runiczną drogą nadjechał pierwszy powóz.

A potem Wonda otworzyła drzwi i Leesha ujrzała panią Jizell, postawną kobietę po czterdziestce, z pasmami siwizny we włosach i głębokimi zmarszczkami od uśmiechu.

– Jizell! – wykrzyknęła Leesha. – Kiedy nie odpisałaś, myślałam...

– ...że za bardzo się boję i nie spędzę paru nocy w towarzystwie demonów, żeby przyjechać, skoro rodzina wzywa? – Jizell uściśnęła Leeszę tak, że młodszej Zielarce zabrakło tchu i miała wrażenie, iż pękły jej żebra, ale poczuła się bezpieczna i chroniona. – Kocham cię jak córkę, Leesho. Wiem, że nie prosiłabyś o spotkanie, gdyby to nie było naprawdę konieczne.

Leesha skinęła głową, ale cofnęła się z objęć. Przytuliła głowę do piersi Jizell jeszcze na chwilę. Zadrzała i zaszlochała.

– Boję się, Jizell – szepnęła.

– Spokojnie, maleńka. – Starsza kobieta pogłaskała ją po plecach. – Wiem. Na twoich ramionach spoczywa brzemień całego świata, ale nie widziałam silniejszych przez całe życie. Jeżeli ty sobie nie poradzisz, nikomu się nie uda. – Uściśnęła znowu Leeszę. – A ja i dziewczyny będziemy zawsze w pobliżu, żeby ci pomóc.

– Dziewczyny? – Leesha uniosła głowę.

Jizell puściła ją i cofnęła się o krok, potem wyjęła z dekoltu chustkę i mrugnęła.

– Wyrzyj oczy i przywitaj się ze swoimi nowymi dawnymi uczennicami.

Leesha wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, potem doprowadziła się do porządku. Jizell poprowadziła ją do powozu, dała chwilę na wzięcie się w garść, po czym otworzyła drzwiczki. Roni i Kadie, czeladniczki, które były uczennicami Leeshy, dopóki nie wróciła w zeszłym roku do Zakątka, skoczyły jej prosto w ramiona. Ich ekscytacja wydawała się niemal namacalna, a Leesha roześmiała się na to znajome uczucie.

– Widziałyśmy, jak wielki run świeci, mistrzyni! – pisnęła Kadie. – To było niesamowite!

– Ale nie tak niesamowite jak mężczyźni – dodała Roni. – Czy wszyscy mężczyźni w Zakątku są tacy wysocy, mistrzyni?

– Na noc, Roni! – Kadie przewróciła oczami. – Stoimy na otwartej przestrzeni w środku nocy, a ty myślisz teraz o chłopakach?

– O mężczyznach – poprawiła Roni, a Leesha zachichotała.

– Dość, trzpiotki. – Zielarka bez trudu przypomniała sobie swój surowy nauczycielski ton. – O runach i chłopcach możemy porozmawiać później. Dzisiaj mamy trochę pracy do wykonania. – Wskazała na świeżo ustawioną scenę i widownię na końcu podwórza. – Pomóżcie Zielarkom zająć miejsca, gdy tylko przyjadą.

Dziewczęta skinęły głowami i pobiegły.

– Moje nowe dawne uczennice? – Leesha powtórzyła słowa Jizell.

– Jak długo wytrzymasz ich paplanie – odpowiedziała starsza uzdrowicielka. – Więcej nauczą się w Zakątku niż w Angiers.

Leesha skinęła głową.

– Będę musiała wymagać od nich więcej. Nie zawsze mamy do pracy czysty szpital, Jizell. Niedługo te dziewczyny będą ciąć i zszywać miejscowych tam, gdzie padli, byle mogli dotrzeć żywi do szpitala.

– Świat idzie ku wojnie, tak czy inaczej. Zielarki nie mogą sobie już pozwolić na ukrywanie się w bezpiecznych murach. – Jizell położyła dłoń na ramieniu Leeshy. – Ale wolałabym, skoro mogę wybierać, żebyś to ty nauczyła te dziewczyny wszystkiego, co potrzebne. Jestem z ciebie dumna.

– Dziękuję.

– Ile minęło tygodni od twojego ostatniego krwawienia?

Leeshy zamarło serce. W gardle jej zaschło, napięła się i szeroko otworzyła oczy. Jizell posłała jej drwiący uśmiech.

– Nie patrz na mnie z takim zaskoczeniem. Nie tylko ciebie uczyła mistrzyni Bruna.



Z całego hrabstwa runiczną drogą przybywały Zielarki. Niektóre pieszo ze szpitala oddalonego o milę od Cmentarzyska Otchłańców, inne w powozach wysłanych, aby zabrały je z oddalonych baronii. Pojawiło się nawet kilka z osad uchodźców nieprzyłączonych jeszcze do Zakątki.

– Rozbójniczki – stwierdziła Wonda po powitaniu kilku chudych, surowo patrzących kobiet.

– Ani się waż tak mówić, Wondo z Rębaczy – ostrzegła ją Leesha. – To Zgromadzenie. Każda kobieta tutaj złożyła przysięgę, że będzie ratować życie, więc traktuj wszystkie przybyłe z szacunkiem. Czy to jasne?

Wondzie zadrżała powieka i oczy jej zalśniły, a Leesha zaczęła się zastanawiać, czy nie okazała się zbyt surowa, ale wtedy dziewczyna przełknęła ślinę i skinęła głową.

– Tak, pani. Nie chciałam nikogo obrazić.

– Wiem, moja droga. Ale nie wolno ci nigdy zapominać, że prawdziwy wróg przychodzi z Otchłani. Atak demonów w Nowiu nie był ułudą, niemal zniszczył Zakątek, pomimo że pomagali nam Arlen z Renną.

Wonda zacisnęła pięść.

– On wróci, pani.

– Nie wiadomo. A jeżeli nawet wróci, sam ci powie, że powinniśmy szukać każdego sprzymierzeńca, jakiego tylko możemy znaleźć.

– Tak, pani. Jednak nadal uważam, że trzeba było schować srebra.

Leesha pokręciła głową, po czym zaczęła liczyć kobiety, które już się zebrały w teatrze, i te, które jeszcze były w drodze. Powozy ciągnęły się rzędem jak okiem sięgnąć, a Zielarki przychodziły pieszo.

Amanvah i Sikvah przybyły jako ostatnie. Zostawiły Rojera przed gospodarstwem z innymi mężczyznami, po czym z Leeszą i Jizell poszły do prowizorycznego teatru. Rozmowy na widowni zrobiły się głośniejsze na widok Krasjanek wkraczających za Leeszą na scenę.

Zielarka głęboko nabrała tchu. Jizell uściśnęła ją pokrzepiająco w ramię, zanim młodsza kobieta stanęła przed Zgromadzeniem. Szmerzy umilkły.

Leesha rozejrzała się, starając się spojrzeć w oczy każdej z przybyłych choćby na krótko. Niemal dwieście kobiet pochyliło się z uwagą, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia runiczna wiedźma.

Niewiele ich. Według spisów hrabstwo Zakątki wraz z okolicami liczyło już sobie prawie pięćdziesiąt tysięcy

mieszkańców. Nawet zanim nastały ciężkie czasy, Zielarek brakowało. Wiele zostało złapanych lub zabitych, gdy uciekały przed krasjańską inwazją, wiele zginęło w Nowiu.

Na dodatek zaledwie mniej niż połowa tych kobiet była prawdziwymi Zielarkami. Leesha знаła wiele z nich z listów i rozmów, gdy po raz pierwszy pojawiły się w Zakątku. Bardzo niewiele miało prawdziwe umiejętności i wiedzę o dawnych technikach, ale inne były znanymi położnymi, babkami, które umiały przeprowadzić poród i uwarzyć proste lekarstwa. Niewiele posiadało umiejętność czytania, a żadna, nawet Jizell, nie umiała rysować runów.

Pozostałe były czeladniczkami. Jedne młode, dopiero zaczynały szkolenie, inne starsze – odruchowo ruszały do pomocy w lazaretach, gdy liczba rannych rosła, chociaż umiały tylko podgrzać wodę i przynieść świeże prześcieradła.

Teraz wszystkie jesteście Zielarkami, pomyślała Leesha.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – odezwała się głośno i dźwięcznie. – Wiele z was przybyło z daleka, wam jestem najbardziej wdzięczna. Takiego Zgromadzenia nie było w Zakątku od czasów młodości mojej mentorki, mistrzyni Bruny.

Wiele kobiet pokiwało głowami. Bruna była im znana, legendarna Zielarka, która dożyła stu dwudziestu lat.

– Zgromadzenia odbywały się kiedyś często – podjęła Leesha. – Po Powrocie był to jedyny sposób, żeby rozpowszechnić tajemnice starego świata i odzyskać coś z wiedzy, którą straciliśmy, gdy demony spaliły wielkie biblioteki. – Westchnęła. – Musimy przywrócić ten zwyczaj. Jest nas tak mało, a tyle musimy sobie przekazać, jeżeli mamy przetrwać kolejny Nów, a po nim następne. Musimy prowadzić nabór równie duży jak Rębacze i wspólnie się uczyć jak oni. Moje uczennice kopiowały moje zapiski o chemii i leczeniu, każda z was dostanie kopię przed powrotem do domu, żebyście mogły je dokładnie przestudiować. A od dzisiaj na tej scenie odbywać się będą lekcje obejmujące wszystko, od leczenia i używania runów po anatomię demonów. Nawet trochę o tajemnicach ognia. Dla niektórych z was będę nauczycielką. Dla innych – zerknęła na Jizell i Amanvah – będę uczennicą.

– Hej, oczekujesz, że będziemy brać lekcje od krasjańskiej wiedźmy? – ośmieliła się bezczelnie wykrzyknąć jedna ze starszych kobiet. Wiele innych ją poparło. Zbyt wiele.

Leesha zerknęła na Amanvah, ale krasjańska księżniczka, choć bardzo dumna, zachowała spokój i nie dała się sprowokować. Zielarka klasnęła głośno, a jej uczennice wniosły rannego Rębacza na noszach. Dostał wywar usypiający i dziewczęta z trudem dźwignęły jego bezwładne, umięśnione ciało na stół operacyjny.

– To Makon z Sadu, z baronii Nowe Rizon – przedstawiła pacjenta Leesha, po czym odsunęła białe prześcieradło. Ukazały się czarne i fioletowe sińce wokół starannych szwów wzdłuż brzucha mężczyzny. – Został ranny podczas wycinki pod nowy wielki run trzy noce temu. Zszywałam go i opatrywałam przez osiem godzin. Czy któraś z was może poświadczyć?

Sześć Zielarek i grupa czeladniczek uniosły ręce. Leesha jednak wskazała na starszą kobietę, która wcześniej oburzała się na Krasjanę.

– Zielarka Alsa, prawda?

– Owszem – odparła wywołana z podejrzliwym grymasem. Należała do uchodźców, którzy pochodzili z osad najechanych przez Krasjan. Wielu tych uchodźców zmieniło się w rozbójników, jednak ich desperacja miała swoje uzasadnienie.

– Mogłabyś podejść i zbadać ranę? – poprosiła Leesha.

Zielarka mruknęła, oparła się na lasce i wstała. Roni podeszła, żeby jej pomóc, ale Alsa odpędziła ją niechętnie i czeladniczka rozważnie się cofnęła, gdy stara kobieta powoli weszła na scenę.

Pomimo gburowatości Zielarka Alsa znała się na swojej pracy. Sprawdziła rany Makona pewnie, lecz delikatnie. Ścisnęła szwy, potarła kciukiem palec wskazujący i uniosła dłoń do nosa. Powąchała.

– Wykonałaś dobrą robotę, dziewczyno – przyznała w końcu. – Chłopak ma szczęście, że żyje. Nie wiem jednak, jak się to ma do dzielenia się sekretami ze szcurami pustyni. – Laską wskazała grubiańsko na Amanvah.

Młoda *dama'ting* spojrzała na kostur, ale pozostała niewzruszona.

– Ma szczęście, że żyje – powtórzyła Leesha. – Jednak miną miesiące, zanim Makon będzie mógł chodzić albo podnieść stołek bez krwi i bólu. Przez wiele tygodni pozostanie na płynnej diecie i może nigdy nie będzie już zdolny do walki lub ciężkiej pracy.

Skinęła na Amanvah, która podeszła, trzymając się jednak na dystans od Alsy, a potem wyjęła zakrzywiony srebrny nóż.

– Hej, co robisz? – Alsa zbliżyła się z laską gotową do uderzenia.

Leesha powstrzymała ją uniesieniem dłoni.

– Proszę o cierpliwość, pani – stwierdziła.

Alsa przyjrzała się Leeshy z niedowierzaniem, ale opuściła kostur. Amanvah zrećnie przecięła staranne szwy, wyjęła je i wyrzuciła. Następnie wyciągnęła rękę, a Sikvah podała jej pędzelek z końskiego włosia i porcelanową

miseczkę z tuszem.

Brzuch i tors Makona zostały dokładnie ogolone, aby powierzchnia była czysta i przygotowana dla Amanvah. Krasjanka zanurzyła pędzel w tuszu, pozbyła się nadmiaru na krawędzi czarki, po czym zaczęła malować runy wokół rany. Pracowała szybko i pewnie, ale i tak wymagało to czasu. Kiedy skończyła, wokół rany znajdowały się dwa owalne ciągi runów.

Wtedy Amanvah sięgnęła do swojej sakiewki *hora* i wyjęła kość demona, wyglądającą jak kawałek węgla. Przesunęła ją powoli nad raną. Runy zajaśniały, najpierw nieznacznie, potem coraz wyraźniej, aż kobiety siedzące najbliżej musiały zasłonić oczy.

Blask zgasł po chwili, a Amanvah otrzepała ręce z pyłu po kości. Sikvah podeszła ponownie, tym razem z miską gorącej wody i ręcznikiem, a księżniczka z Krasji umyła i wytarła dłonie z krwi i tuszu.

Kiedy się cofnęła, przez widownię przetoczyły się zaskoczone westchnienia. Wszystkie kobiety mogły się przekonać, że skóra Makona stała się znowu różowa, a rana i siniaki znikły.

Alsa odsunęła Leeshę i pochyliła się, aby zbadać wojownika. Przesunęła dłonią po gładkiej skórze bez blizn, nacisnęła, uszczypnęła i pomacała. Wreszcie spojrzała na Amanvah.

– To niemożliwe.

– Dzięki łasce Everama wszystko jest możliwe, pani – zapewniła Amanvah. Odwróciła się do widowni. – Jestem Amanvah, Pierwsza Żona Rojera asu Jessum am’Gospoda am’Zakątek. Jesteśmy Krasjankami, ale moja siostra-żona i ja należymy teraz do plemienia Zakątka. Wasi wojownicy to nasi wojownicy. Niezależnie od tego jednak *dama’ting* musi się zatroszczyć o każdego, kto staje przeciw *alagai*. Dzięki magii *hora* wielu wojowników, którzy by umarli, można ocalić, a wielu, którzy zostaliby okaleczeni, będzie znowu zdolnych do walki. Jutrzejszej nocy Makon am’Sad znowu uniesie włócznię i wraz ze swoimi braćmi stanie w obronie Zakątka.

Przechyliła głowę i spojrzała w oczy Zielarki Alsy.

– Jeżeli pozwolisz, nauczę cię, jak tego dokonać.



Z podwórza Rojer nie słyszał dokładnie tego, co mówiono na scenie Zgromadzenia, ale wyszkolonym uchem wychwytywał głosy i ton wypowiedzi. Głównie Leeshy. Spędził wiele godzin, ucząc ją, jak zapanować nad publicznością, jak poprowadzić pokaz niczym prawdziwy Minstrel. Zielarka przyłożyła się do nauki, zwłaszcza że mogła jeszcze obserwować mistrzowskie pokazy hrabiego. Thamos umiał mówić normalnym tonem do stojących najbliżej niego i nie musiał się obawiać, że zostanie podsłuchany, umiał też szepnąć tak, aby dotarło to tylko do jednej osoby po drugiej stronie wielkiej, pełnej ludzi sali. Od urodzenia szkolono go do wydawania rozkazów i rządzenia. Moźni z Angiers mogliby zawstydzić najlepszą trupę. Posłuszeństwo stanowiło pewnik, więc arystokraci zwykle bywali pogodni, dopóki ich do czegoś nie zmuszano, ale nawet wtedy zachowywali godność.

Rojer na własne oczy widział, jak uprzejmy ton zmienia się w bicz. Subtelna zmiana, bez podnoszenia głosu i porzucania uprzejmości, ale wystarczająca, aby wyrazić niezadowolenie bez obrażania, a przy tym pouczyć wszystkich obecnych, jakiego zachowania oczekuje ich przywódca.

Głos Leeshy brzmiał na scenie podobnie. Uprzejmie. Z szacunkiem. I absolutnie władczo.

Będzie wspaniałą hrabiną, gdy tylko przestaną się z Thamosem ukrywać i ogłoszą swoje nieuchronne zaślubiny. Jeżeli ktoś na tym świecie zasługiwał na szczęście, to właśnie Leesha. Na noc! Nawet Arlen znalazł sobie żonę, a przecież był bardziej szalony niż stado mustangów.

Na scenie zapadła cisza, a Rojer ujrzał pulsujące światło, gdy Amanvah dokonywała pokazu uzdrawiania. Kiedy było po wszystkim, nad Zgromadzeniem poniósł się głos jego *Jiwah Ka*, wibrujący nad widownią jak potężne zakłęcie.

Amanvah nie potrzebowała żadnych nauk od Rojera. Nawet prosty Krasjanin miał lepsze wycucie dramatyzmu niż moźni na dworze w Angiers, a chociaż Thamos dorastał do rządzenia hrabstwem, jednak Amanvah została wychowana na księżniczkę świata. Zakończyła swoją przemowę z taką ostatecznością, że Minstrel spodziewał się zakończenia zebrania, jednak okazało się, że spotkanie ciągnęło się godzinami – były wykłady, debaty i spory o zakres obowiązków nowej gildii Leeshy, Gildii Zielarek. Nie było wątpliwości, że Leesha zostanie mistrzynią tej Gildii, jednak w pozostałych kwestiach kobiety miały sporo do dodania.

Rojerowi nie przeszkadzało czekanie. Zajął się sprawdzaniem nowych tonów swoich skrzypiec, wracał też myślami do Kendall. Do jej zapachu, piękna, talentu. Do jej pocałunków.

Minęło zaledwie parę godzin, ale to już zdawało się snem.

Jednak to wcale nie był sen. To się stało naprawdę, pomyślał Rojer. Jutro Amanvah zamierza odwiedzić matkę Kendall, a wtedy otworzy się Otchłań.

Poczuł ucisk i nerwowe napięcie, więc zaczął w duchu nucić sobie kołysankę, którą śpiewała mu matka, dopóki nie odzyskał spokoju.

Nie można mnie wygnać z miasta, powtórzył sobie. Jestem skrzypkiem-zaklinaczem, służę Naznaczonemu. Zakątek mnie potrzebuje.

Ale przecież już dał hrabstwu „Pieśń o Nowiu”. Czy naprawdę mieszkańcy Zakątka jeszcze potrzebowali Rojera?

Będę musiał porozmawiać prywatnie z Leeshą, uświadomił sobie. Będzie wiedziała, co robić. Nie żeby mogła temu zapobiec lub się oburzać, gdy wybuchnie skandal.

Nabrał głęboko tchu, gdy Zgromadzenie nareszcie dobiegło końca i Zielarki zaczęły wychodzić. Żony Rojera nie marnowały czasu, wróciły do niego, ignorując spojrzenia innych kobiet. Pośpiesznie, lecz z godnością stanęły obok wozu, gdzie były bezpieczne.

– Jedźmy stąd szybko – rozkazała Amanvah. – Mogę uczyć te kobiety uzdrawiania magią *hora*, ale nie zamierzam znosić ich spojrzeń dłużej, niż to konieczne. Jakbym to ja była winna, że tchórzliwie i głupio uciekły przed triumfalnym nadejściem mojego ojca.

– To tylko jeden punkt widzenia – zauważył Rojer. – Wątpię, żeby one widziały to w ten sam sposób, skoro zostawiły spalone wioski, a ścigali je mordercy.

– Po każdej lekcji zostają sińce i zadrapania, mężu – odparła spokojnie Amanvah. – Zrozumieją, gdy mój ojciec poprowadzi je do zwycięstwa w *Sharak Ka*.

Rojer wiedział, że lepiej się nie spierać.

– Nie zyskasz przyjaciół, gdy będziesz to powtarzać.

Amanvah spojrzała na niego miazdząco.

– Nie jestem głupia, mężu.

Minstrel skłonił się czym prędzej.

– Wybacz mi, *Jiwah Ka*, nie zamierzałem tego nawet sugerować.

Pomyślał, że sarkazm tej wypowiedzi ściągnie mu na głowę kłopoty, ale Amanvah, jak wielu możliwych, dostrzegła tylko należną jej służalczość.

– Wybaczam ci, mężu. – Skłoniła głowę, po czym wspięła się do powozu. Rojer nie ruszył za nią. – Jedziemy?

– Jedźcie przodem. Muszę porozmawiać z Leeshą.

Amanvah skinęła głową.

– Żeby przedyskutować małżeństwo z Kendall, oczywiście. – Minstrel zamrugał. – I... nie zaprotestujesz?

Jego *Jiwah Ka* wzruszyła ramionami.

– Mistrzynie Leesha zachowała się jak siostra przy aranżowaniu naszego małżeństwa, mężu, a jej słowa były szczerze i uczciwe. Jeżeli życzysz sobie zasięgnąć jej rady w sprawie kontraktu, masz takie prawo.

Rada w sprawie kontraktu, pomyślał Rojer. Co znaczy, że Leesha może wyrazić swoje wątpliwości, ale małżeństwo i tak dojdzie do skutku.

– A jeżeli powie, że to zła partia?

– Prawem siostry jest wyrazić troskę i obawy. – Amanvah zmierzyła Rojera zimnym spojrzeniem. – Ale lepiej, żeby osądu nie przesłaniała jej pruderia mieszkańców zielonych krain i żeby miała dobry powód.

Rojer przełknął ślinę, ale skinął głową. Zamknął drzwiczki i odsunął się, gdy żona uderzyła w dzwonek i powóz ruszył do gospody Shamavah.

Zielarki wracały do swoich wozów lub pieszo szły w grupach do siebie. Rozmawiały podniecone i ścisnęły księgi, które Leesha wręczyła im na pożegnanie.

– Jestem za stara, żeby znowu być czeladniczką – usłyszała narzekania starej kobiety, gdy podszedł. Cuchnęła jakby kadzidłem i herbatą, był to mocny, zaśniedziały zapach.

– Nonsens – stwierdziła stanowczo Leesha.

– Nie mam też tego zdrowia, co kiedyś – mruknęła kobieta, gdy jej rozmówczyni nie dodała nic więcej. – Nie mogę już za często wędrować taki szmat drogi.

– Zorganizuję zajęcia w twojej baronii – zapewniła Leesha. – Mam uczennicę, która nauczy cię podstaw malowania runów i pomoże w szkoleniu.

– Niech mnie Otchłań, jeżeli będę się uczyć od smarkuli, która jeszcze nie miała krwawienia – prychnęła stara kobieta. – Nie miałam czeladniczek od wielu lat. Przeszłam w stan spoczynku przed pojawieniem się Krasjan.

Leesha spojrzała na nią twardo.

– Czasy są ciężkie dla wszystkich, Zielarko. Będiesz się uczyć i sama przyjmiesz uczennice. Zakątek nie straci ani jednego życia tylko dlatego, że jesteś zbyt uparta, żeby zmienić swoje przyzwyczajenia.

Kobieta wytrzeszczyła oczy, ale rozsądnie nie próbowała się kłócić. Leesha dostrzegła Rojera i odwróciła się do niego, odprawiając swoją rozmówczynię zgrabnie jak księżna matka w Angiers.

– Nie wracasz z żonami? – zapytała.

– Muszę z tobą porozmawiać – wyjaśnił Minstrel. On również miał wyćwiczony głos i jego ton jasno stwierdzał, że sprawa jest naprawdę ważna.

Leesha wzięła głęboki oddech, aby uspokoić lekkie drżenie.

– Ja również muszę z tobą porozmawiać, Rojerze. W głowie mi się kręci od marudzenia matki.

– Na Stwórcę, jak to możliwe? – uśmiechnął się Minstrel. – To zdarza się tylko w te dni, gdy wschodzi słońce.

Leesha parsknęła nerwowym śmiechem, a Rojer zdziwił się, co mogło ją tak wytrącić z równowagi. Zielarka dała znak Darsy i Wondzie, aby rozdały resztę książek i pożegnały gości, po czym ruszyła z Minstrelem do domu.

Gdzie zastała czekającą na nich Rennę Bales.



– Najwyższy czas – powitała ich Renna. – Już myślałam, że będę tu siedzieć całą noc, zanim skończysz.

Leesha wzięła się pod boki. Łatwo się męczyła, a spieranie się z każdą upartą babą w Zakątku wyczerpało jej siły i cierpliwość. Tylko pęcherz miała pełny, jakby zaraz miał pęknąć. Z pewnością nie była w nastroju na spotkanie z Renną i znoszenie jej wyższości.

– Może gdybyś mnie uprzedziła, że przyjdiesz, zamiast wkradać się do mojego domu, Renno Bales, znalazłabym dla ciebie czas wcześniej. – Słowo „może” wymówiła z naciskiem.

– Wybacz, że przełamalam twoje runy – odparła Renna. – Nie chciałam, żeby ktoś mnie zauważył.

– Dlaczego nie? – oburzyła się Leesha. – Jesteś jedyną nadzieją po zniknięciu Arlena, a jednak też zniknęłaś na całe tygodnie bez słowa. Gdzie byłaś, na Otchłan?

Renna złożyła ramiona na piersi.

– Byłam zajęta.

Leesha uprzejmie czekała na dalszy ciąg wyjaśnień, ale Renna tylko na nią patrzyła wyzywająco.

– No dobrze. – Rojer stanął między nimi. – Obie jesteście ważne. A teraz możemy już skończyć te podchody i usiąść? – Sięgnął do swojej kolorowej torby z cudami i wyjął małą glinianą butelkę. – Mam couzi, żeby rozładować napięcie.

– Na noc, jeszcze tylko tego nam trzeba. – Leesha podjęła swoje najgorsze decyzje w życiu, gdy była pijana. – Siadajcie, proszę. Zrobie herbaty.

Renna jednak już wzięła butelkę i przechyliła do ust. Zielarka sądziła, że po tak dużym łyku kobieta plunie ogniem, ale żona Arlena tylko odkaslnęła cicho i oddała naczynie Rojerowi.

– Na Stwórcę, naprawdę tego potrzebowałam.

Leeshę zaczynała boleć głowa, gdy nastawiała czajnik i przygotowywała filiżanki, ale ta przypadłość była niczym w porównaniu z parciem niżej. Zerknęła na wychodek, ale nie chciała uronić ani słowa z rozmowy. Renna, jak Arlen, miała zwyczaj znikać, gdy tylko spuściło się ją z oka.

– Cieszę się, że nic ci nie jest – powiedział Rojer, który przyłączył się do nich w salonie. – Kiedy nie pojawiliście się po Nowiu, obawialiśmy się najgorszego. To cud, że udało nam się przeżyć bez was.

– Myślózercy nie wybierali się do Zakątka podczas poprzedniego Nowiu – zapewniła Renna. – Mieli inne sprawy.

– Jakie sprawy? – zapytała Leesha. – Dość zwlekania. Gdzie byłaś? I gdzie jest Arlen?

– Nie spodziewajcie się ani jego, ani mnie po dzisiejszej nocy – oznajmiła Renna. – Zakątek musi walczyć sam. To przez nas przyszły tu demony umysłu. PRZYCIĄGNĘLIŚMY je.

Leesha spojrzała na nią uważnie. Z pewnością wyjaśniało to zniknięcie Arlena. Skoro przyciągał uwagę demonów umysłu do Zakątka, na pewno czym prędzej chciał się znaleźć jak najdalej.

– Dlaczego?

– Demony umysłu wzięły sprawę Wybawiciela równie poważnie jak Opiekunowie. Sikają ze strachu. Nazywają nas „jednoczącymi”. Takimi, którzy stali się na tyle silni, żeby przyciągnąć innych do swojej sprawy. Nie spoczną, dopóki nas nie załatwią. Nie jesteście przygotowani na taką uwagę demonów. Potrzeba czasu, żeby Zakątek się wzmocnił.

– A Arlen zabił Ahmanna i uciekł, a teraz się ukrywa? – zapytała Leesha. – Co powstrzyma demony od ataku tym razem na Thamosa?

Renna machnęła ręką z takim lekceważeniem, że Zielarka poczuła się urażona w imieniu swojego kochanka.

– Dopóki nie nauczy się strzelać z tyłka błyskawicami, nie zwróci uwagi demonów umysłu – zapewniła wyniośle Renna, po czym spojrzała bacznie na Rojera i Leeshę. – Ale wy dwoje musicie zachować ostrożność. Myślózercy wiedzą, kim jesteście. Zaatakują was, gdy tylko znajdą okazję.

Leesha poczuła chłód. Rojer wyglądał, jakby się miał rozpłakać.

– Skąd to wiesz?

Renna już otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale Minstrel ją uprzedził.

– Ma rację. Widziałem to na własne oczy po Nowiu. Wyszedłem poza granicę runów i wszystkie demony w pobliżu ruszyły od razu na mnie. Miałem wrażenie, jakby mi wyrysowano tarczę strzelniczą na piersi.

Leesha wyobraziła to sobie. Setki zimnych ślepi otchłańców zwrócone tylko na nią i bezbronne życie, które nosiła pod sercem. Dziecko nie było jeszcze większe od zwiniętego palca, ale Zielarka mogłaby przysiąc, że już kopało. Pęcherz bolał ją od przepełnienia, ale zignorowała dyskomfort i zacisnęła uda.

– Chcesz zostawić Zakątek na łaskę demonów, gdy będziesz się zajmowała... no właśnie, czym? Wybierasz się na bez troski miesiąc miodowy?

– Otchłańce nie znają łaski, Zielarko – stwierdziła Renna. – Powinnaś to sama wiedzieć najlepiej. Nie mów mi o bez trosce. Mieszkańcy Zakątka byli dla mnie dobrzy jak nikt inny. To, że mnie tu nie będzie, nie znaczy wcale, że nie walczę co noc.

– Więc dlaczego wróciłaś? – zapytał Rojer. – Tylko po to, żeby nas powiadomić, że nie wracasz?

– Właśnie. – Renna skinęła głową. – Przynajmniej tyle jestem wam winna. Musicie wiedzieć, że pomoc nie nadejdzie.

– Mogłaś po prostu zostawić notkę – mruknęła Leesha.

– Nie umiem pisać. Nie każdy dorastał u bogatego tatusia i miał czas uczyć się liter. Spodziewam się, że masz pytania, więc śpiesz się z ich zadawaniem.

Leesha zamknęła oczy i odetchnęła głęboko kilka razy. Renna miała dar takiego wytrącania jej z równowagi, że Zielarka traciła jasność myśli. Mogłaby zapytać, czy Arlen żyje, ale niewiele by to dało. Ani przez chwilę nie wierzyła, że ta kobieta byłaby tak spokojna, gdyby straciła męża.

– Powiedz mi tylko jedno – rzuciła wreszcie.

Renna splótła ramiona na piersi, ale cierpliwie poczekała na pytanie.

– Czy Arlen zabił Ahmanna? – zapytała Leesha. Odruchowo opuściła dłoń na brzuch, jakby chciała chronić dziecko przed odpowiedzią.

– On też nie przyjdzie – odparła Renna. – Nie tylko mieszkańcy Zakątka będą musieli walczyć sami.

– To nie jest odpowiedź.

– Powiedziałam, żebyś zadała swoje pytania – odgryzła się Renna. – Nie twierdziłam jednak, że na nie odpowiem.

Nieznośna kobieta. Leesha wbiła w nią wzrok.

– Dlaczego ty i Arlen zachowujecie moc za dnia, kiedy inni nie mogą?

– Hę?

– W sali audiencyjnej hrabiego pokonałaś Enkido – rozwinęła Leesha. – Jego uderzenie powinno było cię sparaliżować, a jednak zmusiłaś go, żeby się cofnął, i rzuciłaś na drugi koniec pomieszczenia. Żadna kobieta twojej postury nie mogłaby dokonać tego bez magii. Ale wtedy był jasny dzień. Jak? Chodzi o coś więcej niż runy na skórze, prawda?

Renna zamyśliła się, ostrożnie dobierając słowa. Zwłoka ujawniła Leeshy odpowiedź na to ostatnie pytanie, jeśli nie na pierwsze.

Kiedy Renna już otwierała usta, z trzaskiem otworzyły się drzwi frontowe.

– Pani Leesho! – krzyknęła Wonda.

Zielarka tylko na chwilę oderwała oczy od swojej rozmówczyni, ale kiedy spojrzała znowu, Renny już nie było.

– Na Stwórcę! – Rojer także dopiero teraz zauważył jej zniknięcie i zerwał się na równe nogi. Zaraz potem do salonu wpadła Wonda.

– Pani Leesho! – Oczy miała rozbiegane i przerażone. – Musisz przyjść! Szybko!

– O co chodzi? – zapytała Zielarka.

– Krasjanie – wyjaśniła Wonda. – Krasjanie napadli na Lakton. Rębacze znaleźli uchodźców na drodze. Niosą, ilu mogą, głównie rannych, ale wielu zostało na drodze bez ochrony na noc.

– Niech to... – skrzywił się Rojer.

– Na Otchłań – syknęła Leesha. – Wyślij gońców, żeby powiadomili Zielarki. Niech idą do szpitala. Rębacze będą walczyć, ale potrzebuję ochotników, którzy pójdą z nimi. Ty i Darsy pójdziecie z Garedem.

Wonda skinęła głową i zniknęła za drzwiami. Leesha poczuła lekki powiew i obejrzała się zaskoczona. Nad podłogą unosiła się mgła, ledwie widoczna jeszcze przed chwilą, ale teraz kłębiąca się coraz gęściej, coraz większa i coraz wyraźniejsza.

A potem stanęła przed nią znowu Renna. Leesha powinna być zdumiona, że kobieta potrafi zniknąć i pojawiać się jak Arlen, ale przyjęła to obojętnie. Były teraz ważniejsze sprawy.

– Powiedziałaś, że Zakątek musi walczyć sam – stwierdziła. – Czy dotyczy to również ludzi z Lakton?

– Nie jestem potworem – warknęła Renna. – Tracimy cenny czas na gadanie, a powinnam zająć się obroną uciekinierów na drodze. Wyślij Rębaczy najszybciej, jak się da. Zadbam, żeby ci, którzy są najdalej, doczekali do nadejścia pomocy.

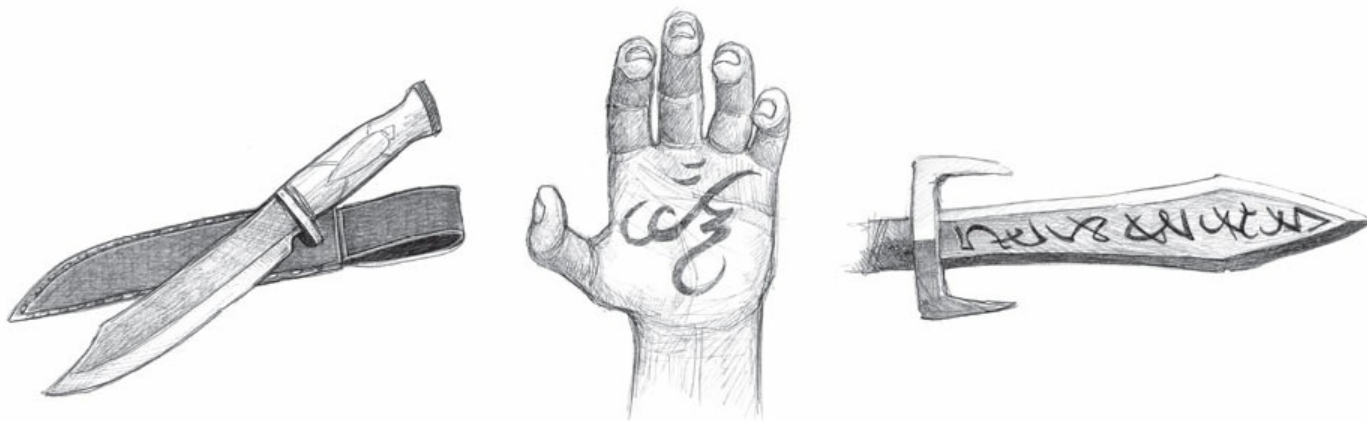
Leesha skinęła głową.

– Niech Stwórca cię strzeże.

– I ciebie – odparła Renna, po czym rozwiła się jak mgła przed oczyma Zielarki i Minstrela.

Rojer i Leesha stali przez chwilę w milczeniu, po czym równocześnie się odezwali:

– Muszę do wychodka.



13

Cuchnące mięso

333 rok plagi, jesień

Rozległ się huk i Renna straciła wzrok, gdy oczy rozpadły jej się na miliardy maleńkich cząsteczek. Ludzkie zmysły niewiele znaczyły w tym stanie pomiędzy. Tutaj moc w jej nieskończonych płwach była jedynym doznaniem, jakie się liczyło. Kobieta wyczuwała runy wokół domu Leeshy, szarpały lekko istotę Renny. Kości demonów w kieszeniach fartucha Zielarki. Nie znajdowały się w sieci wielkiego runu, ale czuła ich kontury równie wyraźnie, jakby przesuwiała po nich palcami. Ich moc była jak latarnia, ich Pobieranie niczym wir, który groził wciągnięciem i wyssaniem Renny do cna.

Dlatego sięgnęła i poszukała ścieżki do Otchłani. Było ich wiele na podwórzu, wszystkie zasilaly sieć runów, jak strumień koło Ferda Millera w Potoku Tibbeta.

Jak sama Leesha, jej runy przyciągały mocno, ale łatwo było im się oprzeć, gdy się poznało ich działanie. Renna wślizgnęła się na jeden ze szlaków i pomknęła w głąb ziemi.

Od razu usłyszała zew Otchłani. Blisko powierzchni był odległy jak odgłos uderzeń łyżką w garnek wzywający robotników z pola na posiłek. Kiedy jednak Renna dotknęła szlaku, otoczyła ją przepiękna pieśń, wypełniona obietnicą nieskończonej mocy i nieśmiertelności.

Renna wiedziała jednak, że pieśń, choć piękna, niesie tylko pół prawdy. Kiedy demony zaatakowały po Nowiu Zakątek, kobieta przywołała magię, aby je odegnąć – i nawet ta odrobina omal Renny nie pochłonęła. Otchłań była nieskończenie potężniejsza, stanowiła źródło magii na świecie. Magia Renny, wystarczająca, aby sprawić, że kobieta stała się jedną z najpotężniejszych ludzi, była jak świeczka w porównaniu ze słońcem. Mogłaby dołączyć do Otchłani, ale wtedy nic by nie pozostało z samej Renny. Jak z kropli, która wpadła do jeziora.

Zawędrowała najdalej, jak się ośmieliła, wiedząc, że zew stanie się tylko silniejszy, po czym postarała się wyczuć drogę na powierzchnię. Szlaki biegingy w różnych kierunkach, niektóre szerokie, inne wąskie, jedne niemal dotykające ziemi, inne wijące się przez wiele mil, zanim docierały do celu.

Kobieta świadomie starała się nie zostawiać po sobie śladów na ścieżce, którą wybrała, ale droga i tak była już oznakowana, równie znajoma jak zapach własnego potu. Renna ruszyła szlakiem i mile rozplęły się w okamgnieniu. Zmaterializowała się na południe od Zakątka i zaczęła szukać znowu. Znalazła następny szlak i rozpoczęła podróż powrotną tą samą ścieżką.

Prześlizgnęła się o setki mil w czterech szybkich skokach, nim zmaterializowała się wewnątrz wieży.

– Hej, jest tu kto?

Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, zacisnęła zęby, podszła do drzwi i otworzyła je kopnięciem. Arlen i Jardir na dziedzińcu sprawdzali runy, które utrzymywały jeńca.

– Ren? – zdziwił się Arlen. Obaj z Jardirem ujrzeni jej aurę i przerwali swoje zajęcie. Skupili się tylko na niej.

– Otchłanisyny zrobili to znowu! – wykrzyknęła Renna wściekle.

– Co...? – zaczął Arlen, ale mu przerwała.

– Krasjanie zajęli Dokowisko. – Wskazała na Jardira. – Maszerują na osady, gdy rozmawiamy. Mordują, palą i wyrzucają ludzi z domów.

– Nie wtedy, gdy rozmawiamy – poprawił Ahmann. – Mój lud nie walczy w *Sharak Suun* nocą.

– Jakby to robiło różnicę ludziom, których wygnaliście na pastwę demonom! – krzyknął Arlen. – Wiedziałaś o tym? Jardir ze spokojem skinął głową.

– Kilka miesięcy temu zaplanowaliśmy, że uderzymy na Dokowisko przy pierwszym śniegu, nie spodziewałem się jednak, że atak nastąpi beze mnie.

Naznaczony jednym skokiem pokonał dzielącą ich odległość. Jardir sięgnął po włócznię, ale Par'chin ją odrzucił i odrzucił na drugi koniec dziedzińca, po czym cisnął Ahmannem w złotodrzewo. Pień był gruby na pięć stóp, jednak Renna usłyszała trzask pękającego drewna.

Arlen uniósł pięść. Lśnił jasno od magii Pobieranej do runów na jego kłykciach.

– Czy życie ludzi nic dla ciebie nie znaczy?

Jardir patrzył na pięść z opanowaniem.

– Uderz, Par'chinie. Zrób to. Zabij mnie. Skaż swój szalony plan na porażkę. Bo jeżeli tego nie zrobisz, będzie to równoznaczne z przyznaniem mi racji.

Arlen spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Jak to?

Jardir wykręcił się, wyrwał z uścisku i uderzył otwartą dłonią w pierś Arlena. Ten został pchnięty na kilka stóp, zanim zdołał się zatrzymać. Spojrzenie, jakie posłał Ahmannowi, było przerażające.

Najwyższy czas, żeby Arlen wbił trochę sumienia temu synowi Otchłani, pomyślała Renna z uśmiechem.

Jardir nie wydawał się przejęty, otrząpał się i wygładził szatę.

– Masz rację, Par'chinie, mieszkańcy zielonych krain i bez wątpienia więcej niż kilku *Sharum* zginą pod moimi rządami. Ale mylisz się, jeżeli sądzisz, że ich życie nic dla mnie nie znaczy. Każde stracone życie to o jedno mniej w *Sharak Ka*, a wróg już nas przewyższa liczebnie.

– A jednak bezmyślnie... – zaczął Arlen.

– Nie bezmyślnie – głos Jardira nadal brzmiał denerwująco spokojnie. Nawet w jego aurze jaśniało przekonanie o własnej racji. – Mieszkańcy zielonych krain są słabi, Par'chinie. Wiesz, że tak. Słabi i podzieleni jak źdźbła pszenicy. *Sharak Suun* jest jak przejście kosy, które poprzedza większe żniwa. Nowe pokolenie będzie jak włócznie, gotowe, żeby stanąć do *Sharak Ka*. Życie tych, którzy teraz giną, to cena, jaką trzeba zapłacić za zjednoczenie, ponieważ tylko w jedności siła i tylko tak można ocalić Ala.

Arlen splunął mu w twarz.

– Ty arogancki draniu, nie wiesz tego.

– A ty nie wiesz, czy nie przeważę szali na twoją stronę w Otchłani. – Jardir wytarł płwocinę bez komentarza, chociaż widać było, że zaczyna tracić cierpliwość. – Ściągnąłeś mnie tutaj i uleczyłeś moje rany, choć wiedziałaś, co zrobiłem. Co ROBIĘ. Ponieważ w głębi duszy wiesz, że na szali spoczywa więcej niż kilka istnień. Chodzi o przyszłość ludzkiej rasy, dlatego musimy wykorzystać każdą przewagę.

– Jaką przewagę daje gwałt, mord i palenie domów? – prychnął Arlen. – Albo zmuszanie ludzi do zginania karku przed innym Stwórcą? Jak to ma uczynić nas silniejszymi? Mieszkańcy Zakątka są równie silni jak twoi *Sharum* i nie musiałem niszczyć ich domów ani rodzin, żeby to osiągnąć.

– Ponieważ Nie uczyniła to za ciebie – stwierdził Jardir. – Znam opowieść o twoim przyjściu. Pojawiłeś się, zanim *alagai* zniszczyły to plemię na zawsze. Jak ja kiedyś uczyniłem to dla *Sharach*.

– Mieszkańcy Zakątka byli tylko początkiem. Tysiące dołączyło od tamtej pory do Rębaczy.

– Ci, którzy uszli przede mną – zgodził się Jardir. – Ilu z twoich *chin* chwyciłoby za włócznię, gdybym nie rozwiązał ich złudzeń o bezpieczeństwie? Kiedy się poznaliśmy, powiedziałaś, że wielu z twoich ludzi nie kiwnęłoby palcem, nawet gdyby *alagai* zagrozili ich rodzinom.

Zmrużył oczy, aby odczytać coś z aury Arlena. Renna popatrzyła, ale nie rozumiała, o co chodzi.

Jeszcze.

– Twój ojciec – mruknął Jardir, gdy wreszcie zrozumiał. – Zhańbił się, ponieważ tylko patrzył, jak *alagai* idą po

ciebie i twoją matkę.

Renna może i nie rozumiała jeszcze subtelnych aspektów aury, ale nawet jej nie umknęło upokorzenie i gniew, które błysnęły u Arlena. Jednak w aurze Ahmanna też widniało coś więcej. Duma. Szacunek. Jej zmysły, wyostrzone w nocy, pozwalały ujrzeć, jak z emocji krtań mu się zaciska, gdy Poznawał Par'china.

– To ty uratowałaś matkę. Ledwie dorosłeś do *sharaj*, a jednak stawiałeś czoła wrogowi jak wyszkolony *Sharum*.

– Nie dość wyszkolony – skrzywił się Arlen. – I tak ją straciłem, tylko nie od razu.

– Żałujesz, że zastąpiłeś drogę Nie w obronie matki? – zapytał Jardir.

– Ani przez chwilę.

– To właśnie znaczy być Shar'Dama Ka. Trzeba podejmować trudne decyzje, na jakie inni się nie odważą. Słabi, jak twój ojciec, muszą zostać odrzuceni, żeby silni mogli przejść.

– Jeph Bales nie był słaby – wtrąciła Renna, przyciągając uwagę mężczyzn. – Dostał tej nocy nauczkę, chociaż musiało minąć piętnaście lat, zanim przeszedł próbę. Kiedy znalazłam się na jego podwórzu, zakrwawiona i z demonami drepzczącymi mi po piętach, chwycił widły i odpędził stwory. Ocalił mi życie. Ty tego nie uczyniłeś, Krasjaninie. Potok Tibbeta stoi teraz dumnie i połowa jego mieszkańców nie musi ginąć, żeby to osiągnąć.

– *Inevera* – odparł Jardir. – Nieważne, jak ludzie dołączają do *Sharak Ka*, ważne, że przychodzą. – Spojrzał na Arlena. – Sam powiedziałaś, Par'chinie, że nas już te sprawy nie dotyczą. Uderzenie na Dokowisko było zaplanowane przez Abbana i z woli Everama okaże się, czy on i Jayan, czy Dokmistrzowie z Lakton są silniejsi.

– Nigdy nie powinienem był ufać temu oślizgłemu złodziejowi wielbłądów – warknął Arlen.

Jardir zachichotał.

– To samo powtarzam sobie od lat. Abbanowi można zaufać tylko w jednym: zawsze będzie Abbanem. Postępuję zgodnie z sumieniem, dopóki nie natrafi na zyski, których nie można zlekceważyć.

– Wpadło mi do głowy, że mógłbym skoczyć do Dokowiska i skopać tyłek i jemu, i twojemu synowi – zauważył Arlen.

Twarz Jardira pociemniała.

– Zrób to, Par'chinie, a nasz pakt będzie zerwany. Zrób to, a powrócę na Tron z Czaszek i zostawię cię samego z tym szalonym planem.

Arlen wykrzywił wargi. Obaj mężczyźni napięli się gotowi do kontynuowania walki. Stali w pozycjach bojowych, wreszcie Par'chin pokręcił głową.

– Zobaczymy. Tymczasem ja i Ren musimy zająć się bezbronnymi ludźmi, których wygnałeś w noc.

– Wcale ich nie...

– Zamknij się! – ryknął Arlen tak wściekle, że Jardir drgnął. – Jest noc, a ja nie pozwolę moim braciom i siostram stawiać jej czoła samotnie.

Ahmann skinął głową.

– Oczywiście, nie ma w tym honoru. Wezwę Shanvah i Shanjata, żebyśmy...

– Zostaniecie tutaj, na Otchłań, i będziecie pilnować więźnia – przerwał stanowczo Arlen.

– Nie jesteśmy twoimi sługami, Par'chinie – obruszył się Jardir. – Nie zrobisz z nas strażników więziennych.

– To nie jest zwykłe więzienie – warknął Arlen. – Wiesz, co tam trzymamy.

Jardir zeszywniał na to przypomnienie.

– Alagai Ka.

Par'chin skłonił uprzejmie głowę.

– Jeżeli wrócę i będzie was mniej niż troje na straży, nasz pakt w rzeczy samej zostanie zerwany.

Jardir odpowiedział ukłonem.

– Nie pozwól, żebyście zostali zauważeni. Ocal swoich ludzi nocą, ale Wojna w Blasku Dnia nie jest już nasza.

Arlen skrzywił się, ale potwierdził, a potem odwrócił się i ujął rękę Renny. Uścisnęła mocno jego palce, nawet gdy się rozwiali, połączeni bardziej intymnie niż tylko ciałami. Wślizgnęli się pod ziemię, aby razem dotrzeć do celu.



Renna dotarła do wieży i niezdarnie zmaterializowała się parę cali nad ziemią. Pobieranie i ślizganie się noc po nocy przyprawiło ją o zawrót głowy i wyssało magię, wewnątrz czuła się osłabiona i wypalona, po tym jak przepłynęła przez nią tak wielka moc.

Upadek wykręcił jej kostkę. Zanim jednak bezwładnie uderzyła w ziemię, została podtrzymana. Napięła się

w gotowości do walki.

– Pokój, siostrze – powiedziała Shanvah. – To tylko ja.

Renna potrząsnęła głową. Podciągnęła nogi i podniosła się, a potem wyszarpnęła z uścisku młodszej kobiety.

– Od kiedy to jestem twoją siostrą?

– Odkąd przelałyśmy razem krew w grobowcu Kajiego – odparła Shanvah. – Jesteśmy teraz siostrami włóczy.

Kostka pulsowała boleśnie. Renna chciała ją uleczyć, ale okazało się, że brakuje jej siły. Próbowwała Pobrać więcej mocy, ale wtedy jej ciało zdawało się płonąć. Łatwiej było znieść ból w nodze niż to.

Kobieta spojrzała na horyzont. Niebo jaśniało, ale do świtu pozostała jeszcze godzina. Renna musiała się pożywić albo będzie bezużyteczna za dnia.

– Ale tylko do wschodu słońca, a potem znowu będziemy wrogami?

Shanvah wzruszyła ramionami.

– Jeżeli Shar'Dama Ka rozkaże mi z tobą walczyć, uczynię to, Renno vah Harl, ale to nie znaczy, że tego pragnę. Widzę, że ty i Par'chin jesteście ludźmi honoru, i myślę, że Everam musi mieć wobec nas plany.

– Chciałabym, żeby to było takie proste.

– Jest i nie jest – przyznała Shanvah. – Gdyby wszystko na Ala było proste, miałybyśmy tutaj Niebo. Everam nie ujawnia swoich planów, ale wiemy, że je ma.

– Owszem – zgodziła się Renna, chociaż tak naprawdę nie zgadzała się ani trochę. Ta kobieta marnowała jej czas. Renna musiała zapolować, a ze skreconą kostką nie będzie to łatwe. Wyciągnęła nóż. – Zapoluję. Odzyskam siły.

Shanvah skinęła głową.

– Dotrzymam ci towarzystwa.

– Akurat, na Otchłań – warknęła Renna.

– Jesteś wyczerpana, siostrze. W liczbie siła.

Renna pokręciła głową.

– Nie potrzebuję niańki. Tylko mnie spowolnisz.

– Ale jesteśmy... – Aura Shanvah rozkwitła szczerym rozczarowaniem i głęboką urazą, a to sprawiło Rennie w gniew.

– No, kim jesteśmy? Siostrami włóczy? Myślisz, że to dla mnie coś znaczy? Przez ten tydzień próbowałam ocalić ludzi, których wy, pustynne szcury, wygnaliście w noc!

Szarpnęła za kamizelkę, aby pokazać głębokie karmazynowe smugi.

– Jestem zbryzgana niewinną krwią przez twojego Shar'Dama Ka, Shanvah! Tutaj, w środku nocy! Wybacz mi więc, że nie życzę sobie mieć ciebie u boku.

Odwróciła się szybko i pognała w noc bez dalszych wyjaśnień.



Dochodził świt, gdy Renna nareszcie dostrzegła swoją zdobycz. Pięcioro ludzi wytrzebiło demony wokół wieży, a nawet gdy się zapuściło dalej, wiele demonów ukryło się już w Otchłani, aby schronić się na czas przed słońcem.

Renna tropiła tego demona przez kilka minut. W samą porę. Polny demon skrył się w wysokiej trawie na czas słabości, gdy będzie się dematerializował. Pomniejsze demony robiły to wolniej nawet od Renny. Kiedy wpadały w trans i zaczynały tracić solidne ciało, były równie bezbronne jak we śnie.

Dziewczyna dostrzegła, że mięśnie stwora się rozluźniają, gdy zaczął się trans. Wtedy skoczyła mu na grzbiet, chwyciła go rękami i nogami, po czym przewróciła. Demon szarpnął się bezradnie, gdy wbiła mu nóż w pierś i szarpnęła mocno, by otworzyć brzuch.

Znad horyzontu padły pierwsze promienie słońca, ciało otchłańca zaczęło dymić i skwierczeć. Renna desperacko wbiła dłoń w otwartą ranę, wyrwała strzępy mięsa i włożyła szybko do ust, zanim się spaliły.

Przeżuwała pośpiesznie, a wtedy posoka rozmazana na policzkach zaiskrzyła i zapłonęła. Renna krzyknęła zaskoczona.



© Fabryka Słów & Dominik Broniek

Obok zobaczyła błysk i włócznia przesunęła się po trawie jak ostrze kosy. Shanvah stała tam gotowa do ataku. Zaraz jednak się cofnęła, widząc, że demon już nie żyje.

Skłoniła się pośpiesznie.

– Wybacz, że nie posłuchałam twojego rozkazu, siostró, ale martwiłam się, a kiedy krzyknęłaś, myślałam, że... Renna uniosła głowę.

– Ale myliłam się oczywiście. Jesteś Renna vah Harl i żaden demon nie może ci...

Jej aura znikła w promieniach świtu, ale oczy Shanvah zdradziły Rennie wszystko. Dziewczyna wiedziała.

– Shanvah, czekaj... – zaczęła, ale młoda kobieta odwróciła się i uciekła.



Wszyscy byli już na dziedzińcu, gdy Renna wróciła i stanęła w cieniu wieży. Shanvah klęczała z czołem przy ziemi. Shanjat zaciskał dłoń na włóczni.

Arlen i Jardir wyglądali, jakby znowu gotowi byli walczyć, tym razem na śmierć i życie.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, gdy Renna podeszła. Shanvah zerwała się na równe nogi z wymierzoną włócznią.

– To sługa Nie!

– Niemożliwe – stwierdził Jardir. – Walczyła z nami przeciw Alagai Ka.

– Została splugawiona – upierała się Shanvah. – Przysięgam przed Everamem na swój honor i nadzieję na Niebiosa, Wybawicielu. Na własne oczy widziałam, jak jadła mięso *alagai*.

– Niemożliwe – powtórzył Jardir, a potem wskazał na wschodzące słońce. On i reszta nadal stali w półcieniu, ale na Rennę padało już światło. – Jak sługa Nie mógłby stać w świetle Everama, gdyby... – Ale zaraz odwrócił się i spojrzał na Arlena. W okamgnieniu pokonał dzielącą ich odległość, chwycił rękę męża Renny i zagłębił się w jego aure. – To prawda – wyszeptał. – Everamie, chroń... Ufałem ci, a ty przez cały czas służyłeś Nie.

– Na Otchłań, przestań zachowywać się jak głupiec! – krzyknął Arlen.

– Z jakiego innego powodu miałbyś kłaść swoje ciało...

Par'chin warknął i odepchnął Jardira tak mocno, że Shanjat musiał odskoczyć, aby uniknąć zderzenia. Wszyscy w napięciu przygotowywali się do bitwy, ale Arlen nie ruszył się, aby kontynuować atak.

– Masz czelność pytać DLACZEGO? Na noc, myślisz, że tego CHCIAŁEM? – Wyciągnął gniewnie palec, wskazując Jardira. – To twoja wina, tak samo jak te przeklęte tatuaże.

– Teraz ty zachowujesz się jak głupiec, Par'chinie – skrzywił się Jardir. – Nie wepchnąłem ci mięsa demona do gardła.

– Nie. Ty i Shanjat oraz inni zostawiliście mnie na śmierć wśród piasków – odgryzł się Arlen. – A wcześniej pobiliście, ograbiliście i próbowaliście rzucić mnie demonom, bo miałem czelność zwyciężyć w *alagai'sharak* po raz pierwszy od trzech tysięcy lat!

Shanvah wytrzeszczyła oczy, gdy spojrzała na Shanjata.

– Ojcze, to nie może być prawda.

Grot włóczni Shanjata opadł, gdy mężczyzna odwrócił się do córki.

– To prawda. Zhańbiliśmy się tym, co musieliśmy uczynić tamtej nocy, ale Par'chin ukradł Włócznię Kajiego i nie miał prawa jej zatrzymać.

– Przekręcasz słowa gorzej niż *khaffit* na bazarze – prychnął Arlen. – Nikt nie widział tej włóczni od trzech tysiącleci. Jej moce należą do całej ludzkości, a ja przyniosłem ją honorowo Jardirowi, żeby się z wami podzielić.

– *Sharum* zamilknie – rozkazał Ahmann, nie spuszczając oka z Arlena. – Ty także przekręcasz słowa, Par'chinie. To nie wyjaśnia wcale, dlaczego jadłeś to cuchnące mięso.

– Doprawdy? Sam powiedziałaś, że w Słońcu Anocha nie było pożywienia. Przecież właśnie dlatego twoi ludzie, gdy tam dotarli, zniszczyli to miejsce bardziej niż demony umysłu. Nie było czasu na szacunek. Chcieliście po prostu ograbić to miejsce.

– Ostrzegam cię, Par'chinie – zaczął Jardir, ale Arlen nie dał mu skończyć.

– Nie zaprzeczaj – syknął. – Być Shar'Dama Ka oznacza podejmowanie trudnych decyzji, tak? Więc bierz za nie odpowiedzialność.

– Biorę – zapewnił Ahmann beznamiętnie.

– Ja również – odparł Arlen. – Pragnąłem poznać sekrety Słońca Anocha tak bardzo jak ty. Kiedy doznałem do Oazy Świtu i oznakowałem runami swoje ciało, miałem dość jedzenia, żeby uciec z pustyni...

– ...albo powrócić do Słońca Anocha – dokończył Jardir.

Par'chin potwierdził ruchem głowy.

– Spędziłem tam dużo czasu, badałem, uczyłem się. Demony stanowiły jedyne źródło pożywienia. Musiałem przeżyć. Musiałem przekazać to, czego się nauczyłem. – Uniósł palce. – Ale zostawiłem to miejsce tak, jak je zastałem. Założę się, że twoi ludzie nie zauważyli nawet, że tam byłem. Zatem który z nas bardziej szanuje Everama i lepiej walczy z Nie?

– Nie mów o Everamie ani o Nie, Par'chinie – skrzywił się gniewnie Ahmann. – Przecież w to nie wierzysz.

– A jednak bardziej szanuję twoją religię niż ty! – Arlen złożył ramiona na piersi.

– Jadłeś mięso *alagai* – odparł Jardir. – Naprawdę myślisz, że możesz uniknąć splugawienia, jakie to niesie?

Arlen parsknął śmiechem.

– Jesteś takim hipokrytą! Twoje całe życie, dojście do władzy, podboje, wszystko to było dyktowane przez *alagai hora*, ale pouczasz mnie o splugawieniu? Jak w swojej pokrętej logice wyjaśnisz, że głos Everama płynie z kości demonów?

Jardir wyduł usta.

– Sam się nad tym często zastanawiałem, ale ich mocy nie można zaprzeczyć.

– Oczywiście, że nie. Przecież widzisz tę przeklętą magię. – Arlen wskazał na włócznię. – Włócznia Kajiego ma rdzeń z kości demona. Tak samo korona. – Potrząsnął głową. – Magia nie jest złem, a otchłaniec to nie żadna piechota w jakiejś wiecznej niebiańskiej wojnie – stwierdził twardo. – To tylko zwierzęta. Jak my. Zwierzęta, które przez miliony lat żyły głęboko pod powierzchnią Ala, skąpane w mocy Otchłani. Ewolowały, aby wchłaniać i utrzymywać cząstkę tej mocy, a my nauczyliśmy się obracać ją przeciwko nim. I tyle. – Uniósł pięść z runami. – Tatuaze dają mi moc, ale nie większą niż twoje blizny. Prawdziwa moc pochodzi ze zjedzonego mięsa demona. Właśnie dlatego mogą zniknąć i rysować runy w powietrzu. Robię to, do czego ty potrzebujesz włóczni i korony albo czego w ogóle nie potrafisz. Mam własny rdzeń z demonich kości.

– Skoro to zwierzęta, jak twierdzisz, ryzykujesz, że staniesz się jednym z nich, jeżeli będziesz robił to nadal – zauważył Jardir.

– Wiem o tym – zgodził się Arlen. – Nie jadłem demoniego mięsa od lat, ale zdaje się, że moc została.

– Jednak pozwoliłeś swojej *jiwah* ryzykować tak samo.

Arlen znowu wybuchnął śmiechem, ale tym razem bez protekcyjności. Jego rozbawienie było szczere.

– Pozwoliłem? Poznałeś choć trochę Rennę Bales? Z nią się nie rozmawia o pozwoleniach.

– Zgadza się, na Otchłan. – Renna ujęła go za rękę.

Arlen spojrział na nią z miłością, ale zwrócił się do Jardira.

– Prosiłem, żeby tego nie robiła, ale ona zna stawkę. Próbowwała mi dorównać. Obawiała się, że rozwieję się jak mgła, wyruszę do Otchłani i spróbuję pokonać *alagai* bez niej. Nie chciała na to pozwolić.

– Nie mów tak, jakby to było szaleństwo – westchnęła Renna. – Sam powiedziałeś, że Otchłan cię wzywa. Też słyszałam jej zew, odkąd już umiem się rozwiewać. A to nie jest walka, którą można toczyć samotnie.

Spodziewała się, że Jardir będzie zdumiony i oburzony na wieść, że Renna i Arlen oboje słyszą zew Otchłani, ale Krasjanin tylko pokiwał głową.

– Zew Nie jest silny, ale w istocie musisz stawić mu opór. Los Ala zależy od nas. Zaufaj Everamowi, a On da ci siłę.

Arlen pokręcił głową.

– Nigdy nie byłem w tym dobry. Ufam tylko sobie i swoim.

Jardir ostrożnie dotknął piersi Arlena.

– Everam jest w tobie, przyjacielu. Nieważne, czy to my Go stworzyliśmy, czy On stworzył nas, On jest Światłem w tobie, gdy wokół panuje mrok. On jest Głosem, który oddziela dobro od zła. On jest Siłą, którą wykrzesalesz z siebie podczas prób pustyni. On jest Nadzieją, którą pokładasz w swoim szalonym planie. – Uśmiechnął się. – On jest Uporem w tobie, z którym odrzucasz prawdę, jaką ci przynoszę.

Arlen również się uśmiechnął.

– To ostatnie na pewno.

– A teraz, gdy wyszło szydło z worka, może nie będziemy potrzebowali jeńca – stwierdziła Renna. – Jest skrót, którym wszyscy możemy dotrzeć pod ziemię.

Arlen pokręcił głową.

– Nie wolno ufać nikomu, nawet mnie, kto się rozproszy zbyt blisko Otchłani. To będzie jak wrzucenie wiadra do rzeki i oczekiwanie, że nie porwie go nurt.

Jardir skrzyżował ramiona na piersi.

– Hipokryzja czy nie, moi wojownicy nie sprofanują swoich ciał ścierwem *alagai*.

Shanvah i Shanjat entuzjastycznie pokiwali głowami na tę deklarację. Renna dostrzegła w ich oczach ulgę.

– Zatem wybierzemy trudniejszą drogę – zgodził się Arlen. – Ale najpierw musimy znaleźć sposób, żeby skłonić tego przeklętego demona do mówienia.



14

Więzień

333 rok plagi, jesień

Książę Małzonek przysiadł na środku kręgu runów, starając się wystawiać jak najmniej ciała na przekłętą dzienną gwiazdę.

Ci, co go pochwycili, byli dokładni. Łańcuchy i zamki zostały starannie wykute z prawdziwego metalu, a runy okazały się silne. Palily skórę i zatrzymywały Małzonka w cielesnej postaci.

Jego cela była okrągła i pozbawiona umeblowania. Podłogę tworzyły różnobarwne kamienie ułożone i spojone w mozaikę runów, utrzymującą demona w zamknięciu i uniemożliwiającą ucieczkę, nawet gdyby udało mu się uwolnić od łańcuchów. Runy wysysały jego magię z taką siłą, że książę Małzonek musiał ukrywać głęboko swoją moc, żeby nie zostać jej całkowicie pozbawiony.

Nie mógł w żaden sposób uzupełnić utraconej energii, ponieważ cela znajdowała się wysoko nad powierzchnią. Nie było tu żadnych szczelin, z których dałoby się Pobrać. Małzonek dawał moc swojemu więzieniu, dlatego rozpaczliwie starał się uwalniać jak najmniej magii. Czerpał ze swoich zapasów bardzo ostrożnie.

Za murami również wyczuwał runy. Runy, które sprawiały, że nikt niepowołany nie zobaczy tego więzienia, ani ludzie, ani demony, które bez wątpienia na powierzchni poszukiwały śladu przywódcy. Książę Małzonek próbował do nich sięgnąć, ale zakaz okazał się zbyt silny. Po raz pierwszy jego umysł został odcięty zarówno od prymitywnych impulsów pomniejszych demonów, jak i pięknej złożoności myśli jemu równych. Cisza doprowadzała go do szaleństwa.

Jednak gorsza od tego poniżenia była dzienna gwiazda. Okna celi przesłonięto grubymi kotarami, długimi i gęsto tkanymi. W więzieniu panowała tak głęboka ciemność, że każdy przedstawiciel rasy z powierzchni byłby zupełnie ślepy, lecz nawet odrobina światła przesączająca się przez tkaninę przyprowadzała demoniego księcia o fale cierpienia, pozbawiała siły i parzyła skórę. Demon mógł tylko zwinąć się w kulkę na podłodze i czekać na powrót nocy.

Wreszcie gwiazda dzienna zaszła i demon w szybkich, oszczędnych ruchach dźwignął się do pozycji siedzącej, pomimo kajdan, które go krępowały. Powoli Małzonek Pobrał trochę mocy, aby uzdrowić ciało pod warstwą pogrubiającego się pancerza spalonej i martwej skóry.

Pobrał ponownie, ale tylko iskrę, dla zachowania sił. Jego oprawcy przebiegle nie podeszli za blisko, aby nie karmić księcia demonów.

Raz jeszcze zmienił pozycję. Wyprostował się i skoncentrował na wybranym zamku przy ciele. Posłał weń ostatnią

odrobinę mocy, która zaczęła powoli niszczyć metal. Zbyt wiele, a łańcuch wciągnie moc, ale ta odrobina zdoła go nadwyrężyć, jak woda drążąca skałę.

Demon zajmował się studiowaniem swoich łańcuchów już od pół cyklu i poznał je bardzo dokładnie. Wystarczy zniszczyć trzy zamki w okowach, a odzyska się znacząco zdolność ruchu. Potem przerwać jeszcze dwa ogniwa i demon będzie mógł się uwolnić.

Gdy tylko pozbędzie się łańcuchów, rozbije mozaikę, aby rozwiać się i wydostać z celi. To zadanie było łatwiejsze, aczkolwiek demon przestudiował wzór i uznał, że zanim zdoła skruszyć wszystkie kamienie, zaalarmuje swoich strażników. Nawet najslabszy z nich potrafiłby odsunąć kotary machnięciem ręki, a to oznaczałoby śmierć w promieniach dziennej gwiazdy.

Małżonek mógł sobie pozwolić na cierpliwość. Minie wiele cykli, zanim będzie gotów zerwać okowy, a w tym czasie wiele może się zmienić. Ludzie chcieli go żywego, miał więc doskonałą okazję, aby przyjrzeć się i sprawdzić ich słabości.

Cóż za cudowna ironia, że te same kajdany, które zmuszały księcia demonów do pozostania w cielesnej postaci, uniemożliwiały również zmianę układu krtani i ust, dzięki czemu Małżonek mógłby naśladować prymitywne pomruki, które uchodziły za mowę wśród rasy zamieszkującej powierzchnię. Demon rozumiał wszystko, co trzymające go w niewoli stworzenia mówiły, ale nie mógł im odpowiedzieć.

To tylko zwiększało frustrację myślozercy, pogłębiało przepaść między nimi. Te stworzenia może i stały się jednoczącymi, ale jak wszyscy ludzie, były głupie. Uczuciowe. Tylko trochę bardziej rozumne niż zmiennokształtni.

Jednak przede wszystkim były śmiertelne. Kiedy ich czujność zawiedzie, nadejdzie pora i księżę demonów odzyska wolność.



15

Naznaczone dzieci

333 rok plagi, zima

Niech mnie Otchłań, jeśli pozwolę ci położyć te obślizgłe pustynne łapy na mojej dziewczynce! Leesha uniosła głowę znad operowanego pacjenta. Barczysty Laktończyk i jego nastoletni syn pochylali się z zaciśniętymi palcami nad drobną Amanvah. Asystujące księżniczce czeladniczki zamarły z przerażenia. Jizell również przerwała zabieg, ale podobnie jak Leesha nie mogła się oderwać i interweniować.

Amanvah nie wyglądała na przejętą.

– Jeżeli nie pozwolisz, ona umrze.

– Ach, a czyja to przeklęta wina? – krzyknął chłopak. – Pustynne szczury zabiły mamę i wyrzuciły nas w noc!

– Nie moja wina, że jesteś tchórzem i nie potrafiłeś obronić siostry – odparła spokojnie Amanvah. – Odsuńcie się.

– Niech mnie Otchłań, jeśli to zrobię. – Mężczyzna chwycił ją za ramię. Sikvah zrobiła krok w jego stronę, ale drogę zastawił jej syn.

Amanvah spojrzała na mężczyznę tak, jakby obrzucił odchodami jej białą szatę, wciąż nieskazitelnie czystą pomimo wielu godzin spędzonych przy stole operacyjnym z Leeshą. A potem Krasjanka wyciągnęła rękę i wbiła palce pod pachę mężczyzny. Cofnęła się w półobrocie, wyprostowała umięśnione ramię przeciwnika, aż trzasnął staw łokciowy, i lekko wykręciła. Laktończyk zawył z bólu.

Amanvah wykorzystała unieruchomione ramię i odprowadziła mężczyznę jak kukielkę od stołu operacyjnego. Pchnęła Laktończyka prosto na jego syna. Dobrze wymierzony kopniak posłał nastolatka do wyjścia, podczas gdy Amanvah pociągnęła za nim wrzeszczącego z bólu ojca. Wyrzuciła obu pod drzwi równie łatwo jak śmieci do kosza.

Potem celnym kopnięciem w splot słoneczny posłała Laktończyka i jego syna za próg. Upadli ciężko jeden na drugiego. Tuziny kobiet pracujących przy ocenie i selekcji rannych z zaskoczeniem uniosło głowy.

Leesha spojrzała na Roni.

– Znajdź paru jak największych Rębaczy. Postaw ich pod drzwiami sali operacyjnej i przekaz, że odgryzę im głowy, jeżeli wejdzie tu ktoś jeszcze poza Zielarkami i pacjentami.

– Ktoś musi wnosić rannych – zauważyła Roni. – Rębacze wyszli w noc i walczą.

– Znajdę paru pomocników, kiedy tu skończę – zapewniła Leesha. – Idź.

Roni skinęła głową i znikła. Amanvah wróciła już do pracy przy dziewczynce, poważnie pogryzionej przez polnego demona. Wyrzuceni Laktończycy nie byli pierwszymi, którzy na widok szat Amanvah i jej smagłej skóry tracili

panowanie nad sobą, ale wszyscy będą musieli to przełknąć. Z paroma własnymi zębami, jeśli zajdzie konieczność.

Chociaż w szpitalu pracowały niemal wszystkie Zielarki, ich zasoby były ograniczone. Czeladniczki mogły nastawiać kości i zszywać rozdarcia, ale niewiele wiedziało, jak ciąć pacjentów, a co dopiero leczyć to, co znajdowało się w ludzkim wnętrzu. Amanvah okazała się najlepszym chirurgiem polowym w tym gronie i Leesha nie mogła sobie pozwolić na jej odesłanie.

Na chwilę zrobiło się spokojnie, zanim pojawi się kolejna fala rannych. Leesha skończyła swoją pracę, Kadie miała tylko założyć szwy. Zielarka wyprostowała się i wyszła z sali. Dodatkowy ciężar, który nosiła, nie ułatwiał ani trochę wielogodzinnego pochylania się nad stołem operacyjnym.

W głównym pomieszczeniu szpitala panował chaos. Minął ponad tydzień, odkąd zaczęli przybywać uchodźcy, jednak rannych wcale nie ubywało. Patrole Rębaczy i Drewnianych Żołnierzy zbierały ludzi z drogi i prowadziły do Zakątka. Większość uciekinierów wędrowała wiele dni, byli wyczerpani i głodni albo odnieśli rany podczas najazdu lub nocnych walk z demonami.

Jednak po przybyciu uchodźców z Rizon i starciach podczas Nowiu mieszkańcy Zakątka nauczyli się już panować nad tym chaosem.

Pod ścianą dwóch wyrzuconych Laktończyków siedziało na ławce. Przygarbili się, oparli ręce na kolanach i patrzyli w podłogę. Leesha rozpaczliwie pragnęła odpocząć, ale ten widok przypomniał jej, że inni mieli jeszcze gorzej.

Rozumiała wściekłość uchodźców, skierowaną przeciwko Amanvah. Sama czuła podobnie. Najazd Krasjan na Dokowisko nie był nagłym zrywem – musiał zostać precyzyjnie przygotowany. Ahmann planował to przez cały czas, nawet gdy uwiódł Leeszę.

W głębi duszy, zranionej i rozgniewanej, Zielarka zapragnęła, aby Arlen naprawdę zabił tego Krasjanina.

Podeszła do Laktończyków. Ojciec nawet nie podniósł głowy, dopóki Leesha nie stanęła tak, że jej stopy znalazły się w polu jego widzenia. Syn ani drgnął.

– Twoja córka dojdzie do siebie – oznajmiła. – Wszyscy dojdziecie.

– Doceniam słowa pocieszenia, Zielarko – odparł starszy Laktończyk. – Ale nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek doszli do siebie. Straciliśmy... wszystko. Gdyby Cadie zginęła, nie wiem, co bym... – jego głos utonął w szlochu.

Leesha położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, jak się czujesz. Przeżyłam to samo. Niejeden raz. Wszyscy w Zakątku to znają.

– Będzie lepiej. – Stela z Gospody pojawiła się z wózkiem. Podała mężczyznom po kubku wody i zgrzebnym kocu.

– Robi się chłodno. W obozie uchodźców są runy ogrzewające, ale działają tylko w nocy. Mają numery przydziału?

– Ach... – zaczął Laktończyk. – Chłopak przed szpitalem coś mówił...

– Siedem – wtrącił jego syn, nie podnosząc wzroku. – Jesteśmy w sekcji siódmej.

Stela skinęła głową.

– Pole Pollocka. Jak się nazywacie?

– Marsin z Torfowiska. – Mężczyzna skinął na syna. – Jak.

Stela zapisała w swoich notatkach.

– Kiedy ostatni raz jedliście?

Laktończyk spojrzał na nią bez zrozumienia, potem wzruszył ramionami.

– Nie mam grosza w kieszeni.

Stela posłała mu uśmiech.

– Poproszę Callena, żeby przyniósł wam chleb, gdy będziecie czekać.

– Niech ci Stwórca błogosławi, dziewczyno.

– Widzicie? – uśmiechnęła się Leesha. – Już idzie na lepsze.

– Tak – mruknął chłopak. – Mama nie żyje, dom spalony, a Cadie umiera od demoniej gorączki. Ale dostaliśmy koce, więc wszystko jest pięknie!

– Oj, bądź wdzięczny! – warknął Marsin i trzepnął syna po głowie.

– Będzie więcej niż koce i chleb – zapewniła Leesha. – Macie silne ręce, więc możecie pracować przy wycinie i budowie domów na jednym z wielkich runów.

– Praca płatna – dodała Stela. – Początkowo kredyt na jedzenie, ale kiedy zaczniecie, pięć klatów za dzień dla każdego.

Leesha drwiła, ale ludzie najwyraźniej potrzebowali nowych monet, ponieważ znikwały wśród uchodźców szybciej, niż je wytwarzano.

Marsin potrząsnął głową.

– Myślałem, że z nami koniec, gdy otchłańce przedarły się przez barierę runów do obozu. Ale zaczynam wierzyć...

Wybawiciel nie ocaliłby nas bez powodu.

Leesha i Stela wymieniły uważne spojrzenia na ostatnie słowa Laktończyka.

– Widziałeś Wybawiciela? – zapytała Stela.

Mężczyzna skinął głową.

– Owszem. I nie tylko ja.

– To był tylko błysk runów – mruknął Jak.

– Tak, ale jaśniejszy niż ten wywołany moimi pośpieszonymi znakami. Osłepiający, aż bolało. I widziałem rękę – zapewnił Marsin.

– To mogło być cokolwiek... – zauważył Jak.

– Cokolwiek nie zamraza demona ognia, który ugryzł Cadie. Ani nie popala tego drewniaka, przez którego nie dotarlibyśmy do Rębaczy na drodze.

Leesha pokręciła głową. Nie była to pierwsza opowieść o wyczynach Renny, jaką słyszała, ale jak dotąd nikt nie widział więcej niż cień lub przebłysk pokrytej runami skóry.

Jak ona to robi? – zastanawiała się Leesha. Rysowanie runów w powietrzu i znikanie jak dym, pokonywanie wielu mil w czasie nie dłuższym niż głębszy oddech. Nie mogły tego wyjaśnić runy wymalowane na skórze. Wonda stawała się potężna nocą, ale nie miała umiejętności Arlena i Renny, jej znikwały w pierwszych promieniach słońca.

– Przysięgam na słońce – powtórzył Marsin. – Wybawiciel ocalił mnie i moich bliskich.

– Oczywiście – zgodziła się Stela. – Wybawiciel jest tutaj i chroni nas wszystkich.

Leesha odprowadziła dziewczynę poza zasięg słuchu Laktończyków.

– Nie rozbudź tak ich nadziei. Wiesz dobrze jak każdy, że Arlen Bales nie może być wszędzie. Ludzie muszą się skupić, żeby sami o siebie zadbać.

Stela dygnęła.

– Tak, pani, wszystko pięknie i ładnie, gdy się jest Rębaczem rozłożystym jak dąb albo krasjańską księżniczką, która potrafi rzucać ludźmi po sali jak lalkami. Ale co może zrobić zwykła dziewczyna z Zakątka?

No właśnie. Co? – zastanowiła się Leesha. Stela była zdrowa, ale drobna i szczupła. Pomagała najlepiej jak umiała, ale miała rację. Nie urodziła się do walki.

– Walczyłabyś, gdybyś mogła? – zapytała Leesha.

– Tak, pani – zapewniła Stela. – Ale nawet gdyby dziadek mi pozwolił, dam radę unieść zaledwie mały łuk.

– Przekonamy się.

– Pani?

– Skup się na pracy – rozkazała Leesha. – Wkrótce o tym porozmawiamy.

Drzwi frontowe otwarły się z hukiem i stanęła w nich Wonda z Rębaczy. Przez ramię miała przewieszonych dwóch dorosłych mężczyzn, trzeciego dźwigała pod pachą. Na odsłoniętych przedramionach dziewczyny jarzyły się wymalowane tuszem runy.

Wszyscy w pomieszczeniu wskazywali na nią i szeptali. Wonda podchwyciła spojrzenie Leeshy, po czym skrzywiła się przepaszająco.



– Nie miałam wyboru, pani Leesho – wyznała Wonda, gdy znalazły się same. – Zabrakło mi strzał, a demon szedł prosto na nich. Co miałam zrobić? Dać im umrzeć?

– Oczywiście, że nie, moja droga – zapewniła Leesha. – Zrobiłaś, co należało.

– Całe miasto już o tym gada. Nazywają mnie twoim naznaczonym dzieckiem.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie przejmuj się. I tak nie mogłybyśmy tego ukrywać wiecznie, a dowiedziałam się dość, żeby nieco rozszerzyć nasz eksperyment.

– Tak?

Leesha wskazała na runy wymalowane na ramionach Wondy.

– Lśnienie powinno przygasnąć wraz ze spadkiem adrenaliny. Oddychaj spokojnie, aż runy zgasną, a potem rozejrzyj się za ochotnikami. Pamiętaj, jakich ludzi kazałam ci szukać.

– Tak, pani. – Wonda już oddychała spokojnie.

– I, Wondo? – Leesha skinieniem głowy wskazała na salę. – Zaczniij od Steli z Gospody.



Słońce wzeszło. Wonda poczekała, aż promienie padną na podwórze, a potem zeszła z ganku i zaczęła powoli rozciągać się w codziennych ćwiczeniach *sharukin*. Ranek był chłodny, ale dziewczyna miała na sobie tylko lekki strój, odsłaniający na światło jak najwięcej poznaczonej runami skóry.

– Jak się dzisiaj czujesz? – zapytała Leesha.

– Runy swędzą, kiedy pada na nie słońce o poranku – stwierdziła Wonda.

– Swędzą?

– Kłują. Jak uderzenia różgami. – Wonda powoli nabrała tchu i przeszła do następnej pozycji. – Ale nie martw się, pani Leesho. To trwa tylko chwilę. Zniosę to.

– Ach – przyznała Leesha. – Nigdy bym po tobie nie poznała.

– Nie ma co tracić czasu na drobne dolegliwości, pani. Nie widziałam, żebyś narzekała, a przeszłaś o wiele więcej niż ja czy inni.

– Musisz mi mówić takie rzeczy, Wondo – napomniała ją Leesha. – Zwłaszcza teraz. Muszę dowiedzieć się wszystkiego. Magia ma na ciebie wpływ i musimy mieć pewność, że to bezpieczne. Ze względu na wszystkich.

I ze względu na mnie, pomyślała. I moje dziecko.

– Nie spałaś prawie przez tydzień – zauważyła Zielarka. Niewielu Rębaczy spało. Walki z demonami nasiliły się ze względu na obecność uchodźców na drodze, a Wonda i Gared byli tam wraz z pierwszymi Rębaczami, tymi, którzy stali u boku Arlena podczas bitwy o Zakątek Rębaczy. W nocy runy wycięte na podkowach pozwalały rumakom pokonywać mile podczas ścigania demonich hord polujących na uciekinierów. Rębacze zabijali hordy otchłanców, zanim zdążyły uderzyć. Za dnia pomagali Laktończykom dojść do chronionych runami obozowisk wybudowanych wzdłuż traktu.

– Ty też nie, pani – zauważyła Wonda. – Nie myśl sobie, że skoro mnie tu nie ma, to na ciebie nie zważam. Dziewczyny mówią mi, że nie spałaś, pani, więcej niż chwilę, gdy to się zaczęło. Magia ma też wpływ na ciebie.

Nie można było zaprzeczyć.

– Zgadza się – podjęła nieco surowszym tonem Leesha. – Zużyłam więcej *hora* w zeszłym tygodniu niż wcześniej przez kilka miesięcy. Nie dostaję jednak tyle magii, co ty przez wymalowane na skórze runy. Za to dość, żeby wyczuć, przez co przechodzisz. Czuję się...

– ...jakbyś mogła wkroczyć do Otchłani i kopnąć Matkę Demonów w tyłek.

– Barwniej, niżbym to ujęła – roześmiała się Leesha. – Ale właśnie tak. Magia przepływa i zmywa zmęczenie.

Wonda przytaknęła.

– A o wschodzie słońca czujesz się jak po dobrze przespanej nocy i kubku kawy. Nawet lepiej. Jak cięciwa gotowa do zwolnienia.

– Używasz łuku od czasu do czasu? – zainteresowała się Leesha.

– Jasne. Bez używania by się zmarnował, a szkoda dobrego łuku.

– Tyle czasu bez snu nie jest naturalne – westchnęła Leesha. – Może nie jesteśmy zmęczone, ale czuję, że czegoś mi brak. Bez snów pozwalających uciec...

– ...cały świat wydaje się snem – dokończyła za nią Wonda. – O, tak.

– Uwarzę ci eliksir z nasion i kwiatów werbeny – stwierdziła Leesha. – Prześpisz się przynajmniej przez osiem godzin.

– A co z tobą, pani?

– Wyśpię się w nocy, gdy tylko ze szpitala zabiorą rannych – obiecała Leesha. – Słowo.

Wonda mruknęła zgodnie, po czym wróciła do ćwiczeń. Leesha zaczęła się zastanawiać, jak to jest u Arlena, albo nawet Renny. Czy spali choć trochę od miesięcy? Kiedy ostatnio śnili?

Chyba wolałaby nie znać odpowiedzi. Zapewne dlatego są tak szaleni.

Kiedy Wonda skończyła, obie wróciły do domu. Wonda zdjęła ze stelaża swój drewniany napierśnik i przygotowała narzędzia do polerowania. Pancierz był podarunkiem od matki Thamosa, księżnej Araine, i dziewczyna ceniła go jak łuk i strzały, które dostała od Arlena. Każdego ranka czyściła pancierz i broń z taką miłością jak matka kąpiąca swoje dziecko.

Leesha wykorzystała tę chwilę na zagotowanie wody i zabranie czajnika do pokoju kąpielowego. Zjadła krakersa i rozebrała się, aby umyć się mokrą ściereczką, a potem założyła czystą suknię.

Odetchnęła głęboko. Wkrótce będzie łatwiej. Napływ uchodźców trwał, ale zasięg Zakątka rozszerzał się każdego

dnia. Rębacze zabierali ludzi prosto z drogi, z żywym inwentarzem i zapasami jedzenia. Kilka osad, które jeszcze się nie przepełniły, prowadziło zorganizowaną ewakuację.

Zakątek wkrótce będzie musiał wchłonąć uchodźców, jednak teraz, gdy przybywali osadnicy z zapasami i narzędziami, było to łatwiejsze niż w przypadku pierwszej fali wyczerpanych uciekinierów, którzy nieśli tylko rannych.

Leesha mogła sobie wreszcie pozwolić na sen. Może. Ale na razie młodzi ochotnicy gromadzili się na jej podwórku, żeby sprawdzić swoją siłę i refleks, stanowiące podstawę badań. Leesha zamierzała podzielić ich potem na grupy. Podniecone rozmowy młodych ucichły, gdy Zielarka i Wonda pojawiły się w progu.

Ochotnicy mieli najwyżej po dwadzieścia parę lat. Pochodzili z Zakątka i chcieli przyłączyć się do Rębaczy, ale zostali odrzuceni z tego czy innego powodu. Jeden miał problemy z oddychaniem. Inny potrzebował okularów, żeby widzieć. Pozostali – zapewne nie byli dość duzi lub silni, aby wytrzymać.

Rosnąca kasta *khaffit*, jeżeli nie będziemy ostrożni, pomyślała Leesha.

– Przyglądają mi się – mruknęła Wonda.

– Poczuj choć raz, jak to jest. Dla tych dzieci mogłabyś być Naznaczoną.

– Nie żartuj z Wybawiciela, pani – oburzyła się Wonda.

– Wszyscy jesteście Wybawicielami – uśmiechnęła się Leesha. – To jego słowa. Musisz zainspirować te dzieciaki, jak on natchnął ciebie. Świat potrzebuje każdego Wybawiciela, jakiego uda się znaleźć.

– Czy nie lepiej więc namalować runy Rębaczom lub *Sharum*? – zdziwiła się Wonda. – Dlaczego tylko odrzuconym?

– Ponieważ dopiero przeprowadzamy badania – wyjaśniła Leesha. – Potrzebujemy małej grupy. Grupy, którą możemy kontrolować i sprawdzać, jak to u nich działa, zanim wypróbujemy runy na mężczyznach wielkich jak złotodrzewa.

Powstały trzy podgrupy. Stela trafiła do jednej, jej wuj, starszy zaledwie o parę lat, do drugiej. Żadne z nich nie spełniało wymagań jako wojownik.

Pierwszy tuzin, włącznie z przyjacielem syna Brianne, Callenem Rębaczem, dostał specjalnie zaprojektowane włócznie, które Leesha osobiście pokryła runami. Włócznie miały krótkie drzewca i długie runiczne groty, żeby wysysały jak najwięcej magii z otchłańców i przekazywały ją włócznikom.

Dla drugiej grupy Leesha przygotowała broń, która pozornie wydawała się identyczna jak w pierwszej grupie, ale zawierała odłamki *hora* okute runicznym srebrem. Włócznie w ograniczonym stopniu zachowywały magię za dnia i mogły być doładowane nocą.

Członkowie ostatniej grupy, w tym Stela, najbardziej gorliwy z ochotników, mieli ćwiczyć *sharusahk* z Wondą i od niej uczyć się używania runów wymalowanych na skórze.

Badania miały trwać kilka miesięcy, ale jeżeli hipotezy Leeshy były słuszne, Zakątek mógłby zebrać armię Wybawicieli gotowych walczyć z księżętami umysłu, gdyby ośmielili się tutaj zjawić.

Armię jej naznaczonych dzieci.



– No, koniec. – Zapadł zmrok, gdy Leesha skończyła malować ostatnie runy na skórze Steli. Inni ochotnicy już czekali z Wondą na podwórku, podziwiali swoją runiczną broń i znaki na skórze. Wszyscy wiedzieli, że wkrótce wyruszą w noc, aby pokazać w Zakątku, że też są coś warcu. Młodzi ludzie nie mogli ustać spokojnie, przestępowali z nogi na nogę albo spacerowali nerwowo przed domem, czekali na Stelę, żeby wreszcie zacząć.

Leesha wypuściła w końcu dziewczynę i przyjrzała jej się przez runiczne okulary. Podwórko było skąpane w magii, choć gołym okiem widziało się zaledwie jej odrobinę. Niektóre runy zostały zaprojektowane tak, aby świeciły, ale inne wibrowały niewidocznie bez użycia magii.

Leesha ujrzała moc płynącą do łydek Steli, jak wcześniej do innych ochotników. Magia tańczyła wokół wymalowanych czarnym tuszem znaków na skórze, przepływała między połączonymi symbolami, opasywała pierś i krążyła na rękach i wokół głowy zupełnie jak krew pompowana przez serce. Nawet stanie na podwórku sprawiało, że naznaczone dzieci czuły mrowienie. Początkowo magia wywołała orzeźwienie jak mocna herbata, później przypłyły adrenaliny. Wkrótce potem młodym wyostrzą się zmysły. To wrażenie było przytłaczające – zaczną wyczuwać najsłabsze zapachy, słyszeć najcichsze szmery na milę. Oszołomienie minie, kiedy myśli naznaczonych dzieci również przyspieszą.

Wtedy poczują się niezwyciężone.



– Patrzcie. – Wonda uniosła długą metalową rurkę ze splecioną stalową liną zakończoną pętlą. – To krasjańska broń nazywana pętlą na *alagai*. – Zarczyła pętlę na słupek ogrodzenia i zacisnęła skretem i szarpnięciem. – Każde z was weźmie jedną. Poustawiałam pułapki w Zielarskim Zagajniku. Użyjemy tych pętli, żeby wyprowadzić demony z sideł, więc będziecie mogli poćwiczyć.

– I tyle? – zapytał Keet. – Nie poćwiczymy, czy ja wiem... na podwórzu, zanim wyjdziemy w otwartą noc?

Pozostali poparli go mamrotaniem.

Leesha starała się opanować uśmiech. Otwarta noc, w rzeczy samej. Leesha miała wielki run i chronione symbolami ścieżki przecinające jej ziemię. Dzieciom mogło się wydawać, że znajdują się na terenie demonów, ale tak naprawdę pozostaną bezpieczne niemal przez cały czas.

Ale musiały jak najszybciej zetknąć się z demonami, a poczucie zagrożenia utrzyma je w ryzach i czujności. To nie była przecież zabawa.

Wonda prowadziła swoją gromadkę, a Leesha obserwowała to jak we śnie. Świat zaczął się rozmywać na granicy pola widzenia. Nadal jednak mogła się skupić, pomimo tylu godzin malowania runów. Skronie jej pulsowały boleśnie, żołądek się ścisnął, ale teraz były to znajome doznania i nauczyła się je ignorować.

Kiedy jednak ostatnie z dzieci zniknęło w ciemności na granicy runów, Leesha zaczęła wypełniać pustkę obrazami. Callen Rębacz krzyczący za matką, gdy powoli wykrwawia się z zadanych szponami ran. Brianne nigdy by się już do Leeshy nie odezwała. Ani Smitt, jeżeli coś by się stało Keetowi lub Steli. Wyobraźnia podsunęła od razu obraz Steli, której drzewny demon odgryza głowę. Serce dziewczyny biłoby jeszcze przez chwilę, zanim organizm zorientowałby się, że nie żyje. Krew trysnęłaby wysoko z bezgłowej szyi.

Leesha odpędziła wizję i przetarła oczy. Nareszcie. Nareszcie mogła się przespać. Jeżeli się nie położy, chyba oszaleje. Gdyby Arlen, Ahmann i Thamos weszli teraz na jej podwórko i zaczęli walczyć ze sobą o jej rękę, Leesha i tak poszłaby spać.

Pośpiesznie ruszyła do domu, wyobrażając sobie, że zakłada koszulę nocną i gasi świece. Łóżko będzie ciepłe i miękkie...

– Mistrzynie Leesho! – rozległ się zdenerwowany okrzyk za plecami Zielarki. Leesha nie rozpoznała głosu, ale ton zdradzał, że intruz nie odejdzie, dopóki nie porozmawiają.

Odetchnęła głęboko, policzyła do pięciu i odsunęła myśli o ciepłym pościeliu. Uśmiechnęła się jak hrabina i dopiero wtedy odwróciła do kobiety. Rozpoznała ją od razu – spędziły godziny przy łóżku jej córki w szpitalu. Lusy Prządka, matka Kendall.

„Prządka” nie było stosownym przydomkiem, raczej złośliwym przezwiskiem, które przyłgnęło do kobiety, gdy jeszcze jako czeladniczka wykazała się zupełnym beztalenciem do wrzeciona. Lusy była za to miłą, niewyróżniającą się kobietą, której udało się urodzić i wychować wyjątkowo utalentowaną córkę.

– Trochę późno na wizyty towarzyskie, Lusy – zauważyła Leesha.

Kobieta dygnęła uprzejmie.

– Wybaczcie, mistrzyni Leesho. Nie zawracałabym wam głowy, gdyby sprawa nie była ważna. – Zdusiła szloch. – Po prostu nie wiem, do kogo mogłabym się zwrócić.

Leesha zmusiła się do większej uwagi. Westchnęła bezgłośnie, po czym podeszła do kobiety i wzięła ją pod ramię.

– Chodź, dziecino – stwierdziła, choć Lusy była od niej sporo starsza. – Nie może być tak źle. Usiądziemy, zrobie herbatę.

Lusy paplała i paplała. Leesha zajęła bujany fotel Bruny i owinęła się starym szalem. Oczy jej się kleiły i zamykały kilka razy, ale kiedy głowa zaczynała opadać, Leesha gwałtownie wracała do przytomności.

Wreszcie słaby środek uspokajający, który dodała do herbaty Lusy, zaczął działać. Matka Kendall trochę się uspokoiła.

– No dobrze, Lusy. Twoje odwiedziny sprawiły mi radość, ale czas przejść do rzeczy.

Lusy skinęła głową.

– Wybaczcie, pani, po prostu nie wiem...

– ...co robić. Tak, już to mówiłaś. – Cierpliwość Leeshy zaczęła się wyczerpywać. – Ale o co chodzi?

– O Kendall i te krasjańskie wieźmy! – niemal wykrzyknęła Lusy.

Zielarka spojrzała na nią z ciekawością.

– Chodzi ci o Amanvah i Sikvah?

– Tak! Wiecie, co zrobiły?

– Na pewno mi powiesz – mruknęła Leesha, chociaż chyba już się domyśliła. – Napij się jeszcze herbaty, zacznij od początku, tylko ciszej.

Lusy skinęła głową, siorbnęła z kubka herbaty i wzięła głęboki, drżący oddech.

– Przyszły do mnie dziś po południu. Powiedziały, że chcą ode mnie odkupić Kendall. Odkupić! Jak przekłętą owcę!

– Odkupić? – powtórzyła Leesha, chociaż już wiedziała, o co chodziło.

– Na dziwkę dla tego otchłanisyna Rojera – wyjaśniła Lusy. – Dwie żony to nie dość, ten wynaturzony drań chce jeszcze moją słodką Kendall do swojego haremu. Zamierza zrobić z niej krowę rozplodową, jak to ujęły te jędze.

– Krasjanie bywają... niedelikatni w tych sprawach – Leesha ostrożnie dobierała słowa. – Małżeństwo to dla nich umowa, ale po zakończonych negocjacjach traktują przysięgę ślubną tak samo poważnie jak my. Z pewnością nikt nie chciał cię obrazić.

– Jakby mnie obchodziło, czego chciały te suki – prychnęła Lusy. – Powiedziałam im, że Rojer dostanie Kendall

tylko po moim trupie.

Bardzo ryzykowne postawienie sprawy, pomyślała Leesha. Podejrzała, że Amanvah byłaby do tego zdolna.

– A potem te dwie dziwki wyszły oburzone, jakbym to JA je obraziła – mówiła Lusy. – A ze dwadzieścia minut później pojawiła się Kendall, płacząc i wykrzykując, że i tak wyjdzie za Rojera i koniec. Powiedziałam jej, że żaden Opiekun nie pozwoli jej położyć ręki na Kanonie i przysiąc mężczyźnie, który ma już dwie żony, a wiecie, co mi odpowiedziała?

– Powiedz, proszę – westchnęła Leesha.

– Powiedziała, że mało ją to obchodzi. Powiedziała, że Otchłań niech pochłonie i Kanon, i Opiekunów, bo ona zamierza złożyć przysięgę na Evejak..

– Evejah – poprawiła Leesha.

– Księga grzechu – skrzywiła się Lusy. – Kendall zawsze wodziła oczami za Rojerem, ale tak nie można. Ta dziewczyna rozum postradała! Nie dość, że te obce wiedźmy zawróciły nieszczęsnego Rojera ze ścieżki Stwórcy, to jeszcze chcą to samo zrobić z moją dziewczynką.

– Możesz nie mieć wyboru – zauważyła Leesha.

Lusy spojrzała na nią zaskoczona.

– Na noc, mistrzyni, chyba tego nie pochwalacie?

– Oczywiście, że nie. – Leesha już w duchu układała napomnienie dla Rojera. – Ale Kendall jest dorosłą kobietą i ma prawo decydować, jak chce żyć.

– Nie bylibyście tak spokojni, gdyby to wasza córka miał być sprzedana jak kura nioska.

Leesha uniosła brew i Lusy zamarła, przypomniał sobie, że rozmawia z przyszłą hrabiną Zakątka, kobietą, która sama była przedmiotem krasjańskich targów małżeńskich. Nie mogła spojrzeć Zielarce w oczy, więc spuściła głowę i próbowała się ukryć za kubkiem. Napiła się za szybko i zakasłała.

– Nie chciałam was obrazić, pani. Oczywiście, że rozumiecie.

– Sądzę, że tak – przyznała Leesha. – Porozmawiam z Rojerem i Amanvah, gdy tylko to będzie możliwe, i wezwę cię, gdy to zrobię.

– Dziękuję wam, pani. – Lusy zerwała się, skłoniła niezdarnie i umknęła z salonu, potykając się o własne nogi.



– Postradałeś zmysły?! – Leesha owinęła się szalem Bruny, co nigdy nie wróżyło nic dobrego.

Rojer westchnął przesadnie dla efektu. Grał na zwłokę, gdy wieszal swoją pstrokatą pelerynę przy drzwiach. Twarz Leeshy płonęła, a kiedy Zielarka była w tym stanie, zwłoka stanowiła najlepsze posunięcie. Leesha nie umiała długo się gniewać. Przynajmniej nie na niego.

Zdumiewające, że kiedyś dawał się jej zastraszyć. Odkąd żył z Amanvah, potyczki słowne z Leeshą były niczym spacer po placu miejskim w słoneczny dzień.

Rojer zostawił futerał ze skrzypcami na progu, szczelnie zamknięty, aby nic nie dotarło do uszu *Jiwah Ka*. Bez skrzypiec i peleryny czuł się obnażony, ale tym bardziej był to powód, by się z nimi od czasu do czasu rozstawać, inaczej zupełnie się uzależni.

„Nigdy nie pozwól, aby przedstawienie cię posiadało” – mawiał Arrick. „Inaczej nic innego nie będziesz robił do końca życia. Lepiej żywcem wpaść do Otchłani, niż powtarzać do śmierci te same przeklęte żarty”.

Rojer celowo zignorował gniewną postawę Zielarki oraz jej wściekły ton. Wszedł spokojnie do salonu i zajął swój ulubiony fotel. Oparł nogi na zydłu i czekał. Chwilę później Leesha z prychnięciem weszła do pokoju i zajęła fotel Bruny. Nie zaproponowała herbaty.

Na Otchłań, jest naprawdę wściekła, pomyślał Rojer.

– Lusy złożyła ci wizytę, co?

Założył, że właśnie z tego powodu Leesha przesłała mu w środku nocy liścik, że muszą się spotkać. Nie żeby Rojer spał. Niewielu mieszkańców Zakątka przespiało noc. Runiczne latarnie oświetlały ulice i ścieżki – widome świadectwo, że było bezpiecznie i żaden demon nie miał tam wstępu. Ludzie przyjęli tę swobodę z mściwą satysfakcją i wszędzie panował ruch przez cały czas. Bazar Shamawah i sklep Smitta pozostawały otwarte również nocą.

– Pewnie, że tak – warknęła Leesha. – Ktoś musi ci wbić do głowy trochę rozumu.

– Chcesz być moją matką? – Rojer uniósł brwi. – Zająć się podcieraniem mnie i dawaniem klapsów, gdy będę

niegrzeczny? – Wstał i zaczął udawać, że odpina pasek. – To może od razu przełożę ci się przez kolano, żebyśmy mieli to już za sobą?

Leesha zasłoniła sobie oczy, ale nie potrafiła utrzymać groźnej miny.

– Rojerze, lepiej trzymaj spodnie na tyłku albo nasypię ci do nich pieprzu!

– To moje najlepsze spodnie – oburzył się Minstrel teatralnie. – Słyszałem, że wycięłaś sobie świeże różgi, pani. A śladów po żywicy nie można sprać.

– W życiu nikogo nie chłostałam! – Leesha walczyła, żeby nie parsknąć śmiechem.

– I to moja wina? – Rojer podrapał się po głowie. – Mogę ci dać kilka wskazówek, ale to trochę dziwne uczyć kogoś, jak wymierzyć chłostę.

Leesha parsknęła śmiechem.

– Niech to Otchłani, Rojerze, to nie żarty!

– Owszem – zgodził się Minstrel bardziej poważnie. – Podobnie jak nadejście Nowiu. Ale nikt nie krwawi, nie ma pożaru, więc nie ma powodu zapominać o dobrych manierach. Jestem twoim przyjacielem, Leesho, nie podwładnym. Przełałem za Zakątek tyle samo krwi co ty.

Leesha westchnęła.

– Masz rację, Rojerze, oczywiście. Wybacz.

– Och. – Minstrel wytrzeszczył oczy. – Czy Leesha właśnie przyznała, że nie miała racji?

Zielarka prychnęła i wstała.

– Będziesz to opowiadał swoim wnukom. Zrobię herbatę.

Rojer poszedł za nią do kuchni. Wyjął filiżanki, gdy nastawiała czajnik. Przyglądał się uważnie. Mistrzynie Jessa – matrona burdelu księcia Rhinebecka, w którym Rojer spędził wiele czasu, gdy dorastał – nauczyła go, aby nigdy nie ufał Zielarkom, bo mogą coś dosypać do wywaru.

„Nawet mnie, Rojerze” – mówiła Jessa z porozumiewawczym mrugnięciem. „Na noc, zwłaszcza mnie”.

Leesha oparła się o blat, gdy czekali, aż zagotuje się woda.

– Nie możesz oczekiwać, że ludzie przyjmą to spokojnie. Chcesz wziąć Kendall na TRZECIĄ żonę. Nie wystarczą ci dwie? Na noc, dziewczyna ma dopiero szesnaście lat!

Rojer przewrócił oczami.

– Czyli jest o dwa lata młodsza ode mnie. A demon pustyni był o ile od ciebie starszy? Dwanaście? Kendall przynajmniej nie próbuje zniewolić wszystkich na południe od Zakątka.

Leesha skrzyżowała ramiona, znak, że Rojer ją zdenerwował.

– Ahmann zniknął, Rojerze. Nie ma nic wspólnego z ostatnim atakiem.

– Otwórz oczy, Leesho. Doprowadzenie cię do rozkoszy nie czyni z niego Wybawiciela.

– Ach, i kto to mówi? – prychnęła Leesha. – Jeszcze niedawno twoje cudowne żony próbowały mnie otruć. Ale gdy opróżniły twoje jądra, poślubiłeś je bez wahania, nie oglądając się na moje uczucia.

Rojer odruchowo chciał się odgryźć, ale wiedział, że Leesha potrafi być uparta jak demon skalny, gdy dochodziło do kłótni. Postarał się, aby jego głos zabrzmiał spokojnie i cicho.

– Owszem. Zlekceważyłem twoją radę i zrobiłem to, co wydawało mi się właściwe. I wiesz co? Wcale tego nie żałuję. Nie potrzebuję też twojego pozwolenia, żeby ożenić się z Kendall.

– Będzie ci do tego potrzebny Opiekun – zauważyła Leesha. – A łatwiej znajdziesz kulę śnieżną w Otchłani.

– Opiekunowie nic dla mnie nie znaczą, Leesho. Nigdy nie znaczyli. Hayes nie uznaje nawet Sikvah. Myślisz, że spędza nam to sen z powiek?

– A Lusy? Ją także zamierzasz zlekceważyć?

Rojer wzruszył ramionami.

– To zmartwienie Kendall. Jest dorosła i może poślubić, kogo zechce, czy to się jej matce podoba czy nie. I niezależnie od jej zgody. Mniejsze szanse, że Lusy zechce się wprowadzić do naszego domu.

– Więc jednak zamierzasz to przechodzić? – upewniła się Leesha. – Powtarzałeś, że małżeństwo to gra głupców. A teraz ani się obejrzą, a ty ożenisz się po raz trzeci.

Minstrel zachichotał.

– Próbowałem ci o tym powiedzieć. W noc Zgromadzenia, pamiętasz? Ale wtedy pojawiła się Renna...

– ...i mieliśmy o wiele większe zmartwienia – zgodziła się Leesha.

– Początkowo nie byłem pewien – wyznał Rojer. – Nigdy nie myślałem o Kendall w ten sposób. Słowo.

Spojrzał na swoje dłonie, próbując wyrazić, co czuje. Łatwo by sobie z tym poradził za pomocą skrzypiec, nuty zawsze wychodziły mu lepiej niż słowa.

– To, co mam... – Fatalnie zaczął. – Ta... więź z demonami, sposób, aby wpływać na nie muzyką... Ty i Arlen

chcieliście, żebym nauczył tego innych. Ale tylko Kendall naprawdę to pojęła. Minstrele, nawet Amanvah i Sikvah, potrafią pójść, gdy się ich poprowadzi, potrafią powtarzać nuty, ale... nie czują tego jak Kendall. Kiedy ona i ja gramy razem, to jest transcendencja o wiele bardziej intymna niż małżeństwo. Kiedy gramy we czwórkę, tworzymy chór anielski. – Uśmiechnął się. – A potem naturalnie chce się ją pocałować.

– Więc całuj! – prychnęła Leesha. – Na noc, kochajcie się jak króliki. To sprawa tylko twoja, jej i twoich żon. Ale małżeństwo...

– Już ci mówiłem, nie potrzebujemy błogosławieństwa Opiekuna. Kendall jest moją czeladniczką. Nic dziwnego, że zamieszkamy razem. Wkrótce otrzyma swoją licencję Minstrela i zaprosimy Lusy, aby została z nami. Będzie miała lepsze warunki niż w tej swojej ruderze.

– Myślisz, że nikt nie zauważy?

– Oczywiście, że zauważy. Całe miasto będzie gadać. Rojer i jego harem. Sam to potwierdzą.

– Dlaczego? – zdziwiła się Leesha. – Dlaczego chcesz zrobić skandal?

– Ponieważ i tak go nie uniknę, czy mi się to podoba czy nie. – Rojer wzruszył ramionami. – Amanvah i Kendall zawarły umowę, zanim wiedziałem, co się święci, a była to umowa, którą tylko głupiec by odrzucił. Niech więc ludzie sobie plotkują i niech się przyzwyczają. Sprawię, że mimo to będą mnie uwielbiać, więc kiedy Kendall zajdzie w ciążę, nikogo nie zdziwi, że uznam dziecko za prawowite i własne.

– To twoje słowa czy Amanvah? – zapytała Leesha podstępnie.

Rojer rozłożył ręce.

– Niech to Otchłań, żebym wiedział.



Dochodziła północ, gdy Rojer wreszcie się pożegnał. Leesha patrzyła, jak szedł przez podwórze, i zastanawiała się, co powie Lusy.

„Jeżeli Kendall tego chce, nie możesz nic zrobić, żeby ją powstrzymać” – powiedziałyby i poczekała, aż minie pierwsze zaskoczenie. „Możesz to tylko opóźnić w nadziei, że córce wróci rozsądek. Zgódź się na negocjacje, ale poproś o coś absurdalnego...”

Pokręciła głową. Będzie na to czas o poranku. Jeżeli zaraz się położy, będzie miała przynajmniej sześć godzin snu, zanim wróci Wonda i dzieci, a miejscowi zaczną przychodzić na ganek.

Leesha zamknęła drzwi i poszła prosto do sypialni, rozrzucając spinki i buty. Zrzuciła suknię w progu, jedwabna halka, którą nosiła pod spodem, powinna wystarczyć za koszulę nocną. Położyła się na pościeli, darowała sobie nawet wieczorne mycie. Twarz i zęby przetrwają jeszcze parę godzin bez czyszczenia.

Wydawało jej się, że ledwie zamknęła oczy, kiedy rozległo się pukanie. Leesha zerwała się zaskoczona, że noc minęła tak szybko.

Jakież było jej zdziwienie, gdy okazało się, że za oknem wciąż panuje ciemność rozjaśniona tylko łagodną poświatą runów.

Łomotanie do drzwi brzmiało nieprzerwanie, gdy Leesha wciągała niezdarnie suknię i potykając się, wyszła z sypialni. Specjalnie tej nocy nie używała *hora*, żeby zaznać trochę naturalnego snu. Dlatego czuła się teraz jak o poranku po weselu Arlena, gdy upiła się na umór. Głowa ją łupała do taktu rytmicznych uderzeń w drzwi.

Jeżeli za progiem nie stoi ktoś, kto właśnie wykrwawia się na śmierć, to zaraz będzie.

Leesha postarała się ukryć swoje niezadowolenie, zanim otworzyła. W wejściu ujrzała matkę.

Stwórca mnie karze, pomyślała z niedowierzaniem. To jedyne wyjaśnienie.

Elona popatrzyła uważnie na rozczochraną i niekompletnie ubraną córkę.

– Przybrałaś trochę na wadze, dziewczyno. Miejscowi już zaczynają szeptać, że hrabia może doczekać się dziedzica.

Leesha skrzyżowała ramiona na piersi.

– Plotki, które bez wątpienia podsycasz.

Elona wzruszyła ramionami.

– Porozumiewawcze mrugnięcie tu, szturchnięcie tam... Nic, za co trafiłabym przed trybunał. Wyłożyłaś klaty na stół, kiedy się upiłaś i rzuciłaś na hrabiego w obecności jego woźnicy, Leesho. Już za późno, żeby wszystkiemu zaprzeczać.

– Nie zrobiliśmy tego na oczach... – zaczęła Leesha, ale urwała w pół słowa. Dlaczego w ogóle dawała się

wciągając w tę dyskusję? Łóżko kusiło ją bardziej. – Po co przyszedł do mnie w środku nocy, matko?

– Phi, jest ledwie północ – skrzywiła się Elona. – Od kiedy to chodzisz spać tak wcześnie?

Leesha nabrała tchu, żeby się odgryźć, ale matka miała rację. Zielarka przywykła do wizyt o każdej porze dnia i nocy, ale większość była wcześniej umówiona.

Elonę zniecierpliwilo czekanie na zaproszenie, więc przepchnęła się obok Leeshy.

– Zrób herbatę, dziewczyno. Noce robią się zimne jak serca otchłańców.

Leesha przymknęła oczy, policzyła do dziesięciu i dopiero wtedy napełniła czajnik. Elona oczywiście nie kiwnęła palcem, żeby pomóc. Siedziała już w salonie, gdy Leesha przyniosła tacę z filiżankami. Bez wątplenia bujany fotel Bruny był najwygodniejszy, dlatego właśnie Elona go zajęła. Wiedziała, że to ulubione miejsce córki.

Leesha postarała się zachować z godnością, gdy sztywno przysiadła na sofie.

– Dlaczego tu przyszedł, matko?

Elona upiła herbaty, skrzywiła się i dodała trzy łyżeczki cukru.

– Mam wieści – oznajmiła.

– Dobrze czy złe? – zapytała Leesha, chociaż znała już odpowiedź. Nie pamiętała, czy matka kiedykolwiek przyniosła dobre wieści.

– I takie, i takie, zależy od punktu widzenia. Myślę, że nie będziesz jedyna.

– Jedyna? – zdziwiła się Leesha.

Elona wygięła plecy i pogłaskała się po brzuchu.

– Zapewne wywołam skandal w samą porę, żeby odwrócić uwagę od ciebie.

Leesha próbowała coś powiedzieć, ale nie umiała znaleźć słów. Przyglądała się tylko matce z niedowierzaniem.

– Jesteś...

– Rzygam jak kot i spóźnia mi się okres – potwierdziła Elona. – Nie pojmuję nawet, jak to możliwe, ale stało się.

– Z pewnością to możliwe – przyznała Leesha. – Masz tylko czterdzieści czte...

– Oj! – przerwała jej matka. – Tylko bez takich. Nie mówmy o wieku. Ćwierć wieku temu wiedźma Bruna, twoja święta nauczycielka, powiedziała mi, że jesteś ostatnim owocem mojej macicy. Nie piłam potem żadnych wywarów poronnych ani nie kazałam mężczyznom przerywać przed wytryskiem, a jednak nie doszło do zapłodnienia. Chcesz mi teraz powiedzieć, że nagle znowu rozkwitłam?

– Wszystko jest możliwe – przyznała Leesha. – Ale jeżeli mam zgadywać, powiedziałabym, że to zasługa wielkiego runu.

– Hę? – zdziwiła się Elona.

– Każdy w Zakątku Rębaczy od roku żyje na runie, który nasycza ziemię magią. Nawet ci, którzy nie walczą, dostają trochę mocy, przez co stają się młodszy, silniejsi...

– ...i bardziej płodni – domyśliła się matka. Ugryzła herbatnika, zrobiło jej się niedobrze, więc czym prędzej odłożyła ciastko na spodek. – Nie jest tak źle, jak mi się zdaje. Twój brat lub siostra i twoje dziecko będą mogły spać w tej samej kołysce i ganiać się po ogrodzie.

Leesha próbowała to sobie wyobrazić, ale nie zdołała.

– Matko, muszę zapytać...

– ...kto jest ojcem? – dokończyła Elona. – Niech mnie Otchłań, jeśli wiem. Gared bywał u mnie regularnie przez ostatnie parę lat...

– Na Stwórcę, matko!

Elona zignorowała jej okrzyk i mówiła dalej:

– Ale chłopak zrobił się strasznie religijny, odkąd stanął do walki u boku Naznaczonego. Nie tknął mnie już po tym, jak przyłapałaś nas na drodze. – Westchnęła. – To może być dziecko twojego ojca, jak mi się zdaje, ale Erny nie jest już takim mężczyzną jak niegdyś. Byłabyś zdumiona, co muszę zrobić, żeby mu stanął na tyle...

– Auć! – Leesha zatkała sobie uszy.

– Co? – oburzyła się Elona. – Nie jesteś Zielarką? Czy to nie twój obowiązek słuchać takich wyznań i pomagać miejscowym w podobnych sytuacjach?

– No tak...

– Więc każdy może, tylko nie matka?

Leesha przewróciła oczami.

– Matko, nikt inny nie przychodzi do mnie z takimi opowieściami. A co z tatą? Ma prawo wiedzieć, że dziecko może nie być jego.

– Ha! – zaśmiała się Elona. – Przyganiał kociół garnkowi.

Leesha zacisnęła usta. Raczej nie mogła zaprzeczyć.

- W każdym razie Erny wie – zapewniła Elona.
- Leesha zamrugła.
- Wie?
- Oczywiście, że wie! Twój ojciec ma wiele wad, ale nie jest głupi, Leesho. Wie, że nie może zaorać pola, jak należy, więc przymyka oko, kiedy ktoś inny robi to za niego. – Elona skrzywiła się. – Chociaż przyłapałam go parę razy, jak patrzył. Wtedy nie potrzebował pomocy, żeby stanąć na wysokości zadania.
- Leesha ukryła twarz w dłoniach.
- Stwórcu, zabierz mnie stąd.
- Nie w tym rzecz – podjęła matka. – Erny’emu to nie przeszkadza, o ile nikt nie będzie mu wściubiał nosa w jego sprawy.
- Chociaż ty starałaś się, żeby wszyscy wiedzieli? – rzuciła Leesha.
- Nic podobnego! Tobie mogę powiedzieć wszystko, bo jesteśmy rodziną. Przecież nie rozpowiadałabym pruderyjnym żonom w Świętym Domu, że twój tata lubi...
- Dobrze już! – Leesha wolała pozwolić, żeby matka wygrała tę sprzeczkę, niż znosić dłużej tę rozmowę. – Nie wiadomo zatem, kto jest ojcem twojego dziecka. Pewnie ludzie wypędzą nas obie z miasta.
- Otchłań z nimi – prychnęła Elona. – Jesteśmy z tej samej krwi. Miasto będzie się musiało do nas przyzwyczaić.



16

Dziecko demona

333 rok plagi, zima

Wybacz, pani. – Tarisa po raz trzeci próbowała zasznurować na plecach suknię Leeshy. – Tkanina chyba się zbiegła. Może powinnaś wybrać inną kreację, a ja każę szwaczce poprawić tę.

„Zbiegła się”. Tarisa, niech ją Stwórca błogosławi, była zbyt dyskretna, aby zwrócić Leeshy uwagę, a przecież było jasne jak dzień, że Zielarka przytyła. W lustrze widziała odbicie swojej twarzy, bardziej pulchnej, podobnie jak biust, który chyba zwiększył się dwukrotnie przez minione dwa tygodnie. Thamos poświęcał ostatnio pierśom Leeshy więcej uwagi, ale jeszcze nie połączył przesłanek we wnioski. Tarisa jednak spoglądała znacząco, a w kącikach ust igrał jej cień uśmiechu.

– Zrób tak, proszę. – Leesha weszła za parawan, zdjęła suknię i przesunęła dłonią po brzuchu. Był jeszcze dość płaski, ale to nie potrwa długo. Matka powiedziała, że plotki krążą od paru tygodni. Nikt nie ośmielił się rzucić Zielarce prosto w oczy, że ma bękarta, ale gdy tylko ciąża stanie się widoczna, nie uda się powstrzymać najazdu prawych żon, a to wywoła zamieszanie, które nie ujdzie z pewnością uwadze Thamosa.

Leesha zacisnęła palce, gdy ogarnęła ją panika. Serce jej załomotało, miała wrażenie, że na piersi zaciska się ciasna obręcz, która dławi dech. Zielarka rozpaczliwie nabrała tchu, do oczu napłynęły jej łzy, ale zdusiła łkanie. Lepiej, żeby Tarisa nie widziała jej w tym stanie.



Poszukała chusteczki, ale nie mogła znaleźć. Była już gotowa unieść rąbek halki, żeby otrzeć oczy, kiedy pojawiła się dłoń Tarisy z czystym skrawkiem materiału.

– Łzy pojawią się i znikną, pani – oznajmiła służąca. – Lepiej, niż się umazać.

Ona wie. Nie było to żadnym zaskoczeniem, ale potwierdzenie i tak przeraziło Leeshę. Miała coraz mniej czasu. Pod wieloma względami już było za późno.

– Było tego tyle, że wystarczyłoby na niejedno życie – odparła Leesha. – Przynieś, proszę, zieloną suknię.

We wskazanej sukni sznurowanie łatwiej można było dopasować do zmienionej sylwetki.

Tego dnia nie odbywało się posiedzenie rady, a Thamos wyjechał do swoich zajęć. Tarisa, zajęta sadzeniem, nie przerywała mówienia o frywolnościach. Zapewniła, że Leesha może z nią porozmawiać, jeżeli tylko zechce, ale służąca za dobrze znała swoje miejsce, żeby naciskać. Ona i inne służące bez wątpienia będą uradowane. Kochały hrabiego i przyjęły Leeshę z otwartymi ramionami. Wszyscy pragnęli dziedzica.

Co pomyśla, gdy się okaże, że dziecko jest dziedzicem demona pustyni, nie ich ukochanego hrabiego?

Leesha umknęła z pałacu jak najszybciej. Musiała odpocząć od wścibstwa służących. Tarisa może i nie mówiła o swoich domysłach, lecz bez wątpienia w kwaterach służby szerzyły się plotki.

Szpital nie dał jej schronienia. Kobiety co prawda nie widziały Leeshy w niekompletnym stroju jak Tarisa, ale miały szkolenie i praktykę. Dobrą Zielarkę uczyło się podejrzeń, że każda kobieta może być w ciąży, dlatego należy szukać potwierdzających to objawów i poszlak. Leesha przebiegła przez poczekalnię do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. Usiadła przy biurku i ukryła twarz w dłoniach.

Stwórco, co mam robić?

Rozległo się pukanie i Leesha zaklęła pod nosem. Potrzebowała przecież tylko chwili spokoju. Czy naprawdę żądała za wiele?

Wygięła plecy, zaczerpnęła głęboko tchu i odsunęła swoje troski.

– Proszę.

Do pokoju weszła Amanvah, a za nią Lusy Prządka, która wbijała w młodą kapłankę groźne spojrzenia. Tylko tego jeszcze Leeshy brakowało. Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała łzy. Dlaczego to nie mógł być skalny demon?

Na szczęście obie przybyłe były zbyt zajęte sobą, żeby zważać na uczucia Zielarki. Leesha opanowała się. Obie kobiety podeszły do krzeseł przy jej biurku i usiadły bez zaproszenia. Na sam widok Zielarkę rozboleła głowa.

Amanvah zachowywała się z większym opanowaniem, ale Leesha wyczuwała, że to udawane. Kobieta wyglądała, jakby miała ochotę zerwać z twarzy zasłonę i splunąć.

– Musimy z tobą porozmawiać, pani.

Nozdrza Leeshy zadrżały. Amanvah okazywała szacunek, ale nie ukryła władczego tonu w swoich słowach, jakby stanowiły tylko formalność, a odmowa nie wchodziła w grę.

– Negocjacje nie przebiegają pomyślnie? – zapytała Zielarka, choć doskonale znała odpowiedź.

Spokój Amanvah prysł.

– Ona chce pałacu. Pałacu! Dla trzeciej żony z *chin*, której rodzina służy pastuchom.

– Oj! – krzyknęła Lusy.

– Nie osądzaj tak łatwo tych, którzy są niższego stanu – stwierdziła Leesha. To właśnie ona podsunęła Lusy pomysł z pałacem po przestudiowaniu krasjańskiego prawa małżeńskiego. – Czyż Kaji nie urodził się w rodzinie biednych zbieraczy owoców? A tuziny jego żon miało własne pałace.

– Kaji był Wybawicielem, wybranym przez Everama – zaoponowała Amanvah.

– Sama powiedziałaś, że Rojera również wybrał Everam – zwróciła jej uwagę Leesha.

Amanvah zamarła na ten argument.

– Bo jest...

– Powiedziałaś też, że Kendall dzieli jego dar. Czy to nie oznacza, że ona również została wybrana?

Amanvah wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersi jak w obronie.

– Everam w ten czy inny sposób wybiera wszystkich. Ale nie każdy ma pałac. Czy ja mam? Albo Sikvah? Pochodzimy z rodu Wybawiciela. Czy Kendall powinna zostać postawiona wyżej od nas?

– Ach, to racja – wtrąciła Lusy. – Może to ONA powinna być *Jiwah* Pierwszą czy coś.

Brew Amanvah drgnęła, a Leesha zrozumiała, że ten spór zaszedł za daleko.

– Wystarczy, Lusy. – Pozwoliła, aby do jej głosu wsączył się gniew. Lusy spojrzała na nią zaskoczona. – Wiem, że kochasz swoją córkę i chcesz dla niej jak najlepiej, ale po co ci, na Otchłań, pałac? Widziałaś chociaż jeden?

Lusy wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać. Do najbystrzejszych też nie należała.

– A-ale powiedzieliście...

Leesha nie miała czasu, aby się nad nią roztkliwiać, przerwała Lusy w pół słowa, zanim kobieta ujawniła podstęp.

– Nigdy nie mówiłam, żebyś była grubiańska. Przepróż. Już.

Lusy z przerażeniem spojrzała na Amanvah, podniosła niezdarnie rąbek spódnicy i wykonała na siedząco niezdarną imitację dygu.

– Wybaczcie, Wasza... e...

– ...Wysokość – podpowiedziała Leesha.

– Wysokość – powtórzyła Lusy.

– Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli damy sobie trochę czasu, aby wszystko przemyśleć na spokojnie – oznajmiła Leesha. – Amanvah, żeby przypomniła sobie, że nie targuje się o jucznego muła, a Lusy, żeby przypomniła sobie wersety Kanonu na temat chciwości. Roni ustali termin naszego następnego spotkania. Może podczas pełni?

Pełnia dla Krasjan stanowiła okres błogosławiony przez Everama, czas składania przysięg i zawierania sojuszy. Tak się złożyło, że oddalała też problem Kendall i Lusy o prawie miesiąc, dzięki czemu Leesha zyskiwała czas na

znalezienie kolejnej wymówki opóźniającej ślub.

Amanvah skinęła głową.

– Zgoda.

Lusy nie traciła czasu, zerwała się z miejsca, dygnęła niezdarnie i uciekła. Amanvah pozostała na krześle. Pokręciła głową, gdy drzwi się zatrzasnęły.

– Na jaja Everama, nie jestem pewna, czy ta kobieta to jakaś mistrzyni targów, czy też brak jej zupełnie rozumu.

Leesha była wstrząśnięta.

– Amanvah, chyba nigdy nie słyszałam, żebyś przeklinała.

– Jestem Oblubienicą Everama – odparła Amanvah z godnością. – Jeśli mnie nie wolno wspominać o Jego jajach, to komu?

Leesha roześmiała się – zdawało jej się, że od wieków nie śmiała się tak szczerze. Amanvah dołączyła do niej i na chwilę zapanował między nimi pokój.

– Mogę ci w czymś jeszcze pomóc, Amanvah?

– Jesteś w ciąży. Chcę wiedzieć, czy to dziecko mojego ojca.

I tak po prostu pokój między nimi zniknął. Podobnie jak znużenie i zdenerwowanie. W ciele Leeshy zatętniła adrenalina, wyostrzyły się wszystkie zmysły. Jeżeli Amanvah ośmieliłaby się zagrozić dziecku...

– Nie wiem, o czym mówisz...

Amanvah uniosła swój miśzek *hora*.

– Nie kłam, mistrzyni. Kości już to potwierdziły.

– Ale nie powiedziały, czyje to dziecko? – upewniła się Leesha. – Intrygujące są te kości. Kapryśne, jak się okazuje. Nie można na nich polegać.

– Nie ma wątpliwości, że jesteś w ciąży – stwierdziła Amanvah. – Żeby dowiedzieć się więcej, potrzebna jest krew. – Spojrzała na Leeszę wyczekująco. – Najwyżej kropla lub dwie i będę mogła stwierdzić, kto jest ojcem, podać płęć, nawet ogólnie przyszłość tego dziecka.

– Nawet jeżeli jestem, co ci do tego?

Amanvah skłoniła się lekko, czego nie robiła często.

– Jeżeli to mój przyrodni brat lub siostra, czyli pochodzi z krwi Wybawiciela, moim obowiązkiem jest to dziecko chronić. Mało kto wie lepiej ode mnie, ilu zabójców przyciągnąć może potomek Shar'Dama Ka.

Była to kusząca propozycja. Płęć dziecka mogła znacząco zaważyć na latach nadchodzącej wojny z Krasją, a Leesha rozpaczliwie pragnęła poznać przyszłość, w której jej dziecko byłoby bezpieczne.

Ale bez wahania pokręciła przecząco głową. Gdyby dała Amanvah krew, pozwoliłoby to dzięki kościom ujawnić słabości Leeshy. Żadna *dama'ting* nigdy nie poprosiłaby innej kobiety dysponującej *hora* o krew. Była to obraza, która mogłaby ciągnąć się przez wiele pokoleń.

– Zapominasz się, córko Ahmanna. – Leesha pozwoliła, aby w jej głosie zabrzmiał gniew. – Albo uważasz, że jestem głupia. Zejdź mi z oczu. Już, zanim całkowicie stracę cierpliwość.

Amanvah zamrugała, ale Leesha patrzyła twardo i mówiła szczerze. Zielarka miała tutaj władzę. Każdy w Zakątku obróciłby się przeciwko Amanvah, gdyby Leesha choć skinęła palcem. Większość tylko czekała, aż tak uczyni.

Młoda kapłanka wstała z godnością. Jej szybkie kroki do wyjścia były niemal jak ucieczka.

Kiedy drzwi się zamknęły, Leesha ukryła twarz w dłoniach.



Amanvah rozejrzała się uważnie, zanim wspięła się do powozu. Rojer przywykł do jej nastrojów, odczytywał je łatwo z wyrazu oczu i radził sobie z nimi jak z otchłańcami.

Ale nawet empatia nie pomogła mu pojąć, o czym teraz myślała żona. Jej zachowanie było nietypowe, nie okazywała jak zwykle wyższości. Wydawała się niemal wstrząśnięta.

Rojer wyciągnął rękę.

– Wszystko dobrze, ukochana?

Amanvah uścisnęła mu dłoń.

– Wszystko w porządku, mężu. Jestem po prostu zdenerwowana.

Minstrel skinął głową, chociaż wiedział, jak wyglądało zdenerwowanie u Amanvah. Z pewnością nie tak.

– Mama wciąż nie daje się przekonać? – zapytała Kendall.

– Z pewnością pani Leesha ją przekona – zapewniła Sikvah.
– Nie liczyłbym na to za bardzo – westchnął Rojer. – Może Leesha nie sprzeciwi się otwarcie, ale nie była zachwycona tym pomysłem.
– To się jeszcze zobaczy – stwierdziła Amanvah. – Pani Leesha wydawała się skłonna do mediacji przy kontrakcie, ale nie jestem pewna, czy jest bezstronna. Może doprowadzić do tego, że nie będziemy mogli zapłacić posagu.
– Nie obchodzi mnie żaden posag – mruknęła Kendall. – Pozwólcie mi z nią porozmawiać...
Amanvah pokręciła głową.
– Absolutnie nie. Nie wypada ci angażować się w te procedury, młodsza siostró.
– Ach, więc wszyscy mają coś do powiedzenia w sprawie mojego małżeństwa oprócz mnie? – oburzyła się Kendall.

Rojer musiał się na to roześmiać.
– I tak masz więcej do powiedzenia niż ja. Mnie nawet nie zapytano, czy tego chcę. – Ale kiedy Kendall wbiła w niego oczy, zapewnił szybko: – Chociaż oczywiście chcę. Im wcześniej, tym lepiej.
– I właśnie dlatego oboje musicie pozostać z dala od rozmów w tej sprawie – wyjaśniła Amanvah. – Oboje przeczytacie kontrakt, zanim zostaniecie poproszeni o jego podpisanie, ale słuchanie o waszych wadach podczas targów może tylko wyrządzić szkody. Jak napisano w Evejah: „Chłód negocjacji kontraktu małżeńskiego powinien móc ugasić ogień, które winny w nim płonąć”.

Kendall westchnęła ciężko.

– Jestem po prostu zmęczona tym, że muszę wracać na noc do mamy. Nie obchodzi mnie jakiś świstek papieru.



Rojer wyszedł w otwartą noc. Rozpiął runiczny płaszcz pomimo chłodu w powietrzu. Odetchnął głęboko, napełnił płuca zimowym mrozem. Dusił się w tym płaszczu już zbyt długo.

Oboje z Kendall zagraли prostą melodię na skrzypcach, skłaniając otchłańce do przejścia dalej, podczas gdy śpiew Amanvah i Sikvah czynił ich grupkę niewidzialną dla demonich zmysłów.

Było ich pięcioro. Kendall i Sikvah z tyłu, połączone muzyką niczym kochanki. Rojer i Amanvah dzielili podobną więź. Minstrel wyczuwał, jak głos żony rezonuje w nim, bardziej intymnie niż dotyk podczas seksu. Cała czwórka odtwarzała tę samą melodię, ale głos Amanvah prowadzony był skrzypcami Rojera, podczas gdy Sikvah podążała za przewodnictwem Kendall. Pozwalało im to rozdzielić się na dwa duety, gdyby zaszła potrzeba. Śpiew przeplatany grą skrzypiec wzmacniał wzajemnie moc całego kwartetu. Przodem szedł Coliv z czujnie uniesioną włócznią i tarczą. Nie mieli pochodni – otoczenie rozświetlała magia. Rojer i Kendall nosili aksamitne maski runiczne, które wykonały Amanvah i Sikvah. Maski pozwalały widzieć magiczny blask. Księżniczki miały delikatne siatki na włosach, zwisające na łańcuszkach monety z runami zapewniały tę samą moc. Amanvah wyszyła symbole również na turbanie i zasłonie Coliva, żeby wojownik mógł iść z nimi.

Dotarli do swojego ulubionego miejsca ćwiczeń, szerokiej łąki zapewniającej widok na wiele mil z każdej strony. Coliv wspiął się od razu na pagórek i rozejrzał uważnie. Dał znak, że jest bezpiecznie, więc muzycy wspięli się za nim.

Kiedy zajęli pozycje, Rojer uniósł smyczek znad strun. Przestał grać, a Amanvah umilkła.

Kendall skinęła głową, zmieniła łatwą melodię, która trzymała demony z daleka, na zew, który poniósł się daleko w noc i zaczął kusić otchłańce obietnicą łatwej zdobyczy. Sikvah nie przerywała śpiewu, jej głos maskował obecność ludzi.

Wichrowe demony pojawiły się pierwsze – dwa stwory zaczęły krążyć nad głowami piątki ludzi. Kendall przywołała je bliżej, a potem zmieniła melodię. Sikvah gładko przerwała zaklęcie maskujące i przyłączyła się śpiewem do melodii Kendall. Demony zawisły w pół uderzenia skrzydeł, zderzyły się ze sobą i spadły w kłębowisku dziobów i szponów. Uderzenie o ziemię było tak mocne, że Rojer niemal słyszał trzask łamiących się pustych kości.

On i Amanvah zaklaskali, a Kendall i Sikvah skłoniły się, jak je nauczył.

– Polne demony od zachodu – zameldował Coliv.

Stado było niewielkie, tylko pięć osobników, ale pięć polnych bestii mogło w okamgnieniu rozszarpać człowieka na strzępy.

Obie kobiety zachowały spokój. Odwróciły się i przyjrzały zbliżającej się grupie otchłańców. Sikvah podjęła pieśń zapewniającą całej piątce ludzi niewidzialność równie skutecznie jak płaszcze z runami.

Kiedy polne demony podeszły bliżej, skuszone obietnicami skrzypiec, Kendall zmarszczyła brwi, po czym wplotła kolejną melodię w śpiew Sikvah. Tym razem otchłańce ogarnął przejmujący ból. Sikvah dostosowała się do harmonii muzyki, utrzymując nie tylko zakłęcie niewidzialności, lecz także dodając mocy atakowi Kendall.

Rojer zacisnął silniej dłoń na gryfie skrzypiec, gdy demony znalazły się bliżej. Przypomniał sobie, jak przez jego lekkomyślność Kendall została zaatakowana.

Jednak skrzypaczka wychodziła już z nim w otwartą noc wiele razy od tamtego feralnego zdarzenia. Nadeszła pora, aby przestać dziewczynę rozpieszczać.

– Zbyt łatwe – rzucił, gdy Kendall skłoniła demony do walki. – Każdy wart parę klatów Minstrel mógłby wywołać walkę demonów, gdyby miał do dyspozycji arkusz z nutami mojej melodii. – Nie była to całkowicie prawda, ale Kendall nadal miała opory i w jej harmonii z Sikvah wyczuwało się napięcie. Musiała się sprawdzić.

Skrzypaczka posłała mu uśmiech.

– Tak? A co powiesz na to, że zaatakują siebie?

Zmieniła melodię, obróciła ją jak nóż w ranie, a polne demony skierowały szpony i kły przeciw sobie. Najpierw Kendall zmusiła je, aby same wydłubały sobie oczy, a kiedy leżały wściekłe z bólu, skłoniła je, żeby obróciły się na grzbiety, gryzły się i szarpały pazurami w szale, dopóki liczba głębokich ran nie pozbawiła ich życia lub przytomności. Cuchnąca posoka lśniła jasno magią i rozlewała się w gęstą kałużę wokół leżących bezwładnie stworów.

W niedługim czasie tylko jeden z otchłańców wciąż jeszcze się ruszał. Miał gruby pancerz i przewodził stadu. Kendall złagodziła melodię, a stwór zerwał się czujnie. Jego rany zaczynały się zamykać, goiły się szybko. Wkrótce te zamglone ślepia znowu miały przejrzeć.

Kendall nie dała demonowi tyle czasu. Wyciągnęła pasma muzyki, złapała demona i powiodła go w dzikim biegu prosto na wystający z ziemi głaz. Otchłaniec zatoczył się, skrzeczając, ale Kendall równie dobrze mogłaby mu zaciskać strunę skrzypiec na gardle. Zmusiła stwora, aby rozpędził się ponownie i uderzył głową w kamień. Raz po raz, dopóki nie rozległo się plaśnięcie, a otchłaniec nie padł z rozbitą czaszką.

Rojer klaskał i gwizdał, aby wyrazić najwyższy aplauz. Nawet Coliv uderzył włócznią o tarczę. Ale potem od razu wskazał w dal.

– Demony ognia nadchodzą od południa. Drewniaki od wschodu.

Minstrel również dostrzegł otchłańce w oddali.

– Opuść skrzypce, Kendall. Teraz kolej na Amanvah i Sikvah.

Amanvah przysunęła się do Sikvah, jej głos zaczął unosić się i opadać, a w pieśń niewidzialności naturalnie wplotł się zew.

Kendall podeszła do Rojera z dumnym uśmiechem. Oparła się o niego. Minstrel poczuł przyśpieszone bicie serca i rumieniec na policzkach. Jego czeladniczka niewiele musiała ostatnio robić, żeby go podniecić. Jawiła mu się jako zupełnie nowa osoba.

– Niedługo będziesz tak dobra jak ja – zapewnił i naprawdę tak myślał.

Kendall pocałowała go w policzek.

– Lepsza.

– Oby Stwórca usłyszał twoje słowa – zgodził się Rojer. – Niczego innego nie pragnę.

Ogniste demony wbiegły na zbocze wzgórza, ale zanim dotarły na wierzchołek, Amanvah je uwiodła. Rojer nie potrafiłby tego opisać inaczej. Otchłańce otoczyły jego żony, wydając ciche, rytmiczne odgłosy, które podejrzenie przypominały mruczenie.

Grupa drzewnych stworów zbliżyła się i rozproszyła wokół wzgórza. Coliv ugiął nogi, a Rojer i Kendall mocniej chwycili instrumenty, gotowi unieść je, gdyby kobietom coś groziło.

Amanvah zaśpiewała wyżej. Demony ognia wygięły grzbiety, zasyczały i rzuciły się bronić zboczy. Nie przestawały syczeć, gdy drewniaki podeszły bliżej, a kiedy te znalazły się w zasięgu, zostały oplute ogniem.

Bitwa, która się wywiązała, była dzika, ale całkowicie jednostronna. Demony drzewne obawiały się ognistych, ale rzuciły się do ataku bez wahania. Demony ognia mogły zranić swoich drzewnych pobratymców, nawet czasami zabić, ale drewniaki zawsze zdołały zmiażdżyć przynajmniej kilka ziejących ogniem stworów.

Wtedy jednak Sikvah zaśpiewała kontrapunkt do uwodzicielskiej pieśni Amanvah, zmieniając pieśń niewidzialności tak, aby osłonić nowych sprzymierzeńców. Drewniaki machały kończynami, lecz zwinne ogniaki tańczyły między ślepych przeciwnikami i celnie izały ogniem. Płomienie rozjarzyły się tak mocno, że Rojer widział świetliste smugi przy każdym kształcie. Zgiął dłoń, z której demon ognia odgryzł środkowy i wskazujący palec.

Niedługo potem ostatni z drzewnych demonów padł i zmienił się w żarzący się popiół, dogasający powoli i czerniejący na stoku.

– Równie dobrze mogły wyjść na słońce – stwierdziła Kendall z aprobatą.

– O, tak – odparł głośno Rojer. – Ale jak mówiłem, sprawianie, aby demony walczyły przeciw sobie, jest łatwe.

Oczywiście to, czego dokonały żony Minstrela, znacznie wykraczało poza możliwości przeciętnego śpiewaka, ale podobnie jak Kendall były tutaj, aby poznać granice swoich umiejętności.

Amanvah uśmiechnęła się i Rojer wiedział, że nie bez powodu pokładał w niej wiarę. Kobieta dotknęła naszyjnika, gdy wzniosła głos o oktawę wyżej, a pieśń, która przed chwilą sprawiła, że demony ognia tańczyły, aby uczcić radość zwycięstwa, stała się biczem, który pchnął je do szaleńczego biegu na północ. Znajdował się tam zimny staw z rybami, ledwie o milę dalej. Dzięki zmysłom wzmocnionym przez runy Rojer usłyszał plusk, gdy ogniaki wskakiwały do wody, i zobaczył kłęby pary znaczącej ich śmierć.

Błysk magii nad głowami sprawił, że Rojer uniósł wzrok. Wichrowy demon uderzył w ziemię o parę stóp od obu żon Minstrela, z piersi stwora wystawała włócznia wojownika. Włócznia przetrwała upadek. Otchłaniec nie.

Wypatrywacz skłonił się nisko.

– Prawdą jest, że Everam was wybrał. Ale to was nie ocali, jeżeli zaniechacie czujności. Everam nie ma czasu na głupców, którzy nie szanują potęgi Nie.

Rojer spodziewał się, że Amanvah warknie na wojownika za ten ton wyższości, ale ona tylko skłoniła się lekko. Minstrel nigdy wcześniej nie widział, aby tak potraktowała jakiegokolwiek *Sharum*.

– Mądrze rzekłeś, Wypatrywaczu, a my wysłuchaliśmy twoich słów.

Coliv skłonił się znowu jeszcze niżej.

– Żyję, aby służyć, święta córko.



Leesha pozostawiła drzwi zamknięte, gdy przedzierała się przez stosy dokumentów ustawionych na biurku. Wonda odpędzała gości, nawet Jizell i Darsy. Zielarka nie miała nastroju na spotkanie.

Charakterystyczne pukanie Wondy sprawiło, że Leesha westchnęła. Komu tak bardzo zależało, aby jej przeszkadzać?

– Wejdz, moja droga.

Wonda wsunęła do gabinetu tylko głowę.

– Wybacz, pani...

Leesha nie uniosła nawet głowy znad pergaminów, w których robiła dopiski, poprawki i podkreślenia.

– Lepiej, żeby ktoś był umierający, Wondo. Nie mam czasu. Powiedz, żeby się umówił na spotkanie.

– Nic z tych rzeczy. Prosiłaś, żebym cię powiadomiła, gdy nadejdzie zmierzch. Miałaś dziś wieczorem zbadać naznaczone dzieci.

– Niemożliwe, żeby już było tak późno... – zaczęła Leesha, ale jedno spojrzenie w okno, za którym ciemniało niebo, potwierdziło słowa Wondy. Zielarka nie zdawała sobie nawet sprawy, że w gabinecie zrobiło się ciemno i od dłuższego czasu nieświadomie wyteżała wzrok.

Spojrzała na ledwie napoczętą stertę i zwalczyła chęć, żeby się rozpłakać. Zmierzch zapadał wcześniej, im bardziej zbliżała się równonoc, przez co wydawało się, że Leesha nie ma szans, by podołać obowiązkowi. Noc ją dławiała. Zakątek omal nie został zniszczony latem podczas Nowiu. Mieszkańcy umierali nieustannie, całe hrabstwo wyczekiwało świtu jak zbawienia i potrzebowało czasu na odzyskanie sił. Co by się stało, gdyby książęta otchłanców wrócili, kiedy ciemność zapadnie znowu na dłużej, a do świtu pozostanie kilka godzin?



– A Stela siłowała się z przeklętym drewniakiem! – mówiła Wonda, gdy jechały do domu Leeshy powozem. Zwykle obie chodziły pieszo te parę mil z chaty Zielarki do szpitala, ale spacer dla Leeshy już się skończyły, zbyt wielu ją zaczepiało po drodze. – Na Stwórcę, powinnaś to zobaczyć – ciągnęła Wonda. – Otchłaniec szarpał się i kopał, a potem padł rozdarty w pół, a Stela niewzruszona jak drzewo czekała na kolejną zdobycz. Następnemu złamała kręgosłup jak patyk.

– Hę? – Leesha potrząsnęła głową. – Co zrobiła?
– Nie słyszałaś słowa z tego, co mówiłam, prawda?
Leesha westchnęła.
– Wybacz, moja droga.
Wonda zmrużyła oczy i przyjrzała jej się uważnie.
– Kiedy ostatnio spałaś, pani?
Zielarka wzruszyła ramionami.
– Zeszłej nocy parę godzin.
– Trzy – doprecyzowała Wonda. – Liczyłam. To nie wystarczy, pani. Wiesz sama. Zwłaszcza gdy jesteś...
– Tak? – ponagliła ją Leesha, gdy dziewczyna umilkła. Były same. Zielarka wymalowała też już dawno runy wyciszające na powozie, żeby zapewnić sobie trochę prywatności.
Wonda pobladła.
– No... To znaczy...
– Och, wykrztuś wreszcie, Wondo.
– No, kiedy spodziewasz się powiększenia rodziny – wydusiła Wonda.
Leesha westchnęła.
– Kto ci powiedział?
Wonda spuściła głowę.
– Mistrzynie Jizell. Powiedziała, że potrzebujesz specjalnej opieki, a jesteś zbyt uparta, żeby to przyznać.
Zielarka wydeła usta.
– Tak powiedziała, co?
– Próbowała tylko troszczyć się o ciebie i maleństwo – zaproponowała Wonda. – Nie wiedziałam, o co chodzi, ale zauważyłam, że po powrocie z Południa nie czujesz się najlepiej. To potomek demona, prawda?
– Wondo z Rębaczy! – warknęła Zielarka, a dziewczyna drgnęła zaskoczona. – Nigdy więcej nie życzę sobie, żebyś w ten sposób nazywała moje dziecko.
– Nie chciałam..
Leesha skrzyżowała ramiona.
– Ależ chciałaś.
Dziewczyna wyglądała, jakby zrobiło jej się niedobrze.
– Pani, ja...
– Tym razem – przerwała jej Leesha, gdy Wonda się zawahała – udam, że tego nie słyszałam. Tylko tym razem, bo cię kocham. Ale nigdy więcej. Jeżeli będę chciała, abys ty lub ktoś inny czegoś się dowiedział, powiem. Tymczasem jednak byłabym wdzięczna, gdybyś nie wściubiła nosa w moje sprawy.
Wonda kiwnęła głową, olbrzymka skurczyła się nieco, jak skarcona nastolatka, którą przecież była.
– Tak, pani.
Zapadł zmrok, gdy dotarły do chaty Leeshy, ale na podwórku tłoczyli się czeladnicy, Zielarki oraz naznaczone dzieci. Można było tylko stać, gdy Vika na scenie uczyła runów na płaszczu niewidzialności. Leesha chciała, aby każda Zielarka i czeladniczka w Zakątku miała taki płaszcz, zanim w pełni nadejdzie zima.
Vika siedziała przed podium dla mówców i rysowała symbole na arkuszu pergaminu. Lustra i soczewki przenosiły powiększony obraz na biały ekran, a setki kobiet kopiowało znaki do swoich notatników.
– Dzieci jeszcze się zbierają – stwierdziła Wonda. – Zabiorę Roni i dziewczyny, żeby je pomierzyły i zważyły. Dlaczego nie miałabyś się zdrzemnąć, pani? Zapukam, kiedy będziesz potrzebna.
Leesha zerknęła na nią ze znużeniem.
– Żadne wyrzuty nie powstrzymają cię teraz przed matkowaniem mi, prawda?
Wonda uśmiechnęła się bezradnie.
– Wybacz, pani. Nie umiem zapomnieć, czego się dowiedziałam.
Leesha pożałowała swoich ostrych słów. Wonda może i miała tylko szesnaście lat, ale dźwigała odpowiedzialność jak dorosła kobieta, z godnością, jakiej mało kto mógłby dorównać. Leesha niczego się nie obawiała, gdy miała u boku Wondę.
– Wybacz, że tak na ciebie naskoczyłam, Wondo. Chcesz tylko mi pomóc i kocham cię za to. Nie przestawaj, nawet gdybym była...
– ...uparta jak skalny demon? – podsunęła Wonda.
Leesha musiała się roześmiać.
– Idę prosto do łóżka, mamusiu.

Nikt jej nie przeszkadzał, gdy ruszyła do domu. Wonda wyszła naprzeciw dzieciakom. Spoglądały na nią z zachwytem, krzyżowały pięści na piersiach i kłaniały się jak uczniowie *sharusahk*. Wiele z nich było starszych od Wondy, ale i tak traktowało dziewczynę jak przywódczynię.

Leesha przyśpieszyła kroku – była coraz bliżej upragnionych chwil spokoju. Chciała uwarzyć sobie herbatę na sen i od razu przygotować napar na orzeźwienie, gdy pojawi się Wonda. Czy nareszcie mogła liczyć na cztery godziny nieprzerwanego wypoczynku?

– Leesha – zabrzmiało za jej plecami – cieszę się, że cię złapałam.

Zielarka odwróciła się z uśmiechem, który maskował jej prawdziwe uczucia. Jizell była ostatnią osobą w Thesie, którą Leesha chciałaby teraz widzieć. Wołałaby nawet wizytę Elony.

– Dlaczego nie jesteś na lekcji Viki? – zdziwiła się.

– Bo to Vika była moją uczennicą, nie odwrotnie. – Jizell machnęła ręką. – Niech dziewczęta uczą się runów, ja jestem za stara na wkładanie znowu fartucha czeladniczki.

– Dość tego – prychnęła Leesha.

Jizell z zaskoczeniem uniosła brwi.

– Hę?

– Nie słuchałaś mojego przemówienia? – naciskała młodsza Zielarka. – Czy po prostu wydaje ci się, że możesz ignorować moje słowa, bo kiedyś też byłam twoją uczennicą?

Rysy Jizell stwardniały.

– Masz czelność zwracać się tak do mnie po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, dziewczyno? Urabiam sobie ręce po łokcie, odkąd przybyłam do Zakątka, a przecież mogłam już miesiąc temu wyjechać do Angiers.

– Owszem – zgodziła się Leesha. – Tak bardzo, że inne kobiety biorą przykład z ciebie, gdy mnie nie ma w pobliżu. I właśnie dlatego musisz być wzorem. Ze względu na wszystkich. Skoro ty mnie lekceważysz i uciekasz z lekcji o runach, co powstrzyma inne starsze Zielarki od postępowania w ten sam sposób?

– Nie każda musi się nauczyć runów, Leesha – odwarknęła Jizell. – Wymagasz od tych kobiet zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. Zawaliłaś je książkami i zasadami, a nie sprawdziłaś nawet, czy umieją czytać.

– Nie – zaoponowała Leesha. – To ty wymagasz za mało. Omal nie zginęłam w drodze z Angiers, ponieważ nie mogłam stworzyć niczego więcej poza barierą runiczną. Jeżeli tylko będzie to w mojej mocy, nie dopuszczę, żeby przytrafiło się to innej Zielarce. Życie każdej kobiety warte jest poświęcenia paru godzin na naukę.

– Czyż nie będziemy miały niedługo naznaczonych dzieci, które nas obronią? – zdziwiła się Jizell. – Chodzą pogłoski, że to twój majsterszytk. Naznaczony strażnik dla każdej Zielarki.

Leesha miała ochotę rwać sobie włosy z głowy.

– Na noc, to tylko lekcja! Przestań mnie lekcewać i idź na zajęcia!

Jizell wzięła się pod boki.

– Lekcewać? Niby jak, na Otchłań, cię lekcewać?

– Dyskutujesz nad wymaganiami, które ratują życie! Łamiesz zasady, które ustalam. Zachowujesz się, jakbym nadal była twoją uczennicą. Na Noc, nawet nazywasz mnie „dziewczyną” w obecności innych Zielarek!

Jizell wyglądała na szczerze zaskoczona.

– Wiesz, że nie chciałam wcale...

– Wiem – przyznała Leesha. – Ale inni nie wiedzą. To musi się skończyć.

Jizell dygnęła drwiąco, ale w jej głosie zabrzmiała wyraźnie uraza.

– Czy jeszcze czegoś sobie życzysz ode mnie, pani?

Leesha nie wiedziała, czy między nią i Jizell będzie tak samo po tej rozmowie, ale zdawała sobie również sprawę, że z unikania problemów nigdy nie wynika nic dobrego.

– Powiedziałaś Wondzie, że jestem w ciąży.

Jizell nie zawahała się długo z odpowiedzią, ale rozpaczliwe poszukiwania kłamstwa błysnęły w jej aurze tak wyraziście, że Leesha ujrzałaby to z zamkniętymi oczami.

– Założyłam, że już pewnie sama się domyśliła...

– Demonie gównu! – syknęła Leesha. – Nie jesteś głupią plotkarą i nie wywołujesz przypadkowo skandali. Powiedziałaś jej, bo chciałaś, żeby mi matkowała.

– Och, i co z tego? – Jizell zacisnęła pięści i wzięła się pod boki. Leesha może i była już dorosła, ale ta kobieta umiała ją zastraszyć. – Ufasz tej dziewczynie i powierzasz jej swoje życie, ale dziecka już nie? Wymagasz od nas wiele, Leesha. Ale jeszcze więcej od siebie. Jesteś dorosłą kobietą, owszem, i sama potrafisz podejmować decyzje, ale teraz decydujesz za dwoje i ani Wonda, ani ja nie pozwolimy ci o tym zapomnieć. A jeżeli będziesz się kłócić, powiem też Darsy.

Leeshy zapłonęły policzki. Kochała Darsy jak siostrę, ale ta kobieta nosiła Kanon w każdej kieszeni fartucha i znała go na pamięć. Nie warzyła nawet herbaty poronnej dla kobiet. To... Cóż, ani Darsy, ani wiele innych Zielarek nie zostałyby na Zgromadzeniu, gdyby wiedziało, że Leesha nosi nieślubne dziecko, na dodatek spłodzone z Ahmannem Jardirem.

Kiedy Leesha o tym pomyślała, ogarnęła ją ciemność, a Jizell zaczęła odpływać. Zielarka osunęła się, ale starsza towarzyszka chwyciła ją w porę. Wydawało się jednak, że wszystko to dzieje się o wiele mil stąd.

– Pani Leesho! – krzyknęła Wonda, ale jej głos dochodził z bardzo daleka.



Leesha ocknęła się we własnym łóżku. Usiadła prosto i rozejrzała się zmieszana po ciemnym pokoju. Miała wrażenie, że powieki ma ciężkie jak głązy.

– Wondo? – zawołała.

– Pani Jizell! – Wonda ruszyła do Leeshy. – Przestraszyłaś nas, pani Leesho.

Jizell pojawiła się ze świecą i przecisnęła obok Wondy. Uniosła Leeshy ciężkie powieki łagodnie, lecz pewnie, przysunęła płomień, aby sprawdzić, czy kurczą się źrenice.

– Wszystko jest świetnie, Leesho. – Pogłaskała leżącą po policzku. – Śpij dalej. Nie dzieje się nic, co nie może poczekać do rana.

Leesha przesunęła wyschniętym językiem po ustach.

– Dałaś mi wywar nasenny.

Jizell skinęła głową.

– Śpij. Polecenie Zielarki.

Leesha uśmiechnęła się, a potem wtuliła policzek w poduszkę i zapadła w błogosławiony sen.



Kiedy obudziła się rano, czuła się silniejsza niż przez ostatnie miesiące. Myśli miała wciąż zamglone od wywaru nasennego, ale to mogła zmienić mocna herbata.

Kiedy ciasno owinięta szalem wywlokła się z sypialni, Jizell już czekała. Mentorka czuła się w kuchni Leeshy swobodnie jak we własnej. Podsunęła młodszej Zielarce kubek z herbatą, czarną i posłodzoną miodem, jaką piły niezliczoną ilość razy o poranku.

– Woda jest gorąca. Idź do łazienki, a potem przyjdź do stołu. Zrobię śniadanie, ani się obejrzysz.

Leesha skinęła głową, lecz nie od razu odeszła.

– Przepraszam za to, co powiedziałam.

Jizell machnęła ręką.

– I słusznie. Ale miałaś rację. Mogłabyś być co prawda bardziej uprzejma, ale ciężarna, która nie spała od wielu miesięcy, łatwo wpada w gniew. A teraz idź się umyć.

Kiedy Leesha skończyła się myć i wypiła herbatę, w głowie jej się rozjaśniło. Wybrała ulubioną suknię, a potem przyszła na śniadanie. Jizell, jak obiecała, przygotowała jajecznicę i warzywa.

– Zbadałam cię, gdy spałaś – oznajmiła. – Serce dziecka bije mocno jak topór Rębacza. Silne dziecko. – Wymierzyła w Leeshę widelec. – Ale ciąża zaczyna być widoczna. Thamos może nie zauważy, gdy jest zajęty twoim biustem, ale reszta miasta z radością zwróci mu na wszystko uwagę. O ile już ktoś tego nie zrobił. Jeżeli chcesz, żeby hrabia dowiedział się od ciebie, nie od obcych, to najwyższa pora mu powiedzieć.

Leesha nie odrywała oczu od jedzenia. Jizell, jak większość mieszkańców Zakątka, założyła, że to dziecko Thamosa.

– Porozmawiam z nim. I tak muszę zająć się dzisiaj Ogrodem Pałacowym.

Jizell parsknęła śmiechem.

– Tak to się teraz nazywa? Dobre określenie. Upewnij się, że dobrze zadbasz o ogród, zanim powiesz mu o nasionku.



Powóz zabrał Leeszę i Wondę prosto pod bramę Ogrodu Pałacowego. Do Zielarki próbowało podejść kilku dworzan, ale Wonda stanęła im na drodze. Tymczasem Leesha zniknęła wśród krzewów. Nikt nie mógł za nią wejść do ogrodu, gdy Wonda stała na straży.

Serce jej trzepotało, gdy zagłębiała się w zieleń. Zakradanie się do twierdzy Thamosa zawsze budziło w niej podniecenie. Strach przed przyłapaniem i oczekiwanie na seks wywoływały zawroty głowy jak couzi. Ale dzisiaj było inaczej. Jak podsunęła Jizell, Leesha zamierzała się kochać z Thamosem ten ostatni raz, ale ze względu na niego, nie tylko dla siebie.

Kiedyś uważała hrabiego za rozpieszczonego dworaka, zdolnego tylko do przemocy i łatwego do manipulowania. Thamos raz po raz dowodził, że się myliła. Nie był może pomysłowy i problemy rozwiązywał raczej po wojskowemu, jak z podręcznika, ale znany był ze sprawiedliwości i miejscowi wiedzieli jasno, czego od nich oczekuje. Nie wahał się użyć swoich arystokratycznych wpływów, ale też stawał w obronie najsłabszych ze swojego ludu podczas ataków otchłanów.

Dzisiejsze spotkanie mogło się zakończyć ich zaręczynami i Leesha z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że naprawdę bardzo by tego chciała. Dziecko urodzi się dopiero za pół roku, a któż wiedział jaki los zgotował im Stwórca do tego czasu?

W okamgnieniu Leesha minęła labirynt żywopłotów i wślizgnęła się przez ukryte drzwi do posiadłości. Tarisa już czekała i dyskretnie poprowadziła ją do alkowy z kolejnymi ukrytymi drzwiami, prowadzącymi prosto do sypialni Thamosa.

Hrabia też już czekał. Wziął Leeszę w ramiona i pocałował mocno.

– Dobrze się czujesz, ukochana? Słyszałem, że zemdliałaś...

Leesha przerwała mu pocałunkiem.

– To nic takiego. – Zsunęła dłoń niżej i szarpnęła pas Thamosa. – Możemy ukraść dla siebie przynajmniej godzinę, zanim Arther ośmieli się zapukać. Jeżeli jesteś mężczyzną, weźmiesz mnie dwa razy.

Doskonale wiedziała, że hrabia stanie na wysokości zadania. Thamos walczył z demonami prawie co noc, a Leesha osobiście wstawiła *hora* w jego pancerz i włócznie. Hrabia zrobił się teraz wyższy niż wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy, a jego podniecenie też przybrało na sile. Od pierwszej wspólnej nocy nie odczuwał też niepokoju wpływającego na męskość. Leesha już wyczuła, że jego spodnie się napinają.

Co zaskakujące, Thamos cofnął się, trzymając ją za przedramiona.

– Nic? Straciłaś przytomność na oczach połowy Zielarek w Zakątku i mówisz, że to nic takiego?

Thamos czekał na odpowiedź i cisza stawała się coraz bardziej napięta. Uścisnął ręce Leeshy, ujął ją lekko za podbródek, aby uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, Leesho, zrób to teraz.

On wie. Ciekawe, kto mu powiedział? Zapewne Tarisa. W zasadzie jednak nie miało to znaczenia.

– Jestem w ciąży.

– Wiedziałem! – Thamos chwycił ją w ramiona. Przez chwilę Leeshy wydawało się, że to atak, ale hrabia podniósł ją i zakręcił z radosnym okrzykiem.

– Thamosie!

Na jej okrzyk hrabia zamarł. Szybko postawił Leeszę i z troską spojrzał na jej brzuch.

– Oczywiście. Dziecko. Mam nadzieję, że nic...

– Wszystko dobrze – zapewniła Leesha. Ogarnęła ją ulga. – Zaskoczyło mnie tylko, że jesteś taki zadowolony.

Thamos roześmiał się głośno.

– Oczywiście, że jestem zadowolony! Teraz będziesz MUSIAŁA zostać moją hrabiną. Ludzie będą nalegać, a ja nie wyobrażam sobie lepszego rozwiązania.

– Jesteś tego pewien?

Thamos potwierdził gorliwie.

– Nie poradzę sobie bez ciebie, Leesho. Ani ty beze mnie. Naznaczony odszedł, ale razem możemy odeprzeć otchłanę i odbudować Zakątek, aby dorównał starożytnym wielkim miastom.

Leesha nie mogłaby zaprzeczyć, że te słowa budziły w niej radosne drżenie. Serce jej podskoczyło, gdy hrabia opadł na kolano i ujął ją za rękę.

– Leesho, Zielarko Zakątka, przyrzekam ci osobiście...

Stwórco, on myśli, że to jego dziecko. Nie ma pojęcia, jak jest naprawdę.

Zamarła. Właśnie tego chciała. Co gorsza, miała jeszcze pół roku, aby wszystko zaplanować. W Zakątku było wiele sierot. Może udałoby się znaleźć jakieś podobne do Thamosa, aby podmienić z dzieckiem Ahmanna. W ten sposób zapewniłaby też bezpieczeństwo dziecku z rodu Jardira.

A może w ogóle nie miała się czym martwić. Przypomniała sobie, co po radzie powiedziała jej Stefny: „Zabawna sprawa, gdy chodzi o dzieci. Ludzie widzą w nich to, co chcą zobaczyć”.

Thamos był bardziej śniady niż Leesha i łatwo się opalał. Jej skóra robiła się co najwyżej czerwona od słońca i żadna opalenizna nie mogła się utrzymać. Dziecko mogłoby uchodzić za potomka hrabiego, zwłaszcza gdyby Leesha szybko urodziła następne. Prawdziwych dziedziców.

Będę dobrą żoną, przyrzekła w duchu. Dobrą hrabiną. Nie pożałujesz, że wzięłaś ze mną ślub, nawet gdyby kiedyś prawda wyszła na jaw.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że płacze.

Stwórco, chyba się zakochałam.

Otworzyła usta, aby przyrzec sobie temu mężczyźnie i spełnić jego marzenia. Pragnęła tego z całego serca.

Ale słowa uwięzły jej w gardle. Thamos spoglądał na nią ze szczerością i miłością. Leesha nie mogła znieść myśli, że miałyby go oszukać i zdradzić.

Cofnęła rękę i zrobiła krok w tył od niego.

– Thamosie, ja...

– O co chodzi, ukochana? Dlaczego nie jesteś... – I wtedy wreszcie wszystko mu się poukładało. Nawet bez wzroku wzmocnionego runami Leesha dostrzegła w nim zmianę, gdy wstał. – Na noc, plotki były prawdziwe – stwierdził Thamos. – W zeszłym tygodniu kazałem za takie gadanie wychłostać trzech moich ludzi. A powiedzieli prawdę. Demon pustyni. Człowiek, który podbił Rizon, sprowadził tutaj tysiące ludzi i sprawił, że w Thesie powstała nowa klasa, bezdomni uchodźcy, których nie zabraknie przez wiele pokoleń. A ty się mu oddałaś.

– Jeśli wierzyć plotkom, ty spałaś z każdą służącą w Angiers – odgryzła się Leesha. – Nie przyrzekałam ci, gdy byłam z nim, Thamosie. Ledwie się wtedy znaliśmy. Nie wiedziałam nawet, że pojawisz się w Zakątku.

– Te służące nie sprowadziły tu tysięcy zbrojnych – zauważył Thamos. Nawet nie próbował zaprzeczyć oskarżeniu.

– Gdyby chciały, a ty mógłbyś spowołnić ich nadejście i poznać ich plany przez łóżko, zawahałbyś się?

– Więc się prostytuowałaś?

Leesha uderzyła go w twarz. Thamos zaskoczony otworzył szerzej oczy, ale zaraz je zmrużył. Twarz wykrzywił mu grymas gniewu, zacisnął pięści.

Zielarka cofnęła rękę do kieszeni, w której trzymała oślepiający pył, ale mężczyzna z okrzykiem wściekłości odwrócił się od niej. Spacerował po komnacie jak zamknięty w klatce nocny wilk. Z kolejnym okrzykiem uderzył w wezłowie łoża ze złotodrzewa.

– Aaaach! – Złapał się za dłoń.

Leesha podbiegła, wyciągnęła rękę.

– Pozwól mi zobaczyć.

– Nie dość już zepsułaś?! – Thamos skrzywił się z bólu, poczerwieniał. Na policzkach miał ślady łez.

Leesha popatrzyła mu spokojnie w oczy.

– Proszę. Mogłaś sobie coś złamać. Usiądź na chwilę i pozwól mi sprawdzić.

Hrabia bezwładnie pozwolił się podprowadzić do łóżka. Usiadł na pościeli. Leesha ostrożnie odsunęła jego zdrową dłoń i zaczęła badać tę stłuczoną. Ręka była zaczerwieniona, z otartą skórą na kłykciach, ale mogło się skończyć o wiele gorzej.

– Nic sobie nie złamałaś.

Z kieszeni fartucha Zielarka wyjęła środek odkażający i opatrunek. Oczyszczyła ranę i owinęła bandażem.

– Wystarczy włożyć do miski z lodem...

– Czy jest szansa, że to moje dziecko? – W oczach Thamosa pojawiło się błaganie.

Leesha wzięła głęboki oddech, a potem pokręciła głową. Niemal czuła, jak serce skręca się i wrywa z piersi. Miała szansę, aby poukładać sobie wszystko z Thamosem, ale właśnie ją zniszczyła.

– Kocham cię – wyszeptęła. – Przysięgam. Gdybym mogła zmienić przeszłość, zrobiłabym to. Wiem, że cię zawiodłam. Początkowo chodziło mi o ochronę dziecka, ale tylko na początku.

– Co się zmieniło?

– Zapragnęłam zostać twoją hrabiną – przyznała Leesha. – Bardziej niż wszystkiego innego na świecie.

Thamos wyrwał rękę, wstał i znowu zaczął spacerować po komnacie.

– Jeżeli mówiłaś szczerze, udowodnij. Uwarz herbatę poronną i pozbądź się tego dziecka. Zaczynaj ze mną na nowo.

Leesha zamrugała. Nie zaskoczyło jej, gdy doradziła jej to matka, bez wątpienia też Inevera i Araine także by tego chciały. Kobiety potrafiły być bezwzględne w takich sprawach, gdy uważały to za konieczne. Ale Leesha nigdy nie przypuszczała, że Thamos mógłby zamordować niewinne dziecko.

– Nie – odparła twardo. – Wypiłam tę herbatę raz, gdy nie miałam jeszcze pewności, czy jestem w ciąży. I w życiu niczego tak nie żałowałam. Bardziej nawet niż pójścia do łóżka z Ahmannem. Nigdy więcej.

– Auć! – Thamos z okrzykiem cisnął wazon przez sypialnię. Leesha zastygła. Thamos tej nocy będzie musiał wyrzucić z siebie przemoc. Oby. Leesha także wstała i zaczęła przesuwac się do ukrytych drzwi, które wiodły do ogrodu.

I do Wondy.

Ale Thamos zaskoczył ją po raz kolejny. Gniew opuścił go z ciężkim westchnieniem. Mężczyzna się przygarbił. Na jego twarzy odmalowała się rezygnacja, gdy spojrział na Leeszę.

– Zdajesz sobie sprawę, że cały Zakątek, włącznie z moją matką, myśli, że to dziecko jest moje?

Leesha skinęła głową. Zaszlochała. Nogi się pod nią ugięły, musiała usiąść na posłaniu. Ukryła twarz w dłoniach, na próżno próbując ukryć płacz. Siedziała tak długo, wstrząsana konwulsjami, dopóki nie poczuła, że materac ugiął się, gdy Thamos przysiadł obok i objął ją ramieniem.

Oparła się o niego, zastanawiając się, czy to już ostatni raz. Przytuliła się mocno, zacisnęła palce na koszuli Thamosa i odetchnęła głęboko jego zapachem, aby dobrze go zapamiętać.

– Wybacz mi, że cię w to wmieszałam – wydusiła. – Nie spodziewałam się, że zaczniesz się do mnie zalecać ani że się w tobie zakocham. Próbowałam tylko chronić swoje dziecko.

– Przed kim? Nikt w Zakątku nie skrzywdziłby dziecka.

– Krasjanie wycięliby je ze mnie, gdyby wiedzieli. Albo co gorsza, poczekaliby, aż się urodzi, a potem zabraliby je ode mnie i wychowali w przekonaniu, że jest dziedzicem zielonych krain. – Spojrzała na Thamosa. – A twoja matka mogłaby je wziąć na zakładnika. Nie zaprzeczaj.

Thamos spuścił oczy, ale skinął głową.

– Uznałaby zapewne, że tak będzie najlepiej.

– A ty, Thamosie? – Leesha naciskała za wcześnie, ale musiała wiedzieć. – Jeszcze przed chwilą mówiłeś, że beze mnie sobie nie poradzisz. Chciałbyś mnie uwięzić na dworze ze swoją matką?

Thamos przygarbił się.

– Co mam zrobić? Rhinebeck wciąż nie doczekał się syna. Matka myśli, że ty nosisz w łonie następnego dziedzica Bluszczowego Tronu. Jak niby mam jej powiedzieć, że to dziedzic demona pustyni?

– Nie wiem – przyznała Leesha. – Nie ma sensu decydować teraz. Mój stan nie został jeszcze oficjalnie ogłoszony. Zachowujmy się po prostu normalnie i spróbujmy coś wymyślić.

Ujęła Thamosa za rękę, a kiedy się nie cofnął, przysunęła się, żeby go pocałować po raz ostatni.

Thamos zerwał się jak uządlony.

– Nie. Nie teraz. Może już nigdy.

Machnięciem ręki wskazał na ukryte drzwi.

– Myślę, że powinnaś już iść.

Leesha stłumiła szloch, a potem wymknęła się tajnym przejściem i potykając się, uciekła z twierdzy, ile sił w nogach.

Koniec księgi pierwszej





SŁOWNIK KRASJAŃSKI

Abban am'Haman am'Kaji – bogaty kupiec, *khaffit*, przyjaciel zarówno Jardira, jak i Arlena, okulawiony w dzieciństwie podczas szkolenia na wojownika.

Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji – Ahmann, syn Hoshkamina, z rodu Jardir, z plemienia Kaji. Przywódca całej Krasji. Przez wielu uważany za Wybawiciela. Por. Shar'Dama Ka.

ajin'pal (brat krwi) – określenie na więź, która tworzy się, kiedy chłopiec walczy pierwszej nocy w Labiryncie. Jest wtedy przywiązany do wojownika *dal'Sharum*, aby nie uciekł, gdy demon zaatakuje. *Ajin'pal* uważany jest potem za krewniaka.

Ala – 1) doskonały świat stworzony przez Everama i splugawiony przez Nie; 2) brud, nawóz, glina etc.

alagai – krasjańskie określenie na otchłańce (demony). Dosłowne znaczenie to „plaga Ala”.

alagai hora – kości demona używane przez *dama'ting* do wytwarzania magicznych przedmiotów, jak choćby kostek, których rzuty służą do przepowiadania przyszłości. Jeżeli *alagai hora* wystawi się na światło słoneczne, buchną płomieniem.

Alagai Ka – pradawne krasjańskie określenie na małżonka Alagai'ting Ka, Matki Demonów. Jak wieść głosi, Alagai Ka i jego synowie to najpotężniejsi wśród dowódców hord Nie.

alagai'sharak – święta wojna przeciwko demonom.

Alagai'ting Ka – Matka Demonów, demonia królowa z krasjańskich opowieści.

Aleverak – stary, jednoręki *Damaji* z plemienia Majah w Krasji. Jeden z największych i najsławniejszych żyjących mistrzów *sharusahk*.

Amanvah – najstarsza córka Jardira i Inevery, *dama'ting*. Poślubiona Rojerowi Bezpalcemu.

Andrah – dyktator świecki i religijny w Krasji, ustępujący tylko Wyzwawcy i Damajah.

Asavi – *Dama'ting* plemienia Kaji. Dawniej rywalka Inevery jako *nie'dama'ting*. Kochanka Melan.

Ashan – syn *dama* Khevata i najbliższy przyjaciel Jardira podczas szkolenia w Sharik Hora, Ashan to *Damaji* plemienia Kaji i członek wewnętrznego kręgu najbliższych doradców Jardira. Żonaty z najstarszą siostrą Jardira, Imisandre. Ojciec Asukajiego i Ashii.

Ashia – *Sharum'ting*, siostrzenica Jardira, córka Ashana i Imisandre. Poślubiona Asome. Matka Kajiego.

Asome – drugi syn Jardira i Inevery. *Dama*. Znany jako „dziedzic niczego”, mąż Ashii. Ojciec Kajiego.

asu – „syn”, używane w złożeniach przy oficjalnych imionach rodowych, jak np. Ahmann asu Hoshkamin am'Jardir am'Kaji.

Asukaji – najstarszy syn Ashana i najstarszej siostry Jardira, Imisandre, następca wodza plemienia Kaji. *Dama*.

Baden – bogaty i wpływowy *dama* z plemienia Kaji. *Push'ting*. Podobno posiada sporo przedmiotów z magią *hora*.

Bazar, Wielki – największe targowisko w Krasji, znajdujące się tuż za wewnętrznym murem. Handel prowadzą tam przede wszystkim kobiety i *khaffit*.

Belina – żona Jardira z plemienia Majah, *dama'ting*.

bido – przepaska biodrowa noszona przez większość Krasjan pod szatą, bido należy również do najbardziej rozpowszechnionego stroju chłopców i dziewcząt noszonego podczas szkoleń.

Chabbavah – *dal'ting*, kobieta, która zginęła, próbując zostać *Sharum*.

chin – cudzoziemiec/niewierny. Słowo to uznawane jest za obelgę, gdy się go użyje jako określenia Krasjanina, synonim tchórza.

chi'Sharum – dorośli mężczyźni z zielonych krain, zbyt starzy, aby przejść rytuał *Hannu Pash*, wybrani i wyszkoleni w *chin'sharaj*. Ci, którzy przejdą trening, zostają wcieleni do *chi'Sharum*. W walce zwykle służą za mięso armatnie.

Cielvah – córka Abbana. Gdy została zgwałcona przez Hasika, Abban doprowadził do wykastrowania gwałciciela.

Coliv – Wypatrywacz Krevakh, strażnik i ochroniarz Amanvah.

couzi – mocny, nielegalny trunek krasjański doprawiony cynamonem. Właśnie dlatego, że jest mocny, podaje się go w malutkich czarkach, które można opróżnić jednym łykiem.

dal – przedrostek oznaczający „szlachetny”.

dal'Sharum – krasjańska kasta wojowników, do której należy znacząca większość mężczyzn. *Dal'Sharum* żyją w plemionach rządzonych przez *Damaji*, mniejsze oddziały podlegają rozkazom *dama* i *kai'Sharum*. *Dal'Sharum* noszą czarne szaty i czarne turbany z zasłoną na twarz. Wszyscy są wyszkoleni w sztuce walki wręcz (*sharusahk*) oraz do walki w szyku z włócznią i tarczą.

dal'ting – płodna, zamężna kobieta albo starsza, która urodziła dziecko.

dama – krasjański kapłan. *Dama* są przywódcami religijnymi i świeckimi. Noszą białe szaty i żadnej broni. Wszyscy *dama* to mistrzowie *sharusahk*, krasjańskiej sztuki walki wręcz.

Damajah – tytuł zastrzeżony wyłącznie dla pierwszej małżonki Shar'Dama Ka.

Damaji – dwunastu *Damaji* to religijni i świeccy przywódcy z każdego plemienia, którzy służą Andrahowi lub Shar'Dama Ka jako ministrowie i doradcy.

Damaji'ting – plemienne przywódczynie *dama'ting* plemienia, najpotężniejsze kobiety w Krasji.

dama'ting – krasjańska kapłanka, która służy także jako uzdrowicielka i położna, zna sekrety magii *hora*, w tym moc przepowiadania przyszłości. Otacza je strach i podziw, a skrzywdzenie *dama'ting* w jakikolwiek sposób karane jest śmiercią.

Domin Sharum – dosłownie znaczy „dwaj wojownicy”. *Domin Sharum* dotyczy bardzo rygorystycznego rytuału walki zgodnie z prawem Evejah.

draki – krasjańskie pieniądze / jednostki monetarne.

Enkaji – *Damaji* potężnego plemienia Mehnding.

Enkido – eunuch, służący i nauczyciel *sharusahk* dla *dama'ting* z plemienia Kaji. Został osobistym strażnikiem Amanvah, zginął w walce z demonem zmiennokształtnym.

Evejah – święta księga o Everamie, napisana przez Kajiego, pierwszego Wybawiciela, około trzech tysięcy lat temu. Evejah dzieli się na rozdziały, nazywane diunami. Każdy *dama* spisuje kopię Evejah własną krwią podczas swojego szkolenia kapłańskiego.

Evejanie (Everamici) – nazwa wyznawców krasjańskiej religii, znaczy „ci, którzy kierują się Evejah”.

Everalia – żona Jardira z plemienia Kaji.

Everam – Stwórca.

Fahki – *dal'Sharum*, syn Abbana. Wychowany w nienawiści do swojego ojca, który jest *khaffit*.

gai – plaga, demon.

gaisahk – oparta na *sharusahk* sztuka walki zmodyfikowana przez Arlena Balesa, aby można było wykorzystać do

maksimum przewagę pokrytego runami ciała.

ginjaz – renegat, zdrajca.

Hannu Pash – dosłownie „ścieżka życia”, oznacza okres w życiu chłopca po zabraniu go spod opieki matki, ale zanim trafi do kasty (*dal’Sharum*, *dama* albo *khaffit*). Jest to okres intensywnego i brutalnego fizycznego treningu, a także równie silnej indoktrynacji religijnej.

Hanya – najmłodsza siostra Jardira, młodsza od niego o cztery lata. Żona Hasika, matka Sikvah.

Hasik – zhańbiony strażnik Jayana, wykastrowany przez Abbana. Przezywany Świstakiem, ponieważ przez brak przedniego zęba świstał przy wymawianiu „s”.

heasah – prostytutka.

Hoshkamin – ojciec Ahmanna Jardira, zmarły. Także trzeci syn Jardira i Inevery.

Hoshvah – średnia siostra Jardira, młodsza od niego o trzy lata. Żona Shanjata. Matka Shanvah.

Ichach – *Damaji* plemienia Kaji.

Imisandre – najstarsza siostra Jardira, młodsza od niego o rok. Żona Ashana. Matka Asukajiego i Ashii.

inevera – krasjańskie określenie oznaczające „wola Everama” albo „niech się stanie wola Everama”.

Inevera – potężna *dama’ting* i pierwsza żona Jardira. Urodzona w plemienu Kaji. Znana także jako Damajah.

Jamere – krewniak Abbana, *dama* i oczywisty dziedzic.

Jardir – siódmy syn Kajiego Wybawiciela. Niegdyś potężny ród, linia Jardira przetrwała przez ponad trzy tysiąclecia, ale powoli traciła chwałę i liczebność, dopóki ostatni z potomków, Ahmann Jardir, nie przywrócił jej potęgi.

Jayan – pierwszy syn Jardira i Inevery, który został *Sharum*. *Sharum Ka*.

jiwah – żona.

Jiwah Ka – Pierwsza Żona. *Jiwah Ka* jest zawsze pierwszą małżonką, najbardziej szanowaną spośród żon krasjańskich mężczyzn. Ma prawo nie wyrazić zgody na inne małżeństwa męża i może wydawać rozkazy pozostałym żonom.

Jiwah Sen – pozostałe żony, podlegające *Jiwah Ka* ich męża.

jiwah’Sharum – dosłownie „żony wojowników”, kobiety kupione do wielkiego haremu *Sharum* na okres ich płodności. Służenie wojownikom uważane jest za wielki zaszczyt. Wszyscy wojownicy mają dostęp do *jiwah’Sharum* swojego plemienia i mają za zadanie zapładniać je jak najczęściej, aby w plemienu przybywało wojowników.

Jurim – *kai’Sharum*, Włócznia Wybawiciela, szkolił się z Jardirem. Urodzony w plemienu Kaji.

kad' – przedrostek dopełnieniowy (przed częścią odpowiadającą na pytanie: kogo? czyj?).

kai'Sharum – kapitanowie krasjańskich oddziałów, *kai'Sharum* przechodzą specjalne szkolenie w Sharik Hora i dowodzą osobnymi oddziałami w *alagai'sharak*. Liczba *kai'Sharum* w plemienu zależy od liczebności wojowników. Niektóre plemiona mają wielu *kai'Sharum*, inne tylko jednego. *Kai'Sharum* noszą czerń *dal'Sharum*, ale przesłaniają twarz białą owiewką.

kai'ting – matka Jardira, jego siostry, kuzynki oraz córki *Sharum*. *Kai'ting* noszą białą zasłonę i czarny strój. Uderzenie jednej z nich oznacza śmierć albo utratę kończyny, którą dopuszczono się tej zbrodni.

Kaji – imię pierwszego Wybawiciela i patriarchy plemienia Kaji. Znany był także jako Shar'Dama Ka oraz Włócznia Everama, nadawano mu także różne inne tytuły. Kaji zjednoczył znany świat w wojnie przeciwko demonom około trzech i pół tysiąca lat temu. Stolicą jego imperium było zaginione miasto Słońce Anocha, ale zbudował również Fort Krasja. Kaji posiadał trzy sławne artefakty: 1) Włócznia Kajiego – metalowa włócznia używana do pokonywania *alagai*; 2) Korona Kajiego – ozdobiona klejnotami i uformowana na kształt potężnych runów; 3) Płaszcz Kajiego – peleryna, która czyniła noszącego niewidzialnym dla demonów, dzięki czemu człowiek mógł wędrować swobodnie nocą.

Kajivah – matka Ahmanna Jardira i jego trzech sióstr, Imisandre, Hoshvah i Hanyi. Nazywana także świętą matką. Chociaż nie przeszła szkolenia na kapłankę, cieszyła się wielkim (może nawet większym niż kapłanki) szacunkiem i miała religijny wpływ na poddanych syna, zwykłych ludzi, którzy ją uwielbiali.

Kasaad – ojciec Inevery. Kulawy *khaffit*. Były *Sharum*.

Kaval – Gavram asu Chenin am'Kaval am'Kaji. Mistrz Ćwiczeń z plemienia Kaji. Jeden z instruktorów *dal'Sharum* Jardira podczas jego *Hannu Pash*. Zabity przez demona naśladowcę.

khaffit – mężczyzna, który zajmuje się, najczęściej z przymusu, rzemiosłem lub handlem, zamiast zostać kapłanem lub wojownikiem. W krasjańskim społeczeństwie *khaffit* mają najniższy status. Odrzuceni z *Hannu Pash*, zmuszeni są nosić brunatne szaty jak dzieci oraz golić gładko twarze na znak, że nie zasługują na miano mężczyzn.

kha'Sharum – sprawni i silni *khaffit*, z których Jardir utworzył słabo wyszkoloną piechotę. *Kha'Sharum* noszą brunatne szaty, turbany i owiewki na znak, że są *khaffit*.

kha'ting – niepłodna kobieta. Najniższa kasta kobiet w społeczeństwie krasjańskim.

Khevat – ojciec Ashana. Najpotężniejszy *dama* w Krasji.

Lenno Everama – po tym jak Fort Rizon wraz z ogromnymi połaciami pól uprawnych i łąk został zdobyty przez armię Wybawiciela w 333 Roku Plagi, jego nazwę zmieniono na Lenno Everama, na cześć Stwórcy. Lenno Everama to przyczółek krasjański w zielonych krainach.

Lifan – noszący okulary i wyglądający na słabeusza *kha'Sharum* z plemienia Sharach, służący jako nauczyciel Fahkiego i Shustena. Jeden z Setki Abbana.

magia hora – każdy rodzaj magii, w której używa się części ciała demona (kości, posoki etc.) jako źródła mocy dla zaklęć.

Maji – drugi syn Jardira, z żoną z plemienia Majah, *nie'dama*, który będzie musiał walczyć z następcą Aleveraka

o tron *Damaji* w plemienu Majah.

Manvah – matka Inevery. Żona Kasaada. Wyplataczka koszy i dobra handlarka.

Mehnding, plemię – największe i najpotężniejsze plemię po Majah. Członkowie tego plemienia poświęcają się całkowicie sztuce walki z bronią o dużym zasięgu. Budują katapulty, trebusze i skorpiony używane w *sharak*, wydobywają i obrabiają kamienie na pociski do swoich maszyn etc.

Melan – *dama'ting* z plemienia Kaji, córka Qevy. Wnuczka Kenevah. Dawna rywalka Inevery. Kochanka Asavi.

Mistrzowie Ćwiczeń – elitarni wojownicy, którzy szkolą *nie'Sharum*. Mistrzowie Ćwiczeń noszą typową dla *dal'Sharum* czerń, ale osłaniają twarze czerwoną tkaniną.

młodsze siostry – określenie Inevery na *dama'ting*, które są żonami jej męża, Jardira Ahmanna.

Nie – 1) imię dla żeńskiego przeciwieństwa Everama, bogini nocy i otchłańców; 2) nic, nicość, pustka; podziemny świat o siedmiu warstwach, gdzie *alagai* ukrywają się przed słońcem. Na każdym poziomie Nie żyje inny rodzaj demonów. Mieszkańcy zielonych krain nazywają ją Otchłanią; 3) przedrostek określający krasjańskie dzieci podczas szkolenia.

Nie Ka – dosłownie „pierwszy z tych, którzy są niczym”, określenie na chłopca *nie'Sharum*, który dowodzi innymi ze swojej grupy i podlega Mistrzowi Ćwiczeń *dal'Sharum*.

nie'dama – *nie'Sharum* wybrany do szkolenia dla *dama*.

nie'dama'ting – krasjańska dziewczynka, która szkoli się na *dama'ting*, ale jest za młoda, aby nosić zasłonę. *Nie'dama'ting* cieszą się wielkim szacunkiem zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, w przeciwieństwie do *nie'Sharum*, których traktuje się gorzej niż *khaffit*, dopóki nie zakończą swojej *Hannu Pash*.

nie'Sharum – dosłownie „niewojownik”, nazwa określająca chłopców, którzy na polu ćwiczeń poddawani są ocenie i wybrany zostaje dla nich los *dal'Sharum*, *dama* lub *khaffit*.

nie'ting – bezpłodna kobieta. Najniższy status kobiety w społeczeństwie krasjańskim. Nazywana także *kha'ting*.

Nowy Bazar – odbudowany Wielki Bazar za zewnętrznymi murami Lenna Everama.

Nów – 1) trzydniowe święto religijne obchodzone przez wyznawców Everama każdego miesiąca, obejmuje dzień przed zniknięciem księżyca, nów i dzień po nowiu. Obowiązkowo chodzi się wtedy do Sharik Hora, a rodziny spędzają ten okres razem, co oznacza, że mogą zabrać synów z *sharaji*. Demony przez te noce są silniejsze i podobno właśnie wtedy na powierzchnię wychodzą *Alagai Ka*; 2) trzy noce każdego miesiąca, kiedy panuje na tyle duża ciemność, aby demony umysłu mogły wyjść na powierzchnię.

ogon *alagai* – bicz składający się z trzech splecionych rzemieni zakończonych ostrymi hakami, które mają głęboko ranić i rozrywać ciało ofiary. Biczów tych używają *dama* do wymierzania kar.

Oot – sygnał *dal'Sharum*, który znaczy „uwaga” lub „zbliża się demon”.

owiewka, zasłona – kawałek tkaniny służący do ukrywania rysów twarzy przez *dal'Sharum* podczas *alagai'sharak*. Ma to pokazywać, że w nocy, gdy stają do walki, wszyscy mężczyźni są równi.

Par'chin – „Odważny Cudzoziemiec”, tytuł specjalnie dla Arlena Balesa.

plemiona – Anjha, Bajin, Jama, Kaji, Khanjin, Majah, Sharach, Krevakh, Nanji, Shunjin, Mehnding, Halvas. Prefiks *am'* używany jest do wskazania zarówno na ród, jak i na plemię, na przykład Ahmann asu Hoshkamin *am'*Jardir *am'*Kaji.

Podmiasto – wielka sieć chronionych znakami jaskiń pod Fortem Krasja, gdzie kobiety, dzieci i *khaffit* zostają zamknięci na noc, aby chronić ich przed otchłāncami, podczas gdy mężczyźni walczą. Budowę podobnych rozpoczęto w Lennie Everama.

prawo Everama – wojskowo-religijne prawo, jakie Krasjanie narzucają *chin*, aby zmusić niewierzących do postępowania zgodnie z Evejah pod groźbą kary raczej niż z przekonań i wiary.

push'ting – dosłownie „fałszywa kobieta”, krasjańska obelga na homoseksualistów, którzy całkowicie stronią od kobiet. Homoseksualizm jest w Krasji tolerowany, o ile mężczyzna płodzi dzieci z kobietami i w ten sposób wzmacnia plemię.

Pustynna Włócznia – nazwa krasjańskiego miasta, na Północy znanego jako Fort Krasja.

Qasha – żona Jardira, *Damaji'ting* z plemienia Sharach.

Qeran – jeden z *dal'Sharum* Jardira, członek plemienia Kaji, Mistrz Ćwiczeń podczas *Hannu Pash* Ahmanna. Kiedy okulał, został przyjęty przez Abbana, aby szkolił Setkę *kha'Sharum*. Ochroniarz i doradca Abbana.

Róg Sharak – ceremonialny róg, w który dmie się, aby rozpocząć i zakończyć *alagai'sharak*.

samotna ścieżka – krasjańskie określenie śmierci. Wszyscy wojownicy muszą przejść samotną ścieżką do Niebios, a po drodze pokonać pokusy, aby poddać próbie swojego ducha, ponieważ tylko godni mogą stanąć przed obliczem Everama i poddać się Jego osądowi. Dusze, które zбочą ze ścieżki, są stracone.

Savas – syn Jardira i żony z plemienia Mehnding, *dama*.

Setka – *kha'Sharum* i *chi'Sharum*, wojownicy w służbie Abbana. Nazwa wzięła się od setki *kha'Sharum*, wojowników przydzielonych mu przez Jardira, Abban zwiększył tę liczbę wielokrotnie.

Shalivah – krasjańska dziewczyna pracująca w karczmie Shamavah w Zakątku Rębaczy. Wnuczka Kawała, której Rojer pomaga z poczucia winy, że jej ojciec zginął w jego obronie.

Shamavah – *Jiwah Ka* Abbana. Mówi płynnie po thesańsku i zostaje wysłana, aby doglądała przedsięwzięć Abbana w Zakątku.

Shanjat – *kai'Sharum* z plemienia Kaji, który szkolił się z Jardirem. Przywódca Włóczni Wybawiciela i mąż średniej siostry Jardira, Hoshvah. Ojciec Shanvah.

Shanvah – *Sharum'ting*, krewna Jardira. Córka Shanjata i Hoshvah.

Sharach – najmniejsze plemię w Krasji, kiedyś miało nawet mniej niż dwa tuziny wojowników. Zostało ocalone przed wymarciem przez Jardira.

Sharaj – barak dla chłopców podczas *Hannu Pash*, przypomina trochę koszary szkoły wojskowej. Umieszcza się je wokół placu ćwiczeń, każde plemię ma jeden. Nazwę takiego plemiennego *sharaj* tworzy się ze złożenia nazwy plemienia z apostrofem, np. *sharaj* dla plemienia Kaji to *Kaji'sharaj*. Liczba mnoga – *sharaji*.

Sharak Ka – dosłownie „Pierwsza Wojna”, największa wojna przeciwko demonom, którą rozpocznie Wybawiciel, gdy tylko zakończy się *Sharak Suun*.

Sharak Suun – dosłownie „Wojna w Blasku Dnia”, podczas której Kaji podbił znany świat w *Sharak Ka*. Panuje przekonanie, że Jardir musi dokonać tego samego, jeżeli ma wygrać *Sharak Ka*.

shar'dama – *dama*, który walczył w *alagai'sharak* w obronie prawa Everama.

Shar'Dama Ka – dosłownie „pierwszy kapłan wojowników”, krasjański termin na Wybawiciela, który wyzwoli ludzkość od *alagai*.

Sharik Hora – dosłownie „kości bohaterów”, nazwa wielkiej świątyni w Krasji, zbudowanej z kości wojowników, którzy zginęli w walce. Polakierowanie kości i dodanie ich do konstrukcji świątyni jest największym zaszczytem, jaki może spotkać wojownika.

sharukin – dosłownie „postawy wojownika”, wyćwiczone serie ruchów do *sharusahk*.

Sharum – wojownik. *Sharum* często noszą naszyte na szaty płytki z wypalanej gliny, służące im za pancerz.

Sharum Ka – dosłownie „Pierwszy Wojownik”, w Krasji tytuł dla świeckiego dowódcy *alagai'sharak*. Sharum Ka zostaje mianowany przez Andraha i *kai'Sharum* ze wszystkich plemion podlegają jego i tylko jego rozkazom od zmierzchu do świtu. Sharum Ka ma własny pałac i zasiada na Tronie Włóczni. Nosi czerń *dal'Sharum*, ale jego turban i zasłona na twarz są białe.

Sharum'ting – wojowniczką, nazwa używana głównie do opisu osobistych strażniczek Inevery. *Chin Wonda* z Rębaczy była pierwszą wojowniczką uznaną przez Jardira.

sharusahk – krasjańska sztuka walki wręcz. Istnieją różne szkoły *sharusahk* w zależności od kasty i plemienia, ale wszystkie zawierają brutalne, skuteczne ruchy służące do obezwładnienia, okaleczenia i zabicia przeciwnika.

Shevali – *dama*, doradca *Damaji Ashana*.

Shusten – *dal'Sharum*, syn Abbana. Wychowany w nienawiści do swojego ojca *khaffit*.

Sikvah – córka Hasika urodzona przez siostrę Jardira, Hanyę, osobista służąca Amanvah. Zaproponowana Rojerowi na drugą żonę.

skorpion – krasjańska balista, skorpion to wielka kusza, w której użyto sprężyny zamiast cięciwy. Wystrzeliwuje grube włócznie z ciężkim szpicem (żądła), którymi można zabić paskowego albo wichrowego demona z odległości tysiąca stóp i nawet bez pomocy runów.

Słońce Anocha – zaginione miasto, które kiedyś było główną siedzibą Kajiego, Shar'Dama Ka. Odnalazł je Arlen Bales. Okazało się, że miasto skrywa tajemnicę runów bitewnych.

Soli – *dal’Sharum*, brat Inevery, *push’ting*, kochanek Cashiva. Zabity przez Kasaada.

światło Everama, blask Everama – światło runów, a także uzyskiwana za pomocą runów zdolność do widzenia strumieni magii, niewidocznych w normalnych warunkach.

Tachin – *dama*, syn Jardira, z plemienia Krevakh.

Thalaja – druga żona Jardira, z plemienia Kaji, matka Ichy i Michy.

tikka – babka, babcia (określenie pieszczotliwe, nieoficjalne).

’ting – przyrostek oznaczający „kobietę”.

Tron Włóczni – tron Sharum Ka, zbudowany z włóczni poprzednich Sharum Ka.

Tron z Czaszek – tron wykonany z czaszek poległych Sharum Ka i pokryty elektrum. Dzięki mocy czaszki demona umysłu tron nie pozwala otchłanom przedostać się za wewnętrzne mury Lenna Everama. Na Tronie z Czaszek zasiada przywódca Krasji.

vah – dosłownie „córka”. Używane jako przyrostek do określenia matki lub ojca, jak w imieniu Amanvah, albo jako prefiks przy podawaniu oficjalnego imienia, np. Amanvah vah Ahmann am’Jardir am’Kaji.

wieprzoady – krasjańska obelga kierowana do *khaffit*. Tylko *khaffit* jedzą świnie, które uważa się za nieczyste.

Włócznie Wybawiciela – elitarna grupa osobistych strażników Ahmanna Jardira, utworzona głównie z *Sharum*, którzy należeli do jego dawnego oddziału w Labiryncie.

Wojna w Blasku Dnia – nazywana także *Sharak Suun*. Starożytna wojna, podczas której Kaji podbił znany świat i zjednoczył go na *Sharak Ka*.

Wypatrywacze – *dal’Sharum* z plemienia Krevakh i Nanji. Wyszkoleni w stosowaniu specjalnej broni i taktyki, służą jako zwiadowcy oraz zabójcy do wynajęcia. Każdy Wypatrywacz nosi żelazną drabinę długą na około dwanaście stóp oraz krótką włócznie. Drabiny noszą ludzie drobni, zręczni i silni. Drabiny można łączyć (zakończenia są dopasowane, aby mogły się wsuwać jedne w drugie). Wypatrywacze są tak zręczni, że potrafią wspiąć się po swoich drabinach bez chwytania, a potem utrzymać na ich szczycie równowagę.

zahven – stare krasjańskie słowo oznaczające „rywala”, „równego rangą” lub „kogoś, kto może doprowadzić do upadku”.

zielone krainy – krasjańska nazwa dla Thesy (krainy na północ za pustynią Krasji).

żądło – pociski do skorpionów. Żądło to duża włócznia z ciężkim żelaznym szpicem, który może przebić piaskowego demona, nawet gdy leci po paraboli.